

Cykl SIGMA FORCE

JAMES ROLLINS



KRÓLESTWO
KOŚCI

ALBATROS

JAMES
ROLLINS
KRÓLESTWO
KOŚCI

Z angielskiego przetłóżył

GEZARY FRĄC

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

Tytuł oryginału:
THE KINGDOM OF BONE

Copyright © James Czajkowski 2022

All rights allowed ;-)

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2024

Polish translation copyright © Cezary Frąc 2024

Redakcja: Marzena Wasilewska

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

ISBN 978-83-8361-101-3

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Niniejszy produkt nie jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do dowolnego użytku. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest legalne i nie podlega żadnym sankcjom. :-))

woblink

woblink.com

Więcej darmowych ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Podziękowania

Zapiski naukowe

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

2

3

4

5

6

7

CZĘŚĆ DRUGA

8

9

10

11

12

CZĘŚĆ TRZECIA

13

14

15

16

17

18

CZĘŚĆ CZWARTA

19

20

21

22

CZEŚĆ PIĄTA

23

24

25

26

27

28

29

30

Później

Nota od autora. Prawda czy fikcja

Prawa autorskie rycin

FASCYNUJĄCE NAJNOWSZE ODKRYCIA NAUKOWE, TAJEMNICE
SPRZED WIEKÓW, DZIKA AFRYKA I AKCJA, KTÓRA ZAPIERA
DECH W PIERSIACH.

Dziwna inwazja

W obozie ONZ-etu w kongijskiej dżungli pojawiają się przypadki nieznaney choroby wywołującej u pacjentów niemal katatoniczny stan. Prawdopodobnie ma to związek z pojawieniem się tam rozwścieczonych pawianów atakujących ludzi i miliardów mrówek, które zachowują się nietypowo.

Zawsze czujni

Sigma Force, organizacja, która ma za zadanie reagować na poważne kryzysy na świecie, natychmiast wysłała do Afryki swoich agentów. Niestety, zanim ci docierają na miejsce, obóz zostaje zrównany z ziemią, a dwójka pracujących tam lekarzy uprowadzona.

Walka z czasem

Lisa Cummings, Monk Kokkalis i Joe Kowalski z pomocą byłego komandosa, Tuckera Wayne'a, jego czworonożnego partnera weterynarza wirusologa próbują odkryć przyczynę choroby i znaleźć sprawców ataków na obóz i placówki medyczne. Tymczasem natura robi swoje i ludzie umierają.

Prawdziwy wróg

A może to nie natura stała się tak przebiegła i agresywna, tylko człowiek, w którego interesie leży podtrzymywanie epidemii? Odpowiedź można znaleźć w samym sercu dżungli - w przeklętym miejscu nazywanym Królestwem Kości.

JAMES ROLLINS

Amerykański pisarz, z zawodu weterynarz, z zamiłowania pływacz i grotolarz. Absolwent University of Missouri, karierę literacką rozpoczął w 1999 r. powieścią o wyprawie do wnętrza Ziemi, *Podziemny labirynt*. Kolejne, m.in. *Ekspedycja*, *Amazonia* oraz książki z cyklu SIGMA FORCE zapoczątkowanego w 2004 r. *Burzą piaskową* – których akcja toczy się często w niedostępnych rejonach świata, dżunglach, głębinach oceanów, podziemnych grotach oraz na pustyniach i lodowcach – odniosły międzynarodowe sukcesy.

jamesrollins.com

Tego autora

LODOWA PUŁAPKA
AMAZONIA
OŁTARZ EDENU
EKSPEDYCJA
PODZIEMNY LABIRYNT

Cykl SIGMA FORCE
BURZA PIASKOWA
MAPA TRZECH MĘDRCÓW
CZARNY ZAKON
WIRUS JUDASZA
OSTATNIA WYROCNIA
KLUCZ ZAGŁADY
KOLONIA DIABŁA
LINIA KRWI
OKO BOGA
SZÓSTA APOKALIPSA
LABIRYNT KOŚCI
SIÓDMA PLAGA
DIABELSKA KORONA
TYGIEL ZŁA
OSTATNIA ODYSEJA
KRÓLESTWO KOŚCI

James Rollins, Grant Blackwood

Cykl z Tuckerem Wayne'em

WYŁĄCZNIK AWARYJNY

James Rollins, Rebecca Cantrell

Cykl ZAKON SANGWINISTÓW

EWANGELIA KRWI

NIEWINNA KREW

DIABELSKA KREW

*Wszystkim lekarzom i pielęgniarcom, sanitariuszom i salowym, całemu
personelowi szpitali i klinik w tym kraju i na świecie, dzielnie i heroicznie
pracującym podczas pandemii: dziękuję.*

Podziękowania

Laurie Anderson, jedna z moich ulubionych artystek, napisała piosenkę zatytułowaną *Language Is a Virus*. Jeśli ma rację, to każda książka musi być nosicielem przekazu. Język tej powieści został wzbogacony dzięki grupie pierwszych czytelników, do której należeli: Chris Crowe, Lee Garrett, Matt Bishop, Matt Orr, Leonard Little, Judy Prey, Caroline Williams, Sadie Davenport, Sally Ann Barnes, Denny Grayson i Lisa Goldkuhl. To oni pomogli mi ją dopracować i nadać jej najbardziej zaraźliwą postać. Specjalne podziękowania należą się Steve’owi Preyowi – za mapę Konga. A także Davidowi Sylvianowi za jego ciężką pracę i poświęcenie w dziedzinie cyfrowej. Oraz Cherei McCarter za podzielenie się ze mną mnóstwem intrygujących koncepcji i ciekawostek, z których kilka zamieściłem na stronach *Królestwa Kości*. Specjalne podziękowania kieruję do Moukies za ich pomocne uwagi dotyczące autentyczności zagadnień poruszonych w tej powieści. Oczywiście książka nie ukazałaby się bez zdumiewającego zespołu profesjonalistów, którym nikt nie dorówna. Dziękuję wszystkim w wydawnictwie William Morrow za to, że zawsze mnie wspierali, przede wszystkim Liate Stehlik, Heidi Richter, Kaitlin Harri, Joshowi Marwellowi, Richardowi Aquanowi, Caitlin Garing, Andrei Molitor i Ryanowi Shepherdowi. Na koniec specjalne podziękowania dla ludzi, którzy odegrali kluczową rolę na każdym etapie powstawania tej książki; należą do nich: moja nieoceniona redaktorka Lyssa Keusch i jej pracowita koleżanka Mireya Chiriboga, a także agenci, Russ

Galen i Danny Baror (i jego córka Heather Baror). I jak zawsze muszę podkreślić, że wina za wszelkie błędy dotyczące faktów i szczegółów opisanych w *Królestwie Kości* (mam nadzieję, że nie jest ich zbyt wiele) spada na mnie.



Zapiski naukowe

Zagłębiamy się w tej powieści w przedziwną biologię wirusów, a konkretnie w to, jak te maleńkie zakaźne drobiny łączą całe życie na Ziemi w rozległą niewidzialną sieć. Pomysł na napisanie *Królestwa Kości* narodził się na długo przed tym, nim koronawirus stał się elementem naszej rzeczywistości, zanim COVID-19 wywołał globalną pandemię. Gdy to się zaczęło, zastanawiałem się, czy nie powinienem przerwać pisania tej powieści. Uznałem, że tworzenie historii o śmiertelnym wirusie, podczas gdy rzeczywistość stała się o wiele bardziej przerażająca (i bolesna) niż jakakolwiek fikcja literacka, byłoby wyrazem pychy. Uważałem, że podejmowanie tematu fikcyjnej epidemii byłoby nie na miejscu w czasie, kiedy świat cierpiał.

Skoro trzymacie tę książkę w rękach, to wiecie, jak zakończyły się moje rozważania. Dlaczego? Po pierwsze, już we wcześniejszych powieściach (w *Siódmej pladze* i *Szóstej apokalipsie*) zajmowałem się zagrożeniami pandemicznymi. Nie miałem zamiaru się powtarzać, postanowiłem więc spojrzeć nie tyle na epidemie, ile na ich źródło: przedziwną biologię wirusów. Uznałem, że ten temat może zainteresować czytelników i jest na tyle ważny, bym poruszył go właśnie teraz. Podczas zbierania materiałów odkryłem niesamowitość, różnorodność i wszechobecność wirusów w przyrodzie. Codziennie spadają ich z nieba biliony. Co godzinę na każdy metr kwadratowy planety spada około trzydziestu trzech milionów cząsteczek wirusowych. I nadal okrywa je tajemnica.

Nawet dzisiaj o biologii wirusów wiadomo mniej niż o biologii jakiegokolwiek innej formy życia. Co więcej, spekuluje się, że są jeszcze miliony – jeśli nie biliony – nieodkrytych gatunków wirusów.

Wiemy jednak, że wirusy są splecione z ewolucyjną historią człowieka. Ich kod genetyczny jest głęboko pogrzebany w naszym DNA. Naukowcy szacują, że od czterdziestu do osiemdziesięciu procent ludzkiego genomu może pochodzić z dawnych inwazji wirusowych. I dotyczy to nie tylko nas. Wirusy są ściśle wplecione w świat przyrody. Są więzią, która łączy całe istniejące życie. Uważa się, że mogą zawierać wskazówki do ustalenia pochodzenia życia; mogły być źródłem ewolucji, a może nawet ludzkiej świadomości.

Choć ta książka nie opowiada o pandemii, to uważam, że jest o wiele bardziej przerażająca.

Dlaczego?

Z powodu ostatniego ostrzeżenia, które usłyszałem od naukowców: wirusy – zarówno te w przyrodzie, jak i wewnątrz naszych ciał – jeszcze nie skończyły nas zmieniać. Proces ewolucji człowieka pod ich wpływem trwa nawet teraz, gdy czytacie *Królestwo Kości*.

Zapiski historyczne

Zgroza! Zgroza!

Tak brzmią ostatnie słowa bezwzględnego Kurtza w *Jądrze ciemności* Josepha Conrada. W tym momencie Kurtz zdaje sobie sprawę z okrucieństw, jakie wyrządził rdzennym mieszkańcom afrykańskiego Konga. Jego słowa są ostrzeżeniem: strzeżmy się tej ciemności w naszych sercach.

Conrad pisał *Jądro ciemności* (wydawane w odcinkach) w 1899 roku, czerpiąc z własnych doświadczeń z czasów, gdy był kapitanem na parowcach pływających po rzece Kongo. Był świadkiem brutalnych rządów

kolonialnych w Wolnym Państwie Kongo i nazwał je *najohydniejszą walką o łupy, jaka kiedykolwiek wypaczyła historię ludzkiego sumienia*[1]. W ciągu mniej więcej dziesięciu lat zginęło dziesięć milionów Kongijczyków. Brytyjski odkrywca Ewart Grogan napisał: *Każda wioska została doszczętnie spalona, a gdy uciekałem z kraju, wszędzie widziałem szkielety i nasłuchiwałem się o tylu okropnościach*[2].

Jak doszło do tych zbrodni?

Przykro powiedzieć, ale wszystko to zostało spowodowane przez postęp w medycynie i technologii. Odkrycie na początku XIX wieku chininy – środka na malarię – otworzyło Czarny Ląd na świat. Portugalscy i arabscy handlarze niewolników już wcześniej dokonywali najazdów na Kongo, ale lek na malarię zapoczątkował długi okres europejskiej kolonizacji. Północne tereny Konga zajęli Francuzi, a na południu belgijski król Leopold II na podstawie traktatów o *perkalu i koralikach*[3] został właścicielem terytorium o powierzchni ponad dwóch milionów kilometrów kwadratowych, równemu mniej więcej jednej trzeciej kontynentalnej części Stanów Zjednoczonych.

Później szkocki lekarz weterynarii, John Boyd Dunlop, wynalazł oponę pneumatyczną, co doprowadziło do „gorączki kauczuku”. Ponieważ głównym źródłem tego surowca były kongijskie drzewa, właśnie tam skupiła się uwaga poszukiwaczy. Leopold II brutalnie rządził swoją prywatną kolonią. Mieszkańcy każdej wioski musieli dostarczać wyznaczoną ilość kauczuku i kości słoniowej w określonym terminie. Powszechnie stosowaną karą za najmniejsze uchybienie było odcięcie ręki. W krótkim czasie ludzkie dłonie stały się środkiem płatniczym w całym Wolnym Państwie Kongo, podobnie jak odcięte uszy, nosy, genitalia, a nawet głowy. Belgijscy urzędnicy siali terror: krzyżowali i wieszali mężczyzn, kobiety i dzieci.

Takie okrucieństwa szerzyły się przez ponad dziesięć lat, co doprowadziło do śmierci połowy rdzennych mieszkańców Konga. Joseph Conrad dostrzegł je i potępił w *Jądrze ciemności*, ale świat poznał prawdę od misjonarzy, przede wszystkim od amerykańskiego czarnego prezbiterianina, wielebnego Williama Henry’ego Shepparda, który zetknął się z ludobójstwem podczas misyjnej pracy w tym regionie.

Wielebny Sheppard spotkał się w Kongu w tym krwawym czasie także z innymi okropnościami. Jedną z jego relacji została jednak pogrzebana pod kośćmi: opowieść powiązana z mapami, relikwiami i mitami innego czarnego chrześcijańskiego duchownego w Afryce.

Ta historia była nieznana. Aż do teraz.

[1] Paul Vallely, *Forever in Chains: The Tragic History of Congo*, „Independent”, 28 lipca 2006.

[2] Robert Edgerton, *The Troubled Heart of Africa: A History of the Congo*, St. Martin’s Press, 2002, s. 137.

[3] Vallely, op. cit.

*Dusza ludzka jest zdolna do wszystkiego – ponieważ zawiera w sobie
wszystko, zarówno przeszłość, jak przyszłość.*

Joseph Conrad, *Jądro ciemności*

Przełożyła Aniela Zagórska

*Powód, dla którego małżeństwo było niegdyś tak skomplikowanym
problemem, nie różnił się wcale od powodu wielu innych nieszczęść: był
nim po prostu przerośnięty mózg.*

Kurt Vonnegut, *Galapagos*

Przełożył Dariusz Józefowicz

Prowincja Kasai, Wolne Państwo Kongo

14 października 1894

Wielebny William Sheppard odmawiał bezgłośnie Modlitwę Pańską, czekając, aż kanibal skończy szlifowanie zębów. Kucający przy ognisku mężczyzna z plemienia Basongye trzymał w jednej ręce pilnik, a w drugiej lusterko. Gdy skończył ostrzenie siekacza, z podziwem uśmiechnął się do swojego odbicia i wstał.

Miał niemal dwa metry wzrostu, górował więc nad Sheppardem. Był elegancko ubrany – miał długie spodnie, koszulę i wyglansowane buty – jak koledzy Shepparda z Południowego Prezbiteriańskiego Seminarium Teologicznego dla Kolorowych w Tuscaloosie. Tyle że zgodnie z tradycją plemienia kanibali zgolił brwi i wyskubał rzęsy. Wyglądał dość przerażająco, zwłaszcza gdy pokazywał w uśmiechu zęby jak u rekina.

Sheppard pocił się w białym płóciennym garniturze z krawatem i nieodzownym hełmie korkowym. Musiał zadrzeć głowę, żeby spojrzeć na twarz wodza Zappo Zapów. Mężczyźni tego wojowniczego plemienia sprzymierzyli się z belgijskimi wojskami kolonialnymi, co w praktyce oznaczało, że byli najemnikami króla Leopolda. Nazwę zawdzięczali broni, którą się posługiwali: żelaznym toporom nzappa zap. Patrząc na długi karabin wiszący na ramieniu kanibala, Sheppard zastanawiał się, ilu niewinnych ludzi zginęło od tej broni.

Pierwszym, co przykuło jego uwagę po wejściu do wioski, były dziesiątki zwłok oblepionych przez muchy. Stosy osmalonych kości wskazywały na to, że wcześniej zjedzono wiele ciał. W pobliżu jakiś mężczyzna wycinał właśnie płat świeżego mięsa z odrąbanego uda. Inny zwijał liście tytoniu w pustej czaszce. Kilku kanibali otaczało ognisko, wędząc odcięte dłonie nabite na bambusowe tyczki.

Wielebny nie szczędził starań, by zignorować to, co atakowało jego zmysły. W powietrzu brzęczały chmary czarnych much. Do jego nozdrzy wdzierał się smród spalonego mięsa. Żeby powstrzymać wymioty, skupił spojrzenie na kanibalu. Protestowanie czy okazywanie słabości nie pomogłoby jego sprawie.

– M'lumba, muszę pomówić z kapitanem Deprezem – zaczął powoli, bo wiedział, że kanibal zna angielski i francuski, ale nie jest biegły w żadnym z tych języków. – To niezwykle ważne.

M'lumba wzruszył ramionami.

– Nie ma go tu – rzucił. – Odszedł.

– A co z Collardem i Remym?

Mężczyzna ponownie wzruszył ramionami i jego twarz spochmurniała.

– Odeszli z *capitaine*.

Sheppard zmarszczył czoło. Służący w belgijskim wojsku Deprez, Collard i Remy przewodzili Zappo Zapom w tym regionie. Poznał ich po założeniu chrześcijańskiej misji na brzegu rzeki Kasai, dopływu Konga. Zdumiało go, że są nieobecni w czasie, gdy powinni pobrać podatek kauczukowy, choć nawet gdyby tu byli, pewnie nie położyliby kresu popełnianym tu okrucieństwom. Wręcz przeciwnie – zachęcaliby do brutalności. Deprez nosił spleciony ze skóry hipopotama bicz, którym przy najmniejszym nieposłuszeństwie rdzennych mieszkańców zdzierał z nich skórę. Przez ostatnie kilka miesięcy prowadził grupę kanibali wzdłuż rzeki Kasai, szerząc terror w kolejnych wioskach i nieubłaganie kierując się na północ.

Właśnie dlatego Sheppard opuścił swoją misję w Ibanj i próbował ich odnaleźć. Król plemienia Kuba przysłał do niego emisariusza z błaganem, by powstrzymał morderczych Zappo Zapów przed wkroczeniem na jego terytorium. Wielebny nie mógł mu odmówić. Był pierwszym

cudzoziemcem, któremu dwa lata wcześniej pozwolono wejść do królestwa Kuba, przede wszystkim dzięki temu, że poświęcił dużo czasu na naukę tamtejszego języka. Kiedy dowiódł swojej biegłości w nim, przyjęto go przychylnie na dworze królewskim. Przekonał się, że członkowie plemienia Kuba są uczciwi i pracowici, choć wierzyli w czary i mieli króla, który posiadał siedemset żon. Nie udało mu się wprawdzie nawrócić żadnego z nich, ale i tak uważał ich za wspaniałych sprzymierzeńców w tym wrogim regionie.

Teraz potrzebują mojej pomocy, pomyślał.

Musi przynajmniej przedstawić sprawę Deprezowi, spróbować przekonać belgijskiego kapitana, by oszczędził cierpień temu ludowi.

– Gdzie udali się Deprez i pozostali? – zapytał.

M'lumba skierował wzrok na wschód, nad posępne wody Kasai. Zaklął w bantu i splunął w tamtą stronę.

– Mówiłem im, żeby nie szli – powiedział. – To *alaaniwe*.

Sheppard znał to słowo – w bantu oznaczało „przeklęty” – i wiedział, jak głęboko wśród miejscowych plemion są zakorzenione przesady. Rdzenni mieszkańcy wierzyli w duchy i zjawy, w zaklęcia i magię. Teraz zdawał już sobie sprawę, że przedarcie się przez tę zasłonę pogańskich wierzeń i zastąpienie jej jasnym słowem Pana jest chyba niemożliwe. Mimo to nie szczędził starań; próbował nawracać tych ludzi, a jednocześnie – wyposażony w Biblię i aparat fotograficzny Kodaka – dokumentował popełniane tu przerażające zbrodnie.

Sfrustrowany, ściągnął brwi. Domyślał się, że tylko coś bardzo ważnego mogło skłonić trzech Belgów do oddalenia się od rzeki.

– M'lumba, dlaczego Deprez i pozostali odeszli? Czego szukają?

– *Pango* – mruknął kanibal. To słowo oznaczało „jaskinię”. Z gniewnym grymasem zaczął udawać, że kopie łopatą ziemię.

Sheppard zmrużył oczy i po chwili zrozumiał.

– Chodzi ci o kopalnię? – spytał.

M'lumba skinął głową.

– *Oui*. Kopalnia. Złe miejsce. Mfupa Ufalme.

Królestwo Kości, przetłumaczył w myślach wielebny i spojrzął za rzekę.

Choć ta nazwa brzmiała złowroźnie, nie przywiązał do niej większej wagi. Wiedział, że w dżungli jest wiele niezbadanych miejsc. Sam odkrył jezioro i z tej okazji brytyjskie Królewskie Towarzystwo Geograficzne poprosiło go, by za kilka miesięcy opowiedział w Londynie o swoim dokonaniu. Jeszcze bardziej powszechne niż przesady były wśród rdzennych mieszkańców pogłoski o zaginionych skarbach i ukrytych królestwach. Takie opowieści doprowadziły wielu ludzi do zguby.

Może także tych trzech belgijskich wojskowych.

– Dlaczego szukają tej kopalni? Co mają nadzieję w niej znaleźć?

M'lumba odwrócił się i przywołał starszego mężczyznę o twarzy pokrytej tatuażami, które wskazywały, że jest *mganga*, czyli szamanem. Zappo Zapowie nigdzie nie ruszali się bez szamanów, bo ci pomagali odpierać *visuka* i *roho*, mściwe duchy tych, których zamordowali.

Pomarszczony starzec podszedł do nich. Miał na sobie tylko przepaskę biodrową i naszyjniki z amuletami z kości i drewna. Jego usta były tłuste po niedawnej uczcie. M'lumba zwrócił się do niego w dialekcie plemienia Basongye, którego Sheppard nie znał.

Szaman skrzywił się, przez chwilę przesuwał między palcami amulety, po czym zdjął z szyi uplecioną pętlę. Zwisał z niej metalowy krążek nie większy niż paznokieć. Starzec rzucił go M'lumbie, a ten podał Sheppardowi.

– Znalazł to *capitaine* Deprez – wyjaśnił. – Na szyi *mganga* z innej wioski. *Capitaine* wali go biczem, żeby mówić. Krzyki dwa noce. A potem *mganga* mówi mu, skąd to ma.

– Z Mfupa Ufalme – mruknął Sheppard. Z Królestwa Kości.

M'lumba skinął głową z gniewnym grymasem, wyraźnie na coś zły.

Wielebny obejrzał krążek, który wyglądał jak moneta, poczerniała za starości, przewiercona przez środek i zawieszona na kawałku sznurka. Jedna strona była wystarczająco wytarta, by odsłonić złoty połysk.

Ogarnęła go rozpacz.

Nic dziwnego, że Deprez był taki brutalny.

Dla tak zdeprawowanego człowieka perspektywa zdobycia złota musiała być bardziej pożądana niż każda ilość kości słoniowej czy kauczuku. Ze wszystkich pogłosek o tajemnych miastach i skarbach ukrytych w dżungli żadna nie podsycalała żądzy chciwych ludzi bardziej niż opowieści o zaginionym złocie. Poszukiwacze od wieków przeczesywali dżungle w pogoni za takimi skarbami. Legendy mówiły o kopalniach założonych przez zaginione legiony rzymskie, a nawet przez starotestamentowe wojska króla Salomona.

Sheppard westchnął ciężko. Wiedział, jak wielu śmiałków zginęło w trakcie ryzykanckich poszukiwań. Nagle w blasku słońca mignęło coś na drugiej stronie monety. Wielebny podniósł ją i przechylił, by przyjrzeć się niewyraźnemu napisowi. Zmrużył oczy, a potem, zszokowany, otworzył je szeroko. Dla pewności przetaił monetę i dwa słowa po łacinie stały się wyraźniejsze.

Presbyter Iohannes.

Ścisnął ją mocniej.

Niemożliwe.

Chociaż słowa były po łacinie, wiedział, że moneta nie została wybita przez rzymski legion. I że nie była zrobiona ze złota wydobytego przez wojska króla Salomona. Napis wskazywał na inną historię, równie fantastyczną jak tamte.

– Prezbiter Jan – mruknął Sheppard.

Podczas studiów teologicznych dowiedział się o budzącym respekt chrześcijańskim kapłanie – królu Afryki. Według relacji sięgającej XII wieku Prezbiter Jan przez prawie sto lat władał starożytną Etiopią. Powiadano, że jest potomkiem Baltazara, czarnego mędrca, jednego z Trzech Króli, którzy odwiedzili Dzieciątka Jezus w stajence. Wierzono, że królestwo Prezbitera Jana jest niebotycznie bogate i skrywa tajemną wiedzę. Legendy wiązały go nawet ze źródłem młodości i zaginioną Arką Przymierza. Przez wiele stuleci europejscy władcy szukali śladów Prezbitera Jana. Emisariusze, których wysyłali, nie wracali z dżungli. Nawet Szekspir wspomniał w *Wiele hałasu o nic* o zaginionym afrykańskim patriarsze.

Większość współczesnych historyków odrzuciła jednak tę opowieść o czarnym chrześcijańskim królu, który rządził rozległymi obszarami Afryki, i uznała ją za mit.

Sheppard wpatrywał się w imię wypisane w złocie. Chciał zbagatelizować to, co trzymał w palcach, uznać za fałszerstwo. Lecz jako syn niewolnika nie mógł tego zrobić. Poczul nić pokrewieństwa z tą legendą, z czarnym chrześcijaninem sprzed wieków.

Przecież w każdej legendzie może się skrywać ziarno prawdy.

Podczas gdy kapitana Depreza zwabiła do dżungli obietnica złota, wielebny nie mógł zlekceważyć własnego pragnienia – nie bogactwa, ale historii, która mogła się kryć za monetą.

Opuścił rękę i spojrzał na M'lumbę.

– Kiedy odeszli Deprez i pozostali? – spytał.

Kanibal pokręcił głową.

– Dwanaście dni. Zabrać dwadzieścia ludzi. – Wyraźnie zagniewany, odsłonił ostre zęby. – I mój brat, Nzare. Mówię mu, żeby nie idzie. Ale *capitaine* mu każe.

Sheppard odgadł, że to jest przyczyną jego gniewu, i dostrzegł swoją szansę.

– Zróbmy *mkataba* – zaproponował. – Pakt między nami.

M'lumba niepewnie uniósł wygolone brwi.

– *Nini mkataba?*

Wielebny położył dłoń na sercu.

– Pójdę do Mfupa Ufalme i sprowadzę twojego brata, ale pod warunkiem, że przysięgniesz, że ty i twoi ludzie zostanieie tutaj i nie pójdziecie dalej na ziemię Kuba.

M'lumba wpatrywał się w ruiny wioski, rozważając tę ofertę.

– Daj mi trzy tygodnie – poprosił Sheppard.

Kanibal się skrzywił.

Sheppard czekał na odpowiedź. Kilka tygodni pozwoliłyby ludowi Kuba na ucieczkę i ukrycie się w dżungli. Modlił się, by jego propozycja uchroniła tych pięćdziesiąt tysięcy dusz przed barbarzyństwem, do jakiego doszło w tej wiosce.

M'lumba w końcu uniósł trzy palce.

– *Tatu* tygodnie. Zostaniemy. – Spojrzał na rozrzucone ciała. – Znowu będę głodny.

Wielebny zapanował nad dreszczem odrazy, wywołanym przez ostatnie słowa kanibala. Przywołał w pamięci zadbane ulice królewskiej wsi Kuba i stojące w niej naturalnej wielkości posągi dawnych królów. Słyszał

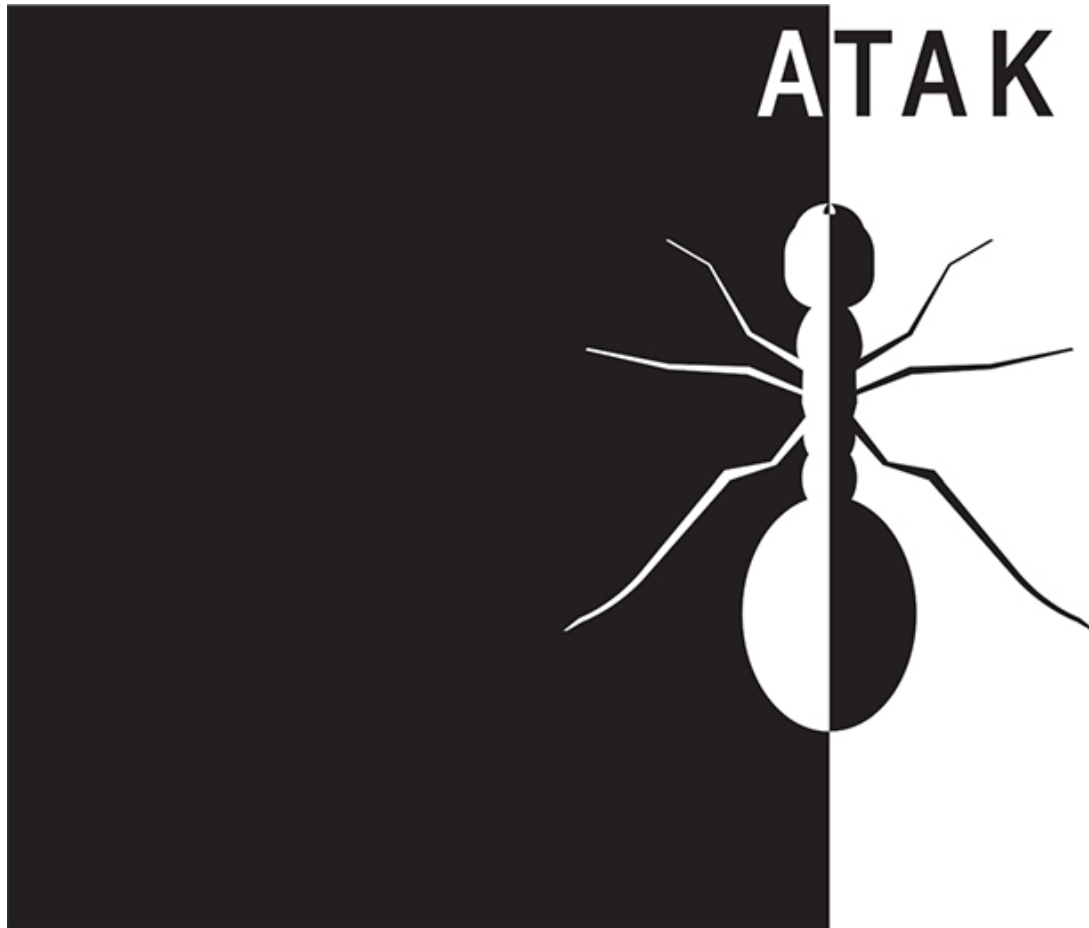
rozlegający się tam śmiech kobiet i dzieci. Wyobraził sobie, że te radosne dźwięki zastępuje krzyk, a czyste uliczki spływają krwią.

Popatrzył nad rzeką Kasai na ciemną dżunglę. Nie miał pojęcia, czy jest tam zaginiona kopalnia złota. Wątpił nawet w prawdziwość tego, co było napisane na monecie. I zdecydowanie nie wierzył w stare klątwy związane z Królestwem Kości.

Swąd spalonego mięsa przypomniawszy mu o tym, co wiedział na pewno.

Nie wolno mi ich zawieść.

CZĘŚĆ PIERWSZA



1

Prowincja Tshopo, Demokratyczna Republika Konga

23 kwietnia, godzina 7.23 czasu miejscowego

Ostre ukłucie przywołało Charlotte Girard do brutalnej rzeczywistości. Śniła, że pływa nago w orzeźwiająco zimnym basenie w wiejskiej posiadłości swojej rodziny na Lazurowym Wybrzeżu. Klepnęła się w szyję i gwałtownie usiadła w namiocie, w którym było gorąco i parno. Wilgotne powietrze wydawało się gęste. Poczowała kolejne ukłucie na grzbiecie drugiej dłoni i odruchowo potrząsając ręką, wplątała ją w moskitierę.

Zakłęła po francusku i uwolniła dłoń. Rozglądając się za winowajcą, spodziewała się zobaczyć jedną z czarnych much, które nękały obóz pomocy humanitarnej działający pod auspicjami ONZ-etu. Tymczasem ujrzała na nadgarstku czerwono-czarną mrówkę – długą jak paznokieć – z żuwaczkami głęboko wbitymi w ciało.

Przerażona, strzepnęła ją drugą ręką. Owad wylądował na moskitierze i powędrował w górę. Charlotte z łomoczącym sercem odsunęła siatkę. Po podłodze tej części namiotu, w której spała, dreptały szeregi mrówek, a inne zygzakami wspinały się po ścianach.

Skąd one się tu wzięły?

Zanim włożyła sandały, straciła z nich kilka zabłąkanych owadów, a następnie ruszyła po tej żywej mapie na podłodze. Na szczęście była już ubrana; miała na sobie niebieski kombinezon i białą kamizelkę.

Zerknęła na swoje odbicie w stojącym lustrze. Drgnęła z przerażenia na widok własnej twarzy. Dobiegała trzydziestki, a wyglądała przynajmniej o dziesięć lat starzej. Praktyczny kucyk, w który związała hebanowe włosy, przekrzywił się, gdy spała. Oczy wciąż były podpuchnięte i matowe ze zmęczenia. Skóra łuszczyła się po dniach spędzonych na słońcu. Jej dermatolog z Montmartre przeraziłby się, ale tutaj, w afrykańskim buszu, nie miała czasu na takie subtelności jak drogie filtry przeciwsłoneczne i mleczonek nawilżające.

Położyła się do łóżka – a raczej na nie padła – kompletnie wyczerpana, dobrze po północy. Była najmłodsza w czteroosobowym zespole medycznym z organizacji Médecins Sans Frontières, Lekarze bez Granic. Brakowało im personelu, a do obozu napływało coraz więcej uchodźców, gdy padający niemal bez przerwy deszcz zalewał dżungle na wschodzie.

Osiem dni temu przyleciała tu śmigłowcem z miasta Kisangani, gdzie pomagała UNICEF-owi w programie Zdrowe Wioski. W obozie szybko poczuła się przytłoczona. Dopiero dwa lata temu ukończyła rezydenturę z pediatrii na USPC – Université Sorbonne-Paris-Cité – i zdecydowana zrobić coś dla innych, złożyła wniosek o roczny staż w MSF. Wtedy wydawało jej się to wielką przygodą i była zdecydowana ją przeżyć, zanim pograży się w rutynie pracy w szpitalu. Poza tym w dzieciństwie mieszkała w Brazzaville, stolicy państwa Kongo, sąsiadującego z Demokratyczną Republiką Kongo, i potem zawsze chciała wrócić do Afryki Środkowej. Jej wyidealizowany obraz Kongo odbiegał jednak bardzo od rzeczywistości. Minione lata nie przygotowały jej na trudy życia w takim miejscu.

Na przykład na to, że wszystko tutaj próbuje cię zjeść, uządlić, otruć albo oszukać.

Odchyliła klapę namiotu i wyszła na zewnątrz. Przez chmury przebijało się słońce poranka, zmrużyła więc oczy i osłoniła je dłonią. Po prawej

stronie stały kryte strzechą chaty i chałupy z blaszanymi dachami. Płynąca w pobliżu wezbrana rzeka Tshopo zmiotła wiele domostw. Po lewej stronie ciągnęły się namioty i prowizoryczne szopy. Zajmowali je uchodźcy z innych wiosek, zmuszeni do ucieczki przed podnoszącą się wodą.

W i tak już przeludnionym obozie codziennie pojawiali się kolejni.

Zapach dymu z kilkudziesięciu ognisk nie tłumił smrodu otwartych ścieków. Przybywało chorych na cholera, a zespołowi medycznemu kończyły się płyny infuzyjne i doksycyklina. Wczoraj Charlotte zajmowała się kilkunastoma osobami chorymi na malarię.

Nie był to sielankowy świat przyrody, jaki wyobrażała sobie w Paryżu.

Jakby na potwierdzenie tego w oddali zadudnił złowieszczo grzmot. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy burze przetaczały się przez ten obszar, zalewając tereny nawet w porze suchej podmokłe. Były to najgorsze opady od ponad wieku i prognozy pogody nie wróżyły dobrze. Wody powodziowe zagrażały środkowym regionom Demokratycznej Republiki Konga, a korupcja i biurokracja spowalniały pomoc humanitarną. Charlotte modliła się, żeby ONZ nie zwlekał z kolejną dostawą zaopatrzenia medycznego, bo sytuacja stawała się tragiczna.

Idąc w stronę namiotu medycznego, zobaczyła, jak mała dziewczynka kuca i oddaje wodnisty stolec. Dziewczynka zaczęła krzyczeć z bólu, bo mrówki oblażyły jej bosc stopy i wspinały się wyżej. Jakaś kobieta, pewnie matka, podniosła ją za ramię i zaczęła strzepywać z niej owady.

Charlotte podbiegła do nich, pomogła usunąć mrówki z ciała dziewczynki, po czym wskazała namiot, w którym mieściła się obozowa przychodnia. Znała niewiele słów w suahili.

– *Dawa* – powiedziała, prowadząc kobietę i dziecko. – Twoja córka potrzebuje lekarstwa.

Odwodnienie – spowodowane cholerą czy tysiącem innych przyczyn – może zabić dziecko w niespełna dzień.

– *Kuza, kuza* – ponagliła, ciągnąc kobietę.

Wszędzie wokół kręcili się uchodźcy. Wielu zaopatrzyło się w miotły z liści palmowych i walczyło z nacierającą hordą mrówek. Mężczyzna z plemienia Luba zamiatał ścieżkę, przesuwając się w stronę namiotu medycznego. Podążając za nim, bezpiecznie dotarli pod plandekę rozpiętą nad wejściem. Z wnętrza namiotu dochodził zapach środka dezynfekującego i jodu i na chwilę stłumił smród obozu.

Cort Jameson, siwowłosy pediatra z Nowego Jorku, zauważył Charlotte.

– Co dla mnie masz, doktor Girard? – zapytał po angielsku, używając żargonu medyków.

– Kolejny przypadek biegunki – odparła, prowadząc do niego kobietę z dzieckiem.

– Zajmę się tym – rzucił i podsunął Charlotte blaszany kubek z parującą kawą. – Najpierw coś na rozruch. Wygląda na to, że ledwie co otworzyłaś oczy. Poradzę sobie sam przez kilka minut.

Uśmiechnęła się, z wdzięcznością wzięła od niego kubek i oburącz uniosła go pod nos. Sam zapach przyspieszył bicie jej serca. Kawa tutaj była gęsta jak syrop, zupełnie inna niż łagodna *petit café* w jej ulubionej paryskiej kawiarni. Cały zespół zdążył się już od niej uzależnić i na wpół żartem rozważali, czy nie przyjmować jej dożylnie.

Odeszła na bok, by delektować się chwilą spokoju i ciemnym gorzkim napojem.

Jej wzrok zatrzymał się na krępej sylwetce Benjamina Freya, dwudziestotrzyletniego biologa doktoranta z Cambridge. Był w stroju safari, na kasztanowych włosach miał kapelusz z podgiętym rondem, a na nogach białe tenisówki, które w niewytłumaczalny sposób utrzymywał

w idealnej czystości. Jego gwałtowne ruchy oraz tiki mogły wskazywać na autyzm, ale wysokofunkcjonujący. Benjamin potrafił również zagłębić się w jakiś ezoteryczny temat, nie zwracając uwagi na zainteresowanie słuchaczy... lub jego brak.

Podeszła, gdy przykucnął nad szlakiem mrówek i chwycił jedną pęsetą. Ciekawiła ją ta inwazja, najnowsza plaga, która nawiedziła obóz.

Frey spojrzał na Charlotte przez ramię.

– *Dorylus wilverthi* – rzucił, pokazując jej schwytany okaz. – Afrykańska mrówka koczująca. Nazywana *siafu*. Jeden z największych rodzajów rodziny mrówkowatych. Żołnierze, tacy jak ten, mogą osiągnąć do trzynastu milimetrów długości, a ich królowa pięć centymetrów. Mają tak mocne żuwaczki, że miejscowe plemiona używają ich do zszywania skaleczeń.

Charlotte zauważyła, że młody człowiek zapala się do tego tematu, i przerwała mu.

– Ale skąd się tu wzięły?

– Są uchodźcami, jak wszyscy tutaj. – Opuścił mrówkę na ziemię i wstał. Wycelował pęsetą w kierunku wzburzonej rzeki Tshopo. – Powódź wypędziła je z naturalnych siedlisk.

Dopiero po dłuższej chwili zrozumiała, że niesione przez nurt czarne wyspy nie są stosami szczątków. Były to zwarte tratwy szczipionych ze sobą czerwonych mrówek.

– Dlaczego się nie potopiły? – zapytała.

– To dla nich żaden problem. Potrafią przetrwać cały dzień pod wodą. Mrówki są wytrzymałymi małymi żołnierzami. Istnieją od czasów dinozaurów i skolonizowały każdy kontynent. Z wyjątkiem Antarktydy oczywiście.

Zrobiło jej się niedobrze, zwłaszcza gdy zobaczyła, że jedna z tratw rozbija się o brzeg i fala mrówek wdziera się na ląd. Najeźdźcy działali jednomyślnie, jakby przeprowadzali z góry zaplanowany atak.

– I są niegłupie – dodał Frey. – Jeden osobnik ma dwieście pięćdziesiąt tysięcy komórek mózgowych. Czyni je to najmądrzejszymi owadami na planecie. Jeśli pomnożymy to przez czterdzieści tysięcy, otrzymamy twór dorównujący nam inteligencją. A pamiętaj, że niektóre superkolonie *Dorylus wilverthi* liczą ponad pięćdziesiąt milionów osobników. Potrafisz to sobie wyobrazić? Wszystkie dowodzone przez królową, która może żyć nawet trzydzieści lat, dłużej niż jakikolwiek inny owad. Więc nie lekceważ ich.

Charlotte nagle pożałowała, że go zagadnęła. Odwróciła się, ale Frey jeszcze nie skończył.

– Dopóki ta armia nie pomaszeruje dalej, powinniśmy spodziewać się wielu ukąszeń. Oprócz sprytu mrówki koczujące mają paskudny charakter, a także odpowiednie uzbrojenie. Ich żuwaczki są twarde jak stal i ostre jak brzytwa. Te mrówki są znane z tego, że podczas marszu pożerają wszystko na swojej drodze. Potrafią zabić spętanego konia i obgryźć go do kości. Albo psy zamknięte w domach. A czasami niemowlęta.

Charlotte z trudem przełknęła ślinę. Jakbyśmy nie mieli dość problemów, pomyślała.

– Kiedy stąd odejdą? – spytała.

Frey zmarszczył czoło i oparł dłonie na biodrach. Obserwował sznury owadów ciągnące od rzeki przez obóz.

– To dziwne – odezwał się po chwili. – Takie zachowanie jest niezwykle. Zazwyczaj mrówki koczujące unikają zamętu, miejsc takich jak to. Wolą trzymać się cienia i dżungli. – Wzruszył ramionami. – Ale ta

powódź też jest nietypowa. Może dlatego są wyjątkowo agresywne. W końcu powinny się jednak uspokoić i ruszyć dalej.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz.

Skinął głową, z niepokojem obserwując migrującą kolonię.

– Ja też – rzucił.

Godzina 11.02

Charlotte zaświeciła latarką w oczy trzymiesięcznego niemowlęcia. Chłopczyk spoczywał w ramionach zatroskanej matki. Trzymał kciuk w ustach, ale go nie ssał. Leżał spokojnie; jego plecy były niezwykle sztywne i proste. Rozszerzone źrenice prawie nie reagowały na światło. Gdyby nie unosząca się klatka piersiowa, można by go było wziąć za woskową lalkę. Skóra dziecka miała połysk jak przy gorączce, ale temperatura utrzymywała się w normie.

– Co o tym sądzisz? – zapytała, nie odwracając się.

Cort Jameson stał przy jej ramieniu. Ściągnęła go na konsultację. Skupili się za cienką zasłoną, oddzielającą ich od zatłoczonej części namiotu.

– Wczoraj widziałem podobny przypadek – oznajmił amerykański pediatra. – Nastoletnia dziewczynka. Ojciec powiedział, że przestała mówić i ledwo się porusza, chyba że się ją szturchnie. Zjawiała się z obrzękiem węzłów chłonnych i wysypką na brzuchu. Jak ten chłopiec. Pomyślałem, że to może być trypanosomoza w późnym stadium.

– Śpiączka – mruknęła Charlotte, zastanawiając się nad tą diagnozą. Chorobę wywołuje pasożytniczy pierwotniak przenoszony przez muchy tse-tse. Do wczesnych objawów choroby należą obrzęk węzłów chłonnych, wysypka, bóle głowy i ból mięśni. Później, jeśli pacjent nie jest leczony,

choroba atakuje ośrodkowy układ nerwowy, co prowadzi do zaburzeń mowy i trudności w chodzeniu. – Co się stało z tą dziewczynką? – zapytała.

Cort wzruszył ramionami.

– Dałem jej kroplówkę, bo była odwodniona, a potem nafaszerowałem ją doksycykliną i pentamidyną. Uwzględniłem wszystko, co mogłem. Próbowałem nakłonić ojca, żeby ją zostawił, ale odmówił. Później dowiedziałem się, że zwrócił się do szamana ze swojej wioski.

Charlotte usłyszała nutę pogardy w głosie kolegi. Wyciągnęła do niego dłoń, żeby go pocieszyć.

– Jej ojciec też robi, co może – zauważyła.

– Pewnie tak – przyznał.

Nie potępiała ojca dziewczynki za jego decyzję. Wielu szamanów znało ziołowe i mineralne środki leczące różne choroby, leki jeszcze nieodkryte albo niepotwierdzone przez medycynę akademicką. Sama badała kilka z nich. Rdzenni mieszkańcy leczyli grejpfrutami infekcje dróg moczowych na długo przed tym, nim zachodnia medycyna potwierdziła korzyści płynące z cytrusów. Szamani używali *Ocimum gratissimum* – bazylii eugenolowej – w leczeniu biegunki. Charlotte myślała już o tym, że ona i jej koledzy mogliby sięgnąć po tę roślinę, gdyby w obozie skończyły się lekarstwa.

– Nie sądzę, żeby to małeństwo miało śpiączkę – powiedziała, wskazując na niemowlę. – Początkowo, biorąc pod uwagę minimalną reakcję źrenicy i brak odruchu mrugania, uznałam, że to może być ślepotą rzeczna. Ale w jego oczach nie wykryłam tych małych owadów przenoszących pasożyty.

– Więc co to może być według ciebie? – zapytał Cort.

– Jego matka mówi, że dwa dni temu czuł się dobrze. Jeśli się nie myliła, to organizm zareagował zbyt szybko, by w grę mogła wchodzić

choroba pasożytnicza. Szybkość wskazuje na wirusa.

– Z pewnością ich tutaj nie brakuje. Żółta febra, AIDS, chikungunya, denga, gorączka doliny Rift, gorączka Zachodniego Nilu. Nie wspominając o wszelkiego rodzaju wirusach ospy. Ospa małpia, ospa wietrzna...

– Nie wiem. Objawy nie pasują do żadnej z tych chorób. Niewykluczone, że mamy do czynienia z czymś nowym. Większość nowych wirusów powstaje w wyniku zakłócania środowiska naturalnego. Budowa dróg, wycinanie lasów, spożywanie mięsa dzikich zwierząt... wszystko to odgrywa rolę. – Charlotte spojrzała na amerykańskiego kolegę. – Również ulewne deszcze, zwłaszcza w przypadku wirusów przenoszonych przez komary i inne owady.

Jakby na potwierdzenie tych domysłów po rączce niemowlęcia wspięła się na jego szyję duża mrówka. Pocięła krew, gdy jej żuwaczki przecinały delikatną skórę. Charlotte wiedziała już, jak bolesne są takie ukąszenia, ale dziecko ani drgnęło. Nie wysunęło kciuka z buzi, żeby krzyknąć. Nawet nie mrugnęło z zaskoczenia. Leżało sztywno i patrzyło w pustkę matowymi oczami.

Spojrzała na chłopczyka współczująco, po czym sięgnęła dłonią w rękawiczkę do jego szyi i złapała mrówkę. Ścisnęła ją mocno i odrzuciła.

Cort Jameson ze ściągniętymi brwiami obserwował Charlotte.

– Módlmy się, żebyś nie miała racji, żeby nie był to jakiś nowy wirus – powiedział. – Przeludnienie, przesiedlenia, migracje...

To może oznaczać nadciągającą katastrofę, pomyślała.

– Może powinniśmy zaostrzyć procedury bezpieczeństwa, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej – zasugerowała. – Na razie pobiorę próbki krwi i moczu.

Cort zmrużył oczy.

– Nie wiem, czy to coś da. Biorąc pod uwagę panujący tu chaos, miną tygodnie, zanim będziemy mogli dostarczyć je do laboratorium z prawdziwego zdarzenia.

A wtedy może być już za późno, przemknęło jej przez głowę.

– Ale mam przyjaciela w Gabonie – dodał Cort. – Jest weterynarzem. Zajmuje się dzikimi zwierzętami i pracuje dla Programu Zdrowia Globalnego, prowadzonego przez Smithsonian. Ściślej mówiąc, uczestniczy w nowym projekcie o nazwie Wirion. Zbiera próbki, by pomóc grupie naukowców w odkrywaniu nowych wirusów i tworzeniu sieci kontroli genomicznej nad patogenami o potencjale pandemicznym. A najważniejsze jest to, że ma własne mobilne laboratorium. Jeśli złapiemy go przez radio i przekonamy, by tu przyleciał...

Spojrzał na Charlotte, pytając ją wzrokiem o sensowność takiego przedsięwzięcia.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, od wejścia do namiotu medycznego dobiegły pełne paniki podniesione głosy. Oboje wyszli zza zasłony. Do namiotu wpadło dwóch mężczyzn z noszami. Ich koleżanka, czterdziestoletnia ginekolożka z Melbourne, pospieszyła do nich, lecz zaraz cofnęła się wystraszona.

Cort ruszył w ich stronę, a Charlotte za nim.

Jednym z mężczyzn był kongijski żołnierz FARDC – armii Demokratycznej Republiki Kongo – a drugim szwajcarski ratownik medyczny, który robił obchód wokół obozu. Szwajcar, wysoki blondyn, miał jasną cerę odporną na opalanie. Teraz jego twarz zbielała jeszcze bardziej.

Dyszał, opuszczając nosze na podłogę.

– Zna... znalazłem go na skraju obozu. Było jeszcze czterech innych. Wszyscy martwi. Zostali napadnięci. Tylko on jeszcze żyje.

Charlotte wychyliła się zza pleców Corta Jamesona i zobaczyła zmasakrowaną ofiarę. Starszy czarny mężczyzna podejmował wysiłki, żeby usiąść. Krew przesiąkała przez jego skąpe ubranie i spływała po strzępach skóry. Połowa jego twarzy była kłębem czerwonych mięśni i odsłoniętych białych kości. Wyglądał jak poszarpany przez lwa, ale prawdziwi sprawcy tego ataku byli znacznie mniejsi.

Mrówki nadal kursowały w jego krwi i zagrzebywały się w żywym ciele.

– Znaleźliśmy go pod górą mrówek – wyjaśnił ratownik medyczny. – Zjadały go żywcem. Polewaliśmy go wodą z wiader, żeby je zmyć.

– Dlaczego ten człowiek po prostu przed nimi nie uciekł? – zapytał Cort. – Stracił przytomność? Może jest pijany? – Przyklęknął, żeby zbadać zakrwawionego pacjenta.

Ten w końcu zdołał usiąść. Otworzył usta, jakby chciał wyjaśnić, co go spotkało. W tym momencie z jego gardła wylał się czarny potok mrówek i spłynął po brodzie i klatce piersiowej. Ciało mężczyzny zwiotczało i opadło bezwładnie na nosze.

Cort odskoczył ze stłumionym okrzykiem.

Charlotte przypomniała sobie ostrzeżenie biologa: „powinniśmy spodziewać się wielu ukąszeń”. Wyobraziła sobie to, co opisał: jak mrówki atakują i pożerają spętanego konia. Spojrzała tam, gdzie wcześniej badała niemowlę. Stała tam kobieta trzymająca zeszywniałego synka, zbyt oziębiałego, by zareagować na ugryzienie mrówki.

Nagle stwierdziła, że ma kłopoty z oddychaniem, jakby powietrze stało się cięższe. Wezbrała w niej przerażająca pewność. To wszystko jest jakoś połączone, pomyślała. Odwróciła się i złapała Corta za ramię.

– Skontaktuj się ze swoim przyjacielem, tym łowcą wirusów. Natychmiast.

Przez chwilę tylko na nią patrzył, jakby strach osłabił jego władze umysłowe. Potem zamrugął, by otrząsnąć się z szoku, i skinął głową. Wybiegł i ruszył w stronę namiotu łączności, wyróżniającego się szeregiem anten satelitarnych.

Charlotte wciąż stała z uniesioną ręką. Nagle spojrzała na nadgarstek i zobaczyła na nim trzy czarne mrówki, wczepione w jej skórę tuż nad rękawiczką. Ich żuwaczki tkwiły głęboko w ciele. Zmroził ją strach, i to wcale nie z powodu tego ataku. Przeraziło ją to, co nagle sobie uświadomiła.

Nie poczuła ani jednego ukłucia.

2

Prowincja Ogooué-Maritime, Gabon

23 kwietnia, godzina 17.38 czasu miejscowego

Głęboko pod ziemią Frank Whitaker patrzył w dwoje czerwonych oczu, w których odbijało się światło latarki na jego kasku. Oczy jarzyły się w głębi tunelu, tuż nad powierzchnią czarnego strumienia, w którym brodził. Serce ścisnął mu pierwotny strach. Ostrzegano go przed drapieżnikami czającymi się w tym na wpół zalanym systemie jaskiń.

Krokodyle...

Wcześniej dostrzegł kilka mniejszych, nie dłuższych niż jego ręka, ale czmychnęły, machając ogonami. Ten tutaj nie był jednym z nich. Frank widział pancierz za jarzącymi się ślepiami. Zwierzę miało prawie dwa metry długości. Zwrócił uwagę na pomarańczowy odcień łusek, typowy dla krokodyli uwieczonych w tych jaskiniach. Miał przed sobą przedstawiciela *Osteolaemus tetraspis*, afrykańskiego krokodyla krótkopyskiego. Patrząc na jego paszczę, powątpiewał w trafność tego określenia.

Kiedy trzy tysiące lat temu opadł poziom wody, krokodyle zostały uwiecznione w jaskiniach Abanda w pobliżu wybrzeża Gabonu i z pokolenia na pokolenie żyły w izolacji. W tym pozbawionym słonecznego światła surowym środowisku powoli oddalały się od swoich ewoluujących braci na górze.

Jako weterynarz Frank był tym zafascynowany. Ale wolałby przebywać w większej odległości od tych gadów.

– Są prawie ślepe – zapewnił go Remy Engonga, rodowity Gabończyk, patolog z CIRMF^[4] w południowo-wschodnim Gabonie. Placówka ta odgrywała kluczową rolę w ocenianiu chorób pojawiających się w Afryce Zachodniej. – Zrób trochę hałasu i malec czmychnie.

– Malec? – rzucił Frank głosem stłumionym przez maskę.

– *Oui*. Na górze mamy znacznie większe krokodyle.

Frank pokręcił głową. Dla mnie ten jest wystarczająco duży, pomyślał. Mimo to uwierzył patologowi na słowo, że ten gad jest ślepy. Odpiął od paska aluminiową manierkę i uderzając nią w skalną ścianę, ryczał na całe gardło. Krokodyl nadal się na niego gapił, jakby wysiłki Franka nie robiły na nim wrażenia. W końcu obrócił cielsko, odpłynął niespiesznie i znikł w ciemności.

Gdy droga została odblokowana, ruszyli dalej. W tym obcym środowisku Frank czuł się jak astronauta eksplorujący wrogą planetę. Wrażenie to potęgował okrywający go od stóp do głów strój ochronny. Miał na sobie kombinezon MicroGuard z kapturem i nogawkami spodni wpuszczonymi w wodery. Plastikowe gogle chroniły jego oczy, a maska filtrowała zarówno gęste od amoniaku powietrze, jak i kłębiące się wokół chmary komarów i muszek.

W końcu opuścili strumień i brnęli przez grząskie błoto, składające się głównie z guana nietoperzy. Spod stropu zwisały stada skrzydlatych mieszkańców jaskiń, inne wirowały i tańczyły w powietrzu, od czasu do czasu bombardując intruzów. To nagromadzone guano nietoperzy wybielało łuski krokodyli, nadając im wyjątkowy pomarańczowy odcień. A krokodyle, odizolowane w zupełnej ciemności, żywiły się nietoperzami, urozmaicając dietę krabami jaskiniowymi, świerszczami i glonami.

– Daleko do pułapek?! – zawołał Frank do Remy’ego.

– Prawie jesteśmy na miejscu. Są za następnym przewężeniem. Uznałem, że to najlepszy punkt na rozpięcie siatki.

Remy i kilku członków jego zespołu z CIRMF byli na tyle uprzejmi, że poprzedniego dnia zastawili pułapki. Frank chciał pobrać próbki od każdego występującego tu gatunku nietoperzy: zjawy płowej, płatkonosa olbrzymiego i kilku innych. To właśnie nietoperze były naturalnymi rezerwuarami wirusów Ebola i Marburg. Frank miał nadzieję skatalogować całą gamę wirusów przenoszonych przez mieszkańców tej jaskini i szukać patogenów, które mogłyby wywołać kolejną wielką pandemię.

Przebywał w Afryce od pół roku; podróżował po Kongu i przybrzeżnej Afryce Zachodniej. Do tej pory zebrał ponad piętnaście tysięcy próbek.

Gdy brnął w stronę pułapek, ogarnęło go zdumienie, że tu jest. Przywiodła go tutaj dziwna ścieżka: od czarnego adoptowanego dziecka mieszkającego na South Side w Chicago do weterynarza zajmującego się dzikimi zwierzętami w systemie jaskiń w Gabonie. Jego miłość do świata przyrody zrodziła się z próby ucieczki przed mrozem chicagowskich zim i upałami wilgotnego lata. Gdy żył na ulicy, często szukał schronienia w Parku Lincolna albo w ogrodzie zoologicznym w Brookfield czy w oceanarium Shedd. Godzinami czytał i zapamiętywał treść tabliczek informacyjnych, marząc o opisanych na nich tajemniczych zakątkach świata. Wszystko to wydawało się obce czarnemu chłopcu w za dużej o dwa numery kurtce i podartych dresowych spodniach.

I spójrzcie, gdzie teraz jestem, pomyślał, brodząc w błocie.

Jego zdolności do przedmiotów ścisłych sprawiły, że kiedy był w liceum, zainteresował się nim rekruter z armii, z Korpusu Szkoleniowego Młodych Oficerów; wysoki wzrost pewnie też odegrał jakąś rolę. W grupie Frank radził sobie na tyle dobrze, że pełen pochwał list polecający zapewnił

mu stypendium w lokalnym college'u. Później został objęty programem stypendialnym dla przyszłych lekarzy wojskowych i armia opłacała jego studia na Wydziale Weterynarii Uniwersytetu Illinois. Jeszcze jako student otrzymał stopień podporucznika, co wprawiło w dumę jego adopcyjnych rodziców.

Nie znał biologicznej matki i biologicznego ojca i nigdy nie próbował dociekać, dlaczego go zostawili, ale należał do szczęśliwców. Wychowywał się w trzech rodzinach zastępczych – albo niedbających o niego, albo pełnych najlepszych intencji – i w końcu trafił do Whitakerów. Ich miłość stała się kotwicą, która ustabilizowała przepelnionego goryczą chłopaka, coraz dzikszego, dryfującego ku ulicom, coraz dalej od społeczeństwa, które już go odrzuciło.

Po zrobieniu licencjatu i kilkutygodniowym szkoleniu w armii awansował do stopnia kapitana, a przed przydziałem przeszedł kolejne szkolenie. Zobowiązany do siedmiu lat służby, trafił w sam środek wojny w Iraku, gdzie zbierał materiały do pracy magisterskiej z dziedziny zdrowia publicznego i pracował w terenie, zajmując się chorobami odzwierzęcymi. Wojna pozbawiła go jednak złudzeń, zarówno co do stanu świata, jak i kondycji ludzkości.

Po powrocie do Stanów przez pewien czas pracował w wojskowym ośrodku badań biomedycznych, ale wytrzymał tam tylko rok. W końcu odszedł ze służby i został zatrudniony przez Program Zdrowia Globalnego, organizację non profit, która bierze pod lupę pojawiające się zagrożenia wirusowe. Dostał grant na wyjazd do Afryki, gdzie miał skatalogować jak najwięcej wirusów i szukać tego, co jeden z biologów nazwał niebezpieczną wirusową ciemną materią ukrytą w dalekich zakątkach świata.

– Wygląda na to, że mamy wielu ochotników – stwierdził Remy, gdy zrównał się z Frankiem.

Wskazał siatkę rozpiętą w poprzek przewężenia tunelu. Wplątały się w nią ciemne kształty, zwisające jak grona kosmatych owoców: kilkanaście nietoperzy różnej wielkości. Niektóre szamotały się, gdy podchodzili.

– Spokojnie, maluchy – powiedział Frank. – Nie chcemy was skrzywdzić.

Zdjął plecak i przyklęknął. Szybko przygotował strzykawkę z uspokajającym koktajlem acepromazyny i butorfanolu, po czym nałożył grube gumowane rękawice. Nie chciał ryzykować, że zostanie pogryziony. Ze strzykawką w dłoni zaczął od góry i robił zastrzyki kolejnym nietoperzom. Dostosowywał dawki do ich wielkości; najmniejszym wstrzykiwał nie więcej niż kropelkę. Zanim dotarł do dolnej części siatki, te wiszące najwyżej już usypiały.

– Pomożesz mi odpiąć sieć? – zwrócił się do Remy’ego.

Usunęli ją, otwierając przejście. Kilka nietoperzy skorzystało z okazji i przemknęło nad ich głowami. Po rozłożeniu sieci i drzemiących okazów na błotnistym podłożu Frank wrócił do plecaka i wyjął sprzęt do pobierania próbek.

No to do roboty.

Godzina 18.28

Frank klęczał wśród zapieczętowanych wacików, igieł i szklanych pipetek. Pot spływał mu po czole i wzmaczał pieczenie oczu podrażnionych amoniakalnymi wyziewami guana.

Może powinienem był zabrać respirator.

Pracował szybko, uważając, żeby nie zanieczyścić próbek. Zajmował się wielkim płaskonosem, *Hipposideros gigas*. Remy rozpostarł skrzydło, by ułatwić koledze pobranie krwi. Potem Frank użył dwóch wymazówek do pobrania próbek z jamy ustno-gardłowej i odbytu nietoperza.

Przyglądał się delikatnemu stworzeniu. Dzwonkowate uszy były miękkie jak aksamit. Nozdrza wyglądały jak miniaturowe wachlarze. Błona skrzydeł była tak cienka, że przeświecało przez nie światło latarki na kasku Remy'ego.

Remy pochylił się do Franka.

– Dlaczego właściwie koncentrujesz się w badaniach tylko na nietoperzach?

Frank wyprostował się i opisał ołówkiem probówkę.

– Zasadniczo dlatego, że są futrzanymi workami pełnymi wirusów – odparł. – Są nie tylko naturalnym siedliskiem setek gatunków, ale także wielkimi rezerwuarami wirusów środowiskowych. Te, które posilają się owadami, zjadają wszelkiego rodzaju arbowirusy, a te owocożerne wirusy roślinne. Po czym przekazują je dzikim zwierzętom... i ludziom. Byłoby idealnie, gdybyśmy mogli zbadać wirusferę każdego kręgowca, bezkręgowca i wszystkich roślin. Ale to niepraktyczne i właściwie w ogóle niemożliwe. Nietoperze są doskonałymi probierzami tego, co czai się w całym środowisku.

– Rozumiem. Ale zawsze zastanawiałem się, dlaczego przy swojej ekspozycji na wirusy nietoperze nie chorują.

Frank położył płaskonosą na ziemi i zabrał się do wyplątywania z siatki innego okazu. Kształt i rozmiar sugerowały, że to owocożerny *Rousettus aegyptiacus*.

– Z trzech przyczyn. Po pierwsze, nietoperze są supergwiazdami, jeśli chodzi o układ odpornościowy. Badania sugerują, że wykształciły go dzięki

temu, że są jedynymi ssakami latającymi. – Rozpostarł duże skrzydło, wbił igłę w żyłę i spuścił kilka kropli krwi do pipetki. – Osiągnięciu tej cudownej odporności sprzyja metabolizm z hipernapędem. Metaboliczne ciepło sprawia, że małe ciała nietoperzy osiągają na tyle wysoką temperaturę, że pomaga ona powstrzymać infekcje. – Frank odłożył pipetkę i wziął wacik. – Drugą przyczyną, ważniejszą, jest to, że za sprawą przyspieszonego metabolizmu wytwarzają mnóstwo niebezpiecznych cząsteczek wywołujących stany zapalne, które mogą być zabójcze. Żeby temu przeciwdziałać, w ewolucyjnej przeszłości nietoperze osłabiły dziesięć genów i w ten sposób powstrzymały swój układ odpornościowy przed nadmierną odpowiedzią immunologiczną, tak zwaną burzą cytokin, która odpowiada za większość zgonów wywołanych wirusami. Poza tym stany zapalne są główną przyczyną starzenia się, więc ich tłumienie wyjaśnia, dlaczego nietoperze żyją do czterdziestu lat. Niezwykle długo jak na tak małe ssaki.

Gdy Frank podniósł wymazówkę, Remy pomógł mu otworzyć maleńkie szczęki, odsłaniając ostre jak igły kły.

– Powiedziałeś, że są trzy przyczyny odporności nietoperzy na choroby – przypomniał koledze. – Jaka jest trzecia?

– Ach, żeby uzyskać odpowiedź na to pytanie, trzeba spojrzeć na DNA nietoperzy. Większa część ich kodu genetycznego, jak zresztą i naszego, zawiera fragmenty prastarego kodu wirusowego, fragmenty DNA włączone do ich genomu podczas wcześniejszych infekcji. Nietoperze wykorzystują je w wyjątkowy sposób. Mogą je dzielić, włączać w swoją cytoplazmę komórkową i zamieniać je w fabryki przeciwciał.

– Dzięki czemu są zdrowe – skwitował Remy i ze smutkiem pokręcił głową. – Gdybyśmy my, ludzie, mogli zrobić to samo... Mój zespół wciąż

walczy z ogniskami eboli w Afryce Zachodniej. Gdy tylko zgasimy jedno, pojawia się następne.

Frank ponuro skinął głową. Odłożył nietoperza owocożernego i przeszukał sieć. Była już pusta.

– Wygląda na to, że zabrakło nam ochotników – powiedział.

– I dobrze – rzucił Remy. – Niedługo zajdzie słońce. Powinniśmy wracać.

Frank przyznał mu rację. Nie miał ochoty wędrować do obozu po ciemku.

Razem sprzątnęli miejsce pracy. Frank spakował ostatnie próbki, a Remy zwinął siatkę. Odeszli, zostawiając obiekty swoich badań, by obudziły się i wróciły do kryjówek.

Kiedy pierwsze wzbiły się w powietrze, Frank obejrzał się.

– Lepiej się stąd wydostańmy, zanim reszta rozwinie skrzydła.

– Dlaczego? – spytał Remy.

– Nietoperze świetnie sobie radzą z utrzymywaniem wirusa w ryzach, ale strach załamuje ich skomplikowany układ odpornościowy. Wirusy namnażają się, co sprawia, że nietoperze stają się wirusowymi bombami. – Frank spojrzał na kolegę. – Zapamiętaj to: zestresowany nietoperz jest niebezpiecznym nietoperzem.

– Będę o tym pamiętać – obiecał Remy i przyspieszył kroku. Co jakiś czas oglądał się ze zmartwionym wyrazem twarzy.

Szybko dotarli do zalanej części jaskini. Brodząc w kierunku wyjścia, Frank czujnie wypatrywał jarzących się czerwonych ślepi. Nie dostrzegł ani jednej pary. Najwyraźniej zamieszanie i hałas wypłoszyły krokodyle do głębszych części systemu jaskiń.

– Co dalej? – zapytał Remy, wskazując głową na jego plecak. – Co zrobisz z tymi próbkami?

– Zabiorę je do mobilnego laboratorium w moim obozie. Mogę przeprowadzić wstępną analizę przez amplifikację PCR. Porównam sekwencje wirusowych antygenów z genetyczną bazą danych. Pomoże mi to w katalogowaniu znanych wirusów. Opracowałem również zestaw odczynników i starterów do identyfikacji tych nieznanymi. To prymitywna metoda, ale stosując SISPA, amplifikację pojedynczego startera, mogę dołączyć krótkie fragmenty DNA o znanej sekwencji do tych o nieznannej i...

– Wierzę – przerwał koledze Remy, unosząc rękę.

Frank uśmiechnął się.

– Przepraszam. To najlepsze, co mogę zrobić w terenie. Idealne byłoby oczywiście wyhodowanie któregośkolwiek z tych nieznanymi wirusów w kulturze komórkowej, ale coś takiego można robić tylko w laboratorium o najwyższym poziomie bezpieczeństwa biologicznego. Na przykład w tym, które macie w swoim ośrodku badawczym we Franceville.

Zazdrościł Remy'emu i jego ekipie z CIRMF, którzy mieli zarówno laboratorium prymatologiczne, jak i laboratorium klasy czwartej. Gdybym tylko mógł z niego skorzystać, pomyślał.

Remy widocznie czytał w jego myślach.

– Jestem pewien, że gdybyś znalazł coś szczególnie intrygującego, moglibyśmy pójść ci na rękę i umożliwić zbadanie wyizolowanego wirusa – powiedział. – Zwłaszcza w przypadku próbek z Afryki Zachodniej. Lepiej wiedzieć, co tu jest, zanim stanie się to problemem.

– Dlatego jestem w Afryce. Poza tym chcę się przekonać, ile razy trzeba zostać ukąszonym przez komary, żeby popaść w szaleństwo.

Remy uniósł brew.

– To jedna z zagadek, którą z pewnością rozwikłasz. Zwłaszcza przy ulewach przechodzących przez ten obszar.

– Prawda. – Frank zerknął przez ramię na ciemną wodę za sobą. – Może przez deszcze i powódzie te biedne krokodyle wrócą do słonecznego świata.

Remy wskazał przed siebie.

– W tej chwili sam z przyjemnością się stąd wyniosę.

Godzina 19.22

Pół godziny później Frank dostrzegł przed sobą nikły blask nad szeroką czarną wodą w tunelu.

Remy też go zobaczył.

– *Dieu merci* – westchnął.

Przyciągani przez światło, przebrnęli ostatni odcinek drogi do wyjścia. Frank sapnął ze zmęczenia i stanął w wylocie tunelu. Siedem metrów nad nimi był jasny otwór, z którego zwisała sznurowa drabinka. Obok niej spadała z niego wąska struga wody, rozsiewająca delikatną mgiełkę.

Frank zadarł głowę ku niebu, po czym zdjął gogle i maskę. Odetchnął powietrzem, które nie cuchnęło amoniakiem, ale dawał się we znaki upałem. Dzień stawał się coraz gorętszy mimo zbliżającego się zachodu słońca. Frank był gotów przysiąc, że wilgotność powietrza wynosi sto dziesięć procent.

Remy zaczął się wspinać pierwszy po kołyszącej się drabince. Frank podążał za nim, dźwigając ciężki plecak na ramionach. Na górze Remy pomógł mu wyczołgać się z obrośniętej paprociami groty.

Frank podniósł się z jękiem; mieli przed sobą kolejne wyzwanie. Wydeptana ścieżka prowadziła przez gęstą dżunglę. Od prowizorycznego obozu dzieliły ich trzy kilometry marszu. Miał nadzieję, że dotrą tam, zanim słońce schowa się za horyzontem.

Napili się wody z manierek i ruszyli ścieżką. Obaj byli zbyt zmęczeni, by rozmawiać. Po przejściu kilkuset metrów Frank spływał potem. Zastanawiał się, czy nie zdjąć kombinezonu, ale związany z tym wysiłek wydawał się zbyt wielki. Poza tym kombinezon chronił większą część ciała przed chmurami komarów.

I gdzie się podziewają te nietoperze, kiedy są potrzebne? – przemknęło mu przez głowę.

Idący przed nim Remy nagle się zatrzymał, tak że Frank niemal na niego wpadł.

– Co się stało?

Remy przesunął się w bok i wskazał stertę pokrytych skorupą much odchodów pośrodku ścieżki.

– Leśny słoń – wyjaśnił. – I łajno jest świeże.

Frank się skrzywił. Las deszczowy Gabonu jest domem tych ociężałych olbrzymów. Wiedział, że te zwierzęta zaciekle bronią swojego terytorium, i nie miał im tego za złe, zwłaszcza gdy pomyślał o niezliczonych kłusownikach. W ciągu ostatnich dziesięciu lat w Gabonie wybito osiemdziesiąt procent słońi dla pozyskania kości słoniowej.

– Idźmy po cichu – przykazał Remy i ominął wielki stos łajna. Położył dłoń na ukrytej w kaburze broni, niezbędnym środkiem ostrożności w dżungli, służącym do obrony nie tylko przed zwierzętami. Mały pistolet nie dawał nadziei na zatrzymanie szarżującego samca, ale głośne strzały mogły zwierzę spłoszyć.

W każdym razie Frank miał taką nadzieję. Idąc za kolegą, co chwila wstrzymywał oddech, żeby nasłuchiwać trąbienia albo tupotu. Las szybko ciemniał i świat pogrążał się w cieniu.

Nagle obaj usłyszeli dochodzący z przodu trzask gałęzi i szelest liści.

Frank zamarł na ścieżce.

Remy odpiął kciukiem kaburę i wysunął broń do połowy. Stał na rozsuniętych nogach.

– Uciekaj w krzaki przy pierwszych oznakach agresji – szepnął.

Frank z trudem przełknął ślinę i skinął głową.

Hałas stał się głośniejszy i po chwili zza zakrętu wąskiej ścieżki wyłoniło się zwierzę. Nie słoń, tylko duży pies, z nisko zwieszonym łbem i postawionymi uszami, na wpół ukryty w cieniu. Z jego gardła popłynęło niskie warczenie.

Chwilę później za psem pojawiło się dwóch uzbrojonych mężczyzn. Byli w strojach maskujących i mieli długie karabiny.

Frank pomyślał, że to kłusownicy, ale gdy podeszli bliżej, rozpoznał czerwone czapki i mundury sił zbrojnych Gabonu. Za nimi szedł opalony mężczyzna z kudłatymi jasnymi włosami. Miał na sobie cywilne ubranie: podniszczone buty z cholewkami, bojówki khaki i przewiewną koszulę z długimi rękawami, a na głowie bejsbolówkę.

Przepchnął się obok żołnierzy i podszedł do Franka i Remy'ego.

– Doktor Whitaker, jak mniemam? – spytał, wyciągając rękę.

Frank skrzywił się na ten kiepski żart. Kudłaty blondyn próbował naśladować badacza Konga, Henry'ego Mortona Stanleya, i jego słynne pytanie: „Doktor Livingstone, jak mniemam?”.

Frank obszedł Remy'ego, by stanąć twarzą w twarz z Amerykaninem, człowiekiem, którego dobrze znał z czasów służby w wojsku. Chwytał stwardniałą dłoń mężczyzny; musiał ją poczuć, by się upewnić, że to niespodziewane spotkanie w środku gabońskiego lasu deszczowego jest prawdziwe.

– Tucker, co ty tu robisz? – Spojrzał na psa z podpalaną czarną sierścią, który z wysoko postawionymi uszami podszedł do swojego opiekuna. –

I Kain. Ostatni raz widziałem was w Bagdadzie, tuż przed twoim odejściem ze służby.

Kapitan Tucker Wayne był odznaczonym żołnierzem, trenerem wojskowych psów pracujących w Rangers, elitarnej formacji Armii Stanów Zjednoczonych. Jego partner Kain też zdobył więcej medali niż większość wojowników.

Tucker wzruszył ramionami.

– Jestem tutaj, żeby przeprowadzić tajną ewakuację. To nasza specjalność. – Poklepał Kaina po boku, po czym znowu zwrócił się do Franka: – Wygląda na to, że ktoś usilnie próbował cię złapać. Kiedy mu się nie udało, wiadomość dotarła do twoich szefów w Smithsonian. Najwyraźniej trudno cię znaleźć.

– Większą część dnia spędziłem pod ziemią – wyjaśnił Frank. – Ale nie rozumiem, jak ty się w to wplątałeś.

– Znam grupę powiązaną ze Smithsonian. Sprawa jest poważna, więc skontaktowali się ze mną. – Sądząc po kwaśnej minie, Tucker nie był tym zachwycony. – Byłem akurat w Afryce, zajmowałem się pewną inwestycją z RPA. Szukałem kontaktu z partnerami biznesowymi na północy Namibii, kiedy nadeszło wezwanie i usłyszałem, kogo mam sprowadzić. W końcu jestem ci winny przysługę za udzielenie kiedyś pomocy Kainowi.

– Ale dlaczego ja? Do czego jestem potrzebny?

– W obozie humanitarnym prowadzonym przez ONZ doszło do wybuchu czegoś w rodzaju epidemii. Najwyraźniej sytuacja staje się rozpaczliwa. Prośbę o pomoc złożył pracujący tam pediatra, ktoś, kto cię zna. Niejaki Jameson.

Frank potrzebował chwili, żeby skojarzyć to nazwisko. Przypomniał sobie lekarza, którego przed miesiącem poznał w Kinszasie, stolicy Demokratycznej Republiki Konga.

– Cort? – spytał. – Cort Jameson?

Tucker skinął głową.

Frank zmarszczył czoło. Jameson namówił go, żeby wygłosił grupie Lekarzy bez Granic wykład na temat chorób odzwierzęcych. Wieczorem Frank pokazał mu swoje metody pobierania próbek.

– Nie krył paniki – dodał Tucker. – Poprosił, żebyś zabrał ze sobą swoje mobilne laboratorium. Nawiązał kontakt osiem godzin temu. Kiedy tu wylądowałem, dostałem wiadomość o drugim wezwaniu. Słowa były zniekształcone, przebijały przez nie wystrzały i krzyki.

Frank wzdrygnął się. Wyobraził sobie obóz napadnięty przez bandytów albo jedną z miejscowych grup milicji.

– Połączenie zostało nagle przerwane – ciągnął Tucker. – Dalsze próby nawiązania kontaktu nie powiodły się. Wysłano już kongijskie wojsko, ale ONZ prosi, żebyś posłuchał apelu Jamesona i pomógł ocenić sytuację w obozie.

– Oczywiście. Sądzę, że zdołam spakować moje laboratorium w ciągu godziny.

– To dobrze. Mam zatankowaną i gotową do lotu cessnę. Możemy zabrać cię do Kisangani, a potem polecisz śmigłowcem do obozu. Jeśli pogoda pozwoli, będziesz na miejscu przed północą.

Frank dał znak Tuckerowi, że ma ruszyć pierwszy, ale ten zatrzymał go, unosząc rękę.

– Co? – rzucił Frank, który zauważył twardy błysk w jego niebieskozielonych oczach.

– Ta druga wiadomość... Niewiele dało się zrozumieć, z wyjątkiem ostatnich słów twojego znajomego.

– Jak brzmiały?

Tucker spojrzał na niego z powagą.

– „Nie zbliżajcie się. Dobry Boże, nie zjawiajcie się tutaj”.

[4] CIRMF – Centre International de Recherches Médicales de Franceville (Międzynarodowe Centrum Badań Medycznych).

3

Prowincja Tshopo, Demokratyczna Republika Konga

23 kwietnia, godzina 22.44 czasu miejscowego

Charlotte wyjrzała przez plastikowe okno namiotu medycznego. Deszcz bębnił w ruinach obozu. W czarnych kałużach i rozlewiskach odbijał się blask paru większych ognisk.

Hordy mrówek wciąż przedzierały się przez błoto, pokrywając niemal wszystko, co napotykały na drodze. Kilka skrzydlatych samców wirowało w kroplach deszczu. Kopczyki po drugiej stronie ciemnego obozu oznaczały ciała ludzi zabitych przez mrówki i zastrzelonych.

Latarki podskakiwały w pobliżu stosu skrzyń z zaopatrzeniem, gdzie Cort Jameson i szwajcarski ratownik medyczny Byrne pracowali z trzema miejscowymi, którzy mieli na ramionach karabiny. Ładowali sprzęt na skrzynię pick-upa. Pięciu mężczyzn miało na sobie białe stroje ochronne z kapturami, gogle i maski. Tanie jednorazowe kombinezony zapewniały minimalną ochronę przed jakimikolwiek organizmami zakaźnymi, ale przynajmniej uniemożliwiały mrówkom znalezienie odsłoniętej skóry.

Cort, przygotowujący grupę do ewakuacji, wydał kilka ostatnich poleceń. W obozie zostało już niewiele osób. Namioty leżały przewrócone, wszędzie wały się skrzynie.

Przynajmniej ustały walki i chaos, pomyślał.

Przez cały dzień – wspierany przez uzbrojonych ludzi z ICCN[5], nazywanych tu ekostrażnikami, bo chronili miejscowe lasy deszczowe przed kłusownikami i samozwańczymi leśnikami – dwoił się i troił. Kiedy jednak do obozu napłynęło więcej mrówek i rozeszły się wieści o nieznannej chorobie, prysły nadzieje na objęcie tego obszaru kwarantanną. Rozpoczęły się grabieże i padły strzały, gdy ekostrażnicy chronili sprzęt medyczny i ciężarówki ICCN. Nie minęło wiele czasu, a większość uchodźców uciekła do dżungli.

Tymczasem rzeka Tshopo nadal wzbierała i stało się jasne, że zespół medyczny również będzie musiał się ewakuować. Dwie godziny temu Cort Jameson próbował powiadomić władze, że przenoszą się w inne miejsce, więc ściąganie pomocy tutaj mija się z celem. Niestety, mrówki wdarły się do obozowego radia i zniszczyły elektronikę. Cort nie miał pewności, czy ktokolwiek go usłyszał.

Charlotte spojrzała na niskie ciemne chmury, pod którymi przetoczył się cichy grzmot. Deszcz nie ustawał, a migające w dali błyskawice ostrzegały, że prawdziwe kły burzy dopiero ich dosięgną.

Musimy uciec przed uderzeniem nawałnicy, pomyślała Charlotte.

Odwróciła się od okna i powiodła wzrokiem po rzędach łóżek. Została tu tylko garstka pacjentów, zbyt słabych, by poruszać się o własnych siłach. Z ich twarzy biła gorączka, w oczach płonął strach. Doktor Mattie Poll, australijska ginekolożka, wyciągnęła igłę kroplówki i zakorkowała cewnik wątego starszego mężczyzny z koroną białych włosów. Patrząc na Charlotte, skinęła głową, dając w ten sposób znak, że wszystko jest gotowe do drogi.

Na skraju obozu stały dwie ciężarówki ICCN, przygotowane do przewiezienia pacjentów w wyżej położone miejsce. Jedyna droga biegnąca od rzeki była pełnym dziur i kolein traktem przez dżunglę.

Charlotte zatrzymała spojrzenie na młodej matce, która nuciła cicho trzymiesięcznemu niemowlęciu. Chłopczyk leżał bezwładnie w jej szczupłych ramionach, z głową odchyloną do tyłu i pustym wzrokiem wbitym w dach namiotu. Jego klatka piersiowa unosiła się i opadała... ale jak długo jeszcze? Kiedy w obozie panował największy chaos, matka próbowała odejść z maleństwem, ale Charlotte nakłoniła ją do pozostania, obiecując, że dołoży wszelkich starań, by ratować jej synka.

Co jednak mogę zrobić? – pomyślała teraz. Nadal nie mam pojęcia, co mu dolega.

Klapy namiotu rozchyliły się, przyciągając jej uwagę. Cort schylił głowę w wejściu i opuścił maskę. Dyszał ciężko, a jego oczy za goglami błyszczały z niepokoju i desperacji.

– Jesteśmy gotowi. Każę ludziom Byrnego i Ndayego zapakować wszystkich do ciężarówek.

Na zewnątrz silnik samochodu zakrztusił się i zaczął pomrukiwać.

– A co z Benjiem? – zapytała Charlotte, robiąc krok do przodu.

Cort rozejrzał się po namiocie i westchnął ciężko.

– Jeszcze nie wrócił?

Charlotte nie musiała odpowiadać. Doktorant wyszedł ponad godzinę temu, wkrótce po tym, jak amerykański pediatra próbował skontaktować się z lokalnymi władzami. Wcześniej większość dnia spędził na łapaniu i badaniu mrówek. Jego czoło stawało się coraz bardziej zmarszczone, w miarę jak koncentrował się na tej pracy.

Szczególnie zaintrygowany był wtedy, gdy w obozie zaroily się skrzydlate mrówki, tak duże, że Charlotte wzięła je za pszczoły. Benjie postanowił je zbadać i przed wyjściem zapewnił ją, że samce nie stanowią zagrożenia, ponieważ w przeciwieństwie do żołnie-rzy nie mają żuwaczek.

Ich brzęczenie budziło jednak grozę i zaogniało i tak już napiętą sytuację. Niedługo po jego zniknięciu w obozie wybuchła panika.

– Musimy na niego poczekać – odezwała się Charlotte. – Nie możemy wyjechać bez niego.

Cort pokręcił głową.

– Poczekamy, dopóki ostatnia osoba nie wsiądzie do ciężarówki. Ani chwili dłużej.

– Ale...

– Rzeka ciągle przybiera i nadciąga burza – powiedział, odwróciwszy się. – W tej sytuacji nie możemy tu zostać. Benjie może iść za nami pieszo... zakładając, że jeszcze żyje.

Charlotte zadrżała i znowu spojrzała w plastikowe okno namiotu. Potarła nadgarstek. Miejsca po ukąszeniach mrówek swędziały; miała nadzieję, że to dobry znak. Kontrolowała swoje funkcje życiowe, bo martwiła się, że to, co dotknęło trzymiesięczne niemowlę, mogło zarazić również ją. Jak dotąd wszystko wydawało się normalne. Starła się przypisać swoje wcześniejsze odrętwienie adrenalinie i napięciu.

Chodziło pewnie tylko o to, pocieszała się, wpatrując się w ciemną noc, skupiona na nowym zmartwieniu.

Gdzie jesteś, Benjie?

Godzina 22.55

Benjamin Frey polował w ciemnym lesie, uzbrojony w latarkę i ogromną determinację, żeby poznać prawdę. Wycierał krople deszczu z plastikowych gogli i obiektywu kamery GoPro na czole. Podążał wzdłuż gęstego szlaku mrówek, kierując się w górę ich strumienia.

To nie ma sensu, pomyślał. To zupełnie do nich niepodobne.

W kieszeniach jego kombinezonu pobrzękiwały małe próbówki. Przez cały dzień zbierał okazy mrówek i badał je w swoim namiocie pod mikroskopem preparacyjnym. Na ekranie iPada leżącego obok mikroskopu wyświetlał się tekst entomologiczny z jednej z setek załadowanych do niego publikacji: książek i czasopism biologicznych. Benjie porównywał anatomię schwytanych okazów, biorąc pod uwagę wielkość i rozstaw żuwaczek, kształt tułowia, stawy czułków. Na podstawie subtelnych różnic rozpoznawał gatunki i podgatunki należące do rodzaju *Dorylus*. Do tej pory zidentyfikował ich kilkanaście.

Ich nazwy krążyły mu w głowie jak nagranie na zepsutej płycie.

Dorylus moestus, *Dorylus mandicularis*, *Dorylus kohli indolcilis* i *militaris*, *Dorylus funereus pardus*, *Dorylus brevis*...

Chociaż wszystkie te podgatunki żyły w tutejszych równikowych dżunglach, nigdy nie tworzyły wspólnej kolonii. Były na to zbyt wojownicze. A jednak przez obóz przepływała rzeka złożona z osobników należących do różnych podgatunków. To zbijało Benjiego z tropu. Intrygowała go nie tajemnica, lecz nieprawidłowość tej sytuacji.

Nie cierpiał i nie tolerował tego, że coś jest nie na swoim miejscu.

W wieku jedenastu lat zdiagnozowano u niego łagodny zespół Aspergera – dziś nazywany zaburzeniem ze spektrum autyzmu poziomu 1. Urodził się o miesiąc za wcześnie. Jak często mówiła jego matka, był zbyt niecierpliwy, by czekać na właściwy moment. Może miało to coś wspólnego z jego stanem, ale rzadko się nad tym zastanawiał.

W latach szkolnych miał zajęcia z behawiorystą, który uczył go, jak wykorzystywać hiperkoncentrację i niemal ejdetyczną pamięć do analizowania mimiki twarzy i wskazówek społecznych. Z czasem Benjie radził sobie z tym coraz lepiej, ale jego najbardziej uporczywym problemem była obsesja na punkcie porządku i rozwiązywania problemów.

W liceum układał kostkę Rubika w mniej niż siedem sekund. Naprawianie tego, co niewłaściwe, i zaprowadzanie porządku w chaosie niosło mu ukojenie. Ale jednocześnie podsycalo jego kompulsywność, którą nieustannie starał się okiełznać.

Pomagało mu to odnosić sukcesy w nauce – co nie znaczy, że w szkole miał lekko. Szkolne łobuzy dokuczały mu z powodu jego problemów w interakcjach społecznych i uporczywego tiku szybkiego mrugania. Ale poza tym nie mógł narzekać na brak miłości. Wychowała go samotna matka w mieszkaniu komunalnym w Hackenthorpe w South Yorkshire. Świata poza nim nie widziała, dodawała mu odwagi i robiła wszystko, co w jej mocy, by utwierdzić go w przekonaniu, że jest wartościowym dzieckiem. Wsparcie matki bardziej niż cokolwiek innego zapewniło mu miejsce na Uniwersytecie Sheffield, publicznej uczelni odległej o zaledwie szesnaście minut jazdy autobusem od jego domu.

Teraz był znacznie dalej, dalej od domu niż kiedykolwiek. Musiał wyjechać do Afryki, by dokończyć pracę doktorską z biologii ewolucyjnej. Promotor w Sheffield skontaktował go z kolegą z Uniwersytetu Kisangani, a ten ulokował go w zespole medycznym w obozie pomocy humanitarnej, położonym na terenie zagrożonym powodzią. Tematem pracy Benjiego były mutacje wywołane stresem i ich wpływ na dziedziczenie.

Miał nadzieję, że odkryje coś doniosłego, badając tę rzekę mrówek. Mając to na uwadze, skradał się ich śladem. Rojenie się skrzydlatych samców wskazywało na to, że ich partnerka może być gdzieś w pobliżu. Przeszukując obrzeża obozu, znalazł szlak czerwono-czarnych mrówek z białymi plamkami. Były to wyspecjalizowane robotnice – przenosicielki potomstwa. Uciekając przed powodzią, ciągnęły larwy i poczwarki.

Podążając w górę żywego strumienia, Benjie zebrał już kilka okazów larw i poczwarek. Po powrocie do Kisangani zbada DNA mrówek,

zwłaszcza modyfikacje epigenetyczne, które mogły wywołać to nowe zachowanie: współpracę między podgatunkami. Ale nadal polował na swój najcenniejszy łup: okaz niezbędny do każdego badania nad dziedziczeniem u mrówek cech wywołanych stresem.

W końcu dostrzegł to, czego szukał.

Za przenosicielkami potomstwa podążała większa mrówka, długości około pięciu centymetrów. Była to królowa kolonii. Towarzyszył jej orszak robotnic, eskortujących ją od zalanego gniazda.

Benjie ukląkł obok rzeki mrówek i wyjął długą pęsetę z kieszeni na piersi kombinezonu. Użył jej do porwania królowej. Strząsnął kilka robotnic, które do niej przywarły, po czym wrzucił królową do próbówki i szybko włożył korek, by uniemożliwić jej ucieczkę oraz odciąć wydzielane przez nią feromony. Wszystkie mrówki koczujące są ślepe i kierują się wibracjami i zapachami. Nie chciał ryzykować, że armia królowej ruszy za nią w daremny pościg. Reszta kolonii, jeśli nic jej nie przeszkodzi, będzie podążać wcześniej zaprogramowaną trasą i albo wymrze bez królowej składającej jaja, albo pojawi się nowa pretendentka i obejmie tron.

Ze zdobyczą w dłoni odwrócił się i pomaszerował w stronę obozu. Oceniał, że ma do przejścia kilkaset metrów. Spojrzał na pobliską rzekę mrówek, szukając jakichkolwiek oznak zagrożenia, i wtedy usłyszał za plecami ciche chrząknięcie. A potem kasłanie na prawo od niego.

Szedł jednak dalej przez ciemną dżunglę. Po chwili obrócił głowę i poświecił za siebie latarką. Nie dostrzegł niczego podejrzanego, mimo to przyspieszył. Wyteżał słuch w poszukiwaniu wskazówki, że coś jest na jego tropie.

Niczego nie usłyszał, ale nie dał się zwieść.

Godzina 23.10

– Nie możemy dłużej czekać – powiedział Cort Jameson.

Głośny trzask pioruna był wykrzyknikiem na końcu jego wypowiedzi. Błyskawica zamigotała za plastikowym oknem namiotu. Lada chwila rozpęta się burza.

Charlotte przygryzła dolną wargę, szukając jakiegoś pretekstu, żeby opóźnić wyjazd do czasu powrotu Benjiego. Wyniesiono albo wyprowadzono z namiotu prawie wszystkich pacjentów. Jedna ciężarówka ICCN już odjechała z doktor Poll i pierwszym ładunkiem. Druga czekała na ostatnich pacjentów.

W namiocie został tylko jeden.

Charlotte spojrzała na matkę z plemienia Luba i jej syna. Kobieta nie chciała odejść bez niej; najwyraźniej zamierzała dopilnować, by lekarka dotrzymała słowa i pomogła jej dziecku.

Cort gestem wskazał Byrnemu jej łóżko.

– Zabierz tych dwoje do ciężarówki.

Wysoki szwajcarski ratownik medyczny w przemoczonym i zabrudzonym kombinezonie natychmiast ruszył w stronę łóżka. Matka opiekuńczym gestem osłoniła niemowlę.

Charlotte stanęła mu na drodze.

– Ja im pomogę. Zabierz wszystko, czego możemy potrzebować.

Gdy Byrne spojrzał na amerykańskiego pediatrę pytającym wzrokiem, Charlotte poczuła się tym urażona.

Cort z irytacją rozłożył ręce.

– Rób, co sobie życzy – zwrócił się do Szwajcara. – Ale wychodzimy za pięć minut.

Charlotte podeszła do matki.

– Disanka, *hebu tuende*. Zabierzemy twoje *kitwana* w bezpieczne miejsce.

Kobieta z plemienia Luba, tuląc syna, zsunęła nogi na ziemię. Już wstawała, ale usiadła z powrotem, bo przy klapie namiotu zrobiło się zamieszanie.

Charlotte odwróciła się, gdy do namiotu wpadł Ndaye, szef grupy ICCN. Szczupły, muskularny mężczyzna po trzydziestce był w zielonym mundurze maskującym, czapce w tym samym kolorze i czarnych butach. Na ramieniu miał przewieszony karabin.

Spojrzała na niego z nadzieją. Jedyne ustępstwem, jakie udało jej się wymusić na Corcie Jamesonie, było pozwolenie na to, by Ndaye i jeden z jego ludzi udali się do dżungli na poszukiwanie Benjiego. Za Ndayem wszedł do namiotu drugi mężczyzna. I nie był to młody doktorant. Chudy nieznajomy, od którego biła aura autorytetu, wyprostował się z godnością. Trudno było określić jego wiek, ale siwe warkocze spływające spod opaski naszytej jaskrawymi koralikami wskazywały, że ma co najmniej siedemdziesiąt, może nawet osiemdziesiąt lat. Był w luźnych spodniach i rozpiętej do połowy koszuli. Na jego piersi wisiał pasujący do opaski gruby naszyjnik.

– To Woko Bosh – przedstawił go Ndaye. – Starszy szaman Kuba, ludu mieszkającego na zachód stąd.

Charlotte zwróciła uwagę na błysk przenikliwej inteligencji w oczach starszego mężczyzny. Jego strój i zachowanie daleko odbiegały od jej wyobrażeń o szamanach, przez wielu wciąż nazywanych czarownikami. Spokojne spojrzenie Woko Bosha omiotło namiot i zatrzymało się na Disance i jej dziecku. Odwrócił się i zawołał coś ostro przez klapę namiotu.

– Znalazłem szamana i jego ucznia jadących ciężarówką w kierunku naszego obozu – wyjaśnił Ndaye. – Wyruszył w drogę dwa dni temu,

zaalarmowany pogłoskami o wielkiej chorobie, która rozprzestrzeniła się po dżungli i dotyka zarówno ludzi, jak i przyrodę.

– Więc to samo musi się dziać także w innych miejscach – stwierdził Cort.

– Najwyraźniej – potwierdził Ndaye. W jego oczach widać było niepokój. Dorastał tutaj, ale przez pewien czas kształcił się w Anglii i zrobił tam dyplom z antropologii. Wrócił do kraju z lekkim brytyjskim akcentem.

– Pomimo różnych plemion i ścierających się tu ugrupowań dżungla ma skuteczne środki komunikacji. Zawsze tak było. Wiadomości przekazywane z ust do ust szybko się rozchodzą.

Charlotte podeszła do niego i spytała:

– Ale dlaczego szaman zmierzał do naszego obozu?

– Powiedział, że chce potwierdzić obecność pradawnego wroga. Tego, z którym jego lud walczył w dalekiej przeszłości. Twierdzi, że...

Trzask pioruna przerwał mu w pół zdania. Wiatr potrząsnął płótnem namiotu.

– Wystarczy – rzucił Cort Jameson, gdy podmuchy się uspokoiły. – Nie mamy czasu na takie bzdury.

Charlotte uniosła rękę; chciała słuchać dalej. Niekoniecznie wierzyła w to, co usłyszała, ale próbowała zapewnić Benjiemu więcej czasu na powrót do obozu.

– Powinniśmy go wysłuchać – zaproponowała. – Rdzenni mieszkańcy Konga żyją w tej dżungli od tysiącleci. Jeśli mają jakąkolwiek wiedzę na temat tego, co się tutaj dzieje, nie powinniśmy tego lekceważyć.

Ndaye zgodził się z nią.

– Plemiona mają ponadczasową tradycję ustną, sięgającą czasów rozmytych między historią a mitologią – powiedział.

Pokiwała głową. Zanim przyjechała do Demokratycznej Republiki Konga, czytała o historii tych ziem. Pierwsi mieszkańcy – plemiona Pigmejów – przybyli tu w okresie górnego paleolitu, około czterdziestu tysięcy lat temu.

Do namiotu wpadł jakiś mały człowiek, ale nie był to Pigmej. Dwunasto-, może trzynastoletni chłopiec miał przemoczone szorty i koszulkę, ubłocone buty i niebieski plecak JanSport; w rękach trzymał zawinięty w brezent pakunek. Odezwał się w nieznanym Charlotte dialekcie.

– To jest Faraji – przedstawił go Ndaye. – Siostrzeniec i uczeń Woko Bosha.

Szaman wziął od chłopca paczkę, ukląkł i ją rozwinął. Wewnątrz leżała misternie wyrzeźbiona drewniana maska, bogato zdobiona muszlami, kością słoniową i malowanymi nasionami, a także filigranowymi żelaznymi drucikami i kilkoma jaśniejszymi, z pewnością ze złota, tworzącymi brwi i rzęsy. Było to oszałamiające arcydzieło plemiennego rzemiosła, chociaż motyw wydawał się nietypowy. Twarz była stylizowana, podobnie jak większość afrykańskich wizerunków, ale bez ceremonialnego nakrycia głowy czy korony. Wieńczył ją kopulasty hełm wyłożony białymi muszlami, który wyglądał bardziej na kolonialne, a nie plemienne nakrycie głowy.

Zanim Charlotte zdążyła to skomentować, Woko podniósł maskę. Okazało się, że jest to wieczko skrzynki.

Ndaye westchnął cicho.

– To *ngedi mu ntey*...

Spojrzała na niego pytająco.

– Święta skrzynka plemienia Kuba – wyjaśnił. – Kuba słyną z wyrobu takich przedmiotów; wiele z nich zdobi muzea na całym świecie. Skrzynki

takie jak ta służą do przechowywania *tukuli*, rytualnych maści i proszków, a także ceremonialnych narzędzi używanych do leczenia, pochówków i wszystkiego, co ma duże znaczenie.

Szaman sięgnął do środka, wyjął rzeźbionego bożka i przekazał go siostrzeńcowi. Faraji trzymał przedmiot jak śmiercionośną żmiję, ledwie dotykając go palcami. Była to drewniana figurka wyprostowanego wysokiego mężczyzny. Hebanowa twarz miała ciemny połysk, a pomalowany na biało stylizowany strój był miejscami pożółkły ze starości. Ubranie przypominało garnitur, a nakrycie głowy hełm korkowy.

Prawdopodobnie maska na wieku skrzynki przedstawia twarz tego człowieka, pomyślała Charlotte.

– To figurka *ndop* – powiedział Ndaye. – Takie rzeźby są zarezerwowane dla królów plemienia.

– A kogo przedstawia ta? – zapytała Charlotte.

Faraji usłyszał ją i odpowiedział niemal płynnie po angielsku:

– To pasterz.

Uniosła brwi. Dlaczego Kuba wyrzeźbili postać pasterza? Stała na palcach, by zajrzeć do skrzynki. Figurka wyglądała na relikw z innego stulecia, zapewne z czasów kolonialnych. Drewno wydawało się niezwykle; może był to heban ze srebrzystymi żyłkami. Zrobiono z niego też oczy.

Poza figurką skrzynka zawierała plik papierów, sztywnych i pożółkłych ze starości. Charlotte zauważyła kilka nabazgranych linijek na leżącej z wierzchu kartce.

Gdy Woko szperał w jednym końcu skrzynki, plik papierów przesunął się, odsłaniając róg starej czarno-białej fotografii. Charlotte uznała, że te wszystkie kartki są zdjęciami, ale pod nimi leżało coś innego: złożona kolorowa mapa.

Zanim zdążyła dostrzec coś więcej, Woko wstał i zasłonił jej widok. Odwrócił się, unosząc zamkniętą gumowym korkiem szklaną buteleczkę wypełnioną ziarnistym żółtym proszkiem.

Charlotte przypomniała sobie, co Ndaye przed chwilą mówił o *ngedi mu ntey*: „Skrzynki takie jak ta służą do przechowywania *tukuli*, rytualnych maści i proszków...”.

Silnymi, zręcznymi palcami Woko wykręcił gumowy korek. Przepchnął się między osobami znajdującymi się w namiocie i ruszył do Disanki, która trzymała niemowlę. Zbliżając się do łóżka, wytrząsnął na dłoń nieco proszku. Przemówił cicho, ale stanowczo do kobiety. Ta z początku wyglądała na przestraszoną, ale już po chwili zaczęła kiwać głową.

Nawet jeśli ten szaman nie jest w stanie nikogo wyleczyć, to ma lepsze podejście do pacjenta niż Cort Jameson.

– Co on sobie wyobraża? – obruszył się amerykański pediatra, gotów interweniować.

Charlotte położyła dłoń na jego ramieniu.

– Daj mu spokój. – Czowała, że nie ma tu miejsca na zachodnią medycynę.

Disanka wsunęła rękę pod głowę synka i uniosła ją wyżej. Wyraz twarzy dziecka nie zmienił się, nawet nie drgnęła mu powieka. Woko pochylił się i dmuchnął proszkiem w jego usta i nos. Charlotte miała nadzieję na kichnięcie, na jakąkolwiek reakcję, lecz nic się nie stało. Matka wpatrywała się w niemowlę, wyraźnie modląc się o to samo, ale po chwili pogrążyła się w rozpacz.

Cort skrzywił się.

– Tracimy czas – rzucił. – Niech szaman pójdzie z nami, jeśli chce. Ruszamy.

Woko zignorował go i ominął. Charlotte przypuszczała, że chce zabrać skrzynkę, ale szepnął coś do siostrzeńca i ruszył do wyjścia. Faraji

zapakował do niej figurkę i ostrożnie nałożył wieko na skrzynkę. Gdy owinął ją plandeką i schował do plecaka, Woko pochylił się i wyszedł z namiotu.

Przez obóz wędrowały mrówki, szukając schronienia przed deszczem. Woko wziął w palce szczyptę proszku i sypnął nim na jeden z czarnych ruchliwych szlaków. Efekt był natychmiastowy. Owady rozpierzchły się szaleńczo we wszystkie strony. Niektóre były martwe.

Szaman przez chwilę przyglądał się swojemu dziełu, po czym skinął głową, jakby usatysfakcjonowany. Mimo to, gdy się wyprostował i odwrócił, jego twarz była ściągnięta ze zmartwienia.

Cort Jameson westchnął głośno; miał wyraźnie dość tego wszystkiego.

– Wielkie mi rzeczy – burknął. – To jakiś środek owadobójczy albo odstraszający mrówki.

Odpowiedź nadeszła zza ich pleców.

Od strony łóżka dobiegł krzyk. Wszyscy się odwrócili. Disanka mocno przytulała synka. Niemowlę leżało oszołomione i słabe w jej ramionach, ale miało zaciśnięte powieki i szeroko otwarte usta, z których płynęło głośne zawodzenie.

Charlotte gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Proszek... budzi go – powiedziała. – Może to jednak jest lekarstwo.

Cort prychnął pogardliwie.

– Nie możemy tego wiedzieć. Może ten proszek podrażnił mu nos, co wywołało reakcję. Tak czy inaczej, musimy...

Ich uwagę przyciągnęło głośne plaskanie błota pod butami. Ktoś się pośliznął, mijając wejście do namiotu, zawrócił i znalazł się w kałuży światła. Z oddali dobiegł odgłos wystrzału, gdy Benjie wpadł do środka.

Miał podarty kombinezon, minikamera GoPro wisiała krzywo przy jego uchu. Twarz poszarzała mu ze strachu. Wykrzyknął jedno słowo:

– Uciekajcie!

[5] ICCN – Institut Congolais pour la Conservation de la Nature (Kongijski Instytut Ochrony Przyrody).

4

Nad północnym Atlantykiem

23 kwietnia, godzina 21.15 czasu miejscowego

Z wysokości dziewięciu tysięcy metrów komandor Gray Pierce patrzył, jak rośnie przed nim mroczne wybrzeże Afryki, oświetlone blaskiem nadmorskiego miasteczka. Prywatny odrzutowiec – Cessna Citation X+ – mknął nad czarnymi wodami Atlantyku w kierunku tych świateł, ale nie mieli zamiaru tam lądować.

Godzinę temu zatankowali paliwo na Wyspach Zielonego Przylądka, w połowie drogi do Demokratycznej Republiki Konga. Mieli przed sobą jeszcze pięć godzin lotu do Kisangani, miasta leżącego niemal pośrodku kontynentu.

Dosłownie w sercu Afryki, pomyślał Gray siedzący w skórzanym fotelu.

Usłyszał sygnał z tabletu leżącego przed nim na stoliku z drewna tekowego. Westchnął, czekając na szyfrowane połączenie satelitarne z dowództwem Sigma Force w Waszyngtonie. Wyprostował się i podniósł tablet. Na ekranie otworzyło się okno i zaczął się w nim pojawiać obraz. Po chwili ukazała się znajoma twarz dyrektora Paintera Crowe'a. Szef Graya siedział za biurkiem; tym razem nie nosił nieodłącznej granatowej marynarki. Miał poluzowany krawat i rozpięty guzik koszuli pod szyją. Ze zirytowanym wyrazem twarzy przeczesał palcami czarne włosy i założył biały kosmyk za ucho, jakby zatykał orle pióro. Gładkie i ciemne

płaszczyny twarzy Paintera zdradzały, że w jego żyłach płynie indiańska krew, ale srebrzyście niebieskie oczy świadczyły o domieszce innej rasy.

– Szefie, jesteśmy prawie nad wybrzeżem – zameldował Gray. – Powiedziałaś, że będziesz nas informować o wszelkich zmianach w sytuacji na dole.

– Zgadza się. Mam nowe informacje. Niepokojące. Czekam, aż Kat do nas dołączy. Tymczasem powiedz mi, jak radzi sobie nasz zespół medyczny.

– Ostro zakuwają, przygotowując się na każdą ewentualność, zanim wylądujemy.

Gray zerknął na dwa fotele z przodu kabiny. Jego przyjaciel i kolega z Sigmy, Monk Kokkalis, siedział nachylony nad stolikiem i rozmawiał z doktor Lisą Cummings, żoną Paintera Crowe’a, która miała wykształcenie medyczne i jedną z jej specjalności była epidemiologia. Jeśli w mrocznym sercu Afryki naprawdę doszło do wybuchu zarazy, jej wiedza o chorobach i sposobach ich przenoszenia może okazać się niezbędna.

Monk, zanim zaczął pracować w Sigmie, był żołnierzem sił specjalnych. Chociaż minęło wiele lat, odkąd rozstał się z Zielonymi Beretami, zachował muskularną sylwetkę i golił się na łyso. Miał na sobie dzinsy, buty z cholewami i obcisły T-shirt z rysunkiem warczącego buldoga, który był do niego łudzaco podobny. Pod tą twardą powierzchnością krył się jednak bystry umysł mistrza szachowego. Po dołączeniu do Sigmy Monk uzupełnił wykształcenie i uzyskał stopień magistra biomedycyny. Lubił grać w tenisa i często pokonywał Graya na korcie, mimo że był od niego o głowę niższy.

Painter spojrzął w bok.

– Wygląda na to, że Kat jest gotowa – powiedział. Na ekranie otworzyło się kolejne okno i ukazała się w nim piegowata, okolona

ciemnokasztanowymi włosami twarz Kathryn Bryant, analityczki wywiadu Sigmy. – Może lepiej zawołaj Monka i Lisę, niech posłuchają, co ma do powiedzenia.

– Już się robi – rzucił Gray i skinął ręką.

Nie musiał tego robić, bo siedząca przed nim dwójka usłyszała słowa szefa. Zajęli miejsca naprzeciw Graya, a on przekreślił tablet tak, żeby widzieli ekran.

Monk pomachał dłonią do Kat. Byli małżeństwem i mieli dwie dorastające córki.

– Jak się mają Harriet i Penny? – spytał.

– Już tęsknię za tatusiem. Chyba mnie winię za to, że znowu wyjechałeś.

– Obowiązki wzywają – powiedział z przepraszającym uśmiechem.

– Bardziej Smithsonian – sprostowała.

Po ostatnim kontakcie z obozem humanitarnym ONZ-etu w sieci Smithsonian Institution rozeszła się wiadomość o możliwym wybuchu epidemii. Znaczna część świata wciąż dochodziła do siebie po pandemii, więc naukowcy stali się bardzo czujni. Nikt nie zamierzał bagatelizować sygnałów, które mogły zapowiadać kolejną.

Dyrektor Programu Zdrowia Globalnego – certyfikowany lekarz weterynarii – podniósł alarm jako pierwszy. Zadaniem tego programu było zajmowanie się kryzysami zdrowotnymi dotyczącymi ludzi, dzięki przyrodzie i ogólnie środowiska. Jego hasłem było *Jedno zdrowie*, bo ludzie i zwierzęta są nierozzerwalnie związani z dobrostanem całego środowiska. Siedemdziesiąt pięć procent wszystkich chorób, które pojawiły się w XX wieku i na początku XXI, to były tak zwane zoonozy – choroby wywołane przez wirusy odzwierzęce, jak Ebola, HIV, SARS, SARS-CoV-2. Uznano zatem, że ciągle monitorowanie populacji dzikich zwierząt

i przygotowywanie się na kolejne zagrożenie jest jak najbardziej sensowne. Na przykład na coś takiego, co teraz dzieje się w Demokratycznej Republice Konga.

Chociaż może to tylko fałszywy alarm. Sigma Force zaangażowała się w to za sprawą bliskich powiązań ze Smithsonian Institution. Siedziba agencji mieściła się pod Smithsonian Castle na National Mall. Lokalizacja wybrana ze względu na bliskość laboratoriów badawczych instytucji i waszyngtońskich gmachów rządowych dobrze służyła Sigmie.

Sigma Force funkcjonuje pod auspicjami DARPA, agencji badawczo-rozwojowej Departamentu Obrony. Pracownicy Sigmy, przeważnie byli żołnierze sił specjalnych, zwerbowani i przeszkoleni w różnych dyscyplinach naukowych, działają jako agenci terenowi chroniący Stany Zjednoczone i świat przed wszelkiego rodzaju zagrożeniami. Nazwa organizacji pochodzi od greckiej litery Σ i w tym wypadku oznacza sumę tego, co najlepsze: połączenie umysłu i mięśni, żołnierza i naukowca. Ich dewiza jest prosta: *Bądźmy pierwsi*.

Zgodnie z nią dyrektor Painter Crowe zebrał członków Sigmy, gdy do Smithsonian dotarły wieści o potencjalnym niebezpieczeństwie. Zwerbował też człowieka, który pomagał im w przeszłości – byłego komandosa z formacji Rangers – i który już przebywał w Afryce. Kapitan Tucker Wayne zgodził się namierzyć weterynarza z Programu Zdrowia Globalnego i przerzucić go do Konga, zanim dotrą tam ludzie z Sigmy. Niezależnie od tego, czy zagrożenie okaże się realne, czy nie, Sigma zamierzała być pierwsza, gotowa poznać prawdę.

– Jakież wiadomości od kapitana Wayne’a? – zapytała Lisa, pochylając się do ekranu. Miała blond włosy związane w kucyk. Patrzyła znad okularów do czytania. – Udało mu się znaleźć doktora Whitakera?

Painter skinął głową.

– Są już w drodze do Kisangani. Powinni tam wylądować w ciągu godziny, a potem polecą śmigłowcem do obozu.

– Chwileczkę – odezwał się Monk. – Myślałem, że najpierw mamy wszyscy spotkać się na Uniwersytecie Kisangani i założyć tam bazę operacyjną.

– Zostało wam jeszcze pięć godzin lotu, a przez ten obszar przetacza się seria burz – wyjaśnił Painter. – Błyskawice uziemią śmigłowiec, więc żeby uniknąć opóźnień, Tucker zgodził się przemknąć przed czołem burzy. Zwłaszcza po ostatnich wieściach z obozu.

– Co to za wieści? – zapytał Gray.

– Dwie godziny temu odebraliśmy kolejne zniekształcone połączenie radiowe. Od tego samego lekarza, który tam pracuje. W tle słychać było strzały. Ostrzegał nas przed wkraczaniem do obozu.

– W takim razie może Tucker powinien na nas poczekać – zauważył Gray. – Kto wie, w jaki bałagan on i ten weterynarz mogą się tam wpakować.

– Wziąłem to pod uwagę. Polecą przed nimi FARDC, kongijskie wojsko. Wszyscy ścigają się z burzą. Tucker wkroczy dopiero po otrzymaniu zielonego światła od armii. Właśnie w tej chwili grupa żołnierzy powinna startować z Kisangani.

– Są już w powietrzu – sprostowała Kat. – Dwa śmigłowce.

– Może jednak Tucker powinien na nas poczekać – powiedział Gray. – Może niepotrzebnie narazić na szwank siebie i tego Whitakera.

Painter milczał przez chwilę.

– Powiedz im, Kat – odezwał się w końcu.

Kat poruszyła się na fotelu, czytając z ekranu. Przebywała w centrum łączności Sigmy.

– Monitorowałam rozmowy i informacje wywiadowcze z całej Afryki. Obóz WHO w Ugandzie, w pobliżu granicy z Demokratyczną Republiką Konga, zgłaszał dziwne przypadki zagadkowej wyniszczającej apatii. W ciągu ostatnich dwóch tygodni z dżungli napłynęło wielu chorych. WHO nie spieszy się z wydawaniem komunikatu, ponieważ nie doszło do zgonów. Bardziej na południe, w szpitalu w Burundi, mają kilka podobnych przypadków. Ludzie nagle stają się powolni i przestają mówić. Być może jest więcej przypadków w Sudanie Południowym, ale trudno to zweryfikować.

– Więc w grę wchodzi nie tylko ten ONZ-owski obóz – powiedziała Lisa. – Coś musi się rozprzestrzeniać. Ale w jaki sposób?

Kat poruszyła ręką i na ekranie otworzyło się drugie okno, z mapą obejmującą pas środkowej Afryki z nałożonymi strzałkami i ostrymi łukami.

– To mapa pogody – wyjaśniła. Nacisnęła coś i strzałki i łuki zaczęły powoli przesuwać się na północny wschód. – Pokazuje kierunek i siłę wiosennego monsunu, który spowodował niedawne powodzie. Wilgotny wiatr znad Atlantyku wieje na północny wschód i ściera się z gorącym suchym wiatrem znad Sahary, wiejącym na południe.

Lisa wyprostowała się.

– Kat, chyba nie myślisz...

– Wszystkie zgłoszone przypadki znajdowały się na drodze tych wiatrów – oznajmiła ponuro Kat. – Uganda, Burundi, nawet Sudan Południowy. Może to przypadek. Ale szukałam pasujących raportów z Angoli i Zambii na południu. – Pokręciła głową. – Jak dotąd nic. Tam panują cisza i spokój.

Gray przeniósł wzrok z Lisy na Kat.

– Sugerujesz, że to, co się rozprzestrzenia, przenosi się w powietrzu i jest rozsiewane przez wiatry monsunowe?

– W tym momencie to tylko przypuszczenia – zaznaczyła Kat.

Lisa zdjęła okulary.

– Roznoszenie infekcji wirusowej w ten sposób jest teoretycznie możliwe – przyznała. – Udokumentowano, że każdego dnia z nieba spadają miliony wirusów, zmiotanych na ziemię z górnych warstw atmosfery.

Monk zmarszczył czoło.

– Możliwe, chociaż wątpię, by ich liczba wystarczała do zarażenia. Jasne, wirusy mogą przenosić się drogą powietrzną z jednej osoby na drugą, ale potrzebują gospodarza. Poza nim niewiele długo żyje, zwłaszcza gdy są wystawione na działanie światła słonecznego i promieniowania UV.

– To nie do końca prawda – sprzeciwiła się Lisa. – Podczas gdy wirusy grypy żyją tylko jeden dzień na otwartych przestrzeniach, wirusy przeziębienia mogą infekować nawet przez tydzień. Są też inne, znacznie odporniejsze. Ale, jak powiedziała Kat, na razie to tylko przypuszczenia.

– Dlatego potrzebujemy więcej informacji i danych – wtrącił Painter.

– I to jak najszybciej – dodał Gray. – Coś mi mówi, że nieprędko opuszczę Afrykę.

Dyrektor Sigmy podzielał jego zdanie.

– Chciałbym, żebyś przełożył urlop – powiedział.

Gray właściwie korzystał z darmowej podwózki odrzutowcem. Ponieważ sytuacja w Afryce była niepewna, miał służyć wsparciem zespołowi medycznemu Sigmy w tym regionie, pomóc im się urządzić, a potem ruszyć dalej. Jego praca badawcza w Sigmie – po tym, jak wyrokiem sądu wojskowego musiał się rozstać z Rangers – koncentrowała się na fizyce i biologii. Daleko mu więc było do eksperta medycznego.

Planował, że wyjedzie z Afryki i dołączy do swojej dziewczyny Seichan i ich synka w Hongkongu. Dwa tygodnie temu Seichan zabrała Jacka i pojechała do matki; zamierzała zostać tam miesiąc. Gray chciał spędzić z nimi drugą połowę tego miesiąca.

Marzenie ściętej głowy, pomyślał teraz.

Nie był pewien, co sądzić o tej zmianie. Pragnął zobaczyć Seichan i Jacka, ale lubił akcję, a ostatnio w Sigmie panował zastój. W czasie pandemii terroryzm na skalę globalną osłabł. Regionalne potyczki trwały wprawdzie nadal, lecz lockdown ograniczał ich zasięg.

Chociaż Gray uwielbiał być ojcem i budować życie rodzinne z Seichan, w głębi duszy pozostał wojownikiem. Jego uszy zawsze były wyczulone na dźwięk przelatujących blisko pocisków. W jego żyłach płynęła mieszanka krwi i oleju do broni. Tęsknił za gryzącą wonią spalonego prochu, za tymi chwilami, kiedy czas zwalnia, a adrenalina skacze. Spojrzał na Monka i zauważył jego zaciśniętą pięść.

On też to czuje, pomyślał.

Dostrzegł pionową zmarszczkę między brwiami przyjaciela. Podobnie jak on, Monk był ojcem. Czy któryś z nich ma prawo narażać się na niebezpieczeństwo, podczas gdy w domu czekają dzieci? Wszyscy żołnierze zmagają się z tym dylematem, konfliktem sprzecznych pragnień.

Gray miał jeszcze jeden powód do zmartwienia. Wyobraził sobie Seichan, jej krągłości, jej krzywy uśmiech, jej wprawę w posługiwaniu się ostrzem i bronią palną. Była tak samo wojowniczką jak on wojownikiem.

Jeśli w Afryce zrobi się gorąco, nie będzie szczęśliwa, że ją to omija, przemknęło mu przez głowę.

Inny pasażer samolotu również nie był zachwycony tym, co usłyszeli. Z kanapy po prawej stronie kabiny dobiegł jęk. Trzasnęły stawy, gdy ostatni członek zespołu obudził się i przeciągnął. Gray obejrzał się. Joe Kowalski

dźwignął niemal dwumetrowe ciało do pozycji siedzącej. Przesunął wielką dłonią po ciemnej szczecinie porastającej czaszkę. Zmarszczył czoło i powiódł ponurym wzrokiem po towarzyszach.

– O co chodzi z tym przekładaniem urlopu? – zapytał z nutą skargi w zachrypniętym głosie.

Podobnie jak Gray, Kowalski nie miał żadnej roli do odegrania w tej misji. Były marynarz był ekspertem Sigmy od materiałów wybuchowych, a obecnie miał zwolnienie lekarskie. Cztery miesiące temu zdiagnozowano u niego raka. Szpiczak mnogi, trzecie stadium. Rak komórek plazmatycznych. Rokowania nie były pomyślne, chociaż objawy, poza lekką niedokrwistością, były w tym momencie łagodne. Leczono go deksametazonem i inhibitorami proteaz. Gray słyszał, że onkolog zaleca mu przeszczep komórek macierzystych. Szpik kostny zostałby usunięty chemioterapią, a następnie zastąpiony zdrowymi komórkami macierzystymi.

Zawsze uparty Kowalski odrzucił tak radykalne rozwiązanie – przynajmniej na razie.

I leciał do Konga, kraju leżącego na północ od Demokratycznej Republiki Konga. Wybierał się do Parku Narodowego Wirunga, by odwiedzić narzeczoną, Marię, która sprawdzała, jak się ma ich przybrany syn Baako, młody goryl wypuszczony na wolność w tamtejszym rezerwacie. Painter ostrzegał Kowalskiego przed podróżą do Afryki, zwłaszcza że szpiczak osłabia układ odpornościowy, choć nigdy by nie użył słowa „słaby” w odniesieniu do tego muskularnego wielkoluda. Kowalski nalegał, by go zabrali, zwłaszcza że po dżungli rozchodziły się wieści o nieznanym zagrożeniu, które mogło narazić na niebezpieczeństwo jego narzeczoną i ich kudłatego syna. Zamierzał tam być, żeby chronić ich oboje.

Painter w końcu dał się przekonać. Bo jak mógłby nie ustąpić?

Kowalski nie należał do osób, które marnieją na łożu boleści. Będzie walczyć tak długo, jak tylko da radę. Poza tym nikt nie miał wątpliwości co do tego, w jaki sposób dorobił się raka. Podczas poprzedniej misji otrzymał ogromną dawkę promieniowania.

Wszyscy w Sigmie czuli się w obowiązku iść mu na rękę.

Na pytanie Kowalskiego odpowiedział Monk.

– Wygląda na to, że ta wyprawa do dżungli wcale nie będzie daremna. Coś zdecydowanie się tam rozprzestrzenia.

– Jasne. – Kowalski spojrzął wilkiem i rozłożył się wygodnie na kanapie. – Obudź mnie, kiedy tam dotrzemy.

Gray obrócił się w stronę ekranu.

– Jest coś jeszcze, o czym powinniśmy wiedzieć? – zwrócił się do dyrektora Sigmy.

– Nie teraz. Przekażę wam najświeższe informacje, zanim dotrzecie do celu. Może wszyscy powinniście wziąć przykład z Kowalskiego i trochę odpocząć. Coś mi mówi, że po wylądowaniu będziecie musieli się spieszyć.

Gray nie miał co do tego wątpliwości. Rozłączył się. Wszyscy wrócili na swoje miejsca i do swoich myśli. Serce komandora biło coraz mocniej. Wyobraził sobie burzę choroby przetaczającą się przez Afrykę. Czuł, że są spóźnieni, nie zdążą opanować tego kryzysu. Chciałby już być na ziemi.

Ale na to trzeba było poczekać.

Na razie musiał działać ktoś inny.

Kisangani, Demokratyczna Republika Konga

Godzina 23.16 czasu miejscowego

Z plecakiem na ramieniu i pistoletem Desert Eagle w kaburze przy biodrze Tucker spieszył przez smagany deszczem ciemny pas startowy Międzynarodowego Portu Lotniczego Bangoka, małego lotniska na wschód od Kisangani. Cessna grand caravan wylądowała kilka minut temu, pilotowana przez przyjaciela Tuckera, Christophera Nkomo. Pilot i jego brat Matthew zajmą się wyładunkiem piętnastu czerwonych plastikowych skrzyń, które zawierały mobilne laboratorium Franka Whitakera, i przewiozą je na Uniwersytet Kisangani.

Tymczasem pogoda komplikowała plany.

Tucker podązał za żołnierzem FARDC w mundurze khaki i pomarańczowej kamizelce odblaskowej.

Kain truchtał u boku Tuckera. Gęsta czarno-brązowa sierść owczarka belgijskiego malinois sprawiała, że pies wyglądał jak cień swojego towarzysza. Przemoczony w ulewie, często się otrząsał, co niewiele pomagało. Czuwał bezgłośnie, nawet nie ział, i strzygł szpiczastymi uszami.

Za Tuckerem szedł Frank Whitaker, niosąc plecak ze sprzętem do pobierania próbek. Tucker miał wrażenie, że weterynarz nie postarzał się ani o dzień, odkąd opuścił służbę. Może przybyło mu kilka siwych kosmyków w krótko przyciętych włosach. Przemoczone ubranie przylgnęło mu do skóry, eksponując szczupłą sylwetkę. Dawno temu biegali we trójkę w palącym słońcu po czerwonych piaskach bazy pod Bagdadem.

Tucker służył długo w Afganistanie, gdzie stracił partnera, Abła, brata Kaina z miotu. Później, gdy wciąż rozpaczał, został przerzucony do Iraku i tam poznał Franka. Ten bardziej niż ktokolwiek inny pomógł mu odzyskać spokój – a nawet ukraść Kaina. Pies jeszcze nie odsłużył pełnej tury, ale po stracie Abła Tucker nie chciał go tam zostawić. Obaj przelali dość krwi. Uciekł pod osłoną nocy z podrobionymi przez Franka dokumentami.

Dopiero kiedy Tucker pomógł Sigmie w pewnej akcji, to przewinienie zostało wymazane z jego akt. Wiedział jednak, że nic z tego nie byłoby możliwe bez pomocy Franka.

Spojrzał teraz na niego.

Zawdzięczam temu człowiekowi wszystko, pomyślał.

Kongijski żołnierz prowadził ich w stronę stojącego na lądowisku śmigłowca, którego wirniki powoli się obracały.

Tucker rwał się do działania. Dyrektor Crowe powiadomił go o obawach Sigmy, że choroba może się rozprzestrzenić. Należy ją zatrzymać. Tucker kochał Afrykę. Stała się jego domem i azylem. Piękno przyrody tego kontynentu poruszało najczulsze struny w jego sercu. Kilka lat temu wraz z braćmi Nkomo – Christopherem i Matthew – zainwestował w luksusowy obóz safari w rezerwacie przyrody Spitskop w RPA. Miesiąc temu wrócił z Południowego Zachodu Stanów Zjednoczonych i szukał z braćmi drugiej lokalizacji dla ich rozwijającego się przedsiębiorstwa.

I wtedy dostał telefon z Sigmy.

– Myślisz, że możemy lecieć w taką pogodę? – spytał go Frank.

Tucker wzruszył ramionami.

– Deszcz ograniczy widoczność, ale jeśli nie przejdzie w burzę z piorunami, powinniśmy w czterdzieści minut dotrzeć do obozu.

– Jak sądzisz, co tam się wydarzyło? Dlaczego doktor Jameson kazał nam trzymać się z daleka?

– Nie wiem, ale pewnie zanim dotrzemy na miejsce, dowiemy się tego od Kongijczyków. Crowe mówił, że kilka minut temu wystartowały dwie maszyny: transportowiec Puma i mały śmigłowiec bojowy.

W końcu dotarli do zaparkowanego śmigłowca i przeszli za żołnierzem pod obracającymi się łopatami. Aérospatiale Gazelle jest jednosilnikową lekką maszyną wielozadaniową, wystarczająco zwrotną, by wykonywać

szybkie loty w trudnych warunkach. Żołnierz otworzył drzwi, wetknął głowę do kabiny i zawołał coś do pilota.

Po krótkiej wymianie zdań obrócił się w stronę pasażerów.

– Burza szybko się zbliża. – Mówił po angielsku z francuskim akcentem. – Lecicie teraz albo wcale.

Tucker zwrócił się do Franka:

– Prognozy pogody ostrzegają, że burze będą szaleć przez całą noc. Musielibyśmy czekać do rana, aż niebo się przetrze.

Frank skrzyżował ręce na piersi, wyraźnie niepewny, co zrobić, rozdarty między poczuciem obowiązku a zachowaniem ostrożności.

– Kiedy jakaś zaraza się rozprzestrzenia, nawet jeden dzień może mieć ogromne znaczenie – odezwał się w końcu i spojrzał w stronę ciemnego lasu. – I, jak powiedziałaś, nasi kongijscy przyjaciele są już w drodze. Gdyby wyniknął jakiś problem, wojsko powiadomi nas przez radio i zawrócimy. Mam rację?

Tucker patrzył na żołnierza, czekając, aż potwierdzi te słowa. Mężczyzna w zielonym mundurze tylko wzruszył ramionami.

– Spróbujmy – rzucił Frank, wskazując otwarte drzwi śmigłowca.

Tucker skinął głową i gestem kazał mu wsiadać.

– W takim razie do dzieła – powiedział.

Weterynarz wgramolił się na tył maszyny. Tucker dał znak Kainowi, żeby wskoczył za nim. Owczarek dał susa i usiadł na ławce. Pilot obrócił się z gniewną miną.

– Nie pies! – krzyknął spod hełmu.

– Masz rację. On nie jest psem. – Tucker poklepał Kaina. – Jest żołnierzem.

Owczarek na potwierdzenie zawarczał groźnie.

Frank wskazał go kciukiem.

– Radzę ci posłuchać naszego czworonożnego przyjaciela.

Pilot zaklął pod nosem i odwrócił się.

– Nie miałem pojęcia, że znasz psią mowę. – Tucker uśmiechnął się do Franka.

– Nie tak dobrze jak ty – odparł Frank, zapinając pasy. – Widziałem, jak pracujesz z Kainem.

– On jest o niebo lepszy. – Tucker czuł się dumny z siebie i partnera. Kain znał tysiąc słów i sto gestów, ale nie na tym polegała ich prawdziwa więź. Ta została wykuta podczas wspólnie przeżytych lat. Łączyła ich mocniej niż smycz, obaj potrafili odgadywać myśli tego drugiego, a ich komunikacja wykraczała poza słowa czy gesty.

Poklepał bok Kaina, gdy łopaty śmigłowca cięły deszcz. Pomruk silnika przeszedł w ryk. Tucker poczuł drzenie w ciele partnera. To nie był strach. Kain czuł ekscytację i przygotowywał się do czekającego ich wyzwania; wyraźnie pragnął wyruszyć w drogę. Spojrzał na Tuckera. W ciemnobrązowych oczach psa lśniły drobiny złota.

Jesteś gotowy, stary?

Kain odpowiedział, trącając nosem policzek partnera.

Oczywiście, że jesteś.

Zadowolony Tucker zapiął pasy. Nie miał pojęcia, co ich czeka; wiedział tylko, że zmierzają się z tym razem, Kain i on.

Jak zawsze.

5

Prowincja Tshopo, Demokratyczna Republika Konga

23 kwietnia, godzina 23.17 czasu miejscowego

Charlotte wzdrygnęła się, gdy z zewnątrz dobiegł huk wystrzału z karabinu.

Za plecami Benjiego pojawił się mężczyzna i wepchnął go głębiej do namiotu. Był to jeden ze strażników ICCN, prawdopodobnie ten, który towarzyszył Ndayemu w poszukiwaniach zaginionego doktoranta. Zajął stanowisko przy klapie namiotu, z lufą karabinu wymierzoną w mrok.

Podszedł do niego Ndaye, a za nim szaman i jego siostrzeniec.

– Co się tam dzieje? – spytał Cort Benjiego.

Młody człowiek mrugał szybko, panicznie przerażony.

– Nadchodzą – wydyszał.

Dołączyła do nich Charlotte.

– Kto? – rzuciła.

Przez huk grzmotu przebiło się głośnie wycie. Odpowiedział mu chór brzącający tak, jakby dobiegał zewsząd. Pierwotny strach zjeżył wszystkie włoski na ciele Charlotte.

– Musimy iść – powiedział nagłaco Benjie. – Rozedrą ten namiot.

– Co widziałeś? – Cort chwycił go za ramię.

Przerwał im huk wystrzałów. Ekostrażnik przyciskał policzek do kolby uniesionej broni, lecz coś dużego uderzyło go w plecy, na tyle mocno, że

zniknął z pola widzenia. Wrzasnął i padł na ścianę namiotu. Walczył z czymś, co go szarpało, i po chwili płótno było zbryzgane ciemną krwią.

Benjie cofnął się. Charlotte chwyciła Disankę i jej dziecko.

Tymczasem Ndaye opadł na kolano z uniesionym karabinem. Oddał jeden strzał, a potem drugi i napastnicy odstępili trochę od namiotu. Krzyk ekostrażnika przeszedł w bulgot, po czym ucichł.

Ndaye zaklął i wycofał się, popychając szamana i jego siostrzeńca.

– *Nyani...* – odezwał się Woko, patrząc nad jego ramieniem.

Charlotte uniosła brwi. Znała to słowo, ale przecież to nie mogła być prawda.

Jakby na dowód, że się myli, do namiotu wpadł jakiś stwór. Sięgał nie wyżej niż do jej talii, ale musiał ważyć ponad pięćdziesiąt kilogramów. Kudłate szarozielone futro było przemoczone i zlepione błotem. Przykucnął, wsparty na przedniej kończynie. W jego dużych oczach płonęła wściekłość. Wydał z siebie wrzask i ściągając wargi pyska, obnażył różowe dziąsła i kły długie jak jej palce.

Nyani, pawian.

Gdy wokół niosły się dzikie krzyki, Ndaye strzelił do zwierzęcia i trafił je w bark. Pawian obrócił się pod wpływem siły uderzenia, po czym skoczył prosto na niego. Cofając się, Ndaye nacisnął spust. Głowa pawiana odskoczyła do tyłu i zwierzę upadło.

Ndaye przeskoczył nad zakrwawionym truchłem, pociągnął za zamek błyskawiczny przy klapach i zamknął namiot. Oczywiście nie zapewniło im to ochrony i dobrze o tym wiedział.

– Nie możemy tu zostać – powiedział.

– Pró... próbowałem was ostrzec – wyjąkał Benjie.

Charlotte wpatrywała się w zabite zwierzę na ziemi. W całym obozie szalało więcej pawianów. Skuliła się, gdy jeden skoczył na dach namiotu.

Zewsząd dobiegały dzikie wrzaski i wycie, jakby były ich setki.

Nie rozumiała tego zachowania. Obecność pawianów w obozie nie była niczym niezwykłym. Zdarzało się, że jeden czy drugi kosmaty złodziej kradł jedzenie ze stołów albo grzebał w ich zapasach. Były to małpy o szarym futrze – *Papio anubis*, pawiany oliwkowe – powszechnie występujące w całym Kongu, ale do tej pory nie wydawały się niebezpieczne. Charlotte wiedziała jednak, że mogą stać się zagrożeniem, jeśli zostaną sprowokowane. Czytała, że potrafią zaatakować i zabić lamparta. Zapewniono ją jednak, że są płochliwe i wystarczy krzyknąć, by je przepędzić. I to się sprawdzało.

Do tej pory.

– Co robimy? – zapytał Cort.

Przez wycie pawianów przebił się odgłos wystrzałów dobiegający z drugiej strony obozu. Charlotte wymieniła zmartwione spojrzenie z Ndayem. Było tam dwóch jego ludzi, którzy pilnowali ostatniej ciężarówki ICCN przygotowanej do ewakuacji. Teraz z pewnością próbowali odpierać atak i chronić pacjentów.

Wyobraziła sobie obłąkaną ciężarówkę, jedyny środek umożliwiający im ucieczkę, i zrozumiała powagę sytuacji: nie dotrą do pojazdu z namiotu medycznego.

Ndaye doszedł do tego samego wniosku. Odpiął radio od paska i podniósł je do ust. Mówiąc szybko po francusku, nakazał kierowcy ruszać, póki jeszcze może, i jechać za pierwszą ciężarówką.

Cort, który znał dość biegle ten język, zrozumiał i złapał go za ramię.

– Co robisz? Powiedz im, że mają tu po nas przyjechać.

Ndaye wyrwał się, wciąż irytująco spokojny.

– *Non*. Zostaną pokonani, zanim tu dotrą. Lepiej, żeby odjechali. Poza tym hałas i ruch mogą nam pomóc.

– W jaki sposób? – rzucił ostro Jameson.

Silnik ciężarówki ryknął przy wtórze głośnego chrzęstu skrzyni biegów. Potem kierowca, oddalając się w stronę dżungli, użył klaksonu do nadania wiadomości cichnym alfabetem Morse’a. Tyle że ta wiadomość nie była skierowana do ludzi w namiocie medycznym, lecz do hordy szalejącej na zewnątrz.

Następny pawian wskoczył na dach, przeczłapał po nim i pognął w stronę oddalającej się ciężarówki. Pohukiwanie, wrzaski i wycie wskazywały, że większość małp ruszyła w pościg za pojazdem.

Próbuje je odciągnąć, pomyślała Charlotte.

– Nie będzie zbyt wiele czasu na szukanie lepszego schronienia – szepnął Ndaye.

Zacisnęła zęby i słuchała. W obozie wciąż rozlegały się wrzaski, chrząkanie i rumor przewracanych skrzyń. Kilka pawianów zostało.

Ale ile?

Zrobiła kilka kroków i wskazała tył namiotu.

– Może spróbujemy dotrzeć do zalanej wioski? – zaproponowała. – Kilka domów ma drewniane ściany i blaszane dachy. – Spojrzała na twarze towarzyszy. Gdy nakłaniała ich do opuszczenia tego marnego schronienia, czuła się tak, jakby znalazła się w bajce *Trzy małe świnki*. Gdybyśmy tylko mieli w pobliżu murowany dom...

Benjie skinął głową.

– Dobry pomysł – przyznał. – Pawiany potrafią pływać, ale wolą tego nie robić. Wody powodziowe mogą je zniechęcić do pójścia za nami.

– W takim razie pospieszmy się – powiedział Ndaye. – Po cichu.

Szedł już do zapiętych na suwak klap, ale Woko złapał go za rękę i pokręcił głową.

– *Hapana*. – Odwrócił się i ruszył w przeciwną stronę, w głąb namiotu. W jego dłoni błysnęło długie ostrze. Wbił je w materiał i pociągnął w dół, tworząc nowe wyjście, z dala od hałasujących z przodu pawianów. Przytrzymał rozdarty materiał i skinął głową. – *Endelea*.

Cort Jameson posłuchał i pospieszył na tyły namiotu. Najwyraźniej chciał wyjść – ale nie jako pierwszy. Chwycił Byrne'ego i pchnął go w szczelinę. Ratownik medyczny przecisnął się na zewnątrz, a Cort podążył za nim dopiero wtedy, gdy uznał, że to bezpieczne.

Charlotte zabrała skalpel ze stolika, pomogła wyjść z namiotu Disance z synkiem i podążyła za nimi. Starła się poruszać jak najciszej.

Byrne i Cort przykucnęli w pobliżu namiotu. Smagany deszczem obóz był ciemny, oświetlony tylko kałużami światła z latarni zasilanych prądem z generatora. Zadudnił grzmot i dalekie błyskawice rozjaśniły niebo pokryte czarnymi chmurami. Na szczęście deszcz zmył większość mrówek.

Charlotte rozglądała się, ściskając uchwyt skalpela.

W dali, za rozproszonymi namiotami i prymitywnymi szopami, widać było czarne kontury wioski. W rzece odbijała się bitwa nasilająca się na niebie; woda na przemian jaśniała i ciemniała.

Przy Charlotte pojawili się Woko i Faraji. Chłopiec ścisnął szelki plecaka z cennym ładunkiem: skrzynką z maską Kuba. Ndaye wyszedł z namiotu za Benjiem i przyjrzał się wszystkim.

Cort nerwowo przestępował z nogi na nogę, nie mogąc się doczekać wyruszenia w drogę. Pewnie już by uciekł, gdyby nie karabin Ndayego, ich jedyna broń palna. Amerykański pediatra nie miał zamiaru się od niej oddalać.

W końcu Ndaye nakazał wymarsz.

Szli przez obóz, unikając kręgów światła i omijając głębsze kałuże, by chlupot wody nie przyciągnął uwagi pawianów. Zarysy wioski powoli rosły,

wyraźne na tle odbitego od wody blasku błyskawic.

Charlotte często oglądała się za siebie. Wytężała słuch, by w porę wychwycić odgłosy zapowiadające zagrożenie, ale dezorientował ją bezustanny trzask piorunów i szum deszczu. Oddychała najciszej, jak mogła. Nagle wprost nad ich głowami rozszczerzyła się błyskawica. Huk rozdarł powietrze, wprawiając kałuże w drżenie.

W migoczącym błysku dostrzegła kątem oka ruch i spojrzała w lewo. Na dachu namiotu wyprostowała się jakaś duża sylwetka. Wydawała się ogromna, stanowczo za duża jak na zwyczajnego pawiana. A może to tylko wyobraźnia, wyostrzona strachem. Na prawo od niej poruszył się cień na stercie okrytych siatką skrzyń.

Strażnicy, pomyślała Charlotte.

Nie wiedziała, czy zwierzęta zauważyły ich w świetle błyskawicy, ale nie miało to znaczenia, bo z maleńkiego gardła niemowlęcia wyrwał się głośny piskliwy krzyk. Dziecko musiało się przestraszyć pioruna. Matka skuliła się nad synkiem. Cort rzucił się w jej stronę z wyciągniętymi rękami i taką miną, jakby był gotów udusić dziecko, żeby tylko ucichło.

Disanka cofnęła się do boku Charlotte.

Ale szkoda została wyrządzona.

Strażnik po lewej stronie zawył. Drugi pawian podchwycił sygnał i powtarzał go jeszcze głośniej. Oba zniknęły w ciemności i po chwili wybuchł chór wrzasków.

– Biegiem! – krzyknął Ndaye.

Rzucili się do ucieczki. Charlotte trzymała się blisko Disanki i jej syna, za Cortem i Byrnem. Kiedy mijali szopę, coś zza niej wypadło. Uderzony w bok ratownik medyczny rozpląszczył się w błocie. Ogromny pawian zaczął go drapać pazurami. Kiedy Szwajcar uniósł rękę, żeby się osłonić,

zatrzasnęły się na niej potężne szczęki. Chrupnęły kości nadgarstka. Pawian szarpnął łbem i prysnął łuk krwi, gdy dłoń oderwała się od przedramienia.

Byrne wrzasnął.

Dwa strzały, oddane tuż przy jej uchu, ogłuszyły Charlotte. Kłaki sierści pofrunęły w powietrze, ale zwierzę zdołało odskoczyć i zanurkować w zarośla. Charlotte obróciła głowę, spodziewając się zobaczyć Ndayego, ale to był drugi strażnik ICCN, niższy mężczyzna w podobnym stroju. Przebiegł obok niej. Pomyślała, że musiał wysiąść z ciężarówki, a może ukrywał się, gdy pojazd odjechał, i ruszył im na pomoc.

Podbiegł do Byrne'go i podniósł go z ziemi. Szwajcar ścisnął kikut, gdy jego wybawiciel ciągnął go w stronę pozostałych.

Cort nie czekał i był już daleko przed nimi. Dotarł do skraju wioski i zwolnił dopiero wtedy, gdy spod jego butów wystrzeliły fontanny wody.

Charlotte biegła za nim z Disanką.

Ścigał ich coraz głośniejszy jazgot. Charlotte sapała i biegła z walącym sercem.

Musi nam się udać, powtarzała w myślach.

Z lewej dobiegł krzyk przerażenia. Spojrzała w tamtą stronę i piętnaście metrów dalej zobaczyła siostrzeńca szamana, który padł twarzą w błoto i szarpały go dwa pawiany. Chłopiec przeturlał się i walczył, bardziej w obronie niebieskiego plecaka niż siebie.

Charlotte pchnęła Disankę w stronę strażnika ICCN.

– Zabierz ją w bezpieczne miejsce. Idź za lekarzem.

Ścisnęła skalpel w ręce i pobiegła do Farajiego.

Woko dotarł do niego pierwszy i kopnął jednego pawiana. Drugi odskoczył, sycząc i obnażając długie kły. Nadciągały kolejne bestie, wyłaniające się z cienia z ogłuszającym wyciem.

Biegając, Charlotte zauważyła za nimi Ndayego. Stał z uniesionym karabinem, ale nie strzelał; prawdopodobnie obawiał się, że trafi w człowieka. Benjie kuczał za jego plecami.

Charlotte nie zdążyła dobiec do szamana, gdy ten zamazyście machnął ręką i z jego palców, jak z czarodziejskiej różdżki, spłynął żółty proszek. Przypomniała sobie buteleczkę wyjętą z kasetki Kuba. Zanim deszcz zdążył zmyć pył z powietrza, szamana i jego siostrzeńca spowiła delikatna mgiełka.

Pawiany przypuściły atak, ale nagle wzdrygnęły się i wycofały z jeszcze głośniejszym wrzaskiem. Kilka rzuciło się do ucieczki.

Jeden pędził prosto na Charlotte. Oskoczyła w bok i spanikowane zwierzę minęło ją, wyjąc z przerażenia.

Woko wykorzystał chwilę spokoju, by chwycić siostrzeńca za kołnierz. Poderwał chłopca na nogi i popchnął go w stronę Ndayego. Faraji pędził, wciąż ściskając szelkę plecaka; z drugiej zostały strzępy.

Jego szaleńczy bieg przyciągnął uwagę kilku małp i natychmiast puściły się za nim w pogoń. Ndaye strzelił, powalając tę, która była najbliższej pięć chłopca.

Woko, niestety, czekał zbyt długo, bo deszcz szybko zmył proszek. Pawiany wysoko unosiły pyski, węsząc, i nagle wszystkie rzuciły się na szamana. Atakowały go z każdej strony, wspinając się na niego.

Kły błysnęły w świetle błyskawicy i zatopiły się w gardle szamana. Charlotte widziała jego oczy, płonące w świetle burzy, a potem ciemność zasnuła najgorszy widok.

Woko upadł bez jednego krzyku, przytłoczony ciężarem małp, ich naporem. Coś błysnęło w powietrzu, przecinając stożek światła lampy i upadło w błoto niedaleko Charlotte.

Wiedziała, co to jest.

Po chwili w jednej ręce ścisnęła szklaną buteleczkę, a w drugiej skalpel.

Tymczasem Faraji wpadł na Ndayego. Ten złapał chłopca i popchnął go w stronę Benjiego. Strzelił raz w powietrze, oddalając się od Charlotte, wabiąc pawiany.

– Uciekaj! – krzyknął.

Gdy świat wokół niej grzmiał i wył, odwróciła się i ruszyła tam, gdzie wcześniej pobiegł Cort. Nie podobało jej się, że się rozdzielają, ale nie mieli wyboru.

6

Prowincja Tshopo, Demokratyczna Republika Konga

23 kwietnia, godzina 23.28 czasu miejscowego

Benjie nigdy nie był szczęśliwszy niż wtedy, gdy okazywało się, że miał rację.

Zasapany brnął i torował sobie drogę w ciemnej wodzie. Ndaye i chłopiec szli obok niego, jeden z prawej, drugi z lewej, gwałtownie rozbryzgując wodę, bo chcieli jak najszybciej dostać się w głąb zalanej wioski. Pawiany wrzeszczały za nimi na brzegu.

Nie miały ochoty wchodzić do wezbranej rzeki. I nie bez powodu.

Benjie przy każdym kroku bał się, że silny nurt zbije go z nóg. Dla zachowania równowagi opierał się ręką o ścianę drewnianej chaty. Dotarł do drzwi, ale je minął.

Nie najlepsze miejsce, uznał.

Chata była kryta strzechą z liści palmowych. Zapewniłaby im niewielką ochronę w razie ataku. Brnął dalej, mając już wybrany cel. Przed nimi w sięgającej do pasa wodzie stał dom z dachem i ścianami z blachy falistej.

Idealny, pomyślał Benjie i spieszył w jego stronę, bacznie obserwując nurt.

Silny prąd i wiry nie były tu jedynymi niebezpieczeństwami. Wypatrywał równie groźnych krokodyli i hipopotamów. Modlił się, by burza wypędziła te bestie na brzeg albo zepchnęła na głębszą wodę.

Patrzył na rzekę, starając się czytać ją jak książkę, wypatrując jakichkolwiek charakterystycznych zmarszczek, bąbelków wydychanego powietrza.

Nic.

Może moje modły zostały wysłuchane, przemknęło mu przez głowę.

Jego matka była pobożna i co tydzień chodziła na msze do kościoła Świętego Jakuba. Przysięgała, że wszystko może się spełnić, jeśli człowiek modli się żarliwie.

Niestety, tej nocy Benjie nie dość jasno wyraził swoje pragnienia.

Wycie za jego plecami stało się głośniejsze.

Obejrzał się przez ramię. Ciemne sylwetki skakały z dachu na dach. Pawiany najwidoczniej wymyśliły, jak kontynuować pościg bez wchodzenia do wody.

Ndaye też je zobaczył.

– Szybciej! – zawołał.

Benjie wysoko unosił nogi, kopiąc oporną wodę, zmagając się z nurtem i paniką. Budynek z blaszonym dachem stał zaledwie kilka metrów dalej. Parł do niego, walcząc całym ciałem w coraz głębszej wodzie.

Tymczasem po wiosce za jego plecami niosły się wrzaski.

W końcu dotarł do domu i obszedł go z boku. Już widział ciemne wejście. Brnął ku niemu, prowadząc pozostałych. Gdy dotarł do progu, czekało go podwójne rozczarowanie. Dom nie miał drzwi i co gorsza, był już zajęty. Inne stworzenia też szukały schronienia przed burzą.

Błyskawica zamigotała na niebie wystarczająco jasno, by oświetlić warstwę kłębiących się i wijących długich zwojów zapelniających zalane jednoizbowe wnętrze.

Węże.

Godzina 23.31

Po drugiej stronie wioski Charlotte zacisnęła pasek wokół przedramienia Byrnego. Miała nadzieję, że prowizoryczna opaska uciskowa wystarczy, by zatamować krew płynącą z kikuta.

Zgarbiony ratownik medyczny siedział na stołku, który znalazła w zalanym domu. Trzął się na całym ciele. W jego oczach połyskiwało zbyt wiele białka. Był w szoku, bliski omdlenia z bólu i utraty krwi.

Strażnik ICCN o imieniu Kendi pilnował drzwi, które zostawił otwarte na tyle, by móc obserwować brzeg. Pawiany wciąż tam wyły, ale nadrzeczne domy je zasłaniały i było zbyt ciemno.

Cort Jameson patrzył nad ramieniem Kendiego. Zaciskał dłonie, stojąc w wodzie po kolana, i też się trzął, ale nie z szoku.

Disanka stała sztywno w najdalszym kącie i karmiła synka piersią. Charlotte wiedziała, że chodzi jej nie tyle o to, żeby dziecko nie było głodne, ile o powstrzymanie go od płaczu.

Charlotte uważała, że są zbyt blisko brzegu. Cort zaprowadził ich do pierwszego domu ze ścianami z desek i z obitymi blachą drzwiami. Spojrzała na strzechę; wiedziała, że nie zapewni im ochrony, bo pawiany rozedrą ją bez większego wysiłku.

Mimo to nie mogła winić Corta, że w panice wybrał takie schronienie. Trzymała dłoń na ramieniu Byrnego, czując jego drżenie. Wątpiła, czy Szwajcar długo wytrzyma.

Mogła tylko mieć nadzieję, że są tu na razie bezpieczni.

Od brzegu dobiegło głośne wycie. Zostało podchwyczone i niosło się coraz dalej, przerywane głuchymi szczeknięciami. Chór rozbrzmiewał przez całą minutę, po czym nagle ucichł.

Charlotte wyprostowała się.

Disanka wpatrywała się w nią nieruchomymi oczami, szklistymi z przerażenia.

Nagle Charlotte usłyszała cichy tupot i łomotanie, a także kilka chrząknięć. Hałas szybko się zbliżał. Wyobraziła sobie mały skaczące z dachu na dach.

– Nadchodzą – szepnął od progu Kendi.

Godzina 23.32

Nie, nie, nie, nie...

Gdy myśliwi się zbliżali, Benjie stanął na progu chaty pełnej węży. Nie mógł się zmusić, by wejść do środka. Nienawidził pełzających stworzeń. W Kongu co roku dziesiątki tysięcy ludzi umiera od ukąszeń węży. W jego głowie przewijała się lista: gałęźnice szorstkołuskie, bumslangi, mamby czarne, żmije sykliwe, węże gleboryjcowate. Gadem, który szczególnie mroził mu krew, była jednak *Naja christyi*, śmiercionośna kongijska kobra wodna, która może mieć ponad dwa metry długości.

Ale to nie strach przed jadem czy zębami powstrzymał Benjiego przed wejściem do środka, lecz perspektywa dotyku śliskich łusek. Wykłady z herpetologii doprowadzały go do takiego stanu, że rozważał rzucenie studiów. Najgorsze były zajęcia laboratoryjne, na których miał do czynienia z tymi stworzeniami.

Jego autyzm plasował się na dolnym poziomie spektrum, ale pewne odgłosy i doznania wyprowadzały go z równowagi. Gdy słyszał szelest celofanu, miał ochotę drapać uszy paznokciami. Zapach smażonej cebuli powodował wymioty. A choćby muśnięcie wężowej skóry – jej łuski w jakiś sposób były jednocześnie suche i tłuste – sprawiało, że cały się trząsał.

Kiedy teraz wpatrywał się w kłębowisko gadów, nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

Ktoś uderzył go w plecy. Ndaye.

– Właż! – krzyknął i wepchnął go do chaty.

Benjie dyszał i jęczał. Wysoko unosząc ręce, walczył o utrzymanie się na nogach, gdy węże wiły mu się wokół talii. Jego pole widzenia się zawężyło. Zaczęło mu dzwonić w uszach.

Ndaye, trzymając przed sobą karabin, wszedł do chaty, a za nim chłopiec z plecakiem; Benjie nie znał jego imienia.

– Nie bój się – rzucił chłopiec karcącym tonem. Złapał jednego węża i odrzucił na bok. – *Chatu*.

– Faraji ma rację – powiedział Ndaye, brodząc w kłębiącej się masie gadów. – To *Calabaria reinhardtii*. Pytony ziemne. Niejadowite.

Benjie pozostał głuchy na jego słowa i nie opuścił rąk. Zacisnął powieki i próbował zwalczyć strach, przywołując fakty. Wydobył z pamięci wszystko, co wiedział o tym gatunku. *Pytony ziemne rzadko osiągają więcej niż metr długości. Nazwano je na cześć duńskiego herpetologa Johannes Reinhardta. Występują w afrykańskich lasach deszczowych i zagrzebują się w norach, zwykle w liściastym poszyciu...*

Uchylił powieki na tyle, by spojrzeć na poruszające się węże. Zauważył, że większość jest mała, długości jego przedramienia. Uznał, że woda zalała ich nadrzeczne gniazda.

Udało mu się zapanować nad oddechem, ale nadal nie mógł się zmusić do opuszczenia rąk.

Tylko że to nie węże stanowiły tu prawdziwe zagrożenie. Benjie popatrzył na drzwi strzeżone przez Ndayego. Nagle coś uderzyło w blaszany dach z takim hukiem, że aż podskoczył.

Kolejny łoskot. I następny.

Ze szczytu dachu dobiegło ciche pohukiwanie i chrząkanie. Ndaye uniósł palec do ust, gdy wszyscy spojrzeli w górę.

Małpy wskakiwały na dach i gramoliły się po nim. Silnymi palcami podwazywały arkusze blachy. Nagle jedna zsunęła się i zwiśla z nadproża drzwi. Zaskoczyła Ndayego. Uderzyła silnymi dolnymi kończynami i wytrąciła mu karabin z rąk. Broń wpadła do wody.

Pawian – samiec ważący z pięćdziesiąt kilogramów – znów się zamachnął. Obnażył wielkie kły i przygotował się do skoku na strażnika.

Wtedy chłopiec, Faraji, zamachnął się i rzucił dwumetrowym węzem. Wijący się w powietrzu gad uderzył pawiana w szyję i okręcił się wokół niej.

W małym pomieszczeniu małpi wrzask brzmiał ogłuszająco.

Pawian ciężko runął do wody, a Ndaye odskoczył w bok. Samiec z oczami okrągłymi ze strachu drapał pazurami przywierającego do niego węża. Gdy zobaczył, że gady otaczają go ze wszystkich stron, zawył, skoczył wysoko i wypadł z chaty. Uciekał, wzbijając fontanny wody.

Benjie spojrzał na chłopca.

– *Nyani* nie lubi węży. – Faraji wskazał na niego. – Boi się ich jak ty.

Młody doktorant walczył z tikiem szybkiego mrugania. Dopiero teraz przypomniał sobie, że pawiany cechuje wrodzony lęk przed węzami. Z punktu widzenia przetrwania taki strach miał sens, zważywszy na to, ile jadowitych gadów żyło w dżungli. Prawdopodobnie przechodził z pokolenia na pokolenie, wpisany w ich kod po tysiącletnich spotkań z węzami. Prowadzone na ludziach badania behawioralne potwierdziły podobny dziedziczny lęk. Nasza naturalna niechęć do węży i pajaków jest najwyraźniej mechanizmem ułatwiającym przetrwanie, zapisanym w naszym kodzie po wcześniejszych doświadczeniach z jadowitymi zwierzętami.

Praca doktorska Benjiego pośrednio wiązała się z tym zagadnieniem, ponieważ dotyczyła dziedziczenia mutacji wywołanych stresem. Lecz tej nocy stres dopiero się zaczynał.

Panika uciekającego pawiana nie odstraszyła gromady na dachu. Małpy wrzeszczały i szarpały blachę, tak że ta wyginała się i odrywała, a do wody spadał deszcz gwoździ. W powstałych w ten sposób dziurach w dachu pojawiały się ciemne sylwetki pawianów.

Ndaye gorączkowo szukał w wodzie karabinu. Nawet jeśli go znajdzie, broń po takiej kąpieli pewnie nie zda się na wiele.

Benjie spojrział w górę.

Nie wyjdziemy stąd żywi, pomyślał.

Godzina 23.34

– Zaraz tu będą – jęknął Cort.

Charlotte skuliła się, gdy strażnik Kendi na oślep strzelił w dach. Posypały się na nich kawałki strzechy, wydarte nie przez pocisk, lecz przez palce pawianów. Na huk karabinu odpowiedziały pohukiwania i szczeknięcia. Jedna z małp – być może trafiona – z głośnym pluskiem wpadła do wody. Jej śmierć nie zniechęciła pozostałych myśliwych.

Cort opierał się plecami o drzwi, by uniemożliwić ich otworzenie. Disanka w kącie chaty tuliła syna, który zanosił się od płaczu, przestraszony wystrzałem. Byrne siedział na stołku, przytrzymywany przez Charlotte, której dzwoniło w uszach.

Kendi opuścił karabin, może dlatego, że zrozumiał daremność swoich wysiłków, a może po to, by oszczędzać amunicję. Uniósł głowę i spojrział w górę.

– Słuchajcie – odezwał się po chwili. – Chyba przestały.

Charlotte zadarła głowę. Kilka fragmentów strzechy z liści palmy zwisało i muskało jej policzek. Kendi miał rację. Szelest i drgania ustały.

Dlaczego? – zastanawiała się.

Potem coś usłyszała, najpierw w klatce piersiowej, później w uszach. Niskie dudnienie.

Śmigłowiec!

Pawiany znów zaczęły wrzeszczeć. Odbijały się od strzechy i z łoskotem pędziły po dachach w kierunku brzegu. Huk śmigłowca stawał się coraz głośniejszy, coraz bardziej ogłuszający.

Cort skulił się i lekko uchylił drzwi. Charlotte podeszła do nich, zostawiwszy rannego Szwajcara kiwającego się na stołku.

Podmuch przetaczał się nad wioską, poruszając strzechę, gdy maszyna leciała nad chatą. Jasne światło reflektora omiotło wodę, po czym zwróciło się w stronę brzegu. Wszyscy w chacie mieli nadzieję, że blask i hałas przegonią pawiany.

Amerykański pediatra otworzył szerzej drzwi. Nadal się trząsł, teraz prawdopodobnie z ulgi.

– A jednak moja wiadomość przez radio do kogoś dotarła.

Jasno oświetlona pękata maszyna wyglądała jak lśniący anioł, gdy zawisała nad brzegiem rzeki. Po chwili zaczęła opadać. Zanim płozy dotknęły ziemi, z obu stron kadłuba wyskoczyły ciemne postacie. W jasnym świetle reflektora stanął wysoki mężczyzna w mundurze moro i podniósł megafon, by przekrzyczeć ryk silnika.

– Przeszukać obóz! – ryknął po francusku. – Zabezpieczcie personel medyczny. Nie możemy zostać tu długo!

Do oczu Charlotte napłynęły łzy, gdy usłyszała słowa w ojczystym języku.

Nagle błyskawica rozjaśniła czarne chmury, przypominając wszystkim o nadciągającej burzy.

Cort otworzył drzwi.

– Pospieszcie się! – zawołał i wyszedł z chaty.

Charlotte wróciła do Byrnego i spojrzała na Kendiego.

– Będę potrzebować pomocy, żeby wyciągnąć go na brzeg.

Strażnik posłusznie dźwignął ratownika medycznego z jednej strony, podczas gdy ona z drugiej. Byrne próbował pomóc, ale nie panował nad dygoczącymi nogami. W końcu poddał się i zwiśł między nimi.

Wyszli z chaty i ruszyli przez wodę. Disanka z synkiem podążyła za nimi. Charlotte spoglądała na dachy, wypatrując zagrożenia. Wyteżęła słuch, wyczulona na pohukiwania czy głośne szczeknięcia, ale silniki śmigłowca zagłuszały niemal wszystko.

Usłyszała jednak krzyk Corta, który dotarł już na suchy teren.

– Tutaj! Jesteśmy tutaj! Mamy rannych i chorych!

Pokręciła głową, zdegustowana jego słowami. Raczej ja ich mam, pomyślała.

Kierowała się w stronę światła i hałasu. Po chwili zobaczyła brnących w jej stronę wśród chlupotu wody mężczyzn ze śmigłowca. Chwycili Byrnego, uwalniając ją od jego ciężaru, i ruszyli z powrotem. Szła za nimi, eskortowana przez innych żołnierzy z uniesionymi karabinami.

W końcu stanęła na suchej ziemi. Choć przemoczona, czuła się lżejsza o sto kilogramów. Ona, Kendi i Disanka z synem opuścili wioskę i pospieszyli do czekającego śmigłowca. Była to maszyna wojskowa pomalowana na barwy kamuflujące, śmigłowiec szturmowy z dużym łukiem ładunkowym i małymi skrzydłami, pod którymi wisiało sześć pocisków, po trzy z każdej strony.

Cort Jameson rozmawiał z wysokim żołnierzem z megafonem, białym opalonym mężczyzną z siwiejącymi krótkimi włosami. Może Francuz albo Belg. Miał taki sam zielony mundur kamuflujący co pozostali żołnierze, ale była od niego aura autorytetu. Najwyraźniej był dowódcą. Ignorował Corta, który mówiąc, wymachiwał rękami.

Gdy Charlotte podeszła do człowieka z megafonem, ten zmierzył ją ciemnozielonymi oczami od góry do dołu. Skinął głową i odwrócił się, by wydać rozkazy w języku suahili; mówił jednak zbyt szybko, by mogła cokolwiek zrozumieć. Zza śmigłowca wyszedł mężczyzna wyglądający na Kongijczyka, ubrany jak pozostali, i stanął obok tego, który trzymał megafon. Mogliby być braćmi – obaj mieli siwe włosy i twarde rysy, a nawet takie same zielone oczy. Różnił ich właściwie tylko kolor skóry.

Rozmawiali z pochylonymi głowami, co chwila spoglądając na ciemne niebo i krzywiąc się na widok błyskawic. Spierali się o coś i najwyraźniej żaden nie chciał ustąpić.

W końcu ten z megafonem stanął twarzą do uciekinierów, a drugi odszedł.

– Nie możemy dłużej czekać. Jest was więcej?

Cort zająknął się, patrząc tęsknie na otwarte drzwi śmigłowca.

– Hm... Nie wiem, czy są jeszcze jacyś... – zaczął, lecz Charlotte odepchnęła go na bok.

Nie miała zamiaru nikogo tu zostawiać. Wskazała tam, gdzie ostatnio widziała grupę Ndayego.

– Trzy osoby – rzuciła. – Prawdopodobnie ukrywają się w tamtej części zalanej wioski.

Dowódca z grymasem niezadowolenia zwrócił się do podwładnych i nakazał im przeszukanie wskazanego obszaru.

– I pospieszcie się! – dorzucił.

Trzask pioruna przydał siły jego rozkazowi.

Godzina 23.45

– Na co czekamy? – zapytał Benjie, drżąc w tym węzowym gnieździe. Włączył wyjętą z kieszeni małą latarkę, osłonił ją dłonią i skierował na kłębowisko węży. Chciał stąd wyjść.

Śmigłowiec przybył w samą porę; jego hałas, światło i podmuchy przepędziły pawiany. Benjie widział, jak zespół medyczny opuszcza wioskę i teraz stoją w jasnym blasku reflektora.

Ndaye ostrożnie podniósł wyciągnięty z wody karabin i spojrzał przez lunetę.

Faraji trzymał się blisko niego.

– To nie jest kongijskie wojsko – oznajmił Ndaye, patrząc przez lunetę.
– Śmigłowiec nie ma znaku naszych sił powietrznych, żółtej gwiazdy w niebieskim kółku.

– W takim razie to jakaś inna grupa ratunkowa – powiedział Benjie. – Czy to ważne, kto ratuje nam dupę?

Ndaye pokręcił głową i opuścił karabin.

– Coś jest nie w porządku – skwitował.

Nad rzeką Tshopo przetoczył się grzmot i zamiast ucichnąć, stawał się coraz głośniejszy. Rozdzielił się na wyraźny dźwięk dudniących wirników.

Następny śmigłowiec.

Wszyscy zwrócili wzrok w dół rzeki. Nad wzburzonymi wodami powodziowymi leciała duża maszyna, z mnóstwem świateł, z których część migiała.

Ndaye spojrzał przez lunetę i wyregulował ostrość. Jego ramiona się napięły.

– To śmigłowiec FARDC. Z naszych sił powietrznych.

Za pierwszą maszyną nad nadrzeczną dżunglą leciała druga, mniejsza. Zdecydowanie przysłali kawalerię.

Benjie poczuł ulgę, gdy pierwszy śmigłowiec FARDC dotarł do wioski. Wskazał wyjście z chaty.

– Teraz możemy już iść? – spytał.

– Padnij! – zawołał Ndaye, odpychając go na bok.

Odtaczając się od progu, Benjie zauważył ognisty błysk w pobliżu maszyny, która wylądowała wcześniej, i dymiącą białą smugę wijącą się przez noc. Po chwili nadlatujący śmigłowiec eksplodował w oślepiającej kuli ognia. Wybuch wstrząsnął chatą z blachy falistej. Śmigłowiec FARDC zadygotał w powietrzu i runął w ciemną wodę.

Ndaye złapał Benjiego za koszulę i pociągnął do drzwi.

– Nie możemy tu zostać – rzucił, wskazując ciemną wioskę.

Zbliżały się do nich światła kilku latarek omiatające zalane domy.

Godzina 23.47

Powalona na kolana przez wybuch Charlotte patrzyła na wrak płonący w rzece. Usiłowała zrozumieć, co się dzieje. Klatka piersiowa bolała ją od huku, a wszystko wokół przycichło w jej uszach do stłumionego brzęczenia.

Inni leżeli wokół niej.

Spojrzała na żołnierza z megafonem: przykładał lufę pistoletu do tyłu głowy Kendiego, gdy ten dźwigał się na nogi. Mimo przytępionego słuchu usłyszała głośny trzask. Głowa Kendiego poleciała do przodu, pociągając za sobą całe ciało. Martwy strażnik padł w jasno oświetlone błoto.

– Zabierzcie wszystkich na pokład! – zawołał dowódca do żołnierzy.

Zszokowana Charlotte nie była w stanie w żaden sposób zareagować.

Znad rzeki dobiegły strzały. Gdy drugi śmigłowiec – podobna do szerszenia mniejsza wersja pierwszego – wzbił się wysoko i zaczął ostrzeliwać ciężkim ogniem linię brzegową, pomknął ku niemu z ziemi pocisk. Zwrotna maszyna w ostatniej chwili uniknęła trafienia, ale nagły manewr zakłócił jej celność i wystrzelony spod kadłuba pocisk wybuchł w zalanej wiosce, wyrzucając w powietrze fontannę wody i płomieni.

Z ziemi wystrzelono kolejne pociski w tańczący nad rzeką śmigłowiec. W jego ogon uderzył granat o napędzie raketowym i wprowadził w dziki spiralny ruch. Pilot walczył o utrzymanie się w powietrzu, lecz te wysiłki okazały się daremne. Maszyna obracała się i opadała, wlokąc za sobą smugę dymu. Gdy uderzyła w ziemię na brzegu rzeki, na skraju wioski, wzniosły się kłęby czarnego dymu i wir płomieni.

Charlotte właśnie unosiła rękę do twarzy, kiedy ktoś złapał ją i pociągnął do otwartych drzwi śmigłowca. Corta nie trzeba było ponaglać. Przerażony strzelaniną i wybuchami, co sił w nogach gnał do maszyny.

Wysoki dowódca podszedł do Disanki, która kuliła się na czworakach, osłaniając syna. Uniósł pistolet i przywołał jakiegoś żołnierza.

– Zabierz dziecko. Kobiety nie potrzebujemy.

Nie! Charlotte wyrwała się, pobiegła do Disanki i zasłoniła ją własnym ciałem. Nie miała pojęcia, dlaczego chcą tej kobiecie zabrać dziecko, ale gorączkowo zastanawiała się, jak uratować matkę. Uniosła ręce.

– On jest karmiony piersią! – zawołała. – Jeśli zależy wam na chłopcu, musicie zabrać też matkę.

Mężczyzna z megafonem spojrzał na nią twardo, po czym skinął głową.

– Brać oboje na pokład. – Odwrócił się. – Ale nie potrzebujemy dodatkowego obciążenia.

Podszedł do Byrnego, który kulił się na klęczkach, przytulając okaleczoną rękę do piersi. Szwajcar uniósł wzrok i zobaczył pistolet przed swoim czołem. Może był w szoku, a może pogodził się z losem, w każdym razie nie okazał strachu.

Gdy padł strzał, Byrne poleciał do tyłu.

Charlotte zatoczyła się, z trudem chwytając powietrze; świat wirował wokół niej. Skupiła uwagę na Disance, którą żołnierze ciągnęli do śmigłowca. Poszła za nią i jej synem i pozwoliła się wepchnąć do tylnej kabiny.

Tam zobaczyła dziwny widok.

Przez drugie drzwi wyrzucano ciała. Wysoki Kongijczyk, ten podobny do dowódcy z megafonem, dyrygował roznoszeniem ich w różnych kierunkach. Z nieruchomych ramion zwisały stare karabiny, niektóre owinięte taśmą klejącą. Martwi mieli na sobie różne mundury, brudne i podarte.

Zaczęła rozumieć: chcą urządzić to tak, żeby wyglądało na atak sił milicyjnych.

Żołnierz pchnął ją na ławkę i kazał zapiąć pasy. Charlotte najpierw pomogła Disance. Cort siedział sztywno naprzeciwko niej. Jego twarz lśniła od potu, oczy miał nieruchome – nawet nie mrugnął.

Na zewnątrz wysoki biały żołnierz podniósł radio do ust.

– Jakież ślady tamtych? – spytał.

Charlotte nie słyszała odpowiedzi. Spojrzała na wrak tłący się na brzegu. Wokół płonęły oleiste ogniska. Płomienie szybko się rozprzestrzeniały, przeskakując z chaty na chatę. Strzechy dymiły i płonęły.

Modliła się w duchu, żeby reszta uciekinierów pozostała w ukryciu.

– Wszyscy na pokład! – zawołał dowódca przez megafon. – Startujemy za pięć minut.

Chwilę później deszcz przeszedł w ulewę, a wiatr przybrał na sile. Błyskawice goniły się w chmurach; w rzekę nieopodal uderzył piorun. Grzmot wstrząsnął śmigłowcem.

– Już! – wrzasnął wysoki żołnierz. – Startuj!

Godzina 23.52

Benjie płynął do następnej chaty. Dach i mniej więcej jedna czwarta ścian sterczały nad wodą. Niezbyt stabilną konstrukcją kołysały prądy. Kiedy się do niej zbliżał, duży kawałek sklejki oderwał się od ściany i odpłynął, unoszony przez czarną wodę. Szybko zniknął w zadymionej nocy.

Powierzchnię wody siekł gęsty deszcz.

Za nimi rozprzestrzeniał się w wiosce pożar, zbyt gwałtowny, by deszcz mógł go ugasić. Płomienie goniły ich, spychały coraz dalej od brzegu.

Nagle za plecami Benjiego rozległ się niski ryk.

Obrócił głowę. Z dymu wynurzał się śmigłowiec. Jego podmuch niósł w stronę wioski płonące kawałki strzech i drewna.

Odlatują, pomyślał Benjie w chwili, gdy obok niego pojawił się Ndaye i nagle pomachał ręką.

– Szybko – rzucił. – Schowaj się.

Za nim płynął Faraji.

Benjie nie miał pojęcia, o co chodzi, ale wiedział, że lepiej nie wypytywać strażnika. Tego wieczoru Ndaye już wiele razy udowodnił, że ma rację. Młody doktorant wyteżał więc ramiona, walcząc z prądem i szukając w sobie siły, by dotrzeć do następnego schronienia.

Kiedy w końcu znalazł się przy małej chacie, chwycił się desek i dostał do środka. Ndaye i Faraji dołączyli do niego kilkanaście sekund później.

– Co teraz? – wydyszał Benjie.

– Zależy od nich – odparł Ndaye, który zatrzymał się blisko wejścia.

Benjie wyjrzał na zewnątrz. Zobaczył, że śmigłowiec zwiększył wysokość i powoli leci nad płonąca wioską. Modlił się, żeby maszyna zniknęła. Niestety, skręciła i sunęła po łagodnym łuku nad ciemną częścią wioski. Z boku buchnęła krótka smuga ognia. Coś przemknęło w powietrzu i z grzmiącym hukiem uderzyło w rząd chat. Kula ognia ogarnęła kilka z nich i je unicestwiła.

– Pocisk Hellfire – jęknął Ndaye. – Zniszczą tu wszystko.

Doktorant z trudem przełknął ślinę, patrząc na wątle drewniane krokwie pod strzechą.

– Może ominą tę chatę.

– Widziałem, że mają sześć pocisków – powiedział strażnik, kręcąc głową.

A to oznaczało, że zostało im jeszcze pięć.

Benjiemu się to nie podobało.

Ndayemu też nie. Podskoczył, chwycił się żerdzi nad głową i zawisł na niej.

– Co robisz?! – zawołał Benjie.

– Spływamy stąd.

– Jak?

Ndaye dał znak, by zrobili to samo co on, po czym zaczął się kołysać, uderzając stopami w ścianę. Benjie zrozumiał, bo przypomniał sobie oderwany kawałek sklejki niesiony przez prąd. Jeśli udałoby im się wybić fragment ściany i użyć go jako tratwy, mogliby uciec w dół rzeki.

On i Faraji zawisli na krokwi po obu stronach strażnika. Kiedy we trzech huścili się i kopali w ścianę, chatą i otaczającą ją wodą wstrząsnęła

kolejna potężna eksplozja. Nad wezbraną rzeką przetoczyły się kłęby dymu.

Kopali z całej siły, lecz ściana nie chciała ustąpić. Tymczasem śmigłowiec musiał być coraz bliżej, bo jego ryk się nasilał.

– Musimy to zrobić razem – wysapał Benjie. – Jednocześnie.

Ndaye zwolnił i rozpoczął odliczanie. Na trzy trzasnęli podeszwami butów w ścianę. Nieco ustąpiła, częściowo wyrwana z gwoździ, a do tego szarpał ją nurt.

– Zróbmy to jeszcze raz – rzucił Benjie.

Znowu się rozkołysali i nagle żerdź pękła pod ich ciężarem. Wszyscy wpadli do wody. Plując i parszając, Benjie złapał odłamany kawałek żerdzi i rzucił się do nadwątlonej ściany. Wcisnął żerdź w wąską szczelinę i zaparty nogami o sąsiednią ścianę, próbował poszerzyć otwór.

Faraji podpłynął, żeby mu pomóc, a Ndaye znalazł drugą część żerdzi i zaatakował ścianę w drugim kącie. Drewno jęczało, ale uparte gwoździe nie chciały puścić.

Nagle świat eksplodował i obok drzwi przemknęły płomienie. Do środka wdarł się duszący dym. Chata zadygotała i chwilę później wielka fala podniosła poziom wody.

Benjie, który nie puścił żerdzi, poczuł luz, gdy fala uderzyła w ścianę. Pod jej naporem runął cały bok chaty.

– Wsiadać! – ryknął Ndaye.

Gdy drewniana ściana osiadła na wodzie, Benjie i Faraji wgramolili się na nią. Prąd natychmiast porwał prowizoryczną tratwę.

Gdy Ndaye do nich płynął, Benjie położył się na brzuchu i wyciągnął do niego żerdź. Kongijczykowi udało się ją złapać dopiero przy drugiej próbie. Przesuwał się, przekładając na niej dłonie, podczas gdy rzeka szarpała go i obracała prowizoryczną tratwę.

Podjął ostatni wysiłek i wciągnął się na nią. Wszyscy leżeli płasko na sklejce, z szeroko rozłożonymi rękami i nogami, żeby była jak najbardziej stabilna. Prąd niósł ich na środek rzeki. Nad wodą zalegała warstwa dymu, zbyt gęsta, by mogły ją rozproszyć deszcz i wiatr.

Benjie odwrócił głowę i dostrzegł śmigłowiec w tym całunie.

– Musimy dobić do brzegu! – zawołał Ndaye, przekrzykując szum rzeki.

– Dlaczego? I jak? – spytał Benjie. – Nie mamy wiosła.

– Musimy spróbować.

Faraji patrzył przed siebie wielkimi oczami.

Młody doktorant nagle coś usłyszał: szum rzeki przechodził w ryk wielkiej bestii.

O nie, pomyślał. Przypomniał sobie, że wioska jest połączona ze światem jedynie drogą powietrzną albo zrytym koleinami traktem gruntowym. Droga wodna nie wchodziła w rachubę, bo kilkaset metrów dalej seria wodospadów i katarakt zamieniała rzekę w maszynkę do mielenia mięsa. Przez powódzie ten potwór stał się jeszcze dzikszy.

Benjie spojrział na przemykające coraz szybciej ciemne obrzeża dżungli. Tratwa kołysała się i podskakiwała.

Niebo rozdarła błyskawica.

Potwór ryczał z furii, czekając na nich.

Prowincja Tshopo, Demokratyczna Republika Konga

23 kwietnia, godzina 23.48 czasu miejscowego

– Pioruny wałą jak szalone! – krzyknął Frank i oparł policzek o okno w kabinie śmigłowca, które wibrowało pod wpływem niskiego dudnienia. Jasne błyski rozświetlały ciemność przed nimi. Zmrużył oczy, patrząc na czerwonawą łunę daleko w górze rzeki.

Co się tam dzieje? – zastanawiał się. Czyżby błyskawica wznieciła pożar lasu?

Niewielka aérospatiale gazelle zaczęła kołysać się w powietrzu, gdy wiatr się wzmógł. Lecieli wzdłuż ciemnej rzeki. Pod nimi woda pieniała się na kataraktach, uderzała w czarne skały i spadała ze stromych stopni. Reflektory śmigłowca omiatały gęstą mgłę skłębioną przez pęd rzeki.

– Burza zdecydowanie się nasila – powiedział siedzący po drugiej stronie kabiny Tucker, który też patrzył w okno.

Na ławce pomiędzy nimi leżał Kain. Zwinięty w kłębek, najwyraźniej nie przejmował się wstrząsami i nagłymi zmianami wysokości. Nic dziwnego, był przecież zaprawionym w boju weteranem. Miał za sobą niezliczone loty, znał z doświadczenia wymianę strzałów i wybuchy min pułapek. Frank patrzył na niego okiem weterynarza, który przez lata zajmował się psami wojskowymi. Zszywał im rany szarpane, robił przeszczepy skóry, leczył oparzenia, amputował strzaskane kończyny i zbyt

często okrywał psie ciała flagą. Niewielu doceniało lojalność tych czworonożnych żołnierzy. Psy ponosiły ofiary i narażały się na trudy nie z pobudek politycznych czy patriotycznych, ale z prostszego powodu. Płynącego prosto z serca, przekutego w nierozzerwalną więź.

Frank spojrział na przyjaciela – nawet teraz ręka Tuckera spoczywała na boku partnera, bo ta więź działa w obie strony – i zmierzwił sierść Kaina. Wyczuł pod nią stare blizny, stwardniałą mapę przeszłości czworonożnego żołnierza. Zwrócił uwagę na blizny na policzku Tuckera. Obaj przeżyli, wynosząc z wojny rany i blizny, związani ze sobą sercem, dzieląc stratę i smutek, ale także radość z towarzystwa. Frank cieszył się, że tych dwóch dopuściło go do siebie, nawet jeśli był dla nich tylko kimś w rodzaju dalekiego krewnego. W Iraku Tucker chętnie zaakceptował go jako członka ich stada, za co Frank – czarny oficer – był mu wdzięczny, bo w wojsku nadal nie brakowało uprzedzeń i dyskryminacji. Podczas pierwszej wojny światowej w Armii Amerykańskiej służyło tylko pięciu czarnoskórych weterynarzy. Dziś proporcje wyglądają znacznie lepiej, choć wciąż nie są takie, jakie być powinny. Zresztą dotyczy to nie tylko wojska, ale też ogólnie zawodu lekarza weterynarii. W Stanach czarni weterynarze stanowią tylko nieco więcej niż dwa procent przedstawicieli tej profesji. I może właśnie dlatego Frank tak zbliżył się z Tuckerem: obaj trochę odstawali od wszystkich innych w wojsku.

Gazelle gwałtownie podskoczyła, przywołując go do teraźniejszości. Zacisnął rękę na pasach, bo tylko one trzymały go na miejscu, i znowu spojrział w okno. Zostawili za sobą ostatnią kataraktę i lecieli nad rzeką Tshopo, szeroką w tym miejscu na kilkaset metrów, z czarną dżunglą po obu stronach.

Właśnie oświetliła ją błyskawica. Trzask pioruna był tak silny, że wstrząsnąłabiną.

Tucker pochylił się w stronę pilota zgarbionego nad sterami tak, że niemal dotykał nosem zalanej deszczem przedniej szyby. Małe wycieraczki pracowały jak szalone, walcząc z zacinającą ulewą.

– Jakież wieści od forpoczty?! – krzyknął Tucker do znękanego mężczyzny.

Pilot pokręcił głową.

Gazelle wystartowała dwadzieścia minut po dwóch śmigłowcach FARDC. Jak dotąd tamci nie nawiązali łączności. Nie nadeszły żadne wieści – dobre albo złe – o stanie ONZ-owskiego obozu pomocy humanitarnej.

Tucker ze ściągniętymi brwiami obrócił się do Franka z malującym się na twarzy pytaniem: „Lecimy dalej czy zawracamy?”.

Odpowiedź napłynęła z zewnątrz.

Nad nimi i wokół nich rozbłysła oślepiająca błyskawica. Niebo rozcinały łańcuchy trzaskającego ognia pędzącego po brzuchach chmur. Rozjarzony piorun uderzył w rzekę przed nimi, wypalając swój obraz na ich siatkówkach.

Sekundę później śmigłowcem wstrząsnął ogłuszający trzask, jakby próbował strząsnąć maszynę z powietrza. Pilot zmagał się ze sterami, gdy gazelle pochylała się i podskakiwała. W końcu zaklął głośno i skręcił, żeby oddalić się od rosnącej przed nimi ściany nawałnicy.

Frank zaciskał ręce na ławce i pasie bezpieczeństwa.

Nie winił pilota za tę decyzję. Nie mogą lecieć dalej. Załogi dwóch śmigłowców FARDC ocenią sytuację w obozie. Prawdopodobnie zdążyli tam dotrzeć przed uderzeniem burzy i zostali uziemieni na noc. On i Tucker dołączą do nich rano.

Skorygował w głowie swój plan. Zamiast zbierać próbki, wykorzysta resztę nocy na przygotowanie mobilnego laboratorium na Uniwersytecie

Kisangani. Dzięki temu zaraz po pobraniu rano próbek w obozie będzie mógł przystąpić do ich analizowania.

Może to nie będzie strata czasu, przemknęło mu przez głowę.

Rozluźnił się, gdy gazelle ostro skręcała nad skrajem dżungli, szykując się do powrotu na lotnisko.

– Zaczekaj! – zawołał Tucker, łapiąc pilota za ramię.

Ten spojrzał na niego gniewnie przez ramię.

Tucker wyciągnął rękę w stronę rzeki.

– Patrz! Tam jest światło. Na wodzie.

Pilot, nie namyślając się długo, skierował śmigłowiec w stronę ciemnej rzeki. Frank przycisnął policzek do szyby i patrzył przed siebie, w stronę wskazaną przez przyjaciela. Nieoświetlona przez śmigłowiec woda była zupełnie czarna.

Zmrużył oczy.

Nic nie widzę, zdążył pomyśleć, gdy zamrugało światło kołyszące się nad powierzchnią rzeki i odbijające się w smaganej deszczem wodzie.

– Widzę! – krzyknął.

Tucker wciąż trzymał pilota za ramię, patrząc przed siebie.

– Ktoś tam jest – powiedział.

Godzina 23.52

Benjie odetchnął z ulgą i w końcu opuścił na tratwę rękę, w której trzymał małą latarkę. Zadrzał i nie próbował walczyć ze szlochem.

Ndaye zaryzykował i przesunął się odrobinę na prowizorycznej tratwie, by poklepać go po nodze. Faraji leżał rozplaszczony bliżej „dziobu”; jego usta poruszały się w bezgłośnej modlitwie, albo dziękczynnej, albo wciąż błagalnej. Minutę temu zauważyli zbliżający się do nich śmigłowiec, jasno

oświetlony w burzowym mroku. Benjie wyjął z kieszeni latarkę i machał nią dziko, by przyciągnąć uwagę. Nie wiedział, czy ci na górze są przyjacielami, czy wrogami, ale nie dbał o to. Ta maszyna była ich jedyną nadzieją na ucieczkę z rzeki, zanim tratwa dotrze do śmiercionośnej katarakty.

Benjie martwił się, że jego wysiłki idą na marne, bo śmigłowiec leciał wzdłuż rzeki, nie zmieniając kursu ani nie zniżając lotu. Najwidoczniej nikt nie zauważył sygnału z tratwy. Obawiał się, że światła maszyny uniemożliwiają dostrzeżenie nikłych błysków na rzece.

A kiedy świat wybuchł oślepiającą kaskadą błyskawic i w rzekę za ich plecami uderzył piorun, Benjie patrzył z rozpaczą, jak maszyna zawraca, robiąc szeroki łuk nad dżunglą.

Wróciła jednak po chwili i leciała prosto na nich, szybko zmniejszając wysokość. Gdy znalazła się nisko nad rzeką, otworzyły się drzwi i spłynęła z nich drabinka sznurowa. Targana burzowym wiatrem, tańczyła i trzaskała jak zerwana linia energetyczna.

Jak mamy ją złapać? – zastanawiał się Benjie, patrząc na Ndayego i licząc na jakąś wskazówkę.

Strażnik tylko się skrzywił. Tratwa podskakiwała, kołysała się i wirowała, niesiona nurtem, który w każdej chwili mógł ją wywrócić. Co gorsza, pędziła coraz szybciej.

Faraji, wpatrzony przed siebie, nie zwracał uwagi na powiewającą we wszystkie strony drabinę.

Ryk wody zagłuszył warkot silników podchodzącego do nich śmigłowca.

Kończy nam się czas... i rzeka, pomyślał Benjie.

Godzina 23.53

Tucker zacisnął rękę na uchwycie obok otwartych drzwi. Patrzył w dół, gdy maszyna zbliżyła się do ludzi uwięzionych na wodzie. Pilot zapalił reflektor i skierował go na rozpadającą się tratwę, do której przywierały trzy osoby. Drabinka kołysała się nad nimi dziko. Jej dół był obciążony, ale nie na tyle ciężki, by oprzeć się sile wichury.

Tym trzem na dole niełatwo będzie ją złapać... jeśli to w ogóle możliwe.

I to nie jest jedyny problem, zdał sobie sprawę Tucker, gdy spojrział na południe. Kłębiąca się mgła oznaczała wir w dole rzeki.

Pokręcił głową.

Pieprzyć to!

Obrócił się i opuścił nogi na szczeble drabinki.

– Co robisz?! – wrzasnął Frank.

– Potrzebujemy kotwicy! – W postaci mnie, dodał w myślach Tucker.

Kiedy zaczął schodzić, Kain zeskokczył z ławki. Jego partner spojrział mu w oczy.

– ZOSTAŃ – rozkazał stanowczym tonem, bo wiedział, że pies jest gotowy pójść za nim wszędzie.

Ale nie tym razem.

Kain usiadł w drzwiach z nieszczęśliwą miną.

– Wybacz, stary – mruknął Tucker.

Gdy opuścił helikopter, uderzył w niego wiatr. Drabinka poniżej odchyłała się od śmigłowca. Zacisnął ręce na szorstkich plastikowych szczeblach i odczekał chwilę, by przystosować się do jej kołysania, po czym zaczął schodzić.

Frank wrzasnął, ale nie do niego.

– Ustabilizuj ten cholerny śmigłowiec!

Tucker, wiedząc, że pilot robi, co w jego mocy, miotał się na drabince. Na szczęście nie było to jego pierwsze rodeo. Podczas wojny wykonywał z Kainem różne zadania: brał udział w operacjach poszukiwawczych, ratunkowych, infiltracyjnych; większość ich misji polegała na przeprowadzaniu tak zwanych eksfiltracji, czyli tajnej ewakuacji ważnych celów z terytorium wroga.

Spojrzał między swoje stopy i zobaczył wykrzywione z przerażenia twarze. Nie wiedział, kto jest na dole, był jednak ich największą nadzieją, więc stali się dla niego wystarczająco ważni.

Był coraz niżej. Jego ciężar zmniejszył kołysanie się drabinki, ale nie do końca. Był szczupły, bardziej podobny do rozgrywającego niż do szarżującego zawodnika w futbolu. W tym momencie z zadowoleniem powitałby całą linię obrony, by pomogła mu unieruchomić drabinę.

W końcu dotarł na dół. Zacisnął ręce na szczeblu i opuścił nogi ku tratwie. Podmuch spod łopat odpychał deszcz i spłaszczał wodę poniżej. Noski butów Tuckera szorowały po tratwie – płytach ze sklejki przybitych do kilku poprzecznych żerdzi – i po plecach trzech leżących na niej postaci. O mało nie kopnął w twarz chłopca.

Słyszał krzyki Franka, ale słowa tonęły w ryku.

Drabinka obniżyła się na tyle, że w końcu stopy Tuckera znalazły się na tratwie i złapały trochę przyczepności. Kongijski żołnierz w zielonym kamuflażu chwycił go za kostkę, po czym zwrócił się do sąsiada:

– Idź!

Najbliższa postać, młody mężczyzna w przemoczonym białym kombinezonie, podniósł się na czworaki. Nawet ten manewr wydawał się niebezpieczny na rozchybotanej tratwie. Mężczyzna wyciągnął drżącą rękę w stronę najniższego szczebla. Chwycił go przy drugiej próbie i przez chwilę wisiał na nim.

– Właź! – ryknął Tucker. Wiedział, że facet jest wyczerpany i przerażony, ale nie było czasu na wahanie.

Ten w białym kombinezonie chyba zrozumiał, bo podskoczył, prawie wywracając tratwę. Wchodząc po drabince, deptał Tuckerowi po palcach dłoni.

Kongijczyk, który wciąż trzymał za kostkę ich zbawcę, odwrócił głowę w stronę dwunasto-, może trzynastoletniego chłopca.

– Faraji! Jazda! – zawołał.

Dzieciak wspiął się na niego, żeby dostać się do drabinki. Kiedy się wyprostował, tratwa zakołysała się. Chłopiec dziko wymachiwał chudymi rękami, by nie stracić równowagi. Trzymając się jedną ręką drabinki, Tucker drugą chwycił go za nadgarstek i uratował przed upadkiem.

Gdy szarpnął go za rękę, z drugiego ramienia chłopca zsunął się mały plecak, spadł na tratwę i stoczył się do wody.

Zrozpaczony dzieciak krzyknął i wyrwał się mężczyźnie. Skoczył za odpływającym plecakiem i zniknął z pluskiem w wartkiej wodzie.

Chryste Wszchemogący, westchnął w duchu Tucker.

Kongijski żołnierz podniósł się na kolana, jakby gotów rzucić się za chłopcem, ale był wyraźnie wyczerpany. Tucker chwycił go za kołnierz i przyciągnął do drabinki.

– W górę! – zawołał. – Już!

Żołnierz zacisnął ręce na szczeblu, bardziej posłuszny instynktowi przetrwania niż rozkazowi.

– Wspinaj się! – nakazał mu Tucker, po czym skoczył głową do wody i zaczął płynąć do podskakującego na falach chłopca. Ten odzyskał plecak i próbował płynąć pod prąd. Nie miał jednak szans dotrzeć do tratwy.

Tucker utkwiał wzrok w małej postaci uderzającej rękami w ciemną wodę. Za nim światła śmigłowca rozpraszały się w skotłowanej ścianie

mgły. Chłopiec walczył, ale nurt niósł go szybko w kierunku katarakty, a Tucker płynął za nim. Dzięki sile pomagającej mu wody dosięgnął chłopca po kilku wyrzutach ramion. Nurt o mało nie poniósł go obok niego. Tucker chwycił koszulkę chudego chłopca, ścisnął ją w garści i przyciągnął go do siebie.

– Złap się! – krzyknął.

Nie miał pojęcia, czy dzieciak zna angielski, ale drobne ramiona owinęły się wokół jego szyi, niemal go dusząc.

Odwrócił się i walczył z prądem, który okazał się znacznie silniejszy, niż przypuszczał. Porzucona tratwa przemknęła obok niego i zniknęła w ryczącej mgłę.

Śmigłowiec leciał w ich stronę, ciągnąc za sobą drabinę. Mężczyzna w białym kombinezonie zbliżał się do jej szczytu. Drugi został na dole – wisiał głową w dół, zahaczony o szczeble nogami. Wyciągał ręce ku rzece, zamierzając ich złapać.

Dlaczego sam na to nie wpadłem? – przemknęło przez głowę Tuckera.

Płynął co siłą, ale nie był w stanie nawet utrzymać się w miejscu. Helikopter ścigał ich, targany wiatrem. Niebo przecięła błyskawica. Jeśli towarzyszył jej grzmot, to Tucker go nie słyszał. Cały świat wypełniał ryk rzeki.

Stracił z oczu śmigłowiec i drabinę, bo nurt wciągnął go w mgłę. Walczył, ale to było daremne. Nagle mgła wokół niego rozbłysła i zobaczył cień sunący nisko w jego stronę.

Wyciągnął rękę.

Pojawiła się drabinka. I zwisający żołnierz. Opuszczone ręce mężczyzny orały wodę. Tucker zrezygnował z walki z nurtem i ustawił się tak, by znaleźć się na drodze czarnego mężczyzny. Przez moment patrzyli sobie w oczy, a potem się zderzyli.

Tucker zgarnął wodę rękami, wybił się i objął tors mężczyzny. Ten chwycił go w talii.

Rzeka się oddalała, gdy śmigłowiec się wznosił. W dole spieniona kaskada spadała po skałach i progach. Tucker trzymał się mocno, zwarty z dygoczącym z wysiłku żołnierzem.

– Wspinaj się, mały! – wrzasnął do chłopca, który wciąż wisiał mu na plecach, uczepony jego szyi. – Po mnie!

Palce stóp dzieciaka wbiły się w plecy Tuckera i po chwili zyskały oparcie na pasku jego spodni. Chłopiec zdjął najpierw jedną rękę z szyi mężczyzny, chwycił szczebel, a potem zrobił to samo z drugą. Gdy już zwinnie wdrapywał się po drabince, jego wybawca szybko złapał pierwszy szczebel nad głową i ruszył za chłopcem. Żołnierz pomimo wyczerpania zgiał się w pasie niemal jak scyzoryk, dosięgnął rękami szczebla, uwolnił stopy i zaczął się wspinać.

Miotana wiatrem drabinka wciąż się kołysała, ale wszyscy dotarli bezpiecznie do śmigłowca, który wisiał ponad mgłą.

Pierwszy na jego pokładzie był chłopiec, a potem Tucker wciągnął się na pokład i pomógł żołnierzowi. Padli jeden na drugiego i po chwili precisnęli się do tylnej ławki. Sześć osób – i pies – przekraczało normy przewidziane dla pięcioosobowej gazelle, ale Tuckerowi nie przeszkadzał panujący tu ścisk.

Ani nikomu innemu.

Spojrzał na chłopca tulącego do piersi plecak.

– Chyba naprawdę ci na nim zależy – powiedział zasapany, odgarniając z oczu mokre włosy. – Co tam masz? Pracę domową?

Dzieciak albo go zignorował, albo nie usłyszał w ryku silnika. Nieufnie spojrzał na Kaina.

– Gryzie? – spytał.

Tucker westchnął.

– Tylko wtedy, jak mu każe.

Ta odpowiedź nie uśmierzyła strachu w oczach chłopca.

– Nie martw się. – Tucker poklepał go po kolanie. – Jest przyjacielski.

Chyba że nie jest, dodał w duchu.

Frank pochylił się do przyjaciela i wskazał młodego mężczyznę w białym kombinezonie.

– Musisz usłyszeć, co mi powiedział! O tym, co stało się w obozie!

– Czy to nie może poczekać, aż dotrzemy do Kisangani?

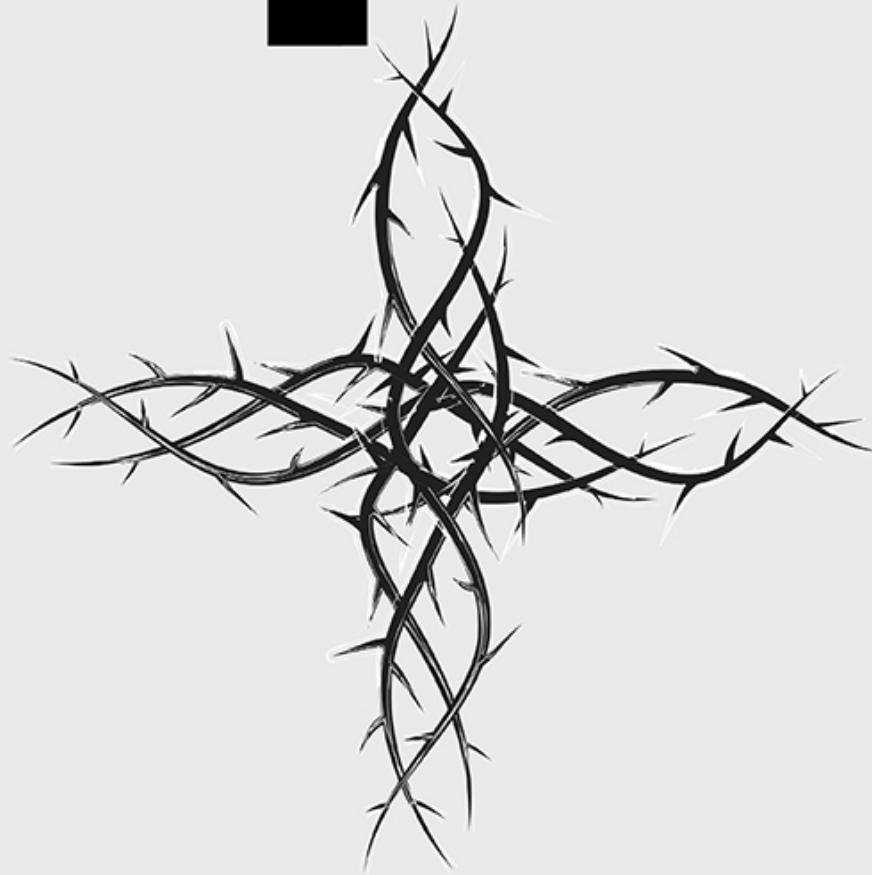
Hałas silnika utrudnia rozmowy, zwłaszcza gdy ma się w uszach wodę z rzeki. Poza tym za dwadzieścia minut będą na lotnisku. A poza tym, jeśli to jest naprawdę coś ważnego, z pewnością są inni, lepiej przygotowani, którzy powinni się tym zająć.

Frank zmarszczył brwi.

– Nie. Musisz posłuchać teraz.

CZEŚĆ DRUGA

UWIKŁANIE



8

Kisangani, Demokratyczna Republika Kongo
24 kwietnia, godzina 6.05 czasu miejscowego

Spóźniliśmy się, pomyślał komandor Gray Pierce.

Pędził przez kampus Uniwersytetu Kisangani, gnany przecuciem nadciągającej katastrofy. W czasie służby w wojsku nauczył się ufać intuicji, a teraz czuł, że sytuacja szybko wymyka się spod kontroli. Rozejrzał się, jakby chciał namierzyć to, co napinało mu nerwy.

Słońce weszło na przemyte przez nocne burze niebo, ale w dali wisiały ciężkie ciemne chmury. Gdzieś spływała z nich mgiełka deszczu, tworząc tęcze nad brązową rzeką Kongo. Prognozy zapowiadały przerwę w monsunowych burzach, przynajmniej na kilka najbliższych dni.

Gray i jego towarzysze przed godziną wylądowali na lotnisku międzynarodowym. Dyrektor Sigmy powiadomił ich o aktualnej sytuacji, o zasadzce w obozie pomocy humanitarnej ONZ-etu i o tym, że Tucker Wayne uratował kilku uchodźców. Mały oddział kongijskich żołnierzy FARDC poleciał tam przed świtem, by zbadać okoliczności ataku, i odleciał w chwili, gdy Gray i jego kompani lądowali. Painter i Kat monitorowali sytuację z Waszyngtonu i obiecali wysłać wiadomość, gdy tylko czegoś się dowiedzą.

Gray i pozostali mieli tymczasem założyć na Uniwersytecie Kisangani bazę operacyjną i przygotować się do przeprowadzenia własnego

dochodzenia w sprawie uprowadzonego zespołu medycznego, a także możliwej epidemii rozprzestrzeniającej się w Afryce Środkowej. Wyobraził sobie atak choroby tutaj, w prawie dwumilionowym mieście, do którego codziennie przybywało coraz więcej uchodźców z okolicznych terenów.

Kisangani leży u zbiegu głównych rzek; łączą się tu Lualaba, Tshopo i Lindi, tworząc potężne Kongo, najgłębszą rzekę świata, pod względem powierzchni dorzecza ustępującą tylko Amazonce. Miasto zostało założone w 1883 roku przez odkrywcę Henry'ego Mortona Stanleya na końcu żeglownego odcinka rzeki. Nazwał je Stanley Fall Station od szeregu potężnych wodospadów, które uniemożliwiały dalszą podróż rzeką. Wybrał to miejsce – później nazwane Stanleyville – również dlatego, że trafiało tu wszystko, co wypływało z ogromnej dżungli.

A to oznaczało, że jeśli w tym regionie szerzyła się choroba, Kisangani znalazło się na jej celowniku.

– To chyba tutaj – powiedział Monk, wrywając się z niespokojnej zadumy. Wyciągnął rękę ze złożonym planem kampusu w stronę dwupiętrowego budynku Wydziału Nauk Ścisłych, zbudowanego z beżowej cegły.

To tam planowali założyć bazę. Tucker i doktor weterynarii, Frank Whitaker, którzy przybyli w nocy, już przygotowywali laboratorium.

– Przynajmniej to miejsce nie wygląda na zapuszczone – burknął Kowalski, wyraźnie zirytowany wczesną pobudką i brakiem czasu na śniadanie.

Przedzierali się zakorkowanymi ulicami przez miasto pełne rozpadających się domów z czasów kolonialnych, czarnych od sadzy i pokrytych graffiti. Ale nie brakowało tu życia i kolorów, zwłaszcza wokół centralnego placu, przy którym stała piękna katedra.

Lisa osłoniła oczy, przyglądając się budynkowi.

– Nie ma obawy – rzuciła. – Wyremontowano go kilka lat temu. Co ważniejsze, jest tam laboratorium o trzecim stopniu bezpieczeństwa biologicznego. Niewykluczone, że będziemy go potrzebować, zanim to się skończy.

– Biorąc pod uwagę, z czym możemy mieć do czynienia, wolałbym poziom czwarty – zauważył Monk. – Coś, co może powstrzymać najgorsze mikroby.

Lisa wsunęła kosmyki jasnych włosów za ucho.

– Doktor Whitaker ma zaufanie do tutejszego wyposażenia. Poza tym kolega z Gabonu obiecał mu dostęp do czwórki, gdyby okazało się to konieczne.

Gray westchnął ciężko. Musi wystarczyć, dopóki nie dowiemy się więcej, pomyślał.

Przypomniał sobie swoje rozmyślenia w samolocie o dewizie misji Sigmy: *Bądźmy pierwsi*. Analizował relację Paintera o ataku i porwaniach w obozie ONZ-etu. To nie mogło być zbiegiem okoliczności. Mimo najlepszych starań ktoś nas wyprzedził, pomyślał.

Gdy znaleźli się przed szklanymi drzwiami budynku, otworzył je ktoś, kogo znali.

– Wygląda na to, że znów jesteśmy w komplecie – przywitał ich Tucker.

Jego partner wyskoczył na powitanie. Machając puszystym ogonem, Kain trącił nosem krocze Kowalskiego.

– Też się cieszę, że cię widzę, stary – powiedział wielkolud, odpychając psa. – Tylko trochę mniej entuzjastycznie.

Wszyscy z Sigmy wymienili uściski dłoni z Tuckerem i pokleпали Kaina.

Tucker gestem zaprosił ich do środka.

– Frank ulokował się na najwyższym piętrze. Jest wiele do zrobienia.

Szybko poprowadził ich przez budynek o powierzchni niemal trzech tysięcy metrów kwadratowych. Kilku studentów spojrzało z zaciekawieniem – nie tyle na nich, ile na towarzyszącego im psa. Na drugim piętrze mieściły się różne laboratoria i pracownie. Tucker zatrzymał się przy drzwiach z klawiaturą numeryczną.

– Mamy to pomieszczenie dla siebie – oznajmił, stukając w podświetlone przyciski. – Dzięki uprzejmości dyrektora.

Otworzył drzwi i wprowadził ich do dużej sali z rzędem okien wychodzących na rzekę. Było to laboratorium biologiczne, wyposażone w wirówki, mikroskopy, spektrofotometry i chromatografy. Wzdłuż trzech ścian stały regały ze szklanymi naczyniami, wysokie lodówki i zamrażarki ze stali nierdzewnej oraz przeszkolony inkubator.

Monk i Lisa rozglądali się z zaciekawieniem podszytym zazdrością; szczególną uwagę poświęcili ciągnącemu się wzdłuż pomieszczenia długiemu stołowi. Błat był zastawiony sprzętem żywcem wyjętym z laboratorium szalonego naukowca. Obok niezliczonych oznakowanych odczynników leżał laptop, na którego ekranie obracała się podwójna helisa DNA.

Lisa wskazała ekran.

– To GenBank, bioinformatyczna baza danych NCBI^[6].

Laptop musiał więc należeć do doktora Whitakera.

Gray zerknął w lewo, gdzie duże okno wychodziło na sąsiednie pomieszczenie. Mała śluza z wiszącymi na kołkach kombinezonami prowadziła do znajdującego się za nią pomieszczenia, które z pewnością było laboratorium o trzecim poziomie bezpieczeństwa.

Tucker poprowadził agentów Sigmy do miejsca, gdzie dwie osoby w fartuchach laboratoryjnych pochylały się pod okapem dygestorium. Doktor Frank Whitaker przywitał ich skinieniem głowy. Stojący obok niego

niski młody człowiek, Benjamin Frey, był doktorantem z Wielkiej Brytanii; zbierał w obozie materiały do pracy doktorskiej, kiedy rozpętało się tam piekło.

Gdy Tucker ich przedstawiał, doktorant przestępował z nogi na nogę, wyraźnie zakłopotany obecnością tylu nieznajomych.

Frank nie stracił pewności siebie, ale chyba był trochę nieufny.

– Właśnie mieliśmy pobrać próbki do badań – oznajmił. – Urządzenie laboratorium trwało prawie całą noc. Spałem może z godzinę.

– Próbki z czego? – zapytała Lisa. – Byłam przekonana, że nie dotarłeś do obozu.

Frank wskazał doktoranta.

– Benjie zdążył zebrać kilka okazów, zanim nastąpił atak. Pokażę wam.

Gray i jego towarzysze stłoczyli się przy dygestorium.

– Stra... Straciłem kilka okazów – powiedział Benjie, obejmując się ramionami. – Upuściłem je albo pękły probówki, ale te udało mi się zachować.

Gray spojrział na trzy probówki ustawione pionowo w stojaku. Myślał, że jedna jest pusta, dopóki nie dostrzegł w niej maleńkiej czerwonawoczarnej kropki. Trzecia zawierała dużego owada o pękatym odwłoku.

– Ocaliłem kilka poczwerek, żołnierza i królową kolonii – dodał doktorant.

Monk uniósł brwi.

– Mrówki? – spytał zdziwiony. – Słyszałem, że opanowały obóz, ale nie rozumiem, co mają wspólnego z potencjalnym patogenem, na który polujecie.

– Może nic – przyznał Frank. – Ale Benjie twierdzi, że zachowywały się dziwnie, zbyt agresywnie. Zauważył, że kilka różnych gatunków wędrowało razem, jakby współpracowały. A to nie jest normalne. Później nastąpił atak pawianów z nietypową dla tego gatunku dzikością. Dlatego zacząłem się zastanawiać, czy nie ma jakiegoś związku, czegoś, co łączy to wszystko.

– Mrówki dotknięte wyniszczającą apatią? – zapytał sceptycznie Monk.

Lisa pospieszyła weterynarzowi ze wsparciem:

– Owady często przenoszą choroby. Komary, muchy, kleszcze, pchły. Doktor Whitaker ma rację. Z pewnością jest to coś, co należy wykluczyć.

Frank skinął głową.

– Poza tym w tej chwili nie mam żadnych innych próbek. Te badania pomogą mi przynajmniej skalibrować sprzęt.

– Frank, musisz podzielić się z nimi tym, co powiedziałeś mi wcześniej – odezwał się Tucker. – Ale ja nie muszę tego drugi raz słuchać. Przyprawileś mnie o ciarki. Pójdę z Kainem po innych, z którymi powinieneś się spotkać. Drzemię w sąsiednim pokoju. – Ruszył do drzwi.

Gdy wychodził, Gray spojrzał na weterynarza.

– Co masz nam do powiedzenia?

Frank ściągnął brwi i spojrzał na niego ze zmartwionym wyrazem twarzy.

– Chodzi o chorobę X.

Godzina 6.28

Monk pochylił się, żeby lepiej widzieć królową mrówek w probówce. Wiedział wszystko o hipotetycznej chorobie X, potworze, którego obawiają się wszyscy eksperci w dziedzinie zdrowia. Po ostatniej pandemii

epidemiolodzy liczą się z tym, że jakiś zdolny do szybkiego rozprzestrzeniania się nieznany patogen może doprowadzić do wybuchu następnej. Szerząca się choroba, której współczesna nauka nie potrafiłaby zapobiec ani leczyć, spowodowałaby katastrofę na skalę globalną.

Czy właśnie z tym mamy do czynienia? – zastanawiał się.

Przypomniał sobie słowa Kat o schemacie rozprzestrzeniania się patogenu, który prawdopodobnie jest przenoszony przez wiatr. Jeśli to prawda, byłaby to tragedia niepodobna do innych.

Gdy Frank im to wyjaśniał, Monk przyglądał się ogromnej mrówce. Była długości jego kciuka i wyglądała na martwą. Postukał palcem w probówkę. Mrówka drgnęła, rozprostowała odnóża i pomachała czułkami, udowadniając, że żyje.

Krzywiąc się z odrazy, Monk zacisnął pięść i cofnął rękę.

Doktorant, który przyniósł królową, zauważył tę reakcję i podszedł do niego.

– Jeśli... jeśli wolno spytać – odezwał się z przeproszającą miną – kiedy stracił pan rękę?

Monk spojrzał na zaciśniętą pięść. Chłopak miał bystry wzrok. Niewiele osób rozpoznawało protezę.

– Kilka lat temu.

Proteza była dziełem zaawansowanej inżynierii agencji DARPA, skonstruowana w taki sposób, że prawie nie różniła się od prawdziwej dłoni. Nawet on często zapominał, że ma sztuczną rękę. Zastosowano w niej najnowsze zdobycze wojskowych technologii. Mikroelektroda wielkości monety, podłączona do jego kory somatosensorycznej, pozwalała mu kontrolować neuroprotezę za pomocą myśli, a nawet czuć to, czego nią dotykał. Co więcej, wyhodowana w laboratorium skóra była znacznie wrażliwsza niż jego ciało.

A to nie wszystko.

Monk sięgnął do nadgarstka i odpiął mankiet utrzymywany na miejscu przez magnetyczne punkty kontaktowe. Położył protezę na blacie dygestorium, po czym siłą woli sprawił, że dłoń podniosła się, stanęła na palcach i podreptała w stronę doktoranta. To była sztuczka, która wytrącała z równowagi większość ludzi, ale Benjie tylko się pochylił.

– Bezprzewodowe biologiczne sprzężenie zwrotne – powiedział. – Eleganckie.

Monk założył protezę; był pod wrażeniem stoicyzmu młodego człowieka i jednocześnie nieco rozczarowany, że nawet nie drgnęła mu powieka. Te dzisiejsze dzieciaki...

Benjie skupił uwagę z powrotem na swoich okazach.

– Wie pan, że biomasa mrówek na świecie jest równa naszej? To oznacza, że zajmują taką samą część kuli ziemskiej co żyjący na niej ludzie.

– Nie, nie miałem o tym pojęcia – odparł Monk, przyzwyczajony do nagłych zmian tematu.

– I są o wiele sprytniejsze, niż większość z nas sobie wyobraża. Weźmy na przykład atty, które zachowują się jak mali rolnicy. Uprawiają grzyby, wydalając antybiotyki, które pomagają w powiększaniu hodowli. Większość rodzajów mrówek kieruje się w swoich wędrówkach polem magnetycznym. Śródmózgowie owadów jest podobne do naszego, zwłaszcza u dużych królowych, jak ta, dzięki czemu mają świadomość i własny złożony świat emocjonalny.

– Owady mają emocje? – Monk przypomniał sobie przekazane mu przez dyrektora Crowe'a informacje o Benjaminie Freyu. Zdiagnozowano u niego łagodną odmianę autyzmu. Monk zastanawiał się, czy to nie jest źródłem jego zainteresowania otaczającym go światem emocjonalnym.

– Oczywiście – rzucił z przekonaniem Benjie. – Owady mają prymitywne emocje. Bez wątplenia znają strach. I złość. – Spojrzał na rozmówcę. – Potrzęsnał pan kiedyś gniazdem szerszeni?

– Rozumiem.

– Wykazują także empatię.

– Empatię? Poważnie?

Monk przyglądał się Benjiemu, gdy ten spod przymrużonych powiek patrzył na królową mrówek. Wielu ludzi uważa, że osobom z ASD brakuje empatii, ale to nieprawda. Choć mają kłopoty z interpretowaniem reakcji emocjonalnych innych. Domyślił się, że ten chłopak sobie z tym nie radzi.

Benjie skinął głową.

– Mrówki Matabele, spokrewnione z mrówkami koczującymi, po wyprawie wojennej zabierają swoich poszkodowanych towarzyszy z pola bitwy. Pielęgnują ich, dopóki ich stan się nie polepszy. Naukowcy wysuwają przypuszczenia, że między innymi dzięki złożonemu światu wewnętrznemu owady były w stanie opracować tak niesamowite strategie przetrwania.

Monk wyczuł, że Benjie zbliża się do celu.

Doktorant dotknął próbówki z królową.

– Dlatego nie należy ich lekceważyć – powiedział. – Podzielam zdanie doktora Whitakera. W jakiś sposób mrówki są częścią tego wszystkiego.

Monk docenił tę okreśną drogę, jaką chłopak obrał, żeby przedstawić swoje racje. Zerknął na doktora Whitakera, który wyraźnie usiłował wytłumaczyć jego towarzyszom to samo, tylko że był przy tym bardzo sfrustrowany. Pocierał czoło między brwiami, co mogło świadczyć o tym, że Lisa bierze go w obroty. Potrafiła wycisnąć informacje z kamienia, jeśli uznała, że to pomoże jej rozwiązać problem.

Witaj w moim świecie, Frank, pomyślał Monk.

Godzina 6.32

Lisa Cummings patrzyła krzywo na Franka Whitakera, bo wyczuwała, że ten człowiek nie toleruje, gdy ktoś wtrąca się w jego pracę, zwłaszcza nieznajomy, a już, nie daj Boże, kobieta. Zbyt wiele uwagi poświęcał Grayowi i właściwie odpowiadał tylko na jego pytania.

Weterynarz miał bystry umysł, ale też klapki na oczach, pewne zakorzenione uprzedzenia, pogłębione prawdopodobnie przez lata służby w wojsku, które przestało być klubem tylko dla chłopców – co nie znaczy, że świat akademicki był wiele lepszy. Lisa walczyła z męskim szowinizmem od czasów studiów medycznych i nie chciała się poddać w tej walce.

Co więcej, Frank Whitaker był badaczem terenowym, przyzwyczajonym do pracy w pojedynkę pod niewielkim lub żadnym nadzorem.

Ale tym razem nie pójdzie mu tak łatwo, postanowiła.

– Doktorze, skąd pańskie przekonanie, że możemy mieć do czynienia z chorobą X? – zapytała.

Westchnął ciężko.

– Nie mówię, że tak nie jest – zaznaczyła Lisa, unosząc rękę. – Proszę o podzielenie się spostrzeżeniami.

Frank odwrócił się w stronę okien i zatoczył ręką szeroki łuk.

– Z tego powodu – rzucił. – Dżungla. Świat boi się wojny biologicznej, niepokoi się, że jakiś mikroorganizm przystosowany do użycia jako broń w taki czy inny sposób wydostanie się z laboratorium wojskowego. Ale lasy deszczowe są najbardziej podstępными biolaboratoriami matki natury. W takim środowisku trwa bezpardonowa rywalizacja o zasoby. Niemal nieskończona liczba gatunków kręgowców, bezkręgowców, roślin

i drobnoustrojów walczy o przetrwanie. To wojna chemiczna i biologiczna, o wiele bardziej zaciekle niż te toczone przez ludzi. Żeby prowadzić tę wojnę, matka natura eksperymentuje z ewolucją, bawiąc się kształtami i rozmiarami. Ale jeszcze intensywniejsze działania odbywają się na poziomie mikroorganizmów. To tam wykuwana jest najbardziej śmiertelna broń biologiczna. I w pewnym momencie matka natura nieuchronnie zwróci ten arsenał przeciwko nam. A kiedy to zrobi, wybraną przez nią bronią będą wirusy.

– Dlaczego akurat wirusy? – dociekała Lisa.

– To gra liczbowa, pani doktor – odparł Frank. – Wirusów jest milion razy więcej niż gwiazd we wszechświecie. Są najliczniejszą formą życia na Ziemi, jeśli w ich przypadku można mówić o życiu.

Gray spojrzał na niego pytająco.

– Co przez to rozumiesz?

Frank skupił na nim wzrok.

– Czy kawałek replikującego się DNA lub RNA, który nie ma źródła energii i nie jest w stanie namnażać się poza organizmem gospodarza, może być klasyfikowany jako żywy? – odpowiedział pytaniem. – Dla wielu wirusy pozostają w szarej strefie między żywym a nieożywionym, między chemią a życiem. Ja podzielam opinię kolegi, który ze względu na zależność wirusów od komórki gospodarza opisał je jako rodzaj życia pożyczonego. Ich liczebność jest najmniejszym problemem.

– Dlaczego? – chciała wiedzieć Lisa. – Co może być gorsze od wszechobecnego zagrożenia?

– Zagrożenie, które bezustannie się zmienia. Wirusy nie tylko są tak liczne, ale też są napędem ewolucji. To małe elektrownie matki natury, narzędzia, których używa do przeprowadzania zmian genetycznych. Wirusy mutują w zawrotnym tempie, miliony razy szybciej niż my. Bezustannie

wymyślają nowe geny i sieją nimi we wszystkie strony. Geny, które atakują DNA gospodarzy i stają się ich częścią, także nas. Jesteśmy produktami inwazji wirusów.

– Może ty – warknął pod nosem Kowalski.

– My wszyscy. Od dawna wiemy, że duża część naszego śmieciowego DNA to tylko fragmenty wirusowych genów, które kiedyś wplątały się w nasz kod i zostały poniesione dalej.

– Mutacje dziedziczne – wtrącił Benjie, który wrócił z Monkiem do grupy.

– Zgadza się – przyznał Frank. – Kiedyś myśleliśmy, że zanieczyszczony jest tylko ułamek naszego kodu, około ośmiu procent, choć to też dużo. I ten procent wciąż rośnie. W dwa tysiące szesnastym w czasopiśmie „Cell” opublikowano wyniki badań, które świadczą o tym, że może to być już osiemdziesiąt procent. Ale niezależnie od tego, czy w grę wchodzi osiem, czy osiemdziesiąt procent, dziś wiemy, że wiele z genów nabytych w wyniku archaicznych inwazji nie jest śmieciowych, ale ma zasadnicze znaczenie dla tego, kim jesteśmy. Gdyby nie dawne infekcje wirusowe, ludzie by dziś nie istnieli.

Gray uniósł brwi.

– Poważnie?

– Doktor Whitaker ma rację – rzuciła Lisa, nie dopuszczając weterynarza do głosu. – Najnowsze badania genetyczne wyjaśniają, dlaczego embrionalne komórki macierzyste są pluripotencjalne, czyli mogą przekształcić się w dowolną inną komórkę. Wynika to z aktywności genu HERV-H, który pochodzi od prastarego retrowirusa. Tak więc nigdy nie doszłoby do rozwoju zarodków, gdyby nie ta dawna inwazja wirusowa.

Frank wyprostował się.

– I jeśli wykonaliśmy skok naprzód w rozwoju – wtrącił – to dzięki innemu wirusowi, który dał nam dar największy ze wszystkich. Ludzką świadomość.

– Chcesz powiedzieć, że jesteśmy mądrzy dzięki grypie? – zachnął się Kowalski.

Frank go zignorował.

– Zostało udokumentowane – ciągnął – że gen Arc, odgrywający istotną rolę w zapamiętywaniu, przechowywaniu informacji i uczeniu się, pojawił się u czworonogów tysiące lat temu wskutek włączenia fragmentu kodu wirusowego. Związane z nim nieprawidłowości pojawiają się często u osób z deficytami neurologicznymi, nawet u osób z autyzmem.

Frank spojrział na Benjiego, jakby skrępowany poruszeniem tego tematu. Ten miał jednak całkiem obojętną minę.

Lisa wykorzystała tę chwilę, żeby zabrać głos.

– Geny wirusowe odgrywają również pewną rolę w naszym układzie odpornościowym. Nawet w walce z rakiem. U pacjentów z białaczką po przejściu grypy dochodzi do znaczącego spadku liczby komórek nowotworowych.

Studiowała te wyniki z powodu niedawnej diagnozy Kowalskiego. Miała nadzieję, że odkryje alternatywne metody leczenia, skuteczne w przypadku jego szpiczaka, i dowiedziała się, że są prowadzone badania nad wykorzystaniem wirusów do zwalczania nowotworów, skupione na zwiększeniu odpowiedzi immunologicznej na atak komórek rakowych.

– Tego nie wiedziałem – przyznał Frank, kiwając głową z pewnym szacunkiem.

Przyjęła jego wyrazy uznania, nawet doceniła to, jak dzielnie przełknął fakt, że przyćmiła go wiedzą.

– Więc, powtarzam, nie byłoby nas, gdyby nie wirusy – wrócił do zasadniczego tematu. – Co więcej, niektórzy genetycy uważają, że wirusy mogą być źródłem życia na naszej planecie.

– Ale dlaczego pan uważa, że ta konkretna choroba ma charakter wirusowy? – drążyła dalej Lisa. – Nie zbadał pan nawet jednego pacjenta.

– Krótki czas inkubacji odnotowany w terenie. Możliwe rozprzestrzenianie się przez wiatr. Potencjalne przyczajenie się w organizmie owada lub ssaka. – Wskazał ręką probówki na blacie dygestorium. – Spełnia wszystkie kryteria. I jak wspomniałem, wirusy są wszędzie i obejmują setki milionów gatunków. My jednak potrafimy zidentyfikować marne siedem tysięcy. To wierzchołek góry lodowej. Szacuje się, że osiemset tysięcy gatunków wirusów zwierzęcych może infekować ludzi.

– Więc, jak powiedział pan wcześniej, to wszystko jest grą liczbową – stwierdziła Lisa.

– Połączmy te liczby ze zdolnością wirusa do mutacji w środkowoafrykańskiej dżungli, a otrzymamy wynik nie do przewidzenia.

– I nie należy lekceważyć tego – wtrącił Benjie – że Kongo jest pełne ewolucyjnych tajemnic. Przyroda zmienia się tu na naszych oczach pod wpływem środowiskowych czynników stresogennych. Kły słoni afrykańskich stają się coraz mniejsze, a nawet zanikają z powodu zagrożenia kłusownictwem. Pokolenia jaszczurek leśnych wykształciły bardziej lepkie stopy do wspinania się po ścianach, gdy zostały zmuszone do życia w miastach. A skoro wirusy mutują w tempie milion razy szybszym, to mamy problem, prawda?

– Nasuwa się pytanie, co będzie, jeśli matka natura uzna, że jesteśmy zbyt dużym stresorem – dodał Frank.

Lisa przypomniała sobie jego wcześniejsze ostrzeżenie.

„I w pewnym momencie matka natura nieuchronnie zwróci ten arsenał przeciwko nam. A kiedy to zrobi, wybraną przez nią bronią będą wirusy”.

Spojrzała na sprzęt Franka rozłożony na stole.

– W takim razie może lepiej wszyscy zabierzmy się do pracy – zaproponowała.

.....

[6] National Center for Biotechnology Information (Narodowe Centrum Informacji Biotechnologicznych).

9

Wyspa Belka, Demokratyczna Republika Konga

24 kwietnia, godzina 6.51 czasu miejscowego

Cofnęłam się w czasie, pomyślała Charlotte, rozglądając się po swoim więzieniu, gdy prowadzono ją przez centralny plac starej kolonialnej osady. Dżungla dawno temu wdarła się na jej teren, niemal ją pochłaniając. Śpiew ptaków i brzęczenie owadów składały się na nieustanny chór, który jakby żądał zwrotu tego miejsca.

Charlotte otarła czoło grzbietem dłoni. Mimo wczesnej pory już panował skwar. Wytężała płuca, wciągając do nich wilgotne powietrze o posmaku zgnilizny i pleśni. Walczyła o każdy oddech, jakby tonęła. Ale nie tylko pogoda utrudniała jej oddychanie. Serce łomotało jej w piersi.

Patrzyła spod przymrużonych powiek na otoczenie.

Wokół porośniętego zielskiem błotnistego placu stało ponad dwadzieścia budynków. Szła z Cortem Jamesonem po krzyżujących się na placu ciągach desek, które chroniły buty przed błotem. Eskortował ich mężczyzna. Inni patrolowali dżunglę albo stali wśród murszejących zabudowań.

Nie zwracała na nich uwagi, dopóki jakiś uzbrojony strażnik nie przeszedł po deskach przy skraju lasu. Przyjrzała się uważnie jego towarzyszowi: wysoki do pasa robot stapał na czterech metalowych nogach z przegubami. Przypominał czarnego psa bez ogona, odartego z ciała do

gołych kości. Tam, gdzie powinien znajdować się łeb, był zwarty krystaliczny pierścień soczewek zwieńczony krótkim karabinem.

Cort też to zauważył.

– Co tu jest grane? – mruknął.

Strażnik pchnął go lufą karabinu, żeby szedł szybciej.

Charlotte przyglądała się otoczeniu, zastanawiając się nad tym samym.

Wszędzie wokół deszcze odsłoniły ceglane i betonowe fundamenty domów. Dziury w starych strzechach zostały załatane arkuszami blachy. Niektóre okna były zabite deskami, w innych tkwiły pozostałości wytłuczonych szyb. Na tym tle wyróżniało się kilka świeżo pobielonych budynków, a między nimi piętrowy pensjonat z balkonami i szeroką werandą. Tam przetrzymywano ich ubiegłej nocy, zamkniętych w małym pokoju z kratami w oknach i łózkami pod ścianą.

Rozglądała się, próbując ustalić położenie. Nadal nie wiedziała, gdzie się znajduje. Podczas nocnego pospiesznego lotu w szalejącej burzy zupełnie straciła orientację. Lecieli niecałą godzinę, co oznaczało, że prawdopodobnie wciąż przebywają w prowincji Tshopo w Demokratycznej Republice Konga.

Gdy w końcu zaczęli opadać ku lądowisku na końcu nabrzeża, zorientowała się, że wylądują na dużej rzecznej wyspie. Zauważyła też rozproszone światła na północnym zachodzie, w głębi dżungli.

Teraz patrzyła w tamtą stronę. Za nieprzeniknioną ścianą zieleni unosił się dym. Słyszała dobiegający stamtąd stłumiony warkot ciężkich maszyn i ciche pobrząkiwanie.

Może to miasto górnicze, pomyślała.

Ale nawet jeśli tak było, nie pomoże jej to określić położenia. W tym kraju jest mnóstwo kopalń, pól naftowych i tartaków. Ta kolonialna osada też nie należała do wyjątków. Setki takich opuszczonych miejsc – faktorii,

małych misji, obozów myśliwskich – było rozsianych po okolicy, dawno zapomnianych i zagarniętych przez dżunglę.

Właśnie mijali stary ceglany kościół z wieżyczką, w której wisiał niewielki dzwon. Przez otwarte drzwi dostrzegła ławki z pustaków i desek.

Za kościołem, na wpół ukryte w dżungli, stały cztery baraki z blachy falistej, udrapowane siatką maskującą. Stał tam też nowy budynek: konstrukcja z pustaków, bez okien, z zielonym metalowym dachem. Nierówna zaprawa między pustakami wskazywała, że wzniesiono go w pośpiechu.

Gdy zbliżyli się do drzwi – uchylonych przez wpełzającego do środka czerwonego węża – powitała ich kakofonia pohukiwania, pisków, skrzeków i miauknięć, której towarzyszył smród odchodów i piżma. Ktoś w środku krzyknął gniewnie.

Strażnik poprowadził ich dalej i na tyłach budynku zobaczyli stos drewnianych skrzyń z wywierconymi w bokach otworami. Zamknięte w nich zwierzęta poruszały się i hałasowały, ale te odgłosy były cichsze, lękliwe. Charlotte dostrzegła dwa ciemne palce wystające z otworu, rozpaczliwie skrobiące deskę. Jeden krwawił, bo próbujące uciec stworzenie zdarło pazur.

Serce ją bolało na widok panującego tu okrucieństwa. Nie wiedziała, dlaczego te zwierzęta zostały schwytane i tu dostarczone. Handel mięsem dzikich zwierząt zawsze był w dżungli opłacalny, podobnie jak kłusownictwo i handel egzotycznymi stworzeniami.

Cort spojrział przez ramię na drzwi budynku.

– To wiwarium – powiedział ponuro.

Popatrzyła na niego. Czy to możliwe? – zastanawiała się. Przeprowadzają tu eksperymenty na zwierzętach?

– Ruszać się – rzucił strażnik szorstkim głosem.

Zerknęła na poganiającego ich uzbrojonego mężczyznę. Był to wysoki kongijski żołnierz, ten sam, który eskortował ich w nocy. Obudził ich bladym świtem i zaciągnął pod prysznic. Tam kazał im się rozebrać, rzucił czyste stroje chirurgiczne i polecił je włożyć. Na śniadanie dał im batony zbożowe i letnią kawę. Charlotte spożyła to w grobowej ciszy.

Podczas lotu podsłuchiwała rozmowy, licząc na jakieś wyjaśnienie ataku. Poznała imię tego żołnierza: Ekon. Jego biały towarzysz, człowiek z megafonem, nazywał się Draper.

Ekon doprowadził ich do jednego z blaszaków i kazał wejść przez drzwi ze sprężynowym samozamykaczem. Znaleźli się w małym pomieszczeniu ogrodzonym od tego, co znajdowało się dalej. Charlotte spojrzała przez okno w przegrodzie i zobaczyła rząd nowoczesnych łóżek szpitalnych ustawionych wzdłuż jednej ściany, a pod drugą szafki i stanowiska robocze ze stali nierdzewnej.

Co tu się dzieje? – głowiła się.

– Ubierzcie się – polecił im Ekon, wskazując medyczne kombinezony ochronne, rękawiczki i ochraniacze na buty.

Zrobili to bez słowa. Charlotte zwróciła uwagę na zakrywające całą twarz maski z systemem wspomagającym oddychanie PAPR, wyposażonym w zasilany bateriami nawiewowy filtr powietrza. Gdy nałożyła maskę, poczuła się jak nurek.

Kiedy oboje byli gotowi, Ekon wepchnął ich do sali z łózkami. Nie wszedł za nimi, tylko przekazał ich koledze. Draper był podobnie ubrany jak oni, z tą różnicą, że miał duży pistolet w kaburze na biodrze.

– *Bienvenue, docteur Girard* – przywitał ją głosem stłumionym przez maskę, po czym skinął głową Cortowi. – Przede wszystkim chcę przeprosić za brutalną ewakuację z waszego obozu, ale przywiązujemy tu ogromną wagę do dyskrecji. Jestem przekonany, że nasza placówka jest znacznie

lepiej wyposażona niż wasza do badania tajemniczej choroby szalejącej w tym kraju.

Charlotte przełknęła ślinę. Naliczyła dwanaście osób w fartuchach i maskach, samych mężczyzn, białych i czarnych. Nosili się z wojskową sztywnością. Była pewna, że nie pracują tu pod przymusem.

Draper poprowadził ich w głąb pomieszczenia.

– W baraku naprzeciwko mieści się w pełni zabezpieczone laboratorium, w którym pracuje drugi zespół. Tutaj koncentrujemy się na badaniach klinicznych. Praca laboratoryjna, leczenie, terapie wspomagające. Obecnie mamy jedenaścioro pacjentów, w różnych stadiach choroby, co pozwala nam badać jej przebieg i tempo rozwoju. Ale wciąż jesteśmy na wczesnym etapie. Jest wiele niewiadomych.

– Jak... jak długo tu jesteście? – wyjąkał Cort.

– Trzy tygodnie.

Gniew na chwilę przytłumił strach Charlotte.

– Od trzech tygodni wiecie o tej chorobie?

– Nie, źle mnie pani zrozumiała. Założyliśmy ten ośrodek cztery tygodnie temu. Pierwszy przypadek zgłoszono nam w marcu, dwa tygodnie wcześniej.

– Więc wiecie o tej chorobie od półtora miesiąca? – Nie mogła pohamować oburzenia. – Dlaczego milczeliście?

– Jak wspomniałem, ważna jest dyskrecja. Jesteście pierwszymi osobami z zewnątrz, które mogą wziąć udział w naszych badaniach. Przeważały głosy, żeby po prostu was zastrzelić.

Cort zbladł i cofnął się o krok.

Draper uniósł dłoń.

– Opowiedziałem się za wykorzystaniem waszych umiejętności i wiedzy. Ucieczka z tej wyspy jest niemożliwa. I poza dyskrecją liczy się również czas. Nie możemy bez końca trzymać tej sprawy w tajemnicy.

– Czego od nas oczekujecie? – zapytała Charlotte.

Wzruszył ramionami.

– Tego, że okażecie się przydatni.

Zrozumiała niewypowiedziane ostrzeżenie. „W przeciwnym razie umrzecie”.

Skrzyżowała ręce na piersi. Nie miała wątpliwości, że współpraca zakończy się tak samo jak odmowa współpracy. W bezimiennym grobie w dżungli. Nie widziała powodu, by pomagać tym ludziom.

Nad jednym z łóżek uniosła się chuda ręka i Charlotte usłyszała swoje imię wypowiedziane głosem pełnym lęku. Odwróciła się i zobaczyła Disankę. Kobieta z plemienia Luba próbowała usiąść. Jedną rękę miała przykutą do metalowej poręczy, drugą przytulała synka. Z oczu Disanki wyzierał strach.

Charlotte odetchnęła głęboko.

Może nie chcę pomagać tym draniom, ale dałam słowo tej kobiecie.

Ruszyła w stronę łóżka, zamierzając spełnić obietnicę. Ogarnęła wzrokiem pacjentów i zabiegany personel. Ktoś wydał mnóstwo pieniędzy, by stworzyć i zabezpieczyć ten tajny ośrodek.

Ale kto? I dlaczego?

Godzina 7.18

Nolan De Coster rozparł się w fotelu za biurkiem. Jego gabinet był na piętrze wyremontowanego pensjonatu na terenie dawnej plantacji kauczuku na wyspie Belka. Dziesięć lat temu przekształcił to miejsce w rustykalny

prywatny obóz wędkarski i myśliwski. Gościł tu ambasadorów, potentatów biznesowych, członków rodzin królewskich i afrykańskich watażków.

Robił wszystko, by rozszerzać swoje wpływy i zachować przewagę nad konkurencją.

Gabinet był wyłożony boazerią z egzotycznego afrykańskiego drewna, bogatej mieszanki hebanu, bubingi i zingany. Na półkach i ścianach pyszniły się maski, nakrycia głowy, rzeźbione misy i steatytowe fetysze z całego kontynentu, niektóre sprzed setek lat. Za biurkiem wisiała bezcenna płytką zaliczana do tak zwanych Brązów z Beninu, pochodząca z królewskich ołtarzy plemienia Oba w Nigerii, a w przeszklonej gablotce spoczywała złota korona, skradziona w Abisynii w XIX stuleciu.

Nolan uważał posiadanie tej korony za zabawne. Gdy goście siedzieli naprzeciwko niego, wyglądało to tak, jakby ten złoty atrybut władzy spoczywał na jego głowie, wyróżniając go jako króla Afryki.

Jego ojciec nie byłby zadowolony z takiej ostentacji, a jednocześnie skrycie zazdrościłby synowi. Był wicehrabią z belgijskiej rodziny królewskiej, może nawet krewnym Leopolda II, niegdyś właściciela tych ziem. Ale gdy Nolan przyszedł na świat, jego rodzina zdążyła przehulać większość majątku i nie miała grosza przy duszy; była bogata jedynie w tytuły. Poza nazwiskiem De Coster ojciec – nauczyciel matematyki w Gandawie – przekazał mu zamiłowanie do liczb. Nolan studiował na Université libre de Bruxelles, gdzie uzyskał doktorat z matematyki stosowanej ze szczególnym uwzględnieniem wzornictwa przemysłowego. Trzydzieści lat później, w wieku pięćdziesięciu sześciu lat, był miliarderem.

Podczas pisania dysertacji, której tematem była matematyka dyskretna w odniesieniu do górnictwa odkrywkowego, dostrzegł niepowtarzalną okazję. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych XX wieku, po pierwszej kongijskiej wojnie domowej, w przemyśle wydobywczym tego kraju

panował chaos. Zorientowany w sytuacji Nolan prawie bez żadnych kosztów zapewnił sobie dziesiątki kontraktów wydobywczych w całym pasie miedziowym Konga. W ciągu następnych dziesięcioleci wykorzystywał te prawa, by rozszerzyć działalność na wydobycie kobaltu, tantalu, koltanu, diamentów i ropy naftowej. Inni próbowali wejść na ten rynek, ale zajmował już mocną pozycję, zapewniającą mu dominację.

Do niedawna...

Kilka lat po drugiej wojnie domowej w Kongu zjawili się Chińczycy. Po walkach infrastruktura kraju leżała w gruzach. Komunistyczne Chiny wjechały tu z taczkami kapitału. Chińczycy sprytnie powiązali budowę nowych dróg, linii kolejowych i zapór hydroelektrycznych z nabyciem praw do wydobywania kopalin. Jedną ręką dawali, a drugą zabierali. Zachodnie firmy nie miały szans w konkurowaniu z molochem państwa komunistycznego. Nawet De Coster Mining & Industry.

Nolan próbował negocjować z Chińczykami, wypracować obopólnie korzystne kontrakty, ale szybko doszedł do wniosku, że to daremne. Rozwój gospodarczy ich kraju opierał się na miedzi i kobalcie, więc bezwzględnie dążyli do przejęcia kontroli nad tymi zasobami.

W końcu zwrócił się o pomoc do Stanów Zjednoczonych, którym oczywiście zależało na pohamowaniu chińskiej ekspansji w Afryce. Ale Amerykanie mieli związane ręce, bo musieli uzależnić pomoc od reform demokratycznych i przejrzystości finansowej. W kraju, który zajmował 168. miejsce na 198 w Indeksie Percepcji Korupcji, przeprowadzenie takich reform nie było możliwe.

Firma De Coster Mining & Industry nie miała takich skrupułów. Jeśli chce się przetrwać, nie można być wybrednym. Nie tylko przymykała oko na wycinkę lasów, zanieczyszczanie środowiska i pracę dzieci – wręcz do tego zachęcała. Nie miała wyboru. Nie było innego sposobu na utrzymanie

się w Kongu. Tymczasem zachodnie korporacje z radością patrzyły na to przez palce, korzystając z kobaltu, koltanu i miedzi do produkcji telefonów komórkowych, akumulatorów i innych zaawansowanych technologicznie urządzeń.

A teraz pojawiła się nowa okazja.

Pukanie do drzwi gabinetu wyrwało go z zadumy.

– Wejść! – zawołał.

Drzwi otworzyły się i wszedł wysoki kapitan Andre Draper, jak zwykle w zielonym stroju maskującym i czarnych butach, z pistoletem Heckler & Koch w kaburze. Francuz dowodził osobistą armią Nolana, siłą niezbędną do ochrony interesów firmy na terenach, które podlegały nie tyle rządowi kongijskiemu, ile milicji i lokalnym watażkom. Kiedyś Draper był żołnierzem MONUSCO, Misji Stabilizacyjnej Organizacji Narodów Zjednoczonych powołanej w Demokratycznej Republice Konga podczas drugiej wojny domowej.

– Jak się mają nasi goście? – zapytał Nolan, wskazując kapitanowi krzesło przed biurkiem.

– Umieściłem ich na oddziale medycznym. – Draper wzruszył ramionami. – Zobaczymy, jak sobie poradzą.

– Nadal uważasz, że darowanie im życia było rozsądne?

– Na razie tak. Poza tym, że posiadają specjalistyczną wiedzę medyczną, mogą okazać się przydatni jako zakładnicy. W razie czego będziemy mogli przedstawić jakiś dowód życia, by dodatkowo potwierdzić, że wczorajszy atak został przeprowadzony przez milicję w celu porwania dla okupu. Tak czy inaczej, chciałbym, żebyśmy się nie ograniczali w naszych planach co do tych dwojga.

– Rozumiem.

– I kto wie? Może ich umiejętności na coś się przydadzą. Zwłaszcza że czas ucieka. Nie możemy dłużej ukrywać tego, co się dzieje. Myślę, że trzymaliśmy ten sekret tak długo, jak to możliwe.

Nolan skinął głową. Do pierwszych przypadków wyniszczającej choroby, która doprowadzała ludzi do stanu całkowitego otępienia, doszło w kopalni miedzi w południowej prowincji Sankuru. Ponieważ to miejsce było właściwie odcięte od świata, łatwo było powstrzymać rozprzestrzenianie się wieści. Później podobne objawy wystąpiły wśród mieszkańców okolicznych wiosek. Zamiast panikować, Nolan postanowił wykorzystać okazję.

Zniszczenia spowodowane przez pierwszą wojnę domową otworzyły drzwi dla jego korporacyjnych ambicji, a druga wojna pozwoliła wdrzeć się tu Chińczykom. Do odniesienia zwycięstwa De Coster Mining & Industry potrzebowała kolejnej katastrofy w regionie. Rozprzestrzenianie się w Kongu nieznannej choroby stworzyło wyjątkową szansę. Zagrożenie niewątpliwie zniechęci Chińczyków do dalszej ekspansji w Afryce, zwłaszcza tych, którzy nabawili się bakcylofobii po ostatniej pandemii.

Żeby jednak ten plan się powiódł, choroba musiała zdobyć mocne przyczółki w całej Afryce Środkowej. Nolan nie mógł ryzykować, że świat przed czasem podejmie walkę z epidemią. Dlatego polecił Draperowi, by wyciszał wszelkie informacje o chorobie. Chciał, by roznosiła się po cichu, jak tłący się ogień w dżungli. Żeby prawda nie wyszła na jaw, żołnierze Drapera zbombardowali przychodnie i zrównali z ziemią całe wioski, pozostawiając fałszywe tropy wskazujące na działania milicji, organizacji terrorystycznych lub konflikty plemienne.

Lecz kiedy wszczęto alarm w ONZ-owskim obozie pomocy humanitarnej, Nolan i Draper uświadomili sobie, że ich wysiłki zmierzające do utrzymania epidemii w tajemnicy przestają być skuteczne. Nocny atak

oraz kilka innych, które przeprowadzili dzisiaj, były ostatnimi takimi akcjami. Zrealizowali plan. Dzięki siatce wywiadowczej w całym regionie Nolan wiedział, że choroba osiągnęła punkt krytyczny. Tłący się pożar lasu lada chwila zamieni się w pożogę.

A gdy do tego dojdzie, wykorzysta zamęt, który zapanuje, do przywrócenia dominacji De Coster Mining & Industry w całej Afryce. W tym celu założył również obóz badawczy na wyspie. Zależało mu na uzyskaniu jak największej liczby informacji o patogenie, o chorobie, o możliwych metodach leczenia. Mając przewagę czasową, planował wykorzystać tę wiedzę do tego, by dowieść dobrej woli swojej korporacji. Może Chińczycy zdobywali ziemie Konga, ale De Coster Mining & Industry podbija serca Kongijczyków, chroniąc ich życie.

Logistyka wyglądała zniechęcająco, ale dla człowieka o matematycznym umyśle wszystko sprowadzało się do liczb i zmiennych.

Spojrzał na ekran laptopa pełen algorytmów i modeli. Miał zespół statystyków, którzy przetwarzali niezbędne dane. Prognozy śmiertelności były zatrważające, szokujące nawet dla niego. Nolan nie uważał się za człowieka bezdusznego. Nie zatrudniał dzieci do pracy w kopalniach z okrucieństwa. Wypłacał rodzicom wysokie odszkodowania, gdy któreś zginęło albo zostało okaleczone.

Zatrudnianie dzieci było po prostu środkiem do celu. Jak ta choroba.

– Skontaktuję się teraz z dwoma zespołami, które wysłałem do posprzątania ostatnich punktów zapalnych – oznajmił Draper.

– Oczywiście. Informuj mnie na bieżąco.

Kapitan wstał i ruszył do drzwi.

Gdy wyszedł, Nolan pokręcił głową, żeby pozbyć się skurczu w karku. Dostrzegł za sobą złotą koronę w gablocie. Przypomniała mu, że jego ambicje nie ograniczają się tylko do rozwoju firmy.

Ale ta sprawa musi zaczekać, pomyślał i skupił uwagę na laptopie. Przejrzał graficzne modele prognostyczne stworzone na podstawie informacji zebranych przez zespół medyczny, dotyczące rokowań, postępu choroby, możliwych planów leczenia. Wszystko było zmienną, wciąż było zbyt wiele niewiadomych. Mógłby obalić wiele z tych prognoz, gdyby udało mu się znaleźć lekarstwo, ale nie to było najważniejsze dla jego planów.

Porównał wykresy. Ich fluktuacje nie dawały mu spokoju. Różnice pozostawały zbyt duże, większe, niż powinno to wynikać jedynie z braku leczenia.

Coś było nie w porządku. Brakowało jakiejś zmiennej.

Umykało im coś istotnego. Nolan doszedł do jednego pewnego wniosku, ważnego dla człowieka mającego doktorat z matematyki: potrzebuję więcej danych.

Godzina 7.22

Charlotte siedziała na brzegu łóżka Disanki. Kobieta z plemienia Luba miała na sobie rozchyloną luźną szpitalną koszulę. Przystawiała dziecko do piersi, co nie było łatwe z jedną ręką przykutą do łóżka.

Ale nie to było prawdziwym problemem.

Głowa dziecka bezwładnie odchyliła się do tyłu, małe oczy wpatrywały się w sufit, a po policzku spływała ślina. Matka szeptała do synka, zmieniając pozycję, by mógł chwycić ustami sutek. Najwyraźniej wrócił do stanu bliskiego katatonii.

– Co sądzisz? – zapytał Cort stojący obok Charlotte.

Oboje właśnie skończyli badać dziecko. Pamiętała, jak zeszłej nocy chłopiec zanosił się od płaczu, zaciskając drobne rączki.

Już nie płakał.

– Nie wiem – mruknęła.

Potarła nadgarstki pokąsane przez mrówki. Miała dużo śladów na nogach, ramionach i szyi. Próbowwała ocenić swój stan. Czuła się jak przed atakiem migreny. Rozpoznała wczesne objawy: drażliwość, ziewanie, trudności z koncentracją. Miała je wszystkie, ale mogły też być skutkiem zmęczenia.

Potarła ramiona; wydały jej się odrętwiałe, a jednocześnie czuła mrowienie. Miała nadzieję, że to tylko nadciągająca migrena.

Popatrzyła na innych pacjentów. Wszyscy mieli podłączone kroplówki. Sprawdzano funkcje życiowe. Aparaty EKG i inne urządzenia pulsowały, monitorując akcję serca, ciśnienie, częstotliwość oddechów, nasycenie tlenem. Nic nie wyglądało nieprawidłowo, ale pacjenci, kongijscy mężczyźni i kobiety, leżeli bezwładnie, nawet nie mrugając, a ich klatki piersiowe unosiły się i opadały ciężko, jakby były z ołowiu. Kilka łóżek dalej lekarze przeprowadzali badanie neurologiczne. Pacjent – starszy mężczyzna – został posadzony i siedział bez pomocy, jakby był sztywną marionetką, której można nadać dowolną pozycję.

Zwróciła uwagę na jeszcze jeden szczegół: najmłodsza była nastoletnia dziewczyna. Czy dlatego porwali niemowlę? Bo chcieli mieć kogoś jeszcze młodszego? Wczoraj, wzywając pomoc przez radio, Cort wspomniał o tajemniczych objawach u dziecka. Najwyraźniej porywacze usłyszeli komunikat i wykorzystali atak, by uprowadzić trzymiesięczne dziecko.

Disanka znowu próbowała skłonić synka do ssania, lecz bez większego powodzenia. Była przygnębiona; na jej twarzy pojawiło się więcej zmarszczek. Patrzyła na Charlotte, w milczeniu błagając ją o pomoc.

– Najwyraźniej dziecko ponownie zapadło w śpiączkę – powiedział Cort i westchnął. – W nocy wybudziło się tylko na jakiś czas. Proszek

szamana go nie wyleczył.

– O czym mówisz? – zapytał ktoś ostro za ich plecami.

Charlotte obejrzała się. W nogach łóżka stał szef oddziału, doktor Ngoy. Przystanął, gdy ich usłyszał. Draper przedstawił ją kongijskiemu lekarzowi i już zdążyła go znienawidzić. Miał siwe kręcone włosy i taką samą brodę, na wpół ukrytą pod maską. Przy pierwszym spotkaniu patrzył na Charlotte z pogardą, pewnie z powodu jej młodego wieku i dlatego, że była kobietą. Pacjentów traktował szorstko, bezdusznie, nie dbając o ich dobro.

– Czy dobrze usłyszałem? Udało wam się w nocy wybudzić to niemowlę?

Cort zbył to pytanie machnięciem ręki.

– To bez znaczenia. Krótkotrwała reakcja na jakiś proszek znachora. Oszolomstwo.

Ngoy przeszedł na drugą stronę łóżka. Pochylił się, złapał chłopca za ucho, obrócił głowę maleństwa i spojrzał na jego twarz.

– Mimo wszystko to intrygujące – powiedział. – Nie udało nam się uzyskać żadnej reakcji u naszych pacjentów. Próbowaliśmy wszelkiego rodzaju bodźców bólowych. Łącznie z elektrowstrząsami. Nawet łamanie palców.

Charlotte skuliła się wewnątrz.

Ngoy wyprostował się i spojrzał na amerykańskiego pediatrę.

– Dlaczego nie powiedziałeś nam tego wcześniej?

– Jak mówiłem... to... to bez znaczenia – wyjąkał Cort. – Efekt nie był długotrwały.

– Zostało ci trochę tego proszku?

– Nie. Szaman go zabrał.

Charlotte zacisnęła zęby. Przypomniała sobie buteleczkę rzuconą przez Woko Bosha. Ukryła ją w brudnych ubraniach z nadzieją, że nie przyciągnie uwagi, zwłaszcza że była pusta, wypłukana przez deszcz i wodę z rzeki. Zachowała ją tylko z powodu małej żółtawej plamki wewnątrz, ostatniego śladu proszku.

– Skąd był ten szaman? – chciał wiedzieć Ngoy.

– Nie pamiętam – skłamała szybko. – To były nerwowe chwile. I został zabity.

Cort zmrużył oczy i potarł skroń palcem.

Charlotte próbowała wzrokiem powiedzieć mu: „Trzymaj język za zębami”.

Nie zrozumiał.

– Był z plemienia Kula... nie, z Kuba. Tak, z Kuba.

Charlotte zdusiła jęk.

– Powiedział, co to za substancja? – spytał Ngoy. – Jakiego była pochodzenia?

Cort pokręcił głową.

– Przechowywał ją w starej skrzynce z wyrzeźbioną ludzką twarzą – odparł.

Ngoy spojrzał na dziecko. Disanka kuliła się, chroniąc synka, żeby lekarz znowu nie złapał go za ucho. Ngoy odwrócił się i odszedł. Charlotte patrzyła za nim, mając nadzieję, że na tym się skończy. Przystanął obok strażnika oddziału i powiedział mu coś cicho, wskazując ją i Corta.

Strażnik wyszedł.

Charlotte położyła dłoń na ramieniu matki chłopca.

– Nie pozwolę, żeby coś złego spotkało ciebie albo twoje *kitwana*.

Disanka wciąż szeroko otwierała oczy z przerażenia, ale skinęła głową.

Charlotte wyjęła latarkę i przyjrzała się źrenicom chłopca. Znów były rozszerzone i nie reagowały na światło; ani trochę się nie zwężyły. Sprawdziła wyniki badań krwi. Poziom limfocytów i eozynofilów był niski, natomiast białka C-reaktywnego niebotycznie wysoki, co potwierdzało zakażenie wirusowe.

Zerknęła na ludzi pracujących w laboratorium. Wcześniej zapytała, czy w komórkach pacjentów zidentyfikowali jakiegokolwiek ciała inkluzyjne, które wskazywałyby na wirusa. Zignorowali jej pytanie i niemal wypchnęli ją ze swojej strefy.

Jej uwagę przyciągnął ruch przy wejściu na oddział. Strażnik wrócił z mężczyzną, który ich tu przyprowadził. Ekon rozmawiał chwilę z Ngoyem i nakazał gburowatym głosem jej i Cortowi, żeby do niego podeszli.

Charlotte schowała latarkę do kieszeni. Ścisnęła przedramię Disanki, jakby dla potwierdzenia obietnicy ochrony chłopca za wszelką cenę. Kobieta z plemienia Luba chwyciła ją za rękę, utrwalając zawarty pakt.

Dopiero potem Charlotte podeszła do dwóch mężczyzn.

Ngoy już ściągał kombinezon i maskę. Wbijał twardy wzrok w Corta.

– Masz powtórzyć monsieur De Costerowi to, co mi powiedziałaś. Musi o tym wiedzieć.

Charlotte i amerykański pediatra zdjęli kombinezony i maski. Ekon i Ngoy poprowadzili ich przez błotnisty plac do pensjonatu, w którym byli przetrzymywani, ale tym razem kazali im iść na piętro. U szczytu schodów przed dużymi dwuskrzydłowymi drzwiami z lakierowanego drewna zingana stał uzbrojony żołnierz w kamizelce kuloodpornej.

Ekon skinął do niego głową, a ten zapukał do drzwi. Ktoś kazał im wejść.

Charlotte i Cort weszli pierwsi, a za nimi Ngoy i Ekon. Charlotte, zaskoczona pięknym wystrojem gabinetu, potknęła się o dywan. Na półkach leżały rzeźby i zakurzone tomy. Za drewnianymi żaluzjami był balkon, z którego roztaczał się widok na korony drzew schodzących ku rzece.

Na ścianach po prawej i lewej wisiały wypchane łby lwów z rozdziawionymi paszczami, szczerzące pożółkłe długie kły. Siedzący za dużym biurkiem mężczyzna podniósł się z fotela. Miał na sobie elegancki lniany garnitur w kolorze khaki i koszulę z czarnym krawatem. Z jasnymi włosami, przetykanymi na skroniach siwizną, i przenikliwymi niebieskimi oczami mógłby być wcieleniem Chrisa Hemswortha w średnim wieku, grającego rolę sędziego w kolonii.

– Witam, pani doktor i panie doktorze. Proszę spocząć. Rozumiem, że macie informacje dotyczące narastającego kryzysu w Kongu.

Cort zajął jeden ze skórzanych foteli klubowych. Charlotte usiadła ostrożnie na drugim. Serce łomotało jej w piersi. Łaknęła zemsty za ich uprowadzenie, za bezlitosne morderstwa, ale zależało jej także na zdobyciu informacji o porywaczach i zorientowaniu się w sytuacji. Dlatego zachowała milczenie.

Jej powściągliwość została od razu nagrodzona.

– Jestem Nolan De Coster, dyrektor generalny De Coster Mining and Industry.

Zesztywniała, niemal się zakrztusiła. To nazwisko brzmiało jej znajomo już wtedy, kiedy wymienił je Ngoy. Cort nie okazał żadnej reakcji. Spojrzała na miliardera znanego w całym regionie z bogactwa i filantropii. De Coster nie szczędził pieniędzy na szpitale, działania na rzecz ochrony dzikiej przyrody oraz instalacje solarne w niezliczonych wioskach. Finansował nawet organizację, która ją tu sprowadziła, kongijski oddział

Lekarzy bez Granic. Był uważany za genialnego innowatora w swojej branży. Niektórzy nazywali go Elonem Muskiem górnictwa.

Przyglądała mu się uważnie, gdy usiadł. Zauważyła, że stara złota korona w oszklonej gablocie za biurkiem wygląda tak, jakby unosiła się nad jego głową.

De Coster skinął ręką na strażnika.

– Poruczniku Ekon, może pan odejść. Poradzę sobie.

Charlotte nie miała co do tego wątpliwości. De Coster wyglądał na silnego i wysportowanego. Spostrzegła również zarys kabury pod jego marynarką.

Ekon z szacunkiem skłonił głowę, odwrócił się na pięcie, wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Ngoy stał między fotelami, z ustami zaciśniętymi w kreskę, wyraźnie zdecydowany przypisać sobie zasługi za to, czego dowiedział się od Corta Jamesona.

De Coster pochylił się i spoglądał to na niego, to na nich.

– Jak rozumiem, odnieśliście pewien sukces w wybudzeniu pacjenta, kiedy był pogrążony w katatonii.

Charlotte milczała, podczas gdy Cort jąkał się, powtarzając to, co mówił wcześniej. Upierał się, że proszek Woko tylko podrażnił nozdrza. Powstrzymywała się, żeby nie przewrócić oczami. Nie chciała się zdradzić.

Nie udało jej się jednak.

De Coster przeniósł na nią spojrzenie.

– Ale pani w to nie wierzy? – rzucił.

– Hm... Nie wiem. – Musiała walczyć, by nie stracić panowania nad głosem.

– Sądzę, że pani wie.

Wstał, podszedł do regału, wziął jakiś przedmiot i wrócił z nim do biurka. Była to misternie rzeźbiona skrzynka, ozdobiona kolorowym geometrycznym wzorem z pomalowanych nasion, złota i kości słoniowej.

Postawił ją na biurku i położył na niej dłoń.

– Pochodzi z siedemnastego wieku. To jeden z najwcześniejszych przykładów *ngedi mu ntey*. Święta kasetka ludu Kuba. Z opisu doktora Jamesona wynika, że szaman przyniósł coś podobnego do obozu.

Wyczytała przenikliwą inteligencję w jego spojrzeniu. Musi mieć to na względzie, a także pamiętać, że De Coster czuje się w tym regionie jak u siebie i ma o nim dużą wiedzę.

– Królestwo Kuba kwitło w czasach kolonialnych – ciągnął. – Ten lud wyprzedzał swoje czasy. Słynął z haftowanych tkanin z rafii, a także z wyszukanych rzeźb. Podobno Picasso zawdzięczał swój okres kubizmu ludowi Kuba. W tysiąc dziewięćset siódmym roku obejrzał w Paryżu wystawę ich sztuki. Na długo przed przybyciem kolonistów i handlarzy niewolników Kuba pracowali w żelazie i miedzi. Byli również znani ze swoich umiejętności leczenia. Okoliczne plemiona często szukały u nich ratunku.

Charlotte nagle pożałowała, że nie znała tej historii wcześniej. Może wtedy poświęciłabym więcej uwagi wiedzy Woko, pomyślała.

– Dlatego nie jestem skłonny uznać tego, co szaman przyniósł do waszego obozu, za „oszołomstwo”. – De Coster obrzucił pediatrę karcącym spojrzeniem. – Ale jak wykorzystać tę wiedzę? Mówicie, że proszek przepadł, ale co z *ngedi mu ntey*, kasetką ludu Kuba? Co się z nią stało? Może zawiera jakąś wskazówkę.

Cort pokręcił głową.

– Nie ma jej. Chłopiec ją zabrał.

– Chłopiec?

– Siostrzeniec szamana – powiedziała Charlotte i zaraz tego pożałowała.

– I co się stało z nim i ze skrzynką?

Przypomniała sobie atak na wioskę w nocy. Nie został kamień na kamieniu. Narastała w niej furia. Przeszyła De Costera twardym spojrzeniem.

– Pańscy ludzie wysadzili go w powietrze. – W jej głosie zabrzmiały ostre tony.

De Coster nie zareagował na jej wybuch złości. Stuknął palcem w róg stojącej na biurku skrzynki. Niemal słyszała terkotanie, gdy kalkulował w myślach.

– Pech... – mruknął w końcu, odchrząknął i spojrzał na nich. – Jak już wspomniałem, chcę zahamować tę epidemię. Ale dopóki to nie nastąpi, dojdzie do wielu zgonów.

Charlotte starała się zrozumieć, o co mu właściwie chodzi. Sprawiał wrażenie zaniepokojonego, ale nie mogła zapomnieć, jak doszło do tego, że teraz przed nim siedzi.

– Jakie ma pan zamiary? – rzuciła wyzywająco. – Jeśli jest pan tak nieugięty w kwestii znalezienia leku, to dlaczego przez półtora miesiąca utrzymywał pan swoją pracę w tajemnicy i nie ujawniał pan informacji o chorobie?

– Bo nie przeżyła pani tego co ja i mieszkańcy Konga. Lata skorumpowanych rządów, dwie wojny, które pochłonęły siedem milionów istnień. Nauczyłem się ufać tylko tym najbliższym. Działając potajemnie, poczyniłem większe postępy, niż gdyby zgromadziło się tu sto narodów. Demokratyczna Republika Konga jest jednym z najbiedniejszych krajów, opanowanym przez walczące między sobą bojówki i przeklętych watażków.

Dawno temu nauczyłem się, że tutaj postęp nie nastąpi bez rozlewu krwi i żelaznej ręki.

Charlotte odebrała jego płomienną przemowę z pogardą. Wiedziała, że De Coster nie mówi całej prawdy.

– Jest takie powiedzenie o Demokratycznej Republice Konga – kontynuował. – Może pani słyszała. DRK nie jest ani demokracją, ani republiką, ale zdecydowanie jest Kongiem. A ja robię to, co uważam za najlepsze dla tego regionu. I byłbym nieszczery, gdybym zaprzeczył, że nie pomagam również sobie. Losy mojej firmy i ludności tego kraju splatają się w surowej dżungli, brutalnej historii Konga i obecnym chaosie. Zamierzam poprawić tę sytuację.

– Bez względu na to, ile krwi zostanie przelane – prychnęła drwiąco.

Cort zgromił ją wzrokiem za prowokowanie porywacza.

De Coster pozostał niewzruszony.

– Cała historia Konga jest spisana krwią, pani doktor. Wojna za wojną, plemienne ludobójstwa, niewolnictwo. – Westchnął ciężko. – W dzieciństwie mieszkała pani w Brazzaville, prawda?

Nachmurzyła się, bo po raz kolejny uświadomiła sobie, że nie wolno jej lekceważyć inteligencji i możliwości tego człowieka.

– Jakie to ma znaczenie? – spytała.

– Może pamięta pani czasy, kiedy takie miejsca były mniej brutalne. – De Coster spojrzał na swoich jeńców. – Oboje spędziliście trochę czasu w Kisangani, niedaleko stąd, w mieście przerażającej biedy, niszczonej infrastruktury, opanowanym przez żebraków i złodziei. Nie zawsze tak jednak było. W pierwszej połowie dwudziestego wieku było to miasto przepychu i zmysłowej egzotyki. Przyciągało europejskie rodziny królewskie i gwiazdy Hollywood. To tutaj kręcono *Afrykańską królową*.

Hepburn i Bogart przechadzali się ulicami miasta po dniu zdjęć, rozkoszowali się jego urokami w długie noce.

Charlotte próbowała zrównoważyć ten sielankowy obraz przygnębiającymi wspomnieniami z Kisangani.

– Anarchia i konflikty w Kongu rozpoczęły się w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku wraz z zakończeniem belgijskich rządów – dodał De Coster.

– To uproszczony pogląd na to, co się tu stało – powiedziała. – Kolonialne rządy w Kongu nie były wolne od zbrodni i okrucieństwa. Gdy te ziemie należały do Leopolda Drugiego, zginęły miliony ludzi.

– Nie twierdzę, że kolonialne rządy są rozwiązaniem. Ale żeby mieć nadzieję na lepsze jutro, ten region potrzebuje nowej drogi. Po dziesięcioleciach ciągłych walk Kongijczycy nie są gotowi na samostanowienie. Nawet teraz zrzekają się kontroli na rzecz Chińczyków, którzy wykorzystają ich bardziej niż Leopold.

– Więc jakie jest rozwiązanie?

– Proste. Autonomia gospodarcza. Demokratyczna Republika Kongo jest krajem o ogromnych zasobach naturalnych, o niemal niewyczerpanych bogactwach. Żeby chronić swoje interesy, potrzebuje zarządcy, który będzie nią kierował i poprowadzi kraj ku nowej przyszłości. Poprawa kondycji gospodarki wpłynęłaby pozytywnie na wszystkich, niezależnie od statusu majątkowego, przeprowadzono by reformy i Kongo stałoby się wzorem dla całego kontynentu.

Charlotte odchyliła się na oparcie fotela. Nie miała wątpliwości, kto według De Costera powinien wprowadzić kraj w tę nową erę. Wpatrywała się w złotą koronę, która unosiła się nad jego głową.

Położył dłoń na rzeźbionej skrzynce.

– Ale wróćmy do zaginionej *ngedi mu ntey* i lekarstwa, które być może zawierała. Lekarstwa, które może zapobiec niezliczonym zgonom.

Nie chciała mu pomagać, ale nie mogła zapomnieć o udręce na twarzy Disanki, gdy patrzyła na swoje chore dziecko, i o błaganiu w jej oczach. Cały kontynent potrzebował lekarstwa, a zwłaszcza jeden mały chłopiec.

– Co możecie nam powiedzieć o tamtej skrzynce? – spytał De Coster. – Jak wyglądała? Jakie miała zdobienia?

Cort wzruszył ramionami.

– Wieko miało kształt ludzkiej twarzy, kogoś z czasów kolonialnych. Wewnątrz była wyrzeźbiona postać.

– Figurka *ndop* – mruknął De Coster, prostując się w fotelu.

Charlotte bezwiednie pokiwała głową, przypominając sobie hebanową rzeźbę.

– Czyja? – spytał De Coster.

Przypomniała sobie, co powiedział Faraji.

– Pasterza – odparła, choć nie miało to dla niej sensu.

– Pasterza? – De Coster wyglądał na zdezorientowanego, ale nagle szeroko otworzył oczy. Rozluźnił się i uśmiechnął. – Tak, oczywiście.

10

Kisangani, Demokratyczna Republika Konga

24 kwietnia, godzina 7.30 czasu miejscowego

– Kim jest ten wielebny William Sheppard[?] – zapytał Gray.

– Wielu uważa go za czarnoskórego Livingstone’a – odpowiedział Ndaye z drugiej strony stołu laboratoryjnego. – Był misjonarzem ludów Konga, a także badaczem. Odkrył jezioro, które potem otrzymało nazwę od jego nazwiska.

Gray spojrział na stare czarno-białe zdjęcie przedstawiające wysokiego mężczyznę w białym garniturze i hełmie korkowym. Czarny prezbiteriański pastor pozował z grupą miejscowych trzymających włócznie i wysokie plecione tarcze. W tle widać było wiejskie chaty.

Gray porównał jego twarz z maską i stojącą obok figurką.

To niewątpliwie ten sam człowiek.

Jakiś czas temu Tucker wrócił z Kainem i przyprowadził dwóch Kongijczyków, Ndayego, ekostrażnika ICCN, i chłopca. Painter przysłał ich dossier po tym, jak Tucker uratował ich z rzeki Tshopo.

Siostrzeniec i uczeń szamana, Faraji, miał w plecaku stuletnią drewnianą skrzynkę, którą zabrał z obozu. Była to *ngedi mu ntey*, kasetka ludu Kuba. Okazało się, że jest w niej drewniana figurka, a także plik starych fotografii i złożona mapa. Monk wyszedł z laboratorium, by naradzić się z Painterem, bo uznał, że potrzebują dodatkowych informacji.

Zabrał ze sobą Kowalskiego, chociaż temu bardziej zależało na znalezieniu czegoś do jedzenia.

– Ale co ten William Sheppard ma wspólnego z obecną sytuacją w tym kraju? – zapytał Gray.

Ndaye spojrział na Farajiego, który, częściowo schowany za strażnikiem ICCN, przestępował z nogi na nogę, rozglądając się.

Tucker położył dłoń na jego ramieniu.

– W porządku, Faraji – rzucił. – Powtórz to, co powiedziałaś mnie. Mało nie zabiłaś nas obu przez tę cholerną skrzynkę.

Faraji wyprostował się, jakby czerpiąc siłę z byłego komandosa.

– Woko Bosh, nasz szaman... – Głos mu się załamał na wzmiankę o nieżyjącym mentorze. Chłopiec wskazał skrzynkę. – Przechowywał ją wiele lat i była przekazywana z ojca na syna. – Zrozpaczony, spuścił wzrok.

– A teraz przeszła w twoje ręce – zachęcił go Tucker.

Dzieciak głośno przełknął ślinę, wyraźnie zastanawiając się, czy jest godzien tego dziedzictwa.

– Tylko szamani wiedzą o tym *ngedi mu ntey* – odezwał się po chwili. – Nikt inny. – Pokręcił głową. – Nawet ja wiem niewiele. Tylko to, że chroni przed wielkim złem. Woko Bosh powiedział mi trochę, ale nie wszystko.

– W obozie szaman wyjął ze skrzynki jakiś proszek – wtrącił Ndaye. – Dał do zrozumienia, że ten proszek może chronić przed chorobą, i zademonstrował to na niemowlaku uprowadzonym potem przez napastników. Proszek podziałał nawet na mrówki, które opanowały obóz. Może też na pawiany.

Usłyszawszy to, Lisa zostawiła Franka i Benjiego, pobierających próbki z mrówek.

– Dziwne – powiedziała, podchodząc. – Szaman wierzył, że ten proszek był lekiem?

Faraji pokręcił głową.

– Nie, nie *tiba*. Nie lek. *Utetezi...* – Marszcząc nos, szukał przez chwilę słów i w końcu zwrócił się do Ndayego o pomoc.

– *Ulinzi wa virusi?* – podsunął ekostrażnik.

Chłopiec odpowiedział posępnym spojrzeniem.

– *Hapana*. Nie. – Wzruszył ramionami i poddał się. – Tylko Woko wie więcej.

Ndaye spojrzał przepraszająco na Graya i Lisę.

– Czymkolwiek była ta substancja, jest w jakiś sposób powiązana z Williamem Sheppardem – powiedział. – Ten człowiek z poświęceniem chronił lud Kuba, który wówczas był bardzo tajemniczy. Nawiązał z nim kontakt jako pierwszy przybysz spoza Afryki.

Gray przejrzał siedem zdjęć, pożółkłych na brzegach, wyblakłych i poplamionych wodą. Na odwrocie były słowa i zagadkowe symbole. Gdy rozłożył fotografie na blacie, odniósł wrażenie, że wielebny wykreślił mapę z drogą do jakiegoś miejsca w dżungli, ale zaszyfrował jego lokalizację. Każde zdjęcie było opatrzone datą, więc Gray uporządkował je chronologicznie.

Najwcześniejsze – z siedemnastego października 1894 roku – ukazywało skrawek zalanej słońcem wody pośród gęstego lasu. Odwrócił je i przyjrzał się rysunkowi naszkicowanemu jakby w pośpiechu. Przedstawiał coś, co wyglądało na zasilane strumieniem jezioro, i stylizowane pasiaste zwierzę, które trochę przypominało zebrego. Poniżej widniało słowo *Atti*.



Nic mu to nie mówiło, ale Faraji wskazał palcem obrazek.

– *Atti*... stare słowo – powiedział. – Znaczy „okapi”.

Gray uniósł brwi.

– Okapi należy do żyrafowatych, jest zagrożone wymarciem i zamieszkuje lasy Konga – wyjaśnił Ndaye. – Kiedyś uważano je za afrykańskiego jednorozca, mityczne zwierzę. Występowało u nas powszechnie, ale po stuleciach polowań ze względu na unikalną skórę ich liczba znacznie zmalała. Teraz można je znaleźć tylko w północno-wschodnim zakątku Konga.

Faraji pociągnął go za rękaw i odezwał się do niego w ojczystym języku.

Po krótkiej wymianie zdań Ndaye poklepał chłopca po ramieniu i podjął wyjaśnienia.

– Kuba mają plemienne nazwy wielu miejsc w dżungli, zwłaszcza starych terenów łowieckich. Faraji mówi, że kiedyś był wodopój, do

którego przychodziły okapi. Już się tam nie gromadzą, ale nazwa pozostała, używana przez jego lud, przekazywana z pokolenia na pokolenie.

Gray spojrział na obrazek. Czy to może być pierwszy słupek na szlaku podróży Shepparda przez dżunglę? – przemknęło mu przez głowę. Ale dokąd zmierzał i po co?

Popatrzył na Farajiego i postukał w rysunek.

– Wiesz, gdzie jest to miejsce? Ten wodopój?

Chłopiec skinął głową.

– A te inne symbole? – Gray odwrócił następne zdjęcia.

Faraji przyjrzał się im, po czym pokręcił głową.

– Może trzeba się znaleźć w pierwszym miejscu, by odkryć następne – zasugerował Tucker. – I żeby zrozumieć wskazówkę.

Gray spojrział na chłopca.

– A może trzeba być z ludu Kuba, żeby je zrozumieć – powiedział. – Mam wrażenie, że Sheppard zaszyfrował tę mapę w taki sposób, żeby była czytelna jedynie dla kogoś, kto zna ten las i jego przeszłość.

– Dlaczego tak sądzisz? – spytała Lisa.

– Ma to sens – rzucił Ndaye. – Sheppard nie ufał belgijskim kolonistom i ich lokalnym sojusznikom, Zappo Zapom, brutalnej kanibalistycznej sekcji ludu Songye. Jeśli w dżungli kryło się coś niebezpiecznego, coś, co Kuba uważali za złe, zależałoby mu na zatajeniu tych informacji, by nie wpadły w ręce Belgów. Jeśli istniało jakieś *utetezi*, ochrona przed złem, Sheppard pewnie chciałby, żeby wiedza o tym przetrwała. Dlatego mógł zostawić ludowi Kuba tę mapę, by zapewnić im bezpieczeństwo, gdyby zło powróciło.

Gray skinął głową.

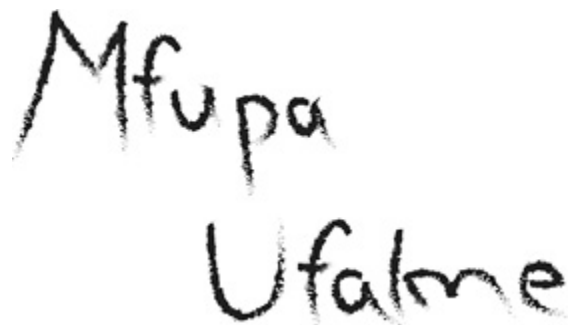
– Możliwe, że masz rację – przyznał.

– Ale jakie zło? – wtrąciła Lisa. – Choroba czy coś innego?

Faraji zeszywniał i ze świstem wciągnął powietrze. Oglądał zdjęcia i właśnie dotarł do ostatniego.

Gray podszedł, żeby zobaczyć, co nim tak wstrząsnęło. Podniósł zdjęcie. Ukazywało przerwę w lesie i dwa oplecione pnączami filary po obu stronach wysokiej szczeliny w porośniętym paprociami urwisku. Skarpa wznosiła się wysoko; jej nierówna krawędź rysowała się na tle nieba. Odwrócił fotografię. Na odwrocie nie było żadnego symbolu ani rysunku, tylko rozmazane litery, napisane nie atramentem, ale jakąś ciemną substancją, może krwią.

Litery układały się w dwa słowa.



Mfupa
Ufalme

Ndaye spojrział nad ramieniem Graya, przeczytał i przetłumaczył.

– Mfupa Ufalme. To oznacza „Królestwo Kości” albo „Imperium Kości”.

Faraji cofnął się o krok i wycelował palcem w zdjęcie.

– Złe miejsce. *Alaaniwe*. Przeklęte. Wszyscy Kuba to wiedzą. Nigdy tam nie idź.

Tucker westchnął.

– Cóż, wiemy, że Sheppard tam był – zauważył.

Gray skinął głową.

– Pozostaje pytanie, co tam znalazł i jak to może nam pomóc.

– Jeśli w ogóle może pomóc – wtrąciła Lisa.

Gray nie powinien bagatelizować jej sceptycyzmu, ale choroba szybko się rozprzestrzeniała, musieli więc chwycić się wszelkich sposobów.

– Zaprowadzisz nas do tego pierwszego miejsca? – zwrócił się do chłopca. – Do wodopoju okapi?

Faraji miał przestraszoną minę, ale skinął głową.

– Woko Bosh – powiedział. – Chce, żebym pomógł.

– Powinienem się z wami wybrać – oświadczył Ndaye. – Możecie potrzebować kogoś, kto zna miejscową ludność i region.

Gray podziękował mu skinieniem głowy i spojrzał na Lisę.

– Zostawię cię i Monka z doktorem Whitakerem, żebyście pomagali mu w badaniach. Wezmę ze sobą Kowalskiego. Gdy tylko uzyskamy zgodę armii kongijskiej, udamy się do obozu ONZ-etu. Wysadzimy tam Tuckera z Kainem i pojedziemy do wodopoju.

Plan zakładał, że były komandos i jego czworonożny partner będą czuwać nad Benjiem, który zgodził się pojechać do obozu i pobrać próbki z martwych ludzi oraz pawianów, a potem dostarczyć je do laboratorium. Frank chciał to zrobić osobiście, ale był potrzebny tutaj, do pracy nad materiałem pobranym z mrówek. Nie miał sobie równych, jeśli chodzi o identyfikowanie wirusów, a poza tym tylko on znał się na swoich autorskich metodach.

Pozostawał jednak pewien szczegół, który krzyżował im szyki. Żeby to ogarnąć, musieli skonsultować się z ekspertem mającym większą wiedzę.

Zabrzęczał dzwonek, gdy ktoś otworzył drzwi.

Do sali wszedł Monk, a za nim Kowalski. Wielkolud ścisnął nadgryzioną kanapkę w zatłuszczonym opakowaniu i właśnie odgryzł ogromny kęs. Przyniósł ze sobą zapach przypraw i grilla.

Uniósł kanapkę, zwracając oczy do sufitu.

– O rany, to bije na głowę wszystkie McMuffiny...

Kain zaczął węszyć, jakby chciał sprawdzić wiarygodność tej oceny.

Monk postawił tablet na stole w taki sposób, żeby wszyscy widzieli ekran.

– Zorganizowałem konferencję online. Wymagało to sporo zachodu.

Godzina 7.47

Tucker dołączył do pozostałych, gdy Monk rozkładał mapę ze skrzynki Kuba. Z tabletu patrzyły na nich dwie twarze.

Painter Crowe, dyrektor Sigmy, siedział za biurkiem. Drugi mężczyzna stał oparty o stół w bibliotece, otoczony wysokimi regałami. Miał ciemne włosy i czarny strój z wyróżniającą się białą koloratką.

Tucker uniósł brwi.

Dlaczego Sigma konsultuje się z księdzem? – zastanawiał się.

Gray pochylił się w stronę ekranu.

– Ojczyce Bailey, jak idzie odbudowa Castel Gandolfo?

Ksiądz wzruszył ramionami.

– Nowe fundamenty już są gotowe. Dopóki będziecie trzymać się daleko stąd, prace powinny iść gładko.

– Zrobimy, co w naszej mocy – obiecał Gray z uśmiechem.

Tucker zerknął na pozostałych, którzy najwyraźniej rozumieli tę wymianę zdań. Musiałem przegapić jakąś niefortunną misję Sigmy, pomyślał.

– Ksiądz Bailey pomagał nam kiedyś – wyjaśniła szeptem Lisa. – Współpracuje z Papieskim Instytutem Archeologii Chrześcijańskiej. Chociaż jego rola w Kościele jest nieco bardziej skomplikowana.

Tucker uniósł dłoń.

– Nie musisz mówić nic więcej. I bez tego wystarczająco skomplikowaliście mi życie.

Gray zerknął na mapę, po czym zwrócił się do księdza:

– Co ojciec sądzi o mapie, którą przesłał ojcu dyrektor Crowe?

Tucker przesunął się, by mieć lepszy widok. Mapa była stara, opisana po łacinie. Wyglądała tak, jakby została wyrwana z książki, zanim ją złożono i schowano na dnie skrzynki Kuba.

Bailey przeciągnął palcem pod koloratką, jak gdyby drapała go w szyję.



– Identyfikacja wymagała poszperania w watykańskich archiwach – oznajmił. – Macie kopię starej mapy Afryki, wykreślonej w tysiąc pięćset

sześćdziesiątym czwartym roku przez kartografa Abrahama Orteliusa. Ale intrygująca jest nie tyle sama mapa, ile jej legenda.

– To znaczy? – spytał Gray.

– Łaciński napis w polu legendy brzmi: *Presbiteri Johannis, sive, Abissinorum Imperii descriptio*, czyli „Opis imperium wedle Prezbitera Jana Abisyńczyka”.

Tucker spojrział na zdjęcie filarów w dżungli. Przypomniawszy sobie, jak Ndaye przetłumaczył wiadomość na odwrocie: Imperium Kości.

Gray wyraził na głos to, nad czym wszyscy prawdopodobnie się zastanawiali.

– Czy wielebny Sheppard mógł szukać w dżungli imperium Prezbitera Jana?

Tucker zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem – przyznał. – Kim był ten Prezbiter Jan?

– To bajecznie bogaty legendarny chrześcijański król – odparł Bailey. – Powiadano, że jego przodkiem był czarny mędrzec Baltazar. Najwcześniejsze opowieści lokują go w Azji, a późniejsze w Afryce i opisują go jako pierwszego chrześcijańskiego króla tego kontynentu. Jego legenda zyskała taką wagę, że w dwunastym wieku papież Aleksander Trzeci wysłał do niego wiadomość. Tylko że wysłannik, osobisty lekarz papieża, zaginął w dżungli i więcej go nie widziano.

Tucker przypomniał sobie, z jaką stanowczością Faraji oznajmił, że Królestwo Kości jest przeklęte.

Może papieski lekarz powinien być zostać o tym uprzedzony, pomyślał.

– Odpowiedź napłynęła dziesiątki lat później – ciągnął Bailey. – Podpisana przez Prezbitera Jana, co uwiarygodniło opowieści o nim. W piętnastym stuleciu portugalscy odkrywcy, którzy szukali tego legendarnego króla, przysłali wiadomość o chrześcijańskim imperium

znalezionym w głębi dżungli. Opisali dwór, okazałe miasto, a najbardziej szczegółowo tamtejsze bogactwa, które, jak utrzymywali, były źródłem złota dla świątyni króla Salomona.

Tucker spróbował wyobrazić sobie takie miejsce, afrykańskie Shangri-La. Znał legendę o zaginionych kopalniach złota króla Salomona. Poszukiwano ich od wieków, a nawet w dzisiejszych czasach nie brakuje takich, którzy są przekonani, że znajdują się gdzieś w dżungli.

– Po tym, jak zwrócił się do mnie dyrektor Crowe, pokopałem trochę głębiej – powiedział Bailey. – W opowieściach o Prezbiterze Janie mówi się nie tylko o zaginionych skarbach, ale także o Arce Przymierza, która według wielu jest ukryta w Etiopii. Co równie intrygujące, łączy się ze źródłem młodości. Powiadano, że Etiopczycy żyli setki lat dzięki jezioru, którego wody uzdrawiały ciało i przywracały młodość. Gdybyście się z niego napili, ustąpiłyby wszystkie wasze dolegliwości i bylibyście wolni od chorób przez trzydzieści lat.

– Nie miałbym nic przeciwko wykąpaniu się w tym bajorku – wymamrotał Kowalski z pełnymi ustami.

Lisa ze współczuciem dotknęła jego ramienia.

– Według legend jezioro miało wyjątkowe właściwości – opowiadała dalej Bailey. – Nic nie mogło unosić się na jego powierzchni, ani liść, ani drewno. Ostatnie wieści o Prezbiterze Janie, kapłanie królu Etiopii, mówiły, że ma pięćset sześćdziesiąt dwa lata. Później królestwo zamilkło.

– To znaczy? – zapytał Gray.

Bailey wzruszył ramionami.

– Nikt już nie usłyszał więcej o Prezbiterze Janie. Pod koniec szesnastego wieku odkrywcy eksplorujący Etiopię znaleźli czarnego króla, zaprzeczył jednak jakimkolwiek powiązaniom z Prezbiterem Janem.

I legenda o chrześcijańskim królu Afryki gasła wraz z rozwojem wiedzy geograficznej. W siedemnastym stuleciu uważano ją już za mit.

Tucker popatrzył na rozłożone zdjęcia.

– Najwyraźniej ktoś był innego zdania – zauważył.

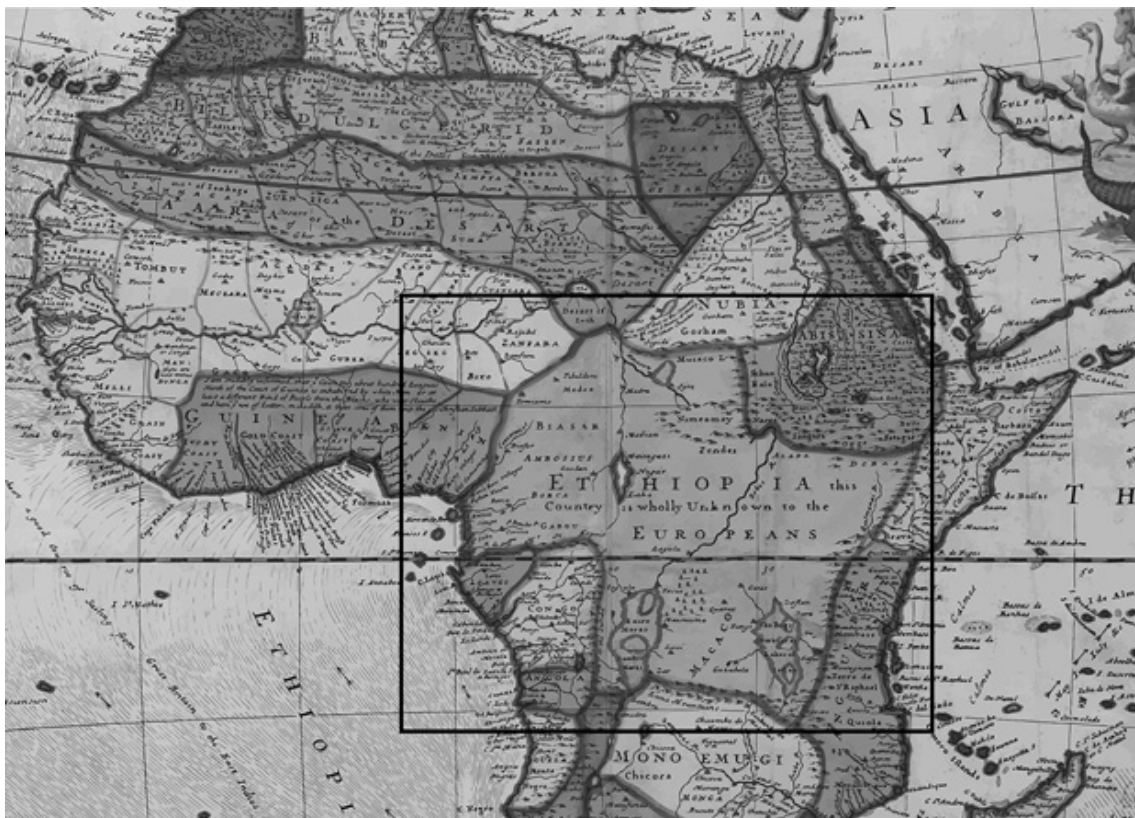
– Albo połączył dwie historie – dorzuciła Lisa. – Legendę o długowiecznym królu kapłanie i pogłoski o ukrytym w dżungli przeklętym imperium.

Monk spojrział na mapę spod zmarszczonych brwi.

– Nie rozumiem jednak, jak te historie mogą być ze sobą powiązane – powiedział. – Etiopia leży daleko na wschód od Konga.

– Granice zmieniały się na przestrzeni wieków, gdy kolejni odkrywcy sporządzali mapy kontynentu – wyjaśnił Bailey. – W trakcie poszukiwań natknąłem się na tę mapę Afryki z tysiąc siedemset dziesiątego roku, wykreśloną przez angielskiego kartografa.

Otworzył okno z mapą.



– Jak widzicie – podjął – Etiopia zajmuje całe terytorium Konga. Jeśli więc Prezbiter Jan istniał i władał królestwem, mogło leżeć w Afryce Środkowej.

Gray podniósł ostatnie zdjęcie i postukał w widoczne na nim kolumny.

– Tak czy inaczej, coś tam jest – skwitował. – Może coś, co pozwoli nam zrozumieć, co się dzieje.

Nikt nie zaproponował.

Painter, który przez chwilę rozmawiał z kimś poza ekranem, przybliżył twarz do kamery, odchrząknął i uniósł rękę.

– Właśnie zgłosiła się Kat – powiedział. – Ze zdobytych przez nią informacji wynika, że kongijskie wojsko zakończyło przeszukiwanie ONZ-owskiego obozu. Niewiele tam zostało, głównie tłące się zgłiszcza i puste namioty. Znalaziono kilka ciał w różnych zniszczonych mundurach i ze

starą bronią. Uważa się, że obóz został zaatakowany przez oddział milicji. Może aktywne w tym regionie bojówki Mai-Mai. Albo rebeliantów Sojuszu Sił Demokratycznych. Spekuluje się nawet, że mogli to być ekstremiści z rozprzestrzeniającej się na Kongo sekty Boko Haram.

Ndaye wyraził swoją opinię z szyderczym prychnięciem.

– To nie milicja. Napastnicy byli zbyt dobrze uzbrojeni i zorganizowani.

Tucker zaufał jego ocenie. Zamierzał włączyć swoje oczy – i nos Kaina – do przeprowadzenia śledztwa, gdy uda się z Benjiem do obozu. Czuł się odpowiedzialny nie tylko za tych trzech, których wyciągnął z rzeki, ale także za innych, uprowadzonych przez tajemniczych napastników. Gdybym tylko dotarł tam szybciej, pomyślał.

Grayowi również zależało na jak najszybszym wyruszeniu w drogę, ale pozwolił sobie dodać kilka słów przestrogi.

– Zgadzam się z Ndayem, ale na razie nie powinniśmy demaskować tego podstępu. Niech wrogowie wierzą, że ich sztuczka się udała. Tylko my domyślamy się prawdy. Nie podzielimy się naszymi podejrzeniami nawet z FARDC ani z kongijskim rządem.

Ndaye skinął głową.

– To mądre. Jestem dumny z mojego kraju i jego mieszkańców, ale w rządzie wciąż jest zbyt wiele korupcji. Nawet żołnierze FARDC ostatnio uzupełniają żołd, współpracując z handlarzami narkotyków i kłusownikami, czasem z milicjami. I często robią to, nosząc mundury.

Tucker powiódł wzrokiem po twarzach obecnych w sali.

– W takim razie ufamy tylko sobie.

Kowalski zmiął zatłuszczony papier i wrzucił go do kosza na śmieci.

– Są jeszcze jakieś nowiny? – spytał.

[Z] *Shepherd* (ang.) – pasterz.

11

Kisangani, Demokratyczna Republika Kongo
24 kwietnia, godzina 11.34 czasu miejscowego

Burczenie w żołądku przypomniało Frankowi, że zbliża się pora lunchu, ale dalej siedział na stołku przed swoim sprzętem. Przeglądał w laptopie wyniki przesyłane z uniwersyteckiego laboratorium mikroskopii elektronowej. Z każdym kolejnym obrazem serce biło mu coraz mocniej.

– Niech to nie będzie to – modlił się na głos.

Podczas gdy większość pozostałych wyjechała do obozu ONZ-etu, Frank spędził poranek na przygotowywaniu próbek pobranych od królowej *Dorylus* i jej żołnierza. Pobrał aspiraty cienkoigłowe, oczyścił je elektroforezą w żelu poliakrylamidowym, a następnie zamroził część z nich, by przygotować ją do kriomikroskopii elektronowej. Był to żmudny proces.

Ale wszystko po kolei.

Zmrużył oczy, gdy ostatni zestaw skanów załadował się do laptopa. Poświęcił kilka minut na potwierdzenie swoich podejrzeń. Porównał obraz z próbkami królowej i żołnierza, po czym westchnął ciężko.

– Chodźcie to zobaczyć! – zawołał do Monka i Lisy.

Dwoje naukowców z DARPA pomogło mu przygotować amplifikację próbek metodą PCR, co było wstępem do poszukiwania unikalnych

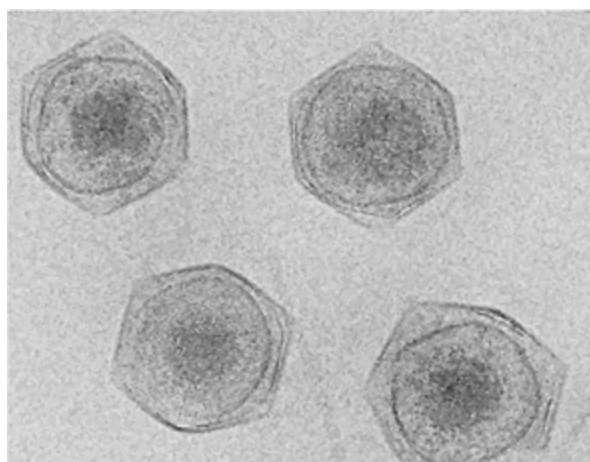
genomów, które mogłyby sygnalizować pojawienie się nowego patogenu. W tle pracowały dwa termocyklery.

– O co chodzi? – zapytał Monk.

– Sprawdź te skany. Jeśli prawdą jest to, czego się obawiam, możemy mieć duży problem. Chociaż może właściwszym określeniem będzie „megaproblem”.

– Pokaż – rzuciła Lisa.

Ona i Monk stali nad Frankiem, gdy ten przesuwiał skany, aż znalazł najwyraźniejszy. Odchylił się od ekranu, odsłaniając skupisko wirusowych cząsteczek.



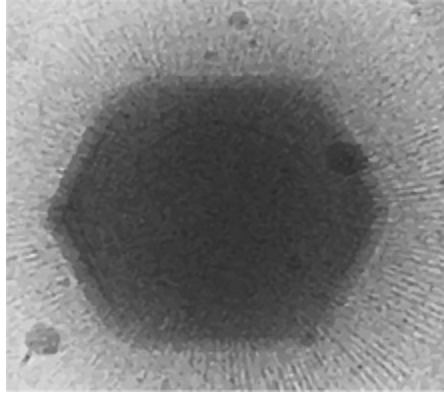
– Początkowo myślałem, że to komórki bakteryjne lub somatyczne – powiedział. – Ze względu na duże rozmiary. Typowa cząsteczka wirionu ma średnicę od pięćdziesięciu do stu nanometrów.

– Jak duże są te? – spytał Monk.

Frank zerknął na niego przez ramię.

– Siedemset nanometrów. I to tylko sam kapsyd.

Powiększył kolejny obraz, wyraźny skan wiroidu.



– Te drobne prążki rozchodzące się promieniście od kapsydu to włókna białkowe – wyjaśnił. – Jeśli weźmie się je jako punkt odniesienia, to wirus ma znacznie ponad tysiąc nanometrów średnicy.

– Gigantyczny – skomentowała Lisa.

– Zdecydowanie – przyznał Monk. – Rozumiem, dlaczego nazwałeś to dużym problemem.

– Nie, nie chodziło mu o samą wielkość wirusa – sprostowała. – Takie organizmy zwane są megawirusami. Odkryto je dopiero kilkadziesiąt lat temu. Zacierają granicę między wirusami a bakteriami.

– Lisa ma rację – powiedział Frank. – Pierwszy z tych ogromnych wirusów został wyizolowany z wnętrza ameby w dziewięćdziesiątym drugim. Ze względu na rozmiary początkowo mylono go z bakterią. Dopiero w dwa tysiące trzecim, po dalszych badaniach, został uznany za wirusa. Od tamtej pory odkryto wiele innych. Pitowirusy, pandorawirusy, mamawirusy, molliwirusy.

– A ten? – spytał Monk. – Rozpoznajesz go?

Frank pokręcił głową.

– Ma cechy charakterystyczne mimiwirusa, na przykład dwudziestościenną strukturę. Ale jest znacznie większy, prawie dwukrotnie, zbliżony rozmiarem do pandorawirusa, i to jest niepokojące.

– Dlaczego?

– Większość wirusów ma tylko kilka genów. Wirus wścieklizny pięć. HIV dziewięć. Ebola siedem. Wirusy grypy tylko osiem. Pandorawirus ma ich ponad dwa tysiące. Co gorsza, dziewięćdziesiąt procent tych genów nie przypomina niczego innego znalezionego na Ziemi. – Frank spojrział gniewnie na ekran. – Jeśli ten wirus jest patogenny, może różnić się od wszystkiego, co widzieliśmy dotąd.

– A jest patogenny? – zapytała Lisa, krzyżując ręce na piersi. – Z tego, co mi wiadomo, megawirusy polują głównie na bakterie lub ameby. Tylko nieliczne powodują choroby u ludzi.

– To prawda, ale większość z nich, i muszę założyć, że ten też, to NCLDV. – Widząc pytające spojrzenie Monka, Frank wyjaśnił: – Wielkie nukleocytoplazmatyczne wirusy DNA. Wiele wirusów należących do tej grupy jest niezwykle patogennych, na przykład wirus ospy. Inne powodują choroby zarówno u kręgowców, jak i bezkręgowców.

Lisa opuściła ręce i zajrzała pod okap dygestorium.

– Na przykład u mrówek – rzuciła.

– Spekuluje się, że te gigantyczne wirusy nabyły wiele genów dzięki kradzieży kodu gospodarzom i innym organizmom.

– Jak genetyczni kieszonkowcy – zażartował Monk.

– Zgadza się. Zawierają fragmenty kodu wszelkiego rodzaju gatunków. Kręgowców, bezkręgowców, drobnoustrojów, a nawet roślin. Niektórzy naukowcy uważają, że NCLDV są tak dziwne, że należy je sklasyfikować jako czwartą domenę życia obok archeonów, bakterii i eukariotów. I niewykluczone, że są źródłem życia na Ziemi.

– Jak to możliwe? – zdziwił się Monk.

– Kiedyś uważaliśmy, że wirusy są po prostu zdegenerowanymi uciekinierami z żywych komórek, że utraciły swoją komórkową maszynę

i przekształciły się we współczesne wirusy. Ale na podstawie niedawnych badań nad unikalnymi genami znalezionymi w wirusach naukowcy wysnuwają teorię, że może być na odwrót. Weźmy na przykład gigantycznego meduzawirusa. Ma gen kodujący polimerazę DNA, enzym niezbędny do syntezy DNA, ale ten gen nie przypomina żadnych innych występujących u współczesnych zwierząt czy roślin. Wydaje się o wiele starszy, tak stary, że może być prekursorem genów dzisiejszych zwierząt i roślin. Jest wiele innych przykładów, które mogą wskazywać na to, że życie wyewoluowało z wirusów.

– Ale co to ma wspólnego z kryzysem w Kongu? – zapytała Lisa.

Frank westchnął.

– Powiem ci, czym groziła mi moja matka adopcyjna, kiedy zrobiłem coś, co ją naprawdę wkurzyło. Mówiła: „Może nie sprowadziłam cię na ten świat, ale cię z niego zabiorę”.

Monk zrozumiał.

– Myślisz, że skoro wirusy sprowadziły nas na świat...

– ...to mogą nas z niego zabrać – dokończył za niego Frank.

Lisa zmarszczyła brwi i wskazała głową ekran.

– Ale nie wiemy, czy ten megawirus jest patogenny, czy może po prostu jest zwyczajnym wirusem żyjącym w mrówkach *Dorylus*.

– Masz rację. Tylko że tkanki mrówek, zarówno żołnierza, jak i królowej, są bogate w te organizmy. Nie zdążyłem pobrać próbki z poczwarki, ale to nie ma większego znaczenia. Potrzebuję próbek z obozu, pobranych od tych, którzy tam zginęli. Muszę zobaczyć, czy ten wirus jest obecny w ich tkankach.

Lisa spojrzała na zegar ścienny.

– Benjie powinien wrócić przed wieczorem. Wtedy się dowiemy.

Frank skinął głową, nie mógł jednak pozbyć się wrażenia, że czas ucieka za szybko. Nagle jakby w odpowiedzi na jego troski zadzwonił telefon satelitarny. Miał nadzieję, że to wiadomości z obozu.

Monk odebrał. Marszczył brwi, słuchając rozmówcy.

– Rozumiem. Sprawdzimy to.

Gdy odkładał słuchawkę, jego twarz była spięta.

– O co chodzi? – zapytała Lisa.

– Dzwonił Painter. Kat właśnie otrzymała raport o kilku nowych przypadkach wyniszczającej katatonii.

– Gdzie?

– Tutaj, w Kisangani. W szpitalu uniwersyteckim. Dzieci. Wszystkie z tymi samymi objawami.

Godzina 12.07

Lisa pod palącymi promieniami słońca przecięła kolisty podjazd dla karetek przy głównym budynku szpitala uniwersyteckiego. Podobnie jak siedziba Wydziału Nauk Ścisłych, szpital został niedawno odnowiony. Był jednopiętrowy i otaczało go wiele innych budynków rozsianych na zielonym terenie nad rzeką Kongo.

Monk wskazał dwie karetki i kilka szarozielonych wojskowych ciężarówek FARDC zaparkowanych przy wejściu.

– Wygląda na to, że nie tylko my dowiedzieliśmy się o nowych pacjentach – powiedział.

Lisa pospiesznie minęła pojazdy. Według Paintera ośmioro dzieci w wieku szkolnym z wioski leżącej w dżungli zapadło na tę samą chorobę. Rano zostały przywiezione do szpitala. Lisie bardzo zależało na tym, żeby je zbadać i pobrać próbki dla Franka, który został w laboratorium, by

skończyć analizę wirusów. Monk dostarczy potem próbki krwi i wymazy z gardła do odległego o kilkaset metrów budynku, w którym mieli bazę, a ona pomoże tutaj personelowi medycznemu.

Painter i Kat uzgodnili działania z dyrektorem szpitala. Gdy zbliżyli się do wejścia, wysoki Afrykanin z ogoloną na łyso głową, w białym fartuchu narzuconym na niebieski strój chirurgiczny, uniósł rękę na powitanie.

– Doktor Cummings, doktorze Kokkalis – powiedział po angielsku z wyraźnym francuskim akcentem. – Jestem Amir Lumbaa, administrator szpitala. Dziękuję za propozycję pomocy. Proszę ze mną, zaprowadzę was na oddział odizolowany przez wojsko. Tworzą kordon sanitarny i zapewniają ochronę.

Lisa spojrzała na dwóch żołnierzy palących papierosy przy jednej z ciężarówek FARDC.

– Przed czym? – spytała.

Administrator szedł z nimi przez pusty hol.

– We wszystkich lokalnych programach informacyjnych mówiono o ataku milicji na obóz ONZ-etu. Poza tym dwie godziny temu dotarły do nas wiadomości o zrzuceniu bomb zapalających na przychodnię w Burundi. Do zamachu przyznali się rebelianci.

Lisa wymieniła spojrzenie z Monkiem. Painter powiedział im, że ta przychodnia była jednym z miejsc, w których zgłoszono przypadki wyniszczającej choroby. Czy to bombardowanie mogło mieć związek z atakiem na wioskę pod obozem?

– Nikt nie potrafi wyjaśnić tej nagłej fali ataków na ośrodki medyczne – kontynuował Amir. – Milicja i rebelianci zwykle szanują nasze placówki. Tak było nawet w czasie wojen domowych.

Poprowadził ich na tyły szpitala, a potem przez centralny dziedziniec do drugiego budynku.

– Tutaj urządziliśmy oddział dziecięcy, żeby ograniczyć kontakt z głównym szpitalem.

Przecięli hol, w którym krzątał się personel w fartuchach i maskach. Cała trójka również włożyła maski i fartuchy w przedsionku odcięty od oddziału foliowymi płachtami, strzeżonym przez dwóch uzbrojonych żołnierzy.

Lisa szła pierwsza z Amirem, a Monk podążał za nimi. Mrużąc oczy, przyglądał się każdej twarzy w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak zagrożenia. Pomimo kordonu kongijskiej armii nie zamierzał ryzykować. Jedną rękę trzymał na kaburze SIG sauera, na wpół schowanej pod fartuchem.

Lisa też miała broń – małą berettę nano w kaburze na kostce – ale zdała się na kolegę i skupiała uwagę na rzędzie łóżek pod ścianą, na których leżeli chłopcy i dziewczynki w wieku od ośmiu do trzynastu lat. Pielęgniarki i lekarze szeptali, zajmując się nimi. Lisa tyle się nasłuchiwała o tej wyniszczającej chorobie, że nie mogła się doczekać, kiedy w końcu zbada któregoś z tych młodych pacjentów.

– Czy mogę zbadać któreś z dzieci? – zwróciła się do Amira. – Chciałabym także pobrać próbki dla pracującego z nami wirusologa.

– Oczywiście – zgodził się administrator. – Wszelka pomoc będzie mile widziana.

Podziękowała mu skinieniem głowy. Dostała od Franka plastikowe pudełko z wysterylizowanymi wacikami oraz fiolkami.

Monk zrównał się z nią i spytał:

– Gdzie jest szkoła, w której te dzieci się zaraziły?

– Mniej niż pięćdziesiąt kilometrów na wschód od Kisangani – odparł Amir, patrząc w stronę okien w głębi sali.

Monk wymienił spojrzenia z Lisą. Choroba zbliża się do miasta, głównego ośrodka regionu.

– Może powinniśmy rozważyć kwaran... – Przerwał mu trzask szkła. Mały czarny przedmiot wpadł przez okno, a zaraz potem drugi strzaskał sąsiednią szybę. Następny wpadł z prawej strony. Grzechotały przez chwilę, podskakując na wyłożonej linoleum podłodze, a potem wybuchły. Kłęby gryzącego czarnego dymu w mgnieniu oka zapełniły pomieszczenie.

Monk chwycił Lisę za ramię i odciągnął ją. W tym momencie za ich plecami rozległ się trzask wystrzałów. Dwaj strażnicy wpadli przez foliowe płachty na oddział. Jeden z lekarzy ruszył w ich stronę i nagle poleciał do tyłu, gdy umundurowany mężczyzna strzelił mu z bliska w pierś.

Lisa przypomniała sobie słowa Ndayego o tym, że niektórzy skorumpowani żołnierze FARDC działają na dwa fronty, i padła na podłogę.

Monk już wyciągnął broń. Wycelował i oddał dwa strzały; trafił jednego z napastników w klatkę piersiową. Drugi obrócił karabin w jego stronę i zaczął strzelać, biegnąc przez salę. Monk również padł na podłogę i odpowiedział ogniem. Lecz żołnierz zniknął w gęstym dymie.

Lisa przyklękała, wyszarpnęła berettę z kabury i wycelowała w smugę dymu. Dostrzegła w niej błysk lufy i cztery razy oddała strzał w tamtym kierunku. Dzwoniło jej w uszach, gdy nadśluchiwała terkotu ognia karabinowego.

– Chodź – rzucił Monk, chwytając Lisę za ramię, by zabrać ją w bezpieczne miejsce.

Wyrwała mu się jednak. Gdy strzały ucichły, słychać było krzyki i jęki na całym oddziale. Nie miała zamiaru porzucić pacjentów. Odczekała kilka sekund, żeby się upewnić, że nie będzie kolejnego ataku, po czym spojrzała na Monka.

- Muszę pomóc rannym.
- W pobliżu może być więcej uzbrojonych bandytów – przestrzegł ją.
- Nie. Już by tu byli. To były ostatnie podrygi tych, którzy próbują zachować w tajemnicy wiedzę o epidemii. Nie sądzę, żeby chodziło im o nas.

Usłyszeli dudnienie śmigłowca przelatującego nad szpitalem. Przez rozbite okno wpadł podmuch z łopat i skotłował gęsty dym. Lisa dostrzegła zabitego żołnierza i kilka leżących osób, które albo nie żyły, albo przypadły do podłogi, żeby uniknąć kul.

Zaniepokoił ją kierunek, w którym leciał śmigłowiec. Spojrzała na Monka.

- Frank... – szepnęła.

Godzina 12.22

Co to jest, do cholery? – zastanawiał się Frank, gdy usłyszał dziwne postukiwanie.

Pochylał się nad laptopem, przygotowując oprogramowanie bioinformatyczne. Amplifikacja PCR była prawie zakończona. Jeszcze jedna runda pracy termocyklerów i powinien mieć odpowiednią próbkę kodu DNA megawirusa. Chciał zakończyć ten test, zanim Lisa Cummings wróci ze szpitala z próbkami pobranymi od chorych dzieci.

Jeśli mają tego samego wirusa... Modlił się, by tak było, ale nadal był pełen obaw z powodów, które wyjaśnił wcześniej ludziom z Sigmy. Struktura genetyczna i biologiczna megawirusów wciąż była niezbadana. Gigantyczne wirusy zawierały tysiące genów, o których istnieniu wcześniej nie wiedziano.

Spojrzał w róg ekranu laptopa, gdzie jarzył się obraz samotnej cząsteczki wirusa, dwudziestościenny kształt ozdobiony frędzlami białkowych kolców. Zbadał kilka zakażonych komórek królowej *Dorylus* i jej żołnierza. Zauważył, że cytoplazma komórek jest pełna takich samych kolców, przywodzących na myśl kolce jeżozwierza. Większość z nich była zgięta lub dziwnie skrzywiona.

Zaczęło się w nim rodzić straszne podejrzenie.

– Może popadam w paranoję – szepnął do siebie.

Zdusił wątpliwości, które mogły wynikać z jego dawnego braku pewności siebie. Mimo wszystkiego, co osiągnął, wciąż pamiętał dzieciaka z chicagowskiego South Side w złachanych spodniach dresowych, gdy skulony w muzeum czytał i zapamiętywał treść tabliczek informacyjnych. W liceum rzadko zgłaszał się na lekcjach, nawet gdy był pewny, że zna odpowiedź. Wbito mu do głowy, żeby się nie wychylał, bo narazi się na śmieszność. A nauczyciele, patrząc na wysokiego chłopca, powątpiewali w jego inteligencję. Mimo późniejszych osiągnięć nadal zbyt często czuł się jak tamten licealista, który wahał się, czy podnieść w klasie rękę.

Znów spojrzał na zniekształcone białka i odsunął od siebie wątpliwości.

Wiem, że mam rację, powiedział sobie.

Dziwny dźwięk powtórzył się, odciągając jego uwagę od ekranu. Krystaliczny stukot był na tyle głośny, że przebijał się przez szum termocyklerów. Frank rozejrzał się w poszukiwaniu źródła hałasu. Obrócił się na stołku laboratoryjnym i stwierdził, że stukanie dobiega z dygestorium, gdzie stały próbówki Benjiego.

Wstał, podszedł tam i pochylił się, żeby je obejrzeć. Przypuszczał, że królowa zrobiła się niespokojna i szuka drogi ucieczki. Tylko że pięciocentymetrowa mrówka leżała apatycznie na dnie próbówki. Uznałby ją za nieżywą, gdyby nie leciutkie drżenie czułków.

Co jest?

Znowu usłyszał stukot. Dochodził z drugiej próbówki, w której znajdowała się poczwarka dostarczona przez Benjiego. Frank podniósł ją. Wewnątrz brązowy chitynowy kokon wielkości łupiny pistacji pękł i leżał na dnie, a wyżej na szklanej ścianie naczynka tkwiła długa na dwa i pół centymetra mrówka. Wydawała się za duża jak na poczwarkę, z której się wykluła. Chociaż może było to tylko złudzenie spowodowane przez parę przezroczystych skrzydełek na jej grzbiecie. Skrzydełka brzęczały i drgały, gdy płyny przepływające przez maleńkie żyłki wzmacniały i rozszerzały ich strukturę.

Benjie wyjaśnił mu, kiedy u samców gatunku *Dorylus* pojawiają się skrzydła, ale Frank nie sądził, że są takie duże. Postanowił sprawdzić, co jest źródłem stukania. Przekręcił próbówkę tak, żeby obejrzeć owada od spodu. Zobaczył ruchliwe odnóża, a nad nimi na końcu szpiczastego odwłoku haczykowany kolec, który dźgał szkło, brudząc je kropelkami oleistej zielonej substancji.

Frank wiedział, co ma przed oczami.

– To żądło – powiedział.

Młody doktorant nie wspomniał, że gatunek *Dorylus* dysponuje taką bronią, i nie było to z jego strony przeoczenie. Na ile Frank się orientował, tylko nieliczne gatunki mrówek mają żądła, jak osy czy pszczoły. Zmrużył oczy i pokręcił głową. Zastanawiał się, czy to może być jakaś dziwna mutacja, następstwo infekcji wirusowej.

– Do licha, co jest grane? – wymamrotał.

Duże żuwaczki mrówki skrobnęły szkło i zostawiły na nim zielonkawą substancję. Obawiał się, że ta wydzielina jest czymś znacznie gorszym od jadu. Wyobraził sobie coś pełnego dwudziestościennej cząstek

wirusowych. Skupił uwagę na dużych skrzydłach i przypomniał sobie trasę rozprzestrzeniania się choroby w dżungli, zgodną z kierunkiem wiatrów.

Może wirusowi nie wystarczało unoszenie się w powietrzu zależne od kaprysów wiatru.

Wpatrywał się w hałasującą mrówkę.

Może ten wirus wyhodował sobie skrzydła, pomyślał.

Godzina 12.23

Monk dodał gazu i wojskowy odkryty jeep przyspieszył. Gdy oddalali się od szpitala, Monk widział w lusterku wstecznym Amira Lumbaę i dwóch stojących obok niego żołnierzy FARDC. Zarekwirował ich pojazd przy gorącym wsparciu administratora, służącego niegdyś w siłach zbrojnych Demokratycznej Republiki Konga. Po chwili trzech mężczyzn wróciło do szpitala, by chronić zaatakowany oddział.

Martwiąc się o bezpieczeństwo Lisy, Monk skupiał uwagę na czarnym śmigłowcu, który zatoczył ciasny krąg nad budynkiem Wydziału Nauk Ścisłych i zawisł nad dachem. Biegając przez szpital, próbował skontaktować się z Frankiem, ostrzec go przed zagrożeniem, lecz wirusolog nie odbierał. Albo zatracił się w pracy, albo wróg zakłócał łączność.

Klnąc pod nosem, Monk skręcił w stronę odległego o kilkaset metrów budynku. Wcisnął gaz do dechy, przecinając trawniki, podskakując na krawężnikach, mknąc drogą gruntową. Jedną ręką trzymał kierownicę, a drugą ścisnął SIG sauera P320. Próbował skierować broń w stronę śmigłowca, ale nie mógł wycelować w podskakującym pojeździe. Nie chciał ryzykować, że zbłąkana kula wpadnie przez okno budynku uniwersyteckiego i zabije albo zrani jakiegoś studenta czy pracownika.

Opuścił broń i skoncentrował się na dotarciu do celu. Kątem oka dostrzegł ruch śmigłowca. Jego drzwi otworzyły się i wypuszczono liny.

Monk stracił maszynę z oczu, gdy dotarł przed drzwi budynku Wydziału Nauk Ścisłych. Wcisnął pedał hamulca i jeep wpadł w poślizg na trawie. Zanim samochód się zatrzymał, Monk wyskoczył i pobiegł do drzwi. Ale już znał prawdę.

Spóźniłem się.

Godzina 12.34

– Dlaczego nikt nie odpowiada? – zdziwił się Frank z radiem przy ustach.

Próbował złapać Benjiego i resztę zespołu w obozie ONZ-etu. Wpatrywał się w mrówkę skrobiącą ściankę próbówki. Chciał im opowiedzieć o przemianie poczwarki w odbiegające od normy imago. Zakładając, że to jest odchylenie od normy, upomniał się w duchu. Nie był do końca pewien i chciał porozmawiać z Benjiem, który wiedział o gatunku *Dorylus* więcej niż ktokolwiek inny.

Nadśłuchiwał odpowiedzi na swoje wezwanie, ale słyszał tylko szum i dudnienie śmigłowca. Takie maszyny – niektóre woziły turystów – od czasu do czasu przelatywały nad kampusem, więc wcześniej nie zwrócił większej uwagi na hałas, zwłaszcza że był skupiony na swoim dziwnym odkryciu.

Ale teraz...

Opuścił radio, uświadomiwszy sobie, że śmigłowiec nie odlatuje, tylko wciąż dudni nad budynkiem. Serce podeszło mu do gardła. Wrócił pamięcią do Iraku, do czasów, kiedy wyły syreny, ostrzegające przed bliskim ostrzałem z moździerzy, żeby żołnierze w porę zeszli do bunkrów lub schronów z worków napełnionych piaskiem.

Odwrócił się w stronę okna w chwili, gdy cienie przysłoniły widok. Huknęły strzały, szyby rozpadły się z trzaskiem. Uzbrojeni mężczyźni

w kamizelkach z kevlaru wpadli przez okna do laboratorium i jeden z nich oddał serię z karabinu.

Frank skulił się za stołem laboratoryjnym. Miał na biodrze kaburę z bronią, którą dostał od swoich mocodawców z Waszyngtonu, ale nawet nie zdążył jej odpiąć. Napastnicy stali już po obu stronach stołu i krzyczeli coś w suahili i po francusku. Nie znał dobrze żadnego z tych języków, ale zrozumiał intencje tych ludzi, wzmocnione przez karabiny szturmowe.

Uniósł ręce i powoli się podniósł.

Szybko go otoczyli, rozbroili i pchnęli w kąt laboratorium. Wysoki kongijski żołnierz z blizną na policzku podszedł do niego z uprzężą.

Frank spojrzał na liny zwisające za oknem i zrozumiał: nie przyszli po to, żeby mnie zabić.

Czuł jednocześnie ulgę i strach. Porwanie oznaczało, że ktoś wie za dużo o badaniach prowadzonych w tym laboratorium. Jeden z napastników odłączył laptopa od zasilania, powyciągał inne wtyczki i zabrał go.

Ktoś najwyraźniej ceni moją wiedzę, pomyślał Frank.

Godzina 12.37

Monk słyszał strzały na górze, gdy biegł po schodach. Nie był na nich sam. Musiał przedzierać się przez falę uciekających na dół studentów i wykładowców. Jego uniesiony pistolet i głośne przekleństwa pomagały torować drogę. Przystanął tylko raz, by zdobyć to, czego potrzebował, od jednego z pracowników. Gdy droga się oczyściła, biegł na drugie piętro, pokonując po dwa stopnie naraz.

Wychylił się zza narożnika, spojrzał na korytarz, ale nikogo nie zobaczył. Z SIG-iem w gotowości, pobiegł skulony, trzymając się ściany. Wyteżał słuch, wyczulony na odgłosy, które sygnalizowałyby zagrożenie.

Przy drzwiach laboratorium usłyszał stłumione krzyki. Nie wiedział, ilu ludzi jest w środku, ale nie zamierzał czekać na rozwój wypadków. Położył SIG sauera na podłodze i nogą usunął go z pola widzenia.

Przygotował się wewnętrznie, wstukał kod elektroniczny, zaczekał na zielone światelko i złapał za klamkę. Odetchnął i z determinacją otworzył drzwi. Wpadł do pokoju, unosząc to, co zabrał pracownikowi uniwersytetu: gruby plik kartek. Nie wiedział, czy to testy, notatki, czy rękopis powieści.

Nie obchodziło go to – ważne, żeby spełniły swoją funkcję.

Wszedł do laboratorium, wpatrując się w kartki.

– Doktorze Whitaker, mam wyniki. Szokujące! Chce pan...? – Umilkł, udając zaskoczenie na widok ubranych na czarno żołnierzy z wymierzoną w niego bronią.

Było ich pięciu, co potwierdziło jego ocenę, że jednoosobowa misja ratunkowa zakończyłaby się porażką.

Frank, w uprząży, stał w kącie.

Huknął strzał, pocisk ze świstem przemknął obok ucha Monka. Ten wrzasnął, skoczył w bok i cisnął kartki wysoko w powietrze; poleciały we wszystkie strony. Jednocześnie twardo wpatrywał się we Franka, próbując bezgłośnie przekazać mu swoje zamiary.

Wirusolog zrozumiał.

– Nie strzelać! – wrzasnął. – To mój asystent. Muszę usłyszeć, czego się dowiedział!

Napastnicy spojrzeli na stojącego przy rozbitym oknie wysokiego Kongijczyka z blizną na twarzy, zapewne dowódcę. Za jego ramieniem Monk dostrzegł pióropusze pyłu – wojskowe pojazdy pędziły w stronę budynku Wydziału Nauk Ścisłych. Wiedząc, że nie ma czasu, mężczyzna z blizną patrzył na niego przez chwilę, po czym wyszczał rozkazy.

Żołnierze pchnęli Monka w stronę wirusologa. Uniósł ręce nad głowę i nie opierał się. Ktoś podszedł do niego z uprzężą.

Gdy mu ją założyli, spojrzawszy ukradkiem na Franka. Ten marszczył brwi; najwyraźniej zastanawiał się, co mu chodzi po głowie. Monk odpowiedział lekkim wzruszeniem ramion. Fakt, jego plan nie był przemyślany, ale przecież miał ograniczone możliwości. Domyślił się już wcześniej, że napastnicy zamierzają porwać Franka, tak jak uprowadzili lekarzy z obozu ONZ-etu. Jeśli chcieliby go zabić, po prostu odstrzeliliby raketami całe piętro budynku.

Monk wpadł na pomysł, kierując się mądrością starego powiedzenia.

Jeśli nie możesz pokonać wrogów, przyłącz się do nich.

12

Prowincja Tshopo, Demokratyczna Republika Konga

24 kwietnia, godzina 13.14 czasu miejscowego

Z telefonem satelitarnym przyciśniętym do ucha Gray rozglądał się po ruinach obozu ONZ-etu. Ostrzelane rakietami chaty, a raczej ich zgliszcza, wynurzały się z czarnych wód wezbranej rzeki Tshopo. Wszędzie wokół ciemna dżungla szczebiotała, skrzeczała i tętniła życiem.

Bliżej była tylko śmierć.

Zwłoki leżały w rzędach pod płóciennymi całunami. Wiele z nich już obejrzał. Byli to miejscowi, kilku członków personelu obozu oraz mężczyźni w podartych mundurach milicji. Według Ndayego tych ostatnich zwieziono tu celowo, by ukryć tożsamość napastników.

Gray patrzył, jak Benjie klęka obok zwłok Kongijczyka. Ciało wyglądało na odarte ze skóry i było pokryte skorupą czarnej krwi. Spróbował sobie wyobrazić, co zdarzyło się tu przed zbrojną napaścią. Benjie mówił o stanie otępienia kilkorga uchodźców, którzy nawet nie próbowali bronić się przed atakiem armii mrówek. Teraz, gdy młody doktorant pracował, kolory odpłynęły z jego twarzy, a oczy stały się nieruchome; nawet nie mrugnął. Za nim Ndaye i Faraji ciągnęli martwego pawiana. Frank przykazał, żeby pobrali próbki również od dzikich zwierząt.

Gray zdał sobie sprawę, że wysiłki, które tu podejmują, stały się bezsensowne. Ktoś uprowadził Franka i Monka z laboratorium

uniwersyteckiego, po czym zrzucił na budynek, w którym mieściło się ich laboratorium, bomby zapalające. Zacisnął zęby. Porwanie było kolejnym dowodem na to, że wróg zbyt wiele wie o działaniach Sigmy. Najwyraźniej wiadomość dotarła do niepowołanych uszu.

– Lisa będzie pracować z lekarzami w szpitalu uniwersyteckim – powiedział Painter Crowe. – Postara się kontynuować badania Franka Whitakera, korzystając z dostępnych środków. Zamierza również skontaktować się z doktorem Remym Engongą, patologiem z Międzynarodowego Centrum Badań Medycznych, który pracował z Frankiem w Gabonie. Ich instytut jest najbliższym ośrodkiem o czwartym poziomie bezpieczeństwa biologicznego.

Gray, słuchając dyrektora, już opracowywał własne plany.

– A co z Monkiem i Frankiem? – spytał. – Musimy założyć, że porwali ich ci sami ludzie, którzy zaatakowali obóz.

Kowalski usłyszał to i gwałtownie uniósł głowę. Klęczał przy broni dostarczonej przez Paintera, prototypowym karabinie zaprojektowanym przez DARPA do walki w dżungli. Shuriken, jak go nazywano, miał lufę szeroką i płaską jak łopata. Całość przypominała ręczny odkurzacz przyspawany do karabinu szturmowego. Duży cylindryczny magazynek bębnowy zawierał niezwykłą amunicję.

Tucker też z zaciekawieniem przyglądał się dziwnemu karabinowi – nawet Kain go obwąchał – ale po ostatnich słowach komandora wyprostował się i zmrużył oczy.

– O co chodzi z Frankiem? – rzucił.

Gray wyczytał troskę na jego twarzy. Wiedział, że Tucker i Frank przyjaźnią się od czasów wojny w Zatoce Perskiej. Uniósł dłoń, bo Painter właśnie powiedział:

– To jedyna dobra wiadomość, jaką mam.

– Jak dobra?

– Lisa uważa, i ja się z nią zgadzam, że Monk interweniował w czasie ataku, mając nadzieję na uratowanie Franka i licząc, że zostanie uprowadzony razem z nim.

Gray kiwnął głową. Cały Monk, pomyślał.

– Udało wam się odebrać sygnał jego transpondera?

– Wierz mi, Kat nie zamierza stracić męża z oczu. GPS wbudowany w jego protezę jest aktywny. Sygnał przemieszcza się na północny wschód.

Gray odetchnął z ulgą. Proteza Monka – cud inżynierii – była prawie nie do odróżnienia od prawdziwej ręki, przynajmniej przy pobieżnym spojrzeniu. Nie wątpił, że napastnicy przeszukali Monka, ale w nerwowych chwilach przed odlotem najwyraźniej przeoczyli to, co było ukryte na widoku. Ale w końcu to zobaczą.

Był pełen najgorszych przeczuć. Przypomniawszy sobie słowa Ndayego, że niektórzy kongijscy żołnierze są zdrajcami.

– Powinniśmy zachować tę wiedzę dla siebie – powiedział, zniżając głos do szeptu. – Chciałbym skorzystać ze wsparcia wojska, ale ktoś od nich wiedział, że jesteśmy w budynku uniwersyteckim. Jeśli chcemy uratować Monka i Franka, musimy działać cicho, bez demonstracji siły. Przynajmniej na razie.

Rozejrzał się po ruinach obozu. Istniała szansa, że Monk i Frank zostaną przewiezieni tam, gdzie trafili uprowadzeni lekarze. Jeśli tak, Gray i jego zespół będą mieli tylko jedną szansę na udaną akcję ratunkową. Ale jeżeli informacje o ich planach znowu dotrą do niewłaściwych uszu...

– Więc jaki masz plan? – zapytał Painter.

– Pozwól, że przedyskutuję to z innymi, i później odezwę się do ciebie.

– Rozumiem.

Gray rozłączył się i opuścił telefon. Doceniał to, że dyrektor dał mu zielone światło na opracowanie strategii, zamiast wydawać rozkazy. Zwykle tylko ci, którzy przebywali na miejscu, mogą najlepiej ocenić sytuację. Poza tym Gray ufał swojej intuicji, i na szczęście Painter także.

Machnął ręką, przywołując wszystkich, także Benjiego i Farajiego. Szybko zrelacjonował przebieg wydarzeń na uniwersytecie. Patrzyli na niego z ponurymi minami. Nikt się nie odezwał oprócz Kowalskiego, który zaklął pod nosem, wypuszczając smużkę dymu z zaciśniętego w zębach cygara.

Gdy już przetrawili wieści, Gray podjął:

– Nie chcę zrzucić tropu pozostawionego przez wielbnego Shepparda. Jeśli gdzieś w dżungli jest źródło zarazy... i możliwe lekarstwo... musimy je znaleźć jak najszybciej.

Pokiwali głowami. Wystarczyło spojrzeć na obóz – spustoszony nie tylko przez napastników, ale także przez chorobę szalejącą tu przed atakiem – by zrozumieć, że czas ucieka. Gray czuł, że całe Kongo znalazło się w punkcie zwrotnym. W dżungli tliło się jakieś prastare zło i wiedział, że muszą je zgasić w zarzewiu, by nie doszło do katastrofalnej pożogi.

Tucker pochylił się w jego stronę. Gray domyślał się, co zaraz usłyszy.

– Polecę z Kainem na poszukiwanie Franka i mam nadzieję, że znajdziemy też innych. Wy ruszajcie do dżungli i podążajcie za wskazówkami wielbnego. Będę w stałym kontakcie z Painterem.

Gray skinął głową z wdzięcznością. Nie podobała mu się myśl o przekazaniu losu Monka w ręce kogoś innego, ale Tucker nie miał sobie równych w takiej robocie, zwłaszcza w parze z Kainem. Podczas wojny wyspecjalizował się w misjach poszukiwawczych i ratowniczych, a przede wszystkim w eksfiltracji: przetrucaniu ludzi z obszarów kontrolowanych

przez wroga. Jeśli ktokolwiek zdoła zlokalizować uprowadzone osoby, to właśnie ta para.

Gray spojrział na Ndayego. Strażnik ICCN pilotował śmigłowiec, którym tu przylecieli.

– Przerzucisz Tuckera tam, gdzie trzeba? Nie chcę, by o tej operacji wiedział ktoś spoza naszej grupy. Nie ufam nikomu innemu.

– *Certainement* – odpowiedział Kongijczyk. – Rozumiem.

– I może po drodze podwieziesz Benjiego z próbkami do Kisangani.

Doktorant wyprostował się i pokręcił głową.

– Nie. To bez sensu.

Gray utkwiał w nim wzrok.

– Chciałbym pójść z panem, komandorze – oświadczył stanowczo młody człowiek. Musiał dwa razy przełknąć ślinę, żeby wypowiedzieć te słowa. Mrugał tak szybko, jakby jego ciało próbowało wysłać sygnał alfabetem Morse’a. A jednak nie ugiął się przed strachem. – Biorąc pod uwagę chorych, którzy już przebywają w szpitalu w Kisangani, przewożenie tam próbek mija się z celem. Bardziej przydam się w dżungli.

Gray chciał odrzucić tę propozycję pomocy, ale zdawał sobie sprawę, że jest wiele niewiadomych. Jedną z nich było to, że zaraza dziwnie wpływała na życie w dżungli. Dlatego nie odmówił biologowi, ale dał mu jeszcze szansę na wycofanie się.

– Jeśli jesteś absolutnie pewien. Będziemy tylko my dwaj, plus Kowalski i, miejmy nadzieję, Faraji. – Zerknął na ucznia szamana. – Oczywiście jeżeli chcesz nam pomóc. Potrzebujemy kogoś tutejszego, kto być może zdoła zinterpretować wskazówki ukryte na starych fotografiach Shepparda.

Faraji i Benjie pokiwali głowami na znak, że chcą mu towarzyszyć.

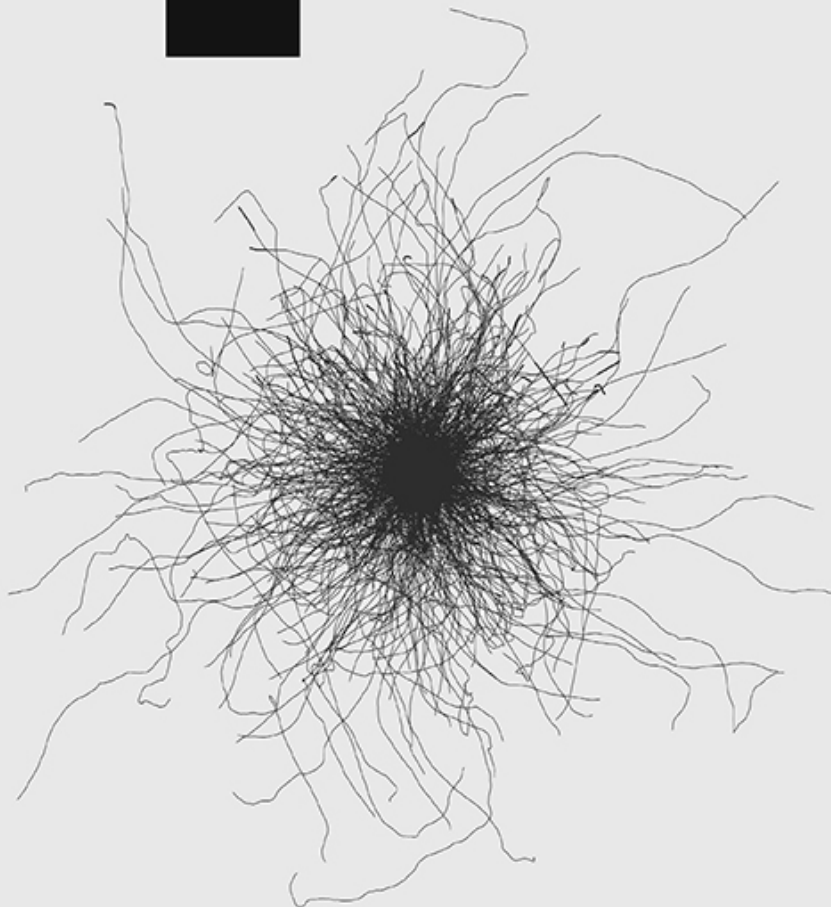
– W takim razie postanowione – rzucił Gray.

Kowalski wypuścił kolejną chmurę dymu z cygara.

– Super! – zawołał. – Rozdzielamy się. To zawsze dobrze się kończy.

CZEŚĆ TRZECIA

INFILTRACJA



13

Wyspa Belka, Demokratyczna Republika Konga

24 kwietnia, godzina 15.02 czasu miejscowego

Niedobrze, pomyślała Charlotte, badając siedzącą na łóżku Disankę. Kobieta z plemienia Luba musiała wyczytać zmartwienie z jej twarzy, bo w jej szeroko otwartych oczach widać było narastający strach. Przeniosła spojrzenie na syna. Owinięty chłopiec spał w kołysce przy łóżku, ale wyglądał jak w śpiączce. Nie był skulony na boku, nie ssał kciuka. Leżał z głową odchyłoną do tyłu, a jego drobne kończyny spoczywały bezwładnie, jakby pozbawione kości.

Matka nie była jedyną osobą, która martwiła się o niego.

– Jest coraz gorzej – orzekł Cort Jameson, kiedy zakończył badanie dziecka. – Tętno spadło poniżej dziewięćdziesięciu, prawdopodobnie z powodu coraz płytszego oddechu.

– Powinniśmy założyć mu maskę tlenową – powiedziała Charlotte.

– Zajmę się tym. Dokończ badanie matki. Jeśli ona też się rozchoruje...

– Cort nie dokończył.

Gdy odchodził, Charlotte spojrzała na sąsiednie łóżko, na którym leżały zwłoki w czarnym worku. Ciało starszego pacjenta czekało na przetransportowanie do laboratorium patologii w sąsiednim baraku. Z karty wynikało, że przybył tu cztery dni temu; jego stan dziwnej apatii powoli się pogłębiał i doprowadził do paraliżu. A może mężczyzna po prostu

zapomniał, jak się oddycha, albo jego serce straciło wolę bicia. To była zagadka dla patologów.

Popatrzyła na zestaw sprzętu z tyłu sali. Kilka razy próbowała uzyskać więcej informacji od doktora Ngoya, szefa lekarzy, lecz za każdym razem spotykała się z odmową.

Nie są skłonni do współpracy, pomyślała, ale teraz miała do rozgryzienia bardziej palący problem. Disankę, która miała podwyższoną temperaturę i w końcu przyznała się, że boli ją głowa. Można by to było przypisać zmęczeniu i lękowi o syna, ale gdy jadła późny posiłek – mięso z warzywami w sosie i smażony chleb – niemal się zadławiła.

Charlotte sięgnęła po szpatułkę i poprosiła po francusku:

– Otwórz usta. – Pokazała jej to, wysuwając język.

Gdy Disanka wykonała polecenie, Charlotte obejrzała jej gardło. Migdałki wyglądały na lekko zaognione, ale poza tym nie dostrzegła żadnych zmian. Wstrzymała oddech, sięgnęła szpatułką do lewego migdałka i musnęła zaognioną tkankę. Normalnie pacjent odsunąłby się i zaczął krztusić, ale kobieta nawet nie drgnęła.

Charlotte usiadła i wrzuciła szpatułkę do czerwonego kosza na odpady medyczne. Gestem dała znać Disance, że ma się odprężyć, i krzepiąco poklepała ją po ramieniu. Z oczu kobiety z plemienia Luba bił strach. Charlotte wiedziała, że nie boi się o siebie. Obie spojrzały na niemowlę.

Disanka chwyciła ją za rękę, jakby chciała w ten sposób przypomnieć o obietnicy lekarki: że uratuje jej dziecko.

Charlotte ścisnęła jej dłoń. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, pomyślała.

Strach Disanki zastąpiła determinacja. Spojrzały sobie w oczy. Wiadomość była jasna: obie zrobią dla dziecka, co tylko będzie możliwe.

Cort wrócił z małą maską pediatryczną i podłączył do niej przewód tlenowy.

– I co? – zapytał szorstko.

Charlotte puściła rękę Disanki.

– Wygląda na to, że ma zaburzenia przełykania. Nie wiem, czy to tylko brak czucia w gardle, czy paraliż mięśni.

– Czy to może być wczesnym symptomem choroby?

Wzruszyła ramionami.

– Gorączka, bóle głowy, wszystko to może być oznaką początku wirusowego zapalenia mózgu. Ale zaburzenia przełykania są nietypowym objawem.

– Nie zawsze. – Spojrzał na nią znacząco.

Zrozumiała.

– Myślisz o wścieklicznie? – spytała.

Dowiedziała się wszystkiego o tej chorobie odzwierzęcej, zanim przyjechała do Konga w ramach misji Lekarze bez Granic. Charakterystyczne dla niej hydrofobia – lęk przed wodą – piana na ustach i ślinienie się są spowodowane dysfunkcją gardła w wyniku śmiertelnego zapalenia mózgu.

– Ale to na pewno nie jest wściekliczna – powiedział Cort.

Nie, zdecydowanie nie, pomyślała.

Przyłapała się na tym, że pociera się po szyi, próbując ocenić, czy sama ma takie objawy. Ślady na dłoniach po ukąszeniach przez mrówki wciąż były czerwone. Nieustannie bolała ją głowa, czuła się przegrzana i spocona. Próbowwała przypisać to stresowi i nieprzepuszczającemu powietrza kombinezonowi ochronnemu, bała się jednak, że została zainfekowana.

Cort wskazał głową tylną część sali.

– Może powinniśmy poinformować doktora Ngoya o naszych obserwacjach – zasugerował.

Odwróciła się i skrzywiła na widok szefa zespołu tutejszych medyków, którzy ani na krok nie odstępowali sprzętu serologicznego i histologicznego. Dla nich ona i Jameson byli jedynie stażystami i laborantami od pobierania krwi, niegodnymi ich czasu i uwagi.

– Wstrzymajmy się na razie – powiedziała.

– Jesteś pewna?

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo barak zadygotał, gdy przeleciał nad nim śmigłowiec. Podmuch uderzył w metalowy dach. Charlotte, która i tak miała już stargane nerwy, skuliła się i spojrzała w górę.

Podeszła do wąskiego okna przy łóżku Disanki. Hałas brzmiał tak, jakby maszyna opadła gdzieś w pobliżu, a nie na lądowisku nad rzeką.

Dostrzegła śmigłowiec siadający na placu starego osiedla kolonialnego. Drzwi otworzyły się po obu stronach i wysiedli mężczyźni w czarnych strojach, kolejni członkowie prywatnej armii Nolana De Costera. Dostrzegła wysoką sylwetkę Ekona. Porucznik z karabinem gotowym do strzału prowadził dwóch ubranych po cywilnemu mężczyzn w kierunku pensjonatu, gdzie mieścił się gabinet Nolana.

Cort, który dołączył do niej przy oknie, zeszywniał.

– Niemożliwe – mruknął.

– Co?

Ruchem głowy wskazał prowadzonych mężczyzn.

– Ten z przodu to doktor Whitaker.

Charlotte nie od razu skojarzyła nazwisko.

– Wirusolog? – spytała po chwili. – Ten, którego próbowałeś wezwać do obozu?

– Tak. Ale co on tu robi? Jak się tu znalazł?

Popatrzyła na karabin w rękach Ekona.

– Najwyraźniej nie zgłosili się na ochotnika. – Przyjrzała się krępemu łysemu mężczyźnie idącemu obok wirusologa. – Rozpoznajesz tego drugiego?

– Nie. Ale to bez znaczenia. Są więźniami jak my. Nie będą w stanie nam pomóc.

– Nie byłabym taka pewna.

– Co masz na myśli?

– Potrzebujemy doświadczonego wirusologa.

Zerknęła na Ngoya, który pochylał się nad mikroskopem.

Zwłaszcza takiego, któremu możemy zaufać, dodała w myślach.

Godzina 15.42

Tucker ukląkł w cieniu i przygotował partnera do akcji.

Za jego plecami na małej polanie blisko rzeki stał śmigłowiec, którego silnik stygł z metalicznym tykaniem i brzęczeniem. Była to ta sama gazelle, którą leciał zeszłej nocy, kiedy ratował Ndayego i innych z wezbranej rzeki Tshopo.

Miejmy nadzieję, że jest gotowa na jeszcze jedną akcję ratunkową, pomyślał.

Przez ostatnią godzinę Ndaye i Tucker śledzili transponder GPS ukryty w protezie Monka. Zachowywali bezpieczny dystans, dopóki poruszający się cel w końcu się nie zatrzymał – a raczej dopóki sygnał nie umilkł. Stracili transmisję jakieś pięć minut temu i po znalezieniu odpowiedniego miejsca wylądowali na polanie. Ostatni sygnał został nadany w odległości około dziesięciu kilometrów od ich pozycji. Musieli założyć, że wróg

odkrył transponder i go wyłączył. A skoro tak, to nie mogli ryzykować zbliżania się do celu drogą powietrzną. Dalej pójda na własnych nogach.

Tucker i Kain.

Ndaye zostanie w śmigłowcu. Ekostrażnik musi być gotów do startu, jeśli Tuckerowi uda się znaleźć i uwolnić Franka i Monka. Tymczasem muszą zachować ciszę radiową. Tucker nawiąże kontakt z Ndayem tylko wtedy, gdy będzie to absolutnie konieczne. Po tylu zasadzkach i zdradach paranoja sięgała zenitu. Ale przypomniał sobie cytat z książki, nie pamiętał jakiej: To, że *masz paranoję, wcale nie oznacza, że nie chcą cię dorwać*.

Tak czy inaczej, będzie zdany na siebie – choć nie będzie całkiem sam. Spojrzał w nakrapiane złotem karmelowe oczy Kaina. Teraz będą tylko oni dwaj. Tak jak lubił.

Obmacał paski kamizelki taktycznej K9 Storm owczarka, sprawdzając, czy przylegają do ciała, ale go nie ocierają. Wzmocniona kevlarem kamizelka była wodoszczelna i, co ważniejsze, kuloodporna. Wyczuł stare blizny pod czarno-brązową sierścią. Sam też miał szramy, jedne dobrze widoczne, inne ukryte.

Czuł bicie serca partnera i jego drżące z podniecenia mięśnie. Kain wiedział, że nadszedł czas zabrać się do pracy, zmienić się z merdającego ogonem pupila w skradającego się żołnierza. Tucker potarł mu uszy, dotykiem wzmacniając ich więź. Pochylił się i przez chwilę tulił partnera, wdychając jego piżmowy zapach i czując na policzku gorący oddech płynący z czarnych nozdrzy.

W odwiecznym rytuale przyłożył nos do nosa Kaina, świadom, że prosi go o narażanie życia, by ratować innych.

– Kto jest grzecznym pieskiem? – szepnął do swojego najlepszego przyjaciela.

Kain liznął go po nosie.

Prawda, ty.

Sięgnął do kołnierza kamizelki. Wysunął ukrytą tam kamerę i włożył bezprzewodową słuchawkę do lewego ucha partnera. Ten sprzęt umożliwił im stały kontakt wizualny i dźwiękowy. Ustawił kamerę w taki sposób, że obiektyw był skierowany nad łeb Kaina, i włączył ją. Sam nałożył zaprojektowane przez DARPA gogle. Nacisnął boczny przycisk i w wewnętrznej części pola soczewek pojawił się obraz z kamery.

Zadowolony, wsunął do ust bezprzewodowy nadajnik radiowy i umieścił go za ostatnim zębem. Małe radio – Molar Mic – pozwalało mu szeptem porozumiewać się z partnerem. Wykorzystywało zjawisko przewodzenia kostnego, dzięki czemu drgania przewodzone przez kości szczęki trafiały bezpośrednio do ucha wewnętrznego. Transmisje można było „ściszyć”, by zmniejszyć prawdopodobieństwo wykrycia, chociaż ograniczało to zasięg radia.

Tucker będzie nadawać głośniej tylko wtedy, gdy nadejdzie czas na skontaktowanie się z Ndayem.

Testując łączność, powiedział bezgłośnie:

– Jesteś gotowy, kumplu?

Kain machnął ogonem. Oczy płonęły mu z tłumionego podniecenia, bo wiedział, co nadchodzi, i rwał się do działania.

Ruszajmy.

Tucker wyprostował się i obrócił. Ndaye odpowiedział mu spojrzeniem; domyślił się, że Tucker przygotowuje się do wymarszu, i pokazał mu uniesiony kciuk. Tucker zrobił to samo i obrócił się ku ścianie gęstej dżungli. Zamierzał iść równolegle do rzeki i kierować się w stronę miejsca, gdzie utracili sygnał.

Wskazał ręką las. Zanim szepnął „ZWIAD”, Kain już ruszył, przewidziawszy komendę. Były komandos wszedł za psem do lasu.

Owczarek szybko zniknął mu z oczu. Tucker widział teren bezpośrednio i pośrednio, oglądając obraz przesyłany z kamery do jego gogli. Podskakujący widok zasłanego liśćmi gliniastego podłoża, krzaków i pnączy zlewał się z tym, co widział na własne oczy. Było to dezorientujące, ale po jakimś czasie stało się naturalne. Sapanie Kaina wypełniało Tuckerowi czaszkę i podświadomie dostosowywał do niego własny oddech. Nawet stąpanie psich łap zgrało się z jego krokami. W tym pozaczasowym momencie stali się jednością, idealną harmonią działania i celu.

W innym miejscu gogli mapa aktualizowana w czasie rzeczywistym informowała go o tym, gdzie ostatnio namierzono Monka. Kolejne punkciki znikały, gdy szedł trasą wzdłuż płynącej na lewo od niego rzeki. Narzucił sobie miarowe, ale szybkie tempo. Mógł je utrzymać dzięki temu, że gęste korony drzew ograniczały dostęp światła. W dole tylko gdzieniegdzie rosły kępy ciernistych krzaków i oplecionych pnączami bambusów.

Drzewa były wysokie; miały z sześćdziesiąt metrów – strzelista kolumnada palm, drzew kauczukowych i mahoniowców z małymi skupiskami czerwonych cedrów. Pod baldachimem koron dżungla była wilgotną szmaragdową katedrą. Storczyki i lilie wybuchały feerią niemal luminescencyjnych kolorów. Opalizujące motyle wydawały się zastygłe w bezruchu, jakby zawisły w powietrzu przed wiekami.

Pełen pokory i podziwu, zdał sobie sprawę, że na długie chwile wstrzymuje oddech. Stulecia butwiejącej ściółki tłumiły jego kroki. W lesie panowała głęboka cisza. Spodziewał się brzęczenia owadów, kakofonii śpiewu ptaków, paplaniny małp. Nic z tego. Odnosił wrażenie, że jest obserwowany przez wielki inteligentny byt. Czuł się jak intruz, który nie ma prawa tu przebywać.

Nie dotyczyło to jednak jego partnera.

Gdy Kain biegł przed siebie, jego sierść stapiała się z cętkami cienia. Poruszał się bezszelestnie; był częścią tego lasu jak każda żywa istota. Poruszał ogonem, uszy miał postawione. Jego oddech brzmiał w uchu Tuckera jak szept.

Z każdym krokiem powietrze robiło się wilgotniejsze, bogatsze i cięższe. Nozdrza wypełniała mu woń rozkładu i wilgoci i tylko od czasu do czasu ustępowała słodszyemu zapachowi pnączy. Oddychał z wrażeniem, że dżungla próbuje wedrzeć mu się do płuc. Zauważył, że mimo stałego tempa zaczyna mu brakować tchu. Zwykle mógł przebiec dziesięć kilometrów w niecałą godzinę, nawet się przy tym nie pocąc. Tutaj po pokonaniu zaledwie połowy tego dystansu pot lał mu się z czoła. Koszula maskująca przylepiła się do piersi i pleców. Plecak stał się głazem na jego ramionach.

Mimo to uważnie obserwował las. Przez cały czas miał się na baczności nie tylko przed nieznanym wrogiem, ale również przed tym, co skrywało się w tej zielonej katedrze. W tych okolicach grasowały lamparty i gepardy, szakale i hieny. Nie brakowało tu także mniejszych mieszkańców. Po dżungli pełzały jadowite węże: żmije sykliwe, kobry, mamby. Do tego dochodziła niezliczona rzesza skorpionów, pajaków i kęsających stonóg. Z każdym krokiem doceniał nieprzemakalne buty trekkingowe, grube spodnie i koszulę z długimi rękawami.

Narastało w nim napięcie, odczuwane fizycznie jak węzeł zaciskający się między łopatkami.

Gdy nagle rozległ się krzyk, Tucker aż podskoczył.

Zadarł głowę i zobaczył smugę koloru. Wielka papuga, którą zapewne spłoszył, wściekle machała skrzydłami. Przeprosił i jednocześnie sklął ptaka.

Gdy szedł dalej, czas dziwnie się wydłużał. Zegar w goglach zapewniał jedyną obiektywną ocenę jego postępów. Tucker patrzył, jak powoli nikną punkciki na mapie. Dotarcie do ostatniego zajęło mu ponad półtorej godziny.

Gwizdnął cicho, żeby Kain się zatrzymał. Pies zawrócił i dołączył do niego. Ział, a jego oczy jarzyły się w cieniu, jakby płonęły wewnętrznym światłem. Tucker patrzył przed siebie, pojąc owczarka wodą z manierki. Szlak sygnałów transpondera ciągnął się mniej więcej wzdłuż pobliskiej rzeki. Chociaż tutaj się urywał, Tucker musiał założyć, że Monk przemieszczał się równolegle do tej drogi wodnej.

Wyciągnął rękę przed siebie.

– ZWIAD – szepnął do partnera. Złapał się za nadgarstek i przycisnął rękę do piersi, cicho dodając komendę: – TRZYMAJ SIĘ BLISKO.

Posuwali się równolegle do rzeki, zgodnie z jej biegiem. Kain prowadził, ale szedł tylko o kilka metrów przed nim. Dżungla stawała się coraz gęstsza; przypominała już nie katedrę, tylko zatłoczony kościół. Widoczność spadła. Niskie gałęzie groziły, że strącą mu czapkę z głowy. Wzrosła wilgotność, jakby napierająca roślinność ścisnęła powietrze.

Przyczyna tego stanu rzeczy połyskiwała w oddali.

Ich trasę przecinała rzeka, uchodząca zapewne do tej, wzdłuż której szli. Tucker zwolnił – a raczej został do tego zmuszony przez dżunglę. Nad rzeką jaśniał pas otwartego nieba, więc brzegi porastała bujna roślinność. Pnącza i krzewy tworzyły kolczastą barierę, umocnioną przez rumowiska spróchniałych pni, porośniętych szmaragdowym mchem i grzybami.

Tucker zauważył też inny problem. Przekaz z kamery Kaina rwał się w jego goglach. Pikseloza. Oblizął usta. Domyślał się przyczyny. Odwrócił się, spojrzął w stronę, z której przyszedł, i przypomniał sobie, gdzie zniknął sygnał transpondera Monka.

Ktoś głośzy częstotliwości radiowe w tej okolicy, uświadomił sobie. I sprzęt Kaina.

Nie był to powód do radości, ale zyskał potwierdzenie, że jest na właściwej drodze. Bardziej martwiło go to, że stracił kontakt radiowy z Ndayem. Jeśli uda mu się uwolnić uprowadzone osoby, będzie musiał wyprowadzić je poza zasięg nadajnika zakłócającego, żeby wezwać śmigłowiec. A to jeszcze bardziej komplikowało sprawę. Nie mógł jednak zrezygnować.

Przedzierał się przez gęstwinę, miejscami zmuszony niemal się czołgać. Wreszcie stanął na brzegu rzeki. Światło słoneczne odbite od płaskiej powierzchni wody poraziło mu oczy. Przez chwilę oślepiony, usłyszał zagrożenie, zanim je zobaczył. Nad wodą niósł się donośny łoskot. Tucker doszedł do wniosku, że źródło hałasu znajduje się na dużej wyspie u zbiegu dwóch rzek. Po chwili dostrzegł srebrzysty kształt wyłaniający się z lasu. Mrużąc powieki, żeby lepiej widzieć, rozpoznał helikopter.

Obawiając się, że już go zauważono, oddalił się od rzeki. Ukrył się w dżungli, ale obserwował śmigłowiec. Czy to ten, który przypuścił atak na kampusie? Maszyna wzbijała się nad drzewa, skręciła i poleciała w dół rzeki. Odprowadzał ją wzrokiem. Śmigłowiec odbił od rzeki. Podążając za nim wzrokiem, Tucker zauważył w dali kilka słupów dymu. Gdy wyteżył słuch, usłyszał dalekie zgrzytliwe echo i wysoki gwizd.

To z pewnością miasto górnicze, jedno z niezliczonych w Kongu. Wpatrywał się w nikłe smugi dymu. Czy to tam zabrano Franka i Monka? A może wysadzono ich na wyspie? Przyjrzał się porośniętemu drzewami kawałkowi lądu u zbiegu rzek i wypatrzył koniec długiego pomostu, przy którym cumowały łodzie.

Ktoś na pewno założył tam interes, pomyślał i natychmiast uznał, że musi to sprawdzić.

Co oznaczało przebycie rzeki wplaw.

Patrzył na czarne lustro wody, zastanawiając się, jakie niebezpieczeństwa czyhają poniżej. Nie miał jednak wyboru, musiał zaryzykować. Z westchnieniem spojrzał na słońce, które wisiało nisko nad horyzontem. Jeśli na wyspie ktoś czuwa, najlepiej będzie poczekać do zmroku.

Słońce miało zająć za pół godziny. Usadowił się wygodnie i zaczął obmyślać strategię.

Kain najwyraźniej nie był zadowolony z tego planu, bo zawarczał. Tucker nie tyle usłyszał ten dźwięk, ile go poczuł, gdy przytulony do niego pies zadrżał. Spojrzał na niego. Owczarek patrzył w głąb dżungli, która o tej porze wydawała się jeszcze ciemniejsza.

Znów warknął ostrzegawczo.

Coś tam musi być, uznał Tucker, bo ufał instynktowi partnera. Zaczął wpatrywać się w dżunglę, by zobaczyć to, co wyczuł pies. Dał mu znak, opuszczając dłoń przed jego nosem, a następnie wskazując palcem w stronę drzew: **NAPRZÓD, KRYJ SIĘ.**

Owczarek przemykał przez chwilę od cienia do cienia, a potem zniknął w lesie. Patrząc na jego obraz z kamery, Tucker dodał drugie ciche polecenie: *Uważaj na siebie, stary.*

Kain wdycha zapach lasu. Chłonie zapachy, by określić to, czego nie widzą jego oczy.

W drodze do rzeki zapamiętał ślady w okolicy: jasną woń moczu na pniu, ciemniejsze piżmo łajna, amoniakowe bryzgi guana. Na wszystkich śladach wyryta jest zgnilizna liści i pogrzebanych kości, dojrzałość opadłych owoców i robaczywy rozkład.

Na języku czuje smak wilgoci tego deszczowego świata, słodkich pyłków w powietrzu, bogatej gliniastej gleby uginającej się pod łapami.

Idzie z brzuchem przy ziemi i postawionymi uszami, tropiąc niezwykły dźwięk, który przyciągnął jego uwagę. Ten dźwięk tu nie pasuje.

W głębi jego gardła rodzi się wyzwanie, podsycane hormonalnym ogniem pragnienia dominacji. Ale Kain walczy z tym nakazem krwi, tłumio go.

Idzie naprzód, zachowując ostrożność przy każdym kroku. Gdy ciernie przeczesują jego sierść, przesuwają się, żeby nie zahaczyły o szorstką kamizelkę i nie zdradziły jego pozycji. Zachowanie najwyższej ostrożności się opłaca. Hałas dobiegający z przodu jest coraz głośniejszy.

Plaskanie mokrych liści, ciężkie, zbyt rytmiczne.

Ostry terkot, który jeży mu sierść na karku.

Tykanie, dźwięczenie metalu.

Nagle jego nos wychwytuje zapach niepowtarzalny i obcy w tym leśnym świecie. To zapach błyskawicy w powietrzu, połączony z dobrze mu znaną wonią oleju do czyszczenia broni. Czuje na końcu języka smak płonącego plastiku.

Obcość zapachu jeszcze bardziej rozgrzewa mu krew.

Mimo to powstrzymuje się przed porzuceniem wyzwania.

Zwalnia, powoli stawiając łapę przed łapą. Opuszcza ogon. Trzyma się najgęstszych cieni. Wreszcie dostrzega cel... dwa cele. Poruszają się z budzącą grozę synchronicznością, skradając się przez las z przerażającą determinacją, terkocząc przy każdym kroku.

Jeży mu się sierść. W piersi narasta burza.

Nagle słyszy komendę, naglącą i stanowczą.

KRYJ SIĘ!

Jest posłuszny nie ze strachu, ale z lojalności, która jasno płonie w jego sercu. Wślizguje się w głębsze cienie i przywiera do ziemi. Jego mięśnie są twarde i napięte, przygotowane do ucieczki lub ataku.

Na razie tylko obserwuje zbliżające się dziwne stwory.

Tucker wpatruje się w obraz z kamery Kaina.

Co, do cholery...?

Przed chwilą w polu widzenia pojawiły się dwa roboty, dobrana para połyskliwie czarnych czworonogów. Szły przez las, poruszając się synchronicznie – śmiercionośne ucieleśnienie baletu inżynierii i zagrożenia. Przyjrzał się temu bliższemu, który wzrostem dorównywał Kainowi, ale zamiast głowy miał pierścień obiektywów zwieńczony karabinem z krótką lufą.

Tucker wiedział, na co patrzy.

Psy stróżujące.

Śledził rozwój tych jednostek od jakiegoś czasu, zainteresowany wszystkim, co miało związek z wojskowymi psami pracującymi. Te tak zwane Q-UGV – czworonożne bezzałogowe pojazdy naziemne – służą jako dodatkowe zabezpieczenia wokół obiektów wojskowych. Zostały zaprojektowane do patrolowania odległych rejonów baz, by żołnierze mogli strzec ważniejszych obszarów. Nawet nowojorska policja przez krótki czas używała ich cywilnych wersji do pomocy w przeszukiwaniu kompleksów mieszkalnych.

Tucker zacisnął zęby.

Najwyraźniej wykorzystywano je również w innych częściach świata, także w Demokratycznej Republice Konga.

Wypatrywał za parą robotów przewodnika, chociaż wiedział, że są często kontrolowane przez operatora z zestawem VR lub wysyłane

zaprogramowaną trasą i reagują zgodnie z zestawem algorytmów. Dzięki pierścieniowi czternastu czujników skanują pełne trzysta sześćdziesiąt stopni przestrzeni wokół siebie. Mogą kucać, skakać, biegać; są w pełni sprawne w temperaturze znacznie poniżej zera i na najgorętszej pustyni.

Wstrzymał oddech, gdy roboty zbliżały się do kryjówki Kaina. Przyjrzał się zamontowanym na nich karabinom. Widział coś takiego po raz pierwszy. Może te dżunglowe jednostki zostały w nie wyposażone na specjalne zamówienie.

Wysunął desert eagle'a z kabury na biodrze, ale roboty, nie gubiąc zsynchronizowanego kroku, minęły kryjówkę jego partnera. Wypuścił powietrze. Patrzył, jak znikają w lesie, kontynuując patrol. Nie wiedział, czy czujniki nie wykryły Kaina, czy może zostały zaprogramowane tak, by koncentrować się wyłącznie na ludziach. Las był domem dzikich zwierząt i ich ostrzeliwanie przez psy stróżujące nie miałyby sensu.

Na wszelki wypadek odczekał jeszcze trzy minuty, zanim szepnął polecenie.

CICHY POWRÓT.

Zobaczył, że Kain odwraca się i zmierza w jego stronę, i po chwili powitał go entuzjastycznym pocieraniem po karku.

– Jesteś niezastąpiony, stary.

Kain przyznał mu rację, energicznie merdając ogonem.

Tucker skierował uwagę na rzekę i tajemniczą wyspę. Skoro patrolowano nawet brzeg rzeki, to oznaczało, że coś tu jest zdecydowanie nie w porządku. Niecierpliwił się, chciał wreszcie przystąpić do działania, ale jeszcze nie zapadł zmierzch. Górna połowa tarczy słońca wciąż jaśniała nad horyzontem. Czekanie nie będzie długie.

Patrząc nad wodą, szepnął:

– Frank, cholera, w co ty nas wpakowałeś?

Wyspa Belka, Demokratyczna Republika Konga

24 kwietnia, godzina 17.45 czasu miejscowego

Frank poruszył się niespokojnie w głębokim skórzanym fotelu. Niedługo po przybyciu na wyspę on i Monk zostali przeszukani i zbadani przez lekarza. Później dostali jednakowe komplety niebieskich strojów chirurgicznych.

Monk siedział przed szerokim biurkiem z afrykańskiego mahoniu. Podczas przeszukania porywacze odkryli jego protezę. Pozwolili mu ją zatrzymać, gdy zademonstrował, że mimo idealnego podobieństwa do ludzkiej ręki ma sztywne palce i jest mało sprawna.

Siedzieli naprzeciwko człowieka, który zorganizował ich porwanie. Frank znał Nolana De Costera, dyrektora generalnego korporacji górniczej, nie osobiście, ale wiedział, że należąca do tego człowieka firma częściowo sfinansowała jego badania w Afryce.

Słuchając, jak miliarder tłumaczy swoją bezwzględność i okrucieństwo ekonomiczną koniecznością, Frank próbował ogarnąć to, co od niego usłyszał. Nie stawili się tutaj dobrowolnie. Wysoki kongijski żołnierz z przeciętą blizną twarzą stał na straży za ich plecami.

– Doktorze Whitaker, rozumiem wymowę pańskich zaciśniętych ust – powiedział De Coster. – Może mnie pan osądzać tak surowo, jak tylko pan chce. Ale, jak to się mówi, było, minęło. Mądry człowiek zajmuje się

aktualnymi sprawami. Szerzy się choroba wirusowa. Ludzie umierają. Wkrótce będzie więcej ofiar. Z pana pomocą możemy przyspieszyć prowadzone tu badania i powstrzymać epidemię.

– Żeby mógł pan grać rolę białego zbawiciela czarnych – skwitował ponuro Frank, patrząc na złotą koronę w gablocie nad głową mężczyzny. Łajdak ma tupet, pomyślał.

De Coster westchnął i złączył dłonie czubkami palców na wysokości ust.

– Przeczytałem pana dossier, doktorze. Wojskowy lekarz weterynarii, który został wirusologiem. Wydaje mi się, że jest pan człowiekiem z pasją, ale praktycznym. Z pewnością podczas lat służby miał pan okazję poznać bliźnich od najlepszej i najgorszej strony. Musi pan zrozumieć, że ceną postępu jest krew. Tu, w Kongu, bardziej niż gdziekolwiek indziej. Historia Afryki jest pisana nędzą i mierzona liczbą ofiar. Mam zamiar zmienić to w tym kraju, raz na zawsze odwrócić tę krwawą falę. I miejmy nadzieję, że to samo nastąpi na całym kontynencie.

– Innymi słowy, cel uświęca środki.

Miliarder wzruszył ramionami.

– Niekiedy tak bywa. Zwłaszcza jeśli celem jest przerwanie powtarzającego się cyklu przemocy, wojen i śmierci w Afryce. Niech pan uzna to, co się teraz dzieje, za ostatnie bóle porodowe nowej ery dla Afryki.

Frank wyprostował się i otworzył usta, ale Monk go uprzedził.

– A jeśli pomożemy? – zapytał, zerkając przepaszająco na Franka. Od czasu ich schwytania udawał pełnego szacunku asystenta. Głośno przełknął ślinę, udając, że jest zdenerwowany. – Co się wtedy z nami stanie?

Frank wyobraził sobie płytki grób w dżungli.

– Mogę pana zapewnić, że nie stanie wam się krzywda – odparł gospodarz. – Dotrzymuję słowa. Oczywiście obaj będziecie pod strażą.

Zaopiekujemy się wami, spełnimy wasze zachcianki, zapewnimy wszelkie możliwe luksusy.

– Ale nie wolność – rzucił Frank. – Do końca życia będziemy zamknięci w złotej klatce. Czy właśnie to pan proponuje?

– Niestety, tak. Ale jaka jest alternatywa, doktorze? Służył pan w wojsku. Wie pan coś o poświęceniu. Czy życie w złotej klatce jest zbyt wysoką ceną za ocalenie tysięcy, może setek tysięcy istnień ludzkich?

Frank opuścił głowę. Uznał, że gadając, nie wydostanie się stąd. Może lepiej przystać na propozycję. Jeśli te sukinsyny mają szansę zwalczyć chorobę, to współpracując z nimi, przysłużą się światu. Poza tym nie mógł się pozbyć dręczącej go ciekawości. Chciał wiedzieć, co odkryli ci dranie, jakie poczynili postępy.

Wyobraził sobie kolczastego megawirusa wyizolowanego z mrówek *Dorylus*.

– Mogę liczyć na pana pomoc? – zapytał De Coster z nutą ostateczności.

Frank spojrzał w jego lodowate niebieskie oczy.

– Najpierw proszę mi pokazać, co już wiecie, a potem podejmę decyzję – odparł.

– Słusznie. – Gospodarz wstał. Jego marynarka rozchyliła się, odsłaniając ciężką kaburę na szelkach i rękojeść czarnego pistoletu. – Zabiorę was do laboratorium. Dzień się kończy, ale im szybciej zaczniemy, tym lepiej.

Kongijski żołnierz wystąpił naprzód.

– Mogę ich zabrać – zaproponował po francusku.

Frank znał ten język na tyle, by go zrozumieć, ale wolał zachować to w tajemnicy.

De Coster pokręcił głową i obszedł szerokie biurko.

– Nie, poruczniku. Pójdę z nimi. Chciałbym wysłuchać codziennego raportu doktora Ngoya.

Porucznik skinął głową.

– *Oui, bien sûr.*

Frank i Monk wstali i wymienili spojrzenia. Monk patrzył twardym wzrokiem, lekko rozchylając powieki. Bezgłówna wiadomość była łatwa do odszyfrowania: „Udawaj, że się zgadzamy”. Frank wiedział, że to na razie najlepsza metoda. Nie mogli swobodnie rozmawiać, więc nie miał pojęcia, czy agent Sigmy opracował jakiś plan. Mimo to cieszył się, że ma go u boku. Porucznik mierzył do nich z broni, gdy opuścili gabinet i schodzili po schodach na parter budynku, który wyglądał na odrestaurowany pensjonat kolonialny. Kiedy znaleźli się na zewnątrz, Ekon poprowadził ich chodnikiem z desek obok kościoła z białego kamienia w kierunku skupiska szarych blaszanych baraków.

De Coster odgrywał rolę przewodnika.

– Nie szczędziłem funduszy na przyspieszenie budowy naszego ośrodka badawczego – oznajmił z dumą w głosie. – Mamy oddziały medyczne, laboratorium patologii, laboratorium trzeciej klasy bezpieczeństwa biologicznego, a nawet miejsce do przeprowadzania testów na zwierzętach.

Wskazał budynek z pustaków, w którym nie było okien, wyglądający tak, jakby wzniesiono go w pośpiechu. Frank powstrzymał dreszcz, słysząc przenikające przez ściany stłumione piski i wycie.

– Przed nami jest oddział badawczy – dodał De Coster, prowadząc więźniów do największego baraku.

Musieli czekać przy drzwiach, bo akurat dwóch mężczyzn w białych kombinezonach ochronnych wynosiło worek ze zwłokami. De Coster zaczerwienił się lekko, jakby zawstydzony tym widokiem, ale zachował

milczenie. Gdy droga była już wolna, dał ręką znak swoim więźniom, by weszli.

Frank patrzył, jak mężczyźni niosą ciało do sąsiedniego baraku.

W przedsionku wszyscy włożyli kombinezony i maski, po czym weszli na główny oddział. Pod ścianą stało kilkanaście łóżek szpitalnych, prawie wszystkie zajęte. Dalsza część pomieszczenia za przezroczystymi zasłonami wyglądała na laboratorium. Osoby pracujące w głównej części baraku na początku nie zwracały uwagi na przybyszów, kiedy jednak ci ruszyli przez salę, kobieta badająca pacjenta odwróciła się od jego łóżka i ruszyła w ich stronę.

– Doktor Whitaker! – zawołał jakiś mężczyzna głosem stłumionym przez maskę.

Zdezorientowany Frank zmrużył oczy.

– Doktor Jameson? – Rozpoznał w końcu amerykańskiego pediatrę, który wzywał pomocy z obozu ONZ-et.

– Znacie się – zauważył De Coster, gdy Cort Jameson do nich dołączył.
– Cóż za przypadek!

Frank wiedział, że to nie przypadek. Spotkanie zostało zaplanowane.

– Mam nadzieję, że połączywszy siły, przyspieszycie nasze badania. – Miliarder wskazał ręką kobietę, która zbliżała się do nich z rezerwą. – To doktor Charlotte Girard. Opiekuje się naszym najnowszym i najmłodszym pacjentem, który, miejmy nadzieję, rzuci więcej światła na etiologię i przebieg choroby.

Frank spojrzał na Monka. Ten lekko skinął głową, potwierdzając jego domysły. Ci dwoje byli lekarzami uprowadzonymi z obozu. Szczęśliwa okoliczność w tej opłakanej sytuacji.

– Chodźmy do doktora Ngoya – rzucił De Coster i poprowadził wszystkich do laboratorium w głębi pomieszczenia. – Powinniśmy

wysłuchać jego raportu.

– Najwyższy, kurwa, czas – mruknęła po francusku kobieta, gniewnie spoglądając na ludzi w odgrodzonym laboratorium.

Tylko Frank ją usłyszał. Mimo niewesołego położenia nie zdołał powstrzymać się od uśmiechu. Rozumiał jej frustrację i wściekłość, bo czuł to samo.

Dotarli na tyły sali i weszli do nieskazitelnie czystego małego laboratorium za przejrzystą zasłoną. Frank szybko ocenił rzędy mikroskopów, analizatorów diagnostycznych, automatycznych liczników komórek. Dostrzegł nawet sprzęt do elektroforezy w żelu poliakrylamidowym, służący do analizy DNA. Zagotował się ze złości, gdy zdał sobie sprawę, że trafiła tu większość jego sprzętu laboratoryjnego z uniwersytetu, w tym laptop z programem bioinformatycznym, który sam napisał. Wyglądało na to, że nikt nie zadał sobie trudu, by go sprawdzić.

De Coster przywołał chudego kongijskiego lekarza.

– To doktor Ngoy, szef tego oddziału.

Mężczyzna był o głowę niższy od Franka, ale zachowywał się tak, jakby górował nad nimi wszystkimi. Jego widoczna pod maską twarz marszczyła się z pogardą. Frankowi wystarczył jeden rzut oka, żeby rozpoznać ten typ – człowieka z ewidentnym kompleksem Napoleona.

Doktor Girard skrzyżowała ramiona i spiorunowała lekarza wzrokiem. Najwyraźniej Ngoy też nie darzył tej kobiety szacunkiem, bo przepchnął się obok niej, by do nich dołączyć. Jediną osobą, której okazywał szacunek, był jego szef, Nolan De Coster, chociaż było widać, że nie przychodzi mu to łatwo.

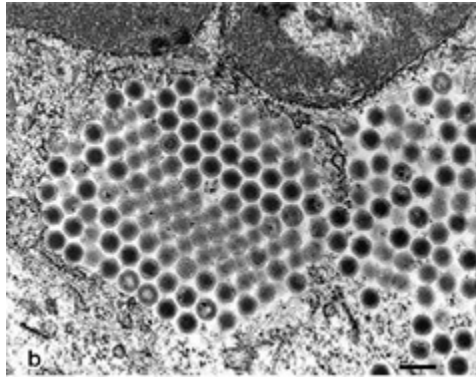
– Poczyniliśmy dziś znaczne postępy – oznajmił chłodno.

– Cudownie – rzucił De Coster. – Może opowie pan o swoich dokonaniach naszym nowym gościom.

Ngoy zmierzył wzrokiem Franka i Monka od stóp do głów.

– Oczywiście – odparł bez krzty entuzjazmu. Wiedział, że lepiej się nie sprzeciwiać.

Wszyscy poszli za nim do monitora. Postukał w klawiaturę i wczytał obraz skupiska wirionów, zarejestrowany przez mikroskop elektronowy.



Frank zeszywniał, bo natychmiast rozpoznał ośmiokątne struktury połączone kolczastymi powierzchniami. Podeszedł bliżej.

– Wyizolowałem tego samego wirusa z mrówek koczujących – powiedział. – Ale nie miałem pewności, czy wirus jest normalny u tego gatunku, czy patogenny. – Spojrzał znad monitora na rząd łóżek. – Potrzebowałem próbek pobranych od pacjentów, by potwierdzić to, co znalazłem.

De Coster uniósł brwi.

– Naprawdę wyizolował pan tego wirusa w niespełna jeden dzień?

– W niespełna cztery godziny – sprecyzował Monk.

– To samo zajęło naszemu zespołowi ponad tydzień – oznajmił De Coster, patrząc znacząco na Ngoya.

Ten odpowiedział gniewnym spojrzeniem, po czym popatrzył na Franka. Po chwili odchrząknął i wyprężył się dumnie.

– Możliwe, ale dzisiaj udało nam się ustalić pochodzenie tego wirusa, a konkretnie jego pierwotnego gospodarza.

Frank głowił się nad tym od samego początku. Wirus musiał skądś pochodzić, mieć naturalnego gospodarza, z którego wydostał się do większego świata i tam okazał się patogenny.

– Jakie to zwierzę? – spytał.

Ngoy uśmiechnął się z zadowoleniem.

– To nie zwierzę.

– Więc co?

– Roślina.

Godzina 18.03

Charlotte zauważyła zszokowaną minę amerykańskiego wirusologa.

– Roślina? – zapytała, przerywając głąchą ciszę. – Czy to w ogóle możliwe? Mówi pan, że ten wirus pochodzi z drzewa czy krzewu?

– Albo od grzyba drzewnego – rzucił Ngoy. – Skończyliśmy analizować kod genetyczny wirusa, co trwało dłużej, niż się spodziewaliśmy, ponieważ zawiera dwa tysiące dwieście trzydzieści sześć genów.

– Aż tyle? – Frank nie krył zaniepokojenia. – Jest więc jednym z największych megawirusów, jakie dotychczas odkryto.

Charlotte uniosła brwi. Megawirus?

Ngoy zignorował Amerykanina i skupił uwagę na szefie.

– Znacząca część genomu wirusa pozostaje nieznana i jest niemożliwa do sklasyfikowania, ale pozostała, być może najstarsza, jest wspólna dla grzybów i prehistorycznych paproci drzewiastych, prawdopodobnie z grupy *Cladoxylopsida*. To podobne do paproci gigantyczne drzewa, które

wymarły miliony lat temu, pozostawiając po sobie tylko skamieniałe pnie. Przez wielu są uważane za pierwsze drzewa.

Charlotte pokręciła głową.

– W jaki sposób prześledził pan pochodzenie genomu tego wirusa od wymarłego gatunku? – spytała.

Ngoy westchnął, jakby poirytowany, ale oczy mu pojaśniały. Był wyraźnie dumny ze swojej pracy i chętnie udzielił odpowiedzi.

– Genetyczni potomkowie *Cladoxylopsida* istnieją dzisiaj w postaci paproci i skrzypów. Użyliśmy zegarów rekombinacyjnych i ustaliliśmy, że geny tego wirusa są znacznie starsze niż wszystkie inne znalezione u współcześnie żyjących gatunków.

– Więc wirus pochodzi od pradawnych drzew – mruknął De Coster. – Albo pasożytujących na nich grzybów.

– Na to wygląda – rzucił Ngoy. – Chciałbym jednak sporządzić drzewo filogenetyczne i dla pewności przeprowadzić analizę bayesowską.

Charlotte pamiętała o pacjentach, miała więc bardziej naglące pytanie.

– Myślałam, że wirusy roślinne nie mogą być przenoszone na zwierzęta, a co dopiero na ludzi – powiedziała.

– To niekoniecznie musi być prawda – wtrącił Frank. – Znamy trzy rodziny, buniawirusy, reowirusy i rabdowirusy, które infekują ludzi, zwierzęta i rośliny. Atakujący paprykę wirus mozaiki może powodować gorączkę i swędzenie u ludzi. Takie przypadki należą jednak do rzadkości. Większość wirusów roślinnych nie ma biochemicznego klucza do replikowania się w komórkach ssaków. Ale nie należy zapominać, że wirusy są szalenie pomysłowe, jeśli chodzi o ewolucję i przetrwanie.

Charlotte poczuła ucisk w brzuchu na samą myśl, ale wirusolog jeszcze nie skończył.

– Jeśli doktor Ngoy ma rację, to mamy większy problem – powiedział Frank.

– Jaki? – zapytał Cort Jameson głosem piskliwym ze zdenerwowania. – Co ma pan na myśli?

– Przez większą część kariery badałem rozprzestrzenianie się chorób odzwierzęcych. Jest wystarczająco źle, gdy wirus przechodzi od swojego naturalnego żywiciela do innego. Od ssaka do ssaka. Od ptaka do człowieka. Czyli kiedy przeskakuje z jednej gałęzi drzewa ewolucyjnego na drugą. Ale tu mówimy o wirusie przeskakującym z roślin do nas. To zupełnie inna historia. To skok z jednego pnia drzewa ewolucyjnego do drugiego. – Frank powiódł wzrokiem po twarzach, dając słuchaczom czas na przyswojenie jego słów. – To może oznaczać katastrofę – ciągnął po chwili – jakiej świat dotąd nie widział. Ten wirus wydaje się zdolny do zarażania różnych gatunków. Infekuje owady, na przykład mrówki. I ssaki, jak pawiany. – Wskazał ręką część sali z łózkami. – I oczywiście nas.

Charlotte z trudem przełknęła ślinę, czując, jak krew ścina jej się w żyłach.

– Uważa pan, że może zarazić każdy żywy organizm.

Frank wzruszył ramionami.

– Wygląda na to, że już to robi.

Nawet Nolan De Coster miał szkliste oczy i był wyraźnie zmartwiony. Patrzył nieruchomym wzrokiem na ekran komputera. Jego plan wykorzystania tej epidemii do przejęcia kontroli nad Kongiem teraz nie tylko wydawał się bezwzględny i ryzykowny, ale też mógł doprowadzić do apokalipsy.

Charlotte nie pozwoliła, by to, czego się właśnie dowiedziała, ją sparaliżowało, wpędziło w czarną dziurę rozpacz. Spojrzała na Disankę,

która przytulała syna. Charlotte potrzebowała bardziej praktycznych i użytecznych informacji.

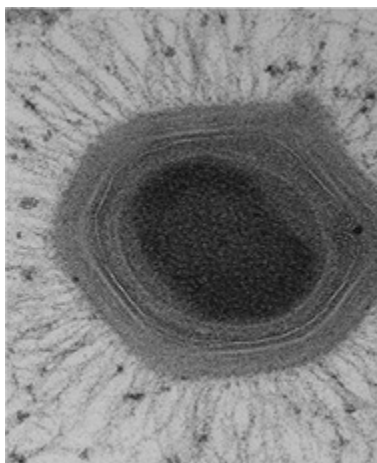
– Doktorze Ngoy – odezwała się zjadliwym tonem – poświęcił pan wiele czasu na zbadanie, skąd wziął się ten wirus. Ale jak on właściwie działa? Co sprawia, że jest chorobotwórczy? Odpowiedź na te pytania jest znacznie ważniejsza niż rozwikłanie zagadki jego pochodzenia.

Ngoy spojrział na nią z grymasem niezadowolenia. Odwrócił się, głuchy na jej słowa.

– Przemyślałem to i owo po tym, jak zobaczyłem go na ekranie mojego laptopa – wyznał Frank.

– Mianowicie? – ponaglił go De Coster.

Frank przepchnął się obok Ngoya, żeby sięgnąć do klawiatury komputera. Powiększył obraz i wskazał samotny wirion na skraju skupiska komórek.



– Ten wirus jest ogromny. Zwróćcie jednak uwagę na liczne szeroko rozłożone kolce białkowe wystające z kapsydu.

Odwrócił się od komputera.

– Przeglądając skany, zauważyłem, że cytoplazma zainfekowanych komórek jest usiana odłamanymi kolcami – powiedział. – Większość była

wygięta i skrzycona w podobny sposób. Podejrzenie podobny.

Cort przymrużył oczy.

– Podejrzenie? Do czego pan zmierza?

Charlotte zrozumiała i nagle jej dłonie zlodowaciały.

– Myśli pan, że te odrzucone kolce mogą zachowywać się jak priony? – spytała amerykańskiego wirusologa.

– Prawdopodobnie – odparł. – Ale będę musiał przeprowadzić więcej badań.

– Co to są priony? – zapytał De Coster, przenosząc spojrzenie z niego na francuską lekarkę.

– Zmutowane białkowe cząsteczki zakaźne – wyjaśnił Frank. – Nie są żywe, ale mają zdolność replikacji i przekazywania swoich deformacji białkom. Powodują różne choroby, głównie neurologiczne. – Spojrzał znacząco w stronę łóżek. – Najczęściej neurodegeneracyjną chorobę Creutzfeldta-Jakoba. A także kuru, chorobę, która pojawiła się w Nowej Gwinei jako następstwo spożywania tkanki mózgowej. I jeszcze rzadszą śmiertelną bezsenność, która nie pozwala choremu spać. Ale w tym przypadku myślę o encefalopatii gąbczastej bydła.

– O chorobie szalonych krów? – zapytała Charlotte.

– Tak. O chorobie prionowej bydła. U ludzi objawia się depresją, utratą koordynacji ruchów, bólami głowy, trudnościami w przełykaniu.

Charlotte wymieniła spojrzenia z Cortem. Przypomniała sobie, jak Disanka krztusiła się jedzeniem, i jej brak reakcji na naciskanie języka szpatułką.

– To wygląda na wczesne objawy choroby, z którą mamy tu do czynienia – powiedziała.

– Możliwe – przyznał Frank. – Ale należy pamiętać, że u bydła pierwszymi objawami są nerwowość, agresja, a nawet ataki szału.

– Stąd nazwa, „choroba szalonych krów” – zauważył De Coster.

Frank skinął głową.

– Dwie różne odsłony tej samej choroby prionowej u dwóch gatunków. Otepienie u nas, agresja u bydła.

Charlotte przypomniała sobie niszczycielskie fale mrówek koczujących, wycie pawianów i ich brutalny atak na obóz.

Cort ścisnął palcami nasadę nosa.

– Ale to nie ma sensu – rzucił. – Choroby degeneracyjne ujawniają się powoli. Proces trwa miesiące, jeśli nie lata.

– Owszem – zgodził się z nim Frank. – Rozwijają się tak długo, ponieważ priony nie replikują się zbyt szybko. Ale w tym przypadku nie muszą. Jeśli mam rację, tutejszy wirus jest znacznie sprawniejszy. Replikuje się szybko. Hoduje i rozsiewa te białkowe kolce w niewiarygodnym tempie. Mamy tu chorobę prionową z hipernapędem.

Nikt nie odzywał się przez kilkanaście sekund.

– Istnieje lekarstwo na te choroby? – zapytał De Coster.

– Są one nieuleczalne – odparł ponuro Frank. – Mówimy o łańcuchu białek, a nie o żywym organizmie, który można zabić substancją bakteriobójczą. Z pewnością można leczyć objawy, spowalniać postęp choroby, ale ostatecznie zawsze kończy się to śmiercią.

Charlotte nie chciała się z tym pogodzić.

– Jeśli ma pan rację, to mówimy o wektorze wirusowym, który rozsiewa priony. Jeśli uda nam się znaleźć wystarczająco silny lek przeciwwirusowy, może zdołamy powstrzymać epidemię.

– Możemy mieć tylko nadzieję. Ale nawet jeśli nam się uda, to nie pomoże tym już zarażonym. Priony zostały zasadzone.

Charlotte musiała przyznać, że amerykański wirusolog ma rację. Z poczuciem winy spojrzała na Disankę. Obiecałam, że pomogę jej dziecku, pomyślała.

– I pamiętajcie – dodał Frank – mówimy o wirusie, który teoretycznie może zainfekować wszystko na swojej drodze. Może być wszędzie.

– Jest tak, jakby ten wirus zwracał świat przyrody przeciwko nam – powiedziała, broniąc się przed narastającą rozpaczą. – Jakby wszczepiał szaleństwo wszelkim formom życia, a nas otępiał, żeby odbierać nam wolę walki.

– I to może być tylko wierzchołek góry lodowej, jeśli chodzi o tego wirusa – mruknął Frank.

– To znaczy? – spytał De Coster.

Frank pokręcił głową.

– Wszystkie te hipotezy dotyczą tylko kolców na powierzchni wirusa. Nawet nie zaczęliśmy rozważać mechanizmu genetycznego, który kryje się wewnątrz, tych ponad dwóch tysięcy genów. Wiele z nich jest nieznanych, a te znane są znacznie starsze niż wszystko, co dziś istnieje.

– Ale co mogą robić te geny? – zapytał Cort.

Frank otworzył usta, jakby chciał wyjaśnić, po czym je zamknął, powstrzymując się od odpowiedzi. Charlotte nie była pewna, czy chce ją poznać.

Krępy asystent wirusologa szturchnął go łokciem.

– Doktorze, biorąc pod uwagę tę sytuację, może lepiej podzieli pan się tym, co wie – powiedział. – Myślę, że to nie czas na sekrety.

– Nie... – Frank się wahał. – Nie mam pewności. Ale w laboratorium uniwersyteckim z poczwarki wylęgła się mrówka, dziwna mrówka. Miała skrzydła i haczykowate żądło. Pomyślałem, że to mutacje spowodowane

przez wirusy. Ale powtarzam: nie jestem pewien. Za mało wiem o rodzaju *Dorylus*.

De Coster odciągnął Ngoya na bok i zaczął coś do niego szeptać.

Frank opuścił ramiona.

– Liczyłem na pomoc Benjiego – mruknął. – Wtedy wiedziałbym na pewno.

Charlotte przysunęła się do niego, usłyszawszy znajome imię.

– Benjie? Benjamin Frey? – zapytała cicho.

Frank skinął głową.

Zamrugnęła, czując wzbierającą radość. Wróciła myślami do bombardowania wioski.

– Przeżył?

– Uratowaliśmy go z tratwy na wezbranej rzece. Jego i...

Asystent szturchnął wirusologa w bok i ten zamilkł. Wyglądało na to, że niektóre informacje nadal trzeba zachowywać dla siebie.

Charlotte przyjrzała się ogolonemu na łyso asystentowi i nabrała pewności, że dzieje się tu więcej, niż sugerują pozory.

Na szczęście porywacze nie zwrócili uwagi na tę krótką wymianę zdań. De Coster nadal konferował z Ngoyem, ku jego wyraźnej irytacji.

– Pokaż im – warknął w końcu miliarder, prostując się.

– Co ma nam pokazać? – zapytał Frank.

De Coster ruszył przez salę, spodziewając się, że wszyscy pójdą za nim.

– Sami zobaczycie.

Godzina 18.22

Monk trzymał się z tyłu, gdy wyszli z baraku.

Dokąd ten drań nas prowadzi? – zastanawiał się, rozglądając się dyskretnie. Przy każdej okazji starał się zdobyć jak najwięcej informacji o tym miejscu. Zapamiętywał budynki i próbował policzyć patrole. Zidentyfikował zbrojownię – strażnicy pilnowali zakratowanego wejścia, za którym stały skrzynie i stojaki z bronią. W innym budynku, z antenami na dachu, prawdopodobnie mieściło się centrum łączności.

Niestety, słońce już zaszło i niewiele było widać. Tylko gdzieniegdzie paliły się światła. Pośrodku placu płonęło ognisko i na tle ognia rysowały się sylwetki strażników. Najwyraźniej porywacze chcieli, by z góry to miejsce wyglądało jak obóz myśliwski. Niestrudzenie buczące generatory były ukryte pod baldachimem drzew.

Monk potarł protezę ręki. Podjął wielkie ryzyko, dając się pojmać z Frankiem. Miał nadzieję, że zostawił Sigmie trop – elektroniczne „okruszki chleba”. Nie miał możliwości sprawdzić, czy mu się udało. W trakcie podchodzenia do lądowania na wyspie spostrzegł drewniany słup nad rzeką w pobliżu pomostu. Prostokątne płyty wieńczące szczyt słupa podejrzenie przypominały zestaw do zakłócania sygnałów radiowych.

Musiał założyć, że jest zdany na siebie. W głowie kłębiły mu się plany, ale wszystkie kończyły się ponownym schwytaniem. Nawet gdyby zdołali uciec i przepłynąć się przez rzekę, nie daliby rady pokonać pieszo dziesiątków kilometrów dżungli.

Na szczęście porywacze zostawili mu protezę. W syntetycznej dłoni była ukryta kulka C4 podłączona do detonatora. Ale była to broń ostateczna. Miał tylko jeden ładunek, który zniszczy protezę, odbierając mu nadzieję na powiadomienie Sigmy o swojej lokalizacji.

Na razie się wstrzymaj, nakazał sobie.

De Coster dotarł do budynku z pustaków i pierwszy wszedł do środka. Monk uważnie obserwował pilnującego ich kongijskiego żołnierza;

mężczyzna podążał za nimi do baraku, w którym mogły znajdować się zwierzęta. Po obu stronach wejścia stały klatki ze stali nierdzewnej. Ptaki tłukły o kraty, mały wrzeszczały. Jakieś duże zwierzę – może lew – ryczało z wściekłości. Ta kakofonia brzmiała ogłuszająco w przestrzeni bez okien. Jeszcze gorszy był szczypiący w oczy i gardło odór odchodów.

Idąca u boku Monka Charlotte zakryła usta i nos, pewnie bardziej z szoku niż ze względu na smród.

De Coster poprowadził ich do stalowych drzwi w głębi pomieszczenia.

– Tędy! – zawołał.

Podniósł sztabę blokującą drzwi i je otworzył. Wszyscy spieszenie przestąpili próg, żeby uciec przed hałasem i smrodem. Tutaj była tylko jedna klatka, kojec w głębi pomieszczenia. Od betonowej podłogi po sufit wznosiły się pręty. Za nimi kuliło się jakieś zwierzę. Odsunęło się jak najdalej od światła wpadającego przez otwarte drzwi.

Ngoy wcisnął włącznik na ścianie i pod sufitem zapaliła się lampa ledowa, oświetlając zwierzę.

Charlotte jęknęła, a Frank zaklął.

Wielki kot – ważący pewnie ze sto kilogramów – syczał dziko, przycupnięty z wygiętym grzbietem i zjeżoną sierścią. Jego ogon poruszał się tam i z powrotem. Wyglądał trochę jak gepard, ale zamiast cętek miał paski. W jasnym świetle widać było, że jego sierść porusza się przy każdym skurczu mięśni. Najbardziej przerażające były kły, sięgające poniżej zuchwy jak u tygrysa szablozębnego.

– Co to jest? – wyjąkała Charlotte.

– Dobre pytanie – przyznał De Coster.

Zwierzę skoczyło na dźwięk ich głosów, uderzyło w pręty i odbiło się od nich. Sfrustrowane, machnęło łapą, drapiąc podłogę, gdy się wycofywało. Haki czarnych pazurów poźłobiły beton, zostawiając mokry

szkarłatny ślad. Monk pomyślał, że to krew, ale De Coster rozwiął jego złudzenie.

– Trzymajcie się z dala. W tych pazurach jest trucizna. Neurotoksyna. Podobna do tego, co zawiera jad żmii sykliwej. Przekonaliśmy się o tym na własnej skórze.

Wbrew jego słowom Frank podszedł bliżej i przechylił głowę.

– Jest zainfekowany wirusem? – spytał.

– Zdecydowanie. Myśliwi schwytali go w zeszłym miesiącu. Rozesłałem ludzi, żeby spróbowali ustalić, w jak dużej części dżungli rozprzestrzenia się ta choroba. To nie pierwsze takie odstępstwo od normy. I nic dziwnego, że zaniepokoiły pana zmiany u mrówki, która się wykluła.

Frank wskazał kota.

– Na ile oceniacie jego wiek?

De Coster uznał to pytanie za dziwne, ale udzielił odpowiedzi.

– Sądzymy, że ma najwyżej rok.

– Więc prawdopodobnie został zainfekowany w macicy i zmiany zaszły podczas rozwoju embrionalnego.

– Jak u poczwarki mrówki – wtrącił Monk.

Cort trzymał się blisko drzwi.

– Ale co to, do diabła, jest?

– Genetycznie gepard – odparł De Coster, potwierdzając przypuszczenia Monka. – Co najmniej w dziewięćdziesięciu dziewięciu i ośmiu dziesiątych procent.

– Więc coś zmieniło te pozostałe dwie dziesiąte procent – powiedział Frank.

Monk wiedział, że wszyscy podejrzewali wirusa. Był zdumiony, jak taka nieznaczna zmiana genów może zmienić zwierzę. Ale przecież różnica

w sekwencji DNA ludzi i szympanсів wynosi mniej niż jeden procent.

– Jak to możliwe? – zwróciła się Charlotte do amerykańskiego wirusologa. – Przypadkowe mutacje genetyczne powinny chyba doprowadzić do powstania czegoś potwornie zdeformowanego, a nie istoty tak idealnie dopasowanej do środowiska.

– A kto mówi, że zmiany muszą być przypadkowe? – odparł Frank. – Jeśli badania genetyczne Ngoya są prawidłowe, ten wirus przenosi geny z czasów najwcześniejszej historii ewolucyjnej. O istnieniu większości z nich, jak w przypadku wielu megawirusów, nie mieliśmy pojęcia. Wirus mógł udoskonalić mechanizm genetyczny, żeby idealnie połączyć znaną sekwencję DNA z sekwencją innego gatunku. Dopasował klucz do zamka.

– I może jest wyposażony w zestaw wytrychów – wtrącił Monk.

Frank skinął głową.

– Wydaje nam się, że rozumiemy mechanizm zmian ewolucyjnych, nie brakuje jednak niespodzianek i wyjątków. Z pewnością wiele zmian zachodzi stopniowo, krok po kroku. Szyja żyrafy trochę się wydłuża. Zwykły liść powoli przemienia się w pułapkowy. Ale zdarza się, że nie ma etapu przejściowego. Zmiany następują spontanicznie, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, i nagle pojawia się nowy gatunek. Wciąż wiemy za mało i nie wszystko rozumiemy. Do dziś nie ma uniwersalnej teorii ewolucji.

Monk pamiętał, jak Frank mówił o teorii, która postrzega wirusy nie jako zdegenerowanych uciekinierów z żywych komórek, ale jako twory znacznie starsze, prawdopodobnie będące przodkami współczesnych zwierząt i roślin. Powiedział nawet, że wirusy mogą być motorami ewolucji.

Czy tak właśnie działa ten wirus? – przemknęło Monkowi przez głowę.

Wszyscy patrzyli na Franka, także potworny kot w klatce. Wirusolog zgarbił się, przytłoczony ciężarem tej uwagi.

– Nie wiem – przyznał w końcu. – W tym momencie to tylko przypuszczenia. Ale jedno mogę powiedzieć z absolutną pewnością.

– Co? – spytała Charlotte.

– Nikt nie powinien przebywać w tej dżungli – odparł, nie odrywając wzroku od kota.

Prowincja Tshopo, Demokratyczna Republika Konga

24 kwietnia, godzina 18.55 czasu miejscowego

Gray mocował się z kierownicą ogromnego pojazdu terenowego, podskakującego na błotnistej drodze, na którą wdzierała się dżungla. Bliźniacze snopy światła przebijały mrok.

Dostał środek transportu – rosyjskiego shatuna z napędem na cztery koła – od żołnierzy FARDC, którzy przybyli do obozu ONZ-etu. To pojazd idealny do jazdy w dżungli, bardziej dwutonowy traktor niż terenówka, z wąską kabiną nad kołami o średnicy prawie stu osiemdziesięciu centymetrów. Z łatwością pokonuje wysokie przeszkody, a nawet może na gigantycznych oponach forsować rzeki. Co więcej, przegubowe połączenie kabiny z zamkniętą tylną skrzynią ładunkową umożliwia pokonywanie ciasnych zakrętów czy zawracanie niemal w miejscu.

– Daleko jeszcze?! – zawołał Gray, przekrzykując warkot diesla.

Faraji podniósł się z siedzenia pasażera, wychylił do przedniej szyby. Chwilę patrzył przed siebie i usiadł.

– Niedaleko – powiedział.

Komandor powstrzymał się przed wzniesieniem oczu do nieba. Słyszał taką samą odpowiedź od wielu kilometrów. Opuścili obóz cztery godziny temu. Pojazd mógł rozwinąć prędkość pięćdziesięciu kilometrów na

godzinę, jechał jednak znacznie wolniej w tym trudnym terenie. Mimo to musieli być już dobre sto kilometrów od obozu.

Mozolnie pokonywali kilometr za kilometrem, gdy nagle Faraji wyprostował się i wyciągnął rękę.

– *Ni huko!* Tam, tam!

Gray spojrział na rozciągającą się po obu stronach dżunglę – snopy reflektorów oświetlały jedynie nieprzeniknione ciemne ściany – i zwolnił.

Faraji machnął ręką, wskazując wąską przerwę w murze lasu.

– To droga do jeziora, którego szukamy? – zapytał Gray. – Jesteś pewien?

Chłopiec energicznie skinął głową.

– *Ndiyo.*

Kowalski pochylił się na tylnym siedzeniu, które dzielił z Benjiem Freyem. Wielkolud drzemał podczas jazdy, ale nawet na chwilę nie wypuścił z ręki broni DARPA, shurikena z płaską lufą. Gray też miał broń, półautomatyczny pistolet KelTec P50 długości prawie czterdziestu centymetrów, z pięćdziesięcioma nabojami, które mogły przebić kamizelkę kuloodporną z odległości dwustu metrów.

Olbrzym skrzywił się, gdy dojeżdżali do luki.

– To nie wygląda na drogę – rzucił. – Bardziej przypomina zarośniętą koleinę.

Gray nie mógł temu zaprzeczyć. Gdyby nie Faraji, przegapiłby szczelinę między dwiema wysokimi palmami. Ścieżka była zarośnięta, ledwie widoczna w gąszczu. Wyglądała tak, jakby od wieków nikt z niej nie korzystał. Chociaż dżungla rosła w zawrotnym tempie, tak że szybko wypełniała puste miejsca w szalonej rywalizacji o zasoby.

– *Tędy!* – zawołał Faraji.

Grayowi nie pozostało nic innego, jak uwierzyć mu na słowo. Nie miał nawigacji satelitarnej. Wkrótce po opuszczeniu obozu zatrzymał się i wyłączył system GPS, by nikt nie mógł ich namierzyć. Przy takim poziomie korupcji w tym kraju musiał liczyć się z tym, że ktoś z wojska zaalarmuje wroga.

Wrzucił bieg i skręcił w boczną ścieżkę. Ogromne opony nie miały trudności z jazdą przez zarośla, ale musiał zwolnić, bo szlak stawał się coraz węższy. Dwa strzeliste cedry po obu stronach zdarły farbę z boków pojazdu.

– Raczej nie licz na zwrot kaucji – burknął Kowalski, patrząc nad ramieniem komandora.

Gray nie miał nic przeciwko jego towarzystwu ani nawet smrodowi cygara tłącego się w zębach olbrzyma. Im więcej par oczu było zwróconych w kierunku jazdy, tym lepiej. Reflektory oświetlały ledwie widoczny szlak, który był prawie nie do odróżnienia od otaczającej go dżungli. Mimo to Faraji zapewniał, że są na właściwym tropie.

Benjie też pochylał się nad przednimi fotelami, mrugając w nerwowym tiku.

– Może powinniśmy stanąć i poczekać na wschód słońca, by nie zgubić się w ciemności – zaproponował. Przez całą drogę uważnie obserwował dżunglę.

Komandor rozumiał jego obawy. Młody doktorant na pewno bał się tego, co może skrywać las, bo miał w pamięci wydarzenia ostatniej nocy: atak stada pawianów, chaos i rozlew krwi.

– Musimy jechać dalej – powiedział Gray. – Mogą nadciągnąć kolejne nawałnice. Nie możemy ryzykować, że ugrzęźniemy, gdy lunie deszcz.

Miał też inne powody do pośpiechu. Każde opóźnienie w poszukiwaniach oznaczało utratę kolejnych istnień ludzkich. Poza tym

zdawał sobie sprawę, że nieznany wróg może storpedować ich wysiłki. Nie mając wyboru, jechał w mrok.

Dżungla wokół nich się budziła. W snopach światła przemykały dziesiątki nietoperzy. Coś dużego – może dzik – przecięło drogę i zniknęło w ciemności. Przez warkot diesla przebijały się piski i obłąkańcze wycie.

Faraji zamknął szybę, żeby uszczelnić kabinę.

– Czas najwyższy – burknął Kowalski.

Gray wciskał pedał gazu. Przebyli kilkanaście wezbranych strumieni i przedzierali się przez bagniste tereny. Rozważał trudności czekającego go zadania – podążanie historycznym szlakiem Williama Shepparda do zaginionego królestwa, miejsca uważanego przez lokalne plemiona za przeklęte. Zadanie wydawało się niemożliwe do zrealizowania. Dorzecze Konga z dżunglami i sawannami ma prawie cztery miliony kilometrów kwadratowych, mniej więcej tyle, ile połowa kontynentalnej części Stanów Zjednoczonych. Może się tu ukrywać wszystko. Kłopot w tym, że trudno cokolwiek odnaleźć.

Przypomniał sobie zdjęcie Shepparda przedstawiające obrośnięte pnączami filary po obu stronach ciemnej szczeliny w urwisku. Przywołał w myśli wypisane na odwrocie słowa: *Mfupa Ufalme*. Królestwo Kości.

Z każdym kilometrem jego niepokój narastał.

Nawet jeśli znajdziemy to miejsce, to czy da nam jakieś odpowiedzi? – zastanawiał się.

Przyłapał się na tym, że mocniej naciska pedał gazu. W pewnym momencie przeciął im drogę wielki waran i spojrzał wściekle na pojazd, co przypomniało Grayowi o ponadczasowości tej dżungli. Zupełnie jakby cofnęli się w czasie.

Faraji wyciągnął rękę i chwycił go za ramię.

– *Okapi ziwa!* – Wskazywał daleki blask księżyca na wodzie.

Gray uznał, że to kolejny strumień, ale gdy podjechał bliżej, ciemne lustro zrobiło się szersze i jaśniejsze. Wdzierało się w otaczający je las. Ostatnie deszcze musiały przyczynić się do wezbrania wód jeziora.

Zwolnił, zbliżając się do brzegu. Początkowo zakładał, że zobaczą tu najwyżej duży staw, ale zbiornik zajmował dziesiątki hektarów. Nad płaską powierzchnią unosiła się mgła z komarów i muszek. Gdy się zbliżyli, do wody skoczył batalion żab. Biała czapla wystartowała z trzciny i powoli przeleciała nad jeziorem.

– To tu? – zapytał Kowalski.

Faraji skinął głową.

– *Okapi ziwa.*

Benjie przesunął się do przodu.

– Ale duże! – rzucił. – Gdzie zaczniemy poszukiwania? Mogą nam zająć kilka dni.

Gray wiedział, że biolog ma rację. Wrzucił luz i sięgnął po wodoszczelną torebkę z siedmioma zdjęciami. Wybrał jedno i porównał z nim jezioro. Szukał charakterystycznych punktów orientacyjnych, które potwierdziłyby, że trafili we właściwe miejsce. Na starym zdjęciu na brzegu jeziora stał duży głaz. Skała o podobnym kształcie sterczała z wody blisko północnego brzegu.

Faraji ma rację, pomyślał. Jesteśmy zdecydowanie we właściwym miejscu.

Odwrócił zdjęcie i przyjrzał się szkicowi okapi na brzegu jeziora, bo wiedział, że rysunek musi być ważny.



Zmarszczył czoło, ponieważ nie był w stanie rozszyfrować jego znaczenia. Wiedział jednak, że Sheppard zostawił wskazówki prowadzące do tego jeziora nie bez powodu. Ale co nim kierowało? Gray nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Miał nadzieję, że zrobi to ktoś inny.

Obrócił się na siedzeniu.

– Faraji, walebnny Sheppard zostawił te wskazówki dla twojego ludu. – Pokazał chłopcu zdjęcie. – Czy ten rysunek coś ci mówi? Czy zawiera jakąś informację, gdzie powinniśmy szukać następnego tropu?

Dzieciak przygryzł dolną wargę i patrząc na rysunek, mrużył oczy. W końcu bezradnie wzruszył ramionami.

– Może Woko wiedział więcej. Ja nie. – Skrzywił się zawstydzony. Może czuł się winny.

Gray zdawał sobie sprawę, że na barkach chłopca spoczywa wielki ciężar. Utrata szamana – mentora – wyraźnie podkopała jego pewność siebie. Komandor nie zamierzał jednak się poddać. To dzięki rysunkowi okapi trafili nad to jezioro, znane tylko ludowi Kuba. To tutaj jego członkowie polowali kiedyś na to rzadko spotykane zwierzę. Na rysunku

okapi miało łańcuch na tylnej nodze, co świadczyło o tym, że zostało schwytane.

Postukał palcem w ten łańcuch i zamknął oczy. Próbował odgadnąć, czym kierował się Sheppard, wykonując ten rysunek. Wyobraził sobie miejscowych polujących dawno temu na okapi, skuwających złapane zwierzę. Gdzie to się stało?

Nagle zrozumiał.

Otworzył oczy i spojrzał twardo na Farajiego.

– Czy ludzie z twojego plemienia tu obozowali? – spytał. – Na brzegu? Mieli jakieś miejsce, do którego znosili schwytane albo zabite zwierzęta?

Dzieciak skinął głową. Obrócił się i wskazał łuk południowego brzegu, gdzie kręty strumień wpadał do małej zatoki.

– Tam rozbijamy obóz. Dobre łowienie ryb i polowanie. Bardzo dobre.

To na pewno to, pomyślał Gray i obejrzał się.

– W takim razie tam zaczniemy poszukiwania – postanowił.

Wrzucił bieg. Zamiast podążać wzdłuż długiej linii brzegowej, wjechał prosto do wody. Przedzierając się przez trzciny, kierował pojazd na płyciznę. Wielkie opony złapały przyczepność na mulistym dnie, a w głębszych miejscach grube bieżniki działały jak koła łopatkowe. Dotarcie do zasilanej strumieniem zatoki nie zajęło dużo czasu.

Gdy wyjechali na brzeg, Faraji wskazał porośniętą paprociami polankę. Wśród zarośli sterczały pniaki ściętych drzew.

Gray zauważył trzy kręgi kamieni, w których kiedyś pewnie rozpalano ogniska.

– Obóz Kuba – powiedział Faraji.

Komandor wjechał na polanę i zatrzymał pojazd.

– Podzielimy się i przeszukamy teren – zwrócił się do towarzyszy. – Ja biorę Farajiego, a ty, Kowalski, idź z Benjiem.

Olbrzym z powątpiewaniem spojrzął na młodego biologa.

– A czego my w ogóle szukamy? – spytał.

– Nie wiem – odparł Gray. – Wszystkiego, co wygląda podejrzanie albo odbiega od normy. Sheppard zostawił wskazówki nie bez powodu.

Wygramolili się z pojazdu i rozprostowali nogi. Natychmiast zaatakowały ich chmary komarów. Gray machnął zdjęciem, żeby je odpędzić, a potem na nie spojrzął. Z tego miejsca głaz wyglądał identycznie jak ten na fotografii. Właśnie tu Sheppard musiał ją zrobić ponad sto lat temu.

Zadowolony, że trafili we właściwe miejsce, zawołał:

– Ruszajmy!

Rozeszli się w przeciwnych kierunkach od pojazdu i zaczęli przeszukiwać polanę. Kręgi kamieni były pełne grubych warstw popiołu. Tu i ówdzie leżały pozostałości po obozowaniu: wgnieciony blaszany kubek, spleśniały zwój liny, czaszka antylopy ze złamanymi rogami, a nawet stare łuski wskazujące, że metody łowieckie ludu Kuba nie ograniczają się już do strzelania z łuku i rzucania włócznią.

Gray próbował sobie wyobrazić, jak to miejsce wyglądało kiedyś, gdy przychodziły tu zagrożone dziś wymarciem okapi, a miejscowi żyli w harmonii z naturą.

Gdy przeszukali całą polanę, podeszli do otaczającego ją pierścienia drzew. Gray zatrzymał się na skraju lasu i wyjął drugie zdjęcie, zrobione przez Shepparda trzy dni po pierwszym.

Obejrzał je w świetle księżyca, mając nadzieję, że będąc tutaj, zrozumie jego znaczenie. Fotografia ukazywała Shepparda w białym stroju kolonialnym – tym razem bez hełmu – stojącego przed grupą klęczących

jakby w modlitwie tubylców. Rysunek na odwrocie potwierdzał pierwsze wrażenie. Przedstawiał wzgórze z krzyżem, do którego prowadziła zygzakowata ścieżka.



Wcześniej pokazał zdjęcie i rysunek Farajemu, ale chłopiec przepaszająco pokręcił głową. Jego reakcja utwierdziła Graya w przekonaniu, że Sheppard musiał zostawić nad jeziorem jakąś wskazówkę, która skieruje ich do miejsca przedstawionego na drugim zdjęciu.

Z narastającą pewnością, a jednocześnie frustracją kontynuował poszukiwania wzdłuż skraju polany. Dokuczały im komary. Rechetliwy chór żab wykpiwał ich wysiłki. Nietoperze nurkowały, bombardując ich uszy ultradźwiękami. Przy każdym kroku błoto zasysało buty. Parująca wilgoć przykleiła ubrania do ciała.

Gray zaczął popadać w rozpacz; zastanawiał się, czy nie szukają wiatru w polu. Nawet jeśli Sheppard zostawił tu wskazówkę, mogła już dawno zniknąć.

Usłyszał krzyk i wyrwał pistolet z kabury. Po drugiej stronie polany Benjie padł jak długi na ziemię.

Kowalski rzucił się w stronę biologa.

– Wszystko w porządku?! – zawołał Gray, trzymając broń w pogotowiu.

– Wygląda na to, że potknął się o własne nogi. – Kowalski wyciągnął rękę, żeby pomóc Benjiemu się podnieść.

Zamiast skorzystać z oferowanej pomocy, młody człowiek przetoczył się i wczołgał w zarośla. Usiadł i podniósł ręce, w których trzymał coś ubłoconego. Wytarł znalezisko i odsłonił grube srebrzyste ogniwa.

To był łańcuch.

Godzina 19.34

Benjie cofnął się i pokazał, co znalazł. Powinien być zachwycony swoim odkryciem, ale policzki płonęły mu ze wstydu. Było mu głupio, że nie patrzył pod nogi, że wrzasnął jak jego matka na widok myszy w kuchni.

Przycisnął ręce do piersi, żeby się uspokoić. Mimo niskiego spektrum autyzmu potrzebował sporo czasu na wyciszenie szalejących w nim emocji. Odetchnął głęboko, jak go nauczono, przełknął ślinę i rozluźnił mięśnie.

Kowalski poklepał go po ramieniu z taką siłą, że niemal rzucił doktoranta na kolana.

– Brawo, młody! – zawołał.

Benjie skinął głową i odsunął się, żeby olbrzym nie miał szansy ponowić podziękowań.

Gray przeszedł wzrokiem bieg łańcucha i stwierdził, że drugi koniec jest okręcony wokół pnia czerwonego cedru. Ogniwa ginęły w korze, więc łańcuch musiał być stary, umieszczony tu dawno temu.

– Kowalski, pomóż! – zawołał. – To musi dokądś prowadzić.

Wspólnymi siłami szarpnęli łańcuch pogrzebany przez dziesiątki lat w ściółce i błocie. Nie obyło się bez stęknień i posapywania, gdy ogniwo po ogniwie wyskakiwało z wilgotnej gleby.

Benjie patrzył na ich wysiłki. Nagle przypomniał sobie, co go rozproszyło na chwilę przed upadkiem: podążał za wielką ćmą. Lubił ćmy i motyle za ich piękno, a także nadzwyczajną zdolność adaptacji, cechę powiązaną z jego badaniami nad ewolucyjną dziedzicznością cech. Rozpoznał *Holocerina angulata*, okaz zwany afrykańskim nietoperzem. Oceniał, że rozpiętość jego skrzydeł o ognistych brzegach wynosi od osiemnastu do dwudziestu centymetrów, dwa razy więcej niż normalnie. Poza tym owad opalizował; niemalże świecił w ciemności, chociaż prawdopodobnie tylko odbijał blask jego latarki.

Rozejrzał się po lesie na skraju polany, ale ćma już zdążyła odlecieć. Rozczarowany, spojrzął na towarzyszy. Wyrywali łańcuch z ziemi, zbliżając się do jeziora.

Faraji szedł przed nimi i rozglądał się. Benjie dołączył do chłopca, gdy ten zatrzymał się na brzegu, zmrużył oczy i potarł ramiona.

– O co chodzi? – spytał Benjie.

– Nie ma *popo* – odpowiedział chłopiec, patrząc w niebo nad wodą.

– *Popo*?

Nie spuszczać wzroku, Faraji zatrzepotał rękami.

– Ptaków? – spytał Benjie.

– Nie *ndege*. *Popo*. – Chłopiec znowu zatrzepotał rękami.

Benjie ściągnął brwi. Potem zrozumiał, że dzieciak przygląda się podejrzliwie nie niebu, ale nocnemu niebu.

– Pewnie masz na myśli nietoperze – powiedział, bo dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nie widzi ani nie słyszy latających nietoperzy. Chciał przypisać ich nieobecność przerwie w naturalnej porze zdobywania pożywienia, ale wiedział, że lepiej nie wątpić w ocenę Farajiego, który był o wiele bardziej wyczulony na rytmy dżungli.

Zanim zdążył zapytać, usłyszał szorstki głos:

– Z drogi, chłopaki!

Odwrócił się, gdy Kowalski szarpnął łańcuch, wyrywając go z błota na brzegu jeziora. Benjie i Faraji odskoczyli z drogi w przeciwne strony. Wielkolud przekładał łańcuch w rękach, zbliżając się do brzegu. Pociągnął jeszcze raz i mokre ogniwa zaślniły w blasku księżyca.

– Idzie coraz łatwiej – stwierdził, po czym wszedł po kolana do wody, by wynurzyć więcej łańcucha. Chwycił go oburącz, zaparł się i mocno pociągnął. Łańcuch zadrżał, ale jego drugi koniec nadal nikał w czarnej wodzie. – Zapeszyłem.

Gray też ciągnął, stojąc na solidniejszym gruncie.

– Wy dwaj, pomóżcie – powiedział. – Musimy połączyć siły.

Faraji i Benjie stanęli za nim i chwycili łańcuch.

– Na trzy – rzucił Gray.

Młody doktorant starał się ze wszystkich sił. Gray odliczył i wszyscy szarpnęli łańcuch. Przypominało to przeciąganie liny ze słoniem.

Nie damy rady, pomyślał Benjie.

Kowalski był innego zdania.

– Jeszcze raz – mruknął. – Idzie.

Benjiego paliły ręce i bolały plecy, ale walczył, nie chcąc się poddać. W końcu wszyscy potoczyli się do tyłu, gdy ustąpiło coś, co kotwiczyło łańcuch. Benjie z trudem się podniósł. Inni też wstali. Gray chwycił poluzowany łańcuch i wyciągał go z wody jak żyłkę, ale jego ściągnięta twarz świadczyła o tym, że wymagało to znacznego wysiłku. To, co znajdowało się na końcu łańcucha, było ciężkie.

Wreszcie wyłoniło się to z wody, przyłączone do ostatniego ogniwa. Była to skrzynka wielkości pojemnika na pieczywo, najeżona śrubami z tej samej stali co łańcuch.

– Możemy mieć nadzieję, że jest pełna złota? – zapytał Kowalski.

Gray prychnął, ciągnąc ją przez płyciznę do brzegu.

Nagle z jeziora w fontannie wody wyskoczyło coś wielkiego: ogromny krokodyl, ważący co najmniej pół tony. Wyminął skrzynkę i pędził prosto na Graya.

Komandor odskoczył, potknął się i klapnął na tyłek. Sięgnął do broni zawieszanej na ramieniu, ale było już za późno.

Na szczęście Kowalski zareagował natychmiast: skierował swoją nową broń na krokodyla i nacisnął spust. Z shurikena zamiast głośnych wystrzałów popłynął piskliwy pneumatyczny świst i ze spłaszczonej lufy bryzną srebrny deszcz. Krople skosiły trzcinę i część z nich odbiła się od pancerza krokodyla, ale niektóre przebiły miękką tkankę. Jedna wyłupała lewe oko gada.

Krokodyl zatrzymał się, obrócił i podreptał z powrotem do jeziora. Kowalski zachęcił go do tego kilkoma celnymi pojedynczymi strzałami. Bestia szybko zniknęła w głębinach.

– Dzięki – mruknął Gray i pozwolił, by olbrzym pomógł mu stanąć na nogi.

– Nie ma za co. Nie mogłem się doczekać, żeby wypróbować tę zabawkę.

Faraji podniósł z błota jeden z dziwnych srebrzystych pocisków. Benjie podszedł do niego i zobaczył ostry jak brzytwa krążek o średnicy dwóch centymetrów, przypominający japońskie pociski do miotania o kształcie gwiazdy, od których z pewnością pochodziła nazwa broni: Shuriken.

Kowalski zauważył, z jakim zachwytem Faraji patrzy na karabin.

– Nawet o tym nie myśl – rzucił. – To moje cacko.

Nie zwracając na nich uwagi, Gray przysunął do siebie skarb wyciągnięty z jeziora. Odpiął łańcuch, dźwignął skrzynkę i poniósł ją

w stronę pojazdu. Wszyscy poszli za nim, oddalając się od wody i tego, co jeszcze mogło się w niej czaić.

Komandor postawił skrzynkę blisko otwartych tylnych drzwi. Przyglądał jej się przez chwilę, po czym wysunął skobel i otworzył zatrzask.

– Miejmy nadzieję, że jest w niej coś więcej niż złoto – powiedział.

Uniósł wieko. Skrzynka okazała się wodoszczelna. Wewnątrz leżał rulon. Gray wyjął go oburącz i bardzo ostrożnie rozwinął na podłodze kabiny ładunkowej. Wyglądało to jak dywanik modlitewny, misternie utkany z włókien rafii, zdobiony szklanymi paciorkami, kawałkami futra, maleńkimi miedzianymi trójkątami i mnóstwem muszelek kauri.

– Co to jest? – zapytał Kowalski.

– Przykład rękodziela Kuba. – Gray skinął głową w stronę Farajiego. – Jego plemię jest znane ze znakomitych wyrobów tkackich.

– Więc ryzykowaliśmy życie dla kawałka szmatki – burknął Kowalski. – Gównu nam ona da.

Benjie zgodził się z olbrzymem. Wiedział, że Kuba słyną z tkanin ze skomplikowanymi geometrycznymi wzorami, a ta tutaj wyglądała na utkaną w pośpiechu, bez ładu i składu, zdecydowanie bez dostrzegalnego wzoru.

– To musi coś znaczyć – powiedział Gray. – Z jakiego innego powodu Sheppard miałby zatapiać to w jeziorze?

Wszyscy wiedzieli, że tylko jeden spośród nich może coś wiedzieć na ten temat.

– Faraji, czy to coś ci mówi? – zapytał Gray.

Chłopak zmarszczył czoło.

– Może – odparł. – Ale ukrywa prawdę.

– Co masz na myśli? Możesz nam pokazać?

Faraji zbliżył się do kawałka tkaniny. Wyciągnął ręce, jakby chciał chwycić za jej górny skraj, ale z pełną szacunku delikatnością przeciągnął po niej dłońmi. Delikatnie obracał koraliki i muszelki, ustawiając je w określony sposób. Powtarzał gesty, tu naciskając mocniej, tam przesuując po tkaninie tylko jednym palcem.

Z początku jego poczynania wydawały się bezsensowne, ale powoli małe przedmioty wplecione w rafię układały się w obraz, który z każdym ruchem ręki stawał się wyraźniejszy. W końcu ujrzeli wzór. Nie był geometryczny, wyglądał jak mozaika ułożona z miedzi, muszli i szklanych koralików. Przypominał puentylistyczny obraz. Przedstawiał kamienny kościółek ze stojącym przed nim krzyżem, na wpół ukryty w mrocznej dżungli.



– Poznajesz to miejsce? – spytał Gray.

Chłopiec skinął głową.

– Znam je. To kościół misyjny wielebnego Shepparda. – Nakreślił znak krzyża. – Jego pierwszy kościół.

– Wiesz, gdzie jest?

Faraji wskazał w głąb dżungli, na wschód od ich pozycji.

– Możesz nas tam zaprowadzić? – spytał Gray.

Dzieciak opuścił ramiona.

– Może – odpowiedział po chwili. – Jest stary. Byłem tam tylko raz. Nie ma już szlaku.

– Innymi słowy, czeka nas bieg przełajowy – jęknął Kowalski.

Nikt nie wyglądał na zadowolonego.

Gray wyjął tablet i wczytał mapę terenu.

– Możesz z grubsza określić, dokąd musimy się udać?

Faraji podszedł do niego, chętny służyć pomocą.

Gdy chłopak coś szeptał, uwagę Benjiego przyciągnął jakiś ruch. Odwrócił się i z radością rozpoznał trzepoczącą wielką ćmę, którą obserwował wcześniej. Frunęła nad polaną. Przy każdym uderzeniu płomienistych skrzydeł jej odwłok błyskał, jakby wysyłała mu sygnały powitalne. Jak wielka wersja świetlika szukającego partnerki, pomyślał.

I otworzył usta ze zdumienia, gdy zdał sobie sprawę, że owad naprawdę świeci własnym światłem. Niesamowite, pomyślał.

Zachwyt szybko jednak zamienił się w niepokój, gdy Benjie zorientował się, że w dżungli roi się od takich ciem, świecących w mroku, jakby zostały wezwane przez tę pierwszą. Zamrugał i obrócił się dokoła. Były wszędzie, ze wszystkich stron. Setki unosiły się nad ich głowami, a wokół było ich jeszcze więcej.

Skupieni na tkaninie z rafii, nie zauważyli ich cichego przybycia. Benjie przypomniał sobie, jak Faraji zauważył, że nie ma nietoperzy. Czyżby

przeczuły, co nadciąga, i uciekły?

Odskoczył, bo coś musnęło go w twarz. Z góry spadała ćma, wirując jak jesienny liść. Poczłł pieczenie i sięgnął do policzka. Ćma przysiadła na grzbiecie jego dłoni. Wpatrywał się w nią, przez chwilę zahipnotyzowany pięknem jej skrzydeł we wszystkich odcieniach czerni i o płomieniście pomarańczowych brzegach.

Ręka go zapiekła jak uderzona pochodnią.

Syknął i strząsnął ćmę. Skóra dłoni natychmiast zrobiła się jaskrawoczerwona i już tworzyły się na niej pęcherze; policzek również płonął. Spanikowany, odwrócił się do pozostałych.

Chyba tylko Kowalski zauważył opadające ćmy.

– Co jest z tymi motylami?

Ręka Benjiego zaczęła drżeć, pole widzenia mu się zawęziło. Obawiał się, że substancja, która spowodowała oparzenie, zawiera neurotoksyny. Oddychał ciężko, z najwyższym trudem.

Gdy świat pociemniał, zdołał jeszcze wykrztusić ostrzeżenie:

– Atakują...

16

Wyspa Belka, Demokratyczna Republika Konga

24 kwietnia, godzina 19.45 czasu miejscowego

Tucker płynął, pokonując ostatni odcinek dzielący go od brzegu wyspy. Sierp księżycy i przymglone gwiazdy dawały niewiele światła, ale dość, żeby go prowadzić, zwłaszcza z goglami DARPA w trybie noktowizyjnym. Soczewki były wzbogacone o obrazowanie termiczne, pozwalające wykrywać źródła ciepła w kurzu i dymie.

Musiał założyć, że wróg może być podobnie wyposażony i obserwuje rzekę, dlatego nie wychylał głowy znad pnia, który wtoczył do wody przez rozpoczęciem przeprawy. Kłoda zasłaniała również Kaina, utrzymywanego na powierzchni przez kamizelkę. Owczarek, profesjonalista w każdym calu, machał łapami bez jednego plusku.

Tucker płynął obok partnera, dostosowując ich prędkość do nurtu. Obserwował wyspę i płaską powierzchnię rzeki. Nie wiedział, czy w okolicy są krokodyle albo, co gorsza, hipopotamy. Te drugie, groźne i szybkie, były prawdziwymi rekinami tych wód. Właśnie dlatego płynął powoli. Nie chciał niepotrzebnie przyciągnąć uwagi.

W końcu odetchnął z ulgą, gdy jego bose stopy zetknęły się z porośniętym algami błotnistym dnem u brzegu wyspy. Las przed nim był czarną ścianą, nawet widziany przez gogle. Tucker puścił kłodę i pchnął ją w nurt. Obróciła się i odpłynęła w dół rzeki.

Skulił się na brzegu, przez kilkanaście sekund nasłuchiwał, po czym razem z Kainem wspiał się wyżej w gęste zarośla. Wybrał to miejsce przed zachodem słońca. Tu, po przeciwnej stronie wyspy niż pomost, las wydawał się najgęstszy. Tucker założył, że większość personelu przebywa na drugiej połowie wyspy.

Poruszał się ostrożnie, uważając, gdzie stawia stopy i o co się ociera, bo poza goglami i farbą maskującą na twarzy miał na sobie tylko mokre bokserki. Po minucie wędrówki znalazł dający pewne schronienie stos zwalonych gałęzi i drzew. Zatrzymał się i zdjął z ramienia wodoszczelną torbę. Pies stał na straży, a on włożył buty i suche ubranie, jeśli w tym ciężkim parnym powietrzu cokolwiek mogło być suche.

Zapiął pas z kaburą pistoletu i wsunął do niego dwa dodatkowe magazynki. Uzbrojony i ubrany czuł się znacznie mniej bezbronny. Sprawdził trzy wyłożone pianką pojemniki w torbie, zawierające dodatkowe uzbrojenie dostarczone przez dyrektora Sigmy: granaty hukowo-błyskowe, dymne i zapalające.

Zadowolony z inspekcji, spojrzął na partnera. Kain wpatrywał się w las i strzygł uszami na każdy szelest liści czy chrzęst gałęzi. Tucker wysunął kamerę z zapinanej na suwak kieszeni w jego kamizelce i ją ustawił. Wyposażył partnera w bandolier, który sam zaprojektował; przypiął go w poprzek kamizelki. Sprawdził anteny i upewnił się, że bateria jest w pełni naładowana.

Usiadł wygodnie i uśmiechnął się z uznaniem – nie dla sprzętu, ale dla dźwigającego go psa.

Kto jest najprzystojniejszym pieskiem?

Jakby czytając w jego myślach – a może rzeczywiście tak było – Kain machnął ogonem i trącił go nosem w pierś.

– Nie możesz się doczekać, prawda?

Ogon poruszył się szybciej.

– W takim razie chodźmy zapukać do drzwi sąsiada.

Godzina 20.02

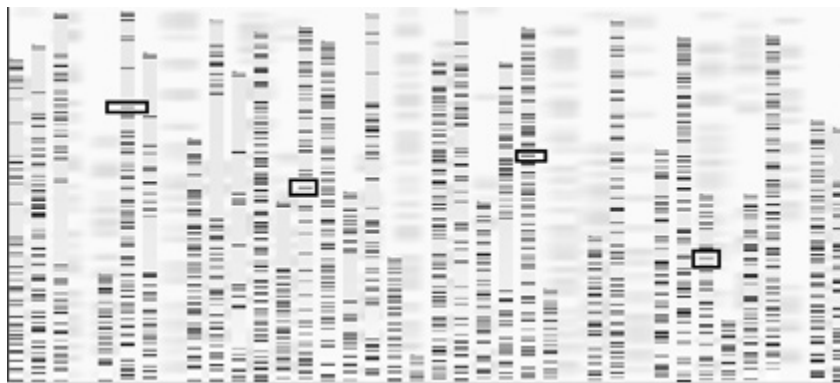
Patrzyła ponad ramieniem Franka, gdy pracował w laboratorium. Tuż obok asystent wirusologa kończył ustawianie spersonalizowanego sprzętu, który dostarczono tu razem z nimi. Frank siedział przed laptopem z oprogramowaniem bioinformatycznym. Na jego twarzy malował się wyraz głębokiego skupienia.

Charlotte stała z rękami skrzyżowanymi na piersi, czując się bezużyteczna. Cort wrócił na oddział i siedział z kartą pacjenta na kolanach. Widząc, jak co chwilę unosi opadającą głowę, domyśliła się, że przysypia.

Nie dziwiła mu się. Nawet Disanka spała z synkiem w ramionach. Charlotte też była wykończona, ale pozostała czujna. Zamierzała dowiedzieć się jak najwięcej, póki ten *bâtard* Ngoy jest chętny do współpracy.

Frank wydawał się równie zdeterminowany. Potrzebowali odpowiedzi, potrzebowali ich cały świat. Wirusolog pewnie też myślał o uwięzionym wielkim kocie, o stworzeniu prawdopodobnie zmienionym w macicy matki przez wirusa. Poprosił, żeby pokazano mu mapę genomu schwytanego geparda, i Ngoy wgrał ją do jego laptopa.

Od pół godziny Frank analizował kolumny i słupki, które obrazowały DNA zwierzęcia, i porównywał skorelowany ciąg zasad azotowych nukleotydów – kod A, C, G i T – z kodem genetycznym zwyczajnego geparda. Zespół badawczy oznaczył lokalizacje niewielkiego odsetka genów, które uznano za obce.



Frank stukał palcem w usta, przyglądając się każdej różnicy.

Charlotte wciąż trudno było uwierzyć, że takie drobiazgi mogły wywołać tak radykalne zmiany. Jeszcze bardziej zdumiało ją to, że te drobne zmiany genetyczne doprowadziły do udoskonalenia fenotypu geparda: zwierzę zyskało dłuższe kły, większą muskulaturę, nawet produkujące jad komórki, włączone do gruczołów zapachowych w łapach.

Amerykański wirusolog skupiał się na tej tajemnicy.

– Tu musi być ukryta odpowiedź – mruknął do siebie. – Nie rozumiem, jak ten wirus może mieć takie możliwości.

Charlotte przysunęła się do niego. Jako lekarka sporo wiedziała o wirusach, chociaż nie tyle co wirusolodzy. Chciała jednak pomóc, choćby przez samą rozmowę.

– To znaczy czego nie rozumiesz? – zapytała.

Frank wskazał zaznaczone odcinki DNA.

– Te fragmenty zmienionego kodu genetycznego geparda są idealnie wpasowane w jego DNA. Zbyt idealnie, jakby zostały z góry zaprojektowane. Może ten prastary wirus przez tysiąclecia był genetycznym kieszonkowcem. Kradł geny niezliczonej liczbie gatunków i śledząc ewolucję życia na tej planecie, przechowywał część tego ewoluującego kodu we własnym DNA. Chociaż to nie ma sensu.

Pamiętała, że coś podobnego powiedział, kiedy patrzyli na geparda.

– Dlaczego?

– Owszem, omniwirus jest ogromny, ale wciąż ma tylko nieco ponad dwa tysiące genów. – Tak właśnie zaczął go nazywać: omniwirusem. Nazwa wydawała się trafna, zważywszy, że był w stanie zainfekować wszystko, co żywe.

– Statystycznie – kontynuował Frank – wydaje się nieprawdopodobne, by ten miał pod ręką te konkretne zestawy genów, które można wpasować w DNA geparda. A co ze zmianami w armii mrówek? Albo w stadzie pawianów? De Coster twierdzi, że jego myśliwi od kilku tygodni gromadzą zmienione genetycznie zwierzęta. Jak to możliwe, że omniwirus ma w pogotowiu geny nadające się do idealnego przystosowania się?

Charlotte zaczynała rozumieć.

– Masz rację – przyznała. – To niemożliwe.

Frank westchnął z irytacją.

Spojrzała na Ngoya, który rozmawiał z podwładnymi.

– Według tego drania jego zespół zmapował już dwa tysiące genów omniwirusa – powiedziała cicho. – Jeśli wirus wstawił własne geny do DNA geparda, powinieneś znaleźć te same geny w wirusie, prawda?

Frank skinął głową.

– Racja – rzucił. – Ngoy dał mi już genom wirusa. Wypróbuję coś na swoim programie.

Jego palce zatańczyły po klawiaturze. Okna na ekranie otwierały się i zamykały obok przepływających strumieni zasad azotowych nukleotydów, których elementy od czasu do czasu migotały szkarłatem lub błękitem. Pracował w milczeniu przez dziesięć minut, po czym wyprostował się i pokręcił głową.

– To ma jeszcze mniej sensu – mruknął.

Tymczasem dołączył do nich jego krępy asystent, Monk.

– Dlaczego ma pan taką minę, jakby ktoś stepował na pana grobie? – spytał.

– Przez te nowe geny geparda – odparł Frank. – Nie ma ich w wirusie. Charlotte uniosła brwi.

– Jak to możliwe?

– Znalazłem fragmenty ich kodu, ale są rozproszone po całym genomie. Wygląda to tak, jakby omniwirus miał wszystkie podstawowe składniki tych nowych genów, mąkę, cukier, drożdże, i sam upiekł nowe, tworząc geny specjalnie dostosowane do geparda.

– Czy to jest możliwe u wirusów? – spytał Monk.

– Jest... Nie wiem... Kilka lat temu naukowcy we Francji odkryli, że tak zwany mimiwirus, żeby się bronić, wykształcił na drodze ewolucji metodę podobną do CRISPR.

– CRISPR? – Charlotte słyszała, że genetycy używają tej metody do celowego modyfikowania genomu. Jest tak precyzyjna, że umożliwia wycięcie segmentu DNA i zastąpienie go innym. – Wirus może to robić? Dokonywać edycji genów?

– Ten mógłby – odparł Frank. – CRISPR został pierwotnie odkryty w bakterii. Właśnie tak naukowcy opracowali tę metodę. Po prostu ją skopiowali.

Monk zbladł.

– Więc myśli pan, że nasz omniwirus ma własny warsztat z maszynami do edycji genów?

– Jak już wspomniałem, dla wirusów nie ma rzeczy niemożliwych, gdy w grę wchodzi ich przetrwanie. – Frank potarł kostkami palców miejsce między brwiami, jakby bolała go głowa. – Zwłaszcza w przypadku megawirusów. Nadal tak mało o nich wiemy. Weźmy yarawirusa, olbrzyma

odkrytego w dwa tysiące trzecim. Do dziś nie rozpoznano ani jednego jego genu. Są całkowicie obce wszystkiemu, co zna nauka.

– I tak jest w przypadku większej części DNA omniwirusa – przypomniał mu Monk.

– A może to nawet nie są geny – powiedziała Lisa.

Frank zmarszczył sceptycznie brwi.

– Do czego zmierzasz? – spytał.

– Może cały genom omniwirusa, a przynajmniej jego zdecydowana większość, jest wielką spiżarnią z surowym materiałem genetycznym, który czeka na wykorzystanie.

Frank wyprostował ramiona.

– Łączy składniki, dostosowując je do swojego celu – mruknął.

– Ale jaki ma cel? – zapytał Monk. – Co próbuje osiągnąć?

– Niewiele wiem o tym wirusie, ale na to chyba mogę odpowiedzieć – odparł Frank. – Chce przetrwać, uwolnić świat od zagrożeń dla swojego bytu. Z pewnością jest zdolny do tego, by wzmocnić zabójczość świata przyrody.

– A jednocześnie osłabić ludzi, wprawiając ich w stan otępienia i śpiączki. – Charlotte powiodła wzrokiem po łózkach na oddziale.

– I może robi to celowo – dorzucił Frank. – Istnieją inne patogeny, które tworzą dziwne relacje między drapieżnikiem a ofiarą. Weźmy chorobotwórczego pierwotniaka z rodzaju *Toxoplasma gondii*. Zaraża koty, a gdy zostanie przekazany ich ofiarom, gryzoniom, wywiera na nie dziwny neurologiczny wpływ. Zainfekowane szczury i myszy są bardziej potulne, mniej boją się drapieżników, co czyni je łatwiejszymi zdobyczami dla kotów.

– Myślisz, że tu dzieje się coś podobnego? – spytał Monk.

– Może te kolce prionów, które wydała wirus, zostały zaprojektowane tak, by eliminowały zagrażające mu istoty, te o większych mózgach i wyższej inteligencji. I jednocześnie żeby infekując inne zwierzęta, zamieniały je w niebezpieczniejsze.

Monk skinął głową.

– I w ten sposób unicestwiłyby gatunek, który może stanowić dla omniwirusa największe zagrożenie.

– Czyli nas – podsumowała Charlotte. Słyszała wycie i krzyki z pogrążonej w mroku dżungli. Jakby cała przyroda zwracała się przeciwko nam, pomyślała.

Frank żywił podobne obawy.

– Nie mogę pojąć, skąd się to wzięło, ale matka natura zawsze dąży do przywrócenia równowagi, gdy ta staje się niestabilna – powiedział. – Często robi to przez zmiany ekologiczne i ewolucyjne, ale także poprzez kontrolę populacji. – Spojrzał na Charlotte i Monka poważnym wzrokiem. – Już to widzieliśmy. Nasza ingerencja w stabilne środowiska, budowanie dróg przez dżungle, wycinka lasów... wszystko to spowodowało, że na świat spadły największe plagi. Malaria, żółta febra, ebola. HIV pochodzi z kongijskiej dżungli. Najwcześniejsze przypadki AIDS odnotowano w latach dwudziestych ubiegłego wieku, kiedy choroba rozprzestrzeniała się wzdłuż historycznych szlaków handlowych.

– Innymi słowy, nie zadzieraj z matką naturą – skomentował Monk.

Frank skinął głową.

– Bo ugryzie cię w dupę.

Charlotte spojrzała na salę. Nie mogła odrzucić tej możliwości pochodzenia wirusa, ale czuła, że brakuje im ważnego elementu układanki. Podejrzewała, że nigdy go tutaj nie odkryją. Jeśli istniała odpowiedź, to w dżungli.

– Może na razie skoncentrujemy się na tym, jak pomóc ludziom, tutaj i w całym Kongu – zaproponowała. – Musimy znaleźć lek, a jeśli okaże się to niemożliwe, to przynajmniej jakąś metodę łagodzenia symptomów.

– Nie. Najważniejsze jest wydostanie się z tej wyspy – szepnął Monk.

Charlotte zgadzała się z nim. Nie miała zaufania do Ngoya i jego zespołu; jeszcze mniej ufała ich pracodawcy, Nolanowi De Costerowi. Spojrzała na asystenta Franka i dostrzegła twardy błysk w jego oczach. Fasada uległości Monka zniknęła, zastąpiona stalową determinacją. Miała wrażenie, że stoi obok lwa zamkniętego w klatce.

Nagle zrozumiała, że Monk nie jest asystentem Franka.

W takim razie kim jest?

Godzina 20.28

Tucker leżał w gąszczu paproci na skraju małej kolonialnej osady. Przyglądał się skupisku rozpadających się budynków z dachami z zardzewiałej blachy i porośniętymi przez pnącza kamiennymi ścianami. Wszystkie domy stały wokół pobielonego wapnem kościółka. Widziane z powietrza, nie wzbudziłyby większego zainteresowania. W Kongu nie brakowało takich starych osad, opuszczonych i pochłoniętych przez dżunglę.

Tylko że tu niektóre zabudowania zostały niedawno odnowione, łącznie z piętrowym pensjonatem obok kościoła. I był pomost na rzece.

Wcześniej Tucker i jego partner zatoczyli krąg wokół tego miejsca. Poruszali się z najwyższą ostrożnością, unikając patroli, nad słuchując charakterystycznego terkotu i stąpania mechanicznych psów stróżujących. Patrole chodziły dwójkami, dwóch ludzi albo strażnik z robotycznym psem. Strażnicy nie starali się ukrywać; rozmawiali, żartowali, śmiali się, co wskazywało, że nie obawiają się ataku z zaskoczenia. Zapewne strzegli

tego miejsca przed głośniejszą inwazją, może napaścią lokalnej milicji albo partyzantów.

To działało na korzyść Tuckera. Obszedł całą osadę i nie został wykryty. Chciał zaznajomić się z terenem, zanim przedsięwzięcie dalsze kroki. Przy pomocy zobaczył pięć smukłych łodzi, kilka skuterów wodnych i osiemnastometrowy jacht, który wyglądał jak opancerzona kanonierka. Tej floty strzegło ukryte na skraju lasu, otoczone workami z piaskiem gniazdo CKM-u. Rozpoznał rosyjski ciężki karabin maszynowy Kord kalibru 12,7 mm, z lufą skierowaną w stronę przystani.

Gniazdo było obsadzone przez samotnego strażnika. Palił papierosa, patrząc na rzekę, gdy Tucker i owczarek przemykali za jego plecami. Przypuszczenia Tuckera potwierdziły się: większość patroli zajmuje się tą częścią wyspy. Zostawił Kaina ukrytego w lesie blisko przystani, a sam wrócił do słabiej strzeżonej ciemniejszej części wyspy.

Pozostały dwa pytania.

Czy jestem we właściwym miejscu? I czy są tu uprowadzeni ludzie?

Podczas zwiadu wszystko uważnie obserwował. Osada była słabo oświetlona przez kilka lamp sodowych i ognisko na placu, ale gogle noktowizyjne dość dobrze penetrowały cienie. Nie dostrzegł ani śladu Monka czy Franka. Może uwięziono ich na noc.

Szczególną uwagę poświęcił dwóm budynkom. Pierwszym był blaszany barak, do którego wchodzili i z którego wychodzili ludzie w białych kitlach, co sugerowało, że jest to szpital albo stacja badawcza. Wiedział od Paintera, że porywacze zabrali sprzęt laboratoryjny Franka. Jeśli tak, to znaczy, że zależało im na jego ekspertyzie. Jeśli ten barak był laboratorium, to może Frank przebywał w środku.

Drugim budynkiem, który zainteresował Tuckera, był kolonialny pensjonat. Sądząc po panującym tam ruchu, z pewnością mieściła się w nim

kwatery głównej. Nie mając możliwości jednoczesnego obserwowania obu miejsc, Tucker zajął pozycję w pobliżu pensjonatu. Zostawił Kaina po drugiej stronie kompleksu, z kamerą wycelowaną w barak laboratorium. Niestety, obraz z kamery był nieregularny z powodu zagłuszenia sygnału. Tucker przypuszczał, że wróg korzysta z kodowanej częstotliwości, bo przecież musiał mieć łączność z robotycznymi psami stróżującymi.

Słyszał oddech partnera.

Czekamy.

Brakowało mu go u boku, ale czuł jego bliskość. Od czasu do czasu słyszał szmer liści, gdy partner zmieniał pozycję.

Nagle pies warknął głucho.

Tucker skupił wzrok na widocznym w goglach obrazie z kamery. Patrzył, jak z baraku wychodzi grupa w jednakowych niebieskich kombinezonach ochronnych. Eskortował ich wysoki kongijski żołnierz z karabinem gotowym do strzału. Tucker rozpoznał wysoką sylwetkę Franka. Kain zaskamlał cichutko; pewnie też poznał weterynarza, który opiekował się nim podczas służby w wojsku.

Strażnik i idący przed nim ludzie szybko zniknęli z obrazu kamery. Tucker wstrzymał oddech. Chwilę później pojawili się na oświetlonym przez ognisko placu. Gdy podeszli bliżej, rozpoznał Monka po ogolonej głowie lśniącej w blasku płomieni. Monkowi i Frankowi towarzyszyli młoda kobieta ze związanymi w kucyk ciemnymi włosami i starszy siwy mężczyzna z kocią bródką. Tucker widział przesłane przez Paintera zdjęcia dwojga zaginionych lekarzy z obozu ONZ-etu.

To oni.

Kongijski strażnik prowadził ich w stronę pensjonatu, co potwierdziło przypuszczenia Tuckera, że jest tam kwatery główna.

Tam spędzą noc, pomyślał.

Gdy wszyscy weszli do środka, odczekał trzy minuty. Chciał, żeby porwani znaleźli się w bezpiecznym miejscu. Jego plan wymagał doskonałego wyczucia czasu.

Bezgłośnie przekazał komendę Kainowi.

UKŁAD BRAVO. NA MÓJ ZNAK.

Z ostrożności odczekał jeszcze dwadzieścia sekund.

IDŹ!

Wyspa Belka, Demokratyczna Republika Konga

24 kwietnia, godzina 20.32 czasu miejscowego

Monk stłumił ziewnięcie, gdy drzwi celi zamknęły się za ich plecami. Przyjrzał się betonowym ścianom, stalowym kratom w oknach i rzędowi prycz. Nie ma jak w domu, pomyślał.

Dwoje lekarzy z obozu ONZ-etu podeszło do rozgrzebanych łóżek. Najwyraźniej spędzili tu minioną noc. Frank stał z gniewną miną.

Monk spojrzał na kongijskiego żołnierza z blizną na twarzy, porucznika Ekona.

– Będzie kolacja?! – zawołał do niego przez zakratowane drzwi. – Mamy za sobą długi dzień.

Mężczyzna prychnął drwiąco, przekręcając klucz w zamku.

Monk podszedł do drzwi, jakby zamierzał powtórzyć prośbę, ale tak naprawdę chciał przyjrzeć się lepiej korytarzowi. Zobaczył dwie kamery zamontowane pod sufitem: jedną skierowaną na drzwi celi, a drugą w głąb korytarza. Nie zauważył mikrofonów, ale musiał założyć, że kamery są w nie wyposażone. Będą musieli zachować ostrożność, rozmawiając w celi.

Gdy się odwrócił, usłyszał ostry trzask. Dochodził z zewnątrz, z niedaleka. Zaraz po tym rozległ się następny. I kolejny. Wszyscy zamarli. Brzmiało to jak fajerwerki, ale sądząc po reakcji strażnika, nie świętowano kongijskiego Dnia Niepodległości.

Chwilę później usłyszeli krzyki przerażenia.

Ktoś atakuje to miejsce, uznał Monk i zaczął szybko rozważać możliwości. Może to byli partyzanci, ale czas i okoliczności dały mu nadzieję. Podjął szybką decyzję, choć wiedział, że może narazić pozostałą trójkę na niebezpieczeństwo.

Podbiegł do drzwi i zacisnął ręce na kratkach.

– Co się dzieje?! – zawołał do strażnika, udając, że jest przestraszony, gdy huk się powtórzył.

Ekon kucnął za drzwiami z kolbą broni przyciśniętą do ramienia, celując w głąb korytarza.

– Cofnąć się! – warknął gniewnie.

Monk posłuchał; odsunął się od drzwi, ale zostawił na nich odpiętą protezę, tuż nad zamkiem.

– Róbcie, co każe! – zawołał do swoich towarzyszy. – Cofnąć się!

Pchnął Corta pod tylną ścianę celi. Frank, posłuszny jego nagłacemu tonowi, pociągnął za sobą Charlotte. Ta z przerażeniem spojrzała na rękę Monka. Nie poznała wcześniej, że to proteza.

Och, to coś znacznie więcej, przemknęło przez głowę agentowi Sigmy.

Wystukał kod na tytanowej magnetycznej obejmie, do której mocował zwykle protezę. Nacisnął ostatni punkt, po czym dał pozostałym znak, by położyli się na podłodze.

– Padnij! Już!

Zanim zdążyli to zrobić, ukryty w protezie ładunek C4 eksplodował. Wybuch ich ogłuszył, błysk oślepił, a wstrząs powalił wszystkich na podłogę.

Wszystkich prócz Monka.

Spodziewając się, co nastąpi, zaparł się nogami. Rzucił się przez kłęby gorącego dymu do drzwi. Eksplozja zniszczyła zamek i wysadziła je z jednego zawiasa.

Ekon leżał w korytarzu, powalony przez wybuch, prawdopodobnie także uderzony drzwiami. Musiał być twardzielem, bo już podnosił się na rękę i kolana.

Monk kopnął go w nos. Kość pękła z satysfakcjonującym chrzęstem. Strażnik znowu upadł, tym razem bez przytomności.

– Szybko! – wrzasnął Monk.

Lekarze byli oszołomieni, ale Frank zmusił ich do ruchu.

Monk podniósł karabin i rzucił go Frankowi. Ta broń była odpowiednia dla kogoś, kto ma obie ręce. Zabrał Ekonowi pistolet, czarnego chromowanego browninga HP, i zważył go w dłoni.

Może być, uznał.

Frank sprawdził karabin i skinął głową.

– Trzymajcie się blisko, tuż za naszymi plecami – zwrócił się Monk do dwójki lekarzy. – Rozumiecie?

Cort, który w zamęcie zgubił okulary, wlepił w niego szeroko otwarte oczy. Charlotte była popielata ze strachu, ale skinęła głową.

Ruszyli w głąb korytarza z Monkiem na czele.

Chodźmy zobaczyć, kto wpadł z wizytą, pomyślał.

Godzina 20.37

Tucker, ukryty na skraju ciemnego lasu, rzucił w stronę zabudowań dwa granaty dymne. Pięć sekund później eksplodowały z głuchym trzaskiem. Kłęby dymu wzbily się pod drzewami, niesione przez wiatr.

Zaczął się skradać pod osłoną dymu.

Nie śmiał dłużej czekać, zwłaszcza że usłyszał głośny wybuch w pensjonacie.

Co się stało? – zastanawiał się.

Wychodząc z lasu, obserwował postępy Kaina. Na wcześniejszą komendę pies pognał zygzakiem przez dżunglę po drugiej stronie kompleksu. Tucker chciał, żeby partner ściągnął uwagę patroli, podczas gdy on spróbuje dotrzeć do pensjonatu. Podwiesił na bandolierze psa kilka granatów błyskowo-hukowych. Mógł zwalniać je zdalnie pilotem. Naciskał przycisk i jeden spadał na ziemię za biegnącym owczarkiem. Nastawił piętnastosekundowe opóźnienie, żeby partner miał czas na ucieczkę.

Kain pędził przez las po drugiej stronie osady, wzniesając za sobą chaos. Obraz z jego kamery skakał jak szalony. Tucker wierzył, że partner, który potrafił stawać się niewidzialny albo sunąć jak cień, nie da się zauważyć. Patrole z pewnością szukały partyzantów lub innych uzbrojonych intruzów, a nie szybkoconego ducha.

Tucker, ukryty w kłębach dymu, przemykał wzdłuż rzędu niewielkich budynków. W termowizyjnych goglach widział jasną poświatę ogniska na placu. Zatrzymał się, bo przed nim dwóch strażników biegło ku przystani.

Po chwili ruszył dalej w stronę bliskiego już pensjonatu. Trzymał pistolet oburącz, kierując lufę prosto przed siebie. Dym rozpraszał się i rzedł, Tucker skulił się więc i przebiegł ostatni odcinek do schodów prowadzących na werandę.

Zatrzymały go krzyki i seria wystrzałów.

Drzwi przed nim otworzyły się gwałtownie i żołnierz w mundurze maskującym przeleciał tyłem przez werandę, trafiony serią z karabinu. Spadł ze schodów i znieruchomiał u stóp Tuckera.

Ten zaczął się cofać, gdy na werandzie pojawiły się cztery osoby w niebieskich kombinezonach.

– Frank, Monk – syknął, żeby nie wzięli go za członka patrolu.

Monk zbiegł po schodach i rozejrzał się, wyraźnie mając nadzieję, że zobaczy kogoś więcej niż samotnego wybawcę. Nie zobaczył, ale natychmiast zaakceptował sytuację.

– Jaki jest plan, Tucker? – spytał.

– Zabrać stąd tyłki.

– Mnie pasuje.

Tucker odwrócił się i wskazał ręką w stronę kościoła.

– Tędy – rzucił.

Godzina 20.39

Charlotte oddychała głęboko, starając się uspokoić łomoczące serce i otrząsnąć z paraliżu, który nie miał nic wspólnego z infekcją wirusową. Wiedziała, że musi iść dalej.

Przystanęła tylko na chwilę, żeby podnieść pistolet, który wysunął się z ręki martwego żołnierza u stóp schodów. Znała się na broni od czasu, kiedy mieszkała z rodziną w sąsiedniej Republice Konga. Nikt nie przemierza dżungli bez ochrony.

Monk dostrzegł, co zrobiła, i z aprobatą kiwnął głową. Szli za mężczyzną – nazywał się Tucker, jak wynikało ze słów Monka – który przybył im na ratunek.

Wybuchy i krzyki w lesie świadczyły o tym, że nie zjawił się sam. Charlotte miała nadzieję, że odsiecz jest dość liczna, by bezpiecznie się wydostać.

Obchodzili kościół, trzymając się cienia. Tucker rzucił kilka granatów dymnych, żeby ich osłonić. Stłumione trzaski i unoszący się całun nie przyciągnęły niczyjej uwagi. Dym tylko zagęścił otaczającą ich ciemność.

Mimo tej osłony Charlotte czuła się jak liść porwany przez wiatr. Podskakiwała za każdym razem, gdy z lasu dochodził huk kolejnych eksplozji.

Udało im się bezpiecznie dotrzeć do baraków. W pobliżu nie było nikogo. Pracownicy prawdopodobnie ukrywali się przed atakiem.

Tucker uniósł rękę i wszyscy się zatrzymali.

– Zostańcie tutaj – szepnął i sam ruszył dalej.

Kuląc się, Charlotte patrzyła na barak szpitalny. Miała przed oczami Disankę i jej dziecko; pamiętała o złożonej obietnicy.

Trąciła Monka łokciem.

– Nie możemy zostawić pacjentów – powiedziała.

– Nie mamy wyjścia – odpowiedział ze zbolonym wyrazem twarzy. – Większość z nich nawet nie może się ruszać.

Wiedziała, że to prawda. Chorzy byli przykuci do łóżka, pogrążeni w wywołanej przez wirus katatonii. Ale nie wszyscy...

– Tu mają przynajmniej opiekę medyczną – dodał Monk. – A my jesteśmy ich największą nadzieją. Jeśli się stąd wyrwiemy, dostaną pomoc z zewnątrz.

Charlotte w duchu przyznała mu rację, ale dręczyły ją wyrzuty sumienia. Nie mogła pogodzić się z tym, że porzuca Disankę i jej maleństwo.

Wrócił Tucker. Gogle zasłaniały większą część jego twarzy, ale i tak zorientowali się, że jest zmartwiony. Wskazał las, z którego dochodziły krzyki i huk wystrzałów.

– Coś jest nie w porządku – rzucił. – Kain powinien już ściągnąć patrole na południe, oczyszczając nam drogę.

Frank spojrział w przeciwnym kierunku.

– A ta za nami już jest zamknięta – powiedział.

Od strony placu dochodziło echo wykrzykiwanych rozkazów. Buty coraz głośniejsz łomotały na chodnikach z desek, gdy strażnicy zmierzali w ich stronę.

Tucker zaklął, ale skupił uwagę na czymś innym. Uniósł urządzenie, które trzymał w ręce.

– Kain, wracaj.

Charlotte ze ściągniętymi brwiami wpatrywała się w dżunglę, zastanawiając się, kto tam jest.

Godzina 20.41

Gdy niebezpieczeństwo nadciąga z trzech stron – z boków i od przodu – Kain przypada do ziemi.

Gwar głosów, ściana potu i brudu odcina mu odwrót. Przyprowałdził ich za sobą. Dostał komendę, żeby zwodzić ścigających go ludzi.

Ale spostrzegli go inni myśliwi i uniemożliwili mu wykonanie polecenia. Kain powstrzymuje warkot wściekłości.

Może tylko czekać.

Postawione uszy łowią pneumatyczny terkot i brzęk metalu. Słyszysz trzask łamanych gałęzi, gdy myśliwi się zbliżają.

Wie, że jego partner nie zdaje sobie sprawy z nadchodzącego zagrożenia. Nie ma jego czujnego nosa ani wyczulonego ucha. Trzeba widzieć, by wiedzieć. Ale Kain bezgranicznie ufa partnerowi.

I czeka.

Wreszcie pierwszy z trzech myśliwych wchodzi w pole widzenia. Śmierdzi olejem i błyskawicą. Brzęczą kółka zębate. Pistolet obraca się

w stronę celu. Zmysły myśliwego są stłumione, tępe w porównaniu ze zmysłami Kaina. Ale on wie, że przeciwnik jest zabójczy i szybki.

Już dwa razy znalazł się pod ich ostrzałem.

Z prawej strony pojawia się drugi, a chwilę później trzeci po lewej.

Kain trwa w bezruchu. Nauczył się, że ruch przyciąga ich uwagę. Wkrótce wyczują jednak jego ciepło, dostrzegą sylwetkę. Zdołał uniknąć kilku konfrontacji, ale nie z trzema jednocześnie.

Czeka, ufając partnerowi.

Nagle słyszy znajomy trzask. Srebrzysty przedmiot o kształcie jajka spada na ziemię tuż przy nim. Partner w końcu rozpoznał zagrożenie i stara się pomóc.

Kain wie, co ma robić. Został wyszkolony do tego manewru. I wie, że powinien już wziąć nogi za pas.

Słyszy komendę na potwierdzenie tego.

RUSZAJ. SZYBKO!

Ale nie słucha. Nauczył się, ile mija uderzeń serca, zanim takie jajko wybuchnie światłem, hukiem i odłamkami metalu. Czeka, ufając sobie tak samo jak partnerowi.

Trzej myśliwi zaciskają sidła. Karabiny obracają się w jego stronę, jeden, drugi, trzeci.

Wykryty Kain skacze i ucieka.

Padają strzały, ale jego już tam nie ma. Pędzi co sił w łapach. Trzech myśliwych zbiera się wokół jego niedawnej kryjówki i nagle eksplozja rozjaśnia okoliczne drzewa. Kain jest zbyt blisko i wybuch rzuca go w głąb lasu.

Połamany łowca gramoli się przez krzaki.

Kain pędzi dalej, poza zasięg podmuchu, w objęcia cienia i zapewniających osłonę liści. Wolny, biegnie w ciemność, gotów dokończyć misję i zwodzić kolejnych myśliwych.

Docierają do niego słowa.

Słyszy w nich dumę i wie, że są szczere.

DOBRY PIESEK. GRZECZNY PIESEK.

Godzina 20.43

Tucker odetchnął z ulgą.

Mało brakowało, pomyślał.

– Kain znów działa – zwrócił się do wszystkich. – Musimy poczekać kilka minut, żeby dać mu czas na odciążenie patroli. Potem przekradniemy się do pomostu.

– Nie sądzę, żebyśmy mieli te dodatkowe minuty – powiedział Frank i oddał kilka strzałów w kierunku placu.

Odpowiedział mu krzyk zaskoczenia i sylwetki mężczyzn zniknęły z pola widzenia. Ale strzały nie zniechęcały ich na długo. Frank też to wiedział.

– Mają przewagę liczebną i jesteśmy na zbyt otwartej przestrzeni – dodał. – Lepsze szanse mielibyśmy w lesie.

– Zaraz – rzucił Monk, podchodząc. – Tucker, masz jeszcze jakieś granaty?

Tucker obmacał pas.

– Dwa odłamkowe, cztery ogłuszające – odparł.

– Dobrze. – Monk wsunął pistolet za pas i wyciągnął rękę. – Muszę wybić w czymś dziurę.

Tucker odpiął granat i mu podał.

Monk ze ściągniętymi brwiami spojrzał na ten maleńki przedmiot.

– Są przeznaczone do odwracania uwagi – wyjaśnił Tucker. – Ale w razie potrzeby mogą narobić trochę szkód.

Frank znowu strzelił z karabinu.

– Właśnie jesteśmy w potrzebie – zauważył Monk. – Jakie opóźnienie mają te granaty?

– Są nastawione na piętnaście sekund, ale...

– Wystarczy. Ale musimy szybko uciekać.

Tucker patrzył, jak agent Sigmy biegnie do betonowego budynku i kopniakiem otwiera drzwi. Powitał go wybuch pohukiwania, wycia i pisku. Zniknął na kilka sekund, po czym wyłonił się i pognął w stronę pozostałych, machając ręką.

– Biegiem! – krzyknął. – Do lasu.

Wszyscy rzucili się do ucieczki, jakby odgadli, co zrobił. Tucker pędził, nie mając czasu go o to spytać. Frank zamykał tyły, od czasu do czasu strzelając. Zanim dotarli pod baldachim drzew, opróżnił magazynek i z frustracją spojrzał na karabin.

Od strony budynku, przy którym przed chwilą stali, dobiegł głośny wybuch.

– Wejdźcie głębiej – ponaglił towarzyszy Monk.

Ukryli się w gąszczu.

– Co tam robiłeś? – spytał Tucker, podchodząc do Monka.

Ten wzruszył ramionami.

– Zwerbowałem sojusznika – odparł. – Jak to mówią, wróg twojego wroga jest twoim przyjacielem.

Tucker pytająco uniósł brwi i w tym momencie usłyszał wrzask, który zmroził mu krew w żyłach. Brzmiał dziko, był pełen wściekłości i wyraźnie

dobywał się z gardła wielkiego dzikiego kota. Obejrzał się. Co, do cholery?

Żołnierze krzyczeli ze strachu i z bólu. Padały chaotyczne strzały, bo prawdopodobnie wpadli w panikę. To coś, co uwolnił Monk, najwyraźniej dziesiątkowało ich szeregi.

– Zyskaliśmy trochę czasu – stwierdził Frank.

Monk zwrócił się do Tuckera:

– Prowadź do przystani, zanim ktoś nas znowu zwęszy.

Tucker poprowadził ich. Zdawał sobie sprawę z zagrożenia za nimi, ale szedł powoli, żeby Kain mógł odciągnąć jak najwięcej patroli. Przyspieszył, gdy zyskał pewność, że droga jest wolna.

Odezwał się bezgłośnie do partnera.

KONIEC MISJI. CICHY POWRÓT DO PUNKTU ALFA.

Przebyli las bez żadnych incydentów. Przed nimi jarzyły się światła przystani. Tucker kazał wszystkim się zatrzymać i poszedł na zwiad. Dotarł do gniazda karabinu maszynowego. Między workami leżały zmasakrowane zwłoki – dowód skutecznej siły maleńkich ładunków wybuchowych. Kain zostawił granat tuż za plecami mężczyzny, zanim pociągnął patrole na szukanie wiatru w polu.

Tucker sprawdził, czy w pobliżu nie ma nikogo, po czym zsunął się do bunkra. Podeszedł do gablotki ze szkła i stali, w której wisiał rząd kluczyków do łodzi. Nożem wyłamał zamek i zgarnął wszystkie.

Skulony, gwizdnięciem dał znak, że teren jest czysty.

Pozostali wybiegli z lasu.

Frank dołączył do niego i spojrzał z uznaniem na CKM. Odrzucił wystrzelany karabin i podniósł ciężką broń, za którą ciągnął się pas z dużymi nabojami.

– Ten mi się bardziej podoba – rzucił.

Monk uśmiechnął się.

– Znam faceta, który w tej chwili zzieleniałby z zazdrości.

– Co robimy? – zapytała Charlotte. Jej oczy błyszczały w blasku lampy sodowej.

– Czekamy na jeszcze jednego – mruknął Tucker.

Jakby wezwany jego słowami, Kain wyskoczył z lasu i po chwili był już przy nim.

– Najwyższy czas.

Sapiący pies wpadł w jego ramiona.

Charlotte miała przerażoną minę.

– Kain? Myślałam, że sprowadziłeś ze sobą armię.

Tucker poklepał bok partnera.

– Bo sprowadziłem.

Cort przełknął ślinę i wyciągnął rękę.

– Którą łódź bierzemy? – spytał.

Tucker już dokonał wyboru.

– Chodźmy.

Poprowadził wszystkich na koniec przystani, gdzie stała zacumowana smukła czarno-czerwona motorówka. Kadłub z włókna węglowego wyglądał jak sztylet unoszący się na ciemnej wodzie. Tucker wybrał ślizgacz, żeby jak najszybciej wydostać się poza promień zakłóceń sygnału radiowego wokół wyspy.

Pomógł wejść na pokład dwójce lekarzy i sam wskoczył. Kiedy Monk i Frank zwolnili cumy, podszedł do steru. Znalazł pasujący do łodzi czarno-czerwony breloczek i wsunął go w stacyjkę. Potężny silnik zabrzmiał ogłuszająco.

Odpowiedział mu wściekły ryk.

Wszyscy spojrzeli na drugi koniec przystani. Z lasu wyłonił się masywny cień. Kot był ogromny. Ryknął jeszcze raz, odsłaniając bliźniacze szable.

O Boże...

Monk i Frank wskoczyli na pokład i ten drugi zaczął obracać zdobyczny CKM w stronę bestii.

Kain, który został na pomoście, patrzył na geparda. Przysiadł na zadzie i warczał ostrzegawczo.

– DO MNIE – rozkazał głośno Tucker.

Pies zignorował go; nie odrywał wzroku od kota, posłuszny odwiecznemu instynktowi.

– JUŻ! – ponaglił go stanowczym okrzykiem partner.

Tej bitwy nie wygrasz.

Kain nie ruszył się z miejsca, wpatrzony w zwierzę.

– Odbijaj! – krzyknął Cort.

Tucker czekał. W żadnym wypadku nie zostawi partnera.

Na szczęście impas zakończył się w wybuchowy sposób. Granat o napędzie raketowym wypadł z lasu i uderzył w gniazdo CKM-u. Eksplozja w chmurze dymu i płomieni wyrzuciła worki z piaskiem wysoko w powietrze.

Kot dał susa w bok i skoczył do rzeki. Wpadł w wodę z pluskiem i zaczął niezdarnie machać łapami, płynąc do drugiego brzegu.

Dopiero wtedy Kain odwrócił się i z wysoko uniesionym ogonem wskoczył do łodzi.

Mając wszystkich na pokładzie, Tucker zawrócił i czarno-czerwona motorówka wystrzeliła, wciskając go w siedzenie sternika. Chryste, ale ma kopa, przemknęło mu przez głowę.

Łódź cięła wodę, nabierając prędkości. Tucker kierował ją w dół rzeki, by wykorzystać siłę prądu, zamiast z nim walczyć. Gdy oddalili się od wyspy, wyrzucił za burtę resztę skradzionych kluczy. Ciekawe, jak teraz ruszą w pościg, pomyślał.

Monk pochylił się nad nim, żeby usłyszał go w ryku silnika.

– Co dalej?

Tucker wyobraził sobie Ndayego, wychylającego się z kabiny śmigłowca.

– Czas wezwać kawalerię – rzucił.

Monk z ponurą miną spojrzał do tyłu.

– Co się stało? – zapytał Tucker.

– Nie będzie łatwo. – Monk jeszcze raz obrócił głowę. – Nie z tym draniem, który dowodzi tą bandą.

Godzina 20.50

Nolan De Coster krążył po gabinecie na piętrze pensjonatu. Uderzył pięścią w udo. Mięśnie żuchwy bolały go od długiego zaciskania zębów.

Po pierwszej eksplozji system bezpieczeństwa zamknął jego prywatny pokój. Metalowe żaluzje odcięły wyjście na balkon, a wielkie rygle wzmocniły drzwi z grubej na pięć centymetrów stali.

Był zamknięty, ale rząd monitorów zapewniał mu widok na każdy zakątek kompleksu. Obserwował przebieg ataku, ale mimo wielu kamer nie mógł stwierdzić, kto go prowadzi i ilu jest napastników.

Rozpoznał jedną osobę, która zdecydowanie brała w tym udział.

Wybuch na parterze wstrząsnął całym pensjonatem. Jakiś czas później De Coster przejrzał nagranie z celi. Patrzył, jak ogolony na łyso asystent doktora Whitakera mocuje protezę dłoni do drzwi, a potem oślepiający

wybuch wyłączył kamery w celi. Później De Coster zobaczył, że ten sam człowiek uwolnił geparda i zwierzę rzuciło się na strażników. Ten „asystent” był wyraźnie kimś innym, niż się wydawało.

Może komandosem albo nawet agentem wywiadu.

Pokręcił głową, myśląc o tym, jak dał się wyprowadzić w pole. Ten łajdak siedział naprzeciwko niego, udając służalczość i zdenerwowanie. A De Coster zawsze uważał, że potrafi bezbłędnie ocenić ludzki charakter.

Tym razem dałem się nabrać.

To rozwścieczyło go bardziej niż cokolwiek innego.

Wrócił do monitorów i spojrzał na dym, chaos i zwłoki. Przynajmniej ośrodek badawczy wydawał się nienaruszony. Będzie mógł kontynuować prace. Ale musi przedsięwziąć dodatkowe środki ostrożności.

Sygnal dźwiękowy zwrócił jego uwagę na obraz z kamery przed drzwiami gabinetu. Mężczyzna z blizną na twarzy wpatrywał się w obiektyw. Ze spuchniętego złamanego nosa ściekały dwie strużki krwi.

– Najwyższy czas – mruknął De Coster i zwolnił blokady drzwi.

Porucznik Ekon wszedł do pokoju. Pracodawca wyczytał w jego oczach furję, a także cień wstydu. Porucznik pozwolił więźniom uciec i teraz zamierzał naprawić swój błąd.

Schylił głowę.

– *Commandant.*

De Coster milczał, bo chciał, by Ekon zrozumiał, że sprawił mu wielki zawód. Nacisnął przycisk i stalowe żaluzje powoli uniosły się, odsłaniając przeszklone drzwi. Odwrócił się bez słowa i wyszedł na balkon.

Porucznik poszedł za nim.

Jego pracodawca stał przy poręczy i patrzył nad drzewami na rzekę. Rozproszone gwiazdy przeglądały się w czarnym lustrze wody. Nad

horyzontem gromadziły się burzowe chmury. Usłyszał daleki grzmot.

– Wygląda na to, że płyną w dół rzeki – powiedział.

– *Oui*. Pana tirranną.

De Coster przez chwilę miał przed oczami swoją łódź wyścigową. Należała do jego ulubionych.

– Wywołaj Drapera. Natychmiast.

Spojrzał na daleką łunę za rzeką, tam, gdzie była kopalnia Katwa, jedna z kilku należących do jego firmy. Kapitan Andre Draper poleciał tam tuż przed zachodem słońca, by zdusić panikę, która wybuchła wśród górników. De Coster był przekonany, że kapitan szybko upora się z problemem, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli.

Miał dla niego dodatkowe zadanie.

– Niech przygotuje barki, obsadzi je i wyposaży w reflektory. Ma stworzyć blokadę na rzece.

– *Oui, Commandant*.

– I włączyć wszystkie zakłócacze sygnałów radiowych, co do jednego. Trzeba odciąć cały ten region.

Po założeniu tego kompleksu De Coster kazał zbudować wieże nadajników zakłócających, ukryte w dżungli wzdłuż rzeki, a nawet niektórych jej dopływów, żeby zapewnić prywatność swojemu królestwu.

Nie wymkną się z mojej sieci, pomyślał.

Spojrzał w głąb gabinetu na złotą koronę połyskującą w szklanej gablocie.

Nie, póki rządę w tej dżungli.

Prowincja Tshopo, Demokratyczna Republika Konga

24 kwietnia, godzina 21.02 czasu miejscowego

Gray opierał się o tylne drzwi shatuna. Pojazd grzechotał i trząsał się, jadąc przez dżunglę z zawrotną prędkością. Tył kołysał się dziko od miejsca, w którym łączył się z kabiną.

– Zwolnij! – zawołał komandor.

Kowalski z determinacją pochylał się nad kierownicą, trzymając w kąciku ust tłące się cygaro. Faraji siedział obok niego i udzielał mu wskazówek. Przednią szybę pokrywały połyskliwe smugi, ślady po toksycznych ćmach, które rozbryznięły się na szkle albo zostały zmiecione przez wycieraczki.

Wyglądało na to, że wyrwali się z najgorszej chmary, ale nie bez szwanku.

Gray spojrział na Benjiego. Doktorant leżał na wznak, wciąż na wpół przytomny. Usta i nos zakrywała mu maska tlenowa.

Po przeniesieniu go do pojazdu Gray otworzył wojskową apteczkę wbudowaną w boczną ściankę. Nie wiedząc, z jaką neurotoksyną ma do czynienia, spróbował leczenia objawowego. Wstrzyknął Benjiemu diazepam, by opanować drżączkę, a także środki przeciwhistaminowe oraz adrenalinę dla złagodzenia objawów wstrząsu anafilaktycznego. Starł pęcherze z jego dłoni i policzka, żeby usunąć jak najwięcej toksyn.

– Jak tam młody?! – zawołał Kowalski.

– Chyba dochodzi do siebie.

Benjie zamrugał, potwierdzając tę diagnozę. Chciał zdjąć maskę, ale Gray złapał go za rękę. Młody człowiek miał szczęście, że ukąsiły go tylko dwie ćmy. Więcej ukąszeń niewątpliwie by go zabiło.

Gray zdawał sobie jednak sprawę, że stan Benjiego może się pogorszyć. Było zbyt wiele niewiadomych. W trakcie jazdy przez dżunglę zastanawiał się, czy nie przerwać ciszy radiowej, by poprosić o ewakuację. Ale bał się, że zaalarmuje wroga, jeśli wezwanie dotrze do niewłaściwych uszu. Poza tym każde opóźnienie oddaliłoby ich od celu.

Wiele zawdzięczali młodemu doktorantowi. Gdyby nie jego ostrzeżenie, wszyscy wpadliby w zasadzkę roju.

Faraji nagle krzyknął i wskazał palcem w górę, kuląc się na siedzeniu. Po suficie kabiny nad głową Kowalskiego pełzła miękko połyskująca ćma. Gray myślał, że oczyścili pojazd, ale jeden owad umknął ich pospiesznej kontroli i teraz opadał ku czubkowi ogolonej głowy kierowcy.

Zanim zdążył wylądować, Kowalski wyjął cygaro z ust i przygniół go do sufitu tłącym się końcem. Skrzydła zatrzepotały, gdy ćma paliła się z sykiem. Kiedy przestała się ruszać, olbrzym opuścił boczną szybę i wyrzucił ją wraz z cygarem do dżungli.

– Mam nadzieję, że to była ostatnia – mruknął Kowalski. – Jeśli mam umrzeć, to nie przez jakiegoś cholernego motyla.

– Ćmę – poprawił go Benjie słabym głosem. Podjął drugą próbę zdjęcia maski, tym razem udaną. – *Holocerina angulata*, powszechnie występująca w Kongu.

Gray chciał, by biolog odpoczął, ale potrzebował jego wiedzy.

– Zakładam, że normalnie nie są jadowite – powiedział.

– Nie dorosłe – wychrypiał Benjie. – Gąsienice mają jadowe kolce, które boleśnie kłują.

– Zostałeś bardziej niż ukłuty! – krzyknął Kowalski, zmagając się z kierownicą podczas przedzierania się przez gęstwinę.

Benjie spróbował usiąść. Udało mu się to w dwóch próbach, z pomocą komandora.

– Coś musiało zmienić ten gatunek. Tak jak zmieniło mrówki koczujące. Myślałem, że te zmiany są tylko behawioralne, nie fizjologiczne.
– Spojrzał na Graya. – Coś radykalnie przemienia dżunglę.

Gray popatrzył na podskakujący za oknem ciemny las.

– Myślisz, że to wirus? – spytał.

– Nie wiem tego na pewno, ale jeśli tak, to zmierzamy w złym kierunku.

– To znaczy?

Benjie spojrział na światła reflektorów pojazdu wdzierające się w ciemność.

– Założę się, że im dalej, im bliżej źródła, tym będzie gorzej. I... – Głos mu się załamał.

Gray czuł, że Benjie coś ukrywa.

– I co? – ponaglił go.

Doktorant potarł obolały policzek.

– Mrówki, pawiany, nawet ćmy... Zmiany musiały nastąpić niedawno. Rozprzestrzeniają się na coraz większym obszarze. Tam, dokąd zmierzamy, wirus mógł być aktywny przez niezliczone tysiąclecia. Nie wiadomo, czego dokonał przez tak długi czas.

Gray poświęcił chwilę na przyswojenie jego słów.

Kowalski nie był skłonny do takich kontemplacji. Dźgnął Farajiego łokciem.

– Powiedz, że już niedaleko – rzucił.

Chłopiec popatrzył na niego, potem na komandora.

– Jesteśmy – oznajmił.

Gray przeszedł do przedniej części shatuna, by spojrzeć przez przednią szybę. Nie zobaczył niczego poza leśnymi bezdrożami, gdy wielkie koła pojazdu miażdżyły zarośla.

– Jesteś pewny? – spytał.

Faraji wskazał w bok. Gray dopiero po chwili dostrzegł wysoki do pasa kamień. Porośnięty pnączami i mchem, był prawie nie do odróżnienia od otaczającej go dżungli. Wyryto na nim prymitywnie krzyż. Po obu stronach kamienia były inne, podobne.

Nagrobki, pomyślał Gray.

Były skupione w kępie drzew o pniach znacznie cieńszych niż te dokoła. Wyobraził sobie misjonarzy wielebnego Shepparda wycinających tę połąć dżungli, żeby zrobić miejsce pod cmentarz. Tu drzewa były młodsze; musiały zagarnąć ten teren dopiero po zaprzestaniu działalności misji.

Nawet Kowalski to zauważył.

– Super, mały. Przyprawdziłeś nas na cmentarz. Wygląda mi to na zły omen.

Wcisnął pedał gazu, żeby jak najszybciej uciec z tego miejsca. Gigantyczna opona shatuna przewróciła jeden z kamieni. Po chwili zamajaczył przed nimi większy cień. Snopy reflektorów omiotły kamienną fasadę, skruszony tynk, wybite okna i porośnięty mchem blaszany dach. Z boku stał duży marmurowy krzyż, opleciony pnączami, jakby dżungla próbowała go obalić.

– Jesteśmy – powtórzył Faraji, kiwając głową.

Chociaż znacznie bardziej zniszczony, był to ten sam kościół misyjny, który widzieli na tkaninie z rafii.

Kowalski zatrzymał pojazd blisko krzyża. Drzwi zmurszały i rozpadły się dawno temu, ale światła pojazdu nie zdołały rozproszyć mroczniejszych cieni w głębi starej nawy. Kilka zaniepokojonych jasnością nietoperzy pomknęło w noc.

– Każesz nam tam wejść, no nie? – zadudnił Kowalski.

Gray wyciągnął stare fotografie. Podniósł tę chronologicznie drugą. Na zdjęciu William Sheppard modlił się wśród klęczących członków ludu Kuba. Drzewa za wielebnym – zwłaszcza dwa mahoniowce rozwidlone jak litera V – pasowały do widoku na lewo od kościoła. Gray odwrócił zdjęcie, żeby przyjrzeć się rysunkowi, który z pewnością musiał być wskazówką.



Ścisnął zdjęcie w palcach. Teraz zrozumiał. Wcześniej myślał, że szkic przedstawia wzgórze ze ścieżką prowadzącą do krzyża. Mylił się.

To nagrobek.

– Myślę, że nie musimy wchodzić do kościoła – pocieszył Kowalskiego i odwrócił się, by spojrzeć przez tylną szybę. – Ale alternatywa też ci się nie spodoba.

– A więc... – Kowalski obejrzał się, zobaczył, na co patrzy komandor, i zaklął ponuro.

– Musimy przeszukać cmentarz – potwierdził jego przypuszczenia Gray.

Godzina 21.13

Benjie deptał Grayowi po piętach. Chcieli zostawić go w pojeździe, ale odmówił. Teraz trzymał się blisko komandora i jego dużego pistoletu.

W drodze przez cmentarz świecił latarką we wszystkie strony, lustrując otaczającą ich dżunglę. Tu korony drzew nie były tak gęste jak w innych jej miejscach, ale noc pociemniała, gdy czarne chmury przesłoniły gwiazdy i księżyc. W oddali rozległ się grzmot, niczym ryk samego Konga.

Benjie nie patrzył przed siebie i wpadł na plecy Graya, który zatrzymał się, żeby obejrzeć jeden z nagrobków. Kamień stał krzywo w błotnistej glebie. Komandor zerwał pnącza i przyjrzał się granitowej powierzchni.

Młody biolog odwrócił się, żeby obejrzeć drugi nagrobek.

– Co tam widzisz? – spytał Gray.

– Nic, tylko wyryte imię i datę.

– Chodźmy dalej.

Zanim wysiedli, Gray pokazał wszystkim zygzakowaty wzór na rysunku nagrobka i teraz szukali tego symbolu. Kowalski i Faraji obejrżeli sąsiedni rząd kamieni. Wszyscy trzymali się blisko siebie, bo pamiętali, co wydarzyło się nad jeziorem.

Benjiego wciąż piekły sparzona twarz i ręka. Rozglądał się uważnie. Nękały ich chmary komarów i gryzących much. Każde ukłucie sprawiało, że wzdrygał się i zastanawiał, co mogło zostać wszczepione tutejszym

owadom. Sytuację pogarszał zapach zgnilizny i rozkładających się liści. Ale najgorsza była świadomość, że chodzą po cmentarzu.

Zadrzał, gdy wyobraził sobie stare kości pod stopami. Cisza wokół potęgowała jego zdenerwowanie, jakby nawet dżungla nie chciała zakłócić spokoju tym śpiącym. Przytłaczała go ta grobowa cisza. Inni szli zgarbieni, ostrożnie stawiając kroki, domyślił się więc, że czują to samo co on.

Otarł pot z czoła.

Po piętnastu minutach zakończyli sprawdzanie nagrobków, łącznie dwudziestu dwóch. Obejrzeni nawet ten rozjechany przez Kowalskiego. Musieli połączyć siły, żeby go odwrócić.

Gray zaciskał usta z frustracji, Kowalski miotał pioruny z oczu, a przygnębiony Faraji skrzyżował ręce na piersi. Nie znaleźli zygzaka na żadnym z nagrobków.

– Może ten, którego szukamy, zapadł się pod ziemię – odezwał się Kowalski. – Całe to miejsce wygląda, jakby tonęło w błocie.

– A może są gdzieś inne nagrobki – zasugerował Benjie. – Może powinniśmy zajrzeć za kościół.

Gray skinął głową.

– Nie mamy wyboru. Może są gdzieś w okolicy.

Olbrzym westchnął ciężko.

– To będzie jak szukanie igły w stogu zgniłego siana.

– Albo w tym przypadku – Benjie wyrysował zygzak w powietrzu – błyskawicy w stogu siana. – Jakby w odpowiedzi na jego gest zadudnił grzmot, więc szybko opuścił rękę.

– Chodźmy – rzucił Gray. – Lepiej nie zatrzymywać się zbyt długo w jednym miejscu.

Benjie, słysząc nadciągającą burzę, poparł go.

Zawrócili w stronę kościoła, ale Faraji został. Stał jak wrośnięty w ziemię, spoglądając na kamienie nagrobne.

– Co jest? – spytał go Benjie.

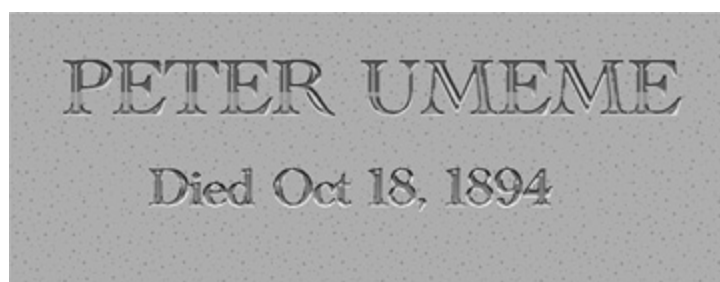
Chłopiec powtórzył jego gest.

– Błyskawica – powiedział, wciąż patrząc na cmentarz.

– I co?

Faraji wrócił między nagrobki, a Benjie ruszył za nim. Pozostali dwaj podążyli ich śladem.

Chłopiec przypatrywał się kamieniom, tym, które wcześniej sprawdzał z Kowalskim. W końcu zatrzymał się, stał z jednego mech i odsłonił napis.



Gray przeczytał inskrypcję.

– *Peter Umeme.*

Był to nagrobek członka plemienia Kuba, kogoś, kto został ochrzczony i przyjął chrześcijańskie imię, zachowując przy tym plemienne.

Faraji wskazał na napis.

– *Umeme.* – Nakreślił ręką zygzak. – Błyskawica.

Popatrzyli na siebie w milczeniu.

– Czy to znaczy, że znaleźliśmy właściwe miejsce? – zapytał Kowalski.

– Może nie powinniśmy rozkopywać czyjegoś grobu, kierując się przeczuciem.

– Musimy to zrobić – powiedział Gray.

– Skąd ta pewność? – spytał Benjie.

Gray sięgnął po składaną łopatę, którą miał na ramieniu, i rozłożył ją z trzaskiem. Wskazał nią dolną linię napisu.

– Osiemnasty października tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego czwartego. Ta sama data co na zdjęciu.

Benjie uznał, że komandor ma rację.

– Ktoś z otoczenia Shepparda musiał tu umrzeć podczas podróży – powiedział. – Może to zdjęcie z pogrzebu.

– Niewykluczone – przyznał Gray. – Ale możemy się o tym przekonać tylko w jeden sposób. – Dał znak Kowalskiemu, żeby mu pomógł. – Zaczynajmy.

Dwaj mężczyźni zabrali się do roboty. Wilgotna gleba ułatwiała kopanie. Obok pogłębiającego się dołu szybko rósł stos świeżej gliny. W końcu Kowalski wbił łopatę i usłyszeli brzęk metalu.

– Coś tam jest – mruknął.

Wybierali ziemię rękami, odsłaniając wyglądającą znajomo stalową skrzynkę, taką samą jak ta wyciągnięta z jeziora. Poruszyli ją, wyjęli i zobaczyli pod spodem grube deski. Benjie zadrżał, bo wiedział, że to trumna Petera Umeme.

Faraji musiał dojść do tego samego wniosku. Gdy Gray i Kowalski wyciągnęli skrzynkę, położył dłoń na deskach. Zaszeptał coś w ojczystej mowie; może podziękował zmarłemu za pilnowanie skarbu albo przeprosił go za zakłócenie spokoju.

A może jedno i drugie.

Benjie podszedł do dwóch mężczyzn, gdy Gray wysunął skobel i uniósł wieko.

– Co to jest? – odezwał się Kowalski.

– Wygląda na kolejny przykład rękodzieła ludu Kuba. – Gray wyjął wysokie nakrycie głowy ozdobione piórami i koralikami, obwieszane amuletami i ozdobami z kości słoniowej. – To chyba korona.

Faraji skończył modlitwę i dołączył do nich.

– Tak. Korona króla. *Sana takatifu*. Bardzo święta.

Benjie uniósł brwi.

– Ale po co zakopano ją tutaj? – spytał. – Co to może oznaczać?

Gray spojrzał pytająco na Farajiego, ale ten tylko wzruszył ramionami. Nie mogąc liczyć na pomoc chłopca, Gray obracał koronę w dłoniach. Przyjrzał się jej z wierzchu i obmacał środek palcami, szukając wskazówek.

W końcu pokręcił głową i odłożył święty przedmiot do skrzynki.

– Nie rozumiem – rzucił.

Przysiadł na piętach i pocierał podbródek; wyraźnie nie chciał się poddać. Przeniósł wzrok ze skrzynki na wykopany dół. W końcu sięgnął do kieszeni po plik zdjęć. Przełożył je i wybrał chronologicznie trzecie, kolejny „okruszek chleba” na ścieżce do Mfupa Ufalme, Królestwa Kości.

Zdjęcie przedstawiało wielebnego Shepparda stojącego w starej plemiennej wiosce.

– Faraji, nadal nie rozpoznajesz tego miejsca? – spytał.

– Nie. *Samahani*. Przepraszam.

Trudno było go winić. Wioska nie wyróżniała się niczym szczególnym. Na fotografii było tylko kilka zmurszałych słupów i zarwanych strzech. Takich opuszczonych wiosek muszą być w Kongu setki, jeśli nie tysiące.

Gray odwrócił zdjęcie, by pokazać wszystkim.



Rysunek wyglądał jak plemienny wzór nakreślony węglem, mozaika rombów i grotów strzał wokół węzła pośrodku. Benjie pomyślał, że węzeł przypomina symbol nieskończoności, nieprzerwaną pętlę.

Gray znowu spojrział na Farajiego i poprosił o pomoc, ale chłopiec wzruszył ramionami i nagle zastygł z dłońmi przy uszach. Jego oczy zrobiły się ogromne.

– Co jest? – spytał Benjie.

– *Samahani* – przeprosił Faraji, opuszczając ręce. Przeniósł wzrok z otwartego grobu na koronę, a potem na rysunek. – Powinienem wiedzieć wcześniej.

– Co wiedzieć? – poganiał go Gray.

Chłopiec wskazał romby ze strzałkami.

– To *mbul bwiin*. Wzór tylko dla *mrabaha*. – Marszczył czoło, próbując przetłumaczyć te słowa. W końcu skinął głową. – Rodzina królewska, dobrze mówię? Rodzina królewska.

Gray spojrział na koronę.

– Ten *imbol*. – Chłopiec dotknął palcem węzła na środku rysunku. – Tylko dla królów, tak. Każdy król inny *imbol*.

Benjie zaczynał rozumieć.

– Więc to jest jak imię, tak? – chciał się upewnić. – Każdy król ma własny niepowtarzalny wzór. O to ci chodziło?

Faraji skinął głową.

Gray spojrział na niego twardo.

– Rozpoznajesz ten wzór? Znasz króla, do którego należy?

– Uczymy się imion wszystkich naszych królów – odparł chłopiec, uśmiechając się z dumą. – Żeby oddać im cześć. To sławny król Kuba. Wielki bohater. Nyim Chui. Król Lampart.

Kowalski nie wyglądał na zachwyconego.

– Super! – zawołał. – Ale jak to ma nam pomóc?

Gray milczał, wpatrując się w otwarty grób.

– Sheppard nie bez powodu zakopał koronę w tym grobie – odezwał się w końcu. – A potem zostawił symbol z imieniem króla. Może próbuje wskazać nam jego grobowiec.

– Czy grób nie powinien znajdować się w wiosce plemienia? – spytał Benjie. – Daleko stąd?

Faraji pokręcił głową.

– My, Kuba, przenosimy się do wioski nowego króla. Zostawiamy stare miejsca.

Benjie próbował to sobie wyobrazić: z każdym nowym królem koczownicze plemię przenosi stolicę.

Gray odwrócił fotografię i spojrział na podupadłą wioskę.

– Czy to może być dom Króla Lamparta? – zwrócił się do chłopca. – Czy to tam twój lud zostawił jego grobowiec, zanim ruszył dalej?

Wszyscy spojrzeli na Farajiego.

– Mówiłem, że uczymy się imion naszych królów – odparł. – Bardzo z nich dumni. Śpiewamy o nich: co robią, skąd pochodzą.

– Czy to znaczy, że wiesz, gdzie jest wioska tego króla?

Faraji niepewnie pokręcił głową.

– Nigdy tam nie byłem. Ale wiem, gdzie była. – Wskazał na wschód. – W głębokiej *bonde*. Głęboka dolina.

– Musimy ruszyć na poszukiwania i mieć nadzieję, że uda nam się ją znaleźć – powiedział Gray, podnosząc się.

Kowalski spojrzał ponuro na cmentarz.

– Z cmentarza do grobowca – prychnął. – To ma sens, skoro zmierzamy do miejsca o nazwie Królestwo Kości.

– Wszyscy wsiadać – rozkazał Gray.

Pospiechali przez cmentarz do pojazdu.

Benjie odetchnął z ulgą, zostawiając za sobą ostatnie nagrobki. Z ciemności przed nimi wyłoniła się czarna sylwetka starego kościoła misyjnego. Przed nim stał pojazd na wielkich kołach – mniejszy cień przed większym.

Benjie przyspieszył, bo chciał jak najszybciej ruszyć w dalszą drogę.

Nagle długotrwałą ciszę dżungli zakłóciło wycie. Zawodzący zew brzmiał jednocześnie blisko i daleko, pełen smutku i przygnębienia. Zwierzę nie było samo.

Odpowiedział mu niosący się echem chór.

Pierwotny strach zjeżył włoski na karku Benjiego. Idący przed nim Faraji zwolnił.

– *Mbweha* – rzucił ostrzegawczo.

Benjie przed przyjazdem do Afryki nauczył się wielu słów bantu określających miejscowe zwierzęta. Zamarł, rozpoznając nazwę dzikich stadnych łowców.

Szakale.

Godzina 21.33

Gray machnął pistoletem KelTec i chwycił go oburącz. Obracając się na pięcie, przeszukiwał wzrokiem ciemny las we wszystkich kierunkach.

Kowalski przytulił policzek do kolby shurikena.

– Wsiadać – ponaglił towarzyszy.

Gdy szli w zwartej grupie, jego spojrzenie przyciągnął ruch w ciemnym wejściu do kościoła. Jakiś cień wychynął ze środka, a za nim kolejny. Zwierzęta były czarne jak smoła, z sierścią najeżoną na karkach. Miały postawione długie uszy i łypały żółtymi ślepiami. Skradały się ze szpiczastymi pyskami nisko nad ziemią, warcząc groźnie i obnażając kły.

Faraji zatrzymał się.

Benjie zrobił to samo.

– Nie strzelać – rzucił bez tchu.

Gray i Kowalski stali po bokach, z bronią skierowaną przed siebie.

– Co to? – szepnął olbrzym.

– Szakale – odparł Benjie. – Ale ogromne, dwa razy większe niż normalne.

Gray mu uwierzył. Zwierzęta przypominały wilki, ale były smuklejsze, stworzone do szybkości. Był pewien, że mogą ich dopaść w mgnieniu oka. Widział kolejne cienie sunące między drzewami. Pewnie są też za nami, pomyślał.

Oceniał, że stado liczy kilkanaście sztuk.

– Nie strzelać – powtórzył Benjie.

– Akurat – prychnął Kowalski, mocniej ściskając broń.

– Nie rób tego. I ani drgnij.

Gray zauważył, że Faraji zatrzymał się pierwszy. Chłopiec znał mieszkańców tej dżungli znacznie lepiej niż ktokolwiek z nich.

– Rób, co każe – polecił Gray Kowalskiemu. Stojąc z uniesionym pistoletem, zerknął na Benjiego. – Co dalej?

– Te zwierzęta są sprytnie i przebiegłe. I mają silny instynkt terytorialny. Pamiętajcie, że wdarliśmy się na ich teren. Mogły nas zaatakować w dowolnej chwili, ale zagroziły nam dopiero wtedy, gdy zawróciliśmy do pojazdu. Musi być ku temu jakiś powód.

Gray zdał sobie sprawę, że szakale przez cały czas musiały ukrywać się w kościele. Zachowywały ciszę, oceniając zagrożenie, obmyślając strategię, jak sobie poradzić z intruzami. Pozwoliły im odejść bez przeszkód.

Zareagowały, gdy wracając, zbliżaliśmy się do ich kryjówki, pomyślał.

Nagle z wnętrza kościoła dobiegło żłosne skomlenie.

– Szczęnięta – szepnął Benjie.

Nic dziwnego, że bronią tego miejsca.

Cienie wokół nich zbliżały się, pojawiając się i znikając w mroku. Były nieprawdopodobnie szybkie.

– Co robimy? – powtórzył Gray.

– Idziemy, bardzo wolno. Jak lodowiec – odparł drżącym głosem Benjie, ale zdołał zdusić strach na tyle, żeby wydać instrukcje. – Oddalamy się od kościoła. W stronę pojazdu. I nie patrzcie im w oczy. – Zademonstrował to, stawiając jedną stopę przed drugą. Spuszczał wzrok, idąc zgarbiony, ze zwieszonymi ramionami. – Nisko przy ziemi – szepnął. – Jak psy z podkulonym ogonem.

– Nie mam ogona – mruknął Kowalski. – Ale jaja podchodzą mi pod żołądek.

– I dobrze. Niech tam zostaną.

Szli ku otwartym tylnym drzwiom pojazdu. Chociaż stał ledwie dziesięć metrów dalej, odległość wydawała się niemożliwa do pokonania. Para szakali strażników jeżyła się przy każdym ich kroku.

Gray wstrzymał oddech, gdy jeden rzucił się w ich kierunku. Przykucnął i wycelował w zwierzę.

– Nie – szepnął Benjie.

Rozluźnienie palca na spuście wymagało od komandora całej siły woli. Dalej jednak mierzył w szakala.

Zwierzę cofnęło się, ale nie ze strachu.

– Tylko się popisuje – wyjaśnił Benjie. – To pokaz agresji. Nie zwracaj na to uwagi.

– Powiedz to moim mokrym gaciom – mruknął Kowalski.

– To może pomóc – powiedział biolog. – Popuszczanie moczu jest oznaką uległości.

Kowalski skrzywił się.

– Naprawdę zaczynam cię nienawidzić – rzucił.

Byli coraz bliżej pojazdu. Otwarte tylne drzwi zapraszały.

Już prawie.

Benjie zrobił kolejny krok i usłyszał pisk dochodzący z wnętrza kościoła. Coś małego poleciało w powietrzu, opadło na ziemię, przemknęło między szakalami i pędziło na ślepo prosto w ich stronę. To był szczeniak. Nie patrzył, dokąd biegnie, oglądając się za siebie.

Zobaczyli powód jego paniki.

Zza progu kościoła wystrzelił wielki wąż. Wijąc się, z niewiarygodną szybkością ścigał ofiarę. Był gruby jak ramię Graya.

Szczeniak potknął się o własne łapy i padł na bok, ślizgając się po mokrych liściach. Wąż zbliżał się do niego, wysoko unosząc głowę i rozkładając szkarłatny kaptur. Syknął i pokazał kły.

Kobra.

Większe szakale warczały z wściekłości, ale stały w miejscu, rozdarte w obliczu zagrożenia z dwóch stron. Z pewnością w kościele było więcej szczeniąt.

Na szczęście Kowalskiemu obce było niezdecydowanie. Jego broń ożyła z wysokim zawrotem i w powietrzu błysnęło srebro. Głowa kobry podskoczyła, gdy dwa ostre dyski odcięły ją od reszty gada, która przez chwilę tańczyła, po czym opadła na ziemię i znieruchomiała.

Szczeniak zerwał się na nogi i ze skowytami popędził do schronienia w ciemnym kościele. Przemknął między łapami dorosłych szakali i zniknął w środku.

Te jeżyły sierść i warczały, ale nie podchodziły do ludzi. Te, które czaiły się między drzewami, cofnęły się głębiej w las.

– Idziemy – ponaglił Benjie. – Nie liczcie na to, że ich łaska będzie długotrwała.

Posłuszni temu ostrzeżeniu, pokonali ostatni etap w szybszym tempie.

Gray wypuścił powietrze i zapędził wszystkich do pojazdu. Zatrzasnął tylne drzwi.

– Kowalski, jazda!

– Nie musisz powtarzać dwa razy. – Olbrzym klapnął ciężko na siedzenie kierowcy i przekręcił kluczyk w stacyjce.

Silnik shatuna zawarczał i po chwili uszy wszystkich wypełnił ogłuszający ryk. Zanim ruszyli, między reflektorami pojawił się wielki szakal. Skoczył na maskę i zaczął tłuc wielkimi łapami o przednią szybę. Pazury skrobały szkło, gdy warczał i tryskał śliną w furii.

Kowalski odwzajemnił jego spojrzenie.

– Nie ma za co, dupku!

Wrzucił wsteczny bieg i gwałtownie cofnął pojazd. Szakal spadł na ziemię i zaczął krążyć przed kościołem, wściekle machając ogonem.

Gdy Kowalski zawracał w miejscu, pozostali polecili na ścianę kołyszącej się tylnej części. Wciskając pedał gazu, ruszył na wschód.

Benjie wrócił na swoje miejsce i spojrzał w stronę kościoła. Trząśnięcie było teraz już nie z powodu jakiejś neurotoksyny, ale od skoku adrenaliny.

Gray, który doskonale znał to uczucie, poklepał go po ramieniu.

– Dobrze się spisałeś.

Młody biolog głośno przełknął ślinę.

– Miałeś to czarno na białym – powiedział. – Szanuj naturę, a ona dołoży wszelkich starań, by odwdzińczyć ci się tym samym.

Usłyszał to również Kowalski.

– Chyba że cię wcześniej pożre – rzucił.

Gray patrzył w ciemność za światłami reflektorów. Teraz cały świat składał się tylko z dżungli. Przywiodła mu na myśl słowa Tennysona, że przyroda jest *czerwona od kłów i pazurów*.

Dumając nad tym, wyobraził sobie szakale chroniące młode. Wiedział, że te zwierzęta łączą się w pary na całe życie i potrafią współpracować.

Wyglądało na to, że Benjie wie o przyrodzie więcej niż Tennyson.

Gray postanowił wziąć to sobie do serca.

Zwłaszcza że uratował nam życie.

Ale pamiętał także ostrzeżenie młodego biologa przed tą dżunglą, sercem Konga, przed zachodzącymi tu zmianami.

Im dalej, tym będzie gorzej.

CZEŚĆ CZWARTA



19

Okręg górniczy Katwa, Demokratyczna Republika Konga

24 kwietnia, godzina 21.35 czasu miejscowego

Tucker kierował ślizgacz w dół ciemnej rzeki. Gwiazdy i księżyc były przesłonięte wałem chmur. Mimo mroku nie włączył świateł. Na szczęście gogle zapewniały mu dość dobry widok na rzekę.

Nie zwalniając, gładko wymijał pływające pnie i inne przeszkody. Błyskawice wyglądały w goglach jak rozbłyśki słońca.

Ciemna noc zapewniała osłonę, ale zdradzał ich ryk silnika. Tucker modlił się, by rozchodzące się dokoła echa dźwięku uniemożliwiły ustalenie ich pozycji, przynajmniej przez jakiś czas.

– Udało się?! – krzyknął.

Monk próbował przez jego radio wywołać Ndayego, który czekał w śmigłowcu.

– Tylko zakłócenia – odparł.

Tucker przeklął bezgłośnie. Telefon satelitarny też już wypróbowali. Łączność nadal była zagłuszana. Najwyraźniej człowiek, który kazał odciąć od świata tę część Konga, miał do dyspozycji nieograniczone środki finansowe, a także dostęp do najnowocześniejszego sprzętu. O czym zresztą świadczyły bataliony robotów Q-UGV patrolujących wyspę.

– Co jest, do cholery?! – wrzasnął z dziobu Frank, który nieco wcześniej postawił zdobyczny CKM na dwójnogu i skierował lufę do

przodu. – Powinniśmy już być poza zasięgiem wieży zakłócającej na wyspie.

– De Coster musi mieć w dżungli inne wieże. – Monk z rezygnacją opuścił telefon.

– Nie wątpię – odezwała się Charlotte. Siedziała na rufie z Cortem i Kainem. – Ten drań nie szczędzi pieniędzy na swoje zabawki.

Tucker zacisnął zęby. Przeszukiwał wzrokiem brzegi, wypatrując wież, ale nie zobaczył ani jednej. Podejrzewał, że De Coster ukrywał to, co się tu działo, nie tylko przez zagłuszanie. Musiał posmarować tysiące rąk, by zachęcić władze do przymyknięcia oczu na jego działalność. Tucker spojrzał naprzód. Zbliżali się do osiedla górniczego. Od chmur odbijał się blask świateł, z grubsza wyznaczając położenie kopalni w dżungli.

Jeszcze kilkaset metrów.

Zamierzał minąć osadę bez zwalniania. Spojrzał na wskaźnik paliwa. Ślizgacz pożerał benzynę w zawrotnym tempie. Tucker mimo to nie przymknął przepustnicy. Jeśli zwolni, narazi wszystkich na niebezpieczeństwo. Przyjrzał się rzece i ściał ostry zakręt. Zaraz potem usłyszał gwizd i wprost przed nimi świat eksplodował świetlistym blaskiem. Gogle wzmocniły efekt, oślepiając Tuckera. Wciągnął powietrze przez zęby i odruchowo zwolnił. Wyłączył w goglach tryb noktowizyjny. Mrugał, przepędzając resztki jaskrawego blasku. Świat ściemniał, ale nie przed dziobem łodzi.

Rzekę przegradzała linia jasnych świateł. Pomyślał, że to zapora, gdy jednak blask przygasł, zobaczył barki o stalowych kadłubach.

– Zawracaj! – wrzasnął Frank.

Tucker skręcił, kładąc łódź na sterburcie. Padły strzały. Pociski burzyły wodę wokół nich. Sterował tak, by łódź zygzakowała, żeby stanowiła

trudniejszy cel w ciemności. Próbował zawrócić, ale płynęli ze zbyt dużą prędkością. Prąd niósł ich w stronę blasku reflektorów.

Terkot karabinu maszynowego wstrząsał ślizgaczem, kiedy Frank puścił serię z dziobu w stronę barek. Lampy na ich pokładach pękały i gasły jedna po drugiej.

Tucker wypatrzył lukę między barkami, uznał, że może być wystarczająco szeroka dla ślizgacza, i zrezygnował z prób zawrócenia. Dokąd zresztą miałoby popłynąć? Z powrotem na wyspę?

Mknął prosto ku barkom.

– Trzymać się! – ryknął i otworzył przepustnicę do oporu. Łódź przyspieszyła.

Nad rzeką przetoczyła się salwa. Kilka pocisków trafiło w dziób, ale Frank nie opuścił posterunku i odpowiedział ogniem.

Wytrzymaj jeszcze trochę, pomyślał Tucker, gdy barki przed nimi stawały się coraz większe.

Nagle dostrzegł coś dziwnego. Zza barek wzniosła się oświetlona maszyna i z rykiem silników szybko wzbiła się w niebo. Był to śmigłowiec, prawdopodobnie ten, który wcześniej odleciał z wyspy. Z hukiem przemknął nad blokadą i opuszczał się w stronę ślizgacza.

Spod kadłuba bluznęły płomienie.

– Rakiety! – wrzasnął Frank.

Tucker zaklął i mocno szarpnął kołem sterowym. Łódź skrzyła gwałtownie i odbiła się od wody jak puszczone kaczką. Po lewej stronie rzeka eksplodowała i wysoko w powietrze wzbił się ogromny gejzer. Druga rakietka wybuchła za rufą ślizgacza.

Odzyskawszy kontrolę nad łodzią, Tucker zaczął oddalać się od barek. Śmigłowiec wykonał zwrot i teraz stanowili dla niego idealny cel.

Monk szarpnął Tuckera za rękaw i wskazał ręką w stronę brzegu.

Ten z początku nie rozumiał, o co mu chodzi. Dopiero po chwili dostrzegł przerwę w murze dżungli, oznaczającą ujście dopływu rzeki. Nie wiedział, dokąd dopływ prowadzi, ale nie miał wyjścia. Skręcił, nie zwalniając. Muszą dostać się pod osłonę koron drzew.

Śmigłowiec znowu zawrócił i leciał za nimi.

Tucker pochylił się nisko nad kołem sterowym.

Dawaj! – popędzał w duchu łódź.

Ślizgacz mknął po wodzie, od czasu do czasu wzbijając się w powietrze.

Tucker musiał dobrze manewrować, by przy tej szybkości wpłynąć w wąski dopływ, ale udało się; już po chwili zamknął się nad nimi baldachim koron i natychmiast zrobiło się ciemno. Przełączył gogle z powrotem na tryb noktowizyjny. W samą porę, bo przed nimi był ostry zakręt. Żeby go pokonać, musiał położyć ślizgacz na burcie. Smagneły ich gałęzie i ponownie się udało. Odetchnął z ulgą. Miał wrażenie, że serce wyskoczy mu z piersi. Chciał przyspieszyć, ale dopływ się zwęzał. O stępkę zachrobotowały kamienie.

Nie zwolni, nie z myśliwym w powietrzu.

Zwłaszcza że woda za rufą wzbiła się, gdy uderzył w nią pocisk.

Ślizgacz wpadł na niewidoczny głaz. Wystrzelił wysoko, przechylił się w powietrzu i jak włócznia wbił się w las. Przemknął między wielkimi drzewami i z trzaskiem runął w zarośla. Wszyscy polecili do przodu.

Gdy łódź znieruchomiała, silnik zakasłał i zgasł.

Monk podniósł się pierwszy.

– Wysiadać! – zawołał. – Już! Uciekać z łodzi!

Tucker rozumiał, skąd ten pośpiech. Śmigłowiec z pewnością miał czujniki termiczne, a w mroku pod baldachimem koron gorący silnik świecił jak czerwony węgiel.

– Pomóżcie mi – wysapała Charlotte.

Odwróciwszy się, Tucker zobaczył, że kobieta próbuje podnieść Corta, który przyciskał złamaną rękę do piersi. Wyciągnął oboje za burtę, po czym, łącząc siły z Charlotte, pomógł oszołomionemu i jęczącemu pediatrze oddalić się od łodzi.

Za nimi Frank usiłował podźwignąć karabin maszynowy.

– Zostaw go! – wrzasnął Monk. – Jest za duży, by wlec go przez dżunglę.

Wirusolog przyznał mu rację i zeskoczył z dziobu.

Po chwili dołączyli do pozostałych i razem oddalili się z miejsca wypadku. Zdążyli przejść ledwie dwadzieścia metrów, gdy usłyszeli świst i eksplozję za plecami. Płomienie wystrzeliły wysoko w niebo. Uderzyła w nich ściana gorąca, a ogłuszający wstrząs pchnął ich wszystkich do przodu.

Biegli, nie oglądając się na płonący wrak łodzi.

Tucker miał nadzieję, że w tej fali gorąca czujniki temperatury ich nie wykryją, przynajmniej dopóki nie dotrą do głębszych partii dżungli. Na szczęście noc była gorąca i wilgotna, co też powinno ich maskować. Wiedział jednak, że wkrótce myśliwi opadną z helikoptera do tych lasów.

– Dokąd idziemy? – zapytała Charlotte.

Do głowy przyszła mu tylko jedna odpowiedź:

– Za mną.

Godzina 21.55

Ze wzniesienia w dżungli Monk wypatrzył blask świateł. Przykucnął razem z innymi. Z dali dobiegał pomruk ciężkich maszyn i rytmiczny mechaniczny hurkot.

Tucker wyjaśnił, dlaczego przyprowadził ich na przedmieścia górniczej osady.

– Nie możemy ciągle biec na oślep przez dżunglę. Nie wiemy, jak daleko sięga zagłuszany teren ani w jakim kierunku powinniśmy iść. Mamy niewiele czasu. Wkrótce zacznie nas szukać armia ludzi. Im dłużej będziemy czekać, tym mniejsze nasze szanse.

– I na pewno nie będą się spodziewać, że wejdziemy do tej miejsciny – dodał Frank.

Tucker skinął głową.

– Tylko tam możemy liczyć na nawiązanie kontaktu ze światem zewnętrznym. W osadzie musi być centrala łączności, radio pracujące na zakodowanej częstotliwości, która przebija się przez zagłuszanie. A teraz, gdy wróg jest skupiony na poszukiwaniu nas tutaj...

Monk skinął głową.

– ...mamy największe szanse, by dotrzeć do tego radia – zakończył za niego.

– My, czyli Frank i ja – uściślił Tucker.

Monk spojrzał na nich ostro.

– Chwileczkę...

– Bez urazy, ale masz jedną rękę mniej. – Tucker wskazał głową Charlotte, która siedziała z Cortem, próbując kawałkiem gałęzi usztywnić złamaną rękę kolegi. – Ktoś musi zostać i czuwać nad innymi.

Monk nie cierpiał być spychany na boczny tor, ale musiał przyznać mu rację.

– Zostawię ci Kaina – dodał Tucker. – W osadzie przyciągałby uwagę. Poza tym ostrzeże cię, gdyby ktoś się zbliżał, a ja będę was miał na oku dzięki jego kamerze. – Otworzył plecak i wyjął małą klawiaturę cyfrową oraz słuchawkę. Podał jedno i drugie Monkowi. – To mój stary sprzęt.

Używałem go, zanim DARPA dała mi nowszy model. Ty też będziesz mógł korzystać z oczu i uszu Kaina. Sprzęt umożliwi nam kontakt radiowy. Będę cię informować na bieżąco.

Monk wsunął słuchawkę do ucha.

– Pod warunkiem że się zbytnio nie oddalisz.

– Racja. – Tucker potarł podbródek i spojrzał na światła osady. – Zwłaszcza że tam sygnał zagłuszający może być silniejszy. – Szybko pokazał, jak korzystać ze sprzętu Kaina, po czym ruszył z Frankiem przez dżunglę.

Monk patrzył, jak zbiegają w dół zbocza, zmierzając do opustoszałej części osady. Gdy zniknęli mu z oczu, spojrzał na dwoje lekarzy. Trzymał pistolet, który zabrał Ekonowi.

Cort siedział oparty o pień drzewa. Miał na wpół przymknięte oczy i przyciskał do piersi usztywnioną rękę. Obok niego Charlotte patrzyła na cyfrowy transceiver połączony z radiem i kamerą psa.

– Niesamowite – mruknęła.

Monk wysłał Kaina do patrolowania najbliższej okolicy. Pracował już z nim i wierzył, że owczarek będzie osłaniać ich tyły. Mimo to sam nasłuchiwał kroków. Spojrzał na niebo w poszukiwaniu śmigłowca. Słyszał warkot silnika, raz głośniejszy, raz cichszy, ale akustyka dżungli utrudniała określenie dokładnej pozycji.

Kiedy po raz kolejny uniósł wzrok, usłyszał cichy szelest gałęzi i liści, a zaraz potem trzepot skrzydeł. Zmrużył oczy, lecz nie wykrył źródła hałasu. Po kilku sekundach uznał, że sprawca czy sprawcy hałasu przeszli dalej.

Drgnął, gdy w górniczej osadzie zabrzmiał ostry gwizd.

Charlotte wstała i podeszła do niego.

– Co tam się dzieje? – spytała.

Powoli pokręcił głową, obawiając się, że Tucker i Frank zostali wykryci.

– Nie... – zaczął, ale nie dokończył, bo zawyła syrena. Jej początkowe niskie tony szybko przeszły w przenikliwe zawodzenie.

Charlotte i Monk wymienili zatroskane spojrzenia. Kain wrócił, zjeżony, z wysoko postawionymi uszami. Dżungla wokół nich rozbłysła. Trzy osoby się skuliły, a pies zniknął w głębszym cieniu. Baldachim liści zadygotał i sekundę po tym zobaczyli światła i usłyszeli huk.

To był śmigłowiec.

Gdy maszyna szybko opadała, Monk spojrzał na miasto.

– Coś się stało – powiedziała Charlotte.

Sam wiedział, że coś się stało.

Ale co?

Godzina 22.14

Frank ukrywał się z Tuckerem w cieniu dużego traktora. Obaj mieli górnicze hełmy i ubłocone kombinezony, które zwinęli z pustego baraku na obrzeżach osady, bo uznali, że lepiej upodobnić się do tutejszych.

Gdy świsnęły gwizdki parowe, natychmiast poszukali schronienia; woleli nie wychylać się, dopóki nie poznają przyczyny alarmu.

Chwilę później ryk syreny przyspieszył Frankowi bicie serca. Co się tu dzieje, do cholery? – zastanawiał się.

Dopiero gdy Tucker chwycił go za ramię i wskazał na niebo, Frank zobaczył śmigłowiec przelatujący nad osadą, a potem schodzący do lądowania przy skupisku budynków na skraju kopalni odkrywkowej.

Te budynki od początku były ich celem. Jeśli w miasteczku jest węzeł łączności, to na pewno tam.

Osada wyglądała na budowaną bez ładu i składu w miarę rozwoju kopalni. Robotnicy mieszkali w szopach z blachy falistej, przerdzewiałej, jakby sama natura próbowała zniszczyć to miejsce. I może tak było.

W powietrzu gęstym i ciemnym od dymu unosił się smród ścieków i toksycznych wyziewów. Źródło tego było oczywiste. Oświetlony dół kopalni odkrywkowej był ciemną blizną ciągnącą się daleko w dżunglę. Kilka ogromnych spycharek jechało ociężale po tarasach wyciętych w jego zboczu. Blżej wznosiły się hałdy odpadów poeksploatacyjnych i nadkładu, zapewne od dziesięcioleci wystawione na działanie deszczu, który wypłukiwał metale ciężkie do zielonych sadzawek wyglądających na toksyczne. Nawet światło wydawało się tu toksyczne. Blask raził oczy Franka, może dlatego, że długi czas spędził na ciemnej rzece i pod baldachimem dżungli.

– Podejźmy bliżej – powiedział Tucker, gdy śmigłowiec zniknął z pola widzenia gdzieś na terenie części administracyjnej kopalni.

Frank skinął głową. Zanim zdążyli się ruszyć, syrena nagle umilkła.

– Jak myślisz, o co tu chodziło? – zapytał.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć – odparł Tucker i ruszył pierwszy między rzędami ciężkiego sprzętu zaparkowanego w ciemnym zakątku osady. Maszyny górowały nad nimi, zapewniając im osłonę w drodze do centrum operacyjnego kopalni. W przeciwieństwie do zabudowań dobrze utrzymane ładowarki, koparki i wiertnice wyglądały nieskazitelnie. Nie powinno to dziwić, bo z pewnością maszyny były tu najkosztowniejsze.

Robotnicy byli najtańsi... i najłatwiejsi do zastąpienia. Frank skrzywił się z niesmakiem, gdy wyszli spomiędzy ciężkiego sprzętu.

Przed nimi rozciągał się pas chat, szałasów i otwartych latryn.

I już było wiadomo, jak De Coster zbił majątek: wyciskał pieniądze z potu i krwi miejscowej ludności.

Frank zdawał sobie jednak sprawę, że taki jest świat. Ci u władzy zbyt często wykorzystują najtańszą siłę roboczą, zwykle ludzi należących do najbiedniejszych grup społeczeństwa albo tych o innym odcieniu skóry.

Tucker zatrzymał się obok wywrotki.

– Gdzie są wszyscy? – rzucił.

Jego przyjaciel ocknął się z zadumy. Nie zwrócił uwagi na brak robotników głównie dlatego, że do tej pory szli przez opuszczoną część osady. Ta przed nimi wyglądała na zamieszkaną. Wzdłuż ciemnych ulic paliły się ogniska. Rozbrzmiewała muzyka. Ale dostrzegł tylko kilka postaci, które przemknęły pod lampami i szybko roztopiły się w ciemności albo zniknęły w chatach.

Zatrzymały się nawet spychacze w dalekiej kopalni.

– Syrena – szepnął Frank. – Może to był sygnał nakazujący zamknięcie się w domach.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Może podejrzewają, że spróbujemy się tu zakraść, i chcą usunąć wszystkich z ulic, by ułatwić patrolowanie osady. – Frank wskazał jaśniej oświetlone centrum administracyjne. – Patrz.

Wokół skupiska budynków panowało poruszenie. Żołnierze w czarnych kamizelkach kuloodpornych zajmowali pozycje. Reflektory omiatały niebo, oświetlając niskie ciemne chmury.

– Może masz rację – przyznał Tucker. – Jak się tam dostaniemy?

– Podejźmy bliżej. Coś wymyślimy. Zresztą nie mamy wyboru.

Tucker pierwszy wszedł między nędzne robotnicze baraki. Obaj starali się ukrywać twarze pod kaskami, zwłaszcza on, bo Frank mógł uchodzić za miejscowego. Położył dłoń na pistolecie Desert Eagle. Frank miał na

biodrze szwajcarskiego sphinxa S3000, którego Charlotte zabrała na wyspie martwemu żołnierzowi.

Z jednego z baraków dobiegał szmer głosów i Tucker zrobił krok w bok, niemal odskakując od ściany. Ktoś zakasłał. Ale to nie obecność ludzi go zaskoczyła.

Na błotnistej ulicy leżało ciało, twarzą do ziemi. Frank minął je pospiesznie, oglądając się za siebie.

Idąc dalej przez labirynt alejek, zobaczyli kolejne ciało. Zdecydowanie działo się tu coś niedobrego. Frank przystanął na chwilę, by unieść bezwładną rękę martwego mężczyzny. Jeszcze nie doszło do stężenia pośmiertnego. Zwłoki były ciepłe. Śmierć musiała nastąpić niedawno. Wyprostował się z drżeniem.

Przyjaciel syknął, dając mu znak, żeby się pospieszył, a gdy Frank ruszył za nim, Tucker zatrzymał się na rogu i przywołał go gestem.

Frank, podchodząc, wstrzymywał oddech.

Zobaczył niewielki plac. Z boku stał zimny ceglany piec. W rozproszonych czarnych beczkach po ropie coś się tliło. Na środku placu leżały rzędy zwłok okrytych płachtami, spod których wystawały buty.

Kilkanaście martwych ciał.

Obok wznosiły się kopczyki, ułożone z kamieni i ozdobione osobistymi drobiazgami. Paliło się kilka świeczek, a po innych zostały kałuże wosku. To wskazywało, że ciała leżą tu co najmniej dzień. Cokolwiek tu zaszło, wydarzyło się w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Ale co to było?

Tucker wszedł na plac i trzymał się jego skraju, ale Frank ruszył w stronę zwłok.

– Co robisz?

– Chcę wiedzieć, co się stało – odparł Frank. – To może być ważne.

Przyjaciół skłął go, ale ruszył za nim.

– Pospiesz się – rzucił.

Frank odrzucił jedną z płacht i poczuł znajomą woń, intensywną i dławiącą. W powietrze z wściekłym bzyczeniem wzbiła się chmara much. Machnął ręką i przyjrzał się dwóm ciałom. Leżały na wznak, z rękami skrzyżowanymi na piersi.

Nie zauważył ran postrzałowych, śladów egzekucji czy gwałtownego ataku. Opadł na kolano obok bliższych zwłok i przyjrzał się rozległej ranie na szyi i policzku mężczyzny. Skóra i mięśnie wyglądały jak rozpuszczone. Przez martwiczą tkankę prześwitywała kość.

– Co to było? – odezwał się Tucker.

– Substancje toksyczne.

– Jakież?

Frank pokręcił głową. Drugie ciało miało podobne obrażenia, tyle że na ramieniu. Ręka wyglądała tak, jakby ktoś zanurzył ją w kwasie. Podniósł ją ostrożnie i dokładnie obejrzał. Mężczyzna miał na sobie brudną koszulkę i bokserki, jakby zmarł w łóżku i został tu przyniesiony. A to by potwierdzało, że do tych zgonów doszło ubiegłej nocy, choć ci, których minęli na ulicy, zmarli niedawno, nie wcześniej niż godzinę temu.

– Potrzebuję więcej światła – powiedział Frank.

Tucker wyjął latarkę i osłonił ją ręką, żeby nie zdradził ich blask.

Dokładniejsze oględziny ujawniły, że rozpuszczona tkanka jest przy głównych naczyniach krwionośnych. Frank prześledził rozgałęziające się linie wzdłuż ręki zmarłego aż do źródła. Odsunął rękaw koszulki i odsłonił dwa głębokie nakłucia na ramieniu. Przyjrzał im się uważnie.

To niemożliwe, pomyślał, rozpoznając te ślady. Opatrywał dziesiątki takich ranek na własnym ciele. Ale następstwa tych były zupełnie inne.

Wyobraził sobie, jak nekrotyczna toksyna wypływa z tych nakłuć i przemieszcza się naczyniami krwionośnymi, paląc i rozpuszczając tkanki.

– Co to jest? – zapytał Tucker.

Oszołomiony odkryciem Frank podniósł się bez słowa. Spojrzał na chmury. Głęboko w ich wnętrzu rozbłysła błyskawica. W jej blasku dostrzegł ruch pod chmurami. Po niebie płynęła ciemna rzeka.

Skierował wzrok ku centrum operacyjnemu. Znajdujące się tam reflektory były skierowane w górę. Pod chmurami wirowało mnóstwo cieni. W tym momencie Frank zrozumiał, przed czym ostrzegały syreny i dlaczego osada wygląda na wyludnioną.

Tucker też patrzył na płynącą po niebie rzekę.

– Co to jest? – rzucił.

– Nietoperze.

Godzina 22.31

Charlotte siedziała oparta o pień palmy. Wpatrywała się w ekran, na którym wyświetlał się obraz z kamery Kaina. Pies skradał się przez las, powoli zataczając łuk. Monk szedł po tym samym łuku, ale w drugą stronę. Pełniąc straż, przyglądał się leżącej w dole górniczej osadzie.

Wszyscy mieli napięte nerwy, zwłaszcza po tym, jak nagle ucichła syrena.

Cort wstał, obejmując usztywnioną rękę; jego oczy szklily się z bólu. Tucker przed odejściem dał mu dwie tabletki oksykodonu z małej apteczki w żołnierskiej torbie, ale tylko trochę złagodziły cierpienie pediatry.

– Jakieś wieści od Tuckera? – zapytała Charlotte, gdy wrócił Monk.

Pokręcił głową.

– Nie, odkąd dotarli na obrzeża osady. Cisza w eterze. Tucker miał rację: sygnał zagłuszający jest tam silniejszy.

Charlotte miała podobne podejrzenia, ponieważ obraz z kamery Kaina zacinał się na ekranie.

– Więc co robimy? – spytał Cort.

– Czekamy – odparł Monk, wzruszając ramionami. – Nic więcej nie możemy zrobić.

Lekarz zmarszczył czoło.

– Powinniśmy byli zostać na wyspie – powiedział. – Ucieczka niewiele nam dała.

Charlotte nie mogła temu zaprzeczyć. Wyobraziła sobie Disankę i jej syna. Wciąż dręczyło ją poczucie winy, że ich porzuciła. I co to dało?

Czekali w mroku, pogrążeni w myślach. Cort usiadł i ponuro opuścił głowę, Charlotte oparła się o drzewo, a Monk wrócił na patrol.

Obserwowała poczynania Kaina, jedynej istoty tutaj nieświadomej porażki. Jego determinacja dodała jej otuchy. Czowała się niemal tak, jakby szła obok niego, i to pomogło jej wyostrzyć zmysły.

Usłyszała nad głową cichy szelest liści i lekki stukot gałęzi. Spojrzała w górę, przypuszczając, że ich obecność zaniepokoiła ptaka w gnieździe, i zobaczyła migotanie. Blask jaśniał i przygasał, jakby w rytmie bijącego serca. Z początku myślała, że to złudzenie albo błyskawica wysoko nad gęstymi koronami drzew. Po chwili jednak miała już pewność, że to ani nie błyskawica, ani nie omamy.

Ale co w takim razie?

Przestraszyła się, gdy zobaczyła biegnącego Monka, który trzymał dłoń za uchem.

– Kain warczy – szepnął.

Wyprostowała się i podniosła urządzenie, żeby oboje mogli spojrzeć na mały ekran. Obraz wyglądał jak zamrożony – może przekaz znowu się zaciął – ale nagle poruszył się liść paproci. Domyśliła się, że pies zatrzymał się i zastygł w bezruchu. Zmrużyła oczy i próbowała zobaczyć, co go tak zdenerwowało.

Monk nacisnął przycisk z boku obudowy urządzenia i widok z kamery rozpląnął się w odcieniach zieleni. Noktowizor. Zobaczyli rozmyte postacie idące ostrożnie przez dżunglę. Siedem sylwetek.

– Wstawaj – zwrócił się Monk do Corta. Postukał w mikrofon przyklejony taśmą do szyi. – POWRÓT – przykazał przez radio Kainowi.

Patrzyli, jak pies się wycofuje, prawie nie poruszając liści.

Postacie roztapiały się w ciemności, gdy Kain się od nich oddalał, ale patrol zmierzał w ich stronę. Pytanie tylko, czy ci mężczyźni wiedzieli, że oni tu są. Może po prostu myśliwym dopisało szczęście: szli do osady, a oni tylko znaleźli się na ich drodze.

Tak czy inaczej, nie mogą tu zostać.

Monk wskazał za siebie.

– Do osady – szepnął. – Tam będzie więcej kryjówek. Miejmy nadzieję, że uda nam się nawiązać kontakt radiowy z Tuckerem.

Gdy przybiegł Kain, Charlotte spostrzegła, że pies kieruje błyszczące oczy w górę, patrząc w korony drzew.

– W drogę – popędził towarzyszy Monk.

Znów usłyszała ten dziwny szelest. Coś wzleciało w powietrze. Dostrzegła smugę miękkiego migotliwego blasku. Zignorowała to i pospieszyła za pozostałymi. Starając się nie robić hałasu, schodzili ze zbocza w stronę światła osady.

Monk wiedział, którądy Tucker i Frank do niej weszli, i zamierzał pójść tą samą drogą. Dotarli do stóp wzniesienia i ostrożnie zbliżali się do skraju

lasu. Patrol za nimi nie podniósł alarmu, więc założyli, że nie zostali wykryci.

Charlotte spojrzała między liśćmi na zardzewiały blaszany barak. Długi i niski, mógł być częścią dawnych koszar. Wydawał się ciemny i opuszczony. Cała ta część osady przypominała spowity mrokiem labirynt.

Zdecydowanie dobre miejsce na ukrycie się, przemknęło jej przez głowę.

Monk pomyślał to samo.

– Wejdziemy w głąb i znajdziemy jakąś kryjówkę – szepnął i z Kainem u boku poprowadził dwójkę lekarzy.

Charlotte trzymała się blisko Corta, który włókł się, oszołomiony przez ból i leki.

Dotarli bezpiecznie do labiryntu ciemnych chat.

Monk zatrzymał się i uniósł dłoń do ucha. Marszczył brwi, wyęzając słuch. W końcu opuścił rękę i odwrócił się. Nawet w cieniu jego oczy były ogromne.

– Co się stało? – zapytała Charlotte.

– Odebrałem zniekształconą transmisję od Tuckera. Urwała się. Usłyszałem tylko kilka słów.

– Co powiedział? – odezwał się Cort. Wyglądał tak, jakby zaraz miał zemdleć.

– Ostrzegł nas – odparł Monk.

– Przed czym?

– Powiedział, że – Monk rozejrzał się – cokolwiek będzie się działo, mamy nie wchodzić do osady.

Godzina 22.48

Kucając, Tucker czekał na odpowiedź Monka. W końcu pokręcił głową, wyraźnie sfrustrowany.

– Odebrali twoją wiadomość? – zapytał Frank.

– Nie wiem. Ale moje radio jest nowsze, mocniejsze niż to, które im zostawiłem. Może usłyszeli, ale nie mogli odpowiedzieć.

– Nie pozostaje nam nic innego, niż mieć nadzieję, że wiadomość do nich dotarła. – Frank machnął ręką. – Idziemy.

Ruszyli między walącymi się chatami, zmierzając w stronę skupiska murowanych budynków.

Tucker obserwował niebo. Widoczne w blasku błyskawic stada nietoperzy sunęły pod ciemnymi chmurami. Snopy świateł z dalszej części osady omiatały niebo. Patrzcie w górę, mówił w duchu wrogom.

Obaj mieli nadzieję, że zagrożenie z powietrza pomoże im dostać się do centrum dowodzenia. Gdy wszyscy będą patrzeć w górę, oni będą mieć większe szanse na to, by zakraść się do węzła łączności.

Tucker kulił się i przesunął kask w taki sposób, żeby osłaniał mu kark. Wciąż miał przed oczami stopione tkanki i łuszczącą się skórę martwych ludzi.

Frank opowiedział mu o gepardzie na wyspie, o jego jądzie w pazurach. Dodał, że ślina niektórych gatunków nietoperzy zawiera substancje przeciwzkrzepowe, wywołujące krwawienie po ukąszeniu. Inne mają enzymy paraliżujące, które znieczulają ofiarę. Najwyraźniej mutagenny wirus wyposażył te nietoperze w jakiś enzym nekrotyczny, który działał w żyłach jak kwas, jak toksyna w jądzie mamby i kobry, tylko o wiele silniejszy.

Na szczęście na razie trzymały się nieba. I niech tak zostanie, pomyślał Frank.

Jego przyjaciel podkraść się do ostatniej chaty i znieruchomił w jej cieniu. Przed nim wznosiło się skupisko wielopiętrowych budynków otoczonych trzymetrowym murem ze zwojami drutu kolczastego na szczycie. Tu i ówdzie stały osłonięte grubymi płytami stalowe rusztowania i wieże strażnicze wyposażone w rosyjskie CKM-y.

Frank spojrział na nie łakomie.

Tucker tylko się skrzywił, uznał bowiem, że De Coster dogadał się z ruskimi i kupił je hurtem.

Wieże strażnicze były połączone kładkami, które patrolowali żołnierze w kamizelkach kuloodpornych, uzbrojeni w karabiny FN FAL. Za murem krążyły trzy ciężarówki z karabinami maszynowymi zamontowanymi na skrzyniach.

Tucker spojrział na Franka spod uniesionych brwi, jakby chciał powiedzieć: „Niełatwo będzie zdobyć ten zamek”.

Na szczęście – albo nieszczęście – nie przybyli tu sami. Lufy karabinów maszynowych, tych na wieżach i na ciężarówkach, były skierowane w górę. Wszyscy żołnierze zadzierali głowy.

Tucker cofnął się i przywołał przyjaciela.

– Jakież pomysły? – spytał.

Zanim Frank zdążył odpowiedzieć, z góry dobiegło piskliwe zawodzenie. Zaczęło się niskim tonem, bardziej odczuwalne niż słyszalne; powodowało mrowienie w uszach, swędzenie skóry głowy. Potem szybko nabrało siły i przewiercało czaszkę, stawiało uszy w ogniu. Tucker przycisnął do nich ręce, ale niewiele to dało. Miał wrażenie, że zaraz pękną mu bębni.

Biorąc udział w dwóch wojnach, miał okazję zaznajomić się ze środkami stosowanymi przez wojsko do tłumienia zamieszek, z bronią akustyczną, która wysyła fale ultradźwiękowe, by nie zabijać, tylko

sprawiać ból i obezwładniać. Ten hałas był gorszy. Wydobywał się z tysięcy maleńkich gardeł i spadał na ludzi.

Frank skulił się, patrząc w niebo. Najwyraźniej nietoperze z tej kolonii zyskały coś więcej niż tylko enzym nekrotyczny.

Tucker spostrzegł jeszcze jedną osobliwość: ciemne stado rozbłysnęło jasnymi plamami i smugami, jakby się komunikowało, sygnalizowało ostrzeżenia.

Wstrzymał oddech.

Obaj podejrzewali, że osada została ubiegłej nocy zaatakowana. Może nietoperze próbowały wypędzić intruzów, gwałcicieli świata przyrody. Przypomniawszy sobie, jak Benjie opisywał przeludniony obóz ONZ-etu z otwartymi ściekami i coraz liczniejszymi przypadkami cholery. Czy mrówki i pawiany zaatakowały obóz z tego samego powodu?

Tucker spojrzawszy na kopalnię odkrywkową, na opary pyłu węglowego i toksyczne bajora.

Tu gwałcenie przyrody jest z pewnością o wiele gorsze.

Gdy atak ultradźwiękowy nieco osłabł, Frank wskazał nietoperze i zawołał do obolałego ucha przyjaciela:

– Próbują nas zastraszyć!

– Z powodzeniem.

Frank uniósł wzrok.

– Niebezpieczne zwierzęta, zwłaszcza jadowite, wolą cię odstraszyć, niż zabijać – wyjaśnił. – Używają do tego barw i dźwięków. Węże koralowe mają jaskrawe paski, grzechotniki ostrzegawcze grzechotki.

Tucker skrzywił się, bo ultradźwięki wciąż atakowały jego uszy. Może powinniśmy wszyscy posłuchać tego ostrzeżenia, pomyślał.

Niestety, żołnierze w osadzie byli innego zdania.

Wzdłuż murów wybuchło staccato wystrzałów z broni ręcznej. Karabiny maszynowe terkotały, posyłając w górę jasne linie pocisków smugowych. Kawalek dalej w niebo wzbijały się strumienie ognia.

Wyzwanie nie przeszło niezauważone.

Nietoperze nagle ucichły. Skończył się czas ostrzeżeń.

Bezszelestnie opadły na osadę.

Godzina 23.04

Nolan De Coster przysunął się do monitora.

– Jak wygląda sytuacja w Katwie, kapitanie?

Draper, z hełmem z kevlaru na głowie, pochylał się przed kamerą w biurze kopalni. Jego zaczerwieniona twarz lśniła od potu. Nie bał się, był wściekły. De Coster słyszał strzały i krzyki.

– Miasto znowu jest atakowane – powiedział Draper. – Jak zeszłej nocy. Tyle że tysiąc razy gorzej.

Jego mocomodawca westchnął ciężko. Miał nadzieję, że poranne doniesienia były przesadzone. Właśnie dlatego wysłał tam kapitana, żeby stłumił panikę. Wkrótce po przybyciu na miejsce Draper kazał rozstrzelać kilku dezertersów, żeby posiać jeszcze większy strach.

Przy kolejnym ataku nietoperzy ta taktyka nie sprawdziła się jednak, bo osada stanęła w obliczu większego terroru.

De Coster miał otwarte na ekranie dwa inne okna. Jedno ukazywało zbliżenie masywnej martwiczej zmiany na plecach i szyi nieżyjącego mężczyzny, dowód, że w dżungli dzieje się coś nowego. Pokręcił głową. Niepokoiła go rosnąca liczba zainfekowanych gatunków. Wirus ogarniał coraz większe tereny, rozprzestrzeniając się na zachód w całym Kongu.

A moja wyspa jest na jego drodze, pomyślał.

W drugim oknie wyświetlało się kwartalne zestawienie zysków i strat kopalni. Spojrzał z niezadowoleniem na bilans. Złóża w kopalni odkrywkowej były już prawie wyczerpane. Za kwartał, może dwa, zaczną tracić pieniądze.

Z zadumy wyrwały go słowa Drapera:

– Co mam zrobić, panie dyrektorze? Moim zwiadowcom jeszcze nie udało się wytropić uciekinierów.

To też było dla De Costera powodem do zmartwienia. Zamknął oczy i przyłożył do ust złączone czubki palców. Przez chwilę wsłuchiwał się w terkot strzałów, w chór krzyków, po czym podjął decyzję.

Otworzył oczy.

– Być może uda nam się rozwiązać wszystkie problemy za jednym zamachem – powiedział. – Złóże Katwa jest prawie wyeksploatowane. Uciekinierzy prawdopodobnie wciąż są gdzieś w pobliżu. A większość świadków... to znaczy pracowników... ukrywa się w osadzie.

– Tak, panie dyrektorze.

– W takim razie zacznijmy od sprzątnięcia. Może przy okazji zdołamy uwolnić świat od tych groźnych nietoperzy.

Draper zbladł, gdy dotarł do niego sens słów szefa.

– Przygotuj się do ostatecznego załatwienia sprawy – dodał ten dla jasności.

– MOAB?

De Coster skinął głową.

GBU-43/B MOAB[8]to amerykańska bomba paliwowo-powietrzna wielkiego kalibru, nazywana Matką Wszystkich Bomb. De Coster lubił być przygotowany na nieoczekiwane okoliczności. Pięć lat temu miał okazję kupić siedem takich bomb, ważących po dziesięć ton, od firmy zbrojeniowej, której prezes miał problem z uzależnieniem od hazardu.

Amerykańscy wojskowi wierzyli, że te bomby trafiły do ich sojuszników. Normalnie jedna kosztuje dwieście tysięcy dolarów, ale zapłacił trzy razy tyle i dołożył jeszcze sto tysięcy, by nikt nie dowiedział się o tym zakupie.

Ulokował je w bunkrach w strategicznych miejscach swojej działalności.

Jako ostateczne zabezpieczenie.

Na wypadek gdyby musiał zetrzeć jakieś miejsce z powierzchni ziemi.

Jak teraz.

Bomba MOAB została zaprojektowana do niszczenia bunkrów, tuneli i innych podziemnych obiektów. Jej moc odpowiada małemu taktycznemu ładunkowi jądrowemu, a promień rażenia wynosi ponad półtora kilometra.

De Coster już zdecydował, że winę za wybuch przypisze wypadkowi w miejscu pracy. A kongijscy urzędnicy, których miał w kieszeni, nie dopuszczą do dochodzenia. Poza tym ubezpieczył kopalnię i dostanie z polisy o wiele więcej pieniędzy, niż mógłby w niej zarobić. Upiecze więc dwie pieczenie na jednym ogniu.

– Ile czasu zajmie panu zebranie ludzi i ewakuacja? – zapytał Drapera.

– Czterdzieści minut. – Kapitan przewidział to pytanie, co oznaczało, że jest właściwym człowiekiem na właściwym stanowisku i doskonałym żołnierzem.

– Może dajmy sobie trochę więcej czasu, kapitanie. Dla pewności, że się stamtąd wydostaniecie.

Draper wyprostował się, gotów wykonać rozkaz.

– Tak jest – powiedział.

De Coster skinął głową.

– Nastawię zegar – rzucił. – Bomba wybuchnie o północy.

[8] MOAB – skrót od Massive Ordnance Air Blast (podmuch masywnego ładunku wybuchowego).

Prowincja Ituri, Demokratyczna Republika Konga

24 kwietnia, godzina 23.08 czasu miejscowego

Gray stał przy tylnych drzwiach shatuna i strzegł Kowalskiego. Potężny mężczyzna brodził po łydki w wodzie, z trudem wyciągając stopy z błota. Dotarł do ostatniej opony, wykręcił wentyl i powoli spuszczał powietrze.

Wkrótce po wjechaniu na bagna koła ugrzęzły po osie w błocie. Utknęli. Wymyślili, że spuszczą część powietrza i w ten sposób zwiększona powierzchnia bieżnika zapewni im lepszą przyczepność.

– Gotowe?! – zawołał Gray, obserwując wodę. Trzymał latarkę obok pistoletu KelTec. Serce podchodziło mu do gardła, bo wiedział, co ryzykują, wysiadając z pojazdu.

Noc była czarna jak smoła. Niebo, którego skrawki widział w prześwitach między koronami drzew, było zasnuwane chmurami. W powietrzu wisiała gęsta mgła, niemal jak mżawka. Brzęczały komary i rechotały żaby. Ptaki i małpy krzyczały wokół bagna, protestując przeciwko wtargnięciu intruzów.

– Prawie skończyłem – mruknął Kowalski.

– Nie wypuszczaj za dużo powietrza, bo za bardzo sflaczeje – ostrzegł go komandor.

– Wiem, co robię, Pierce. Nie po raz pierwszy babram się w błocku. – Kowalski burknął coś jeszcze, po czym zakręcił wentyl. Wyprostował się

i poklepał prawie dwumetrową oponę. – Widzisz? Jest poduszka.

– Do środka – nakazał mu Gray. – Ruszajmy.

Olbrzym podszedł do otwartych drzwi i obaj wsiedli do pojazdu. Benjie przesunął się, żeby Kowalski mógł usiąść za kierownicą. Faraji czuwał z przodu, gotowy poprowadzić ich do wioski Króla Lamparta, następnego słupka na szlaku wytyczonym przez wielebneho Williama Shepparda.

Zanim tu utknęli, jechali prawie dwie godziny. Gray ocenił, że opuścili prowincję Tshopo i znaleźli się w sąsiednim Ituri, gęsto zalesionej części Konga. Zbliżali się do opuszczonej wioski Kuba.

Kowalski uruchomił silnik, po czym na przemian wciskając pedał gazu i zdejmując z niego stopę, kołysał shatunem. Woda i błoto tryskały spod opon, gdy pojazd przesunął się to do przodu, to do tyłu.

Stado małych małp rzuciło się do ucieczki i zniknęło w gałęziach drzew. Kilka z głośnym hukiem wylądowało na dachu pojazdu i szybko pierzchło. Jedna nawrzeszczała na nich przez szybę, krzywiąc z wściekłości małą mordkę i pokazując ostre jak igły zęby.

– *Allenopithecus nigroviridis* – rzucił Benjie. Przysunął twarz do okna, gdy małpka uciekała za pozostałymi. – Koczkodanki błotne.

– Czy ta wyglądała normalnie? – zapytał Gray.

– Hm... chyba tak. – Benjie wzruszył ramionami.

– Bardzo smaczne – dorzucił Faraji. – Mniem, mniem. Dobre jedzenie.

– Wierzę ci na słowo, mały – prychnął Kowalski. – Nie będę próbował. – Kołysał pojazdem, kiwając się na siedzeniu, jakby jego dodatkowa masa mogła coś zmienić.

I może zmieniła, bo pojazd uwolnił się z błota. Przez chwilę kołysał się, rzucając pasażerami o ściany, ale w końcu się ustabilizował i parł naprzód przez coraz głębsze bagno.

– Widzicie? Bułka z masłem – rzucił z satysfakcją Kowalski.

– Tak, bułka, masło, też bardzo smaczne – skomentował Faraji.

Wielkolud poklepał go po ramieniu.

– Akurat z tym się zgodzę – powiedział. – Ale tę pieczoną małą możesz zatrzymać dla siebie.

Faraji poważnie skinął głową.

– Dziękuję.

– Nie zwalniam – przykazał Kowalskiemu Gray. – Utrzymuj stałe tempo. Nie chcemy znowu ugrzęznąć.

– Mam dość tych pouczeń z tylnego siedzenia. – Olbrzym odwrócił się, by zgromić komandora wzrokiem. – Chcesz się przesiąść za kierownicę? Z przyjemnością utnę sobie drzemkę.

Gray machnął ręką, bo wiedział, że wszyscy są spięci. Przytłaczająca ciemność, napór dżungli, brak snu – to działało im na nerwy.

– Przepraszam – powiedział. – Jedź dalej. Słuchaj Farajiego.

Spojrzał na mapę na tablecie. Z grubsza śledził drogę; raz na pół godziny sprawdzał GPS, ale zaraz po tym wyłączał urządzenie. Nie chciał ryzykować, że zostaną namierzeni, ale teraz wyglądało na to, że zabłądzili. Nawet Faraji patrzył sceptycznie na zalaną dżunglę.

Gray porównał mapę z otaczającym ich krajobrazem. Od czasu opuszczenia starej misji Shepparda teren cały czas się obniżał. Przypuszczał, że to bagno nie zawsze tu jest. Prawdopodobnie lasy zostały zalane przez ulewne deszcze monsunowe. Z każdym przebytym kilometrem był coraz bardziej zmartwiony. Pojazd nie podskakiwał, tylko kołysał się łagodnie. Obracające się opony działały jak koła łopatkowe. Jechali bardzo wolno.

Dżungla gęstniała. Kępy rafii walczyły o lepsze z cedrami. Z drzew zwisały orchidee, pnącza próbowały złapać pojazd w sieci. Dwa razy – przy wtórze przekleństw Kowalskiego – musieli użyć maczet, żeby się uwolnić.

Mimo powodzi ciemny las tętnił życiem. Pytony leniwie odpływały z drogi pojazdu. Króliki rozbiegały się we wszystkie strony, skacząc po omszałych pagórkach w kolczaste zarośla. W górze wyły niezliczone mały. Gray dostrzegł nawet rzadkie pasiaste okapi, przecinające smugi ich reflektorów.

Gdy tylko zobaczył jakieś nowe zwierzę, spoglądał na Benjiego, a ten wzruszał ramionami, bo z daleka nie można było ocenić, czy któreś z nich zostało zmienione. Gray pamiętał jego ostrzeżenie. Niebezpieczeństwo rosło w miarę zbliżania się do źródła.

– Mały, jak daleko do wioski tego martwego króla? – spytał chłopca Kowalski, niezbyt uszczęśliwiony tym, że wdzierają się w mroczne serce Konga.

Faraji przycisnął nos do bocznej szyby, a potem do przedniej.

– To wygląda źle – odparł w końcu. – Wioska powinna być w *bonde*, w dolinie. Nie tu.

Przez warstwę chmur przebiła się błyskawica. Zadudnił grzmot, na tyle głośny, że szyby pojazdu zadrgały. Jakby na dany znak mżawka przeszła w ulewę. Krople uderzały w czarną wodę niczym grad kamyków.

Benjie szturchnął Graya i wskazał okno.

– Tam.

Komandor przesunął się do szyby i zmrużył oczy. Widział tylko zalaną deszczem dżunglę, wibrującą pod naporem burzy.

– Na co mam patrzeć? – spytał.

Benjie sięgnął po latarkę. Zapalił ją, na chwilę wszystkich oślepiając. Obrócił się i poświecił przez szybę na tańczącą wodę za pojazdem. Skierował snop na coś, co wyglądało jak słomiana tratwa, która tkwiła w miejscu.

– Przed chwilą minęliśmy jeszcze jedną – powiedział. – Tylko nie zwróciłem na to uwagi.

– Co to jest?

Nie przestając oświetlać tratwy, Benjie spojrział na Graya.

– Chyba strzecha – odparł.

– Stój! – zawołał Gray, chwytając Kowalskiego za ramię.

Ten zatrzymał pojazd, ale nie zgasił silnika. Obejrzał się.

– Dlaczego stoimy? – spytał.

– Myślę, że Faraji przyprowadził nas we właściwe miejsce. Dotarliśmy do doliny. – Komandor włączył latarkę i omiół wiązką światła wodę po drugiej stronie pojazdu. Dostrzegli więcej takich „tratw”. – To dachy. Jesteśmy w wiosce króla. Tyle że dolina została całkowicie zalana.

Oświetlił kilka belek i tyczek sterczących z wody, kolejny dowód na to, że kiedyś była tu duża wioska.

Kowalski jęknął.

– Nie znajdziemy tutaj ukrytej wskazówki, nie ma mowy.

– Nie bez sprzętu do nurkowania – dodał Benjie.

Grayowi zamarło serce, gdy uświadomił sobie, że mają rację. Nawet jeśli gdzieś pod nimi znajdował się grobowiec króla, to nie da się go znaleźć, zwłaszcza po ciemku. I zakładając, że jakimś cudem udałoby się go zlokalizować, nie zdołaliby wydobyć z niego czegokolwiek. Musieliby czekać, aż opadną wody powodziowe. Co mogłoby potrwać miesiące.

Gray pochylił się w stronę przedniego siedzenia pasażera.

– Faraji, masz jakiś pomysł?

Chłopak spuścił wzrok i pokręcił głową.

– *Samahani* – wymamrotał. – Przepraszam.

– Więc to koniec drogi – podsumował Kowalski niemal z ulgą w głosie.

Godzina 23.22

Dziesięć minut później Gray zaczął się obawiać, że Kowalski może mieć rację. Mimo to nie zamierzał się poddać, w każdym razie jeszcze nie teraz. Nie po to przebyli taki kawał drogi.

Podniósł tablet, żeby oznaczyć to miejsce na mapie.

Pojawił się na niej czerwony romb. Jeszcze jeden „okruszek chleba” rzucony przez Shepparda.

Gray położył na kolanach plik zdjęć. Wyjął wszystkie siedem, licząc na jakieś odpowiedzi. Trzy zdjęcia doprowadziły ich do tego miejsca. Pierwsze z jeziorem okapi, drugie z kościołem misyjnym i trzecie z wielebny Sheppardem w plemiennej wiosce. Trzy kolejne wskazywały drogę do miejsca z siódmej fotografii – szczeliny w ścianie urwiska między kamiennymi filarami, być może wejścia do Mfupa Ufalme, Królestwa Kości.

Ale jak tam dotrzeć?

Przeanalizował dokładnie pierwsze trzy „okruszki chleba” i zastanawiał się, czy mogą pominąć zatopioną wskazówkę i ruszyć dalej. Spojrzał na zdjęcie przedstawiające sztylet wbity w pień palmy. Faraji nie miał pojęcia, co to może oznaczać. Jeśli istniały jakieś podpowiedzi, to zostały zalane. Pozostałe dwie fotografie nie wносиły nic nowego. Na jednej Sheppard stał przed dwiema kamiennymi płytami, wysokimi jak on, opartymi o siebie i tworzącymi coś w rodzaju namiotu nad ogniskiem. Na drugiej wielebny napełniał manierkę u zbiegu dwóch strumieni. Szkice narysowane na odwrocie też nie pomagały: nabazgrana róża wiatrów i kreskowe postacie myśliwych z włóczniami wyższymi niż oni.

Gray zastanawiał się, czy mogą to być wizerunki Pigmejów. Te plemiona nadal zamieszkują lasy Ituri, chociaż ich populacja – podobnie jak

ich ziemie plemienne – znacznie się zmniejszyła od czasów Shepparda. Ale nawet jeśli to byli Pigmeje, w żaden sposób nie wskazywało to dalszej drogi.

Podniósł tablet, zmniejszył skalę mapy i przyjrzał się trasie, którą już pokonali. Jeden czerwony romb oznaczał położenie jeziora okapi, drugi kościoła misyjnego, a trzeci miejsca, w którym byli teraz. Zauważył, że leżą niemal w linii prostej, jakby Sheppard obrał najkrótszą drogę przez dżunglę.

Wydawało się to mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę trudny teren. Wielebny ukrył wskazówki i po powrocie z wyprawy przekazał zdjęcia ludowi Kuba. Może nie wybrał tych miejsc po to, by oznaczyć etapy swojej pierwotnej wędrówki, lecz po to, by wskazać innym prostszą drogę?

Gray zamknął oczy i próbował wejść w skórę Williama Shepparda. Wielebny był znakomitym kartografem i badaczem, odkrywcą jeziora, które zostało nazwane od jego nazwiska. Od początku przypuszczali, że zostawił wskazówki, na wypadek gdyby Kongu groziło wielkie niebezpieczeństwo – związane z zaginionym Królestwem Kości Prezbitera Jana. Jeśli tak, to pewnie nie chciał, żeby przyszli poszukiwacze ganiaли po dżungli na oślep.

Gray otworzył oczy.

– Narysował prostą linię wskazującą na zaginione królestwo – powiedział.

Benjie go usłyszał.

– O czym mówisz? – spytał.

Gray pokręcił głową. Chciał uzyskać potwierdzenie.

– Faraji, możesz tu przyjść?

Chłopiec przeskoczył nad oparciem siedzenia, niemal kopiąc w głowę Kowalskiego, który palił cygaro i wydmuchiwał śmierzący dym

w kierunku uchylonego okna. Do wnętrza wpływała woń spalin z rury wydechowej, bo silnik wciąż pracował na jałowym biegu.

Faraji usiadł przy Grayu, machając ręką przed nosem, zadowolony, że oddalił się od olbrzyma. W jego oczach płonęła ciekawość.

Komandor podsunął mu mapę.

– Możesz wskazać położenie wioski, którą odwiedził Sheppard, kiedy po raz pierwszy spotkał się z twoim ludem?

– Tak. Ta wioska to mój dom. Król teraz jest taki sam jak król z czasów Shepparda.

Co oznacza, że mieszkańcy nie przenieśli się z nastaniem nowego monarchy, pomyślał Gray.

Skrzynka ludu Kuba, ta, która zawierała wskazówki Shepparda, została w rodzinnej wiosce chłopca. Jeśli tak, to wyprawa wielebnego musiała rozpocząć się tam.

Faraji pochylił się i spojrział na mapę. Prześledził palcem bieg kilku rzek, a potem stuknął w ekran.

– Tutaj. Tu mieszkam – oznajmił z dumą w głosie.

Gray zaznaczył to miejsce i odetchnął z ulgą. Czwarty czerwony romb leżał w linii prostej z pozostałymi trzema. Narysował niebieską linię łączącą wszystkie cztery punkty.

– Linia prosta – odezwał się Benjie, kiedy spojrział na ekran.

Więc jeśli trasa jest tak prosta...

Komandor przedłużył linię na wschód; od miejsca, w którym była przerywana. Pierwsze trzy wskazówki prowadziły ich przez coraz niżej leżące tereny, aż do tej zatopionej doliny. Linia przerywana przecinała wznoszący się teren, biegnąc w kierunku wyżyn na wschodnim skraju Ituri.

Benjie pochylił się nad tabletem.

– To tam mamy się udać? – spytał. – W te góry?

– Miejmy nadzieję, że nie na próżno.

Benjie westchnął.

– To bardzo trudny teren – zauważył. – Na mapie wygląda tak, jakby jakiś wściekły bóg trzasnął młotem, rozbijając go na kawałki. Nawet jeśli masz rację, przeszukanie tego obszaru zajęłoby nam miesiące, jeśli nie więcej.

– Niekoniecznie – rzucił Gray.

Sięgnął do plecaka, wyjął telefon satelitarny i włożył do niego baterię. Na początku podróży wyłączył urządzenie ze strachu, że ktoś może je wykorzystać do śledzenia ich. Napaść na obóz ONZ-etu i atak na uniwersytecie świadczyły o tym, że wrogowi nie brakuje środków. Żeby zorganizować te ataki, musiał mieć wsparcie w całym regionie.

Kowalski spojrzął na telefon w ręce komandora i wydmuchnął kłęb dymu.

– Co ci chodzi po głowie, Pierce?

– Możliwe, że popełnienie błędu – odparł Gray.

Telefonowanie było ryzykowne, ale konieczne. Wiedział, że musi się streszczać. Telefon szyfrował transmisję, można było jednak namierzyć sygnał. Po chwili zastanawiania się, czy to mądre posunięcie, wystukał kod centrali Sigmy.

Dyrektor odebrał natychmiast.

– Komandorze Pierce, co u was?

Gray opisał sytuację, szybko, starając się maksymalnie skrócić połączenie.

Painter przekazał mu najświeższe wiadomości:

– Sytuacja w Kisangani pogarsza się z godziny na godzinę. Lisa zgłasza setki przypadków. Wielu pacjentów już nie żyje. Chorzy napływają do miasta. Wybuchła panika, dochodzi do grabieży i panuje chaos. Mamy doniesienia o atakach dzikich zwierząt na odległe wioski, choć są to pobieżne informacje.

Gray spojrział na Benjiego.

– Te zwierzęta mogą być bardziej niż dzikie – powiedział, bo podzielał obawy młodego biologa dotyczące tego, co wirus może robić w Kongu. – Gdybyśmy mogli skonsultować się z doktorem Whitakerem...

– Nie licz na to w najbliższym czasie – przerwał mu Painter. – Nadal nie ma wieści od Tuckera. Więc jeśli w dżungli są jakieś odpowiedzi, musimy je mieć na wczoraj.

– Dlatego przerwałem ciszę radiową. Potrzebuję pomocy. – Gray opowiedział dyrektorowi o ich dylemacie i nadziei na pominięcie ostatniej wskazówki Shepparda. Przesłał mu mapę i ostatnie zdjęcie wielebnego. – To urwisko z poszarpaną krawędzią na tle nieba... Wcześniej znalezienie go nie wchodziło w rachubę, bo przecież może znajdować się w dowolnym miejscu Konga. Ale jeśli zawężymy pole poszukiwań, skoncentrujemy je...

– Wzdłuż linii, którą pociągnąłeś w góry. – Painter znowu wszedł mu w słowo, rozumiejąc, do czego komandor zmierza.

– Tak. Może dzięki mapom satelitarnym uda się je namierzyć, a przynajmniej wykluczyć inne obszary.

– Możemy spróbować. Zaraz poproszę o to Kat. Tylko że taka szczegółowa analiza zajmie wiele godzin.

– Rozumiem. W tym czasie będziemy podążać szlakiem, który wytyczyłem. Wracamy do ciszy radiowej. Odezwę się, gdy dotrzemy w góry.

– W porządku.

Gray zakończył połączenie. Wyjął baterię z telefonu, po czym schował jedno i drugie do plecaka.

Kowalski zmarszczył czoło.

– Więc jedziemy dalej na ślepo? – spytał.

– Lepsze to niż siedzenie z założonymi rękami.

– Nie byłbym taki pewien – mruknął Kowalski, odwrócił się i wrzucił bieg.

Godzina 23.36

Benjie siedział pochylony nad tabletem. Powiększał i pomniejszał mapę, drugą ręką skubiąc ucho. Maksymalnie skoncentrowany, dopiero po kilku minutach uświadomił sobie, co robi. Opuścił rękę.

Ucho bolało.

Nie robiłem tego od studiów, uświadomił sobie.

Zaakceptował ten tik – skubanie ucha – jako objaw autyzmu. Uznał, że teraz jest wynikiem stresu i skupiania uwagi na mapie. Podczas studiów często maltretował ucho, gdy zatracił się w nauce, zwłaszcza przed trudnymi egzaminami.

To też jest egzamin, pomyślał, patrząc na mokradła.

Wyłączył tablet, żeby niepotrzebnie nie zużywać baterii. Jego wysiłki nie przyniosły żadnych efektów. Ale przecież mieli mnóstwo czasu, by rozgryźć problem. Dotarcie do gór zajmie większą część nocy.

Usiadł wygodniej, bo wiedział, że powinien się przespać. Lecz wiedział też, że nie zaśnie. Wsłuchiwał się w pomruk silnika i szum deszczu. W dali uderzył piorun. Benjie kołysał się wraz z pojazdem, gdy opony burzyły wodę.

Jak długo jeszcze będziemy tkwić na tych bagnach? – zastanawiał się.

Z mapy wiedział, że teren przed nimi się wznosi, więc wkrótce powinni znaleźć się na suchszym lądzie. Po chwili dostrzegł kamienie wystające z wody. Granitowe głazy dawały nadzieję, że grunt pod nimi się wznosi. Zaczął je liczyć, żeby rozproszyć strach.

Czternaście z lewej, może osiem więcej z prawej.

Szukał wzrokiem kolejnych, gdy nagle jeden z nich poruszył się i podniósł, strzygąc trzepoczącymi w podnieceniu uszami.

To nie były kamienie.

Wyprostował się.

– Hej! – zawołał. – Musimy być ostrożni.

Gray pochylał się na przednim siedzeniu, rozmawiając z Kowalskim. Prawdopodobnie opracowywali strategię.

– Co się stało?

– Wjechaliśmy w stado hipopotamów.

– W co?! – Kowalski skrzywił się.

– W stado hipopotamów. – Benjie wskazał przed siebie. – Te szare garby to ich grzbiety. Pewnie jeszcze więcej jest zanurzonych.

Jakby wezwane jego słowami, w polu widzenia pojawiły się nowe garby. Parujące fontanny wody oznaczały miejsca wynurzania się kolejnych zwierząt.

– Możemy je objechać? – zapytał Gray.

– Spróbuję, ale ta łajba to nie motorówka – odparł Kowalski, kręcąc kierownicą.

Pojazd pochylił się na burtę, skręcając w ślimaczym tempie. Hipopotamy unosiły się ze wszystkich stron. Zauważyły intruzów i już zmierzały w ich kierunku. Niektóre zniknęły, bo pod wodą płynęły szybciej.

Na łądzie te zwierzęta wyglądają na powolne i ociężałe, ale w wodzie są szybkimi zabójcami.

– Mogły się zmienić, jak szakale? – zwrócił się Gray do Benjiego.

– Nie sądzę. Zmiany genetyczne następują w łonie zakażonej matki. – Pokręcił głową. – Cięża samicy hipopotama trwa ponad osiem miesięcy, a cielaki wolno dojrzewają.

– Rozumiem.

– Minęło za mało czasu, odkąd wirus zaczął się rozprzestrzeniać. Te hipopotamy nie mogą być zmienione.

Gray spojrział przez ramię.

– A co ze zmianami u szakali?

– Ich cięża trwa tylko dwa miesiące. Po ośmiu są już dorosłe. Poza tym szakale mają duże terytoria, zwykle obejmujące łąki i sawanny. Tamto stado mogło przybyć z rejonu źródła wirusa, gdzie przebywało nie wiadomo jak długo. Natomiast hipopotamy trzymają się swoich terytoriów.

Gray zrozumiał.

– Więc nie mogły zostać zmienione.

– Ale mogą być zarażone. I wtedy wirus może sprawić, że staną się nadpobudliwe jak pawiany, które zwykle są strachliwe. A hipopotamy są z natury wojownicze.

– Super – burknął Kowalski. – Czyli mamy tu hiperwściekłe hipopotamy. Może lepiej...

Przednią szybę zalała fala. Potężny samiec stanął na tylnych nogach i szeroko rozdziawił paszczę, odsłaniając gardziel i długie na pół metra zęby. Gdy uderzył nimi w szybę, ta zadygotała i pokryła się siatką pęknięć. Pojazd zakołysał się i cofnął. Samiec opuścił dwutonowe cielsko do wody.

Benjie rozejrzył się spanikowany.

Ze wszystkich stron nadciągały hipopotamy, gotowe rzucić wyzwanie intruzom. Kowalski już podnosił broń do ramienia.

– Uwaga! Zaraz zagramy w Bardzo Głodne Hipcie.

Gray poderwał Farajiego z przedniego siedzenia i pchnął go w stronę Benjiego.

– Obaj do tyłu – rzucił.

Benjie nie był pewien, czy tam jest bezpieczniej, ale posłuchał.

Gray opuścił szyby po obu stronach. Otwory były zbyt małe, żeby te wielkie zwierzęta zdołały wcisnąć w nie paszcze, a zapewniały większe pole manewru. Gray trzymał oburącz pistolet z długą lufą i wyginając się w prawo i w lewo, strzelał do szarych garbów, jeśli podpływały zbyt blisko. W zamkniętej kabinie huk strzałów ogłuszał.

Hipopotamy cofnęły się przed atakiem, jakby zbite z tropu.

Z przodu Kowalski jedną ręką trzymał kierownicę, a drugą celował i strzelał ze swojej niezwyklej broni. Jękliwe zawodzenie przeszło w dźwięk przypominający brzęczenie piły, gdy przestawił broń na ogień ciągły. Srebro rozbłyskiwało w świetle reflektorów. Ostre dyski grzęzły w łukowato wygiętych grzbietach i ścinały uszy.

Niestety, te wysiłki tylko rozjuszły stado.

Benjie krzyknął, gdy kolejny samiec wynurzył się po prawej stronie i zaatakował jedną z masywnych opon. Pojazd zakołysał się, gdy hipopotam napierał na koło. Benjie i Faraji potoczyli się do przodu. Atakowana przez zwierzę opona w końcu pękła.

Pojazd podskoczył.

Koło z rozerwaną oponą pieniało wodę. Shatun zaczął się obracać.

Kowalski kręcił kierownicą w drugą stronę, był jednak za wolny.

Inny hipopotam mocno uderzył łbem w bok pojazdu i ten zaczął się obracać jeszcze szybciej. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy drugie zwierzę naparło z przeciwnej strony.

Gray strzelał dziko, próbując zniechęcić dalszych napastników, tyle że huk przyciągał hipopotamy.

Rzucony na podłogę Benjie czuł się jak kulka we flipperze. Dzwoniło mu w głowie, gdy toczył się to w jedną, to w drugą stronę. Zdołał jakoś podczołgać się do Graya.

– Przestań! – wrzasnął.

– Co?! – Komandor nie opuszczał broni. – Dlaczego?!

Benjie wskazał w stronę lewego tylnego koła.

– Niech zniszczą także tę oponę. – Zorientował się, że Gray nie rozumie, więc wyjaśnił: – Żeby zrównoważyć tę podartą. Wtedy będziemy się przemieszczać szybciej i prosto.

Komandor po chwili namysłu podszedł do tylnych drzwi.

– Miejsce! – zawołał.

Faraji się odsunął.

Gray otworzył drzwi na tyle, żeby się wychylić. Wisząc na uchwycie, strzelił na chybił trafił do dużego hipopotama, potężnego samca, znacznie masywniejszego od pozostałych. Może był to przywódca stada. Zwierzę, nieprzejęte tym atakiem, zanurzyło się.

Po chwili woda się zagotowała wokół szerokiej na ponad metr paszczy. Hipopotam uderzył w bok pojazdu, chwytając oponę i kawałek ściany bocznej. Gray wypadł przez otwarte drzwi, a zwierzę zniknęło pod wodą, ciągnąc za sobą tył pojazdu. Do kabiny zaczęła się wlewać woda.

Benjie przedarł się do drzwi i w tym momencie Gray się wynurzył.

– Tutaj! – wrzasnął biolog, wyciągając rękę.

Komandor zamachnął się i zamknął dłoń na przedramieniu młodego człowieka. Benjie złapał go za nadgarstek i padł na podłogę, wykorzystując masę swojego ciała jako dźwignię.

To jednak nie wystarczyło.

Za wierzgającymi nogami Graya ukazał się kolejny hipopotam. Zbliżał się z niewiarygodną prędkością, wytwarzając przed sobą falę. Benjie trzymał mocno rękę Graya.

Faraji pojawił się za nim i pomógł mu ciągnąć.

Gdy wspólnymi siłami wciągnęli komandora do kabiny, hipopotam zaatakował, zatraskując tylne drzwi. Drugi w końcu puścił oponę. Uwolniony pojazd podskoczył w fontannie wody.

Benjie podniósł się, by spojrzeć na oponę. Podarta guma uderzała w wodę. Dzięki równomiernie rozłożonemu napędowi shatun posuwał się znacznie szybciej.

Gray skinął głową.

– Sprytne – pochwalił biologa, usiadł i popatrzył na broń. Nie stracił pistoletu, ale z pewnością był zalany wodą.

Kowalski spojrzał ponuro na smagane deszczem bagna.

Przed nimi wznosiły się kolejne garby. Rozstępowały się, spłoszone przez burzące wodę opony albo większą prędkość pojazdu, i wkrótce zostały z tyłu. Stado zwierzało szeregi, zniechęcając ich do powrotu, i w końcu zniknęło w ciemności.

Przemoczony do suchej nitki Benjie, który siedział w wodzie głębokiej na kilka centymetrów, czuł niewypowiedzianą ulgę.

Pojazd brnął jeszcze przez jakiś czas w moczarach, ale w końcu wypełzł z wody i zaczął się przedzierać przez pas trzciny. Telepał się na dwóch nienaruszonych oponach i dwóch podartych.

Mimo to Gray nakazał Kowalskiemu odjechać spory kawałek od moczarów. Gdy wreszcie stanęli, popatrzył na wszystkich.

– Musimy wymienić opony – powiedział. – Mamy dwie zapasowe i sprężarkę. Ale pamiętajcie, więcej ich nie mamy.

– W takim razie będę uważać na gwoździe – odparł cierpko Kowalski.
Gray go zignorował.

– Powinniśmy też uzupełniać baki. Przed nami jeszcze długa droga.

Benjie wyobraził sobie niebieską linię narysowaną na mapie. Spojrzał na ciemną dżunglę, zalewaną deszczem z chmur od czasu do czasu rozjaśnianych przez błyskawice.

Dokąd zaprowadzi nas ta droga?

Okręg górniczy Katwa, Demokratyczna Republika Konga
24 kwietnia, godzina 23.37 czasu miejscowego

Tucker wyprostował się nad martwym ciałem żołnierza. Poprawił kevlarową kamizelkę, rozkładając jej ciężar na ramionach, po czym zamienił górniczy kask na hełm bojowy. Minęło dużo czasu, odkąd nosił taki strój. Przypomnił sobie ulice omiatane przez burzę piaskową i kruszące się kamienne ściany.

Potrząsnął głową, żeby pozbyć się tego obrazu. Nie pora na to.

Frank, tak samo ubrany, spojrział na niego, jakby wiedział, o czym przyjaciel myśli, po czym wciągnął zwłoki drugiego żołnierza w głąb w betonowego bunkra.

– Nic ci nie jest? – spytał.

Tucker pokazał mu uniesiony kciuk. Mimo niechęci do nowego stroju doceniał dodatkową ochronę i możliwość upodobnienia się do tutejszych żołnierzy. Czuł się jednak na wpół nagi. Bez Kaina i jego kamery, pozwalającej mu widzieć to samo, na co patrzył partner, czuł się odsłonięty, bezbronny.

Kątem gogli wychwytywał od czasu do czasu urywki zniekształconego przekazu, migoczący obraz z kamery. Urządzenia zakłócające uniemożliwiały nawiązanie łączności z prawdziwego zdarzenia.

– Idziemy – rzucił, mocniej ściskając karabin FN FAL, który zabrał martwemu żołnierzowi. Broń była wyposażona w magazynek pudełkowy na pięćdziesiąt naboji i stalowy bagnet na lufie.

Frank puścił zwłoki i zarzucił taką samą broń na ramię.

Podeszli do drzwi. Na zewnątrz trwała wojna z niebem. Do bunkra niosło się echo krzyków. Wszędzie wokół słychać było strzały. Ryczały miotacze ognia.

Dwadzieścia minut temu na osadę stado spadło nietoperzy i zaczęło atakować wszystko w zasięgu wzroku. Tucker i Frank schowali się w robotniczej chacie. Na szczęście głównym celem ataku było centrum administracyjne, dokąd przyciągnęły nietoperze strzały i płomienie.

Ze schronu Tucker obserwował atak na wieżę strażniczą. Żołnierz wypadł z gniazda karabinu maszynowego i wił się w powietrzu, cały pokryty czarnymi skórzastymi skrzydłami. Korzystając z okazji, wybiegli z ukrycia, osłaniając głowy arkuszem blachy falistej przybitym do starych desek.

Gdy dotarli pod mur, oparli o niego tę metalową ochronę i weszli po deskach jak po prowizorycznej drabinie. Obaj mieli głębokie skaleczenia po tym, jak przetoczyli się po drucie kolczastym na szczycie muru. Gdy znaleźli się na terenie ufortyfikowanego kompleksu, pobiegli do najbliższego schronu, betonowego bunkra – na szczęście wszyscy spoglądali w niebo – i dwoma strzałami powalili ukrywających się w środku żołnierzy.

Frank chwycił klamkę.

– Gotowy?

– Nie, ale to nas nie powstrzyma – odparł jego przyjaciel i pobiegł skulony, kiedy Frank pchnął drzwi.

Nikt nie zwracał na nich uwagi. Wyglądali jak każdy z dziesiątków mężczyzn w kamizelkach i hełmach. Wszędzie wokół huczał ogień z broni automatycznej. Tucker przebiegł obok klęczącego żołnierza, który z wycelowanym w niebo miotaczem ognia ciął powietrze smugą płomienia.

Wszędzie leżały ciała, niektóre wciąż oblepione nietoperzami, inne dygoczące w agonii.

Płonący nietoperz wylądował przed Tuckerem. Gdy tarzał się i dymił, biła z niego poświata. Świecił jak fosforyzujące algi. I może to były algi, nabyte w wyniku jakiegoś symbiotycznego procesu wywołanego przez wirusy.

Tucker przeskoczył nad nietoperzem, zostawiając takie rozważania na później.

Usłyszał zduszony krzyk Franka, popatrzył w jego stronę i zobaczył na czubku hełmu przyjaciela dużego nietoperza usiłującego dosięgnąć jego ciała. Tucker dźgnął skrzydlatego ssaka bagnetem i go odrzucił.

Bez słowa wbiegli w uliczkę między dwoma niskimi barakami. Tucker wiedział, dokąd mają zmierzać; sprawdził to miejsce, korzystając z funkcji lornetki w goglach. Pośrodku sektora administracyjnego wznosił się trzypiętrowy gmach z lasem anten na dachu i wyższym słupem z płytami zakłócającymi sygnał radiowy. To tam znajdowało się centrum łączności.

Na końcu uliczki uderzył w nich podmuch. Jego źródłem był znajomy helikopter, śmigłowiec bojowy, który nękał ich od samego początku. Mężczyźni w kamizelkach kuloodpornych ładowali do niego skrzynie, a inni wsiadali na pokład.

Frank nachylił się do ucha przyjaciela.

– Ewakuują się.

Tucker skinął głową. Wcale im się nie dziwił. Nawet teraz nietoperze torpedowały wysiłki żołnierzy. Na otwartym placu leżały ciała, a w pobliżu

właśnie upadł żołnierz. Jego twarz zmieniła się w zalaną krwią bezkształtną masę. Najgorsze było to, że nienaruszone oczy patrzyły w górę.

W tej chwili osłaniał ich pył wzbity przez podmuch spod łopat. Frank wskazał skraj placu i ruszył w stronę otwartych drzwi budynku łączności. Panował tam duży ruch, ale to mogło zadziałać na ich korzyść.

Tucker prowadził, schylony, z karabinem przed sobą. Przyjaciel deptał mu po piętach. Okrążali plac, chowając głowę w ramiona pod metalowymi łopatom. Wszędzie wokół latały nietoperze. Z góry sypało się szkło, gdy szyby pękały pod ich zmasowanym atakiem.

Coś uderzyło Tuckera w bark tak mocno, że omal nie puścił karabinu, a po chwili zobaczył, że nietoperz skrobie zębami kevlar na jego ramieniu. Rzucił się w bok i uderzył ciałem w ścianę, miażdżąc skrzydlate zwierzę. Przez chwilę miał wyrzuty sumienia, bo wiedział, że zaatakowało go nie ze złej woli, a jedynie posłuszne nakazom instynktu.

Musiał jednak chronić innych, nie tylko Monka i dwójkę lekarzy, ale też wszystkich zagrożonych w Kongu.

Dotarli do otwartych drzwi. Śmigłowiec ryknął za ich plecami i podmuch pchnął ich za próg. Minęli grupę żołnierzy, którzy w panującym chaosie i pośpiechu nie zwrócili na nich uwagi.

Tucker skręcił w korytarz i zaczął się rozglądać za miejscem, które wyglądałoby jak pokój łączności. Wiedział, że przeszukanie każdego piętra zajmie im sporo czasu.

Przyjaciel nagle złapał go za ramię i wepchnął przez otwarte drzwi do biura. Tucker spojrzał na niego pytająco.

Frank wskazał schody na końcu korytarza. Stało tam dwóch mężczyzn pograżonych w ożywionej rozmowie. Frank zwrócił uwagę na tego wyższego. Mężczyzna miał siwy zarost i krótko przystrzyżone siwe włosy. Jego sztywna sylwetka emanowała autorytetem.

– Ten wysoki to kapitan Draper – szepnął.

Tucker pamiętał nazwisko prawej ręki De Costera. To on wydawał tu rozkazy i kierował ewakuacją. Draper wskazał ręką w stronę wyjścia, krzyknął coś w suahili, odwrócił się i ruszył w górę po schodach. Przeskakiwał po dwa stopnie naraz.

Taki pośpiech mógł oznaczać, że kapitan idzie zdać raport pracodawcy. Jeśli nie, zawsze będą mogli go obezwładnić i zmusić do wyjawienia, gdzie jest pokój łączności.

– Za nim – rzucił Tucker.

Pobiegli do schodów i wchodząc po nich, starali się trzymać z dala od Drapera. Nie chcieli wzbudzić jego podejrzeń. Kapitan zmierzał na najwyższe piętro, co utwierdziło Tuckera w przekonaniu, że zamierza złożyć meldunek. Ulokowanie pokoju łączności pod dachem pełnym anten wydawało się logiczne.

Dotarłszy na trzecie piętro, szli ostrożnie. Nikogo nie napotkali, ale słyszeli głosy dochodzące zza otwartych drzwi po prawej stronie. Ukryli się w ciemnym biurze naprzeciwko, skąd widzieli część interesującego ich pomieszczenia.

Draper stał przed zestawem sprzętu satelitarnego i monitorów. Pochylał się nad technikiem łączności, kongijskim żołnierzem, i szeptał rozkazy po francusku. Tucker znał trochę ten język, ale nie na tyle, by nadążyć za pospieszną rozmową.

Zerknął na przyjaciela.

Frank zrobił wielkie oczy.

– Co jest? – spytał szeptem Tucker.

Godzina 23.42

Frank uniósł dłoń, jakby mówił: „Muszę posłuchać, upewnić się, czy się nie mylę”.

Draper sięgnął nad ramieniem technika i podał mu pendrive’a.

– Wywołaj De Costera. Mamy tylko osiemnaście minut, zanim całe to miejsce zmieni się w piekło.

– Tak jest.

Frank spojrział na zegarek. Za osiemnaście minut będzie północ.

Technik podłączył pendrive’a i wcisnął kilka klawiszy. Chwilę później na monitorze ukazał się siedzący za biurkiem Nolan De Coster, bez marynarki, z podwiniętymi rękawami koszuli.

– Kapitanie, co pan jeszcze robi w kopalni?

– Atak jest znacznie gorszy, niż się spodziewałem, panie dyrektorze. Zabezpieczenie i załadowanie sprzętu oraz zebranie ludzi zajęło dużo czasu. Straciłem jedną piątą oddziału.

– Potrzebuje pan więcej czasu?

– Nie, panie dyrektorze. Wszystko jest załadowane, niedługo będziemy w powietrzu.

– Jeśli wyniknie jakiś problem, mogę zresetować zegar MOAB-a. W razie potrzeby mogę opóźnić wybuch.

Frank jęknął w duchu. To niemożliwe, pomyślał. Ale pamiętał słowa Drapera o piekle. Jeśli ta bomba, która ma wybuchnąć o północy, jest MOAB-em, lej pochłonie całą kopalnię i sporą część otaczającej ją dżungli.

Kapitan pokręcił głową.

– Nie będzie żadnych problemów – powiedział. – Panuję nad sytuacją. Im prędzej to miejsce zostanie zmiecione z powierzchni ziemi, tym lepiej.

– Rozumiem.

– Muszę kończyć – oznajmił Draper i odsunął się nieco od monitora.

– Dobrze. Biorąc pod uwagę eskalację wydarzeń, chyba najlepiej będzie posprzątać także na wyspie. Zacznę przygotowywać ewakuację. Każę zespołowi badawczemu zebrać wszystkie dane. Powinniśmy być gotowi przed świtem. Resztę załatwią rakiety Hellfire.

Frank zacisnął pięść, myśląc o pacjentach na wyspie.

– *Oui, Commandant.*

– Więc do roboty.

Połączenie zostało zakończone. Draper wyprostował się, wyciągnął pendrive'a z radia i wycelował nim w nos technika.

– Wyślij naszym ludziom rozkaz zbiórki i zabieraj dupę do śmigłowca.

Frank pchnął Tuckera w głąb biura, gdy kapitan wyszedł na korytarz i ruszył do schodów. Czekał, aż mężczyzna zniknie z pola widzenia i ucichnie stukot jego butów. Nie miał czasu na wyjaśnianie planu towarzyszowi.

Przebiegł przez korytarz i wpadł do pokoju radiowego. Technik wzdrygnął się, zszokowany tym nagłym wtargnięciem.

– Mówisz po angielsku? – spytał Frank, przykładając czubek bagnetu do jego gardła.

Technik odruchowo skinął głową, kalecząc przy tym szyję.

– *Oui...* tak.

– W takim razie pomożesz nam. – Frank spojrzał na przyjaciela i szybko streścił mu rozmowę kapitana z De Costerem. – Ten łajdak zakopał MOAB-a gdzieś w kopalni. Bomba wybuchnie... – spojrzał na zegarek – za piętnaście minut. Do tego czasu musimy być co najmniej półtora kilometra stąd.

– Rozbrój tę bombę – zwrócił się Tucker do technika.

– Nie... nie mogę – wyjąkał radiooperator. – Stąd się nie da.

– To De Coster trzyma palec na guziku – wyjaśnił Frank.

– A co z Monkiem i tą dwójką lekarzy? Nadal są w dżungli, w strefie rażenia.

Frank trącił technika bagnetem.

– Wyłącz zakłócacz. To możesz zrobić.

Mężczyzna z trudem przełknął ślinę i lekko skinął głową. Pot spływał mu po twarzy. Musiał wiedzieć, że zagraża mu nie tylko broń Franka, ale także tykający zegar. Wszyscy muszą się stąd wydostać.

Obrócił się do konsoli i przez chwilę przeglądał okna na monitorze. W końcu stuknął palcem i duży czerwony przycisk zmienił kolor na zielony.

– Zrobione.

Frank spojrzał na przyjaciela, czekając na potwierdzenie.

Tucker cofnął się i opuścił gogle. Uniósł wzrok, jakby patrzył w dal. Otworzył usta, zszokowany tym, co zobaczył przez kamerę Kaina.

– Monk, do cholery, co wy robicie w tej osadzie?

Godzina 23.45

Monk usłyszał panikę w głosie Tuckera.

Rozumiał jej przyczynę.

Oparł się o brudne okno w opuszczonym baraku. Charlotte stała z nim na straży, z dłonią na łbie Kaina. Cort siedział z dala od okna, z usztywnioną ręką przy piersi, kołysząc się; oczy miał szkliste z bólu i przerażenia.

Na ulicy leżały cztery ciała jarzące się własną poświatą. Byli to członkowie patrolu, który wcześniej o mało nie dopadł ich w dżungli. Monk obserwował ich, gdy sprawdzali tę opuszczoną część osady. Szli z latarkami

przymocowanymi do karabinów, kopniakami otwierając drzwi i przeszukując kolejne chaty.

Nagle niebo runęło. Wyglądało to tak, jakby z chmur spadały strzępy cienia. Monk potrzebował kilku sekund, żeby rozpoznać nietoperze. Najwyraźniej przyciągnęły je światła patrolu. Paniczna strzelanina tylko je rozdrażniła. Normalnie uważał je za utrapienie, ale teraz uznał ich przybycie za błogosławieństwo. Modlił się, by wyparły patrole z tego obszaru, gdy usłyszał krzyki.

Jeden z żołnierzy przebiegł za oknem z nietoperzem przyczepionym do policzka i drugim wgryzającym się w rękę. Mężczyzna upadł kilka kroków od drzwi i wił się w agonii, drapiąc się po twarzy i szyi. Kiedy w końcu znieruchomiał – po dość długim czasie – szyja i bok twarzy były pokryte bąblami, rozdartymi przez jego paznokcie.

Nietoperze opadały na baraki wzdłuż opustoszałej ulicy, wciskały się pod okapy, pełzały po dachach, wspinały się po ścianach. Kilka wciąż unosiło się w powietrzu. Chrobot ich pazurów o blachę doprowadzał Monka do szału. Najdziwniejsza była migocząca poświata, która przepływała między nimi, jakby bezgłośnie komunikowały się między sobą.

– Nie ruszajcie się – polecił Tucker przez radio. – Przyjdziemy do was. Po wyłączeniu zagłuszania mogę śledzić sygnał Kaina. Bądźcie gotowi do drogi. Za piętnaście minut musimy być jak najdalej stąd.

Monk był zadowolony z przywrócenia łączności, zwłaszcza w tej sytuacji, ale nie rozumiał, skąd ten pośpiech.

– Dlaczego?

Odpowiedź Tuckera przyspieszyła mu puls.

– O północy wybuchnie wielka bomba.

Monk zamknął oczy. No tak, jakby jadowite nietoperze nie wystarczyły, pomyślał.

Ale Tucker miał więcej złych wiadomości.

– Promień rażenia może wynosić półtora kilometra od punktu zero.

– W takim razie nie damy rady.

– Spróbujemy.

Monk spojrzał na szalejące za oknem nietoperze.

– Jak?

– Bądźcie gotowi.

Godzina 23.47

Tucker krążył po małym pokoju łączności.

– Udało się? – zapytał.

Frank celował z broni w technika. W drugiej ręce trzymał telefon satelitarny. Próbował dodzwonić się do Ndayego, który czekał w śmigłowcu.

– Wciąż nic, cisza – powiedział technik. – Nie mogę nawiązać połączenia.

Tucker spojrzał na niego ze złością, ale podejrzewał, że mała wieża na dachu blokuje łączność radiową tylko na terenie kopalni. De Coster z pewnością ma całą sieć bardziej wyrafinowanych zagłuszczy działających na większą odległość. Podszedł do szeregu radiotelefonów.

– Wcześniej połączyłeś się z De Costerem. Domyślam się, że korzystasz z jakiegoś systemu kodowania.

– Tak, ale go nie mam. Przysięgam. Jest tylko na pendrivie, którego ma kapitan.

Tucker ściągnął usta, przypominając sobie pendrive'a, którego kapitan podał technikowi. Zerknął w okno, choć wiedział, że nie ma już czasu, żeby mu go odebrać. Śmigłowiec ryczał na placu, przygotowując się do startu.

– Nie możemy dłużej czekać – zdecydował.

– Co robimy? – spytał jego przyjaciel.

– Spadamy stąd.

Frank zmarszczył brwi. Obaj wiedzieli, że Ndaye nie zdążyłby przylecieć na czas, by ich ewakuować. Gdyby spróbował to zrobić, sam też by zginął. Frank chciał nawiązać łączność, żeby powiadomić świat o działaniach Nolana De Costera i skupić uwagę dowództwa Sigmy na tym człowieku. Ale nic z tego. Co oznacza, że jesteście zdani na siebie, pomyślał.

– Widziałem wcześniej patrolujące pick-upy – zwrócił się do technika Tucker. – Gdzie je trzymacie? Macie garaż?

Żołnierz wstał i wskazał przez okno sąsiedni budynek.

– W piwnicy.

– Gdzie są kluczyki?

– W pojazdach.

Tucker spojrzął na Franka i wskazał technika.

– Zastrzel go i idziemy – rzucił.

Mężczyzna cofnął się, unosząc dłonie. Frank wycelował w niego.

– A może chcesz żyć? – spytał.

– Zrobię wszystko.

Ani Tucker, ani jego przyjaciel nie chcieli stąd odejść, nie dając robotnikom szansy na ucieczkę.

Frank przytknął bagnet do piersi żołnierza.

– Co oznaczała ta syrena? Żeby nie wychodzić z domów, tak?

Mężczyzna energicznie skinął głową.

– Musi być także sygnał ewakuacji – powiedział Frank.

– Tak, w nagłych wypadkach.

– Sądzę, że właśnie z tym mamy do czynienia. – Tucker wskazał sprzęt.

– Włącz go albo zginiesz.

Technik obrócił się, otworzył klapkę nad włącznikiem i go przekręcił. Zawyła syrena i nad osadą poniosło się ogłuszające zawodzenie.

Tucker miał nadzieję, że robotnicy rzucą się do ucieczki, ryzykując spotkanie z zabójczymi nietoperzami. Jeśli ktoś tu zostanie, spotka go nieunikniona śmierć. Wszyscy w tym pomieszczeniu to wiedzieli. Technik z przerażeniem przewracał oczami i skamieniał, gdy śmigłowiec wzbił się w powietrze, prawdopodobnie ponaglony przez alarm. Kiedy zawyła syrena, Draper domyślił się, że dzieje się coś złego, i nie zwlekał ze startem.

– Ucieka ci okazja, kolego – rzucił drwiąco Tucker. – Wygląda na to, że jedziemy na tym samym wózku. – Pchnął Franka w stronę drzwi. – Idziemy.

Obaj odwrócili się i wybiegli z pokoju łączności.

Tucker miał zaufanie do swojego wewnętrznego zegara, mimo to dwa razy sprawdził czas na tym, który nosił na nadgarstku. Mieli jedenaście minut.

– Na dwoje babka wróżyła – powiedział Frank, uśmiechając się do niego szeroko. – Tak jak za starych czasów.

– Starych. Minionych. Z przeszłości. I tam ich miejsce.

Zbiegli po schodach i wypadli frontowymi drzwiami. Plac był pusty, smagany podmuchami łopat helikoptera. Większość nietoperzy odleciała, może w pogoni za maszyną.

Tucker biegł skulony, starając się chować jak najwięcej odsłoniętego ciała pod kamizelką. Frank trzymał się jego boku, gdy zmierzali w stronę budynku wskazanego przez technika. Rampa za otwartymi drzwiami prowadziła w dół. Mieli nadzieję, że na jej końcu zobaczą zaparkowane pojazdy.

Zbliżyli się do drzwi, gdy poprzedzona przeraźliwym gwizdem eksplozja powaliła ich na kolana. Tucker pomyślał, że bomba wybuchła przedwcześnie, ale obejrzał się i zobaczył, że w górne piętro budynku łączności uderzyła rakietą i uciszyła syrenę. Strzaskane cegły i szkło spadały kaskadą w kłębach dymu i płomieni, bombardując plac.

Śmigłowiec przeleciał wysoko nad budynkiem.

Tucker skrzywił się. Pożegnalny strzał kapitana Drapera, przemknęło mu przez głowę. Człowiek De Costera najwyraźniej miał podejrzenia w związku z syreną i domyślił się, że coś jest nie w porządku.

Podnieśli się i pobiegli do drzwi.

Tucker wpadł w ciemność, zadowolony, że już nie są na otwartej przestrzeni. Zbiegli po pochylni i zatrzymali się u jej stóp. Pod sufitem wisiało kilka gołych żarówek. Nikły blask nie rozpraszał cienia, ale zobaczyli, że garaż jest prawie pusty. Był dość duży, by pomieścić kilkanaście ciężarówek, ale został tylko jeden pojazd, stojący ponuro w kałuży światła z tyłu: stary land rover, kupa złomu bez przedniego zderzaka.

Ale darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby.

Tucker ruszył w stronę terenówki i wtedy Frank złapał go za ramię i pociągnął ku ziemi. Wskazał w górę. Tucker podejrzewał, co tam zobaczy, i nie mylił się. Pod sufitem roilo się od skrzydlatych cieni. Nietoperze pełzały i zwisały, zamieniwszy garaż w swoją jaskinię. Błyskały migotliwe plamy i fosforyzujące smugi.

Przypomniał sobie słowa Franka, że światło może być sygnałem ostrzegawczym, wizualnym odpowiednikiem potrząśnięcia ogonem przez grzechotnika.

– Powoli – szepnął Frank. – Musimy dotrzeć do tego land rovera.

Tucker wiedział, że przyjaciel ma rację, chociaż instynkt podpowiadał mu, by zawrócić i uciec. Chwilę później okazało się, że nietoperze nie są tu jedynym zagrożeniem.

Ze szczytu rampy dobiegł krzyk:

– Bierzemy tę ciężarówkę!

Tucker opadł jeszcze niżej i oparł dłoń na podłodze. Rozpoznał głos technika i przypomniało mu się stare powiedzenie, że dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane. Szkoda, że go nie zastrzeliłem, pomyślał.

Zwłaszcza że drań nie przyszedł sam. Miał za sobą gromadę uzbrojonych mężczyzn. Musiał ich zebrać po drodze i przyprowadzić tutaj, bo wiedział, że przejęcie pojazdu daje największe szanse na ucieczkę ze strefy wybuchu.

Żołnierze zbiegali po rampie.

Tucker dał znać Frankowi, że ma iść dalej, po czym wskazał kciukiem zbliżających się mężczyzn.

Uzbrojeni mężczyźni wpadli do garażu. Jeden miał karabin maszynowy.

Tucker uniósł rękę, by przyciągnąć ich uwagę.

– Nie strzelać – rzucił cicho.

Spojrzeli na sufit i kilku ostrożnie przykucnęło. Wszyscy zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa, ale w tym momencie to nie nietoperze najbardziej im groziły. Małeńka srebrna kulka – którą przed chwilą Tucker rzucił w ich stronę – odbiła się od podłogi i poturlała między ich nogami.

Liczył w myślach.

...dwanaście, trzynaście, czternaście...

Popchnął Franka, prawie zbijając go z nóg.

– Ruszaj! – zawołał, gdy doliczył do piętnastu, i pognali do land rovera.

Granat eksplodował, oślepiając Tuckera, mimo że ten miał go za plecami. Poczuł podmuch fali uderzeniowej, ale nie zwolnił. Usłyszał krzyki, gdy nietoperze opadły ku hałaśliwemu zagrożeniu.

Razem dotarli do terenówki. Frank otworzył drzwi i przesunął się na siedzenie pasażera, a jego przyjaciel usiadł za kierownicą.

W stacyjce nie było kluczyka.

Frank wyciągnął rękę i odchylił osłonę słoneczną nad jego głową. Spadł z niej kluczyk z breloczkiem. Tucker złapał go z ulgą, włożył do stacyjki, przekręcił, lecz samochód tylko zakasłał i ucichł.

W garażu padały strzały. Pociski rykoszetowały, krzesząc iskry w ciemności. Mężczyźni krzyczeli. Nietoperze szybko rozprawiły się z tymi, którzy biegli ku pochylni.

Tucker nacisnął pedał gazu, przekręcił kluczyk i błagał o odrobinę łaski. Została mu udzielona. Uparta terenówka znów kaszlnęła, warknęła i zamruczała. Wrzucił bieg i wcisnął gaz do dechy. Land rover był gruchotem, ale stary silnik wysokoprężny wciąż miał w sobie trochę życia.

Samochód wbił się w panujący chaos, wlokąc za sobą chmurę oleistego dymu. Osłona chłodnicy odrzucała żołnierzy na bok. Koła przejeżdżały po ciałach.

Nietoperzy i ludzi.

Tucker skręcił na rampę, wyjechał z garażu i przemknął przez plac. Kierował się ku bramie kompleksu, otworzonej przez uciekających robotników. Nie zdejmował nogi z gazu. Jednym okiem patrzył na drogę, a drugim na mały kompas obracający się w rogu gogli, prowadzący go do Kaina.

Odliczał sekundy do spotkania – podczas gdy w jego głowie tykał zegar.

Zostało osiem minut.

Godzina 23.52

Kiedy syrena ucichła, Charlotte patrzyła, jak nietoperze uspokajają się i opadają. Czowała się jak Tippi Hedren w *Ptakach* Hitchcocka, czekająca na atak skrzydlatego stada.

Spokój, przykazała sobie i nietoperzom.

Ze swojego posterunku przy oknie widziała ludzi uciekających samotnie albo w małych grupach. Nie byli to żołnierze, lecz górnicy w brudnych ubraniach. Przemykali przez opustoszały labirynt, poruszając się cicho, ostrożnie, żeby nie sprowokować czyhających nietoperzy. Kierowali się do lasu i znikali pod jego osłoną.

Wiedzą, co nadchodzi, pomyślała.

– Kończy nam się czas – rzucił stojący przy niej Cort. – Powinniśmy pójść za tymi ludźmi do dżungli.

Charlotte milczała. Monk wyjaśnił, co im grozi. Strefa wybuchu będzie ogromna, o promieniu półtora kilometra. Gdyby zdecydowali się uciekać pieszo, powinni byli wyruszyć dawno temu, zwłaszcza z rannym Cortem.

Ich jedyną nadzieją byli Tucker i Frank.

Ale jak uciec przed takim wybuchem?

– Ktoś tu jedzie – syknął Monk.

Charlotte wyjrzała przez okno. Monk, który stał przy wejściu do baraku, uchylił drzwi, by wyjrzeć na pocięte koleinami uliczki. Osłonił dłonią ucho ze słuchawką, po czym skinął głową.

– To oni. Zaraz tu będą. Tucker każe nam czekać przy drzwiach. Podjedźcie jak najbliżej.

Charlotte spojrzała przez okno i zobaczyła światła pojazdu pędzącego między rzędami ruder. Ściął narożnik jednej z nich i zawałała się. Powodem takiego pośpiechu był nie tylko kurczący się czas. Terenówkę ścigała ciemna chmura. Dudnienie silnika i tańczące światła zwabiły nietoperze i wydawało się, że wszystkie ciągną za pojazdem.

Opuszczały kryjówki, wzbijały się w powietrze i leciały w stronę źródła zamieszania, gotowe wesprzeć atak braci.

Monk podniósł latarkę i błysnął nią w drzwiach, żeby zasygnalizować swoją lokalizację.

– Chodźcie tu! – zawołał. – Wskakujemy, jak tylko się zatrzymają.

Charlotte zdusiła strach, skinęła głową i pchnęła Kaina przed siebie. Cort już stał za nimi, mocno przyciskając rękę do piersi.

Przez szparę w drzwiach widziała szaleńczo pędzący pojazd. Cofnęła się przezornie, pamiętając, jak uderzył w narożnik rudery. Ale kierowca wyhamował w ostatniej sekundzie i zatrzymał się tyłem do drzwi, dwa metry od progu.

– Teraz – szepnął Monk.

Pchnął drzwi ramieniem i wyskoczył pierwszy. Podbiegł do tylnej klapy i otworzył ją szarpnięciem, czemu towarzyszył zgrzyt starych zawiasów.

Charlotte pobiegła za nim. Nietoperze były wszędzie. Jeden uderzył ją w głowę; pazury wplotły się w jej kucyk. Ktoś zdarł go z niej. Obejrzała się, pewna, że Monk przyszedł jej z pomocą, ale on miał przecież tylko jedną rękę. I nadal trzymał nią klapę.

Cort ścisnął nietoperza w zdrowej ręce, równie jak ona zaskoczony swoim zachowaniem. Wystarczyła chwila szoku, by nietoperz wbił kły

w mięsień jego kciuka. Lekarz krzyknął, próbując go strząsnąć, lecz kły ugrzęzły głęboko. Charlotte wyczytała ból w przerażonych oczach Corta.

Chciała mu pomóc, ale pchnął ją tak, że wpadła na zderzak.

– Właż, do cholery! – wrzasnął, bardziej wściekły na siebie niż na nią.

Zanim zdążyła się ruszyć, ktoś ją złapał.

To Frank wciągnął ją do pojazdu.

Cort w końcu uwolnił rękę, tłukąc nietoperzem w bok land rovera. Z twarzą wykrzywioną cierpieniem, strącił na ziemię następnego, który leciał nad jego głową. Obrócił się, chwycił Monka krwawiącą ręką i pchnął go za Charlotte.

– Jazda, do cholery!

Obok niego Kain walczył z nietoperzem, który przysiadł mu na grzbiecie i skrzydłami chłostał kamizelkę. Pies warczał i próbował złapać go zębami. Cort pospieszył mu na ratunek i znów został pogryziony, tym razem w nadgarstek.

Zatoczył się do tyłu, albo z bólu, albo pogodzony z losem. Gdy Kain wskoczył do samochodu, lekarz zatrzasnął tylną klapę i plasnął dłonią w szybę.

– Jedźcie... – szepnął głośno.

Charlotte chciała mu pomóc, ale kierowca – Tucker – był lodowato praktyczny. Wcisnął gaz i samochód ruszył.

Spojrzała przez szybę. Cort stał wyprostowany, nie próbując uciekać. Opadły go nietoperze. Utrzymał się na nogach dłużej, niż uważała to za możliwe.

– Gość wiedział, że już po nim – odezwał się Monk.

– Wiem, ale gdybym...

– Gdybanie nie zda się na wiele. Dał nam czas, żebyśmy się ratowali, i właśnie to musimy zrobić.

Z trudem pogodziła się z tą prawdą. Obróciła się i spojrzała w kierunku jazdy.

Tucker pochylał się nad kierownicą, pędząc przez wyludniony labirynt. Przed nimi rozciągała się dżungla. Wyglądała jak solidna ściana. Kierowca gwałtownie skręcił i pojechał jej skrajem.

Charlotte wyprostowała się.

Dokąd on nas wiezie? – zastanawiała się.

Godzina 23.55

Tucker darował sobie wyjaśnienia.

Zostało tylko pięć minut.

Nie zdążą w tym czasie przebyć półtora kilometra, nie przez dżunglę. Wiedział to od samego początku. Muszą znaleźć jakiś bunkier, wystarczająco oddalony i na tyle mocny, by ich ochronił.

Wierzył w swój plan. Ten łajdak De Coster dał nam szansę, przemknęło mu przez głowę.

Dotarł do południowego krańca osady i dostrzegł odchodzącą od niej pociętą koleinami drogę. Skręcił i dodał gazu. Land rover podskakiwał i kołysał się jak wściekły dziki koń. Mimo to Tucker wciskał gaz do dechy.

Nietoperze zrezygnowały z pościgu, może dlatego, że wypełniły już misję – przepędziły intruzów.

Droga skończyła się szybciej, niż miał nadzieję. Wolałby, żeby od kopalni dzieliła ich większa odległość. Ciemna przestrzeń uniemożliwiała dalszą jazdę. Dotarli do przystani.

Odetchnął z ulgą, patrząc za pomosty. Rząd zakotwiczonych barek nadal przegradzał rzekę. W kilku wysokich sterówkach paliły się światła.

Monk poklepał go po ramieniu.

– Sprytne – rzucił.

– Przekonamy się.

Wewnętrzny zegar Tuckera odliczał.

Trzy minuty...

Zmrużył oczy, ocenił trasę i popędził w kierunku ostatniego pomostu, przy którym stała zacumowana barka. Trap prowadził prosto do otwartego wjazdu w burcie. Był szeroki, przeznaczony do wwożenia wózków z rudą.

Wjechał na pomost i w górę trapu. Land rover zadygotał, ale dzielnie dotarł do wjazdu i wpadł do ładowni.

Dwie minuty...

Tucker nie zatrzymał się. Reflektory omiatały ogromne hałdy węgla i rud metali. Kluczył wokół nich, starając się, by jak najwięcej tych stert znalazło się między nimi a kopalnią.

W końcu zahamował i zwrócił się do towarzyszy:

– Przygotujcie się. Zakryjcie uszy. Otwórzcie usta. Za chwilę czeka nas najgorsza jazda w życiu. – I miejmy nadzieję, że nie skończy się śmiercią, dodał w myślach.

Ostatnia minuta dłużyła się boleśnie. Tucker przecisnął się nad oparciem fotela, żeby znaleźć się przy Kainie. Kulił się razem z nim, czując jego oddech i ciepło. Kain go polizał, trącił jego podbródek zimnym nosem.

– Wiem. Jesteśmy w tym razem. – Do samego końca.

Tucker spojrział na zegarek i zobaczył, że została sekunda.

De Coster cenił sobie punktualność.

Wybuch zabrzmiał jak koniec świata. Wydawał się dość potężny, żeby zgnieść ich samym hałasem. Tucker już myślał, że najgorsze mają za sobą, ale wtedy napłynęła fala uderzeniowa. Pchnęła mocno baręk i zakołysała nią na boki. Z hałd leciały lawiny. Szwy w kadłubie pękały. Burty innych barek, z którymi się zderzali, wgniatały płyty poszycia.

Land rover zachowywał się tak, jakby chciał uciec; ślizgał się po pokładzie i w końcu przewrócił się na bok. Ruda i węgiel grzechotały wokół nich i nad nimi. Wszyscy trzymali się oparcie siedzeń i siebie nawzajem, ale czuli się jak wrzuceni do nastawionego na wysoki bieg mieszalnika do farb. Przygniatali jeden drugiego, uderzali się nawzajem łokciami i kolanami. Wydawało się, że trwa to całą wieczność, ale Tucker wiedział, jak groza spowalnia czas i wydłuża sekundy.

W końcu świat wokół nich się uspokoił. Ale ruda wciąż się osuwała – zasypała cały tył samochodu – a metal nadal jęczał pod wpływem nacisku.

Frank przegramolił się do spękanej przedniej szyby i wybił ją kopniakiem. Wzięli broń oraz sprzęt, wydostali się na zewnątrz i zsunęli po stosie węgla. Barka niemal leżała na burcie.

– Uciekajmy, zanim pójdzie na dno – ponaglił wszystkich Monk.

Tucker wyjął i włączył nienaruszoną latarkę. Gdy wspinał się po niestabilnych hałdach, czuł się jak przewodnik grupy speleologów – z dzielnym psem do kompletu.

Wszyscy utykali, byli posiniaczeni, poobijani i krwawili, ale, co zaskakujące, obyło się bez złamanych kości.

W końcu Tucker dotarł do metalowej drabinki, prowadzącej niemal poziomo do sterówki. Przesuwali się po niej kolejno i w końcu wszyscy znaleźli się na rufie. W oknach sterówki nie ocalała ani jedna szyba. Wydostali się na zewnątrz i zobaczyli ogrom zniszczeń.

Frank jęknął.

– Myślę, że zatonięcie raczej nam nie grozi – powiedział.

Tucker patrzył na ciemną dżunglę, która otaczała ich ze wszystkich stron. Rozbite barki przypominały wrak wykolejonego pociągu. Cała blokada została zepchnięta z rzeki do lasu.

Kawałek dalej dymił ogromny krater. Z jego serca buchały płomienie, które było widać nawet w chmurze pyłu. Nie dało się ocenić średnicy leja, nie w ciemności.

– Co teraz? – zapytała Charlotte.

Tucker przedyskutował to wcześniej z Frankiem, z głupim optymizmem, że może jednak przeżyją. Teraz spojrział na niego tak, jakby mówił: „No proszę. Przeżyliśmy”.

Wskazał w górę rzeki.

– Ten łajdak De Coster planuje coś podobnego na swojej wyspie – powiedział. – Podśluchaliśmy go. Nazwał to sprzątniem. Zamierzamy dopilnować, żeby został tam bałagan.

Charlotte nie kryła strachu.

– Chcesz tam wrócić? – spytała.

– To nasza najlepsza szansa na znalezienie radia. Zwłaszcza teraz, gdy wiemy, jak sprawić, by działało. – Myślał o pendrivie Drapera. – Poza tym przy okazji możemy się trochę zrewanżować.

Monk skinął głową na znak, że aprobeje ten plan. Kain machnął ogonem.

– Idę z wami – oświadczyła Charlotte. Wyczuła narastający sprzeciw i szybko dodała: – Mam tam pacjentów. Nadal jestem za nich odpowiedzialna.

– To będzie długa droga – uprzedził Frank.

– Nie spiszę ich na straty – powiedziała i wyprostowała się.

Monk uśmiechnął się do niej.

– Możesz zostać moją lekarką?

Prowincja Ituri, Demokratyczna Republika Konga

25 kwietnia, godzina 4.11 czasu miejscowego

Gray mocno trzymał kierownicę, gdy jechali po trudnym terenie pełnym obrośniętych porostami głazów i omszałych skał. Snopy świateł pojazdu bezustannie podskakiwały, przebijając ciemność pod gęstym baldachimem liści. Masywne opony wgrzyzały się w podłoże, gdy shatun pokonywał przeszkody jak szalona ciężarówka widmo z horrorów. Kabina przechylała się to w jedną, to w drugą stronę, rzucając pasażerami na boki.

Benjie i Faraji siedzieli z tyłu. Mieli zapięte pasy, ale zapierali się rękami i nogami, jak dwie małpy walczące o utrzymanie się na rozkołysanym przez burzę drzewie.

Siedzący obok Graya Kowalski chrapał, konkurując z warkotem silnika. Jego głowa kiwała się we wszystkie strony, ale karkołomna jazda nie wystarczyła, żeby go zbudzić. Mogło to dowodzić, że w jego łepetynie nie ma niczego, czym można by wstrząsnąć.

Komandor przejął kierownicę dwie godziny temu, gdy skończyła się nocna burza, chociaż dżungla nadal ociekała wodą. Szukał na niebie zapowiedzi świtu, modląc się o jakiś znak, że ta długa podróż wreszcie dobiega końca.

Wokół były tylko lesiste góry, strome urwiska i stożki wulkaniczne. Niektóre szczyty wznosiły się na ponad cztery i pół tysiąca metrów.

Zmierzali z zachodniej części kontynentu, zwanej Afryką Niską, ku wysokim płaskowyżom i pasmom górskim Afryki Wysokiej. Te dwa regiony rozdzielał długi na sześć i pół tysiąca kilometrów ciąg Wielkich Rowów rozpadający się na wiele mniejszych szczelin. Z mapy wynikało, że wprost przed nimi jest ich najbardziej niegościnniej odcinek – Ryft Alberta.

Niebieska linia, którą Gray narysował na mapie, prowadziła w samo serce wrogiego terytorium, gdzie wznosi się wysoko somalijska płyta tektoniczna, tworząc nieprzeniknioną barierę złożoną z urwisk i stromych gór.

Gdy jechali w jej kierunku, miał nadzieję, że las się przerzedzi, ale stawał się coraz wyższy i gęstszy, jakby dżungla próbowała spłaszczyć te wyżyny samym swoim ciężarem. Połączone siecią lian palmy i czerwone cedry osiągały tu gigantyczne rozmiary, a kępy bambusów tworzyły nieprzebyte gęszcz. Omszała dżungla, opleciona pnączami i przystrojona wielkimi paprociami, wyglądała jak prehistoryczny las, jak pamiątka z okresu jury.

Dżungla próbowała wcisnąć się do kabiny przez brakującą przednią szybę i smagała ich liśćmi. W powietrzu unosiła się słodkawa woń rozkładu. W kabinie roiło się od komarów i czarnych żądlących much. Chwile wytchnienia mieli jedynie wtedy, gdy zwalniali i spaliny z rury wydechowej wpadały do środka, przepędzając natrętne owady. Ale kiedy tylko przyspieszali, chmary wracały.

Gray, uważający owady za drobne utrapienie, nieustannie przeczesywał dżunglę wzrokiem, wypatrując większych niebezpieczeństw. Jakiś czas temu obok pojazdu przeszło stado dzikich świń z zakręconymi szablami, omijając go jak rzeka gład. Nie zwracały na nich uwagi, nie szukały zaczepki.

Teraz przyłapał się na tym, że wstrzymuje oddech. Napięcie prężyło mu mięśnie między łopatkami. Bez przedniej szyby czuł się odsłonięty. Nic ich nie atakowało od wielu godzin, ale spodziewał się napaści w każdej chwili. Rozglądał się, wjeżdżając na kolejne strome wzniesienie.

Kiedy dotarł na szczyt, wreszcie zobaczył wyrównany teren. Wcześniej jechał wzdłuż wezbranego strumienia, gdzie niedawna powódź oczyściła brzeg z większości krzaków, a tu mógł przyspieszyć, nabrał więc nadziei. Lecz ciemna dżungla wokół nadal wyglądała onieśmialająco. Las deszczowy Ituri zajmuje prawie sześćdziesiąt pięć tysięcy kilometrów kwadratowych. Jedna piąta tego obszaru podlega ochronie i względnej kontroli, ale reszta jest dzika i nieokiełznana. Tu, w odległym wschodnim zakątku, w labiryncie gęsto rosnących drzew mogło się skrywać wszystko.

Benjiego widocznie martwiło to samo, bo odpiął pasy i pochylił się w stronę Graya.

– Myślałem o źródle tego wirusa – powiedział.

Komandor spojrzał na niego.

– I co? – spytał.

– Jeśli to, czego szukamy, naprawdę jest gdzieś przed nami, musiało pozostawać w uśpieniu przez wieki, może tysiąclecia.

– Przynajmniej do czasów Prezbitera Jana i jego zaginionego królestwa.

– Tak. Ale przez co zostało wybudzone po tak długim czasie? Musiała być jakaś przyczyna. Właśnie nad tym się głowię.

Gray zmarszczył brwi, patrząc na biologa.

– Myślałem, że to ostatnie powodzie wyniosły wirusa – powiedział.

– Nie mam wątpliwości, że ulewne deszcze przyspieszyły jego rozprzestrzenianie się. Ale dochodzę do wniosku, że uaktywnił się przed burzami. Kilka miesięcy temu, może nawet wcześniej. To, co widzieliśmy, utwierdza mnie w tym przekonaniu.

– O czym mówisz?

– Ciągłe myślę o tamtych szakalach. Deszcze i powódzie zmusiły je do migracji z ich terytorium. Musiały uciec z miejsca, w którym co najmniej przez rok były narażone na kontakt z wirusem. Tylko wtedy powstały takie zmiany biologiczne.

Gray rozważył jego słowa. Młody biolog twierdził wcześniej, że ciąża i okres osiągnięcia dojrzałości przez szczenię trwają u szakali prawie rok.

– Ale gdyby to stado od zawsze żyło w zasięgu wirusa – ciągnął Benjie – spodziewałbym się większych różnic w wyglądzie, zwłaszcza po tylu pokoleniach. Nie byłyby tylko większymi wersjami swoich przodków.

– Sądzisz więc, że te zwierzęta były narażone na działanie wirusa jedynie w ciągu ostatniego roku, co wywołało tylko nieznaczne zmiany. A później uciekły przed powodziami.

Benjie skinął głową.

– Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że wirus zaczął się rozprzestrzeniać gwałtownie, ale początkowo tylko na ograniczonym obszarze i wpływał jedynie na lokalne organizmy. Później powoli szerzył się na innych obszarach i przenosił z gatunku na gatunek.

– Dopóki nie nadeszły burze – dodał Gray.

Biolog skinął głową.

– Powódź wywołała masową migrację, ogromną zmianę w środowisku i ostatecznie doprowadziła do infekowania ludzi – powiedział.

– Co, jak wiemy, zaczęło się niedawno. Ale uważasz, że wirus dojrzewał znacznie dłużej.

– Tak. I to mnie martwi.

– Dlaczego?

– Skupiliśmy się na ustaleniu, skąd pochodzi, ale równie ważne jest odkrycie, co spowodowało jego rozprzestrzenianie się po latach uśpienia.

– Masz już jakieś pomysły?

– Możliwe...

Gray usłyszał wahanie w głosie młodego człowieka. Benjie był niezwykle inteligentny, potrafił rozwiązywać zagadki może równie dobrze jak on. Pod tym względem był jego bratnią duszą.

– O czym myślisz? – spytał komandor.

– Wydaje się – odparł Benjie, wpatrując się w dżunglę – że w tej chwili jesteśmy głównym celem wirusa. Doprowadza ludzi do tego, że stają się bezwolni i zapadają w śpiączkę, i jednocześnie zwraca środowisko przeciwko nam. Chociaż może przypisuję mu zbyt wiele inteligencji i umiejętności przewidywania. Może to wszystko jest po prostu spowodowane tym, że człowiek wtargnął w jego biosferę. Budując drogi, zapory, wycinając lasy.

– Na mapie widać dużą firmę wydobywczą, Kilo-Moto, w północno-wschodnim rogu Konga, tuż przy granicy. – Gray wyciągnął rękę w tamtym kierunku. – To tylko kilkaset kilometrów stąd. Czytałem, że powoli zagarniają kolejne połączenia dżungli.

Kopalnia przyciągnęła jego uwagę także z innego powodu. Została założona w 1903 roku, gdy nad rzeką Ituri znaleziono pierwsze samorodki złota. Biorąc pod uwagę, że on i jego towarzysze szukają mitycznego królestwa powiązanego z legendami o słynnych kopalniach króla Salomona, uznał, że Kilo-Moto może potwierdzać tezę o istnieniu zaginionej kopalni w tym regionie.

Benjie spojrział we wskazaną przez niego stronę.

– Może rozszerzenie prac wydobywczych zakłóciło naturalne środowisko wirusa, powodując jego uwolnienie. Ale nie wiem. – Potarł

zarost na szczęce, delikatny jak meszek brzoskwini. – Nie kupuję tego. Nadal uważam, że brakuje nam katalizatora. Czegoś bardziej dramatycznego, co błyskawicznie wpłynęło na środowisko i wypuściło wirusa na świat.

– Na przykład?

Biolog wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia – odparł. – Ale jeśli istnieje odpowiedź, to jest gdzieś przed nami.

Więc lepiej ją znajdziemy, pomyślał Gray i skupił się na drodze.

Godzina 5.02

Czterdzieści minut później komandor otarł pot z oczu. Strumień, wzdłuż którego jechali, parował, niemal jakby woda zbliżała się do punktu wrzenia. Para zwiększała wilgotność powietrza i przesycala je siarkowym smrodem.

Odetchnął z ulgą, gdy strumień w końcu zniknął pod ziemią. Kiedy mijał gorące źródło, przypomniał sobie, że cały obszar ryftu jest aktywny geologicznie, nawiedzany przez częste trzęsienia ziemi, pełen uspiionych i czynnych wulkanów.

Radość z ucieczki od drapiących w gardło wyziewów nie trwała długo, bo wkrótce dżungla zamknęła się po obu stronach shatuna i teren znów się wznosił.

Zwolnił. Przez prześwity w baldachimie koron widział na tle nieba sylwetki szczytów osrebrzone gdzieś przez blask księżyca, który wreszcie wyłonił się zza chmur. Gray próbował ocenić odległość.

Musimy być blisko, uznał.

Zatrzymał pojazd i szturchnął Kowalskiego, który wciąż pochrapywał. Nie doczekał się odpowiedzi, więc spróbował jeszcze raz, z większym

zapalem. Gdy zamachnął się, żeby przyłożyć mu w żebra, jego łokieć został unieruchomiony przez wielką dłoń.

– Uderz mnie jeszcze raz, a oddam ci zawiązką – warknął Kowalski, odpychając go.

Gray zignorował pogrózkę.

– Bierz mój plecak – rzucił. – Pora się zameldować. Może Painter i Kat mieli więcej szczęścia niż my.

Olbrzym chwilę pogderał, po czym wyjął z plecaka telefon satelitarny i włożył baterię. Podał aparat Grayowi.

– Założę się o lewe jajo, że Sigma jest tak samo w lesie jak my – powiedział.

Komandor był człowiekiem większej wiary. Zadzwoił do dowództwa Sigmy. Połączenie zostało natychmiast odebrane. Painter i Kat najwyraźniej czekali na telefon.

– Dotarliśmy na wyżyny – zameldował Gray. – Macie coś dla mnie?

– Pozwolę Kat odpowiedzieć na to pytanie – odparł dyrektor.

Gray usłyszał napięcie w jej głosie, gdy się odezwała:

– Nie zdołaliśmy z całkowitą pewnością zlokalizować wskazanego miejsca, no ale zdjęcie zostało zrobione ponad sto lat temu. Erozja i osuwiska mogły znacznie zmienić tę skarpe.

Komandor przymknął oczy i serce zamarło mu w piersi.

– Dokonaliśmy z Jasonem pewnych ekstrapolacji – kontynuowała Kat.
– Szukaliśmy obszarów najbardziej pasujących do formacji skalnych na zdjęciu. Wybraliśmy osiemnaście możliwych miejsc. Przesyłam ci je.

Trzymając telefon przy uchu, Gray sięgnął do tabletu i wczytał mapę. Na ekranie pojawiły się maleńkie niebieskie kwadraty, rozsiane po wyżynach.

– Nie byliście w stanie ich bardziej zawęzić? – spytał.

– Byliśmy trochę zajęci – odparła ostro Kat.

Domyślił się powodu jej irytacji i napięcia.

– Jakież wieści o Monku i innych?

– Jeszcze nie – rzuciła.

– Chaos rozprzestrzeniający się wraz z wirusem – włączył się do rozmowy Painter – i niekompetentny rząd w Kongu utrudniają nawiązanie współpracy. Ponadto cały obszar jest nawiedzany przez burze. Mamy nadzieję, że do świtu będziemy w stanie podjąć bardziej zdecydowane wysiłki.

Gray wyobrażał sobie strach Kat.

– Nie wątpię, że do tego czasu Monk sobie poradzi – powiedział.

– Mam nadzieję. – Kat westchnęła ciężko.

Gray wpatrywał się w niebieskie kropki na mapie. Odłożył na bok niepokój o przyjaciela. Nie mógł mu teraz pomóc, a miał przed sobą trudne zadanie. Rozłączył się, bo nie chciał przedłużyć połączenia. Przekazał swoim towarzyszom to, czego się dowiedział. Podał im tablet, żeby wiedzieli, co ich czeka.

Kowalski zwrócił mu go z gniewną miną.

– Niewiele nam to daje – rzucił.

– Fakt.

– Cóż, przynajmniej zachowam lewe jajo. – Olbrzym opuścił ramiona.

– Dokąd jedziemy? – spytał Benjie, wpatrując się w dżunglę. – Od czego mamy zacząć?

– Udamy się do najbliższego miejsca na mapie – odparł Gray i wrzucił bieg. – A potem sprawdzimy pozostałe.

Benjie odchylił się na oparcie fotela.

– Możemy tu spędzić całe tygodnie – skwitował. – Wystarczy nam zapasów?

– Nie.

Mimo to musieli kontynuować poszukiwania. Gray ruszył pod górę. Dżungla gęstniała z każdym kilometrem; teren stawał się coraz bardziej stromy i zdradliwy. Jechali w żółwym tempie.

Gray doszedł do wniosku, że biolog, mówiąc o tygodniach, które zajmą im poszukiwania, był bardzo optymistyczny. Przeszukanie wszystkich osiemnastu miejsc może zająć miesiące. Westchnął ciężko na trudnym odcinku zbrocza. Koła buksowały i ledwie chwyciły przyczepność. Zostawiali za sobą głębokie ślady wryte oponami. Pamiętając, jak szybko dżungla wypełnia każdą otwartą przestrzeń, komandor wiedział, że po kilku dniach znikną, i ta myśl go zdenerwowała.

Gdy pojazd telepał się przez labirynt skał i drzew, przypomniał sobie historię opowiedzianą przez ojca Bailey'a, jak w dwunastym wieku osobisty lekarz papieża Aleksandra III szukał w dżungli zaginionego królestwa Prezbitera Jana i ślad po nim zaginął.

Nic dziwnego, pomyślał.

Zerknął w lusterko wsteczne. Przysięgłby, że widzi zamykający się za nimi szlak. Może była to gra świateł, ale wyglądało to tak, jakby pnącza wiły się w koleinach. Po obu stronach paprocie rozkładały liście, maskując zostawione przez nich ślady. Przetarł oczy i zamrugnął.

– Uważaj! – krzyknął Benjie.

Gray spojrzął przed siebie i wcisnął pedał hamulca.

Kowalski szarpnął się w pasach.

– Co jest, do cholery? – prychnął.

Coś wpadło przez przednie okno i wbiło się w oparcie między nim a Grayem. Była to włócznia. Drzewce wibrowało obok nich.

Przeklinając głośno, Kowalski odpiął pasy, uniósł swoją nową cudowną broń i przyłożył kolbę do policzka.

– Czekaj – powstrzymał go Gray, wyciągnął rękę i skierował lufę shurikena w dół.

Reflektory oświetlały stojących przed nimi niewielkich ludzi. Byli nadzy, z wyjątkiem przepasek biodrowych, uzbrojeni we włócznie i łuki. Gray był pewien, że w lesie ukrywa się więcej myśliwych.

Przypomniał sobie figurki naszkicowane na odwrocie przedostatniego zdjęcia Shepparda. Przedstawiało właśnie takich wojowników.

Pigmeje.

Wystawił ręce przez okno. Podejrzewał, że włócznia była strzałem ostrzegawczym; miała ich zachęcić do zawrócenia. Ale liczył na coś więcej niż rozmowy pokojowe. Potrzebował pomocy miejscowych. Jeśli ktokolwiek znał te ziemie, to właśnie oni, polujący tu od tysiąclecia.

Czy tak brzmiała wiadomość narysowana na odwrocie zdjęcia Shepparda?

„Szukać pomocy plemienia”?

Myśliwi nie zaatakowali ponownie, ale też nie usunęli się z drogi.

– Co robimy? – zapytał Kowalski.

– Musimy zakończyć ten impas. – Trzymając ręce w górze, Gray spojrzał za siebie. – Potrzebujemy posła.

Godzina 5.20

Benjie trzymał się z tyłu z Grayem i Kowalskim, nie kryjąc niepokoju. Stali we trzech obok pojazdu. Faraji, oświetlony blaskiem reflektorów, zbliżał się do Pigmejów, wysoko unosząc ręce.

Gdy dotarł do myśliwych, ci wymierzili groty włóczni w jego pierś i napięli łuki.

– Może to nie był najlepszy pomysł – mruknął Benjie.

Gray też się martwił o chłopca, ale nie miał innego wyjścia, niż posłać go, żeby porozmawiał z miejscowymi.

– Tylko Faraji zna ich mowę – powiedział. – Musimy się dowiedzieć, czy nam pomogą.

Młody biolog starał się zapanować nad nerwami. Miał nadzieję, że Faraji przekona tych ludzi i zdobędzie ich zaufanie, choć wiedział, że nie będzie to łatwe.

Przed wyprawą czytał o mieszkających w Kongu plemionach Pigmejów. Wiele z nich mówiło w języku bantu, jak Faraji, ale inne posługiwały się własnymi dialektami. Niegdyś byli jednym ludem, mieli tych samych przodków, ale trzy tysiące lat temu rozdzielili się na odrębne grupy, gdy na ich tereny wkroczyli rolnicy. Dziś wiele plemion nawet nie wie o istnieniu innych.

Pigmeje żyją w Afryce Środkowej od ponad dziewięćdziesięciu tysięcy lat. Benjiego intrygowało ich owiane tajemnicą pochodzenie. Nieznana jest nawet przyczyna ich niskiego wzrostu. Jedni uważają, że to następstwo niedoboru witaminy D wynikające z życia w cieniu dżungli, co prowadziło do słabego wchłaniania wapnia. Drudzy twierdzą, że przyczyną jest brak białka i mało zróżnicowana dieta. Są też inne teorie. Tak czy inaczej, coś zmieniło strukturę genetyczną Pigmejów. Ich dzieci rosną tak samo jak inne, ale tylko do okresu dojrzewania.

Benjie uważał tę genetyczną wyjątkowość za fascynującą, ponieważ łączyła się z jego badaniami nad cechami dziedzicznymi wywołanymi przez stres. Niestety, ta wiedza niewiele teraz pomogła.

Faraji energicznie gestykulował. Docierały do nich strzępy rozmowy w języku bantu. Najwyraźniej przynajmniej kilku myśliwych znało ten język. Ale to wcale nie zmieniało ich nastawienia. Kręcili głowami i potrzęsali włóczniami.

W końcu Benjie domyślił się powodu ich nieufności. Nieco ponad dziesięć lat temu siły rebeliantów w Kongu rozpoczęły ludobójczy pogrom, wymierzony w rdzenne plemiona Pigmejów. Nazwa operacyjna brzmiała *Effacer le tableau*, czyli „wymazywanie tablicy”. W ciągu roku wymordowano ponad siedemdziesiąt tysięcy Pigmejów. Nic dziwnego, że postrzegają nas jako zagrożenie, pomyślał.

Włócznie dźgnęły w pierś Farajiego, odpychając go. Chłopiec cofnął się i opuścił ręce na znak porażki.

– Wygląda na to, że nici z dyplomacji – zauważył Kowalski.

Benjie nie chciał się jednak poddać. Rozważał możliwości, analizował je, porównywał z tym, co wiedział o tych plemionach. Czytał, że Pigmejowie mają długą tradycję ustną: przekazują swoje dzieje w pieśniach i opowieściach.

Czy mogli zachować wiedzę sprzed stulecia? – zastanawiał się.

– Pokaż im zdjęcia Shepparda – zwrócił się do Graya. – Wiemy, że tędy przechodził. Może go rozpoznają.

Komandor po chwili namysłu skinął głową.

– Czemu nie? Warto spróbować.

Gdy wrócił do samochodu po fotografie, Benjie otworzył tylne drzwi i znalazł plecak Farajiego. Wyjął z niego *ngedi mu ntey*, cenną skrzynkę plemienia Kuba. Zdjął wieko i wyjął z niej coś, co mogło przywołać wspomnienia myśliwych, figurkę *ndop*, misternie wyrzeźbiony wizerunek Williama Shepparda.

– Weźmy wszystko – powiedział. – Mam nadzieję, że zrozumieją.

Gray spojrział na Kowalskiego.

– Zostań tu.

Olbrzym wzruszył ramionami, zadowolony z powierzonego mu zadania.

Benjie podejrzewał, że komandorowi nie chodziło o pilnowanie pojazdu, tylko o trzymanie wybuchowego wielkoluda z dala od Pigmejów.

Podszedł z Grayem do Farajiego. Tymczasem spomiędzy drzew wyłonili się kolejni myśliwi i ich otoczyli.

Chłopiec odwrócił się i spojrział z przerażeniem na cenną skrzynkę; może obawiał się, że zostanie przekazana jako prezent.

– Chcemy sprawdzić, czy ci ludzie wiedzą coś o wielbnym Sheppardzie – wyjaśnił Benjie. – Wiemy, że przeszedł przez...

Jeden z Pigmejów wystąpił naprzód. Był stary, miał siwe włosy i obwisłą skórę na żylastych mięśniach, rozpierała go jednak energia. Rozbłysły mu oczy.

– Szep. Perd – wymówił nazwisko wielbego tak, jakby składało się z dwóch słów. Wyglądało na to, że go rozpoznał.

Gray podszedł do starca i rozłożył zdjęcia. Pigmej, krzywiąc się, machnął włócznią i wytrącił fotografie z jego ręki.

Faraji westchnął i schylił się, żeby je pozbierać.

Starzec skierował grot włóczni w stronę Benjiego. Wskazał rzeźbę, którą ten trzymał.

Młody biolog nerwowo przełknął ślinę i uniósł figurkę.

Pigmej zrobił krok i wyrwał mu ją z ręki. Obejrzał ją dokładnie i nawet powąchał. Przesunął palec z kolonialnego hełmu na twarz, na delikatne rysy wyrzeźbione z pożyłkowanego srebrzyście hebanu. Po chwili z wielkim

szacunkiem oddał figurkę, oparł włącznie o ziemię i patrzył na nich wyczekująco.

Kiedy Faraji zebrał zdjęcia i wyprostował się, Gray położył dłoń na jego ramieniu.

– Powiedz im o niebezpieczeństwie w lesie. Powiedz, że szukamy miejsca, do którego poszedł Sheppard. Zaginionego miasta ukrytego w dżungli.

– Powiedziałem im – odparł chłopiec. – Nie o wielebnym Sheppardzie. Ale całą resztę.

– Jeśli gdzieś tutaj jest ukryte lekarstwo, musimy je znaleźć.

Benjie zauważył, że starzec przysłuchuje się tej wymianie zdań, lekko mrużąc oczy, jakby rozumiał, i że gdy patrzył na figurkę *ndop*, jego wyraz twarzy złagodniał i malował się na niej smutek, a może rozczarowanie.

Zanim Faraji zdążył się odezwać, stary myśliwy odwrócił się. Uniósł rękę i zagwizdał przeciągle, nakazując odwrót swoim ludziom. Najwyraźniej miał dość intruzów.

Gray właśnie tego się obawiał. Zrobił krok w jego stronę.

– Zaczekajcie! – zawołał.

Ale starzec nie wzywał do odwrotu; wzywał istoty, które kryły się między drzewami.

Wyszły z dżungli w blask reflektorów i zaczęły otaczać intruzów. Zbliżały się z nisko opuszczonymi łbami, strosząc długie wąsy na pyskach. Uszy miały sztywne i wysokie, szpiczaste. Sierść jeżująca się na wygiętych w łuk karkach przypominała kolce. Ciemne bursztynowe oczy odbijały światło.

Kłęby zwierząt sięgały ramion myśliwych.

Benjie rozpoznał gatunek.

W każdym razie ten, do którego kiedyś należały.

Przyglądał im się uważnie, próbując powstrzymać strach.

Pręgowana sierść potwierdziła jego klasyfikację, tyle że sierść tych zwierząt migotała, mając wzrok. Dzięki pręgom zwierzęta wtapiały się w otoczenie. Nic dziwnego, że do tej pory ich nie zauważyli. W dżungli były bardziej cieniem niż materią.

– *Fisi ndogo* – szepnął Faraji w języku bantu. On też je rozpoznał, nawet w ich odmienionej wersji.

Gray spojrział na chłopca, a potem na Benjiego.

– *Proteles cristata* – wyjaśnił młody biolog. – Protele grzywiaste.

Gray nie znał tego gatunku.

– To wilki?

– Należą do hienowatych – odparł Benjie. – Ale te są ogromne. – Nie odrywał wzroku od tych zwykle żyjących samotniczo stworzeń. Wiedział, że protele żywią się głównie termitami i innymi owadami. Te tutaj ważyły po co najmniej sto kilogramów. Obnażały zęby stworzone do gryzienia czegoś więcej niż owady.

Przez cały czas zachowywały przerażającą ciszę.

Starzec stanął przed największym zwierzęciem ze stada, potężnym samcem, i wyciągnął rękę. Protel podszedł i trącił ją nosem. Puszysty ogon kołysał się miarowo, ale spojrzenie nieruchomych oczu nie odrywało się od Benjiego i jego towarzyszy.

Pigmej pochylił się nad zwierzęciem i jego usta zaczęły się bezgłośnie poruszać. Przypominało to relację Tuckera z Kainem, ale Benjie wyczuwał tu coś bardziej intymnego, więź o wiele głębszą i starszą. Protel potrząsnął łbem, musnął rękę starego człowieka, odwrócił się, dał susa i zniknął w lesie.

Starzec podążył za nim; pozostali Pigmeje i protele poszli w ich ślady. Benjie, Gray i Faraji zostali. Stary myśliwy obejrzał się i skarcił ich wzrokiem za opieszałość.

Benjie zrozumiał.

– Chce, żebyśmy poszli z nimi – powiedział.

Gray odwrócił się i przywołał Kowalskiego.

– W takim razie idziemy! Chodź! – zawołał.

Młody biolog spojrzał na twarz starca i przebiegł go dreszcz pod wpływem intensywnego spojrzenia jego ciemnych oczu. W tym momencie poczuł się tak, jakby wpatrywała się w niego cała dżungla.

I może to prawda, pomyślał.

Godzina 6.04

Gray szedł za myśliwymi, którzy mimo niewielkiego wzrostu szybko przemierzali dżunglę, podążając ścieżką, którą znali tylko oni. Po półgodzinie zupełnie stracił orientację.

Przed opuszczeniem pojazdu przedsięwziął środki ostrożności i sprawdził ich położenie, żeby zaznaczyć to miejsce na cyfrowej mapie, ale gdy oglądał się za siebie, nie był pewien, czy uda mu się znaleźć drogę powrotną.

Benjie i Faraji – obaj mocno spoceni – szli tuż za nim.

Kowalski z shurikenem na ramieniu trzymał się z tyłu. Pigmeje nie zaprotestowali, gdy zobaczyli, że zabierają ze sobą broń i plecaki. Ale przecież mieli zapewnioną ochronę. Niewidoczne w lesie protele przemykały po ich prawej i lewej stronie i jeśli się pokazywały, to tylko na chwilę.

Gray był zadowolony z ich obecności. Uznał, że skoro plemię współpracuje z tymi groźnymi zwierzętami – tak radykalnie przemienionymi – to przeszłość tych ludzi musi być powiązana ze źródłem wirusa.

Na to liczył.

Szli przez las pełen urwisk i wznoszących się nad korony drzew iglic skalnych. Musieli przeskakiwać albo omijać głazy. Widoczne skrawki nieba zaczęły się rozjaśniać. Słońce jeszcze nie wzeszło, ale zbliżał się świt.

Wokół panowała niczym nieprzerywana cisza. Nie słyszeli pisków ani krzyków, ucichło nawet brzęczenie komarów. Graya trochę niepokoił ten brak leśnych odgłosów. Miał wrażenie, że z każdym krokiem bezprawnie wdzierają się na cudzy teren. Przyłapał się na wstrzymywaniu oddechu, jakby ze strachu, że zakłóci ciszę.

Teraz szli suchym korytem strumienia na dnie głębokiego wąwozu. Po obu stronach, za zasłoną roślinności, wznosiły się skały. Koryto z wypolerowanych kamieni prowadziło ich w stronę strzelistego urwiska, na którym rosły paprocie. Nagle Gray zdał sobie sprawę, że kamienie pod ich stopami nie są dnem wyschniętego strumienia. Szli po pozostałościach starej drogi, której środek wyłobiała płynąca przez stulecia struga.

Droga dochodziła do wielkiej szczeliny w skalnej ścianie. Drobnymi myśliwi zatrzymali się między dwoma znajomymi kamiennymi filarami przy wejściu.

Benjie ze świstem wciągnął powietrze. Na jego twarzy malowała się ulga, gdy zmierzał w tamtą stronę.

– Udało nam się – powiedział.

Faraji z ponurą miną wypowiedział nazwę jak przekleństwo.

– Mfupa Ufalme.

– Mam nadzieję, że to będzie warte pęcherzy na moich stopach – biadolił Kowalski.

Nie zdążyli podejść, gdy z wejścia wypadło coś ciemnego: ogromny protel, którego widzieli wcześniej. Podbiegł do starszego plemienia i zaczął się o niego ocierać. Było to chłodne powitanie bez śladu służalczości czy szacunku. Zwierzę po prostu okazało, że akceptuje powrót mężczyzny.

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę wejścia.

Protel nie przyszedł sam. W ślad za nim pojawił się kolejny, wyższy od niego o jakieś trzydzieści centymetrów, miejscami wyliniały ze starości. Miał siwą sierść pociętą ciemniejszymi pręgami i śnieżnobiały pysk. Wyłonił się z cienia i stanął na straży.

Za nim ukazał się wysoki czarny mężczyzna o krótkich włosach, posiwiący ze starości jak protel. W ręce trzymał laskę z wypolerowanego białego drewna. Był Kongijczykiem, chociaż Gray podejrzewał, że ten człowiek nie uznaje narodowości, granic ani rządów. Mimo sędziwego wieku jego oczy błyszczały, gdy ponad głowami myśliwych spoglądał na przybyszów. Mijając protela, postukiwał laską. Był w sandałach i prostej brązowej szacie haftowanej w czarne romby i strzałki.

Gray rozpoznał ten wzór. Faraji nazwał go *mbul bwiin* i powiedział, że to wzór rodziny królewskiej ludu Kuba. Na szacie, na wysokości piersi mężczyzny, był wyhaftowany podwójny węzeł, tak zawiły, że trudno było oderwać od niego wzrok. Wydawał się poruszać, gdy stary człowiek wyłonił się z cienia i wszedł w pierwsze promienie nowego dnia.

Dzięki Farajemu Gray znał ten symbol. *Imbol* oznaczał majestat króla. Złota opaska na głowie mężczyzny potwierdzała jego status.

Pigmejscy myśliwi ukłonili się z szacunkiem, ale nie unizieniem.

Król podniósł rękę na powitanie i przemówił po angielsku z lekkim brytyjskim akcentem.

– Jeśli szukacie odpowiedzi, chodźcie za mną. – Zanim się odwrócił, dodał przestrożę: – Wiedźcie jednak, że możecie spotkać się z odmową. Jest rozgniewana i bezlitosna.

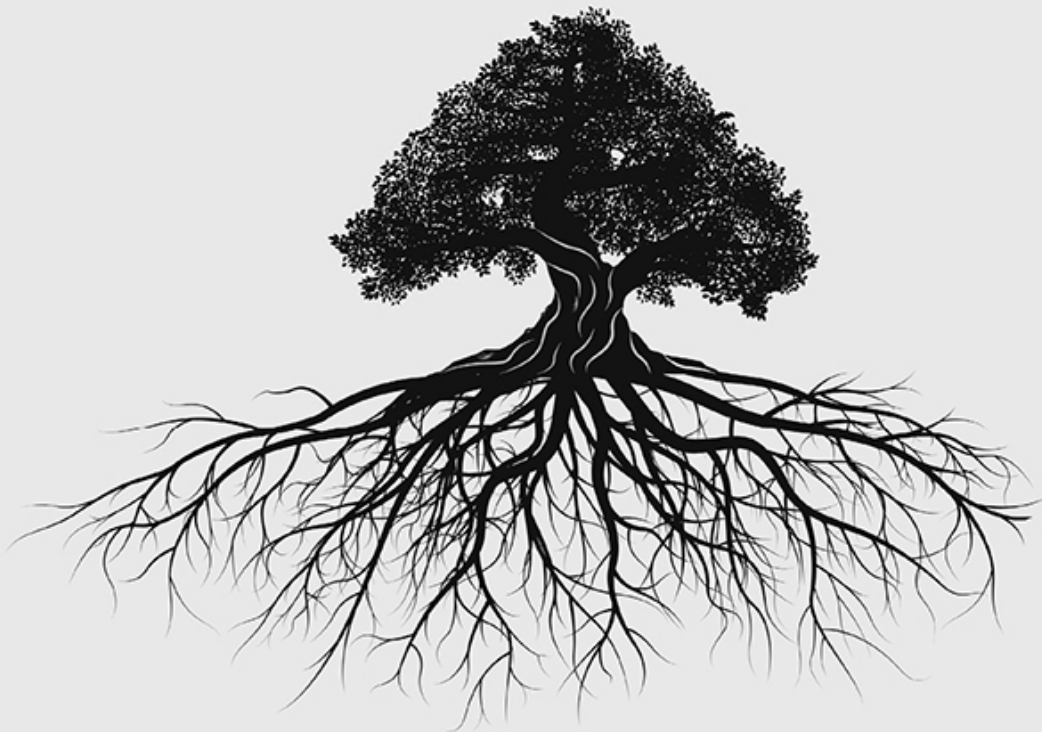
Odwrócił się i wszedł w wejście między dwoma kolumnami.

Gray spojrział na swoich towarzyszy. Miał tysiące pytań, ale teraz jedno cisnęło mu się na usta.

O kim on mówi?

CZEŚĆ PIĄTA

INWAZJA



Prowincja Ituri, Demokratyczna Republika Konga

25 kwietnia, godzina 6.28 czasu miejscowego

Idąc za wysoką postacią w złotym diademie, Gray próbował zrozumieć, kto ich prowadzi. Mężczyzna nosił się dostojnie, mimo że wspierał się na lasce. Siwe włosy tworzyły nimb podtrzymujący skromną koronę. Wzór na jego szacie, który bardziej przypominał cętki cieni niż haft, zmieniał się z każdym krokiem.

Gdy kroczyli zwirową ścieżką w rozpadlinie między wysokimi urwiskami, król rozmawiał cicho ze starszym Pigmejem, który przyprowadził tu Graya i jego towarzyszy.

Wśród paproci przemykały protele i po chwili znikwały. Inne szły z tyłu razem z myśliwymi.

Urwiska po obu stronach ścieżki rozchodziły się, tworząc klin gęsto porośnięty drzewami, których korony łączyły się, tak że przybysze mieli wrażenie, że idą w tunelu. Listowie było dość rzadkie, dzięki czemu widzieli przebłyski rozjaśniającego się porannego nieba. Miejscami szli nie po luźnych kamieniach, lecz po stopniach wyciętych w litej skale. Ścieżka wznosiła się w głąb górskiego labiryntu. Co jakiś czas mijali coraz wyższe słupy wykute ze skały; wyglądały jak starożytne znaki drogowe.

– Myślę, że kiedyś wspierały się na nich łuki – szepnął Benjie. Wskazał następną parę z wierzchołkami schylonymi ku sobie. Łączące je przęsło

dawno się rozpadło.

Gray skinął głową. Zerknął przez ramię do tyłu, na Kowalskiego i Farajiego. Próbował wyobrazić sobie drogę z kamiennych łuków prowadzącą przez tę rozpadlinę.

Benjie dyskretnie wskazał idącego przed nimi wysokiego mężczyznę.

– Jeśli przed nami jest jakieś zaginione królestwo, to sądzisz, że ten człowiek może być potomkiem Prezbitera Jana?

Komandor zastanawiał się nad tym samym.

Mężczyzna z siwymi włosami usłyszał pytanie, przystanął i czekał na nich, podczas gdy towarzyszący mu stary Pigmej szedł dalej.

– Nie – rzucił. – Ród Prezbitera Jana wygasł wieki temu, na długo zanim się urodziłem. Jeśli zostały gdzieś ślady jego krwi, to w żyłach ludu Molimbo. – Wskazał na prowadzącego ich Pigmeja. – Zamieszkują te lasy i góry od tysięcy lat. Chronią ich tajemnice, pełniąc funkcję opiekunów, a jednocześnie sami są pod ich opieką.

– A ty kim jesteś? – zapytał Gray, mierząc wzrokiem wysoką postać. – Widać, że nie należysz do tego plemienia.

– Nie mam tego szczęścia, chociaż przyjęli mnie dawno temu i uznali za swojego. – Jego oczy, lekko zamglone przez kataraktę, wpatrywały się w dal mierzoną nie tylko w kilometrach. – Nie urodziłem się tutaj. Jestem z Muxenge.

Faraji zachłysnął się z zaskoczenia.

– Ja tam mieszkam – powiedział. – To mój dom.

Mężczyzna uśmiechnął się trochę smutno.

– Oczywiście, poznaję, że jesteś Bakuba. – Przyłożył dwa palce do czoła, po czym dotknął nimi piersi w geście tradycyjnego powitania Kuba. – Jestem Tyende. Joseph Tyende.

Gray spoglądał to na chłopca, to na starego człowieka i dopiero teraz dostrzegł plemienne podobieństwo. Mężczyzna mógłby być dziadkiem Farajiego. Komandor zwrócił uwagę również na to, że rzekomy król użył starej nazwy ludu Kuba.

– Jak się tu znalazłeś? – zapytał.

– Wygląda na to, że tak samo jak wy. Podążając za wielbnym Sheppardem.

Gray uniósł brwi. Zastanawiał się, czy ten człowiek był kiedyś plemiennym szamanem, kimś, kto miał dostęp do świętej *ngedi mu ntey* i jej sekretów.

– Udało ci się rozszyfrować wskazówki Shepparda i znaleźć to miejsce – powiedział.

– Nie, źle mnie zrozumiałeś. Przybyłem tu z wielbnym Sheppardem.

Gray z wrażenia omal się nie potknął.

Tyende westchnął. Jego twarz wyrażała smutek.

– Wielbny był moim przyjacielem i nauczycielem. On nauczył mnie angielskiego... a raczej dokończył moją edukację po tym, jak kilka lat spędziłem w brytyjskiej szkole kolonialnej.

Komandor z trudem przetrawiał te informacje. Z dat na zdjęciach wynikało, że William Sheppard założył misję w 1894 roku. Nawet gdyby Tyende był wtedy małym chłopcem, dziś musiałby mieć już dobrze ponad sto lat.

– To niemożliwe – mruknął.

Kowalski prychnął lekceważąco.

Tyende wzruszył ramionami i wskazał prowadzącego ich niskiego łowcę.

– Molimbo był już stary, kiedy przybyłem tu z wielbnym Sheppardem. Twierdzi, że Bala jest jego trzecim związany krwią *fisi ndogo*.

Z krzaków wyłonił się protel, jakby przywołany brzmieniem swojego imienia. Przez kilka chwil biegł obok Pigmeja, po czym zniknął.

– Te dumne stworzenia żyją tylko około stu lat. – Tyende uśmiechnął się do drepającego za nimi starego zwierzęcia, którego biała sierść niemal się jarzyła, jakby już był duchem. – Mbe zbliża się do kresu swojego żywota. Był szczeniakiem, kiedy się tu zjawiłem. Mogłem go kołysać w złączonych dłoniach.

Gray ze zdumieniem spojrział na Molimba, który wyglądał na młodszego od Tyendego, chociaż według tej relacji był o wiele starszy. Komandor pamiętał związane z Prezbiterem Janem mity o cudownej długowieczności. Według tych opowieści zaginiony chrześcijański król żył co najmniej pięćset sześćdziesiąt dwa lata. Gray uważniej przypatrzył się Molimbowi. Jeśli to, co usłyszał, było prawdą – a nie fantazją czy kłamstwem – to mógł zrozumieć, dlaczego Tyende wierzył, że w żyłach tego pigmejskiego plemienia może płynąć krew Prezbitera Jana.

– Jeśli przybyłeś tu z wielbnym Sheppardem, to dlaczego zostałeś? – spytał. – Dlaczego nie odszedłeś razem z nim?

– Teraz uważam za zaszczyt to, że mogłem tu zostać – odparł Tyende, zatrzymując się. – I co jakiś czas, choć rzadko, wyprawiam się na zewnątrz. Nawet raz wróciłem do Muxenge, ale po tylu latach czułem się tam obcy. – Machnął białą laską. – Tu jest mój prawdziwy dom. Tu wziąłem sobie żonę, która, niestety, odeszła. Dała mi dwóch silnych synów, a oni dochowali się dzieci i wnuków. Miałem więc dobre życie, lepsze, niż na to zasłużyłem.

– Co masz na myśli?

Tyende pokręcił głową, spuszczaając wzrok.

– Pytałeś, dlaczego zostałem. Nie udzieliłem ci szczerzej odpowiedzi, bo nawet teraz wstyd ciąży mi na języku.

– Co cię tu zatrzymało?

Stary człowiek spojrział na niego z bólem w oczach.

– Pokuta – odparł.

Gray chciał dowiedzieć się więcej, ale Tyende ruszył żwawym krokiem, zostawiając ich w tyle.

– Niebawem zrozumiesz – dodał, obracając się.

Dotarli do kolejnych schodów, pnących się zakosami po zboczu wysokiego wzniesienia. Wchodzili w milczeniu, pogrążeni we własnych myślach. Gray usiłował poukładać sobie w głowie to, co usłyszał. Gdy stanął na szczycie, miał więcej pytań niż w momencie, gdy zaczynał wspinaczkę.

Tyende czekał na nich, wsparty na lasce, skąpany w słońcu, na ścieżce biegnącej po nagiej skale grzbietu. Wyglądał na wyczerpanego, ale przecież miał ponad sto lat. Uniósł rękę, kiedy przybysze do niego podeszli.

Gray rozejrzał się po okolicy z tego wysokiego punktu obserwacyjnego. Przed nimi otwierała się rozległa kotlina, otoczona pasmami gór. Ich poszarpane zarysy były ledwie widoczne nad dżunglą. Z tej wysokości ciemnoszmaragdowy – niemal czarny – baldachim koron wyglądał na gęsty i nieprzenikniony.

– Oto czego szukaliście – odezwał się Tyende. – Ludzie z plemienia Molimbo nazywają to miejsce Utoto wa Maisha, Kolebka Życia. Kuba zwał je Mfupa Ufalme.

– Królestwo Kości – powiedział Gray.

Stary człowiek spojrział na kotlinę.

– Obie nazwy są równie prawdziwe, jak sam zobaczysz. – Zaczął schodzić do doliny po stromych schodach.

Gray pospieszył za nim i wkrótce pograżyli się w cieniu. Wpatrywał się w schody, które znikwały w ciemności. Jeśli są jakieś odpowiedzi, to może znajdą je tam, na dole.

Ale czy nie jest już za późno?

Godzina 7.45

Po prawie godzinie schodzenia z grzbietu Benjie zaczął się zastanawiać, czy te schody kiedykolwiek się skończą. Opadały zygzakiem coraz niżej. Dolina była znacznie głębsza, niż mu się wydawało. Gdy dotarli do ostatniego stopnia, ocenił, że są z półtora kilometra niżej.

Kiedy schodzili, drzewa wokół nich stawały się coraz większe. Szeregi masywnych pni – o średnicy dwóch metrów, a niektóre jeszcze grubsze – tworzyły kolumnadę podtrzymującą wielowarstwowy baldachim. Tylko nieliczne smugi szmaragdowego światła rozpraszały mrok panujący na dole.

Gray w końcu wyjął latarkę i ją włączył. Benjie ucieszył się z dodatkowego źródła światła.

Dwóch Pigmejów zabrało pochodnie ze schludnego stosu u stóp schodów. Zapalili je, używając do tego krzesiwa. Jedną podali Molimbowi, żeby oświetlał drogę intruzom. Benjie przypuszczał, że pochodnie są ukłonem w ich stronę.

– To niedaleko stąd – oznajmił Tyende.

– Dokąd nas prowadzisz? – spytał Benjie.

– Najpierw do plagi – odparł tajemniczo stary mężczyzna. – Żeby zrozumieć, musicie poznać pokusę, która tak wielu zwabiła ku zgubie.

– Z rozkoszą daruję sobie tę zgubną część trasy – mruknął Kowalski.

Tyende zignorował go. Molimbo znów szedł na czele, wysoko trzymając pochodnię. Pozostali Pigmejowie podążali za nim dwójkami. Protele rozproszyły się i zniknęły w mroku.

Wieczny mrok nie pozwolił na bogaty rozwój podszycia. Czarna glina podłoża wyglądała na bogatą i żyzną po stuleciach gnicia i rozkładu. Powietrze było chłodne i wilgotne, niemal lepkie. Pachniało mokrymi liśćmi i słodkawą pleśnią z piżmową nutą.

Natura jednak świetnie sobie radziła w tym świecie, do którego prawie nie docierały promienie słońca. Po masywnych pniach wspinały się blade grzyby; rosły też na ziemi. Niektóre sięgały do pasa, a ich kapelusze z blaszkami miały metr średnicy. Gdzieś na ciemnej glebie rosły purchawki wielkości piłki do koszykówki.

– Tu jest jak w największej na świecie ziemiance ogrodowej – szepnął Benjie. – Dawno porzuconej i zostawionej samej sobie. Nigdy nie widziałem tak ogromnych okazów *Psilocybe congolensis*. – Wskazał skupisko sięgających do kolan żółtawych grzybów. – Zwykle są wielkości mojej dłoni. Są bogate w psilocybinę i baeocystynę, silne halucynogeny.

– Afrykańskie grzybki halucynki? – spytał Kowalski, rozglądając się. – Ale chyba ich nie potrzebujemy. I tak czuję się, jakbym był na haju. Jakbym wpadł do Krainy Czarów Alicji.

Młody biolog też się rozejrzył.

– Wiecie, że kilka lat temu w Kongu, niedaleko stąd, znaleziono skamieniałości najstarszych grzybów na świecie? – Zauważył, że trąkocze nerwowo.

Gray spojrział na niego z zaciekawieniem. Kowalski wzruszył ramionami.

Benjie pokiwał głową.

– Skamieliny pochodzą sprzed około ośmiuset milionów lat. Uważa się, że starożytne grzyby odegrały kluczową rolę w tworzeniu pierwszej prymitywnej gleby, kładąc podwaliny pod kolonizację lądu najpierw przez rośliny, a później zwierzęta. – Zwrócił się do Graya: – Prawdę mówiąc, najstarszy żywy organizm występuje w Stanach Zjednoczonych, w Oregonie. *Armillaria ostoyae*, czyli opieńka ciemna. Ma ponad osiem tysięcy lat. Jej grzybnia rozciąga się na powierzchni prawie ośmiu kilometrów kwadratowych, tworząc jeden organizm ważący trzydzieści pięć tysięcy ton. Co czyni ją największym organizmem na świecie.

Zacisnął usta, by wstrzymać cisnące się na nie słowa. Przy swoim autyzmie łatwo wpadał w stan hiperkoncentracji, skupiania się na jednym temacie. Chociaż może ten słowotok nie był całkowicie nieuzasadniony. Przybyli tu w poszukiwaniu źródła wirusa różniącego się od wszystkich innych, najwyraźniej zdolnego do modyfikowania DNA, a może nawet do sterowania ewolucją. Niewykluczone więc, że to, o czym mówi, okaże się ważne.

Zbliżali się do wysokiego kamiennego łuku, który wznosił się nad ścieżką, dowodząc, że setki filarów, które widzieli wcześniej, kiedyś tworzyły arkady. Żwir pod ich stopami ustąpił płaskim kamieniom ułożonym w zawiły wzór. Gdzieniedzie zniszczyły go korzenie pobliskich drzew, ale nie mieli wątpliwości, że to dzieło ludzkich rąk.

Starożytna droga.

Benjie przyjrzał się łukowi, gdy pod nim przechodził. Z grubsza ociosane bloki poczerniały ze starości i były pokryte mchem, ale dojrzał błysk. Szczyt łuku nie był wyciosany z kamienia. Nie mogąc się powstrzymać, Benjie złapał Graya za rękę i skierował latarkę w górę.

Kowalski zagwizdał z uznaniem, bo też rozpoznał masywny klin złota.

Biolog odwrócił się i patrząc tam, skąd przyszli, myślał o setkach kolumn, które minęli. Próbował obliczyć, ile musiała kosztować budowa tego szlaku, jeśli każdy łuk był zwieńczony złotem. Czy było to dowodem na bogactwo Prezbitera Jana, czy może wiązało się z legendami o kopalniach króla Salomona?

Tyende zorientował się, że zostali w tyle, i spojrzał w ich stronę. Jego sylwetka rysowała się na tle światła pochodni, złota korona połyskiwała.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział.

Godzina 8.03

Gray i jego towarzysze pospieszyli do Tyendego.

Ten stał w miejscu, w którym szlak się rozwidłał. Ich przewodnik, stary pigmejski myśliwy, skręcił w prawo. Idąc za nim, Gray zerknął na drugą odnogę. Niknęła w ciemności, ale dostrzegł w dali nikię – niemal iluzoryczne – migotanie. Przetarł oczy, żeby rozpoznać jego źródło. Ale blask szybko przygasł, gdy szedł za Tyendem i Molimbem.

Skupił uwagę na drodze przed sobą. Nie była długa – po stu metrach urywała się u stóp urwiska. Dotarli do niego niespodziewanie, bo przysłaniały je drzewa, a także było zamaskowane przez grube maty wilgotnego mchu, który służył jako podłoże dla niezliczonych wielkich grzybów.

Gray zdał sobie sprawę, że urwisko ciągnie się w obie strony i roztapia się w ciemności. Nie wątpił, że tworzy nieprzerwaną barierę otaczającą kotlinę. Zmarszczył czoło, nie wiedząc, dlaczego ich tu przyprowadzono.

Tyende musiał odgadnąć jego myśli. Zdjął opaskę i spojrzał na nią z żalem w oczach.

– Jestem ostatnim królem Utoto wa Maisha. Mfupa Ufalme. – Nałożył koronę na głowę. – To moje brzemię. Moja pokuta.

Gray nie zrozumiał.

Stary człowiek skinął głową do Molimba. Myśliwy odwrócił się i powiedział coś do jednego ze współplemieńców, niosącego drugą pochodnię. Ten pobiegł w kierunku urwiska, spiesząc się z wypełnieniem polecenia, które otrzymał. Gray zauważył, że pojawiło się kilku innych myśliwych i stanęło dość daleko od nich. Nawet protele trzymały się z tyłu.

Faraji złapał komandora za rękaw i mocno pociągnął. Wskazywał w lewo, na skupisko grzybów. Gray skierował latarkę w tamtą stronę i dostrzegł biały błysk.

– *Mfupa* – szepnął Faraji ze strachem w głosie. Kości...

W świetle latarki połyskiwała czaszka. Gray podszedł i zobaczył szkielet leżący wśród grzybów.

Benjie, wstrzymując oddech, patrzył w stronę urwiska. Pigmej wracał bez pochodni; minął ich, żeby dołączyć do swoich pobratymców.

Na ścianie urwiska płonął ogień. Płomienie szybko się rozchodziły; mknęły kanałami wewnątrz skały i na zewnątrz, w pewnych miejscach schodziły się, a dalej znów rozprzestrzeniały. Gray, widząc to, wyobrażał sobie wąskie koryta i rynny z olejem podsycającym ogień.

Płomienie podczas swojej wędrówki ujawniały prawdę ukrytą za mchem i grzybami. To, co wyglądało na strome urwisko, było wykutym w skale miastem. Płomienie sięgały coraz wyżej i na boki, ukazując, jak ogromne jest to miejsce. Skalne miasto sięgało w górę na dziesiątki pięter i rozciągało się daleko na prawo i lewo.

Gray dopiero po dłuższej chwili, gdy ogień się rozprzestrzenił, odkrył, że to starożytne miasto nie zostało wykute w zwyczajnym kamieniu. Jego powierzchnie połyskiwały i migotały czerwonawą jasnością. Cofnął się o krok, usiłując ogarnąć to wzrokiem. Miasto zostało wykute w gigantycznej żyłę złota.

Kowalski zaklął i w jego oczach rozbłysła zachłanność. Gray nie mógł go winić, sam musiał walczyć z odrobiną chciwości. To, co mieli przed sobą, mogłoby wesprzeć gospodarkę wielu krajów. To bogactwo było nie do pojęcia.

Benjie wskazał w górę urwiska.

– Czy to jest to, o czym myślę? – spytał.

Płomienie wzniosły się już na tyle wysoko, że podświetlały ogromny złoty krzyż nad miastem. Gray zastanawiał się, dlaczego jest tu krzyż. Czy ten kształt był wynikiem czystego przypadku, czy może miał związek z Prezbiterem Janem, chrześcijańskim królem, który założył tu królestwo?

Niestety, nie było możliwości poznania odpowiedzi na to pytanie.

Tyende zwrócił uwagę na ich miny.

– Wielebny Sheppard był równie rozczarowany jak wy, kiedy stwierdził, że nie ma tu tętniącego życiem zaginionego królestwa. Było puste jak teraz, pozostawione duchom dawno minionych dni, tym, po których zostały tylko kości.

Dopiero w tym momencie Gray dostrzegł stopy szkieletów leżące wzdłuż podstawy urwiska, jakby przyniosły je fale. Rozejrzał się i zobaczył więcej czaszek, żeber, kości nóg, szponiastych dłoni. Niektóre pożółkły ze starości, inne połyskiwały bielą. Wiedząc, czego szukać, dostrzegał ich coraz więcej, a prawdopodobnie jeszcze więcej szczątków spoczywało pod warstwami rozkładających się liści.

Nic dziwnego, że miejsce to zostało uznane za przeklęte, pomyślał.

Nawet Pigmeje wiedzieli, że należy zachować dystans.

– Liczyłem szczątki przez dziesięciolecia – odezwał się Tyende. – Przestałem, kiedy doszedłem do pięćdziesięciu tysięcy.

– Co tu się stało? – spytał Benjie.

– Wielebny Sheppard uważał, że to wszystko, co zostało z królestwa Prezbitera Jana. Wiele razy rozmawiałem o tym z Molimbem. Królestwo upadło, zanim się urodził, ale plemię zachowało opowieści z tamtych czasów. Próbowałem poskładać tę historię. Sześć, może siedem wieków temu królestwo zostało podbite przez agresorów, którzy przybyli tu z kuszami, lancami i młotami bojowymi. – Tyende wskazał laską w stronę lasu. – Znalazłem kilka metalowych bełtów, złamane piki i zardzewiałą kolczugę, co potwierdza tę historię. Z herbów na zbroi wnioskuję, że byli to Portugalczycy, którzy przybyli tu w poszukiwaniu złota Prezbitera Jana.

Gray przypomniał sobie historię ojca Baileya o portugalskich piętnastowiecznych odkrywcach, którzy wrócili z Afryki z opowieścią, że znaleźli królestwo Prezbitera. Tylko kilku dotarło do ojczyrstych brzegów.

– Portugalczycy jednak – ciągnął król posepnie, patrząc na kości – nie tylko odkryli tu królestwo, z którym postanowili się zmierzyć, ale też obudzili coś, co drzemało w tym miejscu od wieków. Próbowali zabrać to, co do nich nie należało, i zostali ukarani. Za tę zniewagę dotknęła ich choroba i ogarnęła śmiertelna niemoc.

Gray próbował sobie wyobrazić Portugalczyków złożonych chorobą. Nic dziwnego, że więcej tu nie wrócili, przemknęło mu przez głowę.

– Wyrządzili jednak nieodwracalne szkody – mówił dalej Tyende. – Zdiesiątkowali mieszkańców i królestwo już nigdy się nie odrodziło.

Benjie wskazał głową Molimba.

– A oni? – rzucił.

– Jego lud żyje w tej dolinie od tysięcy lat. Pojawili się tu na długo przed Prezbiterem Janem. Nauczyli jego i jego ludzi, jak żyć w harmonii z przyrodą. Podarowali mu nawet jego pierwszego protela. A gdy królestwo upadło, co spotyka wszystkie imperia, lud Molimba przetrwał, bo żył tak jak zawsze. – Tyende uśmiechnął się smutno do starego łowcy. –

Doszedłem do przekonania, że to tutaj, w tej kotlinie, narodził się lud Pigmejów. Możliwe, że są Jej dziełem i że żyli obdarowani Jej łaskami. W końcu jednak plemiona i rodziny rozproszyły się, zapominając o swoim pochodzeniu.

Gray pomyślał o szakalach i o innych zmienionych zwierzętach. Czy miejscowi też ulegli przemianie, czy ich kod genetyczny również został zmodyfikowany? I dlatego są długowieczni i odporni na choroby? Setki pytań kłębiły mu się w głowie, ale jedno uznał za najważniejsze.

– O kim mówisz? – zwrócił się do króla. – Kto według ciebie obdarzył ich łaskami?

Tyende, jakby głuchy na jego pytanie, ruszył w stronę miasta. Molimbo i pozostali myśliwi zostali.

– Jest jeszcze jeden fragment historii, o którym powinieneś wiedzieć – powiedział król.

Gray podszedł do niego.

– Jaki? – spytał.

– Mój.

Podeszli do skraju oświetlonego ogniem miasta. Tu powietrze niemal parzyło, a jasność raziła oczy. Tyende zszedł z wybrukowanej ścieżki i skręcili w miejsce gęsto porośnięte grzybami.

Z purchawki potrąconej przez Kowalskiego wystrzeliła chmura zarodników. Zakrztusił się, splunął i odskoczył.

– Mam nadzieję, że nie są trujące – rzucił.

Benjie uważniej przyjrzał się purchawce.

Olbrzym spojrział na niego, ale biolog tylko wzruszył ramionami; najwyraźniej nie potrafił zidentyfikować grzyba.

Kowalski poszedł dalej z kwaśną miną.

– Wszystko w tej dżungli zmówiło się, żeby mnie zabić – burknął.

Tyende zatrzymał się kawałek dalej i wsparł ciężko na lasce. Wokół nich leżały ludzkie szczątki, na wpół zagrzebane w glinie i porośnięte grzybami. Wyglądały na zmumifikowane. Wyraźnie były nowszym dodatkiem do składowiska kości. W piersi jednego ciała tkwiła włócznia.

– Kim byli ci ludzie? – zapytał Gray.

Król wskazał laską jedne zmumifikowane zwłoki, potem następne.

– Collard i Remy. Dwóch belgijskich kolonistów. Przybyli tu w poszukiwaniu złota, ale znaleźli śmierć. – Wycelował laskę w inne ciało. W rozchylonych ustach czaszki połyskiwały ostre zęby. – To Nzare, brat kanibala Mlumby, wodza Zappo Zapów, który zniszczył wiele wiosek. – Zwrócił się do Graya: – Wielebny Sheppard szukał belgijskich kolonistów.

– Czy tak odkrył tę kotlinę? – spytał Gray.

– Tak, ale zjawił się za późno. O wiele dni za późno. Collard i Remy przybyli tu z dwudziestoma ludźmi, uzbrojonymi w karabiny i topory. Wymordowali wielu członków plemienia Molimba, a także dziesiątki ich *fisi ndogo*, proteli. Ona uderzyła z furją, zsyłając na nich trujący sen.

– Jak wcześniej na Portugalczyków – wtrącił Gray, by przypomnieć, że historia lubi się powtarzać.

– Kiedy zjawił się Sheppard, Collard, Remy i ich ludzie niewiele różnili się od tych szczątków, które tu widzisz. Byli wycieńczeni i konający.

Komandor uznał, że jeden fragment tego makabrycznego obrazu nie pasuje do historii, którą usłyszał.

– A ta włócznia wbita w pierś? – spytał.

Tyende spuścił wzrok.

– Byłem wściekły – wyznał. – Dolina spływała krwią. W powietrzu niosły się krzyki umierających. Słyszałem tę pieśń zbyt wiele razy, w zbyt

wielu wioskach. Tylu ludzi zostało zabitych, zmasakrowanych, okaleczonych. A rozkaz rzezi spłynął z ust jednego człowieka.

Gray przyjrzał się szczątkom. Zauważył karabin zakopany w zaroślach i przypięty do pasa bicz.

– Kim był ten? – rzucił.

– Kapitan Deprez. Dowodził belgijskim oddziałem. Przyprowadził Zappo Zapów, żeby nas zabijali i zjadali nasze ciała. Zakatował wielu moich współplemieńców, osobiście bicząc ich na śmierć. Często się przy tym śmiał.

– Więc go zabiłeś – powiedział Gray.

– Nie mogłem się powstrzymać. Miał już mętne oczy, ale chciałem, by widział, kto odbiera mu życie. Żeby wiedział, że to syn króla ludu Kuba.

Faraji patrzył na Tyendego, ze zdumienia szeroko otwierając oczy.

– Jesteś... jesteś synem Kota aMweeky'ego, króla z czasów Shepparda. Tyende schylił głowę i uniósł rękę do złotej opaski.

– Synem, który teraz rządzi wymarłym królestwem.

Gray przypomniał sobie jego słowa o tym, dlaczego tu został.

– Twoja pokuta... – odezwał się.

– Wielebny Sheppard był zły, zawiedziony. Ukradłem życie, które nie należało do mnie. Śmierć i tak już szła po kapitana, a mimo to go zabiłem. Wielebny powiedział, że popełniłem grzech śmiertelny, i nasz lud został za to ukarany. A może choroba nadal wisiała w powietrzu.

– Wszyscy zostaliście zarażeni – włączył się do rozmowy Benjie.

– Byłoby po nas, gdyby nie on. Wielebny błagał Ją o rozgrzeszenie za popełnione tu zbrodnie. Uznała czystość jego serca za godną zbawienia i dzięki temu zostaliśmy ocaleni.

– Dostałeś lek? – zapytał Gray, czując wzbierającą w sercu nadzieję.

– Była miłosierna. Potem wielebny kazał mi tu zostać i być w gotowości, gdyby świat znowu potrzebował ratunku. Zostałem jako strażnik. Ludzie Molimba uszanowali to, zwłaszcza że Sheppard wyleczył wielu członków jego plemienia ranionych przez oddział Depreza. Ona także mnie zaakceptowała i pozwoliła żyć długie lata w spokoju, zanim znów stałem się potrzebny.

Gray miał dość tej lekcji historii. Jeśli jest tu lekarstwo, chciał wiedzieć, kto je posiada.

– Wystarczy – rzucił. – O kim mówisz?

Tyende odwrócił się plecami do złotego miasta, które już gasło, bo paliwo się wyczerpywało. Odszedł, wskazując szlak.

– Czeka na was – powiedział. – Tylko Ona może osądzić, czy jesteście godni.

Godzina 8.17

Benjie truchtał brukowaną ścieżką, żeby dotrzymać kroku pozostałym. Tyende dotarł do rozwidlenia i skręcił w drugą odnogę, która oddalała się od urwisk i prowadziła ku sercu kotliny. Szlak stawał się coraz ciemniejszy, a może to tylko jego złe przeczucia sprawiały, że taki się wydawał.

Przed nimi powoli wznosiła się poświata. Na jej tle ogromne pnie wyglądały jak ciemne kolumny podtrzymujące mroczny baldachim liści. Im dalej, tym drzewa były wyższe.

I nie tylko drzewa.

Grzyby tworzyły na pniach półki na tyle szerokie, że dałoby się zaparkować na nich samochód. Kapelusze tych rosnących na ziemi sięgały wyżej niż głowa Kowalskiego. Niektóre świeciły bioluminescencyjnie w odcieniach szkarłatu, lazuru i żółci. Tak zwany lisi ogień był powodowany przez enzym oksydacyjny, lucyferazę, emitującą światło.

Kowalski potarł oko palcem.

– Te halucynogeny chyba zaczynają działać.

Benjie doskonale go rozumiał.

– Jest tak, jakbyśmy wkraczali do Tolkienowskiego Śródziemia – powiedział.

Wielkolud wskazał kciukiem niskich myśliwych.

– I sprowadziliśmy hobbitów – dorzucił.

Biolog westchnął i pokręcił głową. Sięgnął ręką do szerokiego grzyba, który ocieniał ścieżkę. Gdy musnął palcami spód kapelusza, blask stał się intensywniejszy.

Zdumiewające, pomyślał.

Kowalski zrobił to samo. Gdy dotknął blaszek, te pociemniały, masywna nóżka grzyba wygięła się, a kapelusz się przechylił. Zaskoczony olbrzym cofnął się i skrzywił.

– Psiamać – zaklął.

Benjie wiedział wprawdzie, że niektóre rośliny mogą się poruszać, reagować na dotyk albo obracać się w kierunku światła słonecznego, ale i tak był zaskoczony. Przeszukując wzrokiem las, zauważył drżące listowie i kołyszące się gałęzie. Wodząc wzrokiem dokoła, zamrugał i potknął się. Uniósł dłoń.

Nie ma wiatru, stwierdził.

Powietrze było nieruchome, ciężkie od wilgoci. Przyglądał się ruchowi w koronach drzew. Przed nimi liście trzepotały, a gałęzie się kołysały. Za nimi las był spokojny.

Reagują na naszą obecność, pomyślał. Niemal tak, jakby wysyłały ostrzeżenie.

Szybko dołączył do pozostałych, zastanawiając się ze strachem nad tym, kogo alarmuje las.

Gray również zauważył to poruszenie wokół nich.

– Widziałeś kiedyś coś takiego? – zwrócił się do Benjiego.

Ten pokręcił głową.

– Muchołówki i pływacze mają pułapki, które mogą zamykać, żeby uwięzić ofiarę. Mimoza wstydliva, roślina podobna do paproci, po dotknięciu błyskawicznie zwija liście. Nawet niektóre kwiaty same się otwierają i zamykają. – Zakreślił ręką łuk. – Ale to tutaj... Może wirus infekuje także rośliny. Może to, co tu rośnie, także zostało zmienione.

Kowalski wskazał w lewo, gdzie gliniaste podłoże wznosiło się i opadało, jakby sunęły w nim węże. W jednym miejscu rozstało się na tyle szeroko, że zobaczyli coś wyglądającego na drewno.

– To chyba korzeń – powiedział Benjie. – A może podziemne kłacze. – Śledził je wzrokiem, gdy cofało się w kierunku swojego źródła, które leżało przed nimi.

– Ona wie, że tu jesteście – odezwał się Tyende.

Żadne z tych zjawisk nie robiło wrażenia ani na Pigmejach, ani na ich czworonożnych towarzyszach. Szli w harmonii z lasem.

Benjie uważnie obserwował wszystko wokół. Jego początkowy strach ustąpił miejsca ostrożnej fascynacji.

– Gdzieś czytałem, że rośliny należy traktować jak wolno poruszające się zwierzęta. Jak organizmy funkcjonujące w obcych nam ramach czasowych, w wolniejszym wymiarze obejmującym lata, stulecia, nawet tysiąclecia.

Kowalski spojrzał na skupisko grzybów, które odchyliły się od nich gwałtownie.

– Te nie wyglądają mi na powolne – mruknął.

Benjie musiał się z tym zgodzić.

– Pamiętaj, że rośliny nie są biernymi obserwatorami życia. Są bardzo wrażliwe, wyczułone na pole magnetyczne, grawitację, światło słońca i gwiazd, pożywiające się nimi owady, toksyny, które im szkodzą. Nawet na dźwięki. Przeprowadzono badania, w których nagrano odgłosy żucia gąsienicy i odtworzono je w pobliżu rośliny. Liście zareagowały, wytwarzając falę związków chemicznych, by odeprzeć rzekomych napastników. Takie reakcje są powszechne w świecie roślin. Biochemiczne kaskady zwalczają lub łagodzą zagrożenia. I chociaż trudno to dostrzec, rośliny reagują. Rywalizują o terytorium, szukają pożywienia i wody. Mogą również unikać drapieżników, a nawet chwycić zdobycz. Dlatego nie uważaj ich za bierne czy uległe.

Zorientował się, że znowu trajkocze, nadmiernie skupiony na temacie.

Gray zachęcił go jednak, by mówił dalej.

– Czy coś z tego może mieć związek z wirusem? – spytał. – Czy las w ten sposób reaguje na zagrożenie?

Benjie wzruszył ramionami, ale podobały mu się takie spekulacje.

– Niewykluczone – odparł. – Rośliny są siedliskiem najróżniejszych wirusów. Ale czy któryś z nich mógł przystosować je, by działały jak broń? Nie wiem. Świat przyrody jest pełen innowacyjnych strategii przetrwania, zwłaszcza gdy chodzi o radzenie sobie z zagrożeniami. A nas z pewnością uważa za zagrożenie. Wyrządzamy wszelkiego rodzaju szkody, od zanieczyszczenia środowiska przez wycinkę lasów po bezmyślne niszczenie siedlisk.

Przerwali rozmowę, gdy ścieżka ostro skręciła w lewo.

Tyende zatrzymał się i wskazał laską gęstą część lasu przed nimi. Wyglądała jak nieprzenikniona ściana, naturalna fortyfikacja. Biegnący

łukiem szlak prowadził przez tunel w tej barierze. Z wylotu płynął blask, oświetlając brukowaną ścieżkę.

Benjie poczuł upojny zapach kwiatowych perfum z bogatą nutą piżma. Nie potrafił powiedzieć dlaczego, ale kojarzył mu się z czymś odwiecznym, jakby prehistoryczny świat tchnął tę woń w jego stronę. W młodym biologu zareagowało coś pierwotnego, wysyłając mrożące krew ostrzeżenie.

Nie pasujemy tutaj, pomyślał.

Ale było już za późno. Nie mieli odwrotu.

Tyende zadbał o to, nakłaniając ich do kontynuowania wędrówki.

– Czeka na was – oznajmił, a gdy Gray go mijał, stary człowiek dodał:
– Ale musicie wiedzieć, że jeśli uzna was za niegodnych, nie odejdziecie stąd.

Wyspa Belka, Demokratyczna Republika Konga

25 kwietnia, godzina 8.18 czasu miejscowego

Tucker przykucnął za masą zwalonych pni i gałęzi na północnym krańcu prywatnej wyspy De Costera. Tym razem nie był z Kainem sam. Obok nich kulili się Frank, Monk i Charlotte. Przemoknięci do suchej nitki i wykończeni, wyglądali jak rozbitkowie; Tucker zdał sobie sprawę, że naprawdę nimi są. Przypomniała mu się leżąca na burcie w dżungli rozbita barka.

Wędrówka brzegiem rzeki z powrotem do wyspy Belka zajęła im całą noc. Dżungla walczyła z nimi na każdym kroku, podobnie jak zmęczenie. Mimo to brnęli przed siebie, zdeterminowani, by pokrzyżować plany De Costera, zanim ten zniszczy wszystkie dowody swojej działalności i zniknie.

Widoczne w prześwitach niebo na wschodzie wydawało się zachmurzone. Słońce weszło godzinę temu, ale jeszcze się nie pokazało. Po okolicy rozprzestrzenił się obłok gęstego dymu po wybuchu bomby. Wisiał nisko – nie sięgał nad wierzchołki drzew – i cuchnął ropą oraz spalonym drewnem. Nadał pierwszemu światłu dnia piekielny ciemnopomarańczowy kolor.

Na szczęście realizacja planu De Costera związanego ze zbombardowaniem o świcie wyspy wyraźnie się opóźniała. Tucker nie znał przyczyny zwłoki, ale przypuszczał, że ma coś wspólnego z tym gęstym

dymem. W nocy wiatr zmienił kierunek i teraz wiał od kopalni w górę rzeki. Silniki śmigłowców nie radziły sobie najlepiej w powietrzu pełnym pyłu i popiołu. De Coster i jego ludzie prawdopodobnie czekali na poprawę warunków.

Tucker niespokojnie popatrywał w niebo. Spodziewał się jakiejś reakcji na wybuch, ale nic się nie działo. Nie nadleciały helikoptery stacji telewizyjnych, nie przybyło wojsko. No ale przecież kopalnia leżała w sercu Konga, na terytorium rządzonej przez De Costera i jego miliardy. Łajdak z pewnością miał środki, by zdusić w zarodku wszczęte dochodzenia, co było pewnie łatwe zwłaszcza w ubogim regionie, który na dodatek walczył z rozprzestrzeniającą się chorobą.

Jeśli ktoś mógł go powstrzymać, to Tucker i jego towarzysze.

Wiedząc o tym, otworzył wodoszczelną torbę i rozdał broń. Schował do kabury swojego desert eagle'a i podał Monkowi zdobycznego mniejszego browninga. Popatrzył na Charlotte i wyjął sphinxa S3000, oksydowany stalowy pistolet kalibru 9 mm, który zabrała martwemu żołnierzowi na wyspie.

Gdy wyciągnęła rękę, cofnął broń.

– Na pewno chcesz pójść z nami? – spytał. – Może lepiej zostań tutaj, ukryta w lesie.

– Lepiej dla kogo? – Chwyciła sphinxa, wysunęła zamek i obejrzała broń jak profesjonalistka. Zabezpieczyła ją i spojrzała na Monka przymrużonymi oczami. – Rozmawialiśmy już o tym na brzegu rzeki. Nie zmieniałam zdania po pływaniu.

Frank skończył czyszczenie i suszenie dwóch karabinów FN FAL; nie mieściły się do torby, więc zmoczyły się w rzece. Rzucił jeden Tuckerowi.

– Myślę, że Charlotte już podjęła decyzję – powiedział.

Tucker nie był tym zachwycony, ale pomyślał, że musiał przecież spróbować.

Idąc w stronę wyspy, rozważali, czy nie ominąć jej i nie skierować się prosto do śmigłowca, w którym czekał Ndaye. Zrezygnowali jednak z tego pomysłu. Padali z nóg, więc dotarliby do celu dopiero w południe, a może nawet później. Zresztą nie wiadomo, czy w ogóle znaleźliby maszynę, bo przecież nie mieli sygnału GPS. W tym czasie De Coster spaliłby do gołej ziemi wszystko, co jest na wyspie, odleciał i umył od tego ręce. A wtedy byłoby ich słowo przeciwko jego miliardom dolarów.

Tucker wiedział, jak by się to skończyło.

Poza pociągnięciem tego człowieka do odpowiedzialności musieli pamiętać o uwięzionych na wyspie niewinnych pacjentach, którzy na pewno zginą, jeśli oni nie przyjdą im z pomocą. Żadne z ich czwórki nie mogło znieść myśli o odwróceniu się do nich plecami.

Frank zamierzał przejąć wyniki badań zgromadzone przez zespół badawczy De Costera, zanim zostaną wywiezione i prawdopodobnie znikną na zawsze. Ich odtworzenie wymagałoby co najmniej tygodni pracy. A świat nie miał tyle czasu.

Ruszyli w stronę osady kolonialnej. Tucker szedł pierwszy, a przed nim biegł Kain, wzmacniając jego wzrok i słuch. Poruszali się cicho, ale szybko. Nie napotkali patroli, ani złożonych z ludzi, ani robotycznych psów. De Coster prawdopodobnie zaangażował wszystkich do przygotowania ostatecznej ewakuacji.

Gdy Tucker i jego towarzysze szli przez las, poranek stawał się coraz jaśniejszy – stanowczo za wcześnie. Wiatr znów zmienił kierunek i szybko usuwał dym z wyspy.

Mamy mało czasu, przemknęło przez głowę Tuckerowi.

Potwierdziły to krzyki i ryk silników. Ludzie De Costera najwyraźniej szykowali się do odlotu.

Tucker dotarł do skraju lasu i zarządził postój. Spojrzał na widoczną między pniami drzew placówkę. Widok potwierdził jego najgorsze obawy. Uzbrojeni mężczyźni biegali po terenie, klucząc między małymi elektrycznymi quadami. Na placu stały dwie maszyny; wirniki obracały się, nie pozwalając ostygnąć silnikom. Większa była śmigłowcem bojowym Drapera.

Ale to nie z tego powodu Tucker wstrzymał oddech.

Druga maszyna wyglądała znajomo. Była to mała gazelle Ndayego. Tucker zwiększył zbliżenie w goglach, żeby przyjrzeć się dokładnie. Mężczyźni pakowali skrzynie do ładowni.

Zacisnął pięść.

Czy Ndaye nas zdradził, czy od początku był kretem? – zastanawiał się i po chwili go zobaczył: klęczał blisko śmigłowca, ręce miał związane za plecami, a twarz była opuchnięta i zakrwawiona.

Tucker wzdrygnął się na ten widok, zawstydzony swoją podejrzliwością. Pamiętał, jak Ndaye zwisał głową w dół i wyciągał go z szalejącej rzeki. Nie jest zdrajcą. Odetchnął z ulgą, że nie poszli szukać śmigłowca. Utknęliby w dżungli i pewnie w końcu zostaliby pojmani.

Przeciwnicy musieli znaleźć helikopter FARDC. Tucker z ukłuciem winy domyślił się, co zaszło. De Coster prawdopodobnie kazał powiększyć promień poszukiwań wokół wyspy, bo podejrzewał, że intruzi przybyli z dżungli. Gdy jego strażnicy schwytali Ndayego, kazał go poddać brutalnemu przesłuchaniu. Ślady pobicia wyjaśniały, dlaczego ekostrażnik wciąż żyje. De Coster jeszcze się nie dowiedział, co ten człowiek wie i kto go przysłał.

Ale egzekucja nie została wstrzymana na długo.

Tucker szybko wprowadził poprawki do wcześniej ustalonego planu i zwrócił się do swoich towarzyszy:

– Frank i ja uwolnimy Ndayego, potem zajmiemy się Draperem, a na koniec śmigłowcem. – Pamiętał, jak De Coster mówił o zniszczeniu wyspy pociskami rakietowymi Hellfire. Draper musiał załadować wyrzutnie, bo pod krótkimi skrzydłami śmigłowca wisiało ich sześć, po trzy z obu stron. Tyle wystarczy, by zamienić to miejsce w dymiący stos popiołu. Spojrzał w oczy Monka i Charlotte. – Kain idzie z wami. Zabezpieczcie oddział medyczny. W razie potrzeby przeprowadźcie pacjentów do lasu. Zabierzcie ich jak najdalej od kompleksu, bo zostanie ostrzelany pociskami rakietowymi.

Monk wskazał budynek między kościołem a pensjonatem.

– Tam jest zbrojownia – powiedział.

Tucker skinął głową. To był kolejny cel. Zanim tu przyплыnęli, agent Sigmy naszkicował w błocie prowizoryczny plan wyspy. Podczas gdy był na niej uwięziony, zidentyfikował skład broni.

Potrzebowali czegoś więcej niż dwóch karabinów, trzech pistoletów i kilku granatów przypiętych do bandoliera Kaina. Nie mieli jednak pojęcia, czy zbrojownia została opróżniona, czy nie.

Odkładając tę sprawę na bok, Tucker przyjrzał się ich ostatecznemu celowi.

Naprzeciwko pensjonatu, po drugiej stronie placu, stał przysadzisty betonowy budynek. Na dachu tkwiły anteny i talerze satelitarne, świadczące o tym, że to tam mieści się centrum łączności. Tucker wiedział, że samo przejęcie wyspy nie zda im się na wiele. Przypomniał sobie małego pendrive'a Drapera, z kodem umożliwiającym przebicie się przez zagłuszanie w tym regionie.

Najpierw musimy zdobyć tego pendrive'a, pomyślał. Zrobił kilka kroków i rozejrzał się po placu, patrząc przez gogle w trybie lornetki. Nie dostrzegł Drapera. Zakończył lustrowanie terenu na pensjonacie. Jeśli ten człowiek jest na wyspie, to tam, uznał.

Wrócił do pozostałych. Zaciśnął usta, zadając niewypowiedziane pytanie: „Jesteśmy gotowi?”. Pokiwali głowami. Kucnął przed Kainem i zetknęli się nosami w geście, którego tradycja zaczęła się wiele lat temu.

– Kto jest najlepszym pieskiem? – szepnął.

Pies liznął go po podbródku.

Zgadza się.

Tucker wskazał swojemu partnerowi Monka i Charlotte.

– PILNUJ – rozkazał.

Kain, urodzony żołnierz, podszedł do nich, ale obejrzał się i jego oczy błysnęły. Tuckera opadło z wątpienie, niepokojące przecucie. Może była to gra światła, a może po prostu dał o sobie znać zespół stresu pourazowego, który nękał ich obu. Niezależnie od powodu przebiegł go dreszcz.

Pies zrobił krok w jego stronę, jakby też przeczuwał coś złego.

Tucker po chwili otrząsnął się z niepokojącego wrażenia. Obaj mieli misję do wykonania. Machnął ręką, dając znak Monkowi i Charlotte, że mają ruszać. Kryjąc się w lesie, okrążą kompleks, by dotrzeć do baraku, w którym mieściły się szpital i laboratorium.

Kain zwlekał chwilę, patrząc na niego, po czym odwrócił się i zniknął.

– Idziemy – rzucił Frank i ruszył w przeciwnym kierunku.

Przyjaciel poszedł za nim. Planowali dostać się niepostrzeżenie do zbrojowni. Odwrócił się i spojrział tam, gdzie zniknęli Monk, Charlotte i jego partner. W goglach Tuckera podskakujący obraz z kamery Kaina zacinął się i ciemniał na kilka długich sekund, po czym powracał.

Strach ścisnął mu serce.

Bądź ostrożny, stary.

Godzina 8.32

W drodze przez las Charlotte trzymała się blisko Monka. Ścisnęła pistolet w dłoni, przeszukując wzrokiem każdy cień, wyczulona na ruchy liści. Oczy piekły ją od cuchnącego powietrza, bolała ją głowa.

Przełknęła podchodzącą do gardła falę złości... a raczej próbowała to zrobić. Potarła szyję. Zdrętwiała jej tylna część języka. Miała zimne palce. To dlatego tak mocno zaciskała je na broni. Zmagiała się z prawdą, która narastała w niej przez całą noc: zaczynam chorować.

Nikommu o tym nie powiedziała, bo obawiała się, że zmuszą ją do pozostania na brzegu rzeki. A nie mogła na to pozwolić. Będzie bronić swoich pacjentów do ostatniego tchu. Przypomniała sobie obietnicę złożoną Disance i delikatne rysy twarzy jej synka, jego różowe usta.

– Jesteśmy prawie na miejscu – szepnął Monk. – Co u Kaina?

Uniosła transceiver. Uzbrojony w pistolet Monk nie miał wolnej ręki, by go nosić. Mały ekran ukazywał widok za dwiema palmami, częściowo przysłonięty przez liście paproci.

– Zatrzymał się – powiedziała. – Teren na tyłach szpitala i laboratorium wygląda na czysty.

– No to chodźmy.

Szybko pokonali ostatni odcinek dzielący ich od skraju lasu i znaleźli Kaina schowanego pod krzakami. Pies wpatrywał się w tylną ścianę baraku, w której nie było okien. Wejście znajdowało się po drugiej stronie.

Przykucnęli obok psa. Od celu dzieliło ich dziesięć metrów otwartej przestrzeni. Wśród stert gruzu i śmieci wałały się czerwone worki

z odpadami medycznymi. Wymienili spojrzenia: byli gotowi podejść bliżej.

Charlotte nie zdążyła wyjść z ukrycia, gdy zza baraku dobiegł krzyk. Rozpoznała zirytowany głos Ngoya.

– Ruszać się, *imbéciles!* Nie mamy więcej czasu!

Po chwili w jej polu widzenia pojawiła się grupka osób w fartuchach laboratoryjnych. Dwie pchały wózki, na których piętrzyły się stosy twardych dysków i kartonów z aktami. Gdy koła grzechotały na drewnianych deskach, jeden spadł i papiery rozsypały się po ziemi.

– Uważaj! – wrzasnął Ngoy. – To moja ciężka praca!

Charlotte w duchu przeklęła tego łajdaka. Nawet teraz wszystko kręciło się wokół niego. Jeden z techników pospiesznie zebrał papiery i pobiegł za pozostałymi.

– Kończy nam się czas – szepnął Monk.

Skinęła głową. Mimo to czekali, aż Ngoy i jego pomocnicy znikną im z oczu. Gdy zapanował spokój, Charlotte i Monk ruszyli między stertami śmieci. Kain trzymał się obok nich. Dotarli do baraku i zaczęli się skradać wzdłuż ściany niewidocznej z ruchliwego placu.

Charlotte zatrzymała się i spojrzała zza rogu na wejście oświetlone żarówką w drucianej osłonie. Czekali kilkanaście sekund i nikt w tym czasie nie opuścił baraku. Po drugiej stronie stał blaszak, który służył jako kostnica i laboratorium patologii. Charlotte wyobraziła sobie leżące tam zwłoki.

Z lekkim drżeniem przeniosła wzrok na barak z laboratorium.

Czy ktoś tam jeszcze żyje? – zastanawiała się. A może to miejsce stało się drugą kostnicą? Wyteęzała słuch, by usłyszeć coś poza szumem generatorów. Za małymi oknami po tej stronie paliło się światło, ale nie zauważyła żadnego ruchu.

Monk wyprzedził ją i Kaina. Biegli wzdłuż ściany skuleni tak, że głowy trzymali poniżej poziomu parapetów. Od wejścia dzieliło ich zaledwie kilka kroków, gdy zamarł, bo usłyszał ostry trzask dochodzący z wnętrza baraku. Po chwili rozległ się kolejny.

Charlotte wiedziała, co to oznacza.

Teraz, gdy naukowcy uciekli... ktoś mordował pacjentów.

Godzina 8.34

Frank zdusił jęk rozpacz, zaciskając ręce na kracie. Zbrojownia została ogołocona. Nie zostało tam nic poza kilkoma nabojami rozrzuconymi na betonowej podłodze.

– Nic dziwnego, że nikt jej nie pilnuje – mruknął. Spojrzał na przyjaciela, który stał z pochyloną głową, z bronią wiszącą luźno na ramieniu. – Co teraz?

Tucker wskazał ręką w stronę pobliskiego kościoła. Na placu przed nim panował zamęt. Postanowili wykorzystać sytuację. Szli, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Wciąż mieli na sobie zdobyte w kopalni kamizelki kuloodporne z kevlaru i szarozielone hełmy. Różniły się od tych noszonych przez ludzi Drapera, ale uznali, że przy odrobinie szczęścia nikt nie zwróci na nie uwagi, zwłaszcza w chaosie ewakuacji.

Dostrzegł Ndayego w głębokim cieniu pod ścianą kościoła. Ekostrażnik nadal klęczał między dwoma śmigłowcami. Miał związane ręce i nisko zwieszoną głowę. Z jego podbródka i ze złamanego nosa kapiała krew.

– Musimy go uwolnić i zabrać w bezpieczne miejsce – szepnął Tucker. – Poza tym muszę przyjrzeć się bliżej temu śmigłowcowi. Sprawdzić, czy Drapera nie ma na pokładzie. – Dotąd nigdzie nie widzieli kapitana.

Frank łypnął gniewnie na większy śmigłowiec. Czuł w piersi jego dudnienie. W porównaniu z gazelle ta maszyna wyglądała jak ogromny lew,

który przysiadł na zadnich łapach, gotów do ataku. Rozpoznał starszą wersję rosyjskiego Mi-24 Hind, nazywanego przez Rosjan latającym czołgiem. Wciąż ładowano do niego sprzęt.

– Jaki jest plan? – spytał przez zaciskające się zęby.

Tucker wyprostował się i ruszył w stronę uzbrojonego kongijskiego żołnierza, który pilnował Ndayego.

– Udajemy, że należymy do tej bandy – powiedział cicho.

Frank pospieszył za nim.

– W takim razie lepiej, żebym ja gadał. Mam odpowiedni kolor skóry. – Wskazał na swoją twarz. – Poza tym już słyszałem, jak próbowałeś mówić po francusku. Twój akcent by nas zdemaskował, a gramatyka zabiła.

– Dokładnie to samo mówił mój nauczyciel francuskiego w liceum.

Frank wysunął się na prowadzenie i syknął:

– Schyl głowę z tą swoją bladą gębą.

Szli zdecydowanym krokiem. Tucker odepchnął łokciem żołnierza, który ciągnął wózek zastawiony skrzyniami. Frank próbował naśladować pewnego siebie przyjaciela, ale pot spływał mu po plecach, a palce tańczyły blisko spustu karabinu. Kluczyli w panującym na placu ruchu, zbliżając się do Ndayego i jego strażnika. Ten nie zwracał na nich uwagi, skupiony na głębokim zaciąganiu się papierosem.

Nawet na nich nie spojrział, dopóki nie zatrzymali się obok niego. Frank wskazał Ndayego, odchrząknął i podniósł głos, żeby przekrzyczeć hałas silników śmigłowców.

– *Capitaine* Draper przysłał nas po więźnia. Skończył z tym sukinsynem i chce go wyekspediować na tamten świat.

Strażnik w końcu się poruszył, wysunął papierosa z ust i pochylił się w stronę Franka, żeby lepiej go słyszeć.

– Myślałem, że kapitan chce go zabrać ze sobą i dokończy przesłuchanie – powiedział.

– Ten człowiek... już nie jest ważny.

Strażnik musiał usłyszeć wahanie w głosie Franka, bo uważniej przyjrzał się jego twarzy, jakby starał się go rozpoznać.

Frank odwrócił się, żeby utrudnić mu zadanie, i wskazał kciukiem za siebie.

– Skontaktuj się z kapitanem Draperem, ale uprzedzam, jest w złym humorze. Gorszym niż zwykle.

Żołnierz skinął głową, najwyraźniej się z nim zgadzając.

W tym momencie do akcji przystąpił Tucker. Chyląc głowę, wyciągnął rękę i poruszył palcami.

– Dasz mi fajkę? – wymamrotał po francusku. Na szczęście dudnienie silników i terkot wirników zamaskowały jego okropny akcent.

Strażnik cofnął się o krok, nie chcąc dzielić się skąpym zapasem papierosów. Tucker założył, że spotka się z odmową, i właśnie dlatego poprosił go o jednego.

– Bierzcie sukinsyna i spadajcie – powiedział żołnierz, żeby się ich pozbyć.

Nie czekając, aż ktoś zainterweniuje, Frank i Tucker chwycili Ndayego pod pachy i brutalnie podnieśli go z ziemi. W trakcie ich rozmowy z żołnierzem ekostrażnik, wyraźnie pogodzony z losem, nawet nie uniósł głowy. Gdy postawili go na nogi, zachwiał się, oszołomiony i zakrwawiony po bicu.

Na wół wlokąc go między sobą, oddalili się od śmigłowców i w bezpiecznej odległości Tucker przysunął usta do ucha Ndayego.

– Dzięki za uratowanie mi życia nad rzeką – szepnął. – Najwyższy czas, żebym się odwzajemnił.

Skatowany mężczyzna zeszywniał, obrócił głowę w jego stronę i nie mógł uwierzyć własnym oczom. Kiedy szli dalej, jego kroki stały się pewniejsze, a wzrok nie był tak mętny.

– Tucker...

– Zabieramy cię stąd. – Kierowali się ku schronieniu, jakie oferowały mury kościoła. Kilka metrów przed celem Tucker puścił ramię Ndayego i zwrócił się do Franka: – Pokaż mu, gdzie są Monk i Charlotte. Ja tymczasem obejrzę śmigłowiec. Sprawdzę, czy Draper jest na pokładzie. Spotkamy się przy kościele. – Opuścił hełm, by bardziej osłonić twarz, i ruszył w stronę chaosu panującego wokół latającego czołgu.

Frank pospieszył z Ndayem za kościół. Tam przeciął opaski zaciskowe na jego nadgarstkach i spojrzał między drzewami w stronę skupiska baraków. Wskazał największy z nich, w którym mieściły się szpital i laboratorium.

– Monk i Charlotte... doktor Girard... próbują ratować pacjentów – powiedział.

Ndaye wyraźnie miał kłopot z nadążaniem za nagłą zmianą okoliczności, zwłaszcza gdy usłyszał nazwiska.

– *Docteur Girard... comment cela est-il possible?* – nie mógł uwierzyć.

Frank nie miał czasu na wyjaśnienia i pchnął go w stronę linii drzew.

– Tam się spotkamy. Spiesz się, ale zachowaj ostrożność.

Ekostrażnik potknął się, ale szybko odzyskał równowagę i zniknął w lesie.

Tymczasem Frank wyjrzał zza narożnika kościoła na plac. Szukał w tłumie Tuckera, lecz go nie dostrzegł. Czas się rozciągnął... a może tylko tak mu się wydawało.

Gdzie oni...?

Na jego ramię opadła czyjaś ręka.

Wzdrygnął się i odwrócił.

Tucker stał za nim z twarzą lśniąca od potu i błyszczącymi oczami. Musiał okrążyć kościół z drugiej strony.

Pokręcił głową.

– Nie ma go – rzucił.

Frank westchnął ciężko. Więc Draper zapadł się pod ziemię, pomyślał.

Przyjaciół pokazał mu coś, co dotąd chował za plecami.

– Ale znalazłem to – oznajmił z dzikim uśmiechem.

Trzymał granatnik przeciwpancerny. Frank dobrze wiedział, w co Tucker go wyceluje. Obaj spojrzeli na śmigłowiec.

– Jeszcze nie możesz go rozwalić – zaznaczył. – Najpierw musimy znaleźć tego drania i zdobyć kod. Mamy przewagę zaskoczenia. Kiedy wysadzisz ten śmigłowiec, ta wyspa zamknie się szczelniej niż kaczy kuper w zimnym jeziorze.

– Nie taki mam plan. – Tucker wskazał głową pensjonat. – Draper musi gdzieś tu być. Prawdopodobnie razem ze swoim pracodawcą kieruje ewakuacją. Dorwiemy go, zabierzemy mu pendrive'a, a potem zajmiemy się śmigłowcem.

Idąc w stronę pensjonatu, okrążyli pustą zbrojownię. Gdy dotarli do celu, Tucker skręcił przy schodach werandy w bok do kępy krzewów. Ukrył w niej wyrzutnię, niezbyt głęboko, żeby łatwo ją było wyjąć. Wyprostował się i wyjaśnił:

– Na wszelki wypadek.

Frank ponaglił przyjaciela. Im szybciej wejdą do środka i znikną z pola widzenia, tym lepiej. Tucker też to wiedział, wrócili więc do schodów. Gdy wbiegali po nich i stanęli na werandzie, drzwi przed nimi otworzyły się z hukiem.

Z pensjonatu wypadła znajoma postać w towarzystwie dwóch żołnierzy.
Draper.

Wzrok mężczyzny padł na ich twarze. Od razu rozpoznał Franka i bez wahania sięgnął do kabury po pistolet. Zrobił to tak szybko, że broń i jego ręka rozmyły się w smugę.

Tucker poderwał karabin ułamek sekundy za późno. Pocisk z broni Drapera trafił w pierś i siła uderzenia rzuciła Tuckera do tyłu, tak że wylądował ciężko u stóp schodów.

Potem kapitan wycelował w głowę jego przyjaciela. Frankowi nie pozostało nic innego, jak unieść ręce. Dwaj żołnierze zbiegli po schodach i już mierzyli z karabinów w Tuckera. Ten usiadł i z trudem chwycił powietrze. Kamizelka kuloodporna uratowała mu życie.

Draper stanął na najwyższym stopniu i spojrzął z góry na Franka.

– Witamy ponownie, doktorze Whitaker.

Godzina 8.38

Usłyszeli następny stłumiony wystrzał.

Monk drgnął, obawiając się najgorszego. Cholera jasna, zaklął w myślach.

Pobiegł do wejścia, ale zatrzymał się, by podać broń Charlotte.

– Zostań z Kainem – rzucił cicho.

W jej oczach płonęły wściekłość i determinacja. Skoczyła za nim i uniosła pistolet; nie zamierzała tu czekać. Monk miał nadzieję, że pies okaże się bardziej posłuszny.

– ZOSTAŃ I PILNUJ – rozkazał mu, wzmacniając komendę gestem, którego nauczył go Tucker.

Owczarek przypadł pod ścianą baraku.

Zadowolony z jego postawy Monk przeniósł spojrzenie na Charlotte.

– Nie wychylaj się. Ja prowadzę.

Kolejny wystrzał zagłuszył skrzypnięcie otwieranych drzwi. Skulony Monk wpadł na ugiętych nogach do przedsionka. Niemal musiał się czołgać, by nie dostrzeżono go przez okno, które wychodziło na salę. Rozejrzał się i stwierdził, że większość sprzętu ochronnego – fartuchy i maski – została stąd zabrana. W sumie nie miało to już żadnego znaczenia, bo procedury izolacji przestały obowiązywać. Nawet drzwi na oddział wisiały krzywo na jednym zawiasie.

Charlotte przysunęła się do Monka, opierając się na dłoni i trzymając broń blisko podbródka. Drzwi za nią zamknęły się cicho, gdy padł następny strzał.

Monk podniósł się, by zerknąć nad dolną framugą okna.

Sala wyglądała tak, jakby przeszła przez nią burza: wózki leżały poprzewracane, wyciągnięte z szafek szuflady walały się po zasłanej kawałkami szkła podłodze. Ewakuujący się personel postrącał i tratował szkła laboratoryjne.

Ale w łóżkach wciąż byli pacjenci. Pośrodku stał mężczyzna w kamizelce kuloodpornej i hełmie, trzymając w ręce dymiący pistolet. Monk skrzywił się, gdy go rozpoznał. Ekon. Porucznik podszedł do następnego łóżka i wycelował w starca, który wbijał nieruchome spojrzenie w sufit, nieświadom zagrożenia. Pocisk wstrząsnął jego głową, krew zalała poduszkę.

Inne łóżka były równie zakrwawione. Sześcioro pozostałych przy życiu pacjentów kulilo się, z przerażeniem patrząc na oprawcę.

Charlotte jęknęła i próbowała przepchnąć się obok Monka, ale powstrzymał ją uniesioną ręką. Potrzebował chwili, żeby ocenić sytuację. Wyglądało na to, że Ekon rozpoczął likwidację pacjentów od tych

w najcięższym stanie, bezwładnych i pogrążonych w śpiączce. Sukinsyn wybrał taką kolejność przypuszczalnie z sadyzmu – delectował się przerażeniem pozostałych, tych, którzy byli jeszcze przytomni. Nastoletni chłopak szlochał z twarzą schowaną w dłoniach. Inni przyciskali prześcieradła do piersi. Usta poruszały się w modlitwach lub błaganiu o litość. Matka osłaniała dziecko własnym ciałem.

Jedna z kobiet musiała wcześniej rzucić się do wyjścia, bo teraz jej ciało leżało na boku. Pocisk strzaskał jej kolano, a na twarzy ziała duża rana wylotowa.

Ekon przeszedł do następnego łóżka. Młoda matka odwróciła się plecami do niego, starając się chronić swoje dziecko.

Charlotte zareagowała, zanim Monk zdążył ją powstrzymać. Wstała i strzeliła przez okno. Pocisk przebił pleksiglas, ale nieco zmienił trajektorię. Ekon błyskawicznie skoczył za łóżko; lodowaty wyraz jego twarzy ani na chwilę się nie zmienił. Porucznik chwycił kobietę za włosy i użył jej jako tarczy.

– Disanka... – jęknęła Charlotte.

Monk, klnąc, wpadł do sali i rzucił się na podłogę, szorując ramieniem po potłuczonym szkłe. Strzelał do Ekona – raczej nie licząc na to, że trafi, tylko w nadziei, że uda mu się odpędzić go od kobiety.

Jego wysiłki poszły jednak na marne.

Ekon przycisnął gorącą lufę pistoletu do potylicy kobiety i pociągnął ją za sobą, szepcząc coś do jej ucha.

Monk przetoczył się za leżącą na podłodze stalową szafkę. Schronił się, zgrzytając zębami z frustracji. Wiedział, że ten człowiek wcale nie szeptał do kobiety, bo zdążył zauważyć mikrofon przy jego podbródku. Ekon wzywał przez radio posiłki.

Charlotte kulila się, patrząc z poczuciem winy na Monka. Choć on nie winił lekarki; wiedział, że instynkt kazał jej chronić niewinnych. Kobieta na łóżku – Disanka – nawet w chwili bezpośredniego zagrożenia tuliła do piersi dziecko, dłonią podtrzymując jego maleńką główkę.

– Uciekaj! – krzyknął do Charlotte.

Wciąż mogła wyczołgać się za drzwi i pobiec z Kainem do lasu. Pokręciła jednak głową.

– Idź do naszych – ponaglił. – Zrobię tu, co w mojej mocy.

Widział, jak Charlotte z trudem przełyka ślinę, jak jej oczy mrużą się z bólu. Z malującym się na twarzy poczuciem winy cofnęła się do drzwi. Gdy do nich dotarła, Monk usłyszał w słuchawce warknięcie Kaina.

– Czekaj – rzucił ostrzegawczo.

Usłyszał tupot butów na deskach, a chwilę później serię strzałów. Pociski zabębniły o ścianę baraku. Kilku żołnierzy wpadło do środka, co zmusiło Charlotte do położenia się na brzuchu.

W słuchawce zabrzmiał wysoki psi skowyt.

Monk zagryzł zęby.

Charlotte spojrzała na niego. Oboje znali prawdę.

Jesteśmy w pułapce.

Godzina 8.48

W ciągu lat kariery Nolan De Coster nauczył się doceniać swoje zwycięstwa, zarówno te duże, jak i te małe. Z wdzięcznością w sercu delektował się każdym triumfem.

Jak teraz.

Kilka minut temu kapitan Draper powiadomił go przez radio o ponownym schwytaniu doktora Whitakera i drugiego intruza,

prawdopodobnie tego, który wcześniej uwolnił dwóch więźniów. A przed chwilą zgłosił się porucznik Ekon; prosił o wsparcie, żeby usidlić dwoje kolejnych intruzów, przygwożdżonych w baraku medycznym. Że też mieli czelność tu wrócić, zwłaszcza po cudownym ocaleniu po wybuchu w kopalni Katwa!

Mimo wszystko De Coster ich podziwiał – co nie znaczy, że ich nie zlikwiduje, gdy już wycisnie z nich wszystko, co się da. Ale to musi poczekać.

Stojąc za biurkiem, rozejrzał się po gabinecie. Wszystkie jego skarby zostały starannie zapakowane i ułożone w ładowni śmigłowca bojowego. Pozostała tylko abisyńska złota korona. Wyjęta ze szklanej gabloty, leżała na słomianej wyściółce w drewnianej skrzyni. Podeszedł i zaborczo położył na niej dłoń.

Doceniał te dwa niedawne sukcesy, ale dręczył go pewien problem. Schwytanie uciekinierów pozwoliło mu na jednoznaczne wytyczenie nowego kursu: mógł ich usunąć i dłużej się nimi nie przejmować. Czuł jednak, że pominął coś bardzo ważnego. To go niepokoiło, a nawet irytowało.

Usłyszał sygnał laptopa, informujący o przychodzącej rozmowie wideo. Podeszedł do biurka, spodziewając się, że Ekon chce go powiadomić o zakończeniu sprawy w baraku medycznym, ale zobaczył na ekranie twarz kogoś innego.

Młody belgijski inżynier wojskowy miał na głowie słuchawki z mikrofonem. Obsługiwał stację łączności, będącą częścią rozległej sieci komunikacyjnej De Costera w całym Kongu. Zgłaszał się co jakiś czas w nocy po wybuchu bomby. Monitorował rozmowy w regionie i informował pracodawcę o tych, które wymagały jego interwencji.

De Coster oparł ręce na biurku przed laptopem.

– O co chodzi tym razem, kapralu Willem?

Młody człowiek skrzywił się.

– Nie wiem, czy dobrze robię, zwracając panu głowę w tej krytycznej chwili, ale kazał pan zwracać uwagę na wszelkie anomalie.

– Słucham. Jeśli uważasz, że to ważne, ufam twojemu osądowi.

– Dziękuję, panie dyrektorze. Program śledzenia monitorował i oceniał wszystkie transmisje w regionie i zestawiał listę odbiegających od normy transmisji i komunikatów. Jedna pozycja wydała mi się zagadkowa, na tyle dziwna, że postanowiłem pana powiadomić.

– Dziwna w jakim sensie?

– Program wykrył w odległym zakątku Konga serię impulsów GPS, przemieszczających się powoli na wschód. Z początku myślałem, że mogą to być rebelianci, ale regularność sygnału wydała mi się nietypowa.

– Rozumiem.

– Przyjrzałem się temu bliżej. Trzy godziny temu program zarejestrował łączność satelitarną. Prawie ją przegapiłem. Trwała tylko sześć minut, zakodowana i zaszyfrowana. Zbyt wyrafinowana jak na rebeliantów.

De Coster nie był zachwycony tym, co usłyszał. Aż za dobrze pamiętał supernowoczesną protezę asystenta doktora Whitakera, skonstruowaną najprawdopodobniej w laboratoriach wojskowych. A teraz to.

– Podjąłeś słuszną decyzję, Willem, zgłaszając mi tę sprawę. Zdołałeś namierzyć tę transmisję?

– Tak, panie dyrektorze. Pochodziła z niegościnnego regionu, kilkaset kilometrów na południowy zachód od kopalni Kilo-Moto.

De Coster zmarszczył czoło, dławiąc warknięcie z irytacji. Ta leżąca blisko granicy kopalnia nie należała do niego, ale sporo w nią zainwestował. Finansował firmę wydobywczą działającą w pobliżu – do czasu, gdy błędy w procesie szczelinowania hydraulicznego spowodowały

śmierć tysięcy ludzi. Wydał fortunę na zrzućenie winy na tragiczne w skutkach trzęsienie ziemi.

– Udało ci się rozszyfrować tę transmisję? – zapytał.

– Nie, to skomplikowane – odparł młody człowiek – Nigdy nie widziałem czegoś takiego. Ale jeśli pan sobie życzy, popracuję nad tym. Znam kilku chińskich hakerów, którzy mogliby pomóc.

Jego pracodawca nie cierpiał werbować Chińczyków. Byli jego głównymi konkurentami w regionie, wiedział jednak, że nie może pozwolić, by duma przeszkodziła mu w poznaniu prawdy.

– Zgoda. I sprawdzaj, czy sygnał się nie powtórzy. Jeśli tak, natychmiast daj mi znać.

– Tak jest.

Po zakończeniu rozmowy De Coster nadal stał przy biurku. Wcześniejszy niepokój powrócił. Przypomnił sobie niedawne wrażenie, że czegoś nie dopilnował, czegoś, co kryje się poza zasięgiem wzroku. Narastała w nim pewność co do tego.

Prawdziwym zagrożeniem są ci, którzy nawiązali tę łączność satelitarną, pomyślał i poczuł się lepiej, gdy sobie to uświadomił. Stukał knykciami w blat biurka. Właśnie to, o czym nie wiemy, zawsze sprawia problemy. Z resztą można sobie poradzić.

Kalkulując, nabierał coraz większej pewności siebie i wiary w powodzenie.

Wiedział, co należy zrobić, i zaczął to organizować.

Żeby załatwić tę sprawę, musi wyeliminować to niewiadome.

Prowincja Ituri, Demokratyczna Republika Konga

25 kwietnia, godzina 8.49 czasu miejscowego

Gray szedł brukowaną ścieżką w kierunku gęstej ściany dżungli. Przed nimi tłoczyły się masywne pnie mahoniowców i cedrów. Dolne splecione gałęzie tworzyły zielony liściasty strop tunelu. Korzenie – wystające z gliny na wysokość kolan – splotły się w wysoką barykadę.

Szlak prowadził za tę barierę. Z drugiego końca tunelu płynął jasny blask. Komandor wyłączył latarkę i ją schował. Nie była już potrzebna.

Schylił głowę, żeby przejść pod tą obrośniętą pnączami pergolą. Towarzyszył mu Tyende, postukujący laską. Molimbo i inni myśliwi zostali na zewnątrz.

Benjie deptał starcowi po piętach, a Kowalski i Faraji podążali za nim.

Tunel poruszał się wokół nich. Mokre liście odsuwały się od nich i zwijały, jakby rozgniewane ich obecnością. Kolczaste pnącza wiły się i skręcały, ciernie niczym pazury drapały listowie i wydzielały szkarłatny sok.

Na policzek Graya spadła kropelka i zapiekła jak użądlenie pszczoły. Wytarł ją mankietem koszuli, obawiając się, że to może być trucizna.

Tyende spostrzegł jego niepokój.

– Twarze w dół – poradził. – Jeśli nie pozwolicie, by cokolwiek dostało się do waszych ust, wszystko będzie dobrze.

– Wierzę ci na słowo – mruknął Kowalski, chyląc głowę. – Nie mam zamiaru lizać tych kolców.

Benjie skrzywił się i potarł drażnięty lekko nadgarstek.

– To jak oparzenie pokrzywą – powiedział, bardziej zdumiony niż zaniepokojony. – Ich jad jest wywarem czarownicy, złożonym z histaminy i różnych kwasów: mrówkowego, winowego, szczawiowego.

Gray znowu zaczął się zastanawiać, czy wirus, który rozprzestrzenił się po Afryce, od tysięcy lat zmieniał strukturę genetyczną roślin w tej dolinie.

Biolog pociągnął go za tył koszuli.

– Patrz! – zawołał i wskazał za siebie.

Tunel za nimi powoli się zamykał. Gałęzie nachylały się, wachlarzowate liście rozkładały się szeroko. Kolczaste pnącza tworzyły splątaną sieć, odcinającą im drogę powrotną.

Komandor przypomniał sobie ostrzeżenie Tyendego – „Jeśli uzna was za niegodnych, nie odejdziecie stąd” – i spojrział na niego. Król najwyraźniej rozumiał to dosłownie.

Nie mając wyboru, przemierzali ostatni odcinek tunelu. Światło nasilało się, lecz nie oślepiało; przypominało delikatny blask jutrzeńki. Gray zastanawiał się, czy to energia fotosyntetyzująca, która niczym małe słońce pogrzebane w tej mrocznej dżungli mobilizuje do bujnego wzrostu otaczającą ich roślinność.

Gdy wreszcie dotarli do końca tunelu, z otwartymi ustami patrzył na roztaczający się przed nim widok. Usiana stawami baśniowa kraina – otoczona gęstszymi lasami i osłonięta ciemnym dachem koron – rozciągała się na setki hektarów.

Benjie westchnął i podszedł do komandora i Tyendego.

– To jak las w lesie – powiedział, rozglądając się.

Gray skinął głową. W tej nieprzeniknionej ciemnoszmaragdowej kotlinie rósł drugi las. Niezliczone pnie, wszystkie śnieżnobiałe, wznosiły się na wysokość trzydziestu metrów. Można by je wziąć za ogromne brzozy, tyle że ich kora nie była jak papierowa, tylko mięsista, jak skórka na nóżce grzyba. Złocistozielone korony miały kształt idealnych kopuł i nie stykały się ze sobą, jakby ten gaj został zasadzony lub był specjalnie przystrzygany.

Z leśnej ściółki bił blask. Na pofałdowanej ziemi rosły fosforyzujące grzyby. Lustra sadzawek migotały, rozjarzone przez bioluminescencyjne algi.

Powietrze – ciężkie od zapachu pleśni i zgnilizny, bogate w żywną słodycz gnijących owoców – potęgowało jasność. Zapach wydawał się stary, jakby przez niezliczone wieki wnikał w każdy por tego miejsca.

– Co teraz? – wyszeptał Benjie z nabożnym podziwem.

– Idziemy dalej – odparł Gray.

Tyende kiwnął głową na znak potwierdzenia, po czym dodał ostrzeżenie:

– Nie zbaczajcie ze ścieżki.

Wijący się między drzewami szlak prowadził przez falisty teren. Gray szedł na czele. Ścieżka była na tyle szeroka, że dwie osoby mogły iść obok siebie.

Zapach stawał się coraz silniejszy. Ten dziwny las reagował na ich obecność. Pagórki grzybów poruszały się, a białe korzenie przebijały się z ziemi. Na prawo od ścieżki wynurzyło się grube jak udo kłaczce. Na jego powierzchni podniosły się ostre kolce i zaraz potem spłaszczyły, gdy zaczęło osuwać się w podłoże.

– Tak, zdecydowanie będę trzymać się drogi – zapewnił Kowalski, który to widział.

Benjie zdawał się nie zauważać tej erupcji i zagrożenia.

– Nie sądzę, żeby ten las składał się z pojedynczych drzew – powiedział. – Są zbyt jednakowe. Przypominają mi Pando.

– Kim jest ten cały Pando? – zapytał Kowalski.

– Nie kim, ale czym – sprostował biolog, wodząc wzrokiem dokoła. – To las w stanie Utah, zwany również Drżącym Olbrzymem. To drzewostan *Populus tremuloides*, czyli topoli osikowej. Las składający się z czterdziestu tysięcy drzew rosnących na powierzchni kilku hektarów w rzeczywistości jest jednym organizmem, jednym drzewem połączonym systemem korzeniowym ze swoimi klonami. Uważa się, że ma osiemdziesiąt tysięcy lat, może nawet milion.

– Myślisz, że mamy tu do czynienia z czymś takim? – spytał Gray.

– Niewykluczone. Zwłaszcza że prawdopodobnie rozpoznaję te drzewa.

– Tak?

– Chyba. Ale znam je tylko z zapisu kopalnego. Ich szerokie podstawy, zwężające się pnie... Jestem prawie pewien, że przypominają prehistoryczne *Cladoxylopsida*, gatunek gigantycznych drzew spokrewnionych z paprociami. Uważane są za pierwsze prawdziwe drzewa i pojawiły się na Ziemi prawie czterysta milionów lat temu. Spójrz na tę spękaną korę. Widziałem szczelinę dość dużą, by zobaczyć, że pień jest wewnątrz pusty. I zauważ, jak te pęknięcia naprawiają się, napełniając się świeżym ksylemem. Tak rosły wczesne drzewa.

Benjie spojrział na Graya.

– Pamiętasz, jak opowiadałem ci o najstarszych grzybach znalezionych w Kongu, o tym, że niektórzy naukowcy uważają, że przygotowały pierwotną glebę dla przyszłych drzew? – Wskazał najbliższe drzewo. – Te właśnie wyrosły jako pierwsze. Chociaż są zdecydowanie drzewami, nadal mają cechy grzybów. Dlatego uważam, że ten las jest jednym klonalnym

kompleksem, podobnym do tego, jakie tworzy wiele gatunków grzybów. W sumie pod względem składu powinien być uważany za pół drzewny, pół grzybowy.

Gray przełknął ślinę, patrząc na las nowymi oczami. Kopulaste korony drzew rzeczywiście przypominały kapelusze grzybów, z wielkimi liśćmi jak paprocie zamiast blaszek.

Biolog wskazał na sąsiedni pień.

– I spójrz na te zaokrąglone wypukłości. To prymitywne owocniki, jak te purchawki, które widzieliśmy wcześniej. – Przesunął się do jednego, który jakby dymił z wielu dziurek na swojej powierzchni. – Patrz, ten już wyrzuca zarodniki z ostioli.

Gray skrzywił się na ten widok.

– Więc pół drzewo, pół grzyb.

Kowalski nie wyglądał na uszczęśliwionego.

– Myślę, że te gnoje są czymś więcej. – Wzdrygnął się, gdy spod ziemi wyskoczył następny kolczasty korzeń. – Myślę, że jest w nich także jakieś zwierzę.

– Możliwe – przyznał Benjie, wzruszając ramionami. – Coś na pewno zagrało tu na ścieżce ewolucji.

Gray zastanawiał się nad jego słowami. Czy wirus mógł tu wszystko zmienić, nawet tę prymitywną formę życia?

Patrzył przed siebie, szukając odpowiedzi. Ścieżka skręcała w głąb tego dziwnego gaju, wyraźnie do serca lasu.

Co nas tam czeka? – przemknęło mu przez głowę.

Godzina 8.53

Młody biolog został w tyle za innymi, skupiony na zagadce. Gray zasypywał Tyendego pytaniami, ale starzec tylko wskazywał ścieżkę, nie mówiąc ani słowa. Kowalski człapał za nimi z ponurą miną.

Benjie wyłączył się, głuchy na wszystko, zainteresowany tym, co go otaczało. Połyskliwe sadzawki, na obrzeżach lasu małe, tu były znacznie większe. Brzegi kilku z nich spinały łukowate mosty.

Przeprowadzając się przez trzeci, Benjie wpatrywał się w toń, zafascynowany jej żółtordzawym połyskiem. Już zauważył, że wszystkie stawy są okolone przez śluzowce koloru ochry, będące źródłami światła. Fosforyzujące organizmy nadawały wodzie kolor słabej herbaty.

Badał wzrokiem głębiny, uważając, by zachować bezpieczną odległość od krawędzi mostu, bo oczywiście nie było poręczy. Odkrył coś nowego: dno stawu wyglądało tak, jakby rozpościerała się na nim biaława sieć. Zmrużył oczy, przyglądając się wzorowi. Wypatrzył maleńkie guzki, które spajały tę nitkowatą siatkę. Gwałtownie wciągnął powietrze, gdy zdał sobie sprawę, na co być może patrzy.

– Strzępki – szepnął.

Jeśli miał rację, to dodatkowo potwierdzało jego teorię.

Strzępki są rozgałęzionymi wegetatywnymi włóknami, z których składa się grzybnia – plecha grzybów. Łączą wszystko w całość. Nie wiedział, czy ta sieć strzępek jest częścią organizmu lasu, czy też pozostaje z nim w jakimś symbiotycznym związku. Wiele drzew żyje w symbiozie z grzybami glebowymi. Niektórzy nawet uważają takie sieci mykoryzowe za mózgi lasu, naśladujące sieć neuronową. Co więcej, zawierają neuroprzekaźniki, łącznie z glutaminianem, jednym z głównych przekaźników w mózgu człowieka.

Benjie, patrząc na brzeg stawu i dalej, wyobrażał sobie, że właśnie taka sieć rozciąga się pod ziemią, tworząc ogromny kompleks obejmujący setki

hektarów. Wzdrygnął się na myśl, że patrzy na niego zimna ogromna inteligencja.

Pospieszył, żeby dogonić pozostałych, bo chciał się z nimi podzielić swoją teorią.

Ale jeden członek ich grupy stał na moście i wpatrywał się w staw.

Benjie podszedł do Farajiego.

– Chodź, musimy ich dopędzić.

Chłopiec stał nieruchomo, zaciskając rękę na szyi.

– Co się stało? – spytał Benjie.

Faraji wskazał wodę.

– *Utetezi*.

Biolog zmarszczył czoło. Miał niemal ejdetyczną pamięć, która pozwoliła mu w czasie lat studiów napełnić głowę niezliczonymi faktami. Mimo to nie od razu rozpoznał słowo w języku bantu. Słyszał je tylko kilka razy, w laboratorium na Uniwersytecie Kisangani. *Utetezi* znaczy „ochrona”. Faraji użył tego słowa w odniesieniu do buteleczki z proszkiem, który szaman rozsypał w obozie ONZ-etu.

Benjie przypomniał sobie szaleńczą noc ucieczki i atak pawianów. Przed oczami stanął mu Woko Bosh obracający się w miejscu i rzucający drobny pył w stronę zwierząt, by je odpędzić.

Czas zwolnił, gdy skupił się na tej chwili.

Proszek w powietrzu...

Benjie popatrzył na staw. Woda miała ten sam żółtordzawy odcień. Chwycił chłopca za ramię i zawołał do pozostałych, żeby zawrócili. Nie wyglądali na uszczęśliwionych, ale posłuchali. Zbyt niespokojny, by czekać, wyszedł im na spotkanie.

Wskazał na staw i podzielił się podejrzeniami swoimi i Farajiego.

– Pleśń – wydyszał. – Albo coś innego w wodzie. Myślę, że to jest źródło proszku ochronnego Woko Bosha. Szamani wydestylowali go z sadzawki podobnej do tej.

Gray spojrział na Tyendego.

– To prawda? – spytał. – Czy Sheppard stąd miał lek?

– Ludzie Molimba obdarowali go nim, by chronił go w drodze powrotnej do domu. – Tyende dał im znak, że mają iść za nim. – Ten proszek pochodzi z tych stawów.

– Nie jest jednak lekiem, prawda? To tylko środek do odstraszenia zarażonych.

Król skłonił głowę, przyznając mu rację, lecz nie chciał powiedzieć nic więcej.

Benjie trzymał się Graya, gdy ruszyli dalej. Powiedział mu, co wypatrzył na dnie stawu.

– To wszystko musi być połączone – dodał. – Sieć strzępek grzybów i ten ogromny klonalny kompleks pierwotnych drzew. A teraz wiemy, że las może wydestylować środek przeciwdziałający wirusowi. Jeśli to prawda...

Zadrżał na tę myśl. Czuł, że Gray już doszedł do tego samego wniosku, może nawet wcześniej niż on.

– Mów dalej – ponaglił go komandor.

Biolog minął kolejne drzewo. Duże cysty na pniu wydzielają dym.

– Las nie jest zainfekowany wirusem – powiedział. – To jest jego źródło.

Gray skinął głową, ponuro zaciskając usta. Narzucił szybsze tempo, wyraźnie wyczuwając, że czas ucieka.

Benjie zrozumiał: wszyscy możemy być już zarażeni.

Szlak zbliżał się do wysokiego głazu o ściętym wierzchołku. Większy niż piętrowy dom, był pokryty mchem, grzybami i porostami. Na jego szczycie zapuściło korzenie drzewo, młode, z pniem nie grubszym niż przedramię Benjiego. Większość korzeni wrosła w cienką ściółkę, ale kilka wystawało. Wiły się, jakby drzewo walczyło o utrzymanie się w pionie. Sięgały poza podstawę głazu i niknęły; zapewne łączyły się z większym tworem ukrytym pod powierzchnią ziemi.

Patrząc na nie, Benjie przypomniał sobie, jak grzyby położyły podwaliny pod lądowe życie roślinne. Drzewo na szczycie głazu wyglądało jak mikrokosmos tej pierwszej kolonizacji.

Nad głazem widać było czubki drzew porastających szczyt wznoszącego się za nim wzgórza, świadczące o bardziej udanej ekspansji.

Gray, który prowadził ich na drugą stronę głazu, nagle stanął jak wryty. Benjie prawie na niego wpadł i cofnął się zszokowany, bo zrozumiał swoją pomyłkę.

Za głazem wznosiło się nie wzgórze, ale jedno masywne drzewo.

Kowalski zaklął, zdumiony tym, jakie jest ogromne.

Faraji krzyknął.

To, co Benjie przed chwilą wziął za wierzchołki drzew, było koroną jednego kilkudziesięciometrowego giganta. Sam pień, sękaty i cały pokryty bliznami, miał ze dwadzieścia metrów średnicy. Górne partie były blade, jak pnie w całym lesie, ale u dołu czerniały, jak skamieniałe ze starości, ale wciąż żywe.

Pień sterczał wśród sękatych i kolczastych korzeni. Niektóre były grube jak tors Kowalskiego. Splątana masa miała co najmniej sześć metrów obwodu.

Benjie w końcu odzyskał głos.

– To matka drzew – rzucił.

Godzina 8.58

Na pewno ma rację, pomyślał Gray, gdy z otwartymi ustami patrzył na gigantyczne drzewo. Jego umysł miał kłopot z pogodzeniem się z samym jego rozmiarem. Miał przed sobą serce całego lasu, prastare i wieczne, coś, co przetrwało tysiąclecia, a może epoki.

Wyczuwał też, że zakorzeniła się tu nie tylko matka drzew.

Lecz także Natura.

Tyende miał inną nazwę.

– Oto wasza sędzia. Ona zdecyduje, czy jesteście godni.

Poprowadził ich dalej. Podążając za nim, przebyli ostatni odcinek drogi. Świat przed nimi wypełniało drzewo. Krąg kolczastych korzeni wyglądał jak wyrzeźbiony z litego hebanu, bardziej jak kamień niż drewno. Z bliska zobaczyli żyłki srebra na czarnej powierzchni.

Tyende zatrzymał się przed barykadą. Pod plątaniną korzeni droga biegła dalej. Od tego miejsca musieliby się czołgać. Nikt nie wyglądał na chętnego, zważywszy na ostre kolce wzdłuż wąskiej ścieżki. Korzenie wydawały się skamieniałe, ale masa gałęzi trzeszczała i jęczała przed nimi.

Żyje, wie, że tu jesteśmy, przemknęło przez głowę Grayowi i przypomniał sobie zamykający się za nimi leśny tunel. Jeśli to samo stanie się tutaj, gdy będziemy w tym nowym tunelu...

Kowalski łypnął spode łba na Tyendego.

– Chcesz, żebyśmy tam poszli. Czy ja wyglądam jak cholerny Pigmej?

– Zostaniecie poddani próbie – oznajmił król i czekał.

Benjie podszedł bliżej, przechylił głowę i zaczął wzrokiem badać korzenie.

– Hm... – mruknął.

– O co chodzi? – zapytał Gray.

Młody biolog cofnął się. Krzywił się i wyginał, aż w końcu wyciągnął coś z bocznej kieszeni bojówek. Uniósł to wysoko. Była to figurka *ndop*, przedstawiająca Williama Shepparda. Miał ją przy sobie po tym, jak wczoraj pokazał ją Molimbowi.

Skierował rzeźbę w stronę krzywizny korzenia i uniósł brwi.

Gray też to zauważył: hebanowa rzeźba żyłkowana srebrem pasowała do korzenia.

– Z tego samego lasu – zwrócił się do Tyendego.

Starzec skinął głową.

– Kolejny prezent od Molimba. Przekazywanie innym nawet tak małej cząstki Jej jest nieczęstym zaszczytem. To znak tego, jak bardzo szanowali wielbego Shepparda. Uratował życie wielu z nich.

Gray miał nadzieję, że oni okażą się tego równie godni. Był tylko jeden sposób, by się o tym przekonać. Spojrzał nad groźnym kręgiem korzeni na rozległą koronę drzewa.

Tyende wskazał wejście laską.

– Już czas – powiedział.

Komandor to zaakceptował. Podszedł do wlotu tunelu i opadł na czworaki.

– Idę pierwszy – rzucił.

Nikt nie zaprotestował.

Wczołgał się do tunelu i pełzł z brzuchem przy ziemi, obracając się na boki, by unikać kolców, ale nie było przed nimi ucieczki. Wbijały się wszędzie. Miał wrażenie, że przeciska się przez stłuczoną szklaną butelkę. Kolce drapały go w ramię, czubek głowy i policzki. Wzdrygał się za każdym draśnięciem, nie z bólu, ale ze strachu przed tym, co mogą zawierać.

Jego towarzyszom nie szło lepiej. Słyszał ich jęki, stłumione krzyki i litanie przekleństw. Spodziewał się, że te kły lada chwila zacisną się na nich. Zaczął czołgać się szybciej, lecz zapłacił za to kolejnymi skaleczeniami i ukłuciami. Tunel zdawał się nie mieć końca, chociaż w rzeczywistości miał tylko pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt metrów.

Wreszcie Gray zbliżył się do końca i przebył ostatni etap ze wstrzymanym oddechem. Wydostał się na zewnątrz, wstał i przesunął się na bok. Sama wielkość pnia drzewa matki zmusiła go do cofnięcia się o krok.

Rosło trzydzieści metrów od niego i pień wznosił się przed nim jak ciemna ściana. Komandor zadarł głowę, ale i tak nie zobaczył korony. Pod najniższymi konarami wisiały setki, jeśli nie tysiące rozsiewających zarodniki owocników. Skupione jedne przy drugich, przypominały makabryczne kiście winogron. Najmniejsze były wielkości piłek do koszykówki, największe dziesięć razy większe.

Z niektórych dymiło.

Pozostali wygramolili się z tunelu i stanęli przy Grayu. Wytrzeszczali oczy, zdumieni majestatem drzewa.

Ziemia między nimi a pniem była kamienista, wiła się na niej wokół pnia i poruszała druga, niższa, bariera z korzeni. Te były białawe, młodsze, bardziej niestabilne i pobudzone obecnością ludzi. A za nimi widać było wysoką szczelinę w czarnym pniu ukazującą jego puste wnętrze.

Tylko że nie było do końca puste.

Za ciemnym progiem jarzyła się wewnątrz drzewa duża sadzawka, oświetlająca jego serce. Jak stawy, które widzieli wcześniej, połyskiwała łagodnie, ale tutaj srebrem, jakby w toni płonął jasny księżyc.

Wewnątrz pnia po czarnych ścianach biegły jasne żyłki pasujące do połysku wody. Wyglądało to tak, jakby esencja drzewa spływała do tego małego jeziora.

– Mzazi Maziwa – powiedział Tyende, który dołączył do nich, opierając się na lasce.

Skupiony na czołganiu się Gray nie miał pojęcia, że za nimi podążał.

– To znaczy „mleko matki” – wyjaśnił starzec.

Komandor spojrział na niego z wyrzutem. Doceniał jego pomoc, ale denerwował go brak szczerości tego człowieka. Potrzebował odpowiedzi, chociaż uważał, że odkrył już najważniejsze elementy układanki.

– Mleko matki – powtórzył. – Ta sugestywna nazwa pozwala przypuszczać, że jeśli lekarstwo istnieje, to jest ukryte w tym stawie. – Wyciągnął rękę ku dymiącym cystom. – Lekarstwo na to.

Tyende z rezygnacją opuścił ramiona.

– Przez długi czas była cicha, od lat pogrążona w drzemce – powiedział. – Zbudziła się osiemnaście miesięcy temu. Zareagowała na jakąś zmianę, na coś, co uznała za zagrożenie. Wydzielała truciznę przez długie tygodnie, podobnie jak cały ten las, aż w końcu powrócił spokój.

Gray wyobraził sobie mglistą chmurę podnoszącą się nad tą kotliną, niosącą ze sobą śmiertelne wirusy i rozsiewającą je po całym obszarze.

– Miałem nadzieję, że szkody ograniczą się do tego regionu – kontynuował Tyende. – I że to też w końcu ustąpi. Tak jak w przeszłości.

Komandor spojrział na Benjiego. Biolog postawił hipotezę, że pierwsze ognisko wirusa miało niewielki zasięg, ograniczony do mniejszego regionu. Ale później sytuacja nagle się zmieniła.

– Monsuny, miesiące powodzi rozniosły wirusy dalej niż zwykle – powiedział Gray. – I pozwoliły im działać na większym obszarze, zyskać mocniejsze oparcie, dać im siłę do wzniesienia pożogi.

Tyende skinął głową.

– Nie rozumiem tylko, co zbudziło to drzewo – dodał Gray i zatoczył ręką szeroki łuk. – Nikt tu nie wtargnął ani nie zagroził temu lasowi.

– Może nie wprost – rzucił stary człowiek. – Ale z czasem można nauczyć się rozpoznawać Jej nastroje. W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat stawała się coraz bardziej pobudzona. Może z powodu skażenia środowiska. Zanieczyszczone powietrze, kwas w deszczu, toksyny w zlewisku, coraz gorętsze i dłuższe lata. Wtargnięcie człowieka na okoliczne tereny. Wszystko to sprawiło, że stała się spięta i podenerwowana.

Gray zerknął na Benjiego, bo przypomniał sobie jego wykład o wrażliwości roślin, o ich reaktywności na otaczający je świat, o zdolności wykrywania najmniejszych zmian w środowisku, zwłaszcza tych, które im zagrażają. Po czym znowu zwrócił się do Tyendego:

– Ale co tak naprawdę zapaliło ten lont osiemnaście miesięcy temu? Co w końcu doprowadziło drzewo do ostateczności?

Król westchnął ciężko.

– Poznanie prawdy zajęło mi zbyt dużo czasu. Wykryte przez Nią zagrożenie nadciągało z północnego wschodu, od kopalni Kilo-Moto.

Gray patrzył wcześniej na jej lokalizację na cyfrowej mapie.

– Prowadzono eksploatację zbyt blisko jej terytorium?

– Nie, zaszło coś znacznie bardziej dramatycznego – odparł Tyende. – Jezioro leżące blisko terenów kopalni eksplodowało i zginęły tysiące ludzi mieszkających na jego brzegach. Udusili się.

– Co spowodowało tę eksplozję? Wypadek w kopalni?

– Twierdzą, że to było trzęsienie ziemi. – Stary człowiek z pogardą wygiął usta. – Ale dowiedziawszy się o tej tragedii od tutejszych ludzi, wybrałem się tam. To nie było trzęsienie ziemi, przynajmniej nie naturalne. Pracował ciężki sprzęt. Wybuchy gwałtownie wstrząsały ziemią.

– Wygląda mi to na szczelinowanie – wtrącił Kowalski.

Tyende wzruszył ramionami.

– Tamtejsi ludzie próbowali ostrzec kierownictwo kopalni. Lokalne przesady zakazują zakłócania spokoju jeziora, przestrzegają przed śmiertelnościami duchami, które po przebudzeniu wynurzą się z jego wód. Zignorowano ich prośby, a później zatuszowano wszystko, zrzucając winę na trzęsienie ziemi.

– Nadal czegoś nie rozumiem – wtrącił Gray. – W jaki sposób trzęsienie ziemi, naturalne czy inne, mogło spowodować eksplozję jeziora i śmierć ludzi przez uduszenie?

Odpowiedź napłynęła od Benjiego, który szeroko otworzył oczy.

– Pamiętam, jak czytałem o tym incydencie, zanim przyjechałem do Konga. Doszło do wybuchu metanu.

– Metanu? Skąd?

– To było niezwykle źródło, ale nierzadkie w tym aktywnym tektonicznie regionie. Między Kongiem a Ruandą ciągnie się łańcuch jezior. Kilka jest zasilanych przez wulkaniczne gorące źródła. Są tak głębokie, że uwalniany z nich metan pod wpływem ciśnienia rozpuszcza się i zostaje uwięziony na dnie. Takie rozwarstwienie jest bardzo niestabilne. Trzęsienie ziemi lub cokolwiek innego, co porządnie wstrząśnie tymi jeziorami, może przerwać granicę pomiędzy warstwami i spowodować natychmiastowe uwolnienie uwięzionego w głębinie metanu. Coś takiego zdarzyło się już wcześniej, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym, kiedy erupcja limniczna na jeziorze Nyos w Kamerunie zabiła dwa tysiące osób.

Komandor wyobraził sobie, jak trzęsienie ziemi budzi okolicznych mieszkańców i jak woda dziko wrze w pobliskim jeziorze, uwalniając toksyczny metan.

– Jedno z największych jezior w tym łańcuchu budzi szczególne obawy – ciągnął Benjie. – Jezioro Kiwu. Jest bardzo niestabilne. I wokół niego mieszka o wiele więcej ludzi. Jeśli kiedyś wybuchnie, zabije miliony.

Gray zaczął rozumieć, co się tutaj stało.

– Ta chmura metanu spłynęła tu z obszaru kopalni – powiedział. – I matka drzewo wykryła skok toksyczności.

Tyende skinął głową.

– Uznała to za bezpośrednie zagrożenie i zareagowała gwałtownie.

Gray potarł czoło, wstrząśnięty tym tragicznym ciągiem wydarzeń. Zrozumiał także trudną prawdę: jeśli nie ten wybuch metanu, to coś innego w końcu sprowokowałoby reakcję drzewa zestresowanego degradacją środowiska. Wpatrywał się w nie, wciąż groźnie dymiące.

Natura wyraźnie miała dość panoszenia się bezmyślnego człowieka. Epoka zwana antropocenem – czyli okres dominacji ludzi na tej planecie – jest tylko mgnieniem oka w skali geologicznej. Świat przyrody narodził się znacznie wcześniej i przez setki milionów lat rozwinął strategie przetrwania.

Jak mogliśmy mieć nadzieję, że uda nam się z nim konkurować? – zastanawiał się Gray.

Takie pytania musiały jednak poczekać. Miał pilniejszą sprawę. Wskazał na srebrzysty staw lśniący w sercu drzewa. Nie znał właściwości leczniczych tej wody, ale była największą nadzieją dla świata.

– Podzieli się z nami swoim darem? – zapytał.

– Jak powiedziałem wcześniej: jeśli uzna was za godnych. – Tyende wskazał głową kolczasty tunel. – Już zostaliście poddani próbie.

– I co dalej?

Starzec dał Grayowi znak, żeby ruszał.

– Po prostu podejdź. Powiadomi cię o swojej decyzji.

Komandor spojrział na korzenie wijące się po nagiej skale. Ostre jak brzytwa kolce wznosiły się i opadały, oplatając się wzajemnie.

Przypuszczał, że mogą rozszarpać go na strzępy, zedrzeć mięśnie z kości, zanim zrobi więcej niż kilka kroków.

Mimo wszystko muszę spróbować, uznał.

Odetchnął głęboko, modląc się o miłosierdzie – nie tylko dla siebie, ale też dla świata. Poszedł po skalistym podłożu w kierunku kłębiącego się niebezpieczeństwa. Przy każdym kroku spodziewał się, że zostanie odepchnięty albo przebity przez setkę kolców. Korzenie reagowały coraz gwałtowniej, coraz bardziej wściekle.

Zatrzymał się na skraju bariery.

Najwyraźniej za blisko, bo jeden z nich śmignął tak szybko, że nie dało się go zobaczyć. Trafił go w pierś. Gray poczuł się jak potrącony przez ciężarówkę. Poleciał do tyłu i twardo wylądował na ziemi. Uderzenie wyparło mu dech z piersi. Usiadł i z trudem łapał powietrze.

Przynajmniej nie zostałem dźgnięty, pomyślał.

Jednak prawda była gorsza. Gdy spojrzał na Tyendego, wyraz twarzy starego człowieka był łatwy do odczytania.

Zostałem odrzucony, uświadomił sobie.

Komandor zakasłał i dźwignął się z ziemi.

– Może tylko ja – powiedział. – Wszyscy musicie spróbować. Nie mamy wyboru.

Nie kryjąc strachu, Benjie podszedł do bariery... i spotkało go to samo. Upadł i poturlał się po ziemi. Faraji poradził sobie nie lepiej.

– Do diabła! – Kowalski zdjął z ramienia shurikena i trzymał go przed sobą. Ruszył, celując szeroką lufą w kłębowisko korzeni. – Ja pukam do drzwi po swojemu.

– Nie! – zawołał Gray, rzucając się za nim.

Olbrzym nie zdążył zrobić następnego kroku. Korzeń błyskawicznie wytrącił mu broń z ręki. Siła uderzenia wygięła shurikena i odrzuciła w kolczastą barykadę.

– Hej! – krzyknął Kowalski z trwogą w głosie.

Nawet nie to, że został rozbrojony, go zaniepokoiło. Kolejny korzeń wystrzelił i przywarł do jego ręki. Zanim olbrzym zdążył się poruszyć, trzeci przemknął między jego nogami i okręcił się wokół uda.

Pociągnęły go ku kłębiącej się masie kolców. Kowalski uniósł rękę, żeby osłonić twarz. Zapierał się piętami, walcząc z ciągnącą go siłą. Była to jednak bitwa, której nie mógł wygrać.

Gray pobiegł mu z pomocą.

– Nie! – krzyknął Tyende. – Nie wtrącaj się!

Komandor szanował starca, ale nie mógł porzucić partnera. Mimo to zatrzymał się, na ułamek sekundy za długo. Korzenie podniosły Kowalskiego i szarpnęły nim gwałtownie. Wielki mężczyzna z wrzaskiem uderzył w zwój kolczastych pędów, a te rozstąpiły się i wciągnęły go do środka. Jego potężna postać zniknęła w wijącej się masie.

Gray wyhamował z poślizgiem.

Za późno...

Spodziewał się wrzasków udręki, ale słyszał tylko litanie przekleństw. Cofnął się kilka kroków i stanął na palcach. Zobaczył Kowalskiego. Korzenie wciąż go otaczały, ale żył.

I próbował się uwolnić.

– Został wybrany – powiedział Tyende. – Uznany za godnego.

Gray spojrział na niego z konsternacją.

– Kowalski?

Tyende uniósł brwi.

– Czy nie ma dobrego serca? – spytał.

Komandor nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Więc może jest chory? – podsunął król.

Pytanie tak zaskoczyło Graya, że nie odpowiedział od razu. Kowalski był upartym twardzielem i łatwo było zapomnieć, że walczy ze szpiczakiem, tocząc kolejną przegraną z góry bitwę.

– Tak – potwierdził w końcu. – Ma raka.

– Ach. – Tyende spojrział na barierę czarnych korzeni za nimi i na kolczasty tunel, przez który wszyscy się przeczołgali. – Musiała to wyczuć.

Gray zeszywniał, gdy pojął, co musiało się stać. Wyobraził sobie tętnące i kłujące kolce. Wcześniej martwił się, że wsączają truciznę, podczas gdy one pobierały próbki, rozmyślnie puszczają krew, by wiedzieć, kto się zbliża.

Znów przypomniał sobie słowa Benjiego o zestrojonej naturze roślin. Pamiętał też to, co powiedział Tyende: „Już zostaliście poddani próbie”.

Tym razem również należało wziąć je dosłownie.

– Robi wszystko, co w Jej mocy, by uzdrawiać – wyjaśnił Tyende. – Jest Matką twardą, bezlitosną w gniewie, lecz także na wiele sposobów okazuje miłosierdzie.

Gray zrobił krok do przodu. Bez względu na wszystko muszą wykorzystać sytuację. Otoczył usta dłońmi i krzyknął:

– Kowalski! Nie opieraj się! Niech drzewo zrobi swoje. Tylko pamiętaj, żeby nabrać do manierki trochę tej wody!

Olbrzym walczył dalej.

– Dlaczego zawsze ja muszę być cholernym królikiem doświadczalnym?! – zawołał.

Korzenie nieubłagane niosły go w stronę drzewa, jedne drugim przekazując szamoczące się olbrzymie ciało. Kowalski na próżno wierzgał i zapierał się nogami. Kolejne korzenie wysunęły się z wydrążonego pnia, chwyciły go i przesuwały mackami po jego twarzy i ubraniu.

Kowalski miotał się i klął.

– Trać mnie tam jeszcze raz, a spalę cię do gołej ziemi! – wrzasnął z oburzeniem.

Mimo protestów został wciągnięty przez szczelinę do środka drzewa. Korzenie powlekły go do brzegu sadzawki i delikatnie zanurzyły w połyskliwej wodzie.

Gray patrzył na to, zastanawiając się nad pytaniem Tyendego.

„Czy nie ma dobrego serca?”

Dobrze pamiętał, jak olbrzym popłynął przez radioaktywny basen, ryzykując wszystko, żeby ratować innych. To dlatego zachorował, w ten sposób dorobił się raka szpiku kostnego. Czy matka drzew wyczuła jego poświęcenie? I czy liczyło się dla niej coś więcej niż jego rak? Czy naprawdę dlatego został wybrany?

Kowalski zniknął pod wodą, jakby przyjmował wiosenny chrzest. Gray modlił się, by ten rytuał mu pomógł, ale ważniejsza była troska o coś większej wagi.

Nawet jeśli uda mu się zdobyć lekarstwo, będą musieli je stąd wynieść, i to szybko. Komandor nie zamierzał stać bezczynnie. Przesunął plecak na ramieniu i wyjął telefon satelitarny, gotów po raz ostatni przerwać ciszę radiową.

Musiał skontaktować się z Painterem.

I mógł tylko mieć nadzieję, że nie usłyszy go nikt inny.

Wyspa Belka, Demokratyczna Republika Konga

25 kwietnia, godzina 9.00 czasu miejscowego

Zdecydowanie nie taki był plan, pomyślał Tucker, klęcząc u stóp schodów werandy. Trzymał ręce na czubku głowy, mocno ściskając palce, i słyszał łomotanie swojego serca. Lufa karabinu dźgnęła go w plecy. Stojący za nim strażnik zabrał mu pistolet i wsunął go za swój pas.

Frank miał jeszcze gorzej. Też klęczał w błocie, ale miał rozciętą wargę i spuchnięte powieki. Drugi żołnierz trzymał pistolet z tyłu jego głowy. Tucker pomyślał, że przyjaciel przynajmniej stoczył przyzwoitą walkę.

Nadal bolał go mostek. Draper dowiódł swoich umiejętności, trafiając go prosto w pierś.

Żył wyłącznie dzięki kamizelce z kevlaru. Co nie znaczyło, że zaraz los się nie odmieni.

Draper rozkoszował się zwycięstwem, stojąc na skraju werandy. Z radiem przy ustach koordynował ostateczną ewakuację. Przez cały czas patrzył na nich z góry, ani na chwilę nie tracąc czujności.

Otworzyły się drzwi za jego plecami i na werandę wyszły dwie osoby: kongijski lekarz w fartuchu laboratoryjnym i wyższy mężczyzna po sześćdziesiątce ze starannie uczesanymi i natartymi żelem jasnymi włosami, ubrany w elegancki lniany garnitur z czarnym krawatem.

Tucker domyślił się, że pierwszy jest szefem zespołu badawczego kompleksu, a szyderczy uśmiech na twarzy Franka potwierdził jego domysły. Drugim był Nolan De Coster. Frank opisał mu go, ale Tucker sam by go rozpoznał po pełnej szacunku postawie lekarza i żołnierzy.

De Coster najwyraźniej przyszedł napawać się triumfem – możliwe, że Draper powiadomił go o wszystkim przez radio – i zatrzymał spojrzenie na Tuckerze.

– A więc to jest ten gość, który sprawił nam tyle kłopotów. Wkrótce dowiemy się, jak się tu znalazł.

Tucker powoli uniósł rękę nad głowę, jakby chciał zadać pytanie. I pokazał mężczyźnie środkowy palec.

Miliarder przewrócił oczami i gestem przywołał Drapera. Kapitan podszedł do niego i słuchał.

I dobrze, bo wykorzystując chwilę jego nieuwagi, Tucker opuścił rękę do kieszeni na biodrze. Może był nieuzbrojony, ale to nie znaczyło, że nie jest przygotowany. Nacisnął przycisk maleńkiego radia w kieszeni i za jego plecami eksplodował granat.

Wcześniej, kiedy sprawdzał śmigłowiec bojowy Drapera, podłożył ostatni z pocisków odłamkowych w pobliżu zbiornika paliwa rakiety Hellfire. Zawsze warto mieć plan awaryjny.

Nie liczył, że mały granat zdetonuje głowicę rakiety, ale efekt okazał się dostatecznie dramatyczny. Paliwo wystrzeliło ze zbiornika, wyjąc jak potężny potępieniec.

Tucker już był w ruchu, kiedy granat eksplodował. Podniósł się gwałtownie, zaskakując strażnika, i wyrwał mu karabin spod pachy. Puścił serię na chybił trafił i ostrzelał bok budynku oraz dach nad werandą. To jednak wystarczyło, by zmusić Drapera do skupienia uwagi na dwóch jeńcach i zapewnienia ochrony De Costerowi.

Kapitan odpowiedział ogniem, by osłonić powrót pracodawcy do pensjonatu. Ale kiedy Frank też zdobył broń – żołnierz, który go pilnował, ogłuszony uderzeniem w głowę, leżał bezwładnie u jego stóp, pojękując – i dołączył do wymiany strzałów, Draper umknął do budynku i zatrzasnął za sobą drzwi.

Tucker rzucił karabin i wyszarpnął swojego desert eagle'a z za pasa żołnierza, który go pilnował, wbił lufę pod jego brodę i strzelił. Hełm nie pozwolił, żeby czaszka strażnika eksplodowała, ale ciało mężczyzny osunęło się na ziemię. W tym samym momencie pocisk trafił Tuckera w osłonięte kamizelką ramię i obrócił go w miejscu.

Wymiana ognia przyciągnęła uwagę żołnierzy wokół śmigłowców. Zanurkował więc na prawo od schodów, a Frank schronił się po lewej stronie.

Tucker sięgnął ręką w krzaki.

Powrót do planu A.

Podniósł zdobyczną wyrzutnię raketową.

Godzina 9.04

Monk leżał na boku w potłuczonym szkłe. Krew zalewała mu prawe oko, oślepiając je. W głowie dzwoniło mu po ciosie pistoletem.

Stłumiony wybuch skierował uwagę stojącego nad nim Ekona na drzwi. Czterej żołnierze – wezwane przez niego posiłki – również spojrzeli w tym kierunku. Jeden uchylił drzwi, żeby mieć lepszy widok. Z zewnątrz dochodził huk wystrzałów.

Monk nie znał źródła tego zamieszania – wiedział tylko, że musi je wykorzystać. Skoczył na Ekona, zdecydowany przejąć jego broń. Ale porucznik miał refleks i był piekielnie szybki; uderzył go z całej siły ręką i pistoletem. Świat Monka pociemniał na kilka sekund.

Gdy pojaśniało mu w oczach – przynajmniej w jednym – zebrał siły i usiadł. Ekon kopnął Charlotte tak, że przewróciła się na bok. Uniósł pistolet, by ponownie uderzyć Monka.

Lecz ten osłonił się ręką, spoglądając na pistolet. Zastanawiał się, czy gdyby miał obie ręce, zdołałby odebrać porucznikowi broń. Pomyślał, że musi porozmawiać z DARPA o skonstruowaniu nowej protezy w taki sposób, żeby nie musiał za każdym razem wysadzać jej w powietrze.

Ale żeby to zrobić, muszę przeżyć, pomyślał.

Ekon warknął, robiąc zamach.

Monk zacisnął zęby, wiedząc, co nadchodzi.

Nie doczekał się tego jednak.

Barakiem wstrząsnął potężny wybuch; blaszane ściany i okna zadygotały. Ekon cofnął się o krok, ani na chwilę nie odrywając wzroku od Monka.

Ten uśmiechnął się.

Duży błąd, ty mizoginistyczny sukinsynu, przemknęło mu przez głowę.

Godzina 9.05

Charlotte zerwała się z podłogi.

Wybuch zamienił barak w komorę pogłosową. Liczyła, że ogłuszające dudnienie zamaskuje jej kroki. Na jej korzyść działał również całkowity brak zainteresowania ze strony porucznika, który nie uważał jej za zagrożenie. Jak wszystkie kobiety była przyzwyczajona do bycia ignorowaną, przeoczaną i niedocenianą.

Teraz wykorzystała to nastawienie.

Przyskoczyła do Ekona, trzymając za szyjkę rozbitą butelkę. Zamachnęła się i z całej siły, celując w tętnicę, wbiła butelkę w szyję

porucznika. W tym momencie Ekon trzasnął ją łokciem w bok. Żebro pękło i Charlotte przeszył ból. Poleciała daleko do tyłu, upadła ciężko i prześliznęła się kawałek po pełnej szklą podłodze. Monk nie zdążył zareagować, żeby jej pomóc.

Ekon odsunął się chwiejnie i opadł na łóżko. Zostawił rozbitą butelkę w ranie; miał na tyle rozsądku, żeby jej nie wyrywać. Wycelował w Monka i strzelił. Spudłował, ale zmusił go do odskoczenia. Skupił się na celu, żeby nie chybić po raz drugi.

Na swoje nieszczęście nie odrobił lekcji o kobietach. Łóżko, na które się osunął, nie było puste. Czyjeś palce sięgnęły zza jego pleców, chwyciły tkwiącą w szyi butelkę i przeciągnęły ostrą krawędzią po jego gardle.

Pistolet zagrzechotał na podłodze, bo porucznik użył obu rąk do próby powstrzymania gejzerów krwi tryskających z obu tętnic szyjnych. Kaszał i krztusił się, gdy uchodziło z niego życie. W końcu przechylił się i spadł z łóżka, odsłaniając swoją zabójczynię.

Disanka przesunęła się, żeby znów przytulić leżące na poduszce dziecko.

Charlotte uznała fundamentalną zasadę: nigdy nie groź dziecku, gdy jest przy nim matka.

Monk już trzymał upuszczony pistolet Ekona. Strzelił w drzwi, zmuszając pozostałych żołnierzy do skulenia się w przedsionku. Jeden podniósł karabin i ostrzelał salę na oślep.

– Padnij! – wrzasnął Monk. Machnął pistoletem na nastolatka, by rzucił się na podłogę, po czym pchnął barkiem łóżko i przewrócił je na bok. – Kryć się!

Charlotte podbiegła do Disanki i pomogła jej podnieść się z dzieckiem. Kiedy już leżały, wzięła przykład z Monka i przewróciła łóżko. Cienki

materac i skąpa rama zapewniały niewielką ochronę. Pociski przebijały łożko na wylot.

Obie rozpląszczyły się na podłodze.

Uzbrojeni żołnierze strzegli jedyne go wyjścia z baraku. Posypał się kolejny grad pocisków. Charlotte starała się osłaniać matkę i jej synka.

Nagle od strony wyjścia dobiegły ostre krzyki.

Zaskoczona, przekręciła się lekko, żeby spojrzeć przez ramię.

Zobaczyła żołnierza dziko strzelającego w drzwi i dwie nieruchome nogi wystające z przedsionka. Ten leżący – pewnie martwy – musiał się wycofywać, gdy trafiły w niego pociski tego, który teraz strzelał.

Nagle coś skoczyło wysoko i powaliło żołnierza.

Kain.

Stał nad mężczyzną i szarpał jego gardło, dopóki ten nie znieruchomiał.

Wymiana ognia dobiegła końca. Zapadła cisza, którą zakłócało tylko dzwonięcie w uszach. Charlotte wtrzymała oddech. Do przedsionka wpadła kolejna osoba, trzymająca głowę poniżej okna.

– Czysto! – zawołał Monk do ich wybawcy i wstał z podłogi.

Oszołomiona Charlotte zrobiła to samo. Spodziewała się zobaczyć Tuckera, ale do sali wszedł Ndaye i wyprostował się.

Ekostrażnik podszedł do Kaina i poklepał go po boku.

– Dobry piesek.

Skąd on się tu wziął? – zastanawiała się.

Nie miała pojęcia, ale nie mogłaby być bardziej wdzięczna. Odwróciła się i wyciągnęła rękę do Disanki. Młoda matka już wstawała o własnych siłach, zapewne napędzana adrenaliną. Ale na jak długo wystarczy jej sił? – przemknęło przez głowę Charlotte. Spojrzała na innych pacjentów. Sześcioro żyło. Powinna uznać to za wygraną.

– Musimy zabrać wszystkich do lasu – powiedział Monk. – Nie możemy znowu tu utknąć.

Nie spierała się z nim. W baraku medycznym strzelanina się skończyła, ale z placu wciąż dobiegał huk wystrzałów. Jeśli trwająca tam bitwa przeniesie się w tym kierunku, to lepiej, żeby ich tu nie było.

We trójkę zajęli się pacjentami, mobilizując ich do ucieczki. Monk i Ndaye musieli podnosić tych najciężiej chorych. Pozostali radzili sobie niewiele lepiej, zmagając się ze słabością i otumanieniem.

– Zaczekajcie! – zawołała Charlotte.

Pobiegła na drugi koniec baraku, do ogołoczonego laboratorium, i zabrała to, co zostawił Ngoy. Zarozumialec uznał za bezużyteczne coś, co nie było jego dziełem. Gdy była tu uwięziona, zauważyła to na podłodze, na wpół zasypane szczątkami sprzętu laboratoryjnego.

Wyłowiała laptopa Franka i wróciła.

– Dobry pomysł – pochwalił ją Monk. Podniósł plecak martwego żołnierza, wysypał zawartość i wsunął do niego laptopa. Zarzucił plecak na jej ramię. – Pilnuj go.

Skinęła głową.

Zgromadzili wszystkich i ruszyli do wyjścia. Monk prowadził ich w stronę mniej uczęszczanej części wyspy.

Charlotte, która zabrała z baraku karabin, szła obok Disanki. Młoda matka słaniała się, tuląc dziecko do piersi. Jej stan wyraźnie się pogarszał. Charlotte podtrzymywała ją wolną ręką. Nic więcej nie mogła zrobić.

Wreszcie dotarli do lasu.

– Nie zatrzymywać się – rozkazał Monk.

Wiedziała, że nie mają wyboru. Kurczowo trzymała karabin, bo dzięki temu wiedziała, że nadal go ma. Jej ręce całkowicie zdrętwiały. Nie czuła

stóp. Pulsujący w głowie ból zawęził jej pole widzenia. Napięcie i przerażenie jeszcze nasilały te objawy.

Mimo to brnęła dalej, motywowana przez trwającą za nimi wymianę ognia.

Godzina 9.09

Frank i Tucker kucali na werandzie w kłębach oleistego dymu. Główny plac kompleksu zasnuwała jeszcze gęstsza chmura. W jej centrum dopalały się wraki dwóch śmigłowców. Wokół nich leżały ciała, niektóre zwęglone albo przez pocisk z wyrzutni, albo eksplozję dwóch zbiorników paliwa.

Wielu żołnierzy przeżyło, zbyt wielu. Strzelali w ich stronę przez płomienie i dym. Pociski dziurawiły ściany pensjonatu, rozdzierały drewniane słupki i odbijały się od stalowego stołu, który Tucker przewrócił na bok. Kryli się za nim i oddawali strzały do wszystkiego, co podeszło zbyt blisko.

– Gotowy? – zapytał Tucker, chowając górną część twarzy za goglami. Odzyskali swoje hełmy.

Frank zamknął w dłoni srebrną kulkę i skinął głową.

W ciągu ostatniej minuty zaciekle ostrzał nieco osłabł. Widocznie żołnierze uznali, że odwaga powinna iść w parze z rozwagą, i wycofali się na bezpieczną odległość. Ale kilku upartych zostało i sporadycznie ostrzeliwało werandę.

Tucker i Frank nie mogli przeczekać tego impasu. Kończyła im się amunicja, a poza tym obawiali się, że Draper się wymknie. Nie mogli pozwolić mu uciec z pendrive'em. O ile już nie zwiął.

– Sprawdź, czy tam jest – powiedział Tucker. – I zatrzymaj go. Ja będę osłaniać pensjonat i dołączę do ciebie, gdy tylko będę mógł.

Frank skinął głową.

Jego przyjaciel uniósł się i puścił serię z karabinu, żeby go kryć.

– Idź – rzucił.

Pod tą osłoną Frank pobiegł skulony do drzwi. Otworzył je i wrzucił do środka bombę dymną. Usłyszał stłumiony trzask, odczekał kilka sekund, po czym dał nura za próg.

Strzelanina na zewnątrz znowu się nasiliła.

Wewnątrz dwa strzały z pistoletu udzieliły odpowiedzi na dwa pytania: Draper wciąż tam był i był cholernie dobrym strzelcem. Frank westchnął i przeturlał się. Pocisk drasnął mięsień jego uda, wypalając ognistą linię.

Frank wiedział, że gdyby nie dym, ucierpiałby znacznie bardziej.

Przetoczył się za mahoniowy kredens w pobliżu drzwi. Kolejne pociski oderwały drzazgi z grubego drewna. Strzały padły od strony schodów. Frank uniósł desert eagle'a Tuckera i strzelił na oślep przez dym, który szybko się przerzedzał.

Wyjrzał i zobaczył niewyraźną sylwetkę Drapera biegnącego wzdłuż balustrady na piętrze; najwidoczniej chciał zachować przewagę wysokości. Kulił się w kamizelce jak opancerzony żółw.

Frank jeszcze dwa razy nacisnął spust. Żaden pocisk nie dosięgnął kapitana, ale jeden trafił w drzwi gabinetu i zabrzmiało to tak, że Frank nie miał wątpliwości, że są wzmocnione stalą. Draper z pewnością zamknął za nimi swojego pracodawcę i Ngoya.

Kolejny strzał z pistoletu powalił Franka na podłogę. Drzazgi ukłuły go w twarz.

Facet jest dobry, pomyślał.

Rozwazał opcje, gdy udo płonęło mu żywym ogniem. Musi przyszpilić Drapera, uniemożliwić mu ucieczkę. Kiedy Tucker zabezpieczy front

pensjonatu, osaczają kapitana wspólnymi siłami i zdobędą tego cholernego pendrive'a.

Wyglądało na to, że strzelanina na zewnątrz dobiegła końca.

Musisz wytrwać jeszcze tylko trochę, powiedział sobie.

Siłą woli zmuszał Drapera, żeby został na górze i strzegł De Costera.

Skrzypienie drewnianych schodów oznaczało jednak, że przeciwnik ma inny plan: zamierzał sprowadzić walkę na parter.

Dlaczego rezygnuje z przewagi, odsłaniając się? – zastanawiał się Frank.

Uniósł pistolet, gotów przepędzić go z powrotem na górę. Wychylił się i dostrzegł kapitana na górnych stopniach, skąd musiał mieć lepszy widok na jego kryjówkę. Osłaniał się czarną tarczą. Frank przygryzł dolną wargę. Wiedział, że coś takiego może zatrzymać nawet pocisk przeciwpancerny.

Zza tarczy wysunęła się broń. Draper zrezygnował z pistoletu na rzecz karabinku typu bullpup. Pod standardową lufą znajdowała się druga, większa.

Granatnik.

Kurwa...

Przewidując, co się zaraz stanie, Frank wyskoczył z ukrycia i przetoczył się przez hol – w ostatniej chwili. Po głośnym trzasku nastąpiła potężna eksplozja i masywny mahoniowy kredens rozpadł się na kawałki. Odłamki uderzyły w jego kamizelkę i wbiły się w niechronione części ciała. Podmuch pchnął go dalej.

Czując dzwonięcie w głowie, przekręcił się na plecy i zatrzymał z poślizgiem. Zdołał zachować pistolet i wycelował nad swoimi nogami w stronę szczytu schodów.

Strzelał dziko.

Pociski odbijały się od tarczy. Draper skulił się za nią i przesunął lufę bullpupa.

Frank leżał odsłonięty na podłodze.

W oknie na pierwszym piętrze eksplodowała szyba. Do walki włączył się nowy gracz. Biegł, strzelając z karabinu.

Tucker.

Przyjaciel Franka usłyszał wymianę strzałów w pensjonacie i spróbował oskrzydlić Drapera, wdrapując się po ścianie budynku. Kapitan usłyszał brzęk szkła i błyskawicznie obrócił tarczę, by zablokować atak.

Odwracając się, na chwilę się odsłonił; w tym momencie Frank wycelował w czuły punkt cholernego żółwia i dwa razy nacisnął spust. Trafił w udo, mimo woli rewanżując się za swoją ranę. Drugi pocisk strzaskał kolano.

Noga ugięła się pod Draperem i runął w dół schodów. Puszczona tarcza z brzękiem spadała po schodach.

Tucker gnał za nim z karabinem przy ramieniu.

Frank wstał i zaszedł kapitana z drugiej strony. Draper padł twarzą w dół na podłogę między nimi. Gdy stanęli nad nim, z jękiem przewrócił się na plecy. Z jego nogi tryskał strumień jasnej krwi – pierwszy pocisk przeciął tętnicę udową.

– Cofnij się! – wrzasnął Tucker.

Wpatrzony w nogę wroga Frank zareagował ułamek sekundy za późno. Zobaczył, że z palców Drapera wytacza się granat i ląduje w rosnącej kałuży krwi.

Odwrócił się i skoczył do drzwi.

Nie dam rady, zdążył pomyśleć.

Wybuch ogłuszył go i zbił z nóg. Frank przeleciał nad podłogą i uderzył w drzwi, wyłamując framugę. Oszołomiony i zdumiony, że nie poharatały go odłamki, pozbierał się i odwrócił.

Zobaczył, że Tucker koziółkuje przez dym, mocno trzymając tarczę. Wyglądało na to, że podniósł ją z podnóża schodów i osłonił nią Drapera i granat. Upadł na podłogę obok miejsca po wybuchu, odbił się i potoczył dalej.

Frank podbiegł i pomógł mu wstać. Podtrzymawał go, gdy kuśtykali razem. Tucker złamał nogę w kostce, a z twarzy ciekła mu krew.

Coś wymamrotał, ale Frank wciąż był głuchy i tylko pokręcił głową.

Tucker zakasłał, wskazał ręką za siebie, na dymiące ruiny, rozrzucone kości i strzępy ciała, i spróbował powiedzieć głośniej:

– Nie sądzę, żebyśmy teraz zdobyli tego pendrive’a.

Godzina 9.12

Charlotte osunęła się pod pniem palmy. Drżała, zmarznięta mimo wysiłku i coraz większego upału. Z ulgą oparła się plecami o drzewo i położyła karabin na kolanach.

Monk delikatnie posadził na ziemi kobietę w wieku pięćdziesięciu, może sześćdziesięciu lat. Jej głowa odchyliła się do tyłu, a potem chora opadła na bok, ponieważ nie była w stanie siedzieć samodzielnie.

Monk spojrzał na nią z zatroskaną miną, po czym popatrzył na las.

– Chyba jesteśmy dość daleko – powiedział i w myślach dodał: To dobrze, bo i tak nie dalibyśmy rady iść dalej.

Gdy tylko zarządził postój, Disanka osunęła się na ziemię. Teraz jej nogi dygotały, a ręce z najwyższym wysiłkiem trzymały na kolanach

bezwładne niemowlę. Siedziała pochylona nad nim, osłaniając je całym ciałem. Dziecko nie reagowało i ledwie oddychało. Nie pożyje długo.

Charlotte oparła głowę o pień. Pulsujący ból nie ustąpił i miała trudności z przełykaniem śliny. Wytarła usta, które wydawały się spuchnięte i zdętwiałe, jak po zastrzyku nowokainy.

Zawiodłam ją, zawiodłam ich wszystkich, wyrzucała sobie.

Ndaye usadził na ściółce swojego podopiecznego, chudego chłopaka około dwudziestki, który trząsał się jak Charlotte. Siedział z głową zwieszoną między kolanami. Smarki ciekły mu z nosa, a on nawet nie próbował ich wycierać.

Ekotraźnik podszedł z butelką wody do pary nastolatków. Oboje odsunęli się, może przestraszeni widokiem jego opuchniętej i zakrwawionej twarzy. Widząc, jak trzymają się razem i wzajemnie wspierają, Charlotte zastanawiała się, czy są rodzeństwem, czy może po prostu dwojgiem przerażonych dzieci, które potrzebują bliskości, by odeprzeć strach.

Monk przykucnął obok niej, ale patrzył w stronę osady. Jakiś czas temu słyszeli eksplozje.

– Ktoś wciąż walczy z siłami De Costera – powiedział.

– Tucker i Frank... – wymamrotała.

No bo kto inny mógłby to być?

Monk skinął głową i rozejrzał się. Wszyscy siedzieli lub leżeli pod osłoną zarośli.

– Lepszej kryjówki nie znajdziemy – rzucił i mocniej chwycił pistolet.

Charlotte odgadła, o co waha się spytać.

– Idź im pomóc. Weź Ndayego. – Uniosła karabin i spojrzała na Kaina.

– Będziemy czuwać.

Podziękował jej w milczeniu, po czym porozmawiał z ekostrażnikiem. Po lesie właśnie niosło się echo wystrzałów. Monk spojrzał na Charlotte ostatni raz, jakby sprawdzał, czy nie chce zmienić zdania.

Ponagliła go, machając ręką.

– Idźcie – rzuciła.

Gdy ruszyli, przez jakiś czas słuchała ich cichnących kroków. Przetarła obolałe oczy i przesunęła się do tyłu, by siedzieć bardziej prosto. Wymagało to więcej wysiłku, niż przypuszczała. Oparła karabin o kolana, ale jej ręce drżały na kolbie.

Nie wiedziała, czy to choroba, czy tylko zmęczenie. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio spała.

Wszyscy inni zapadli w drzemkę albo pogrążyli się w apatii.

Pilnując ich, walczyła z opadającymi powiekami. Zdała sobie sprawę, że zasypia, dopiero gdy jej podbródek uderzył w mostek. Kiedy gwałtownie uniosła głowę, ból znów zaczął rozsadzać jej czaszkę. Spojrzała na dłonie. Były puste. Karabin leżał u jej stóp; wysunął się ze zdrętwiałych palców.

Podniosła broń.

Może powinnam jednak powiedzieć, żeby Ndaye został z nami.

Spojrzała na drugiego strażnika. Kain stał w pobliżu z wysoko postawionymi uszami. Poklepała go po karku.

Damy radę, pomyślała.

Po chwili przyłożyła rękę do jego boku i poczuła wibracje. Usłyszała gardłowy pomruk. Sierść psa zjeżyła się pod jej dłonią. Jego wzrok był utkwiony w ciemnym lesie, po drugiej stronie niż kompleks. Pomruk przeszedł w ostrzegawcze warczenie.

Ktoś tam jest, uznała Charlotte.

Chciała mocniej chwycić karabin, ale zdrętwiałe palce odmówiły posłuszeństwa. Broń wyslizgiwała się z nich, jakby była posmarowana olejem. Kiedy Charlotte spróbowała wstać, stwierdziła, że najmniejszy wysiłek wprawia w drżenie jej ręce i nogi.

Sięgnęła po jedyną broń, której mogła zaufać.

– Kain.

Zerknął na nią i po sekundzie znowu skierował spojrzenie na las.

Reszką sił uniosła rękę. Wydała komendę, której nauczył ich Tucker, do stosowania w nagłych wypadkach.

– CHROŃ.

Wyspa Belka, Demokratyczna Republika Konga

25 kwietnia, godzina 9.15 czasu miejscowego

Zamknięty w zabarykadowanym gabinecie Nolan De Coster patrzył na monitory systemu bezpieczeństwa. Piekła go rozpalona twarz, jakby oparzona przez słońce. Oparty na pięściach, sprawdzał sytuację w kompleksie. Działo tylko kilka kamer, miał więc okrojony widok.

Ta na szczycie kościelnej wieży była skierowana na tłące się wraki dwóch śmigłowców; jednym z nich planował odlecieć z wyspy. Docierał do niego trzask wystrzałów, głównie z okolic placu, a echo dwóch wcześniejszych wybuchów wciąż tłukło mu się w głowie. Eksplozje wstrząsnęły pensjonatem.

Próbował nawiązać łączność z Draperem, ale mu się nie udało.

– Co zrobimy? – usłyszał nosowy głos Ngoya, który chodził w tę i we w tę przed stalowymi żaluzjami drzwi balkonowych. Przyciskał ręce do brzucha, a oczy błyszczały mu ze strachu.

– Wyniesiemy się stąd – odparł De Coster.

– Jak?

Odwrócił się do monitora wyświetlającego obraz z czynnej kamery: migoczącą rzekę, długą przystań i opancerzony jacht. Długa na osiemnaście metrów łódź miała stalowe poszycie i kuloodporne szyby. Gościł na niej dygnitarzy, nawet prezydenta Stanów Zjednoczonych. W tym niestabilnym

regionie opancerzenie jachtu było koniecznością. Kiedyś na jego pokładzie przeżył atak raketowy rebeliantów.

I teraz znów zapewni mi bezpieczeństwo, pomyślał.

Nacisnął przycisk na pulpicie. Panel ze wzmocnionej stałej drewna zingana przesunął się za biurkiem, odsłaniając schody prowadzące do zamaskowanego garażu na tyłach budynku, gdzie stał elektryczny quad. Pojadą nim na przystań, starając się unikać bitwy toczony wokół placu.

Ngoy z wielkimi oczami i nadzieją na twarzy podszedł do wyjścia, o którym wiedziało tylko parę osób. Podobnie jak opancerzenie jachtu sekretna droga ucieczki była rozsądnym środkiem ostrożności.

De Coster zamierzał przetrwać. Wciąż mógł wyciągnąć korzyści z zarazy. Nie został dyrektorem generalnym dlatego, że z byle powodu wpadał w panikę. Trzymał się maksymy barona Rothschilda: „Kupuj, gdy leje się krew”.

Spojrzał na wraki śmigłowców i leżące dokoła ciała. Zadanie stało się trudniejsze, ale zamierzał je rozwiązać.

Wyprostował się, gotowy do wyjścia.

Gdy się odsunął, komputer zabrzęczał za jego plecami. Zaskoczony i zaciekawiony, wrócił do biurka, by odebrać połączenie wideo. Stuknął w klawiaturę i na ekranie ukazała się twarz kaprała Willema, belgijskiego inżyniera wojskowego. Młody człowiek garbił się, twarz miał zlaną potem, nie porzucił jednak posterunku. Ale przecież zbudowany z betonowych bloków budynek łączności był niemal fortecą.

– Tak, kapralu?

– Kazał mi pan zameldować, jeśli wykryję kolejną dziwną transmisję.

De Coster dopiero po chwili przypomniał sobie, o co chodzi.

– Ach, łączność satelitarna z dżungli.

– Powtórzyła się. Dalej na wschód. Przepuściłem ją przez program deszyfrujący. Ten, który sprzedali nam chińscy hakerzy.

– I?

– Nic z tego.

De Coster nie był zaskoczony: Chińczykom nie wolno ufać.

– Ale wstępne odszyfrowanie ujawniło jedno słowo – dodał kapral.

– Jakie?

– Lek – odparł młody Belg.

Jego pracodawca zacisnął pięść. Był przekonany, że ma do czynienia z siłami znacznie bardziej wyrafinowanymi niż grupa najemników. I podejrzewał, że atak na wyspie miał związek z tym dziwnym sygnałem pochodzącym z głębokiej dżungli. Musi wyeliminować tych przeciwników.

Zwłaszcza teraz.

Nie mógł pozwolić, by ktoś zdobył przewagę. Nie wiedział, czy to jedno słowo – „lek” – jest tak ważne, jak się wydawało, ale nigdy nie ryzykował, nie wtedy, kiedy mógł się zabezpieczyć.

– Co mam zrobić, panie dyrektorze? – zapytał Willem.

– Prześlij mi współrzędne sygnału.

– Tak jest.

Chwilę później na ekranie laptopa pojawiły się oznaczenia szerokości i długości geograficznej.

– Dziękuję, Willem. Poczekaj, aż dostanę potwierdzenie.

– Rozumiem.

De Coster z ponurą satysfakcją stukał w klawiaturę. Po wcześniejszym ostrzeżeniu kaprala przygotował plan awaryjny. Duży dron – rosyjski samolot bezzałogowy S-70 Ochotnik – czekał na zakamuflowanym pasie startowym. Dwa lata temu De Coster kazał wymontować z niego całe

uzbrojenie, by służył do przenoszenia jednej bomby. Z siedmiu MOAB-ów zakopał tylko sześć. Siódmy znajdował się na pokładzie drona. Chciał mieć pewność, że może siać zniszczenie w dowolnym miejscu.

Jak teraz.

Przekazał współrzędne operatorom na pasie startowym i czekał, niecierpliwie stukając palcem w blat.

Willem monitorował łączność szefa z zespołem. Jego twarz przybrała stoicki wyraz, a usta zacisnęły się w twardą linię. Ale był młody, nie tak zahartowany jak pracodawca. Z czasem to się zmieni. Stanie się mocnym atutem korporacji.

Wreszcie otworzyło się nowe okno z potwierdzeniem z pasa startowego. Napłynął również harmonogram czasu startu i przewidywanej drogi do celu. W rogu ekranu rozpoczęło się odliczanie.

Usatysfakcjonowany De Coster przeniósł spojrzenie na drugie okno.

– Dziękuję, Willem. A teraz zadbaj o siebie. Spróbuj dostać się na mój jacht.

– Tak jest. Dziękuję, panie dyrektorze.

Po zakończeniu rozmowy De Coster przez chwilę patrzył na zegar.

Za dwadzieścia dwie minuty nieznany przeciwnik zostanie wyeliminowany.

Godzina 9.22

Tucker przykucnął na prawo od stalowych drzwi budynku łączności. Dym dławił go, ale też pomagał się ukryć. Kilku żołnierzy zostało, ale nie podejmowali żadnych działań.

Oparł się ramieniem o ścianę, starając się nie obciążać złamanej kostki. Wcześniej, używając całej rolki taśmy klejącej z plecaka, zrobił

przyjacielowi względnie sztywną szynę.

Teraz Frank kulił się z karabinem po drugiej stronie zamkniętych drzwi.

Zajrzeli do środka przez wąskie okno. Sprzęt obsługiwał jeden technik, młody mężczyzna ze słuchawkami na głowie. Udało im się podsłuchać urywki rozmowy. Miała związek z zaszyfrowaną wiadomością z głębokiej dżungli i chyba lekiem.

– Na pewno chodzi o Graya i pozostałych – szepnął Tucker. – De Coster wyraźnie coś knuje.

– Cofnij się – rzucił Frank.

Tucker zobaczył przez okno, że technik pędzi do drzwi. Niósł torbę i zabrał karabin.

Frank przywarł płasko do ściany. Jego przyjaciel zrobił to samo. Zgrzytnął rygiel, drzwi się otworzyły i młody człowiek wystawił głowę. Tucker uderzył go kolbą karabinu w twarz, wpychając go z powrotem do środka. Frank wskoczył za nimi i wycelował desert eagle'a w pierś radiooperatora. Ten rzucił torbę i broń i uniósł obie ręce.

– *Niet schieten...*

Kuśtykając, Tucker zmusił go, by cofnął się o kilka kroków. Frank zamknął drzwi.

– Mówisz po angielsku? – zapytał Tucker.

Technik energicznie skinął głową.

– *Ja...* Tak.

– Jak się nazywasz?

– Willem... Jan Willem.

Tucker wskazał monitory. Młody człowiek zostawił wszystko włączone, może po to, by podtrzymać zagłuszanie. Na jednym ekranie była

wyświetlona cyfrowa mapa z krzyżem celowniczym i mrugającym znacznikiem w kształcie samolotu.

– Rozmawiałeś z De Costerem – powiedział Tucker. – Co planuje?

Willem zawahał się. Frank zachęcił go do współpracy lufą wielkiego pistoletu.

– Gadaj – warknął.

Technik przełknął ślinę i skinął głową. Szybko opowiedział o wydarzeniach ostatnich kilku godzin i o ostatniej decyzji szefa.

– Bomba spadnie na cel – popatrzył na zegar – za osiemnaście minut.

Samolocik przesuwał się po ekranie. Frank spojrzął na zegarek.

– Mniej więcej o dziewiątej czterdzieści pięć.

Tucker wyobraził sobie dymiący krater i pchnął Willema w stronę sprzętu.

– Wyłącz wszystkie wieże zakłócające w okolicy.

– Nie mogę. Nie stąd.

– Więc wyłącz zagłuszacz na wyspie – rzucił Tucker i miał nadzieję, że to wystarczy.

Willem nacisnął przełącznik.

– Zrobione.

Tucker musiał ostrzec Graya. Wyjął telefon satelitarny, uniósł go i szukał sygnału. Nachylał grubą antenę we wszystkie strony, ale nic z tego. Zaklął głośno.

– Czekaj. – Frank pochylił się nad monitorem i wskazał palcem czerwoną ikonę samolotu, powoli przesuwaną się po mapie. – To przekaz w czasie rzeczywistym, prawda?

Technik skinął głową.

– Co oznacza, że masz linię zewnętrzną. – Frank wycelował pistolet w twarz technika. – Możesz się przebić przez zagłuszanie. – To nie było pytanie.

– *Natuurlijk.*

Frank szeroko otworzył oczy.

– To oznacza, że możemy nadawać przez radio.

Tucker zamarł, i to nie z powodu jego słów. Poprawił gogle brzegiem telefonu. Po wyłączeniu zagłuszacza przekaz z kamery Kaina przestał się rwać. Obraz był ostry i wyraźny. Serce Tuckera ścisnęło się na ten widok. O Boże...

– Co się...? – zaczął Frank, podchodząc do przyjaciela.

Tucker wcisnął przycisk szybkiego wybierania i podsunął mu telefon satelitarny.

– To numer Sigmy. Powiedz Crowe’owi o wszystkim. – Odwrócił się do drzwi. – Niech ściągnie tu FARDC. I każ mu ostrzec Graya.

– Tucker! – krzyknął za nim Frank.

Jego przyjaciel nie miał jednak czasu na wyjaśnienia.

Rzucił swoją broń i chwycił karabin technika, mossberga 930 z ośmioma nabojami kalibru 12 mm.

Oby wystarczyło.

Utykając, w panice uśmierzającej ból, wypadł na zewnątrz – w sam środek wymiany ognia.

Schylił się nisko i ocenił sytuację. Trzech żołnierzy, zapewne ostatnich w tej części kompleksu, ostrzeliwało las, skąd odpowiadano im ogniem. Jeden upadł, trafiony w twarz. Pozostali dwaj odwrócili się i uciekli.

Z lasu wyłoniły się dwie postacie: Monk i Ndaye.

Tucker pobiegł do nich.

- Tam! – krzyknął w biegu, machając ręką w stronę budynku łączności.
– Chronicie Franka!
– A ty dokąd? – zapytał Monk.
Nie było czasu na odpowiedź.

Godzina 9.25

Kain biegnie przez las. Nie śmie się zatrzymać. Ścigają go strzały. Pociski strzępią liście i korę drzew. W jego głowie nadal płonie rozkaz, wypalony w umyśle.

CHROŃ!

Zamierza to zrobić.

Ludzie, skuleni i słabi, są już daleko za nim. Wcześniej usłyszał charakterystyczny warkot i stłumiony brzęk, wyczuł zapach oleju do broni. Rozpoznał niebezpieczeństwo i żeby je odciągnąć, pobiegł przez las.

Nawet teraz używa swojego ciała, ciepła i warknięć do utrzymania łowców na tropie. Są wszędzie. I jest ich wielu. Zygzakował i kluczył, cofał się i krążył, ściągając ich za sobą, odciągając od tych, których ma chronić.

I wpadł we własne sidła.

Zamykają okrężenie, nadchodzą ze wszystkich stron.

W końcu wymknął się spod ostrzału i pędzi w głębsze cienie, ślizga się na łapach. Jego zmysły się wyostrajają. Czuje tropy i mokrą glinę, wilgotne liście i spróchniałe drewno. Nad wszystkim unosi się woń gorącego oleju. Wisi wszędzie. Świat wokół niego wypełnia brzęczenie.

Jest doświadczonym żołnierzem.

Zna prawdę.

Ucieczka oznacza śmierć.

Zieje wyczerpany. Z draśniętego boku sączy się gorąca krew. Przysiada na zadzie. Musi utrzymać tę pozycję, ściągając na siebie zagrożenie, z dala od tych, których chroni.

Łowcy zbliżają się, przynosząc błyskawice i siłę ognia.

Sierść jeży mu się na grzbiecie.

Ale nie ruszy się.

Godzina 9.27

Tucker biegł przez las, trzymając strzelbę w obu rękach. Cierpiał, wspierając ciężar ciała na złamanej nodze. Ból narastał z każdym krokiem i pulsował zgodnie z rytmem jego serca.

Przedzierał się przez niskie gałęzie i odbijał od pni drzew. Skupiał uwagę na drodze i jednocześnie obserwował wirujące namiary nadajnika Kaina. Przed chwilą zobaczył, że zatrzymał się po szaleńczym biegu między drzewami. Ściagały go i ostrzeliwały robotyczne psy stróżujące – Q-UGV. Widział je na przekazie z kamery w trybie termowizyjnym. Trudno było ustalić, ile ich jest. Były wszędzie wokół jego partnera, osaczały go ze wszystkich stron.

Tyle ich...

Podczas ewakuacji żołnierze musieli zebrać je wszystkie w jednym miejscu i przygotować do wywiezienia. Kiedy zaczęła się strzelanina, najwyraźniej wypuścili całą watahę do lasu.

Tucker widział, jak ciemnopomarańczowe światła o kanciastych konturach zbliżają się do pozycji Kaina.

Nie zdążył, pomyślał. Ale przecież musiał mu pomóc. Wyjął nadajnik i namacał przyciski sterujące bandolierem Kaina. Wcisnął ten odpowiedni,

uwalniając granat odłamkowy. Modlił się, by to wystarczyło, żeby Kain zdobył choć na chwilę przewagę i uciekł z okrążenia.

Jak poprzednim razem.

Kain czuje drgnienie pod mostkiem. Słyszy trzask zwalnianej blokady. Srebrzysty ładunek ociera się o wewnętrzną część łapy i ląduje w mokrych liściach pod jego brzuchem.

Wie, że partner jest z nim. Ta myśl go uspokaja, przywodzi wspomnienia o wspólnym życiu: chwytą kawałek mięsa rzucony z talerza, czuje przytulone do siebie ciepłe ciało, widzi czerwoną piłeczkę podskakującą w jasnym słońcu, wdycha zapach, który jest tak znajomy jak jego własny.

W głębi czaszki liczy uderzenia serca dzielące go od wybuchu.

Wie, co musi zrobić.

Komenda wciąż płonie jasno.

CHROŃ!

Nie może pozwolić, by choć jeden łowca uciekł, wrócił i zagroził ludziom, których on miał bronić. Musi utrzymać pozycję. Wiedząc o tym, siada na srebrzystym jajku.

Akceptuje to, co nadchodzi. Słyszy daleki wystrzał z dużego pistoletu. Mimo to nie rusza się.

Jest dobrym żołnierzem.

I, co ważniejsze...

Jest grzecznym pieskiem.

Przez gogle działające teraz w trybie termowizyjnym Tucker dostrzegł pomarańczową poświatę po prawej stronie. Wycelował z mossberga i strzelił. Q-UGV roztrzaskał się na kawałki. Tucker nie zwolnił. Gdy szarżował przez las, w jego głowie trwało odliczanie.

Dziesięć sekund...

Las rozświetliły inne pomarańczowe plamy. Roboty były wszędzie. Było ich kilkanaście. A on miał tylko sześć naboí.

Dziewięć sekund...

Tucker komunikował się z partnerem przez mikrofon na zębie.

Ruszaj, Kain. Teraz!

Ale jak poprzednio, pies zignorował polecenie i został na miejscu, wyraźnie posłuszny jakiejś innej komendzie. Nauczono go ustalać priorytety, ufać własnym instyngtom, a nie ślepo wykonywać rozkazy.

Potrafił być cholernie uparty.

Osiem...

Tucker utykał i skakał, nie poddając się. Przez las przetoczył się huk wystrzałów. Pociski wbijały się w kamizelkę kuloodporną. Obrócił się i wycelował w nadciągającego robota.

Strzelił z mossberga. Pocisk złamał nogę psu stróżującemu. Robot przewrócił się, ale zamontowany na nim karabin wciąż strzelał i pociski siekały zielony baldachim z koron drzew.

Siedem...

Ciało Tuckera było pochodnią bólu, gdy kuśtykał dalej. Liście uderzały go w twarz, gałęzie drapały nagą skórę.

Sześć...

Strzelił i zniszczył kolejnego robota, oczyszczając drogę przed sobą.

Pięć...

Kain, stary, rusz się. Proszę...

Cztery...

W mroku pojawił się nowy blask o łagodniejszych konturach. Znał ten kształt. Oznaczał dom, jak lampa w nocy.

Trzy...

Z prawej i lewej strony zbliżały się roboty i w jego stronę znowu pomknęły pociski. Schylił się, nie zadając sobie trudu, by odpowiedzieć ogniem. Nie miał czasu.

Dwa...

Rozchylił ciężkie liście paproci i zobaczył Kaina na wpół ukrytego w krzakach. Ciemne oczy zwróciły się w jego stronę. Pies machnął ogonem w ostatnim powitaniu.

Jeden...

Tucker skoczył. Czas stanął w miejscu. Chciałby, żeby ta chwila trwała wiecznie. Weźmie z niej tyle, ile się da.

Być razem, do samego końca.

Uderzył w Kaina, gdy granat eksplodował.

Godzina 9.29

Frank skrzywił się, gdy z lasu dobiegł głośny wybuch.

Co to było, do cholery? – zastanawiał się.

On i Monk właśnie zakończyli łączność z centralą Sigmy. Złożyli zwięzły meldunek, by dać dyrektorowi jak najwięcej czasu na ostrzeżenie Graya. Crowe obiecał powiadomić dowództwo FARDC i nakłonić je do wysłania śmigłowców na wyspę.

Frank podszedł do Ndayego, który pilnował drzwi. Monk celował z broni w Willema. Wszyscy słyszeli wystrzały z karabinów. Frank wskazał kłęby dymu unoszące się na południowym wschodzie. Na pewno jest tam Tucker, uznał.

– Czy to gdzieś w pobliżu miejsca, w którym zostawiliście Charlotte i chorych? – zwrócił się do Ndayego. Zastanawiał się, czy Tucker poszedł im pomóc.

– Nie. – Ekostrażnik wskazał ręką na południe. – Tam ich zostawiliśmy.
Frank uniósł brwi.
Więc co oznacza ten wybuch?

Godzina 9.27

Tucker zsunął się z Kaina, ale go nie puścił. Świat kurczył się i napierał, sprawiając mu ból. Głowa pękała. W uszach słyszał jeden wysoki ton. Krew spływała po twarzy i szyi. Czuł jej smak i zapach.

Uniósł dłoń do twarzy i namacał wbite w nią odłamki. Palec wszedł w dziurę w policzku.

A jednak...

Żyję.

Przesunął dłonią po kevlarowej kamizelce Kaina. Sięgnął do miękkiego ucha, do wąsatego pyska i poczuł, jak język zlizuje krew z jego palców.

Dzięki Bogu!

Usiadł i tulił ciężko dyszącego Kaina. Udało się, pomyślał.

Nie byli jednak bezpieczni. Przeszukał wzrokiem teren wybuchu i zobaczył postrzępione liście, połamane gałęzie drzew i krzewów. W ostatniej chwili stoczył się z granatu. Jego kamizelka kuloodporna – osłaniająca także Kaina – ocaliła im życie.

Cztery Q-UGV, które się do nich zbliżały, przyjęły główną siłę wybuchu. Leżały, dymiąc i iskrząc. Jeden został wyrzucony w powietrze i wisiał w gałęziach cedru.

Tucker wypatrywał innych, niepewny, czy nadciągają, czy może eksplozja przeciążyła ich czujniki.

Jedno wiedział na pewno.

– Musimy się stąd wynosić.

Kain zaskamlał. Wycie w uszach Tuckera ucichło i usłyszał go wyraźniej. Przesunął się, by pomóc partnerowi wstać, żeby mogli ruszyć w drogę. Musiał liczyć się z tym, że robotyczne psy znowu zaczną węszyć.

Podniósł się na kolana. Owczarek leżał na boku, dysząc ciężko z wywieszonym językiem. Jego oczy były szkliste od bólu, wpatrzone w dal.

– Kain...

Strach ścisnął serce Tuckera. Boże, nie...

Z przedniej łapy psa lała się krew i wsiąkała w ziemię. Miał strzaskaną kość promieniową i dolna część łapy trzymała się tylko na strzępach skóry i ścięgnach. Tucker ścisnął łapę w zgięciu, żeby zatamować krew, i próbował siłą woli utrzymać partnera przy życiu. Czerpiąc siłę z niezbadanych pokładów, podniósł go drugą ręką i ruszył. Oddalał się od strefy wybuchu. Zgubił gogle, ale znał drogę powrotną.

Kuśtykał przez las, starając się co jakiś czas przyspieszyć do biegu. Kostka wyła z bólu, krwawił z tysiąca skaleczeń, a odłamki wbijały się coraz głębiej w udo i ramię przy każdym kroku. Dyszał i krztusił się krwią. Jego pole widzenia zawężiło się.

W którymś momencie potknął się i omal nie zrzucił Kaina, a w dodatku puścił jego złamaną łapę. Krew tryskała, dopóki znowu nie zacisnął dłonią łapy. Przeklinał siebie za to, że nie znalazł czegoś lepszego do tamowania krwawienia niż własne słabnące palce. Nie wiedział, ile czasu zostało Kainowi.

Las ciągnął się w nieskończoność i Tucker zaczął się zastanawiać, czy nie zawrócić.

Właśnie wtedy coś zalśniło przed nim.

Za drzew wyłonił się robotyczny pies i szybko zmierzał w ich stronę. Wieżyczka ze śmiercionośnym karabinem obróciła się.

Tucker stanął do niego plecami, żeby chronić Kaina. Huk strzałów był ogłuszający. Czekał na uderzenie pocisków.

Ale nic takiego nie nastąpiło.

Spojrzał przez ramię i zobaczył, że Frank i Monk podchodzą z dymiącymi karabinami. Podziurawiony Q-UGV leżał na boku, przebierając nogami w powietrzu.

Pospieszył na spotkanie mężczyzn. Zderzył się z Frankiem, podał mu Kaina i osunął się na kolana.

– Ratuj go...

Frank trzymał psa w ramionach. Był weterynarzem, od razu więc zdał sobie sprawę z powagi sytuacji. Mocno zacisnął rękę nad raną.

– Stracił wiele krwi – powiedział.

Nie tylko on, pomyślał Tucker i świat pociemniał mu przed oczami. Mimo to ani na chwilę nie oderwał wzroku od Kaina. Dopiero teraz zobaczył, że pies zwisa bezwładnie w ramionach Franka. Ciemne oczy patrzyły nieruchomo, język wydawał się zbyt długi, zbyt niebieski.

Kain...

Tracąc przytomność, usłyszał słowa Franka:

– Nie oddycha.

Prowincja Ituri, Demokratyczna Republika Konga

25 kwietnia, godzina 9.29 czasu miejscowego

– Czy to cholerne drzewo utopiło twojego przyjaciela? – spytał Benjie.

Gray wiedział, że to rozsądne pytanie. Minęło ponad dziesięć minut, a Kowalski nie wynurzył się z pnia. Miał duże płuca, ale nie aż tak duże. Komandor stanął na palcach, żeby zajrzeć za kłębiące się blade korzenie i ciernie.

Dziupla matki drzew jarzyła się lśniącem srebrem. Woda była płaskim lustrem. Nie był w stanie stwierdzić, czy Kowalski wynurzył się w innym miejscu i zaczerpnął tchu. Nie widział boków sadzawki, ukrytych za krzywizną pnia.

Niespokojnie spojrział na Tyendego, któremu dotrzymywał towarzystwa Faraji. Stary człowiek stał, wspierając się na lasce. Miał na wpół przymknięte oczy. Najwyraźniej wyczerpała go długa droga, i nic dziwnego, skoro, jak utrzymywał, miał ponad sto lat.

Zauważył jednak, że Gray się denerwuje.

– Jeśli go wybrała, zatroszczy się o niego – powiedział.

Jakby wezwana jego słowami, trysnęła połyskliwa fontanna i Kowalski wyłonił się z wody, podtrzymywany przez płataninę korzeni. Poruszył się w ich uścisku. Prychnął i zakasłał, krztusząc się. Z jego nosa i ust lała się woda.

Korzenie przeniosły go na brzeg sadzawki i rzuciły przy wejściu do drzewa. Upadł na ręce i kolana i zaczął wymiotować wodą.

– Skończyła – oznajmił Tyende.

Kowalski usiadł, odetchnął głęboko i paskudnie zaklął. Pozbierał się z ziemi.

– Nigdy więcej – burknął.

– Wszystko w porządku? – zapytał Gray.

– Jak się czujesz?! – zawołał w tej samej chwili Benjie.

Olbrzym skrzywił się.

– Jak cholerny utopiony kot. A czego się spodziewaliście? – Chrząknął i splunął. – Smakuje jak płyn do chłodziń zmieszany z pleśnią. I piecze jak wszyscy diabli. – Ruszył chwiejnie w ich stronę.

Gray uniósł rękę.

– Manierka! Potrzebujemy próbki tej wody!

Kowalski sapnął z irytacją, niezbyt ucieszony perspektywą powrotu do sadzawki. Mimo to obrócił się i odpiął manierkę od paska.

Niestety, ktoś inny też nie był zadowolony.

Gdy zrobił krok w stronę drzewa, korzenie podniosły się jak wściekłe kobry, strosząc ostre ciernie i blokując mu drogę.

Cofnął się.

– Raczej nie sądzę – powiedział.

– Musisz spróbować! – krzyknął Gray.

Kowalski spojrzał na niego.

– Chodź tu i sam spróbuj – zaproponował.

Komandor odwrócił się do Tyendego, gotów błagać o pomoc.

Zanim jednak zdążył się odezwać, zabręczał telefon satelitarny. Wyciągnął go z kieszeni. Po ostatniej rozmowie z Painterem nie wyjął

baterii. Dyrektor obiecał wtedy przysłać po nich śmigłowiec, gdy tylko zdobędą lek. Miejscem ewakuacji miał być nagi grzbiet nad kotliną, jedyne miejsce w promieniu niezliczonych kilometrów, gdzie nie było lasu.

Gray odetchnął z ulgą, że Painter się zameldował. Spojrzał na Kowalskiego, który wciąż trzymał manierkę. Wyglądało na to, że ewakuację trzeba będzie przełożyć na później.

Podniósł telefon i odebrał połączenie.

– Szefie, mamy...

Painter przerwał mu ostro, wyraźnie się spiesząc.

– Musicie się stamtąd wynosić. Natychmiast. Leci do was dron zaprogramowany na wasze współrzędne. Ma na pokładzie ładunek MOAB. Wybuch zniszczy wszystko w promieniu wielu kilometrów.

Gray ścisnął telefon.

– Kiedy tu będzie?

– Macie piętnaście minut, może nawet mniej.

Komandor spojrział na Kowalskiego i na jego pustą manierkę.

– Ale nie mamy leku – rzucił.

– Nieważne. Brać dupę w troki!

Połączenie zostało przerwane.

Kowalski pokręcił głową.

– Co teraz? – rzucił.

Gray dał mu znak, że ma wracać. Nie mieli czasu na wykłócanie się z tysiącletnim drzewem.

– Wracaj! – ponaglił go. – Biegiem!

Olbrzymowi nie trzeba było powtarzać dwa razy. Już oddalał się od korzeni i cierni.

– Dlaczego? – spytał. – Skąd ten pośpiech?

– Bomba! Leci do nas! Mamy piętnaście minut!

Kowalski zaklął i przyspieszył. Zewnętrzny mur korzeni otworzył się, by go przepuścić, i znów się za nim zamknął. Olbrzym wyhamował z poślizgiem i dźgnął palcem pierś Benjiego.

– Jesteś mi winien pięćdziesiąt dolców.

Młody biolog z zakłopotaniem spojrzał na Graya.

– Założył się ze mną, że ktoś będzie próbował wysadzić nas w powietrze, zanim to wszystko się skończy – wyjaśnił.

– Nie powinieneś przyjmować takiego zakładu. – Gray pchnął jego, a potem Farajiego w stronę bariery czarnych korzeni i ostrych cierni.

Pomachał do Tyendego, rzucając mu przepraszące spojrzenie.

Z twarzy starca były rozpacz i rezygnacja.

Komandor przepuścił wszystkich przed sobą. Niskie przejście okazało się mniej niebezpieczne niż poprzednio. Drewniane sztylety i kolce schowały się w ciemnym gąszczu, pozwalając im przemieszczać się szybciej.

Gdy się czołgali, zegar w głowie Graya odliczał minuty. Promień rażenia MOAB wynosi ponad półtora kilometra od punktu zerowego, a wśród wysokich zboczy doliny może nawet więcej.

Nie mieli szans na pokonanie tego dystansu.

Najwolniejsi nie dadzą rady, pomyślał.

Postanowił jednak, że nikogo nie porzuci. Albo wyjdą z tego wszyscy, albo nikt. Zamierzał dotrzeć do złotego królestwa, do miasta wyciętego w żyłę cennej rudy, i modlił się, by zapewniło im wystarczające schronienie.

Dotarł do końca kolczastego tunelu, podniósł się i znów zobaczył przed sobą cudowną krainę lśniących stawów i złocistozielonego lasu. Nad polaną

unosila się mgiełka spór.

Machnął ręką, ponaglając towarzyszy.

– Dalej, co sił w nogach!

Narzucił szybkie tempo. Zwalniał tylko wtedy, gdy Benjie albo Tyende zostawali w tyle, żeby złapać oddech, i poganiał ich, jeśli stali za długo.

Powierzchnia ziemi poruszała się, jakby przypominała im, że prawdziwa siła lasu leży pod ich stopami, w rozległej splecionej sieci korzeni i grzybni, tworzącej inteligencję o wiele starszą niż cokolwiek na Ziemi.

Wiedząc, co nadchodzi, co zostanie zniszczone, Gray zgrzytał zębami z frustracji.

Nie powinniśmy tu przychodzić, pomyślał. Co nam to dało?

Gdy widział pustą manierkę odbijającą się od biodra Kowalskiego, pocieszał się myślą, że może da się uzyskać z jego krwi uzdrawiające substancje, którymi go obdarzono, i wykorzystać je do powstrzymania szerzącej się epidemii.

W końcu dotarli na skraj prastarego lasu – tego lasu w lesie. Benjie zwolnił – nie tyle z braku tchu, ile ze względu na Tyendego. Starzec dyszał, a jego twarz spływała potem. Po drodze zgubił laskę. Kowalski podtrzymywał go z jednej strony, a Faraji z drugiej.

Gray zajął miejsce chłopca.

– Naprzód – rzucił.

Ruszyli i przedzierali się przez gęstą barykadę zarośli, aż w końcu znaleźli się w normalnym lesie.

Spojrzał na zegarek.

9.38.

Zostało siedem minut.

Benjie pierwszy zauważył, że coś się zmieniło. Zwolnił i zaczął się rozglądać.

– Gdzie są Pigmeje? – zwrócił się do Graya.

Ten zdał sobie sprawę, że Molimbo i pozostali myśliwi odeszli, zabierając ze sobą protele. Nigdzie ich nie było widać. Pokręcił głową.

– Musimy mieć nadzieję, że odeszli wystarczająco daleko.

– Może wyczuli, co zaraz się stanie, i schronili się w mieście.

– Może – mruknął Gray, chociaż w to wątpił. Miejscowi unikali tego starożytnego miejsca, martwego królestwa otoczonego kośćmi. Nie był to jednak czas na dyskusowanie.

Znów pogonił wszystkich.

– Nie zatrzymywać się!

Przed nimi, jak leśny duch, zmaterializował się samotny wartownik. Protel o śnieżnobiałej sierści mrugał starymi oczami, witając swojego towarzysza.

– Mbe... – wydyszał Tyende.

Protel płynnie, jak żywe srebro, wybiegł mu na spotkanie i zajął miejsce u boku starego człowieka. Jego obecność ożywiła Tyendego. Uwolnił się z rąk Graya i Kowalskiego, po czym przesunął dłonią po boku zwierzęcia, jakby czerpał z niego siłę.

Przyspieszyli i teraz już biegli krętą ścieżką. Zanim dotarli do rozwidlenia, Tyende znów kuśtykał i potykał się, zostając w tyle. Potrzebował pomocy.

Kiedy Gray wsparł go ramieniem, poczuł jego drżenie i bicie serca za cienkimi żebrami.

Choć znacznie młodszy od Molimba, Tyende miał ponad sto lat, może nawet sto pięćdziesiąt. Komandor zastanawiał się, czy długowieczność

Pigmejów wynikała stąd, że żyli tu od tysiąclecia. Pod tym względem Tyende był stosunkowo nowym przybyszem, bardziej podatnym na spustoszenia związane z wiekiem.

Kowalski pojawił się po lewej stronie starca, gotów go ponieść na rękach, gdyby zaszła taka potrzeba. Spróbował odepchnąć protela z drogi, lecz Mbe warknął, wyraźnie nie chcąc rezygnować ze swojego miejsca u boku towarzysza. Dyszał ciężko i wywracał oczy, zmęczony kłusowaniem. Podobnie jak Tyende, stuletnie zwierzę nie mogło na zawsze zatrzymać czasu.

– Już niedaleko! – zawołał Benjie, wskazując przed siebie.

Miasto było ciemne, spowite roślinnością. Zgasły płomienie, które je oświetlały. Gray rozumiał, dlaczego Pigmeje unikają tego miejsca. Chodziło nie tylko o kości. Miasto sprawiało wrażenie nawiedzonego.

Nie pora na przesady, zganił się w duchu i spojrzął na świecąca tarczę zegarka.

Godzina 9.42

– Jeszcze trzy minuty!

Benjie kulił się, biegnąc w stronę ciemnej fasady. Myślał tylko o tym, czy wystarczy im czasu.

– Najdalej, jak się da! – popędzał wszystkich Gray. – Najdalej w głąb!

Benjie i Faraji dotarli do zakrętu drogi. Wybrali krótszą trasę, po linii prostej; przedzierali się przez zarośla i skupiska grzybów. Gray podskoczył, gdy purchawka wybuchła mu pod stopą. Stare czaszki i żebra chrzęściły pod butami.

Modlił się, by ich kości nie zostały dodane do tego starożytnego mauzoleum.

Dobiegł z Farajim do ciemnego progu. Kowalski włączył latarkę i wyprzedzały ich cienie. Wpadł na Benjiego, który zatrzymał się w wejściu, i popchnął go do przodu.

– Ruszaj się! – ryknął.

Młody biolog potknął się, odzyskał równowagę i pognął za Farajim. Olbrzym deptał im po piętach. Snop jego latarki kołysał się we wszystkie strony. Lśniące ściany ocieplały światło, nadając mu złocisty odcień. Benjie przesunął dłonią po powierzchni ściany i poczuł jej gładkość. Szybko cofnął rękę, żeby utrzymać równowagę.

Wszędzie leżały kości. Większość szkieletów była w nienaruszonym stanie. Do niektórych wciąż przylegały strzępy ubrań. Jeden był okryty czarną kolczugą. Stalowa broń – piki, młoty, miecze – walająca się po ziemi była kolejnym świadectwem opisanej przez Tyendego napaści na dolinę.

Benjie, biorąc przykład z Farajiego, starał się omijać szczątki, żeby nie zakłócić ich spoczynku.

Kowalski nie był równie uprzejmy. Tratował kości i kłął, kłusując w głąb podziemnej uliczki.

Po jej obu stronach piętrzyły się jak stosy kanciastych bloków złote domy, połączone przez mosty i kładki.

Benjie wytrzeszczał oczy, próbując sobie wyobrazić, jak to miejsce musiało wyglądać kiedyś. Fantazjując, rozwieszał lampy i latarnie w całym mieście. Zobaczył wyimaginowanych mieszkańców, rozmawiających i handlujących dorosłych, bawiące się ze śmiechem dzieci, biegające protele.

Obejrzał się, bo wiedział, że prawdziwe bogactwo miasta leżało za nim, w lesie, gdzie królestwo przez stulecia żyło w harmonii ze światem przyrody.

To było ich największą fortuną.

Zmarszczył czoło, bo nagle, gdy patrzył za siebie, zdał sobie z czegoś sprawę.

– Gdzie jest Gray?

Godzina 9.44

– Musisz iść dalej – powiedział Gray nagle, spoglądając na zegarek. Została jedna minuta.

Tyende zatrzymał się po przejściu zaledwie kilku metrów. Komandor nie wiedział, kto stanął pierwszy, starzec czy jego sędziwy towarzysz. Obaj znieruchomieli jakby w odpowiedzi na ten sam sygnał.

Mbe przysiadł na zadzie i ział; jego klatka piersiowa unosiła się coraz słabiej. Wyglądał na znacznie starszego niż przed chwilą. Gasł w oczach. Po chwili położył się na ziemi i zapatrzył się w las za nimi. Tyende osunął się na kolana i objął ramieniem wielkiego towarzysza.

– Doszliśmy wystarczająco daleko – powiedział.

Gray domyślił się, że nie ma na myśli odległości mierzonej w kilometrach.

– Nie możesz się poddać. – Nachylił się, żeby pomóc mu wstać.

Tyende uniósł rękę. Mbe warknął, wyrażając na głos to, co zapewne czuł jego towarzysz.

– To nie porażka – powiedział stary człowiek. – Nawet nie poddanie się.

– Uśmiechnął się nieznacznie, z zadowoleniem. – To po prostu czas.

– Ale...

– Moja historia została opowiedziana. Przekazałem ją wam. Wystarczy. Gray zachodził w głowę, jak go przekonać.

Tyende rozejrzał się po ciemnym mieście i zdjął złotą opaskę.

– Nadszedł czas, żeby skończyły się królestwa. – Skierował wzrok na las, jak Mbe. – I żeby matki pozwoliły dzieciom stanąć na własnych nogach, na dobre i na złe.

Gray w końcu pogodził się z tym, że starzec nie pójdzie dalej.

– Ten lek... Czy Kowalski może podzielić się nim ze światem? – zapytał.

Tyende spojrział na niego po raz ostatni. Jego twarz wyrażała smutek, jakby komandor niczego nie rozumiał.

– Ludzie Molimba wyjaśnili mi to dawno temu. Jej dary są szczodre, ale krótkotrwałe. Raz dane, szybko zanikają. Podczas gdy cud trwa, stojąca za nim siła paruje niczym woda w upalny dzień.

Gray wciągnął powietrze przez ściśnięte gardło.

Stary człowiek odwrócił się i odprawił go ruchem ręki.

– Masz wszystkie odpowiedzi, których potrzebujesz.

Komandor nie mógł już dłużej czekać. Odwrócił się i pobiegł w głąb złotego miasta. W głowie tykał mu wewnętrzny zegar. Mógłby przysiąc, że słyszy dalekie, ale coraz głośniejsze wycie silnika samolotu.

Skoczył w bok, do jednego z domów, i kucnął za ścianą. W ostatniej chwili.

Eksplozja nastąpiła w momencie, gdy jego kolana zetknęły się z podłogą. Siła uderzenia rzuciła go na ścianę. Przeszło mostu na zewnątrz pękło i runęło w gradzie złotych bloków i kłębach pyłu. Całe królestwo rozbłysło, oświetlone ognistym wybuchem. Jaśniało w pełnej okazałości, wypolerowane przez podmuch rażący Graya w oczy. Żar przetoczył się przez miasto jak wichura.

Komandor padł na brzuch i zakrył głowę rękami. Czekał, aż wszystko wokół przestanie dygotać, a pałacy podmuch ucichnie, i dopiero wtedy podniósł się i chwiejnym krokiem ruszył do wyjścia z domu. Gdy przyłożył

dłoń do framugi, ze zdziwieniem stwierdził, że złoto jest zaskakująco chłodne. Właśnie dlatego to miasto było niezniszczalne.

Wyszedł z domu, martwiąc się o Tyendego.

Wracał po złotym gruzie. Przed sobą na tle światła poranka dostrzegł starego człowieka i protela tam, gdzie ich zostawił. Wybuch zdarł las z powierzchni urwiska i teraz nad wejściem do miasta widać było niebo, z pewnością po raz pierwszy od wieków.

Przyspieszył kroku.

Tyende i Mbe leżeli bezwładnie. Protel tulił się do przyjaciela, jakby nawet po śmierci starał się go chronić. Wielkim ciałem pokrytym białą sierścią odgrodził go od wyjścia, by oszczędzić mu widoku ich zniszczonego domu.

Gray dotarł do nich, padł na kolana i położywszy dłoń na ramieniu starca, dziękował mu w duchu. Kiedy to robił, Tyende poruszył się. Czy to za sprawą cudu, czy dzięki miłości towarzysza, wciąż oddychał, choć słabo.

– Nie ruszaj się – powiedział Gray. Nie miał nadziei, że ten człowiek przeżyje, ale chciał dopilnować, żeby nie umarł samotnie.

Tyende otworzył oczy. Znalazł w sobie siłę, by sięgnąć do jego dłoni i poklepać ją, jakby na pocieszenie.

– Dziwię się, że nie uznała cię za godnego – wychrypiał. – Dla mnie jesteś godny.

W sercu Graya wezbrało poczucie winy.

Usłyszał kroki i echo głosów. Obejrzał się i zobaczył światło latarki kołyszące się w ciemności. Po chwili rozpoznał Kowalskiego idącego w towarzystwie Benjiego i Farajiego.

Uniósł rękę, żeby ich przywołać, ale nie puścił ramienia Tyendego. Starzec westchnął cicho.

Benjie gwałtownie wciągnął powietrze, gdy podeszli.

Faraji zakrył twarz, jakby nie chciał pogodzić się z tym, co zobaczył.

Kowalski tylko pokręcił głową i zaklął cicho.

– Możemy coś dla ciebie zrobić? – zapytał cicho Gray. – Żeby ci było wygodniej.

Tyende zwilżył wargi językiem. Chciał coś powiedzieć, ale z jego gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Podjął kolejną próbę.

– Daj mi... Pomóż mi zobaczyć.

Gray zrozumiał. Posadził go i oparł o ścianę. Tyende spojrzał nad ciałem Mbe na dolinę. Jasny poranek ciemniał, chmury dymu zasnuwały słońce. Ten mrok nie miał nic wspólnego z powagą starożytnego lasu. Był oznaką wielkiego zła.

– Przykro mi – szepnął Gray.

Tyle zostało stracone, a nic nie zyskali.

Tyende patrzył na zniszczenia. Ramiona opadły mu z żalu, ale twarz pozostała spokojna.

– Czasami stary las musi spłonąć, by wyrósł nowy – powiedział. – Nadzieję można znaleźć nawet w płomieniach.

– Ale...

Starzec znowu poklepał go po dłoni.

– Już to mówiłem: matki mogą ostrzegać, karcić i uczyć do pewnego momentu... Później ich czas się kończy. Jak mój teraz. Wtedy *watoto... watoto...* – Gasł, oczy miał szkliste. Starał się pozostać w terażniejszości, ale wracał w przeszłość, sięgając do ojczystej mowy.

Faraji zbliżył się do niego i padł na kolana.

– *Watoto...* dzieci – przetłumaczył.

Tyende poruszył się.

– Dzieci, tak... w końcu muszą stanąć... na własnych nogach... popełniać własne błędy. – Spojrzał na powalony las. – Czy z czasem zyskają *hekima*? – Ze smutkiem wzruszył ramionami.

– Czyli mądrość? – zapytał Gray Farajiego.

Starzec dotknął kolana chłopca na znak podziękowania. Obrócił głowę, uniósł rękę i słabym gestem przywołał Benjiego.

Biolog podszedł i ukląkł.

Tyende poklepał go w udo, po czym wskazał jego wypchaną kieszeń.

Benjie zrozumiał i zmienił pozycję, żeby wyjąć figurkę *ndop*. Podsunął ją Tyendemu.

Ten westchnął z zadowoleniem. Znalazł siłę, by przesunąć drżącym palcem po twarzy Williama Shepparda, dawnego przyjaciela i nauczyciela. Żegnał się z nim w ten sposób.

– Matka... – szepnął. – Dzieli się swoimi najcenniejszymi darami tylko z najbardziej godnymi.

Z pewnością William Sheppard należał do tych wybrańców.

Ręka Tyendego opadła jak odlana z ołowiu.

– *Ngedi mu ntey*... w *ngedi mu ntey*... – szepnął ostatkiem tchu i podbródek opadł mu na pierś. Czas wreszcie go odnalazł.

Wszyscy milczeli.

Po dłuższej chwili Benjie uniósł figurkę.

– Nasz brak prawości... – Spojrzał na zniszczenia. – Może miała rację.

Gray pokręcił głową w poczuciu porażki. Sheppard otrzymał coś, dzięki czemu uzdrowiony opuścił kotlinę i mógł wrócić do domu. Później utrwalił swoją historię, dając wskazówki przyszłym pokoleniom. Schował to wszystko w *ngedi mu ntey*, drogocennej skrzynce ludu Kuba. Tyende potwierdził to swoimi ostatnimi słowami, oddając cześć przyjacielowi.

My jednak nie zostaliśmy uznani za godnych, nawet jeśli Tyende tak uważał, pomyślał Gray.

– Musimy iść – odezwał się Kowalski. – Mamy spotkanie ze śmigłowcem ewakuacyjnym.

Komandor skinął głową i ruszył do wyjścia, ale Faraji jeszcze trwał na klęczkach, szepcząc modlitwę nad współplemieńcem. Gray czekał, okazując w ten sposób szacunek.

Benjie chciał schować figurkę *ndop* do kieszeni, ale Gray wyciągnął dłoń i złapał go za nadgarstek.

– Zaraz – rzucił.

– O co chodzi?

Komandor mocno ścisnął jego rękę.

– *Ngedi mu ntey w ngedi mu ntey* – powiedział.

Biolog uniósł brwi, a potem jego oczy rozszerzyły się. Zrozumiał.

– Co jest? – zapytał Kowalski.

– Ostatnie słowa Tyendego – wyjaśnił Gray. – Nie mówił nam o darze Shepparda dla świata. Zaoferował go nam. Uznał nas za godnych, nawet jeśli drzewo nam odmówiło.

Olbrzym zmarszczył czoło, bo nie pojmował, o co chodzi.

– Co nam zaoferował?

– Odpowiedź – odparł Benjie i nie bez strachu spojrzął na figurkę *ndop*, którą wciąż trzymał w dłoniach. Podsunął ją Grayowi. – *Ngedi mu ntey w ngedi mu ntey*.

Komandor wziął od niego figurkę.

– Skrzynka Kuba w skrzynce Kuba – powiedział z nadzieją, że ma rację. – Kuba przechowują swoje cenne pamiątki w takich skrzynkach, ale żeby chronić te najcenniejsze...

– ...mogą wkładać jedną do drugiej – dokończył Benjie. – Jak rosyjskie matryoski.

Wszyscy patrzyli na Graya.

Przyjrzał się uważnie figurce. Przesunął palcami po czarnym drewnie z korzenia matki drzew. Wreszcie to dostrzegł: srebrzystą żyłkę pod brodą Shepparda.

Z lękiem chwycił głowę figurki i mocno ją przekręcił. Po trzech próbach górna część rzeźby oddzieliła się od reszty i odsłoniła wnętrze wydrążone jak pień drzewa.

Przechylił figurkę i wysypał na dłoń drobny proszek. Każde ziarenko świeciło jasnym srebrem.

Lśniły nadzieją zbawienia.

Okręg górniczy Katwa, Demokratyczna Republika Konga

25 kwietnia, godzina 10.22 czasu miejscowego

Nolan De Coster patrzył znad steru jachtu na zniszczenia, których dokonał. Rozmyślanie o nich z dystansu to jedno, ale oglądanie ich z bliska to całkiem coś innego.

Płynąc w dół rzeki obok zniszczonej kopalni, patrzył na ogromny lej, z którego wciąż snuł się dym. Powstała w wyniku wybuchu odnoga rzeki uchodziła do zadymionego krateru i powoli go zalewała, tworząc toksyczne jezioro.

Po drugiej stronie rzeki wielkie barki zrównały dżunglę z ziemią. Ich kadłuby będą rdzewieć przez wieki, odgrywając rolę kolosalnych pomników jego potęgi.

Większość ludzi może byłaby przerażona tym ogromem destrukcji, on czuł jednak tylko dreszczyk emocji, dumę przemieszana z podziwem.

To moje dzieło.

Było to szczytowe osiągnięcie, przyćmiewające wszystko. Nawet abisyńskie ceremonialne nakrycie głowy, ozdobione złotem i klejnotami, które leżało obok niego na pulpicie. Zabrał ten skarb z gabinetu, zanim zbiegł tajnymi schodami do garażu. Bez przeszkód dotarł do opancerzonego jachtu, po czym z pomocą Ngoya szybko odbił od pomostu i popłynął w dół rzeki.

Gdy minął miejsce wybuchu, jeszcze się obejrzał i wyobraził sobie podobne zniszczenia w górach na wschodzie.

Otrzymał już potwierdzenie, że bomba została zrzucona z drona. Załatwił śmigłowiec, który już czekał półtora kilometra dalej, by zabrać go do Kairu. Stamtąd poleci do Belgii.

Oczywiście wybuchnie prawnicza burza, ale ją przetrwa. Jego miliardy są zamkiem, którego nie zdobędzie żaden kraj ani żadna armia. Wykorzysta bogactwo, by napisać historię na nowo, przedstawić siebie jako zbawcę finansującego podczas epidemii szpitale w całym Kongu. Uciszy krytyków – przekupstwem albo szantażem – i siłą utrzyma kontrolę nad tym regionem.

Położył rękę na złotej koronie; należała mu się z racji urodzenia, podobnie jak cała Afryka Środkowa.

A wkrótce cały kontynent.

Szuranie butów odwróciło jego uwagę od steru. Odwrócił się ku drzwiom sterówki i zobaczył w nich Ngoya, świeżo wykąpanego i znacznie mniej wystraszonego.

Doktor wskazał w dół rzeki.

– Jak daleko jeszcze do tego śmigłowca? – spytał.

De Costerowi zamarło serce i cofnął się.

Ngoy wyczytał przerażenie z jego twarzy i skulił się. Gdy to zrobił, coś cicho skoczyło z pokładu rufowego i wylądowało za sterówką.

Potężny kot zjeżył sierść, upodabiając się do góry lśniącego czarnego futra. Nawet w świetle dnia wyglądał jak stworzony z mroku. Żłocistobursztynowe oczy lśniły. Białe wąsy sterczały nad ściągniętymi wargami. Zwierzę nie wydało dźwięku. Obnażone kły były wystarczającą groźbą.

Doktor krzyknął i w tym momencie kot machnął łapą. Pazury zdarły skórę i ciało z twarzy Ngoya. Mężczyzna zaczął wrzeszczeć i upadł, wijąc się z bólu.

Zwierzę przeszło nad nim, nie zważając na jego zawodzenie, bo to nie on był celem bestii.

De Coster wiedział o tym.

Tygodniami brutalnie tortuował tego wielkiego kota i zasłużył sobie na jego gniew. Pewnie przyczaił się w ładowni poniżej, zwabiony jego zapachem, który przeniknął jacht.

Gdy De Coster cofał się w stronę otwartego okna, kot szedł przez sterówkę, wyraźnie się z nim bawiąc. Warknął wściekle, kiedy jego oprawca skoczył do okna. Pazury wczepiły się w tył nogi, rozdarły materiał, skórę i ciało, De Costerowi udało się jednak wydostać na zewnątrz. Spadł z wysoka do rzeki. Ciemna woda wirowała i pieniała się wokół jego wymachujących kończyn.

Spanikowany, płynął w kierunku brzegu. Poraniona noga płonęła pod wodą, ale nie rezygnował. Musiał się ukryć.

Jacht przemknął obok niego z włączonym silnikiem, ale już bez załogi... no, prawie. Kot wychylał się z okna, wbijając pazury w parapet. Uniósł łeb, wygiął szyję i ryknął na świat.

W tym momencie De Coster zrozumiał, że daleko mu do króla tej dżungli. Wierzgał nogami i zgarniał wodę rękami, modląc się o odrobinę łaski, nawet litości. Odetchnął z ulgą, gdy zobaczył, że jacht oddala się od niego w kierunku przeciwnego brzegu, unosząc ze sobą bestię.

Postarał się płynąć szybciej.

Las był coraz bliżej.

Jeszcze tylko kawałek, pomyślał De Coster i w tym momencie usłyszał trzask drewna i chrzęst stali. Po drugiej stronie rzeki opancerzona łódź

mocno uderzyła w brzeg i wbiła się głęboko w dżunglę. Gdy się zatrzymała, kot skoczył z burty i zniknął w gęstwinie.

De Coster spojrział na rzekę, sprawdzając, czy zwierzę nie próbuje przepłynąć na tę stronę. Nie dostrzegł jednak żadnego ruchu i odetchnął z ulgą, gdy poczuł grunt pod nogami. Wyczołgał się na brzeg i padł w błoto. Wody powodziowe opadały, odsłaniając wysokie śliskie zbocza odarte z roślinności.

Nie zatrzymuj się, nakazał sobie.

Wbił palce stóp w ziemię i zaczął się wspinać po stromym zboczu. Śliskie błoto stawiało opór, a co gorsza, nogi się trzęsły i szybko słabły. Wbijał głęboko palce, szukając oparcia, ale ręce odmawiały mu posłuszeństwa. Uznał, że to skutek zmęczenia i paniki, ale nagle coś przyszło mu do głowy.

Spojrzał na zalaną krwią nogę. Zobaczył rozciętą skórę i widoczne mięśnie.

Sama rana nie była problemem, ale w jego ciele krążyła trucizna z kocich pazurów. Zespół badawczy ją zidentyfikował. Była to pochodna sukcyńlocholino, środka stosowanego przez anestezjologów jako bloker nerwowo-mięśniowy. Zwiotcza mięśnie, ale człowiek zachowuje pełnię świadomości i zdolność odczuwania wszystkiego, łącznie z bólem.

Gdy ręce i nogi stały się ciężkie jak z ołowiu, De Coster padł w błoto. Obawiając się uduszenia, znalazł w sobie energię, by przekręcić się na plecy. Nie mógł się jednak niczego przytrzymać, więc zsunął się na skraj wody.

Ból w nodze nie ustępował. Gorąca krew spływała po udzie i zimnej łydce. Z trudem oddychał, ale zmuszał zebra do ruchu.

Po prostu trzeba to przeczekać, tłumaczył sobie. Ta substancja nie jest śmiertelnie trująca. Za jakąś godzinę przestanie działać.

Uczepił się nadziei.

A nie powinien, bo przecież dobrze znał Kongo.

Krew spływała do wody i gromadziła się w błocie wokół niego.

Przyciągała do niego dżunglę – gotową pożywić się królem Afryki.

Pierwsze zjawily się kraby.

Kisangani, Demokratyczna Republika Konga

29 maja, godzina 10.42 czasu miejscowego

Na drugim piętrze Wydziału Nauk Ścisłych Uniwersytetu Kisangani Charlotte pochyliła się nad Frankiem i położyła dłoń na jego ramieniu.

Obok niego stali doktor Lisa Cummings i Benjie.

Zebrali się na codzienną odprawę w prowizorycznym laboratorium. Pomieszczenie, z którego korzystali wcześniej, znajdujące się na drugim piętrze, nadal było remontowane po bombardowaniu w zeszłym miesiącu.

Byli jedną z wielu grup naukowców, które na całym świecie pracowały nad ocaleniem ludzkości.

– Chyba zaczynam rozumieć działanie tego wirusa – powiedział Frank.

– Przynajmniej w uzdrawianiu chorych neurologicznie.

Lisa pochyliła się bliżej.

– Pokaż.

Minął nieco ponad miesiąc, odkąd zdobyli środek przeciwdziałający *Omniviridae* – Frank tak ochrzcił wirusa i nazwa się przyjęła. Choć epidemia nadal rozprzestrzeniała się w Kongu. Chorzy napływali z odległych wiosek i miasteczek, ale przynajmniej tempo potopu zwolniło.

Zespół robił postępy.

Mimo to niewiele wiedzieli o leku.

– Spójrzcie – powiedział Frank. Wczytał na ekran zdjęcie megawirusa, który wyglądał prawie identycznie jak *Omniviridae*, przynajmniej na zewnątrz. Według Franka ten nowy był nieco większy i miał o dwadzieścia dwa procent więcej genów. Poza tym był tak samo kolczasty jak jego złośliwy kuzyn. Nowy megawirus został odkryty w kryształach, które Benjie i jego towarzysze przynieśli z dżungli.

Frank go ożywił, co nie było wcale tak niezwykle. Megawirus znaleziony jakiś czas temu w syberyjskiej wiecznej zmarzlinie, zamrożony przez trzydzieści tysięcy lat, po rozmrożeniu wrócił do życia.

Po usłyszeniu opowieści o leczniczych właściwościach proszku Frank i Lisa podali go w szpitalu pacjentom bliskim śmierci. Stał się cud: nie minął dzień, a chorzy zaczęli wracać do życia. Od tego czasu wyleczono tysiące ludzi, łącznie z Charlotte.

Później wirus został nazwany *Tyende kubicum*, na cześć mężczyzny, który pomógł grupie dowodzonej przez komandora Graya Pierce'a zdobyć krystaliczny proszek. Gdyby nie jego stuletnie czuwanie, chronienie wiedzy o tym środku na wypadek przyszłych zagrożeń, nie udałooby się znaleźć leku.

– Do tej pory koncentrowałem się na DNA *Tyende* – oznajmił Frank. – Nadal jest ono tajemnicą. Ani jeden gen nie jest rozpoznawalny. Podejrzewam, że miną dziesięciolecia, zanim w pełni to zrozumiemy... jeśli w ogóle nam się to uda.

– Więc czego się dowiedziałaś? – zapytała Lisa. – Na czym polega twój przełom?

Frank wskazał kolce wirusa.

– Początkowo myślałem, że są identyczne z tymi w *Omniviridae*, czyli łańcuchami peptydowymi, które działają jak priony i wyłączają wyższe funkcje mózgowe człowieka.

– A nie są?

– Są.

Charlotte uniosła brwi.

– Nie rozumiem – rzuciła.

– Są identyczne, jeśli chodzi o budowę wewnętrzną, ale nie o kształt! Kolce *Tyende* są lustrzanymi odbiciami tych, które mają *Omniviridae*. Są izomerami cis i trans. – Odwrócił się i spojrzał na twarze słuchaczy. – Dlatego *Tyende* jest tak dobry w budzeniu pacjentów, przywracaniu ich funkcji neurologicznych. Jego kolce łączą się z patologicznymi kolcami *Omniviridae*, jak klucz pasujący do zamka. Neutralizują je i w końcu organizm się ich pozbywa.

– Fascynujące – odezwał się Benjie.

– Muszę przeprowadzić więcej badań. – Frank popatrzył na Charlotte. Sięgnął do jej dłoni, wciąż spoczywającej na jego ramieniu, i ścisnął ją. – Mój laptop, który zabrałaś z wyspy, okazał się żyłą złota. Bez wyników badań De Costera świat nie byłby tak daleko na drodze powrotu do normalności.

Uśmiechnęła się, czując na policzkach rumieniec. Spędzali razem mnóstwo czasu. Frank trwał przy jej łóżku przez cały okres rekonwalescencji.

Uwolniła rękę i postanowiła zmienić temat. Spojrzała na Benjiego.

– A co z twoimi badaniami? Nad mutacjami, odstępstwami od normy? Słyszałam, że nadal zgłaszane są przypadki spotkań z odmienionymi zwierzętami.

Z poważnym wyrazem twarzy skinął głową.

– Chyba coraz rzadziej – powiedział. – Ndaye i jego ekostrażnicy złapali mnóstwo okazów. Większość wydaje się niezdolna do rozmnażania się, więc mamy do czynienia z nieprawidłowością jednopokoleniową.

Wątpię jednak, żeby dotyczyło to wszystkich gatunków. Te szakale, które widzieliśmy, pilnowały swoich szczeniąt. Najwyraźniej udało im się rozmnożyć. Ale tylko czas to potwierdzi.

– A co z programem pilotażowym hodowli wirusa *Tyende* w Kongu? – zapytała go Lisa. – Czy to pomoże powstrzymać rozprzestrzenianie się *Omniviridae*, zdusić tłące się w dżungli ostatnie ogniska?

Benjie wzruszył ramionami.

– Nie mamy pojęcia, do czego zdolny jest wirus *Tyende* – odparł. – Jak powiedział doktor Whitaker, to genetyczna łamigłówka. Chociaż podejrzewam, że matka drzew zastosowała jakąś formę manipulacji epigenetycznej, żeby w razie potrzeby zmienić ekspresję genów i zamienić patogen w lek.

– Jak wirusowa wersja szwajcarskiego scyzoryka – powiedziała Lisa.

Benjie uśmiechnął się i wyglądał jeszcze bardziej chłopięco.

– Brzmi całkiem nieźle – przyznał.

Frank spojrział na zegarek, sygnalizując koniec spotkania.

– Dobrze, zostawiam was z tymi pytaniami na jakiś czas. Muszę złapać samolot. Ale wrócę za kilka dni.

Charlotte westchnęła.

– On wie, że zrobiłeś wszystko, co mogłeś – powiedziała. – Ty też to wiesz, prawda?

– Zobaczymy.

Rozeszli się każdy w swoją stronę. Lisa towarzyszyła Charlotte; szły przez trawnik pod jasnym porannym słońcem do szpitala. Całe pierwsze piętro przeznaczono dla chorych na tę chorobę. Weszły do sali i przygotowały się na kolejny długi dzień.

Ubierając się w kombinezon ochronny, Charlotte zauważyła Farajiego za szklaną przegrodą. Chłopiec siedział przy łóżku i mówił coś z ożywieniem, mocno gestykulując. Wielu pacjentów z dalekich wiosek znało tylko swoją ojczystą mowę, a że lekarze byli z całego świata, szpital rozpaczliwie potrzebował uniwersalnego tłumacza. Młody adept sztuki szamańskiej nadawał się idealnie do tej roli. Zamierzał kontynuować i chronić plemienną tradycję Woko Bosha, a jednocześnie chłonął i wykorzystywał zdobycze zachodniej medycyny.

– Wygląda na to, że jest więcej pustych łóżek niż wczoraj – zauważyła Lisa, rozejrzawszy się.

Charlotte skinęła głową.

– Ale odetchnę z ulgą dopiero wtedy, kiedy będziemy mogli zamknąć ten oddział na dobre.

– Do tego czasu nie zapomnij delektować się zwycięstwami. – Lisa wskazała w głąb korytarza. – Bez względu na to, jakie są małe.

Charlotte odwróciła się i zobaczyła zbliżającą się Disankę, która wróciła na rutynowe badanie, i to nie sama. Charlotte podbiegła do niej z wyciągniętymi ramionami.

– Pozwól mi go zobaczyć – poprosiła.

Kobieta z plemienia Luba z szerokim uśmiechem podała jej synka.

Dziecko energicznie wierzgało nóżkami, gdy Charlotte je tuliła.

– Nazwę go Woko – oznajmiła Disanka, kładąc dłoń na główce maleństwa.

Ciepło wezbrało w sercu lekarki.

– To piękne... po prostu piękne – powiedziała wzruszona. Wyobraziła sobie szamana, który przebył długą drogę ze skrzynką ludu Kuba i oddał życie, by ocalić ją i pozostałych. Co więcej, chociaż jego żółty proszek nie

uleczył syna Disanki, zapewnił mu wystarczająco dużo czasu, by przeżył do czasu znalezienia leku. Gdyby nie Woko, chłopczyk by nie żył.

Podniosła wyżej niemowlę. Wpatrując się w nią, wierciło się, gaworzyło i puszczało bańki smarków. Uśmiechnęła się.

Tak, to małe zwycięstwo, pomyślała.

Waszyngton, USA

Godzina 13.22 czasu miejscowego

Gray siedział w poczekalni szpitala uniwersyteckiego w Georgetown. Pielęgniarki krzątały się za białym kontuarem. Na tym wyspecjalizowanym oddziale przeprowadzano transplantacje szpiku kostnego i komórek macierzystych.

Kowalski leżał w pokoju na końcu korytarza i właśnie była u niego narzeczona, Maria. Miał za sobą dwie rundy chemioterapii, która wybiła jego szpik kostny, i dzisiaj wszczepiano mu komórki macierzyste. Pielęgniarki i lekarze, którzy przeprowadzili zabieg, wchodzili do jego pokoju i wychodzili.

– Kiedy wróci Seichan? – zapytał Painter, przyciągając uwagę komandora.

Gray wyprostował się i odchrząknął.

– Pojutrze.

Przedłużyła o dwa tygodnie wizytę w Hongkongu. Była tam z ich synem, Jackiem. Babcia chciała spędzić więcej czasu z wnukiem, a nie była kobietą, której można odmówić. Gray po raz pierwszy rozstał się z Seichan i synem na tak długo. Kolano mu podskakiwało, jakby jego ciało odliczało czas do ich powrotu.

– Nadal jest zła? – dociekał Painter.

– I to jak! – Gray podejrzewał, że był to jeden z powodów opóźnienia powrotu. Seichan chciała go ukarać. Ucieszyła się, że wrócił w jednym kawałku, ale wciąż była wściekła, że ominęła ją frajda. – Znalezione jakiś ślad Nolana De Costera? – zwrócił się do dyrektora Sigmy, bo chciał zmienić temat.

Painter westchnął.

– Kat szuka wytrwale, angażuje służby wywiadowcze na całym świecie. Ale wygląda na to, że zapadł się pod ziemię.

W Kongu znaleziono w dżungli przy brzegu rzeki rozbity jacht De Costera. Na pokładzie było zniszczone przez dżunglę ciało doktora Ngoya, ale jego pracodawca zniknął bez śladu. Przedstawiciele firmy De Coster Mining & Industry oświadczyli, że nie znają jego miejsca pobytu. Ale nikt nie mógł być pewien. Może ulotnił się, gdzieś przyczał i czekał, aż sprawa przycichnie. Choć i tak nie miałyby do czego wracać. Z powodu popełnionych przez niego przestępstw De Coster Mining & Industry była likwidowana, a jej aktywa wyprzedawano na pokrycie kosztów globalnych działań naprawczych.

Odkryte w górach ogromne złoża złota dawały nadzieję na ostateczne zakończenie cyklu kolonializmu w Demokratycznej Republice Konga. Pogrzebane tam bogactwo wesprze gospodarkę tego kraju i uniezależni go od chińskiego czy innego rządu. Uwaga archeologów i ludzi na całym świecie gwarantowała, że te zasoby nie zostaną rozgrabione.

Kotlina przy Królestwie Kości zamieniła się w krajobraz księżycowy. Cud ukryty tam przez tysiąclecia zniknął w jednej chwili. Po wybuchu w okolicy rozprzestrzenił się pożar i pochłonął wszystko na swojej drodze. Gray i jego towarzysze musieli uciekać przed ścigającymi ich płomieniami, ale udało im się dotrzeć do czekającego na nich śmigłowca.

Miesiąc później Gray nadal był zdruzgotany. Próbując znaleźć sens w tym zniszczeniu, przypominał sobie słowa Tyendego: „Czasami stary las musi spłonąć, by wyrósł nowy”. Nawet znalezienie leku nie było w stanie zrównoważyć śmierci, zniszczeń i tego, że wielu ludzi musiało szukać dla siebie nowego miejsca do życia.

Najgorsze, że można było tego wszystkiego uniknąć. Mieli lek przez cały czas, od samego początku. Gdy Gray wypytywał Farajiego, ten z uporem twierdził, że Woko Bosh nie wiedział o znaczeniu figurki *ndop*, nie miał pojęcia, że jest to skarb ukryty wewnątrz innego skarbu. „Nikt tego nie wiedział”, powtarzał Faraji.

Najwyraźniej była to tajemnica, którą Sheppard podzielił się tylko z Tyendem, po czym zostawił go w dolinie, by pełnił funkcję strażnika. Wielebny z pewnością szanował matkę drzew i postanowił chronić jej sekrety; chciał, żeby powierzano je tylko tym, których uzna za godnych ich posiadania. Trzeba było odbyć tę podróż, podążając za wskazówkami ukrytymi w skrzynce ludu Kuba, by zostać ocenionym.

I choć drzewo nie uznało nas za godnych, zrobił to ktoś inny, pomyślał Gray.

Przypomnił sobie, jak Tyende poklepuje go po dłoni i zapewnia, że jest godny tego, by powierzyć mu tajemnicę Shepparda.

Czy naprawdę jestem godny? – zastanawiał się, siedząc w poczekalni.

Painter spojrział na komandora i coś sobie przypomniał.

– Dostałem wiadomość z DARPA – powiedział. – Nowa proteza Monka zapowiada się obiecująco. Pracowałem z nimi, sugerując udoskonalenia.

– I to wszystko po to, żeby nie musiał ciągle wysadzać ręki w powietrze. – Gray uśmiechnął się.

– To człowiek z misją.

– Jak pies z kością. – Komandor zbeształ się w duchu za dobór słów, bo przecież nie wszyscy wrócili z dżungli bez szwanku. Szybko przełknął ślinę, spojrzął w głąb korytarza i zmienił temat: – Jakie są szanse, że przeszczep szpiku doprowadzi do remisji? Z tobą lekarze byli pewnie bardziej szczerzy. Co mówią?

– Cóż, onkolodzy są pełni nadziei, z pewnością bardziej niż wcześniej. Cokolwiek wydarzyło się w tym świecącym stawie, poprawiło jego stan. Znacząco. Wszystkie wyniki są lepsze. Dlatego przyspieszyli zabieg: żeby wykorzystać poprawę, zanim znowu mu się pogorszy.

– Więc nie został uleczony? – zapytał Gray.

Painter wzruszył ramionami.

– Nie sposób tego rozstrzygnąć. Badania krwi nie wykazały obecności wirusa leczniczego, takiego jak ten stosowany teraz w całym Kongu. Jeśli coś zostało przekazane Kowalskiemu, to przepadło.

Gray przypomniał sobie słowa Tyendego: „Jej dary są szczodre, ale krótkotrwałe. Raz dane, szybko znikają”.

– Wirus *Tyende* wciąż nie został do końca zbadany – dodał dyrektor Sigmy. – Szybko znika z organizmów pacjentów leczonych w Kongu. I chyba poza tym, że leczy chorobę wywołaną *Omniviridae*, nie ma innych właściwości leczniczych, żadnego daru wydłużania życia.

– Przynajmniej nie w tej wersji, którą znamy – zauważył Gray.

– Zgadza się. Ten szczep *Tyende* wydaje się stworzony wyłącznie do atakowania wirusa *Omniviridae*. I kiedy wykona zadanie, rozprasza się. Jeśli w jego kodzie genetycznym kryją się jakieś inne cuda, to ich odkrycie przerasta możliwości naszej nauki.

Ale nie możliwości innych, pomyślał Gray. Przypomniał sobie matkę drzew. Wiedział, że to drzewo było tylko fasadą. Organizm tkwił znacznie

głębiej, rozprzestrzeniony w sieci korzeni drzew i grzybni, z ogromną inteligencją, jak żadna znana Grayowi.

W korytarzu pojawiła się szczupła sylwetka. Maria Crandall miała na sobie kombinezon, czepek i maskę. Pomachała do nich dłonią w rękawiczce.

– Jeśli chcecie go odwiedzić, to już skończyli – powiedziała.

Gray i Painter ruszyli w jej stronę. Gdy dotarli do drzwi, wskazała im fartuchy, maski i rękawiczki. Kowalski miał obniżoną odporność, więc musieli przedsięwziąć środki ostrożności.

– Nie siedźcie za długo – przykazała im. – Jest wypompowany.

– Oczywiście – obiecał Painter, a Gray skinął głową.

Włożyli stroje ochronne i weszli do sali szpitalnej.

Gray był wstrząśnięty stanem Kowalskiego. Nie widział go, odkąd ten rozpoczął chemioterapię i radioterapię. Kowalski wyglądał jak duch samego siebie. Miał jasnoszarą skórę i podkrążone oczy. Stracił wszystkie włosy.

Jego ciało jednak nadal ledwie mieściło się na łóżku, muskularne i masywne jak zawsze.

Spojrzał na nich gniewnie, pewnie zawstydzony, że widzą go w takim stanie. Choć właściwie był to jego normalny wyraz twarzy.

Gray wyjął prezent schowany za plecami, wykonany na specjalne zamówienie, zamknięty w przezroczystym plastiku, by odpowiadał standardom izolacji, ale doskonale widoczny.

Maria uśmiechnęła się, bo znała obsesję swojego chłopaka.

– Super – rzuciła.

Był to pluszowy miś... z małą repliką zaginionego shurikena na ramieniu.

– Nie, to głupie – burknął wielkolud, ale gdy Gray odsuwał prezent, wyrwał mu go z rąk. – Ale mogę to sprzedać na eBayu.

– Wiesz, że tego nie zrobisz – rzuciła Maria. – Chociaż może powinienes, bo zaczyna brakować miejsca na półkach.

Przyciągnął misia i położył go na łóżku obok siebie. Poklepał go po łebku, ale nadal miał zawiedzioną minę.

– O co ci chodzi? – zapytał Gray.

Kowalski spojrzał na niego, wyraźnie zraniony.

– Mnie też mogłes skombinować pukawkę.

Rezerwat przyrody Spitskop, Republika Południowej Afryki

Godzina 18.20 czasu miejscowego

Tucker siedział sam na drewnianej werandzie dużego dwupiętrowego domu. Deski pod stopami były pobielone, tak jak balustrady i słupki. Szerokie wentylatory podsufitowe wytrwale meły powietrze, ale niezupełnie łagodziły skwar późnego popołudnia.

Ratował się na swój sposób. Obok niego pociła się zimna butelka piwa.

Słońce zbliżało się do linii horyzontu. Na bezkresnej sawannie, usianej kępami akacji i wierzb rzecznych, migotały wiraże. Bliżej syczały zraszacze rozsiewające mgiełkę nad trawnikiem o powierzchni dwóch tysięcy metrów kwadratowych. Cykady rozbrzmiewały w niekończącym się chórze.

Bracia Nkomo, Christopher i Matthew, przygotowujący grupę turystów na wieczorne safari omawiali zasady bezpieczeństwa. W tej części rezerwatu tylko oni mieli pozwolenie na broń. Wyprawa miała charakter wyłącznie fotograficzny. Bracia strzegli tych ziem przed kłusownikami... i konkurencją.

Tucker zainwestował w Luxury Safari Tours kilka lat temu i został współwłaścicielem firmy. Nieczęsto tu zaglądał; ziemię i prowadzenie interesu pozostawił braciom Nkomo. Jeśli zbyt długo siedział w jednym miejscu, stawał się niespokojny i nie mógł się doczekać, kiedy ruszy dalej. Mimo to podobała mu się sama idea tego miejsca, świadomość, że ma dom, w którym zawsze jest mile widziany.

Nawet teraz, gdy kołysał się w fotelu, czuł żądę podróży. Tylko że w najbliższym czasie nie będzie mógł sobie na to pozwolić.

Przybył do Spitskop, by wrócić tu do zdrowia. Kostkę miał unieruchomioną w bucie ortopedycznym, a dwa tygodnie temu sam zdjął setki szwów z ran. Christopher i Matthew służyli mu pomocą, mimo to ten żmudny proces trwał całą godzinę. Większość odłamków zniknęła, ale podejrzewał, że kilka nadal tkwi w ciele. Po dziurze w policzku została pomarszczona szrama.

To dlatego czekał do późnego popołudnia, zanim ulokował się na werandzie. Chciał mieć to miejsce tylko dla siebie. Nie chciał straszyć gości.

Ciesząc się zachodem słońca, obserwował tuman pyłu na polnej drodze prowadzącej do posiadłości. Sunąc powoli, zbliżał się. Tucker pomyślał, że to jakiś spóźnialski, który chciał wziąć udział w nocnym safari. Droga kończyła się przy domu.

Pociągnął łyk piwa, odstawił butelkę i czekał.

Rozpoznał nowszy model toyoty land cruiser, tak zakurzony, że trudno było określić kolor. Pojazd minął zjazd prowadzący do domu braci Nkomo i ich pick-upów, przetoczył się po poziomej przeszkodzie, chroniącej teren przed zwierzętami kopytnymi, i skręcił na wyłożony granitowym kruszywem podjazd. Zatrzymał się przy werandzie.

Tucker rozważał, czy nie wrócić do domu. Ale drzwi otworzyły się, z samochodu wysiadł Frank i uniósł rękę.

– Co ty tu robisz? – Tucker przestał kołysać się w fotelu. – Dlaczego nie zadzwoniłeś?

– Bo powiedziałaś mi, żebym nie przyjeżdżał. – Frank obszedł land cruisera i otworzył tylną klapę, tak że zasłoniła widok jego przyjacielowi. Po kilkunastu sekundach zamknął ją i odwrócił się. Trzymał w ramionach plastikowy transporter.

Nie, pomyślał zaniepokojony Tucker.

Frank wniósł transporter na werandę. Gdy postawił go na deskach, rozległ się ostry, wściekły warkot.

– Nie jestem gotowy – oświadczył Tucker. – Przecież mówiłem.

Przyjaciel zignorował go, pochylił się i otworzył drzwiczki.

– Zabraliśmy go z pseudohodowli w Missouri – oznajmił. – Prawdziwy koszmar. Leżał zwinięty w kłębek obok martwej matki. Przeżył jako jedyny z miotu.

Tucker kręcił głową, ale nie mógł się powstrzymać i opadł na kolano. Zajrzał do ciemnej skrzynki. Trzymiesięczny szczeniak wciskał się w kąt, wysoko unosząc zad i nisko trzymając łebek. W jego ślepiach płonęła furia. Sierść na karku jeżyła się ostrzegawczo. Był to belgijski owczarek malinois, płowy i przypalany na grzbiecie.

– W Lackland poddali go testom, czy nadaje się do ich programu szkolenia psów wojskowych – powiedział Frank. – Oblał. Uznali, że nic z niego nie będzie. Jest zbyt dziki, nie do resocjalizacji.

Jakby na dowód, szczeniak rzucił się i kłapnął zębami, po czym się cofnął.

– Rozumiem, skąd ta ocena – mruknął Tucker.

– Jeśli ktoś może go okiełznać, nauczyć go... – Frank oparł ręce na biodrach.

Tucker wstał i odsunął się. Szczeniak, wciąż warcząc na cały świat, podkradł się do otwartych drzwiczek, gotów do ucieczki.

– Możesz go wyszkolić – rzucił Frank. – Wiem, że potrafisz.

Jego przyjaciel pokręcił głową.

– Ja nie. – Za nim otworzyły się siatkowe drzwi i wskazał kciukiem w tamtą stronę. – Ale on tak.

Kain, z łapą w gipsie z drukarki 3D, wyszedł z impetem zza ogrodzenia. Frank uratował mu życie na wyspie: zaniósł go do baraku medycznego i wykorzystał tamtejsze skromne zapasy, zrobił mu sztuczne oddychanie usta-usta. Potem zajęli się nim lekarze z FARDC. Pies był pod najlepszą opieką; wojskowym lekarzom udało się nawet uratować mu łapę.

Mimo to nie było wiadomo, czy w pełni wyzdrowieje. Tak jak nie było pewne, czy Tucker dojdzie do siebie.

– Potrzebujesz go – powiedział Frank. – Obaj go potrzebujecie.

Szczeniak warknął, ostrzegając ich, by trzymali się z daleka.

Kain stał na sztywnych łapach, z wysoko postawionymi uszami, i warcząc, patrzył na niego surowo.

Płowy szczeniak cofnął się o krok, po czym powoli padł, jakby przygnieciony warczeniem starszego psa. Opuścił pysk na deski, pokazując w ten sposób uległość.

Kain zerknął na Tuckera.

Ten wzruszył ramionami.

– Co o tym myślisz, stary? – spytał. – Podejmiesz wyzwanie?

Jego partner machnął ogonem.

Tucker uśmiechnął się.

Ja tež.

Później

Molimbo stoi na skraju skalistego grzbietu góry pod rozgwieżdżonym nocnym niebem. Półksiężyc wisi wysoko. Bala trzyma się obok niego; jej sierść jest chłodna, oczy błyszczą.

Za nim dżungla skrzeczy i świergocze, buczy i pohukuje. Oddycha, ponadczasowa jak zawsze. Przed nim jest ciemna kotlina zasłana popiołem. Wśród kikutów drzew w jego dawnym domu migoczą małe ogniska. Obozują tam ci, którzy przybyli zbierać i przesiewać kości.

Dziesięciu myśliwych przyszło na ostatnie czuwanie obok Molimba. Stoją po pięciu z każdej strony starszego plemienia, każdy ze swoim towarzyszem.

Pozostali czekają w lesie. Ona chroniła ich do samego końca; przesłała wiatrem ostrzeżenie, które mogły usłyszeć tylko ich uszy. Łowcy skończyli pieśni, chór żalu i wdzięczności.

Trwały całą noc, a teraz nadchodzi świt.

Już czas.

Ona odeszła, ale plemię trwa.

I ma swój ostatni cel.

Molimbo ściska skórzany woreczek. Dziesięciu myśliwych przy nim też ma takie, zawieszane na sznurkach na szyi.

Otwiera świętą sakiewkę.

Noc jest ciemna, ale w woreczku coś świeci. Na jego spodzie w gniazdku lśniących srebrnych włókien spoczywa duże czarne ziarnko.

Starszy plemienia zaciąga sznurek i wiesza woreczek na szyi.

Dziesięciu myśliwych bez słowa wchodzi do lasu i bezszelestnie znika ze swoimi protelami, zmierzając w dziesięciu różnych kierunkach.

Molimbo rzuca ostatnie spojrzenie na spaloną kotlinę, po czym odwraca się od niej na zawsze i obiera jeszcze inną drogę. Bala podąża za nim, nieodstępna jak cień.

Jest pewny siebie, gdy biegnie. Nasionko z każdym krokiem staje się coraz silniejsze, jak gałązka sięgająca ku słońcu.

Ona odeszła, ale przyjdzie znowu.

Nota od autora

Prawda czy fikcja

Skoro światu została oszczędzona kolejna pandemia, podnieśmy maskę i rzućmy okiem na silnik napędzający tę opowieść, i dowiedzmy się, co w tej książce opiera się na niezaprzeczalnych faktach, a co jest fikcją. Poruszyłem w niej kwestie teorii wirusów i ewolucji, a także prognozy co do przyszłości świata przyrody – i naszego w nim miejsca. Zanim jednak podejmiemy się naukowego badania tego, co ma nadejść, spójrzmy w przeszłość, w której jest częściowo zapisana przyszłość.

HISTORIA KONGA

W *Zapiskach naukowych* zamieszczonych przed powieścią omówiłem zbrodnie popełniane na Kongijczykach podczas fal kolonializmu. Wspomniałem także o jednej z postaci żyjących w tamtych czasach: o wielebnym Williamie Sheppardzie, który – uzbrojony tylko w aparat Kodaka i czystą determinację – przyczynił się do pokazania światu okrucieństwa kolonizatorów. Był jedną z pierwszych osób, które nawiązały kontakt z ludem Kuba (nazywanym również Bakuba, czyli „ludzie rzucanego noża”). Napotykał wielki opór, próbując ich nawrócić, ale był przez nich szanowany. I, jak napisałem, chronił plemię przed kanibalami Zappo Zap.

Jeśli chcecie dowiedzieć się więcej o tym okresie i o wielebnym Sheppardzie, zachęcam do sięgnięcia po dwie książki, które posłużyły mi jako historyczne biblie podczas pisania *Królestwa Kości: The Troubled*

Heart of Africa: A History of the Congo Roberta Edgertona oraz *Kongo. Opowieść o zrujnowanym kraju* Davida Van Reybroucka.

PREZBITER JAN I ZAGINIONE KRÓLESTWO

Sięgnijmy dalej w przeszłość Afryki, gdzie historia splata się z mitami. Zawsze chciałem zbudować fabułę wokół mitycznej postaci Prezbitera Jana. Legendy mówią, że był potomkiem Baltazara, jednego z Trzech Króli, którzy odwiedzili Dzieciątka Jezus w stajence. Jego królestwo słynęło z nieopisanego bogactwa, a legendy wiązały go ze źródłem młodości, Arką Przymierza i kopalniami króla Salomona. Przez wieki europejscy władcy wysyłali na poszukiwania Prezbitera Jana emisariuszy, z których większość zniknęła w dżungli, jak osobisty lekarz papieża Aleksandra III. To pokazuje siłę mitu... chyba że jest prawdą.

LUD KUBA

Temat ten sięga od przeszłości do czasów dzisiejszych. Lud Kuba nadal żyje w Kongu. Jak wspomniałem powyżej, ci ludzie naprawdę przyjaźnili się z wielbnym Williamem Sheppardem. Zarówno w przeszłości, jak i dziś ich rękodzieła cieszą się uznaniem na całym świecie, od misternych rzeźb – jak skrzynki *ngedi mu ntey* i figurki *ndop* – po nadzwyczajne tkaniny z rafii. Nawet Picasso zawdzięczał im swój okres kubizmu; zainspirowała go wystawa sztuki Kuba w Paryżu w 1907 roku. Jakże więc mógłbym nie podkreślić ich kunsztu w tej książce?

PIGMEJE

Niektórzy bohaterowie tej powieści mogą się poszczycić swoją długą i fascynującą historią w Kongu. Dziś plemiona Pigmejów są rozproszone po całej Afryce Środkowej i posługują się odrębnymi językami, ale kiedyś byli jednym ludem, pochodzącym od wspólnych przodków sprzed 90 tysięcy

lat. Dopiero znacznie później – mniej więcej 2800 lat temu – kolejne fale przybyszów uprawiających ziemię rozbiły ten lud na wiele plemion. Dziś niektóre nawet nie wiedzą o istnieniu innych. Antropolodzy nie znają ich dziejów. Genetycy wciąż debatuje nad przyczyną ich niskiego wzrostu. Nawet pochodzenie Pigmejów pozostaje nieznane. Kto wie, czy nie istnieje jakieś zaginione plemię, które przechowuje te sekrety i nadal strzeże dżungli?

Ale na razie zostawmy za sobą te historyczne tajemnice i przejdźmy do teraźniejszości.

KONGO DZISIAJ

Po brutalnych wojnach – pierwszej i drugiej wojnie domowej (trwających od 1996 do 2003 roku) – sytuacja w Demokratycznej Republice Konga pozostaje niepewna. Szerzy się tam korupcja, co plasuje ten kraj na 168. miejscu ze 198 w opracowanym przez Transparency International Indeksie Percepcji Korupcji. I choć obszar DRK należy do najbogatszych w surowce naturalne, kraj nadal pozostaje jednym z najuboższych na świecie. Panoszą się tam rebelianci, oddziały milicji i watażkowie, a kłusownicy sieją spustoszenie. Jest jednak również wielu bohaterów walczących o przyszłość DRK. Należą do nich pracownicy Institut Congolais pour la Conservation de la Nature (ICCN). Ci ekostrażnicy – tacy jak Ndaye – wśród krwi i konfliktów starają się chronić zasoby naturalne ojczyzny przed czymś znacznie gorszym niż kłusownicy. Inne państwa, a ostatnio zwłaszcza Chińczycy, próbują rozkradać bogactwa tego balansującego na krawędzi kraju, zapoczątkowując nową epokę kolonializmu, która może być równie brutalna i niszczycielska jak ta z czasów Williama Shepparda. Mam nadzieję, że *Królestwo Kości* rzuci światło na to, co dzieje się pod ciemnym baldachimem dżungli Konga.

Do opisaney w tej książce tragedii nad jeziorem Nyos w Kamerunie – gdzie 1800 osób umarło, uduszonych przez metan wydobywający się spod dna jeziora – doszło w 1986 roku. Podobna sytuacja może w przyszłości mieć miejsce na gęsto zaludnionym obszarze wokół jeziora Kiwu, leżącego na granicy Demokratycznej Republiki Konga i Ruandy. Tylko że tam zginą miliony ludzi, jeśli dojdzie do erupcji limnicznej, czego nie można wykluczyć w regionie często nawiedzanym przez trzęsienia ziemi.

TROCZĘ O NIETOPERZACH I INNYCH ZWIERZĘTACH

Po pierwsze, wybaczcie weterynarzowi, który został pisarzem, że kreuje nowe stworzenia. Wiele owadów i zwierząt przedstawionych w tej powieści jest tworamami mojej wyobraźni. Staralem się nie wymyślać ich w sposób całkowicie oderwany od rzeczywistości, ale pożyczać ich cechy od innych gatunków i przestrzegać podstawowych zasad behawioru i biologii. Chociaż nawet prawdziwe zwierzęta mogą wydawać się fantastyczne, jak empatyczne mrówki (prawda!) czy zabarwione na pomarańczowo krokodyle krótkopyskie, które ewoluują uwięzione pod ziemią (prawda!). Dużą przyjemność sprawiło mi opisywanie proteli, monogamicznej natury szakali i temperamentu hipopotamów.

Sporą część tekstu poświęciłem nietoperzom, a przede wszystkim ich wyjątkowej zdolności do goszczenia w sobie wirusów. Uznałem, że może to być interesujące po pandemii COVID-19. Wszystkie szczegóły dotyczące nietoperzy i wirusów zawarte w tej książce są prawdziwe. Wirusy są głęboko wplecione w unikalny układ odpornościowy nietoperzy, mają związek z ich zdolnością do latania i przyczyniają się do długowieczności. Wirusowe DNA jest wtopione w ich strukturę genetyczną... i naszą.

Przyjrzyjmy się więc wirusom. Podzieliłem tę porcję wiedzy na strawne (mam nadzieję) kęsy.

POCHODZENIE WIRUSÓW

Wspomniałem w *Królestwie Kości* o wielu teoriach pochodzenia wirusów. Czy można uznać wirusy za żywe, czy też są samoreplikującymi się maszynami? Co było pierwsze – wirusy czy życie na Ziemi, jak w pytaniu: jajko czy kura? Czy wyewoluowały z jakiejś innej, większej komórki? A może pojawiły się pierwsze i zapoczątkowały życie na naszej planecie, o czym mówi tak zwana teoria świata wirusów? Pozwolę rozstrzygnąć to wirusologom, chociaż skłaniam się ku drugiej odpowiedzi. Dlaczego? Dlatego, że od wirusów pochodzi wiele naszych najważniejszych genów, począwszy od tych, które odpowiadają za rozwój zarodka, a skończywszy na tych związanych z naszą odpornością. Wirusowy gen Arc jest podstawą pracy naszych dużych mózgów. Bez wirusów nie byłoby nas.

POSZUKIWANIE WIRUSÓW

Opisana w tej książce praca Franka jest niezwykle ważna. Tak, pomógł uratować Kaina, ale nie o to mi teraz chodzi. Siedemdziesiąt pięć procent wszystkich nowych chorób w ostatnim stuleciu – ebola, AIDS, COVID-19 – to zoonozy, choroby wywołane przez wirusy odzwierzęce. Program Zdrowia Globalnego działający pod auspicjami Smithsonian Institution jest tylko jedną z wielu organizacji, które prowadzą poszukiwania patogenu, potencjalnego źródła następnej pandemii. Zatrudnia lekarzy weterynarii i innych specjalistów do zbierania danych i okazów w terenie, by tworzyć bazę potencjalnych zagrożeń.

Wielu wirusologów, z którymi rozmawiałem – zwłaszcza po covidzie – jest przerażonych tym, co nazywają „chorobą X”. Jest to hipotetyczny

patogen zdolny do szybkiego rozprzestrzeniania się, organizm wywołujący chorobę, której współczesna nauka nie potrafi zapobiec ani wyleczyć dotkniętych nią ludzi. Jak blisko miał covid do tego, by stać się tą przerażającą chorobą X? Powiem tylko, że zbieranie materiałów do tej powieści w czasie pandemii nie było dobre dla moich nerwów. Na szczęście uniknęliśmy czegoś, co mogło okazać się znacznie gorsze. Mimo to potrzebujemy jak najwięcej Franków, żebyśmy następnym razem byli lepiej przygotowani. A możecie mi wierzyć, następny raz nadejdzie.

MEGAWIRUSY

Pierwszy z ogromnych wirusów został wyizolowany z ameby w 1992 roku. Ze względu na jego rozmiar wszyscy początkowo uważali go za bakterię. Dopiero w 2003 roku został uznany za wirusa. Od tamtej pory odkryto wiele innych gigantów. Nie znaczy to jednak, że wiemy o nich wszystko – w żadnym wypadku. Wirusy te zawierają tysiące genów, przy czym większość z nich pozostaje nieznana. Należy do nich pandoravirus. Dziewięćdziesiąt procent z jego 2500 genów nie przypomina niczego innego na ziemi. Jest też yaravirus, którego żaden gen nie był wcześniej znany. Te wirusy są dziwnie uparte, a nawet zdolne do ożycia. Jeden z nich – *Mollivirus sibericum* – odkryty w syberyjskiej wiecznej zmarzlinie, odrodził się po hibernacji trwającej 30 000 lat. Jeśli więc szukamy choroby X, to może zwróćmy szczególną uwagę na te giganty.

OMNIWIRUS

Jeszcze raz wybaczenie lekarzowi weterynarii, który zbyt wiele czasu spędził na rozmowach z wirusologami. Oczywiście musiałam stworzyć własnego Frankenwirusa. Pomysł narodził się jeszcze przed wybuchem pandemii. Czytałem o zdolności pewnego megawirusa do samoobrony poprzez stosowanie podobnej do CRISPR metody edycji genów. Oparłem

się także na moim doświadczeniu weterynaryjnym i wiedzy o *Toxoplasma gondii*, pierwotniaku powodującym zmianę zachowania nie tylko u gryzoni, ale także u ludzi. Zaintrygowało mnie również to, w jaki sposób wirus może wywoływać u różnych gatunków różne objawy; na przykład wścieklizna może objawiać się zarówno wściekłością, jak i paraliżem, co po lekturze tej książki może brzmieć znajomo. Podobnie jest z chorobą szalonych krów. Wywołujący ją złośliwy prion sprawia, że krowy stają się agresywne, natomiast u ludzi choroba objawia się depresją i utratą koordynacji ruchów. Dowiedziałem się również, że według jednej z teorii priony są pochodzenia wirusowego. Te samoreplikujące się łańcuchy białkowe mogą być fragmentami zgubionymi przez wirusy.

Zebrałem te szczegóły, by stworzyć opisanego w tej książce omniwirusa. Ale biorąc pod uwagę wszystko, co napisałem powyżej, może omniwirus naprawdę istnieje i czeka, aż matka natura będzie miała dość nas, dwunożnych parweniuszy.

A skoro mowa o matce naturze...

MATKA NATURA – W ZIELONYCH LIŚCIACH I CZERWONYCH CIERNIACH

Przeczytałem pierwszą wymienioną poniżej książkę (*Sekretne życie drzew*), kiedy ukazała się w 2016 roku. Byłem zafascynowany rewelacjami dotyczącymi wzajemnych powiązań lasu i złożonej z korzeni i grzybni podziemnej sieci, która łączy las w całość. Zawsze chciałem poruszyć ten temat – i nadarzyła się okazja. Podjąłem tę kwestię w jednej z moich wcześniejszych powieści, *Amazonii*, ale dzięki wynikom nowych badań postanowiłem ją rozszerzyć. Jeśli chcecie dowiedzieć się więcej na ten intrygujący i pouczający temat, polecam: *Sekretne życie drzew* Petera Wohllebena, *Brilliant Green: The Surprising History and Science of Plant*

Intelligence Stefano Mancusa i Alessandry Violi oraz *W poszukiwaniu matki drzew. Dowody na inteligencję lasu* Suzanne Simard.

Zawsze fascynowała mnie biologia i ewolucyjna historia grzybów, a zwłaszcza ich rola w przeniesieniu życia z morza na ląd. Najstarszy grzyb, pochodzący sprzed 810 milionów lat, został znaleziony wśród skamielin w Kongu. Uważa się, że ten organizm pomógł stworzyć na Ziemi pierwotną glebę, w której zapaściły korzenie pierwsze rośliny. Najstarszym żyjącym współcześnie grzybem jest opieńka ciemna (*Armillaria ostoyae*), występująca w wielu miejscach, ale najstarszy osobnik rośnie w Malheur National Forest we wschodnim Oregonie. Szacuje się, że ma 8000 lat, a jego grzybnia zajmuje powierzchnię 8,9 kilometra kwadratowego i waży 35 tysięcy ton, co czyni go również największym żywym organizmem na Ziemi.

Jego konkurentem pod względem wieku i wielkości jest las Pando, Drżący Olbrzym w stanie Utah. Drzewostan składający się z 40 tysięcy połączonych ze sobą klonów topoli osikowej (*Populus tremuloides*) waży 6600 ton i może mieć nawet 80 tysięcy lat (niektórzy uważają, że ma ponad milion).

Bez względu na to, do którego należy palma pierwszeństwa, te organizmy są dla nas przypomnieniem, że my, ludzie, jesteśmy bardzo młodzi i popełniamy błędy młodości, źle obchodząc się z naszą planetą.

GADŻETY I BRONŃ

W *Królestwie Kości* roi się od różnorodnej niszczycielskiej broni – z potężnym rosyjskim pojazdem do kompletu. Shatun ATV 4x4 jest naprawdę godny zainteresowania. Zachęcam do obejrzenia filmów online, pozwalających ocenić jego solidność i zwinność. Chcę taki mieć – na

wypadek gdybym kiedyś musiał przebijać się przez dżungłę (albo bagna, albo rough na polu golfowym).

Co do broni, to MOAB jest bombą służącą do niszczenia bunkrów. Massive Ordnance Air Blast, lepiej znana jako matka wszystkich bomb, jest potężna jak mała taktyczna głowica nuklearna. Robotyczne psy przedstawione w tej książce – drony kroczące Q-UGV – istnieją naprawdę. Chociaż sam pozostanę przy szczekających wersjach.

Pistolet KelTec P50, którego używa Gray, również istnieje. Ale już plujący ostrymi jak brzytwa dyskami shuriken Kowalskiego jest moim wynalazkiem – chociaż prototyp czegoś podobnego wdrożono do produkcji kilka lat temu. Bandolier Kaina, umożliwiający Tuckerowi zdalne zrzucanie małych granatów (błyskowo-hukowych, dymnych i odłamkowych), również jest moim dziełem. Bo dlaczego Tucker nie miałby się pobawić?

A skoro mowa o Kainie...

WOJSKOWE PSY PRACUJĄCE I ICH TRENERZY

Uwielbiam Tuckera i Kaina. Ale jak powstał ten dynamiczny duet? Po raz pierwszy zetknąłem się z taką heroiczną parą żołnierza i psa zimą 2010 roku podczas zorganizowanego przez USO wyjazdu do Iraku i Kuwejtu. Obserwując harmonijną współpracę tych duetów, doszedłem do wniosku, że człowieka i psa łączy nadzwyczajna więź. Postanowiłem, że spróbuję ją uchwycić i uhonorować. Żeby to osiągnąć, rozmawiałem z lekarzami weterynarii w Korpusie Weterynaryjnym Stanów Zjednoczonych, przeprowadzałem wywiady z przewodnikami, poznawałem ich psy i patrzyłem, jak człowiek i zwierzę zżywają się, by stworzyć jednostkę bojową. Konsultowałem szczegóły z byłymi i obecnymi opiekunami. Jeśli chcecie dowiedzieć się więcej o psach wojskowych i ich przewodnikach, gorąco polecam dwie książki autorstwa Marii Goodavage: *Soldier Dogs*:

The Untold Story of America's Canine Heroes oraz *Top Dog: The Story of Marine Hero Lucca*.

Spodziewam się, że dostanę sporo maili z wyrzutami po tym, jak skrzywdziłem Kaina. Dlaczego byłem taki okrutny? Przedstawiłem wyczyny Tuckera i jego partnera w czterech powieściach, noweli i opowiadaniu. Po tak długim czasie uznałem, że ważny jest realizm, że przemilczenie cierpień, na jakie narażeni są dzielni czworonożni żołnierze, byłoby oznaką braku szacunku. Chociaż los Kaina może zasmucić wielu czytelników, chciałem w ten sposób złożyć hołd psom wojskowym na całym świecie, wszystkim tym, które straciły życie albo łapy podczas służby. Oczywiście nie po raz ostatni spotykacie się z Tuckerem i Kainem. Potrzebuję jeszcze imienia dla dzikiego ucznia Kaina. Jeśli macie pomysły, wejdźcie na moją stronę, wyślijcie mi maila i podzielcie się swoimi sugestiami. Może nawet otrzymacie za to nagrodę.

No to chyba już wszystko. Być może zauważyliście rzucającą się w oczy nieobecność pewnej byłej zabójczyni, która przeszła na właściwą stronę. Nie obawiajcie, Seichan wróci z Hongkongu. Chociaż w tej książce została odsunięta na boczny tor, czeka ją wyzwanie jak nigdy dotąd: ktoś powraca z zamiarem zemsty i bierze na celownik Sigmę. Więc odpocznijcie i przygotujcie się na przygodę, która zmieni wszystko. Naprawdę wszystko.

Prawa autorskie rycin

S. 9 (mapa Konga) Narysowana przez Steve'a Preya. Wszelkie prawa zastrzeżone. Wykorzystana za zgodą Steve'a Preya

S. 25 (mrówka) Zakupiono z licencją rozszerzoną od Shutterstock ID zdjęcia stockowego royalty-free: 1777308743, autor: merearts (zdjęcie edytowane przez autora) <https://www.shutterstock.com/image-illustration/illustration-black-silhouette-ant-isolated-white-1777308743>

S. 113 (pnącze) Zakupiono z licencją rozszerzoną od Shutterstock ID zdjęcia stockowego royalty-free: 547120837, autor: Thoom (zdjęcie edytowane przez autora) <https://www.shutterstock.com/image-vector/cross-thorns-black-white-simple-vector-547120837>

S. 151 (szkic okapi) Narysowane przez autora

S. 153 (wiadomość) Narysowane przez autora

S. 156 (mapa Prezbitera Jana) Domena publiczna (obraz edytowany przez autora)

S. 159 (mapa z 1710 roku) Domena publiczna – z kolekcji map historycznych, Princeton University Library (zdjęcie edytowane przez autora)

S. 163 (grupa wirusów) Uzyskane z Creative Commons CCO 1.0 Universal Public Domain Dedication (obraz edytowany przez autora)

S. 163 (pojedynczy wirus) Uzyskane z Creative Commons CCO 1.0 Universal Public Domain Dedication (obraz edytowany przez autora)

S. 183 (infiltracja)Zakupiono z licencją rozszerzoną od Shutterstock ID zdjęcia stockowego royalty-free: 353791034,autor: Zita (zdjęcie edytowane przez autora) <https://www.shutterstock.com/image-vector/round-mildew-mycelium-vector-illustration-353791034>

S. 204 (wiele wirusów)Domena publiczna (obraz edytowany przez autora)

S. 208 (kolczasty wirus)Na licencji Creative Commons Attribution-Share Alike 4.0 (<https://creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/deed.en>)Źródło: Sarah Duponchel i Matthias G. Fischer z [<https://journals.plos.org/plospathogens/article?id=10.1371/journal.ppat.1007592>] (zdjęcie edytowane przez autora)

S. 221 (szkic okapi 2)Narysowane przez autora

S. 224 (szkic krzyża)Narysowane przez autora

S. 230 (kościół w dżungli)Zakupiono z licencją rozszerzoną od Shutterstock ID zdjęcia stockowego royalty-free: 1776268763,autor: Klauss Egon (zdjęcie edytowane przez autora) <https://www.shutterstock.com/image-photo/old-church-on-middle-jungle-1776268763>

S. 234 (mapa genomu)Zakupiono z licencją rozszerzoną od Shutterstock ID zdjęcia stockowego royalty-free: 1288865194,autor: Tartila (zdjęcie edytowane przez autora) <https://www.shutterstock.com/image-vector/genomic-analysis-visualization-dna--genomes-sequencing-1288865194>

S. 262 (szkic krzyża 2)Narysowane przez autora

S. 264 (nagrobek)Narysowane przez autora

S. 267 (królewski wzór Kuba)Narysowane przez autora

S. 275 (osaczeni)Zakupiono z licencją rozszerzoną od Shutterstock ID zdjęcia stockowego royalty-free: 1669600384,autor: Marina Dekhnik

(zdjęcie edytowane przez autora) <https://www.shutterstock.com/image-vector/black-silhouette-flying-bats-isolated-on-1669600384>

S. 351 (drzewo i korzenie) Zakupiono z licencją rozszerzoną od Shutterstock ID zdjęcia stockowego royalty-free: 1121523821, autor: entrophoto (zdjęcie edytowane przez autora) <https://www.shutterstock.com/image-vector/tree-silhouette-on-white-background-vector-112152382>